

Niebezpieczne wizje

Antologia SF



calibre 0.9.43

Antologia

Niebezpieczne wizje

„Dangerous Visions”

33 opowiadania w wyborze Harlana Ellisona

Ludzie uczą się od innych, mądrych ludzi tego, co wiedzą o sobie, o świecie, w którym muszą żyć i o świecie, w którym chcieliby żyć.

Tę książkę dedykuję z miłością, szacunkiem i podziwem

LEO I DIANE DILLONOM, którzy pracowicie, nie zważając na łączącą nas przyjaźń, pokazywali redaktorowi tej antologii, że czarne jest czarne, a białe jest białe, i że dobroć może spłynąć albo z jednego, albo z drugiego; ale nigdy z szarości.

Oraz ich synowi, LIONELOWI III, dzisiaj znanemu jako LEE

z cichą modlitwą, aby jego świat nie był podobny do naszego świata.

Isaac Asimov

Druga rewolucja

Dziś — właśnie w dniu, gdy piszę te słowa — odebrałem telefon z redakcji *The New York Times*. Przyjęli artykuł, który im przysłałem trzy dni temu. Temat: kolonizacja Księżyca.

I zadzwonili z *podziękowaniem!*

Wielkie nieba, ależ czasy się zmieniły!

Trzydzieści lat temu, kiedy zacząłem pisać science fiction (byłem wtedy bardzo młody), kolonizacja Księżyca była tematem wyłącznie dla tanich czasopism z krzykliwymi okładkami. To była literatura typu „tylko nie mów, że wierzysz w te wszystkie bzdury”. To była literatura „przestań nabijać sobie głowę tymi śmieciami”. A przede wszystkim, to była literatura eskapistyczna!

Czasem myślę o tym z niedowierzaniem. Science fiction jako literatura eskapistyczna. My *naprawdę* uciekaliśmy. Odsuwaliśmy od siebie takie problemy praktyczne, jak baseball, zadania domowe, boks, by zagłębić się w Nibylandii eksplozji demograficznej, statków kosmicznych, eksploracji Księżyca, bomb atomowych, choroby popromiennej i zanieczyszczonej atmosfery.

Czyż to nie było cudowne? Czyż to nie wspaniałe, że młodzi eskapiści otrzymali wreszcie swoją nagrodę? Za te wszystkie wielkie, trudne do rozwiązania, beznadziejne problemy, którymi zamartwialiśmy się dwadzieścia lat zanim zajął się nimi ktoś inny. Czy to nie ucieczka?

Teraz można kolonizować Księżyc na dobrych, szarych łamach *The New York Times*; i nie jest to już utwór science fiction, ale trzeźwa analiza realistycznej sytuacji.

Świadczy to o wielkiej zmianie, która ma bezpośredni związek z książką, którą trzymacie w rękach. Pozwólcie, że wyjaśnię.

Zostałem pisarzem science fiction w roku 1938, w czasach, gdy John W. Campbell rewolucjonizował tę dziedzinę wprowadzając prosty wymóg: pisarze science fiction mają trwać dzielnie na pograniczu nauki i literatury.

Science fiction sprzed epoki Campbella zbyt często mieściła się w jednej z dwóch kategorii. Były to utwory albo zupełnie nie naukowe, albo całkowicie naukowe. Utwory nie naukowe były to opowieści przygodowe, w których często pojawiające się słowa z westernowego żargonu usunięto i zastąpiono słowami z żargonu kosmicznego. Pisarz mógł nie mieć zielonego pojęcia o nauce, wystarczyło, że dysponował słownictwem z technicznego żargonu, które umieszczał losowo w utworze.

Opowiadania całkowicie naukowe, z drugiej strony, były zaludnione wyłącznie karykaturami naukowców. Niektórzy z nich byli szalonymi naukowcami, inni — roztargnionymi, jeszcze inni — szlachetnymi. Ich jedyną cechą wspólną był pociąg do szczegółowego objaśniania własnych teorii. Szaleńcy wykrzykiwali je, roztargnieni mamrotali, szlachetni deklamowali, ale wszyscy wygłaszali nieznośnie długie wykłady. Sama opowieść była spoiwem cienko rozsmarowanym na długich monologach, a jej celem było dawanie złudzenia, że te długie monologi mają jakiś sens.

Na pewno były wyjątki. Pozwólcie, że wymienię na przykład „Odyseję marsjańską” Stanleya G. Weinbauma (który zmarł przedwcześnie na raka w wieku trzydziestu sześciu lat). Opowiadanie to

pojawiło się w 1934r. w lipcowym wydaniu *Wonder Stories* — doskonałe opowiadanie w stylu Campbella, cztery lata przed rozpoczęciem przez niego rewolucji w SF.

Zasługa Campbella polegała na tym, że uparł się by z wyjątku uczynić regułą. Miała tam być prawdziwa nauka i prawdziwa opowieść, i żadna z nich nie miała dominować. Nie zawsze udawało mu się dostać co chciał, ale zdarzało się to wystarczająco często, by zapoczątkować coś, co starzy weterani nazywają Złotym Wiekiem Science Fiction.

Niewątpliwie każda generacja ma swój Złoty Wiek — tak się jednak złożyło, że należę do Złotego Wieku Campbella, kiedy więc mówię „Złoty Wiek”, mam na myśli akurat ten. Na szczęście udało mi się wkroczyć do tej dziedziny akurat na czas, by moje opowiadania na swój sposób (i był to dobry sposób, do licha z fałszywą skromnością) miały swój udział w tym Złotym Wieku.

Każdy Złoty Wiek niesie jednak w sobie załączek własnego upadku, a kiedy już się zakończy, można dokonać retrospekcji i nieomylnie wskazać te załączki. (Cudowna, cudowna retrospekcja! Jakże słodkie dla prorocstwa jest coś, co się już wydarzyło. Pomyłki są niemożliwe!)

W tym wypadku postulat Campbella domagający się zarówno prawdziwej opowieści, jak i prawdziwej nauki, sprowokował podwójny zły los: jeden dla prawdziwej nauki, drugi dla prawdziwych opowieści.

Z *prawdziwą* nauką, opowieści musiały brzmieć coraz bardziej wiarygodnie i rzeczywiście tak się stało. Walcząc o realizm autorzy opisywali komputery, rakiety i broń nuklearną, które bardzo przypominały komputery, rakiety i broń nuklearną, jakie pojawiły się już w następnej dekadzie. Wskutek tego prawdziwe życie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych bardzo przypomina Campbellowską fikcję lat czterdziestych.

Tak, pisarze science fiction lat czterdziestych wymyślili wszystko, co mamy dziś w prawdziwym życiu. My, pisarze, nie tylko rwaliśmy się do lotu na Księżyc czy wysyłaliśmy bezzałogowe statki na Marsa; przemierzaliśmy Galaktykę w naszych statkach szybszych od światła. Mimo to wszystkie nasze kosmiczne przygody opierały się na tym samym sposobie myślenia, który dziś króluje w NASA.

Ponieważ dzisiejsza rzeczywistość tak bardzo przypomina przedwczorajsze fantazje, starzy fani się niepokoją. Gdzieś w głębi duszy, bez względu na to, czy się do tego przyznają czy nie, czują się rozczarowani, a nawet wściekli, że oto świat zewnętrzny dokonał inwazji na ich prywatny teren. Cierpią z powodu utraty „doświadczenia cudu”, gdyż rzeczy należące niegdyś do sfery cudów są dziś prozaiczne i trywialne.

Co więcej, nadzieje, że science fiction epoki Campbella nakręci spiralę czytelnictwa i zwiększy szacunek do gatunku, nie zostały spełnione. W istocie objawił się dość nieprzewidziany skutek. Nowe pokolenie potencjalnych odbiorców science fiction znalazło całą fantastykę, która była mu potrzebna, w gazetach i czasopismach głównego nurtu i wielu z nich nie odczuwało już pilnej potrzeby sięgania po wyspecjalizowane czasopisma fantastyczne.

Tak się zatem stało, że po krótkotrwałym entuzjazmie w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych, kiedy wszystkie największe marzenia wydawały się ziszczać dla pisarzy i wydawców z dziedziny science fiction, nastąpiła recesja i nagle czasopisma nie cieszyły się większym powodzeniem niż w latach czterdziestych. Recesji tej nie powstrzymało nawet wystrzelenie Sputnika — raczej ją przyspieszyło.

I to tyle o złym losie sprowadzonym przez prawdziwą nauką. A prawdziwa opowieść?

Dopóki fantastyka była medium na drewnianych nogach, jak w latach dwudziestych i trzydziestych, dobre pisarstwo nie było konieczne. Pisarze fantastyczni tych czasów byli bezpiecznym, solidnym źródłem tekstów — dopóki żyli, pisali fantastykę, gdyż wszystko inne wymagało lepszej techniki pisarskiej i było poza ich zasięgiem. (Śpieszę donieść, że zdarzały się

wyjątki i natychmiast przychodzi mi do głowy Murray Leinster.)

Autorzy wychowani przez Campbella musieli jednak pisać wystarczająco dobrze, w przeciwnym razie Campbell! odrzucał ich teksty. Pod naciskiem własnego zapału zaczynali pisać coraz lepiej. W końcu, co nieuniknione, odkryli, że pisać wystarczająco dobrze by zarabiać pieniądze gdzie indziej i strumyczek fantastyki zaczął wysychać.

Dwa przekleństwa Złotego Wieku w pewnym stopniu działały równolegle. Znaczna liczba autorów Złotego Wieku zrealizowała postulat science fiction odbywając podróż od fikcji do faktu. Tacy autorzy, jak Poul Anderson, Arthur C. Clarke, Lester del Rey i Clifford D. Simak zabrali się za pisanie o naukowych faktach.

Tak naprawdę to nie *oni* się zmienili; zmieniło się medium. Tematy, którymi kiedyś zajmowali się w literaturze (loty raketowe, podróże kosmiczne, życie na innych planetach, itp.) przeskoczyły od fikcji do faktu, a autorzy podążyli za nimi. Oczywiście każda strona napisana przez tych autorów oznaczała o jedną stronę fantastyki mniej.

Obawiam się, że jakiś lepiej zorientowany czytelnik zacznie w tym miejscu mrużyć pod nosem wydając z siebie sarkastyczne komentarze, więc lepiej od razu przyznam, całkowicie szczerze, że z całej załogi Campbella ja przeszedłem tę przemianę w sposób najbardziej drastyczny. Od chwili, gdy wystartował Sputnik, a poglądy Amerykanów na naukę (przynajmniej chwilowo) przeszły całkowitą rewolucję, opublikowałem do dziś pięćdziesiąt osiem książek, z których tylko dziewięć można uznać za beletrystykę.

Muszę też przyznać, że jestem zakłopotany, zawstydzony i targany poczuciem winy, gdyż bez względu na to, gdzie jestem i co robię, zawsze uważam się *przede wszystkim* za pisarza science fiction. Jeśli jednak *The New York Times* prosi mnie o skolonizowanie Księżyca albo *The Harper's Magazine* zamawia u mnie zbadanie granic Wszechświata, jakże mógłbym odmówić? Te problemy są teraz sednem mojej pracy.

Ale niech wolno mi będzie dodać we własnej obronie, że nie całkiem porzuciłem fantastykę w ścisłym tego słowa znaczeniu. Marcowe wydanie *Worlds of If* z roku 1967 (właśnie dostępne na stoiskach z prasą, gdy piszę te słowa) zawiera moją nowelę zatytułowaną „Billiard Bali”.

Ale przestańmy już mówić o mnie, wróćmy do samej fantastyki.

Jaka była reakcja science fiction na podwójne zagrożenie? Oczywiście gatunek musiał się jakoś dostosować i tak się też stało. Klasyczne teksty w stylu Campbella nadal powstawały, ale nie tworzyły już kośćca gatunku. Rzeczywistość podkradła się za blisko.

I znów na początku lat sześćdziesiątych nastąpiła fantastyczna rewolucja, której znakiem stał się magazyn *Galaxy* pod przywództwem swego redaktora naczelnego, Frederika Pohla. Nauka wycofała się, a na czoło wysunęła się nowoczesna technika literacka.

Akcent uległ znacznemu przesunięciu w stronę stylu. Kiedy Campbell rozpoczynał swoją rewolucję, nowi pisarze wkraczali na tereny gatunku w aurze akademickości, nauki i inżynierii, suwaka logarytmicznego i próbówki. Teraz nowi autorzy nosili piętno poety i artysty, krocząc w aurze Greenwich Włage i lewego brzegu Sekwany.

Jest rzeczą naturalną, że żaden kataklizm ewolucyjny nie przebiega bez szerokiego wymierania gatunków. Zamęt, który zakończył okres kredowy, zmiotł z powierzchni ziemi dinozaury, zaś koniec epoki kina niemego wyeliminował całą horde głupio gestykulujących hochsztaplerów.

To samo stało się z rewolucjami w fantastyce.

Przejrzyjcie listę autorów w dowolnym magazynie fantastycznym z lat trzydziestych, potem sięgnijcie po magazyn z początku lat czterdziestych. Następuje prawie całkowita zmiana warty, jakby miało miejsce jakieś wielkie wymieranie i przeżyli tylko nieliczni. (Wśród tych nielicznych mogę

wymienić Edmonda Hamiltona i Jacka Williamsona.)

Zmiana na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych była niewielka. Piętno Campbella było nadal widoczne, co dowodzi, że upływ zaledwie dziesięciu lat nie ma większego znaczenia.

Porównajmy teraz autorów z magazynu z początku lat pięćdziesiątych ze współczesnym czasopiśmem. Nastąpiła kolejna zmiana warty. Znow kilka pisarzy przetrwało, ale na gatunkowi zafundowano zastrzyk świeżej krwi w postaci całej nowej szkoły autorów.

Druga Rewolucja nie jest totalna ani tak oczywista jak pierwsza. Jedyna rzecz, jaką można zaobserwować, a która nie była obecna w tamtych czasach, to pojawienie się antologii science fiction, a istnienie antologii powoduje, że zmiany stają się mniej widoczne.

Co roku publikuje się znaczną liczbę antologii i zawsze zawierają one opowiadania z przeszłości. Antologie z lat sześćdziesiątych zawierają na przykład pokaźną dawkę opowiadań z lat czterdziestych i pięćdziesiątych, więc w tych antologiach Druga Rewolucja jeszcze nie miała miejsca.

Taka też jest przyczyna powstania antologii, którą trzymacie w rękach. Nie składa się ona z opowiadań z przeszłości. Zawiera natomiast opowiadania napisane *teraz*, pod wpływem Drugiej Rewolucji. Intencją Harlana Ellisona było stworzenie antologii przedstawiającej gatunek takim, jakim jest on obecnie, a nie jaki był kiedyś.

Spoglądając na spis treści znajdziecie szereg autorów, którzy mieli znaczący wkład w Złoty Wiek Campbella — Lester del Rey, Poul Anderson, Theodore Sturgeon, i tak dalej. Są to pisarze, którzy okazali się na tyle utalentowani i obdarzeni bujną wyobraźnią, że przetrwali Drugą Rewolucję. Znajdziecie również autorów będących produktem lat sześćdziesiątych, znających tylko nową erę. Wśród nich są Larry Niven, Norman Spinrad, Roger Żelazny i tak dalej.

Próżno byłoby oczekiwać, że nowi autorzy spotkają się z powszechną aprobatą. Ci, którzy pamiętają stare czasy, a których pamięć ciągle sięga do lat ich własnej młodości, oczywiście będą oplakiwać przeszłość.

Nie będę ukrywał, że *ja* też oplakuję przeszłość. (Dano mi pełną swobodę w kwestii tego, co chcę powiedzieć, więc mam zamiar być szczery.) Jestem produktem Pierwszej Rewolucji i zawsze będzie mieć ona miejsce w moim sercu.

Dlatego właśnie odmówiłem, kiedy Harlan poprosił mnie o napisanie opowiadania do tej antologii. Miałem wrażenie, że takie opowiadanie byłoby fałszywą nutą. Byłoby zbyt trzeźwe, zbyt szacowne oraz — brutalnie mówiąc — cholernie staroświeckie. Zgodziłem się zamiast tego na napisanie przedmowy — trzeźwej, szacownej i zdecydowanie staroświeckiej przedmowy.

Zapraszam teraz wszystkich, którzy nie są staroświeccy i którzy uważają Drugą Rewolucję za *swoją* rewolucję, do zapoznania się z przykładami nowej fantastyki tworzonej przez nowych (i kilku starych) mistrzów. Znajdziecie tu gatunek w jego najśmielszym i najbardziej eksperymentalnym wydaniu; życzę wam, by utwory te was odpowiednio inspirowały i stymulowały!

Isaac Asimov
Luty 1967

Isaac Asimov

Harlan i ja

Ta książka to Harlan Ellison. Jest przesiąknięta Ellisonem i nasycona Ellisonem. Przyznaję, że do jej powstania przyczyniło się trzydziestu dwóch innych autorów (w tym ja sam), ale wstęp Harlana i trzydzieści dwie napisane przez niego przedmowy tworzą ramy dla opowiadań, otaczają je i nasycają bogatym aromatem jego osobowości.

Wypada więc, żebym opowiedział, jak poznałem Harlana.

Historia miała miejsce podczas Światowej Konwencji Science Fiction, trochę ponad dziesięć lat temu. Właśnie przyjechałem do hotelu i od razu ruszyłem do baru. Nie piję, ale wiedziałem, że wszyscy siedzą w barze. Rzeczywiście tam byli, więc wykrzyczałem jakieś powitanie, a wszyscy obecni odkrzyknęli.

Wśród nich siedział młodzian, którego nigdy dotąd nie widziałem: mały facecik o ostrych rysach i najbardziej żywych oczach, jakie kiedykolwiek ujrzałem. Te żywe oczy zatrzymały się na mnie z wyrazem uwielbienia.

— Przepraszam, czy pan Isaac Asimov? — odezwał się. W jego głosie rozbrzmiewała bojaźń, zachwyt i zdumienie.

Poczułem się mile połączony, ale zmusiłem się do skromnej reakcji.

— Tak, to ja — odparłem.

— Nie żartuje pan? *Naprawdę* pan to Isaac Asimov? — Nie wynaleziono jeszcze słów, które byłyby w stanie opisać oddanie i cześć, z jaką jego język pieścił sylaby mojego nazwiska.

Poczułem się tak, jakbym miał zaraz położyć dłoń na jego głowie i pobłogosławić go, ale opanowałem się. — Tak, to ja — powtórzyłem i w tej chwili mój uśmiech przybrał wyraz tak głupkowaty, że na sam widok można było dostać mdłości. — To *naprawdę* ja.

— Cóż, sądzę, że jest pan... — zaczął tym samym tonem i zamilkł na ułamek sekundy, zaś ja nasłuchiwałem, a publiczność wstrzymała oddech. W jednej chwili twarz młodziana przybrała wyraz absolutnego potępienia, po czym dokończył zdanie z doskonałą obojętnością: — kompletnym zerem!

Skutek dla mnie był taki, jakbym spadł w przepaść, której dotąd nie zauważyłem i wylądował na plecach. Byłem w stanie tylko głupio mrugać, a wszyscy obecni ryknęli śmiechem.

Młodzian ten nazywał się Harlan Ellison, nie znałem go wcześniej i nie miałem pojęcia o jego absolutnym braku szacunku dla jakichkolwiek autorytetów. Wszyscy inni, którzy tam byli, znali go i tylko czekali, jak zada mnie niewinnemu cios w serce — tak się też stało.

Zanim odzyskałem jakąś taką równowagę psychiczną, było już za późno na kontrę. Mogłem tylko brnąć dalej, kulejąc i krwawiąc oraz skarżąc się, że zaatakowano mnie, kiedy absolutnie się tego nie spodziewałem i nikt z obecnych w barze nie miał dość odwagi, żeby mnie ostrzec, ale wtedy ominęłaby go frajda patrzenia, jak obrywam za swoje.

Na szczęście wierzę w przebaczenie i postanowiłem, że wybaczę Harlanowi — oczywiście, gdy już odpłaciłem mu z nawiązką.

Teraz musicie zrozumieć, że Harlan jest gigantem wśród ludzi pod względem odwagi,

waleczności, wymowy, dowcipu, czaru, inteligencji — pod każdym względem, oprócz wzrostu.

Rzeczywiście nie jest zbyt wysoki. W istocie, nie owijając w bawełnę, jest dość niski — niższy nawet od Napoleona. Jak odpowiedział mi instynkt, kiedy usiłowałem ratować się z katastrofy, ten młody człowiek, którego właśnie mi przedstawiono jako znanego fana, Harlana Ellisona, był nieco wrażliwy na tym punkcie. Postarałem się ten fakt zapamiętać.

Następnego dnia konwentu stałem na scenie, przedstawiając ważne osobistości i kierując przy tym do nich słowa braterskiej miłości. Nie spuszczałem oka z Harlana — zresztą siedział na samym przedzie (a niby gdzie miałyby siedzieć?).

Kiedy tylko jego czujność na chwilę osłabła, nagle go zawołałem. Wstał, nieco zaskoczony i całkowicie nieprzygotowany, zaś ja pochyliłem się i rzekłem, tak słodko, jak tylko umiałem:

— Harlanie, może stań na tym gościu obok ciebie, żeby ludzie mogli cię zobaczyć.

Kiedy publiczność (tym razem znacznie liczniejsza) złośliwie rechotała, wybaczyłem Harlanowi i od tego czasu jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.*

Isaac Asimov

Luty 1967

* *NIEUPRZEJMA NOTA OD REDAKTORA: Choć jestem w pełni świadom, że młodemu człowiekowi nie przystoi nie zgadzać się publicznie ze starszymi, moje bezgraniczne uwielbienie i niegasnące uczucie przyjaźni, jakie żywię do Dobrego Doktora Asimova, skłaniają mnie do dodania niniejszej noty do jego drugiej przedmowy — wyłącznie dla dobra historycznego przekazu, w którego rzetelność był tak zaangażowany — za mojego życia przynajmniej dwukrotnie. We wspomnianym wyżej komentarzu, o wygłoszenie jakiegoś w obecności doktora Asimova jestem oskarżany, jest pewien niesmaczny ton. Wyraz potępienia absolutnie wówczas nie miał miejsca, ani też wcześniej czy później. Każdy, kto odezwałby się do Asimova lub o Asimovie z potępieniem, sam zasługuje na najgłębsze potępienie. Moje wspomnienia na temat tego incydentu są jednak nieco świeższe. (Tylko skończony cham napomknąłby w tym miejscu o zawodnej pamięci i mączącej obraz rzeczywistości nostalgii naszych niemłodych już weteranów gatunku.) Nie powiedziałem „Jest pan... kompletnym zerem!”, tylko „Nie jest pan nie wiadomo kim”. Zapewniam Państwa, że różnica jest subtelna: byłem wtedy nastoletnim szcylem i po przeczytaniu tych wszystkich powieści na skalę galaktyczną, w których występowali ludzie o cechach herosów spodziewałem się ujrzeć żywy komputer, potężnie umięśniony, coś jak Conan z talentem Lije Bailey'a. Zamiast tego zobaczyłem absolutnie cudownego, pełnego wigoru, o posturze „Skowronka”, Żyda o akcencie Mela Brooksa i w muszce a la Wally Cox. Nigdy nie doznałem rozczarowania z powodu opowiadań Asimova, ani też Asimova jako człowieka. Jednakże podczas tego pierwszego spotkania moje marzenia rozminęły się z rzeczywistością, a uwaga ta była bardziej odruchowa niż celowo złośliwa. Tak się składa, że Napoleon mierzył sobie 157 cm wzrostu. Ja zaś 165. Wówczas po raz pierwszy doktor Asimov popełnił błąd. Mam nadzieję, że jakoś to przeżyje — jak ja żyję z moim wzrostem.*

Harlan Ellison

Harlan Ellison

Trzydziestu dwóch wróżbitów

Książka, którą właśnie trzymacie w rękach, to coś więcej niż zwykły zbiór opowiadań. Jeśli nam się udało — jest to rewolucja.

Książka ta, całe ćwierć miliona słów, jakie się na nią składają, największa antologia literatury spekulatywnej, jaką dotąd opublikowano, składająca się wyłącznie z oryginalnych opowiadań, a najprawdopodobniej jedna z największych w ogóle, została skonstruowana zgodnie ze specyficznymi wytycznymi rewolucji. Jej celem było wywołanie wstrząsu. Powstała z potrzeby przedstawienia nowych horyzontów, nowych form, nowych stylów, nowych wyzwań literatury naszych czasów. A jeśli nawet nie, jest to piekielnie dobra książka z ciekawymi opowiadaniem.

Istnieje pewna grupa krytyków, recenzentów i czytelników, którzy uważają, że „sama rozrywka” nie wystarczy, że opowieść musi mieć jakiś rdzeń i substancję, dalekosiężne przesłanie albo superobecność super–nauki. Choć w ich postulatach jest pewna słuszność, zbyt często stawiały się one uzasadnieniem istnienia literatury, moralizatorskiego trucia. Choć nie możemy już sugerować, że baśnie są najbardziej podniosłym gatunkiem, do którego powinna aspirować cała współczesna literatura, a teoria nie powinna przytłaczać fabuły w stopniu większym niż dzieje się to w głównym nurcie, to byliśmy skłonni optować raczej za tą pierwszą możliwością niż za drugą, nawet gdyby przykuto nas łańcuchami, z groźbą wbijania pędów bambusa pod paznokcie.

Na szczęście, wydaje mi się, że ta książka trafia dokładnie w sam środek. Każde opowiadanie jest nieomal natrętnie rozrywkowe. Każde jednak wypełniają idee. Nie tylko wielokrotnie zmielone idee, o których czytaliście już tysiące razy, ale również idee świeże i śmiałe; na swój sposób niebezpieczne wizje.

O co chodzi w tym całym gadaniu o rozrywce kontra idee? W sporawym wstępie do jeszcze większej książki? Dlaczego nie można po prostu pozwolić, żeby opowiadania przemówiły własnym głosem? Dlatego, że jest to zbiór kaczątek, które na waszych oczach zmieniają się w łabędzie. Są tu opowiadania tak rozrywkowe, że wydaje się wręcz niepojęte, by impulsem do ich napisania była pogoń za ideami. Tak jednak było i kiedy ze zdumieniem będziecie przyglądać się przemianie rozrywkowych kaczątek w łabędzie idei, zostaniecie zaproszeni do złożonej z trzydziestu trzech opowiadań demonstracji „rzeczy nowej” — *nouvelle vague*, lub — jak wolicie — literatury spekulatywnej.

I to, drodzy czytelnicy, właśnie jest rewolucja.

Niektórzy twierdzą, że fantastyka zaczęła się od Lukiana z Samosaty czy Ezopa. Sprague de Camp, w swojej doskonałej książce *Science Fiction Handbook* (Hermitage House, 1953), proponuje Lukiana, Wergiliusza, Homera, Heliodora, Apulejusza, Arystofanesa, Tukidydesa i określa Platona jako „drugiego greckiego ojca science fiction”. Graff Conklin, w *The Best of Science Fiction* (Crown, 1946), sugeruje, że pochodzenie historyczne może zostać wyśledzone bez trudu w *Podróżach Guliwera* dziekana Swifta*, w „The Great War Syndicate” Franka R. Stocktona, w „The

Moon Hoax”* — Richarda Adamsa Locke’a, w „Looking Backward” Edwarda Bellamy’ego, w utworach Verne’a, Arthura Conan Doyle’a, H.G. Wellsa i Edgara Allana Poe. W klasycznej antologii *Adventures in Time and Space* (Random House, 1946), Heaky i McComas optują za wielkim astronomem Johannesem Keplerem. Moim własnym podstawowym wkładem w fantastykę jest wyrażenie opinii, że podstawą dla całej literatury spekulatywnej jest Biblia. (Przerwijmy na mikrosekundę czytanie i wygłośmy modlitwę dziękczynną za to, że Bóg nie przyłożył mi za to gromem w śledzionę.)

Zanim jednak zostanę oskarżony o próbę odbierania rozgłosu uznanym historykom fantastyki, chciałbym zapewnić, że celem niniejszej prezentacji korzeni jest wyłącznie wykazanie, że odrobiłem zadanie domowe, mam więc pełne prawo do wygłaszania impertynenckich uwag, jakie znajdują się poniżej.

Współczesna fantastyka *tak naprawdę* narodziła się wraz z klasycznym animowanym filmem Walta Disneya *Steamboat Willie* w 1928. Bez wątpienia. Bo czy mysz potrafi sterować parowcem z kołem łopatkowym?

Jest to równie uzasadnione, jak umieszczanie punktu wyjścia w utworach Lukiana, bo gdybyśmy już chcieli czepiać się szczegółów, to fantastyka zaczęła się w epoce człowieka z Cro-Magnon, który wyobrażał sobie, co takiego posapuje w ciemnościach poza kręgiem światła rzucanego z jego ogniska. Jeśli wyobrażał sobie stworzenie z dziewięcioma głowami, owadzimi oczami, ziejące ogniem z pyska, z trampkami na nogach i w kraciastej kamizelce, to tworzył fantastykę. Jeśli wyobrażał sobie górskiego lwa, oznacza to tylko, że był dobrze poinformowany i wtedy się nie liczy. A poza tym był to kawał tchórza.

Nikt o zdrowych nie zmysłach nie zaprzeczy, że najbardziej oczywistym przodkiem tego, w tym tomie nazywamy fantastyką czy literaturą spekulatywną, było *Amazing Stories* Gernsbacka w 1926. Jeśli mamy to zaakceptować, złożmy również ukłon w kierunku Edgara Rice’a Burroughsa, E.E. Smitha, H.P. Lovecrafta, Eda Earla Reppa, Ralpa Milne’a Farleya, kapitana S.P. Meeka (w stanie spoczynku) i całemu temu towarzystwu. Oraz oczywiście Johnowi W. Campbellowi, Jr, który kiedyś prowadził czasopismo publikujące science fiction, zatytułowane *Astounding*, a teraz jest redaktorem czasopisma publikującego mnóstwo rysunków technicznych, zatytułowanego *Analog*. Pan Campbell jest zasadniczo uważany za „czwartego ojca współczesnej science fiction” czy jakoś tak, ponieważ to on zasugerował, żeby pisarze spróbowali wsadzić do tych maszyn jakichś bohaterów. Dzięki czemu dokonujemy przeskoku w lata czterdzieste, do opowiadań z gadżetami.

Nadal jednak nie mówi nam to wiele o latach sześćdziesiątych.

Po Campbellu nastali Horace Gold i Tony Boucher oraz Mick McComas, którzy dali się poznać jako pionierzy radykalnego poglądu, głoszącego, że science fiction powinna być oceniana według takich samych ostrych standardów, jak inne gatunki literackie. Był to solidny wstrząs dla wielu biedaczysk, którzy dotąd pisali i sprzedawali utwory w tej dziedzinie. *Oznaczało* to, że muszą się nauczyć dobrze pisać, a błyskotliwe pomysły już nie wystarczą.

Dzięki takim początkom wkraczamy w roztańczone lata sześćdziesiąte, brnąc po kolana w kiepskich opowiadaniach. Wtedy jeszcze nie zaczęły tańczyć. Ale rewolucja stała u bram. Słuchajcie uważnie.

Przez jakieś dwadzieścia lat zagorzały fan literatury spekulatywnej walił się w pierś i jęczał, że literatura głównego nurtu nie dostrzega obdarzonego wyobraźnią pisarstwa. Lamentował nad faktem, że takie książki, jak *1984*, *Nowy wspaniały świat*, *Przedpiekle* i *Ostatni brzeg* cieszą się uznaniem krytyków, ale nigdy nie zostały opatrzone etykietką „science fiction”. Dowodził, że automatycznie wykluczano ich przynależność do tego gatunku w oparciu o prymitywną teorię głoszącą, że „To

przecież *dobre* książki, *nie mogą* być tymi fantastycznymi bzdurami.” Chwytał się za każde dzieło z pogranicza, choćby nie wiem jak katastrofalne (np. „The Lomokome Papers” Hermana Wouka, *Hymn* Ayn Rand, *White Lotus* Johna Richarda Herseya czy *Planeta małp* Boule’a), tylko po to, żeby dodać sobie odwagi i umocnić swój argument, że główny nurt podkrada gatunkowi pomysły, a wieloletni wysiłek na niwie fantastycznej zaowocował wielkim bogactwem do podziału.

Ów fanatyczny wielbiciel jest już niemodny. To się nosiło dwadzieścia lat temu. Nadal dalej się słyszy paranoiczną paplaninę w tle, ale dziś jest to bardziej skamielina niż licząca się siła. Główny nurt odnalazł literaturę spekulatywną, zrobił z niej dobry użytek i teraz trwa proces jej asymilacji. Wśród najśłynniejszych powieści spekulatywnych (i to wymieniając tylko te ostatnie) można wymienić *Mechaniczną pomarańczę* Burgessa, *Niech pana Bóg błogosławi, panie Rosewater* i *Kocią kołyskę* Vonneguta, *The Child Buyer* Hersheya, *Only Lovers Left Alive* Wallisa i *Zwierzęta niezwieryta* Vercorsa, wykorzystujących wiele narzędzi naostrzonych przez pisarzy science fiction w gettowych warsztatach ich wstecznego gatunku. Żadne wydanie większego magazynu na błyszczącym papierze nie obejdzie się bez jakiegoś ukłonu w stronę literatury spekulatywnej, czy to przez odwołanie się do tego, że kiedyś udało mu się przewidzieć jakąś dziś powszechnie spotykaną naukową ciekawostkę, czy też otwarciem nadskakując gatunkowi poprzez zamieszczanie dzieł jego czołowych przedstawicieli między różnymi Johnami Cheeverami, Johnami Updike’ami, Bernardami Malamudami czy Saulami Bellowami.

Już tu jesteśmy — tego wniosku nie sposób uniknąć.

A jednak ten głośny fan i całe mnóstwo pisarzy, krytyków oraz wydawców, u których przez te wszystkie lata poczucia zamknięcia w getcie wykształciło się widzenie tunelowe, trwają w swoim przedpotopowym lamencie, kurczowo łapiąc się wszystkiego, nad czym tylko mogą się poużalać i popłakać. Charles Fort określał coś takiego jako „epoka silnika parowego”. Kiedy nadszedł czas na wynalezienie silnika parowego, nawet gdyby nie wynalazł go James Watt, zrobiłby to kto inny.

Jest to „epoka silnika parowego” dla twórców literatury spekulatywnej. Milenium jest do naszej dyspozycji. To *my* się dziejemy.

Większość tych stojących pod ścianą płaczu wielbicieli literatury fantastycznej w gruncie rzeczy jej nienawidzi. Ponieważ oto nagle nawet kierowca autobusu, technik dentystyczny i męt z plaży oraz chłopiec przynoszący torby z zakupami czytającego opowiadania; co gorsza ci wszyscy spóźnialscy nie wykazują właściwej czci dla Starych Mistrzów Gatunku, mogą wcale nie uważać, że opowiadania z cyklu „Skylark” są błyskotliwe, dojrzałe i kuszące; że mogą nie przejmować się mylącą terminologią, która została zaakceptowana w SF od trzydziestu lat, że mogą chcieć rozumieć, co się dzieje; mogą też nie mieć ochoty na ustawienie się w jednym rzędzie ze starym porządkiem. Mogą przedkładać *Star Trek* i Kubricka nad Barsoom i Raya Cummingsa.

Jeszcze bardziej haniebne jest jednak wkroczenie na scenę pisarzy, którzy dawnego porządku zaakceptować nie chcą. Cwane gnojki, które pisują „całą tę literaturę”, które biorą wiekowe i zaakceptowane idee spekulatywnej areny i stawiają je na głowie. Ci goście to bluźniercy. Bóg ześle piorun i walnie ich prosto w śledzionę.

A mimo to literatura spekulatywna (zauważyliście, jak często unikam mylącego określenia „science fiction”, łapiecie, o co mi chodzi, przyjaciele, nie?? kupiliście jedną z tych antologii e–s–e–f i nawet o tym nie wiedzieliście! Ale się przerobiliście, nie? Teraz możecie się trochę powłóczyć i podkształcić) jest najbardziej żyzną glebą, na której mogą wyrastać talenty pisarskie, bez granic, z horyzontami, które nigdy się nie zbliżają. I wszystkie te cwane gnojki wyskakują nie wiadomo skąd, z zapałem wygryzając starą gwardię z ciepłych posadek. Panie w niebiesiech! Ależ upadły potęgi: większość „wielkich nazwisk” gatunku, które dominowały na okładkach i w samych czasopiśmiech

dłużej niż im się należało, teraz nie potrafią już niczego stworzyć. Albo przerzucili się na inne dziedziny. Oddając pole nowym, bardziej błyskotliwym oraz tym, którzy kiedyś byli nowi i błyskotliwi, ale ich nie zauważono, bo nie byli „wielkimi nazwiskami”.

Jednak mimo świeżego zainteresowania spekulatywna fikcją obserwowanego w głównym nurcie, mimo rozwiniętych i różnorodnych stylów nowych pisarzy, mimo potworności i ekspansji tematów dostępnych tym pisarzom, mimo ostentacyjnie kwitnącego, zdrowego rynku... zauważa się jakąś ograniczającą ciasnotę wielu redaktorów z tej dziedziny. Ponieważ wielu z nich było kiedyś po prostu fanami, zachowali więc swoje wyspecjalizowane uprzedzenia do SF ich młodości. Kolejni pisarze odkrywają, że ich dzieła zostały wstępnie ocenzone jeszcze przed ich napisaniem, bo wiedzą, że dany wydawca nie dopuszcza dyskusji politycznych w swoich książkach, inny znów wzdryga się przed eksplorowaniem seksu w przyszłości, a ten tu, w listwie przypodłogowej, płaci tylko czerwoną fasolą i ryżem, więc po cóż dręczyć szare komórki jakimiś śmiałymi koncepcjami, skoro ta pluskwa kupi tylko starą tandetę w stylu „świrus w maszynie czasu”.

Coś takiego określa się jako tabu. I w obrębie gatunku nie ma ani jednego redaktora, który pod groźbą chińskiej tortury oświadczyłby, że żadnych uprzedzeń nie posiada, a nawet regularnie spryskuje biuro środkiem owadobójczym, żeby się upewnić, że w archiwum nie zagnieździło się żadne tabu. Ogłaszali to w prasie, ogłaszali to drukiem, ale choćby w tej książce znajdzie się z tuzin pisarzy, którzy po lekkim nagabywaniu opowiedzą historie o horrorach i cenzurze, których bohaterami będą wszyscy aktywni na tym polu redaktorzy, nawet ten siedzący pod listwą przypodłogową.

A przecież w tym gatunku tkwią prawdziwe wyzwania; publikuje się naprawdę kontrowersyjne, otwierające oczy utwory; jest jednak tyle innych, które uprawiają żebranię.

I nikt jak dotąd nie powiedział żadnemu pisarzowi uprawiającemu literaturę spekulatywną: „Wyciągnij wszystkie zatyczki, obal bariery, po prostu powiedz co myślisz!” Aż powstała ta książka.

Nie patrzcie teraz, stoicie na linii ognia wielkiej rewolucji.

W 1961 wasz redaktor...

...czekajcie chwilę. Właśnie przyszło mi do głowy coś lepszego. Pewnie już zauważyliście brak powagi i dystansu u mojego redaktorskiego Ja. Jest on skutkiem nie tyle mojego młodzieńczego entuzjazmu — choć są całe legiony ludzi, którzy przez ostatnie siedemnaście lat byli gotowi przysiąc, że mam czternaście lat — ale z przejawianej przez to Ja niechęci do stawienia czoła brutalnej rzeczywistości, że oto owe Ja, będące w całości pisarzem, porzuciło malutką część swojego autorskiego ducha, by stać się Redaktorem. Zastanawia mnie — jako coś dziwnego — że ze wszystkich mądrali gatunku, ze wszystkich ludzi, którzy są o wiele lepiej niż ja predestynowani do stworzenia książki tak ważnej, za jaką chciałbym uważać niniejszą Publikację, spadło to akurat na mnie. Po chwili zastanowienia dochodzę jednak do wniosku, że to coś nieuniknionego; nie tyle z powodu mojego talentu, co poczucia misji i zawziętej determinacji, że należy to zrobić. Gdybym na początku wiedział, że poskładanie tej książki zajmie mi dwa lata i będzie się wiązało z niemałym cierpieniem i kosztami — i tak bym to zrobił.

Zatem w zamian za wszystkie smakołyki, jakie tu znajdziecie, będziecie musieli znosić wstawki redaktora, który jest pisarzem jak wszyscy inni, ale tym razem sprawi mu dużą frajdę, że będzie mógł zabawić się w Boga.

O czym ja to mówiłem?

Acha. W 1961 wasz redaktor zajmował się prowadzeniem serii książek w miękkich okładkach niewielkiego wydawnictwa w Evaston w stanie Illinois. Pomiędzy projektami, jakie chciałem

wprowadzić na linię montażową, był też zbiór opowiadań literatury spekulatywnej, napisanych przez najlepszych pisarzy, stworzonych specjalnie w tym celu, o bardzo kontrowersyjnym charakterze. Zatrudniłem znanego twórcę antologii, który — jak powiedziałaoby wiele osób — odwalił kawał dobrej roboty. Nie podzielałem tej opinii. Opowiadania wydawały mi się głupie, bezsensowne, niedopracowane albo nudne. Kilka z nich od tego czasu zostało już gdzieś opublikowanych, wśród nich znalazło się nawet kilka „najlepszych” opowiadań. Autorstwa Leibera, Bretnora i Heinleina — że wymienię tylko trzech. Książka jednak nie podniecała mnie tak, jak moim zdaniem powinien to robić zbiór tego rodzaju. Kiedy wyniosłem się z tej firmy, podjęto tę próbę z innym twórcą antologii. Postępów nie zanotowano. Projekt uwiądł jako nudny. Nie ma pojęcia, co się stało z opowiadaniem zebranymi przez tych dwóch ludzi.

W 1965, zabawiałem pisarza Normana Spinrada w moim maleńkim domku na drzewie w Los Angeles, skromnie zwanym „Krainą Czarów Ellisona”, wskutek inspiracji książką o tym samym tytule. Siedzieliśmy i gadaliśmy o tym i owym, aż Norman zaczął narzekać na redaktorów antologii, powodu narzekań już nie pomnę. Powiedział, że jego zdaniem powinienem wprowadzić coś z tych siejących zamęt pomysłów, o których opowiadałem, na temat „nowej rzeczy” w literaturze spekulatywnej, w antologii z czymś takim. Pośpiesznie przypominam, że *moja* „nowa rzecz” to coś zupełnie odmiennego od „nowej rzeczy” Judith Merrill oraz „nowej rzeczy” Michaela Moorcocka. Prosimy pytać o konkretne nazwiska.

Uśmiechnąłem się durnowato. Nigdy redagowałem antologii, co ja, u licha, miałbym o tym wiedzieć? (Wielu krytyków może mi wytknąć ten fakt, gdy skończą czytać tę książkę. Tymczasem jednak...)

Tuż przedtem sprzedałem Robertowi Silverbergowi opowiadanie do redagowanej przez niego antologii, która niebawem miała się ukazać. Ponarzekałem trochę na to czy na tamto i otrzymałem odpowiedź, która częściowo była napisana w niepowtarzalnym stylu Silverboba:

02.11.1965. Drogi Harlanie! Z przyjemnością informuję Cię, że zeszłej nocy miałem długi i męczący sen; śniło mi się, że na zeszłorocznym Worldconie odbierałeś aż dwie nagrody Hugo. Byłeś tym zachwycony. Nie wiem, w jakich kategoriach je otrzymałeś, ale jedną z nich było niewątpliwie Bezpodstawne Narzekanie. Pozwól, że wygłoszę krótki, ojcowski wykład w odpowiedzi na twój list dotyczący zgody na antologię (która, w co nie wątpię, zachwyci słodkie panusie w wydawnictwie Duell, Sloan & Pearce.) (...)

W tym miejscu rozpoczął zjadliwy atak na moje skłonności do akceptowania śmiesznych sum za przedruk w antologii jakiegoś drugorzędnego opowiadania, którego by nie zamieścił, gdyby tylko lepiej się w nie wczytał. Potem nastąpiło kilka akapitów pisania o niczym, które w zamierzeniu (próżnym, dodam) miały mnie ugłaskać; akapity te są niezmiernie zabawne, ale nie mają większego znaczenia dla sprawy, więc kiedyś, w przyszłości, będziecie mogli je przeczytać w archiwach Uniwersytetu Syracuse. Teraz jednak docieramy do PS, które brzmiało:

A czemu Ty nie zrobisz antologii? HARLAN ELLISON DOKONUJE WYBORU ORYGINALNEJ KLASYKI SF, albo coś takiego...

Podpisał list jako „Ivar Jorgensen”. Ale to już *inna* historia.

Spinrad *mahudził*. *Zrób, zrób, zrób, mein kind*. Odbyłem więc rozmowę międzymiastową (to jedno słowo — dowiedziałem się od mojej babki znającej jidysz, która bladła z przerażenia za każdym razem, gdy ktoś chciał taką rozmowę wykonać). Z Lawrenceem Ashmeadem z Doubleday. Nigdy przedtem z nim nie rozmawiałem. Gdyby tylko wiedział, jakie nowe koszmary czekają go tylko dlatego, że był zwyczajnie uprzejmy, cisnąłby trefną słuchawką z okna ósmego piętra budynku przy Park Avenue, zbudowanym w stylu Ministerstwa Prawdy, gdzie Doubleday ma swoje biura na

Manhattanie.

Słuchał jednak. Tkałem złociste, magiczne nici pajęczej iluzji. Wielka antologia, wyłącznie nowe opowiadania, kontrowersyjne, zbyt drastyczne, by kupić je jakieś czasopismo, najlepsi pisarze, głównonurtowe tytuły, akcja, przygoda, tragizm, tysiące bohaterów, banany na wierzbie.

Złapał haczyk. Na miejscu. Srebrnousty orator znów zaatakował. Och, był całym sercem oddany tej idei. Osiemnastego października otrzymałem następujący list:

Drogi Harlanie! Grono redaktorów osiągnęło konsensus w sprawie twojego projektu „Niebezpieczne wizje” i twierdzi, że musimy mieć jakieś konkrety, jeśli chcemy kontynuować pracę. (...) Jeśli nie określisz dokładnie, jakie oryginalne opowiadania są dostępne i nie podasz w miarę ostatecznego spisu treści, nie widzę szans na zatwierdzenie tego projektu przez komisję wydawniczą. W dzisiejszych czasach antologii mamy na kopy i jeśli nie jest to coś naprawdę specjalnego, nikt nie zatwierdzi dużej zaliczki. Tak naprawdę, to moja polityka zakłada ograniczanie antologii (chyba że są „specjalne”) do autorów regularnie publikujących powieści w Doubleday. Jeśli więc jesteś w stanie przedstawić z grubsza ostateczną zawartość „Niebezpiecznych wizji” z ostatecznym zobowiązaniem... wiem, że to się sprowadza do sytuacji Karmelowego Ludzika, który nie może biec, dopóki się nie ogrzeje i nie może się ogrzać, dopóki nie zacznie biec, ale...

Teraz garść informacji historycznych. Tradycyjnie antologie składały się z opowiadań, które były już publikowane w czasopismach, często w odcinkach. Można je było kupić do antologii za ułamek ich pierwotnej ceny. Pisarz osiąga zyski z dalszej sprzedaży, wydań w miękkiej oprawie, sprzedaży praw za granicę, itp. Ponieważ już raz mu za ten utwór zapłacono, cała reszta to czysty zysk. Zaliczka na poczet tantiem w wysokości półtora tysiąca dolarów zapłacona redaktorowi antologii oznacza więc, że redaktor może zagarnąć połowę kasy dla siebie, rozdzielając siedemset pięćdziesiąt dolarów pomiędzy jedenastu czy dwunastu autorów, tworząc dość grubą książkę. *Ta* książka jednak miała być całkowicie oryginalną antologią, co oznaczało, że opowiadania miały być napisane specjalnie dla niej (w rzadkich wypadkach mogły to być opowiadania napisane już jakiś czas temu i odrzucone na wszystkich dostępnych rynkach z powodu łamania takiego czy innego tabu. Ta ostatnia możliwość była jednak o wiele mniej kusząca, bo jeśli opowiadanie nie jest naprawdę przegięte, *gdzieś* je ktoś w końcu kupi; jeśli tego dotąd nikt nie zrobił, prawdopodobnie oznacza to, że są po prostu kiepskie, a nie zbyt kontrowersyjne; szybko miałem się przekonać, że moje rozumowanie było poprawne; opowiadania o kontrowersyjnym charakterze są często kupowane przez redaktorów, nie tyle dlatego, że szokują i przerażają, ale dlatego, że popełniły je „znane nazwiska”, którym uchodzi to na sucho. Mniej znani pisarze mają z tym o wiele cięższą przeprawę; jeśli nie wyrobią sobie nazwiska później i nie wygrzebią tych „mocnych” opowiadań z szuflady, opowiadania te nigdy nie ujrzą światła dziennego.

Zeby jednak pisarz chciał stworzyć opowiadanie do antologii, moja cena musiałaby być konkurencyjna wobec czasopism, które zaoferowałyby mu pierwszą publikację. To oznaczało, że standardowa zaliczka w wysokości półtora tysiąca dolarów nie wystarczy. Zdecydowanie nie, jeśli miałyby to być zakrojony na szeroką skalę i reprezentacyjny projekt.

Z dodatkowych trzech centów za słowo, w przypadku publikacji w czasopismach, robi się spora suma dla wolnego strzelca żyjącego wyłącznie z publikacji w czasopismach.

Potrzebowałem więc zaliczki dwukrotnie wyższej — trzech tysięcy dolarów. Nelson Doubleday nie pozwalał Ashmeadowi wyciągnąć więcej niż półtora tysiąca dolarów, więc Ashmead musiał udać się do komisji wydawniczej, a na tym etapie zabawy raczej się do tego nie palił. Oni nie chcieli mu dać nawet tego *pierwszego* półtora tysiąca.

Więc wasz orator o kadmowym gardle znów przypiął się do linii telefonicznej: — Hej, Larry,

słoneczko, koteczku!

Ostatecznym wynikiem był jeden z największych przewalów od czasów afery z polami naftowymi za prezydentury Hardinga. Ashmead miał mi dać pierwsze półtora tysiąca dolarów zaliczki, za które miałbym kupić, powiedzmy, trzydzieści tysięcy słów z proponowanych sześćdziesięciu tysięcy. Następnie miałem mu je przesłać i określić, czy kolejne trzydzieści tysięcy wystarczy do ukończenia projektu, a jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, nie powinno być problemu z przekonaniem komisji do wyłożenia reszty.

Czwierć miliona słów i dziewiętnaście miesięcy później okazało się, że „Niebezpieczne wizje” kosztowały Doubleday trzy tysiące dolarów, mnie samego dwa tysiące siedemset (i żadnego honorarium dla redaktora), zaś pisarza Larry’ego Nivena — siedemset pięćdziesiąt dolarów, które wpakował w to przedsięwzięcie, by przypilnować, że wszystko będzie jak trzeba. Ponadto czterech autorów nie otrzymało pieniędzy — ich opowiadania zostały nadesłane za późno, kiedy książka była już ostatecznie zamknięta; ponieważ jednak słyszeli o całym przedsięwzięciu i nabrali do niego zapału, chcieli, by ich utwory zostały zamieszczone i zgodzili się na opóźnienie w płatnościach, co oznaczało, że dostaną forszę z udziałów Ellisona w zyskach, a nie z tantiem dla autorów.

Niniejszy wstęp prawie już dobiegł kresu. Gwiazdom niech będą dzięki. Wiele niewiarygodnych incydentów, jakie miały miejsce podczas powoływania tej książki do życia, pozostanie tajemnicą. Historia z Thomasem Pynchonem. Anegdota o Heinleinie. Afera z Laumerem. Incydent z trzema opowiadaniem Brunnera. Lot w ostatniej chwili do Nowego Jorku, żeby załatwić ilustracje Dillonów. Posłowie Kingsleya Amisa. Nędza, choroba, nienawiść!

Jeszcze tylko parę słów o charakterze tej książki. Po pierwsze, miała być sztalugami dla nowych stylów pisarskich, śmiałych podróży, niepopularnych myśli. Sądzę, że z jednym czy dwoma wyjątkami, wszystkie te opowiadania spełniają ten warunek. Nie oczekuj niczego, otwórz się na to, co chcą przekazać autorzy i pozwól się zachwycić.

Czytelnikom literatury spekulatywnej znanych jest wielu autorów, których dzieła nie znalazły się w tej książce. To nie miała być wyczerpująca antologia. Z samej natury tego, co piszą, pewni autorzy nie znaleźli się tutaj, gdyż to, co mieli do powiedzenia, powiedzieli już całe lata temu. Inni odkryli, że nie potrafią stworzyć niczego kontrowersyjnego czy odważnego. Jeszcze inni nie byli zainteresowani tym przedsięwzięciem. Z jednym wyjątkiem — tej książki nie zamknięto przed żadnym pisarzem z powodu redaktorskich uprzedzeń. Można tu zatem znaleźć nowych, młodych pisarzy, jak Samuel Delany, tuż obok rzemieślników o ustabilizowanej pozycji, jak Damon Knight. Znajdziecie gości z innych sfer, takich jak telewizja, czego przykładem jest Howard Rodman, obok takich weteranów SF, jak uroczą (a w tym konkretnym przypadku przerażająca) Miriam Allen deFord. Znajdziecie tu takich tradycjonalistów, jak Poul Anderson tłoczących się razem z wysoce eksperymentalnymi pisarzami, jak Philip Jose Farmer. Szukaliśmy rzeczy nowych i odmiennych, ale w paru przypadkach opowiadanie było tak bardzo... opowiadaniem (jak krzesło jest w tak dużym stopniu krzesłem), że zmusiło mnie do zamieszczenia go.

I w końcu, chciałbym powiedzieć, że przygotowanie tej książki to zaszczyt. Po przeprowadzeniu ataku patosem, który może wydawać się czytelnikowi fałszywą skromnością w stylu Jacka Paara, mogę tylko zaoferować moje redaktorskie zapewnienie, że słowo „zaszczyt” jest skromne. Przyglądanie się, jak rośnie ten tętniący życiem i wstrząsający tom, było jak podglądanie przez dziurkę od klucza nie tylko samej przyszłości, ale przyszłości fantastyki.

Z tego podglądania, gdy trzydziestu dwóch wróżbitów snuło swe opowieści o przyszłości, wasz redaktor był w stanie wysnuć wniosek, że bogactwa i cuda, jakie dojrzał w tym gatunku, gdy zaczynał

się uczyć swego rzemiosła, rzeczywiście tam są. Gdyby były jakieś wątpliwości — przejdźcie do samych opowiadań. Żadne z nich nie ujrzało jeszcze światła dziennego w druku, a przynajmniej przez najbliższy rok, żadne też się nigdzie indziej nie pojawi, więc dokonaliście dobrego zakupu; i nagrodziliście ludzi, którzy doznali tych niebezpiecznych wizji.

Dziękuję za uwagę.

Harlan Ellison
Hollywood
Styczeń 1967

Wydawca pragnie niniejszym wyrazić swą wdzięczność wymienionym poniżej osobom; gdyby nie ich czas, pieniądze, sugestie i empatia, wydanie też książki na pewno byłoby możliwe, ale niewątpliwie redaktor byłby diabelnie bliższy wylądowania w domu opieki dla weteranów:

Pan Kingsley Amis
Pan Terry Carr z małżonką
Pan Joseph Elder
Pan Robert P. Mills
Pan Robert Silverberg
Pan Norman Spinrad
Panna Sherri Townsend
Pan Ted White z małżonką

Jeśli wydawca w niniejszym podziękowaniu przeoczył kogoś, z góry przeprasza, zwalając to na karb chwilowego przepracowania, ponadto pragnie jeszcze złożyć specjalne podziękowania na ręce Panów: Larry'ego Nivena i Lawrence'a P. Ashmeada, oraz Pani Dianę Dillon i Panu Leo Dillon — bez ich silnego wsparcia ta książka *dostłownie* nigdy nie stałaby się rzeczywistością. Niech Bóg was błogosławi.

Harlan Ellison
Hollywood
14.02.1967

Wprowadzenie do „Wieczornego nabożeństwa”:

Zdecydowałem, że szacowną paradę autorów w niniejszej antologii otworzy Lester del Rey — stało się to z kilku powodów. Po pierwsze, dlatego, że... nie, pozwólcie, że najpierw podam powód drugi. Po drugie dlatego, że gościem honorowym 25 Światowego Konwentu Science Fiction WORLDCON, organizowanego w Nowym Jorku, który zbiega się z datą publikacji tej książki, jest właśnie Lester del Rey. U honorowanie Lestera przez Konwent i jeszcze mniejszy honor polegający na otwieraniu tej książki to naprawdę drobiazgi w całej chwale należnej Lesterowi, wobec którego mam olbrzymi i od dawna niespłacony dług. Lester jest jednym z Paru „gigantów” gatunku, którego reputacja zasadza się bynajmniej nie na jednym czy dwóch opowiadaniach napisanych dwadzieścia pięć lat temu, ale na olbrzymiej ilości dzieł, których wszechstronność i oryginalność są coraz bardziej widoczne z każdym wydaniem. Niewielu pisarzy w obrębie gatunku miało tak twórczy wpływ na innych jak del Rey. Honory są więc całkiem skromniutki.

Pierwszy powód jest jednak zupełnie osobisty. Lester jest odpowiedzialny za to, że zostałem zawodowym pisarzem, i to na wiele sposobów (które to działanie czyni go podatnym na zbędne oszczerstwa; zapewniam was, że to żadna uprzejmość z mojej strony — stało by się tak, nawet gdyby nie wymieniać nazwiska Lestera). Kiedy w 1955 przybyłem do Nowego Jorku, zaraz po tym, jak wylano mnie z Uniwersytetu Stanowego Ohio, Lester i jego cudowna żona Ewie przyjęli mnie do swojego domu w Red Bank w stanie New Jersey i tam, w sadystycznych szponach niezmordowanej opieki Lestera (rodzaj edukacyjnej śmierci zadawanej metodą tysięcy podstępnych ciosów — jak zapewnił mnie Lester, ta metoda pozwoli mojemu talentowi dojrzeć, umocni mój charakter i poprawi mi stan cery), zacząłem pojmować podstawy mojego rzemiosła. Wydaje mi się bowiem, nawet dziś, z perspektywy ponad dziesięciu lat, że ze wszystkich pisarzy na fantastycznej niwie tylko kilku — a Lester jest najważniejszym z nich — potrafi *wyjaśnić* na czym polega dobre pisarstwo. Jest żywym zaprzeczeniem przesądu głoszącego, że ci, którzy nie potrafią czegoś robić, biorą się za nauczanie. Jego talent redaktora, twórcy antologii, krytyka i nauczyciela wyrasta bezpośrednio z jego pisarskiej potęgi.

O Lesterze mawiało się czasem brutalnie, że jeśli już zacznie się z kimś spierać, to skończy, kłócąc się z robakami zzerającymi martwe ciało oponenta. Każdy, komu zdarzyło się dyskutować z Lesterem, w tym momencie pokiwa ze zrozumieniem głową. Specjalnie napisałem *dyskutować*, gdyż Lester jest najuczciwszym z ludzi: nie osiąga najwyższych obrotów w dyskusji, o ile szansę nie są równe: mniej więcej siedem na jednego. Nigdy nie zauważyłem, żeby przegrał w dyskusji. Bez względu na temat, bez względu na to, że akurat ty możesz być jedynym na świecie autorytetem w danej dziedzinie, del Rey wytoczy cały arsenał faktów i teorii tak potężnych i niepokonanych, że twoja porażka jest nieunikniona. Widziałem, jak prawdziwi mocarze uginają się pod naporem del Reya. Jędze i harpie rozbiera do naga i odsyła z płaczem do toalety. Ma jakieś 170 cm wzrostu, rozczochrane włosy jak małe dziecko i nigdy nie może ich uczesać, nosi okulary o szklach tylko

trochę cieńszych niż denka od butelek i napędza go jakaś po — nadnaturalna energia, którą producenci stymulatorów serca powinni spróbować wykorzystać w swoich maszynkach.

Lester del Rey urodził się jako R. Alvarez del Rey, na wydzierżawionej farmie w stanie Minnesota w roku 1915. Spędził większość życia w miastach na wschodzie Stanów, choć czasem bliskim znajomym zdarza się słyszeć, jak mruczy coś o swoim ojcu, który był zagorzałym ewolucjonistą na odludziu. Pracował jako agent, nauczyciel sztuki pisania i redaktor służący pomocą w konstruowaniu fabuły i raczej ostrożnie wypowiada się o (oczywiście) nieskończonej serii różnych prac jakich się imał, nim został zawodowym pisarzem trzydzieści lat temu. Lester jest jednym z niewielu pisarzy, którzy potrafią gadać bez przerwy i nie ma to żadnego ujemnego wpływu na historie, które opowiada w swoich utworach. Przez ostatnie trzydzieści lat paplał prawie bez przerwy podczas prywatnych dyskusji, wykładów, odczytów, konferencji pisarzy, programów telewizyjnych oraz przegadał ponad dwa tysiące godzin w programie radiowym Long Johna Nebela, gdzie robił za etatowy Głos Rozsądku. Jego pierwsze opowiadanie było zatytułowane „The Faithful” i kupiło je *Astounding Science Fiction* w 1937. Jego książki są zbyt liczne, żeby je wymienić, głównie dlatego, że korzysta z dziesięciu tysięcy pseudonimów i sprytnie ukrywa te gorsze pod fałszywymi nazwiskami.

Co ciekawe, pierwsze opowiadanie w tej książce było ostatnim, jakie otrzymałem. Pośród pierwszych dziesięciu pisarzy, z którymi kontaktowałem się w tej sprawie, Lester błyskawicznie zapewnił mnie, że przyśle mi opowiadanie za parę tygodni. Rok później spotkałem go na konwencji w Cleveland i oskarżyłem o rzucanie słów na wiatr. Zapewnił mnie, że wysłał opowiadanie parę miesięcy wcześniej i nie dostał ode mnie ani słowa, więc uznał, że mi się nie spodobało. Jest szokiem usłyszeć coś takiego od zawodowca, którego podejście do własnej twórczości — ujawnione mi dziesięć lat temu — zakładało, że manuskrypty muszą krążyć, dopóki ktoś ich nie kupi. Pisanie do szuflady to masturbacja, rzecze del Rey. Po moim powrocie z konwentu do Los Angeles nadeszło „Wieczorne nabożeństwo”, z pobladała z przerażenia notką del Reya informującą, że je przesyła na dowód, że było cały czas napisane. Na moje życzenie dołączył też posłowie. Jednym z pomysłów, jakie miałem zamiar wykorzystać w tej antologii, jest dołączenie komentarzy autorów do utworu, zdradzającego ich uczucia z nim związane czy też ich opinie w kwestii, dlaczego to jest „niebezpieczna” wizja, czy też ich opinie na temat literatury spekulatywnej, ich czytelników, miejsca we wszechświecie... innymi słowy, co tylko chcieliby powiedzieć, by nawiązać ten rzadki bezpośredni kontakt między pisarzem a czytelnikiem. W tej książce zauważycie, że po każdym opowiadaniu jest posłowie — jednak komentarz Lestera o samym posłowniu wydaje się bardzo trafny, gdyż odzwierciedla podejście *wielu* prezentowanych tu autorów do samej czynności pisania posłownia. Był on następujący:

„Obawiam się, że to posłowie nie jest specjalnie inteligentne czy zabawne. Udało mi się jednak dość dobrze wyrazić to, co chciałem napisać o samym opowiadaniu. Podrzuciłem więc tak zwanym krytykom do sprawdzenia w słowniku kilka słów, które potem będą mogli uczenie przeżuwać. Czuję, że trzeba im przynajmniej powiedzieć, że istnieje taki zabieg jak alegoria, mimo że może i tak nie pojmą różnicy między nią a zwykłą fantastyką. Zawsze uważałem, że opowiadanie powinno mówić samo za siebie, a stojący za nim pisarz nie powinien mieć wpływu na jego wartość. (Na szczęście miałem kopię, więc mogę ci przesłać egzemplarz opowiadania, które już kiedyś wysłałem, wysłałem, no przecież wysłałem, no wysłałem je...)”

Lester Del Rey
Evensong

Wieczorne nabożeństwo

Docierając do powierzchni planety, zużywał już resztki energii. Teraz odpoczywał, powoli pobierając oporną energię z żółtego słońca, którego promienie padały na otaczającą go murawę. Jego zmysły otępiały z wyczerpania, ale strach, którego nauczył się od Uzurpatorów, nakłaniał je do wysiłku w poszukiwaniu jeszcze lepszego azylu.

Uświadomił sobie, że to spokojny świat i strach w nim zelżał. Za młodych czasów sprawiało mu przyjemność przemierzanie obfitości światów, gdzie można było aż po kres pograć się w grze odpływów i przyływów życia. Wtedy kosmos, który przemierzał, był taki żywotny. Uzurpatorzy nie uznawali jednak żadnych konkurentów dla swojej żądz. Już sam panujący tu spokój i porządek był znakiem, że ten świat kiedyś należał do nich.

Zbadał ostrożnie okolicę, szukając ich, gdy tylko wlały się w niego pierwsze siły. Żadnego z nich nie było. Potrafił natychmiast wyczuć ich bliską obecność, a teraz nie wykrył ani śladu. Równa murawa rozciągała się w postaci łąki i bagna aż do dalekich wzgórz. Niedaleko znajdowały się jakieś marmurowe budowle, błyszczące bielą w popołudniowym słońcu, były jednak puste, ich nieznanе przeznaczenie nie różniło się niczym od bycia zwykłą dekoracją na tej porzuconej planecie. Jego uwaga przeniosła się z powrotem na drugi brzeg strumienia, po tamtej stronie szerokiej doliny.

I wtedy znalazł ogród. W obrębie niskich murów na całych milach kwadratowych rozciągała się przestrzeń porośnięta gęsto drzewami i najwidoczniej nie pielęgnowana. Wyczuwał ruchy większych zwierząt między gałęziami i na krętych ścieżkach. Brakowało hałaśliwego wigoru właściwego wszelkiemu życiu, ale sama jego obfitość była wystarczająca, by zamaskować widoczne ślady jego własnej siły życiowej, którą można było wówczas wykryć tylko wnikliwym badaniem.

Było to przynajmniej lepsze schronienie niż otwarta przestrzeń łąki i tęsknił do niego, ale groźba wykonania ruchu, który mógł go zdradzić, osadziła go na miejscu. Uważał, że jego poprzednia ucieczka była bezpieczna, ale cały czas uczył się, że nawet on może zbłądzić. Teraz czekał, ponownie wyglądając śladów pułapki Uzurpatora.

Cierpliwości nauczył się w miejscu odosobnienia stworzonym mu przez Uzurpatorów w centrum galaktyki. Planując ucieczkę w związku z ich niechęcią do wydania ostatecznego rozkazu eksterminacji, zebrał w tajemnicy wszystkie siły. Wyrwał się stamtąd z mocą, która powinna wyrzucić go poza granice ich włości we wszechświecie. Nie udało się, dostrzegł porażkę, zanim jeszcze pokonał odległość do spiralnego ramienia galaktycznej kryjówki.

Ich sieci szpiegowskie najwyraźniej były rozrzucone wszędzie. Ich potężne liny wysysające jego energię tworzyły sieć tak szczelną, że nie sposób było przez nią się przebić. Gwiazdy i planety były połączone i tylko szereg cudów dokonanych przez niego pozwolił mu przedostać się tak daleko. Ale strata energii na te cuda była za duża, w dodatku Uzurpatorzy dużo się nauczyli od ostatniej porażki.

Teraz szukał dyskretnie, bojąc się uruchomić jakiś alarm, bardziej jednak — nie zauważyć jego obecności. Widziany z kosmosu, ten świat dawał mu jedyną nadzieję prawdopodobnej ucieczki od zarzuconej sieci. Wtedy jednak mógł przeprowadzać testy wyłącznie przez mikrosekundy.

W końcu wycofał swoje zmysły. Nie znalazł najmniejszych śladów ich przynęt i wykrywaczy. Zaczął podejrzewać, że nawet wzmożone wysiłki mogą teraz nie wystarczyć, ale nic więcej nie mógł zrobić. Najpierw powoli, potem coraz szybciej, potoczył się w stronę labiryntu — ogrodu.

Nic go nie zaatakowało. Nic nie wyskoczyło z jądra planetarnego, by go powstrzymać. Nic nie zakłóciło szumu liści i śpiewu ptaków. Nadal rozlegały się odgłosy wydawane przez zwierzęta. Wydawało się, że nic nie zauważyło jego obecności w ogrodzie. Choć samo w sobie było to nie do pomyślenia, czerpał z tego faktu ukojenie. Pewnie jest teraz tylko cieniem samego siebie, nieznanym i niepoznawalnym podczas ruchu.

Coś szło ścieżką, przy której odpoczywał, postukując kopytami, które lekko dotykały warstwy rozkładających się liści. Coś innego przedzierało się szybko przez poszycie koło ścieżki.

Skupił na nich uwagę, gdyż obie istoty pojawiły się na pobliskiej ścieżce w jednej chwili. Poczł, jak otula go lodowaty strach.

Jedna z istot była królikiem; zwierzę żuło liść koniczyny i strzygło długimi uszami; różowy nos węszył za kolejnym liściem. Druga była młodym jelonkiem, którego umaszczenie nadal nosiło ślady wczesnej młodości. Każde lub oba z tych zwierząt mogłyby się znaleźć na którymś z tysięcy światów. Żadne z nich jednak nie byłoby dokładnie w typie, jaki pojawił się przed nim.

To był Świat Spotkania — planeta, gdzie po raz pierwszy napotkał przodków Uzurpatorów. Ze wszystkich światów zawieszonych w galaktyce akurat na tej planecie musiał sobie poszukać schronienia!

Za dawnych dni chwały tej planety żyli tu barbarzyńcy, ograniczeni do tego jednego małego świata, mnożąc się i dążąc do usankcjonowanej samozagłady. A jednak było w nich coś dziwnego, coś, co przyciągnęło jego uwagę, a nawet wywołało w nim cień litości.

Litość ta sprawiła, że kilku z nich zaczął uczyć i wyprowadził ich na wyższy poziom. Uległ nawet poetyckiej fantazji i uczynił ich swymi towarzyszami i równymi sobie, jako że czas życia ich słońca powoli zbliżał się do końca. Odpowiadał na ich błagania o pomoc i dał im trochę wiedzy potrzebnej do wkroczenia na drogę panowania nad przestrzenią i energią. Odplacili mu arogancką butą, wyrzekając się choć cienia wdzięczności. W końcu porzucił ich na pastwę ich własnego barbarzyńskiego losu i udał się na inne światy, realizować cele na szerszą skalę.

I to był jego drugi błąd. Byli już za daleko na drodze do odkrycia tajemnic wszechświata. Jakimś cudem udało im się uniknąć autodestrukcji. Zajęli światy wokół własnego słońca i parli dalej, aż wreszcie byli w stanie rywalizować z nim o światy, które uczynił własnymi. A teraz wszystkie należały do nich, zaś jemu został tylko mały obszar na ich planecie — przynajmniej przez jakiś czas.

Przerażenie spowodowane uświadomieniem sobie, że to był Świat Spotkania, zelżało nieco, gdy sobie przypominał jak beztrudnie ich mnożące się hordy brały w posiadanie i porzucały światy. Pozornie bez końca. I znów testy, jakie mógł przeprowadzić, nie wykazały ich obecności tutaj. Zaczł się trochę odprężyć, czując nagły przypływ nadziei, który zastąpił chwilową rozpacz. Pewnie nie uwierzyliby, że akurat na ich macierzystej planecie miałby szukać schronienia.

Teraz przestał pogrążyć się w strachu i zaczął siłą kierować swe myśli na jedyne tory, które mogły oferować jakąś nadzieję. Potrzebował energii, a tę można było zdobyć wyłącznie w miejscach, gdzie nie sięgały sieci Uzurpatorów. Przez eony rozrosła się ona w przestrzeń, marnotrawstwo energii tak wielkie, że mogło się z jej pomocą wysadzać słońca lub tworzyć je plejadami. Była to energia pozwalająca na ucieczkę, być może przygotowanie się na ostateczną konfrontację z nimi, pozwalająca wymusić na nich rozejm — jeśli nie zwycięstwo. Gdyby dano mu choćby kilka godzin pozbawionych ich obecności, mógłby pobrać i przechować energię na własne potrzeby.

Właśnie po nią sięgał, kiedy niebo zagrzmiało, a słońce wyglądało, jakby na moment przygasło!

Drażący go strach znalazł ujście i zmusił go do przywarcia do ziemi, chroniącego przed widokiem z nieba, ale opanował ten odruch. Przez krótką chwilę istniał dla niego cień nadziei. Mogło to być zjawisko spowodowane przez jego własną pogoń za energią; być może zaczął ją pobierać zbyt łapczywie, zbyt niecierpliwie, by odzyskać siły.

Wtedy ziemia zadrżała i już wiedział.

Uzurpatorów nie dało się oszukać. Wiedzieli, gdzie jest — nigdy nie stracili go z oczu. A teraz podążali za nim z całym charakterystycznym dla nich brakiem subtelności. Jeden z ich statków zwiadowczych wylądował i zwiadowca wyłonił się, poszukując go.

Próbował odzyskać panowanie nad sobą i udało mu się stłumić strach. Teraz, tak ostrożnie, że nie poruszył nawet źdźbła trawy czy liścia na gałęziach, zaczął się wycofywać, przemieszczając się w kierunku gęstszego poszycia w środku ogrodu, gdzie życie rozwinęło się bujniej. Za osłoną roślin mógł chociaż pobrać kapeczkę energii, nabierając wystarczających sił, by utworzyć wokół siebie subtelny zwierzęcą aureę, która pozwoliłaby mu ukryć się między bestiami. Niektórzy zwiadowcy Uzurpatorów byli młodzi i niedoświadczeni. Takiego można oszukać i skłonić, żeby odleciał. Wtedy, zanim inni pójdą tropem jego raportu, może jeszcze być jakaś szansa...

Wiedział, że to tylko życzenie, a nie plan, ale uchwycił się tej myśli, gdy tak skulił się ze strachu w poszyciu w samym środku ogrodu. A wtedy pozbawiono go nawet złudzeń.

Odgłos kroków był pewny i zdecydowany. W miarę zbliżania się kroków słysząc było trzask gałązek, a zbliżający się podążał prosto do celu. Każdy krok nieubłaganie przybliżał Uzurpatora do jego kryjówki. W powietrzu było już widać niewyraźną poświatę i zwierzęta pierzchały w przerażeniu.

Poczuł na sobie wzrok Uzurpatora i usiłował wyprzeć z umysłu tę świadomość. I jak strach pojawiła się myśl, że od Uzurpatorów nauczył się modlić; modlił się rozpaczliwie do pustki, którą znał, i nie nadchodziła żadna odpowiedź.

— Wychodź! Ta ziemia to święte miejsce i nie możesz tu zostać. Nasz sąd już się dokonał i przygotowano dla ciebie miejsce. Wychodź i pozwól się tam zabrać! — Głos był łagodny, ale brzmiała w nim moc, która uciszyła nawet szum liści.

Pozwolił, by spojrzenie Uzurpatora dotarło do niego, a modlitwa w nim stała się niema, skierowana na zewnątrz — i wiedział, że beznadziejna.

— Ale... — słowa były bezużyteczne, ale gorycz, jaką czuł w sobie sprawiła, że słowa pojawiły się same. — Ale dlaczego? Jestem przecież Bogiem!

Przez chwilę w oczach Uzurpatora pojawiło się coś zbliżonego do smutku i litości. Znikło jednak, gdy zabrzmiała odpowiedź.

— Wiem. Ale ja jestem Człowiekiem. Chodź!

Skłonił się w końcu, w milczeniu i poszedł za nim wolno; żółte słońce zachodziło za ścianami ogrodu.

I tak upłynął wieczór i poranek — dzień ósmy.

Tłum. Jolanta Pers

Posłowie:

Pisarz poważnie myślący o swoim rzemiośle na pewno musi się coraz bardziej interesować starożytnymi problemami filozofii — dobra i zła, przyczynowości — gdyż leżą one u podstaw każdej fabuły i tkwią w każdej postaci. Jako pisarz science-fiction, próbujący zbadać wzorce przyszłości, odkrywam, że jestem w nieunikniony sposób zaangażowany w kwestię teleologii: czy wszechświat i człowiek mają jakiś sens i cel? Może to nie mieć żadnego znaczenia. Jeśli tak, czy musimy ich niewolniczo przestrzegać? Jeśli wszystkim rządzi ślepy los, czy nie możemy kształtować własnych celów, dostosowanych do naszych ostatecznych możliwości? Osobiście *Invictus* pijam bez lodu, z odrobiną goryczy. Ale biorę to na serio. A ponieważ tak jest, „Wieczorne nabożeństwo” to nie fikcja, lecz alegoria.

Wprowadzenie do „Much”:

Robert Silverberg jest jednym z moich najstarszych przyjaciół. Jest znakomitym pisarzem. Jest również wysokiej klasy profesjonalistą, co niestety interpretowane jest przez niektórych dzikusów jako równoznaczne z byciem fabryką opowiadań. Są oni w błędzie, ale nie o tym mieliśmy mówić. Więcej informacji na temat Silverberga Pisarza, za chwilę.

Silverberg Kumpel wygląda tak: pochodzi z Brooklynu i nie domaga się oklasków. Kiedyś redagował całkiem niezły fanowski magazyn pod tytułem *Spaceship*. Ukończył Uniwersytet Columbia. Jest mężem Bobbie, uroczej kobiety pracującej jako fizyk — badacz, mieszkają razem w imponującej rezydencji, która kiedyś należała do Fiorello La Guardi. Opublikował coś około pięćdziesięciu albo sześćdziesięciu książek w twardej oprawie, na różne tematy, od zoologii po archeologię i z powrotem. Pierwsze opowiadanie opublikował w roku 1953; było ono zatytułowane „Gordon Plant” i zamieszczono je w szkockim magazynie *Nebula*. W 1956 zdobył Nagrodę Hugo w kategorii najbardziej obiecującego nowego pisarza, pokonując (poza wszystkimi innymi) autora niniejszego wstępu.

Podobnie jak wielu pisarzy na polu fantastyki, autor niniejszego wstępu zazdrości Silverbergowi umiejętności *roboty*. Żłudzenie, że geniusz i szaleństwo są jedynie dwoma stronami tej samej rzadko spotykanej monety, do którego większość pisarzy się przyznaje, przydaje się jako wymówka. Pozwala im zachowywać się kapryśnie, bić żony, domagać się świeżej kawy o szóstej punkt z rana, spóźniać się z dostarczeniem tekstu, nie wywiązywać się z obietnic, obijać się radośnie przy czytaniu tanich powieści pod pretekstem „zbierania materiałów”, podbijać stawki i wynosić się gdzie indziej, gdy ktoś próbuje wprowadzić jakiś rygor, warczeć i drzeć się na fanów, być uparciuchami i bufonami. Możemy się tak bezpiecznie zgrywać, dopóki będziemy umieli wmówić Przeciętnemu Czytelnikowi, że to nieodzowne dla procesu tworzenia. Silverberg nie postępuje zgodnie z tą zasadą. Pracuje według ustalonego harmonogramu. Uprawia swoje rzemiosło przez pięć dni w tygodniu, sześć godzin dziennie. Jego praca polega na pisaniu, a gdyby tego nie robił, znaczyłoby to, że nie funkcjonuje.

W przeciwieństwie do pisarzy, którzy potrafią znaleźć zawile i błyskotliwe metody fundowania sobie kryzysów, depresji, stresów, blokad, ślepych zaułków i innych godnych pożałowania sytuacji życiowych, porządnickie nawyki Silverberga wiążą się z tym, że można na nim polegać. Dlatego też stworzył znaczną ilość dzieł o istotnych walorach merytorycznych, co powinno robić jeszcze większe wrażenie, gdyby wziąć pod uwagę, ile naprawdę *godnych zapamiętania* powieści i opowiadań fantastycznych oraz dzieł nieliterackich opublikował przed trzydziestką. Teraz, tuż po trzydziestce, Bob Silverberg pisze takie książki, jak *Człowiek w labiryncie*, *Lost Cities and Vanished Civilizations*, *Projekt „Wahadło”*, *Needle in a Timestack*, *Wieża światła*, czy wspaniałą książkę o żyjących skamielinach, *Forgotten by Time*. Jego zainteresowania i autorytet od dawna przekroczyły ramy literatury, czego wystarczającym dowodem jest powyższa, dość przypadkowa lista.

Mimo to Silverberg jest produktem science-fiction. Jest jednym z ostatnich fanów, którzy stali się profesjonalistami i choć znacząca część jego dochodów i zleceń pochodzi z innych dziedzin pisarstwa, z sympatyczną regularnością powraca na poletko literatury spekulatywnej, by odzyskać reputację, wzmocnić korzenie i zrobić sobie przyjemność pisaniem historii, które w tej formie potrafi napisać tylko on. Jedną z najnowszych prezentujemy w niniejszej antologii. Być może dlatego, że Bob jest moim przyjacielem już od dziesięciu lat oraz dzięki mojej znajomości większości tego, co napisał, pozwolę sobie twierdzić, że „Muchy” są jednym z najbardziej oryginalnych opowiadań, jakie kiedykolwiek próbował napisać. I próbę tę należy uznać za udaną.

Robert Silverberg
Flies

Muchy

Oto Cassiday:
przyszpilony na stole.

Wiele z niego nie zostało. Puszka mózgowa, parę wiązek nerwów, jakaś kończyzna. Resztę załatwiła nagła implozja. Tyle jednak wystarczyło. Złocistym dużo nie trzeba. Znaleźli go we wraku dryfującego statku, który znalazł się w ich strefie koło Japeta. Żył. Można go było naprawić. Dla innych na statku nie było już nadziei.

Naprawić go? Oczywiście. Czy trzeba było być istotą ludzką, by przejawiać humanitaryzm? Naprawić, jasne. Wszelkimi metodami. I zmienić. Złociści było kreatywni.

To, co zostało z Cassidaya, leżało wysuszone na jakimś stole w złotej kuli energii. Nie było tam zmian warunków; tylko poświata na ścianach, niezmienne ciepło. Nie było dni i nocy, nie było wczoraj i dziś. Kształty pojawiały się przy nim i znikaly. Regenerowali go, krok po kroku, a on leżał sobie w bezmyślnym spokoju. Mózg był nietknięty, ale nie działał. Reszta człowieka odrastała: ścięgna i wiązadła, kości i krew, serce i łokcie. Wystające kopczyki tkanki wypuszczały małe pączki, z których tworzyły się zarysy ciała. Przyklejanie jednej komórki do drugiej, budowanie człowieka od podstaw — dla złocistych nie był to wielki mozól. Sporo umieli. Sporo jednak musieli też się nauczyć, a Cassiday miał im w tym pomóc.

Dzień po dniu Cassiday był coraz bardziej kompletny. Nie budzili go. Leżał sobie wygodnie w cieple, nie ruszając się, nie myśląc, unosząc się na fali. Jego nowe ciało było gładkie i różowe jak u niemowlaka. Zgrubienie nabłonka pojawiło się nieco później. Cassiday służył za wzorzec samego siebie. Złociści odtworzyli go ze strzępka jego ciała, odbudowali z jego własnych łańcuchów polinukleotydowych, rozszyfrowali białka i poskładali go na podstawie szablonu. Jak dla nich była to łatwa robota. Czemu nie? Każda grudka protoplazmy to umiała — ze samą sobą. Złociści, którzy nie byli protoplazmą, umieli to robić także z innymi.

Do wzorca wprowadzili kilka zmian. To oczywiste. Byli rzemieślnikami. I dużo jeszcze chcieli się nauczyć.

Patrzcie na Cassidaya:
dossier.

DATA URODZENIA: 01.08.2316

MIEJSCE URODZENIA: Nyack, stan Nowy Jork

RODZICE: Różni

POZIOM EKONOMICZNY: Niski

POZIOM WYKSZTAŁCENIA: Średni

ZAWÓD: Technik paliwowy

STAN CYWILNY: Trzy legalne związki, kolejno przez okres ośmiu, szesnastu i dwóch miesięcy

WZROST: Dwa metry

WAGA: 96 kg

KOLOR WŁOSÓW: Żółty

OCZY: Niebieskie

GRUPA KRWI: A Rh+

POZIOM INTELIGENCJI: Wysoki

UPODOBANIA SEKSUALNE: Normalne

Patrzcie teraz:

zmieniają go.

Gotowy człowiek leżał przed nimi, jak spod igły, gotowy do ponownych narodzin. Teraz czas na ostatnie poprawki. Przeszukali szarą istotę spoczywającą w różowej otulinie i wkroczyli do niej, przemierzali zatoki i odnogi umysłu, aż zatrzymali się w małej zatoczce i rzucili kotwicę u stóp pochyłego klifu. Zaczęli operację, ale robili to bardzo schludnie. Żadnych cięć błony Podśluzowej, żadnych lśniących ostrzy przebijających się przez chrząstkę i kość, żadnych syczących laserów przy pracy, żadnego nieporadnego walenia młotkiem po delikatnych oponach mózgowych. Złociści byli subtelniejsi; dostroili obwód, który tworzył Cassidy, poprawili wzmocnienie, wytłumili szumy, a zrobili to bardzo delikatnie.

Gdy już z nim skończyli, był o wiele bardziej wrażliwy. Poznał kilka nowych rodzajów głodu. Obdarzyli go pewnymi zdolnościami.

A teraz go obudzili.

— Żyje pan, Cassidy — oznajmił subtelny głos. — Pana statek uległ zniszczeniu. Pańscy towarzysze zginali. Nikt poza panem nie przeżył.

— Co to za szpital?

— Nie jesteśmy na Ziemi. Wkrótce pan tam wróci. Proszę wstać, Cassidy. Proszę poruszyć prawą dłoń. Teraz lewą. Proszę zgiąć kolana. Nabrać powietrza do płuc. Proszę otworzyć i zamknąć oczy, kilka razy. Jak się pan nazywa?

— Richard Henry Cassidy.

— Ile ma pan lat?

— Czterdzieści jeden.

— Proszę spojrzeć na to odbicie. Kogo pan widzi?

— Siebie.

— Ma pan jeszcze jakieś pytania?

— Co wy ze mną zrobiliście?

— Naprawiliśmy pana, Cassidy. Uległ pan prawie całkowitemu zniszczeniu.

— Czy wprowadziliście jakieś zmiany?

— Uczyniliśmy pana bardziej wrażliwym na uczucia innych ludzi.

— Och — odparł Cassidy.

Podążmy za Cassidyem w jego podróży:

z powrotem na Ziemię.

Przybył w dniu, w którym zaprogramowano śnieg. Lekki śnieg, szybko topniejący, raczej przyjemność estetyczna niż rzeczywista manifestacja pogody. Dobrze było znów stanąć na powierzchni ojczystej planety. Złociści sprytnie zaaranżowali jego przybycie, pakując go z powrotem do wraku statku i nadając mu wystarczający pęd, by znalazł się w zasięgu patroli ratowniczych.

Ekipy patrolowe wykryły go i przejęły. Jak to się stało, że przeżył pan katastrofę bez szwanku, astronauto Cassiday? Bardzo proste, sir, w chwili katastrofy przebywałem poza statkiem. Statek zrobił „bum” i wszyscy zginęli. I jestem jedynym ocalałym, który może wam o tym opowiedzieć.

Przewieźli go na Marsa i poddali badaniom, potem potrzymali w służbie odkażającej na Lunie, a wreszcie wysłali z powrotem na Ziemię. Wsiadł prosto w padający śnieg, wysoki mężczyzna o kołyszącym kroku. Miał paru przyjaciół, nie miał krewnych, dysponował wystarczającą ilością gotówki, żeby przeżyć przez jakiś czas, miał też kilka byłych żon, które mógł odwiedzić. Zgodnie z przepisami miał prawo do rocznego urlopu z pełną pensją, jako odszkodowanie za katastrofę. Miał zamiar zrobić sobie wakacje.

Jeszcze nie zaczął korzystać ze swojej nowej wrażliwości. Złociści zaplanowali, że jego zdolności mają pozostać nieaktywne aż do chwili dotarcia na ojczystą planetę. I oto właśnie przybył i nadeszła chwila, kiedy mógł zacząć ich używać, a niezmiernie ciekawskie istoty żyjące na Japecie czekały cierpliwie, aż Cassiday znajdzie kogoś, kto go kiedyś kochał.

Poszukiwania rozpoczął od Dystryktu Miejskiego Chicago, gdyż tam mieścił się port kosmiczny, zaraz koło Rockford. Ruchomy chodnik zaniósł go szybko do trawertynowej wieży, udekorowanej błyszczącymi inkrustacjami z hebanu i barwionego na fioletowo metalu, i tam, w centrali firmy Televector, Cassiday sprawdził obecne miejsca zamieszkania swoich byłych żon. Robił to z cierpliwością, góra mięśni o obojętnej twarzy i łagodnych oczach, wciskająca właściwe guziki i czekająca spokojnie, aż gdzieś w głębinach ziemi zetkną się jedwabiste styki. Cassiday nigdy nie był gwałtownym człowiekiem. Był spokojny. Potrafił czekać.

Maszyna powiedziała mu, że Beryl Fraser Cassiday Mellon mieszka w Dystrykcie Miejskim Bostonu. Maszyna powiedziała mu, że Lureen Holstein Cassiday mieszka w Dystrykcie Miejskim Nowego Jorku. Maszyna powiedziała mu, że Mirabel Gunryk Cassiday Milman Reed mieszka w Dystrykcie Miejskim San Francisco.

Imiona wywołały falę wspomnień: ciepło ciała, zapach włosów, dotyk dłoni, brzmienie głosu. Namiętny szept. Potępiające warknięcie. Miłosne dyszenie.

Cassiday, przywrócony do życia, ruszył na spotkanie swoich byłych żon.

Jedną właśnie widzimy:

bezpieczna i zdrowa.

Oczy Beryl Fraser Cassiday Mellon miały mlecze źrenice, a tam, gdzie powinny być białka, dla odmiany były zielone. Przez ostatnie dziesięć lat straciła na wadze i teraz jej twarz przypominała pergamin naciągnięty na kości; miała zniszczoną twarz, a kości policzkowe sterczały z mocnej skóry, jakby w każdej chwili mogły ją przebić. Cassiday był jej mężem przez szesnaście miesięcy, gdy miała dwadzieścia cztery lata. Rozstali się, kiedy zażądała od niego Gwarancji Bezpłodności. Nie palił się do posiadania dzieci, ale uznał jej żądanie za obraźliwe. Teraz leżała w kojącej kołysce pajęczynopianki i próbowała uśmiechnąć się do niego tak, by nie popeękały jej wargi.

— Mówili, że zginąłeś — powiedziała.

— Uratowałem się. Jak się masz, Beryl?

— Sam widzisz. Przechodzę terapię.

— Terapię?

— Byłam uzależniona od tryliny. Nie widzisz? Moje oczy, moja twarz? Rozkładała mnie, ale przynosiła spokój. Jakby ktoś odłączył ci duszę. Tylko że zabiłaby mnie, wystarczyłby jeszcze rok. Teraz przechodzę terapię. Miesiąc temu mnie zwężili. Odbudowują moje ciało za pomocą protez. Mam w sobie pełno plastyku. Ale będę żyła.

— Wyszłaś drugi raz za męża? — spytał Cassidy.

— Odszedł dawno temu. Jestem sama od pięciu lat. Tylko ja i trylina. Ale z tym już skończyłam.

— Beryl zamruwała z trudem. — Wyglądasz na takiego wyluzowanego, Dick. Zawsze taki byłeś. Taki spokojny, pewny siebie. Ty nigdy nie złapałbyś się za trylinę. Potrzymasz mnie za rękę?

Dotknął więdącego szponu. Czuł bijące od niej ciepło, potrzebę miłości. Potężne, pulsujące fale wlewały się w niego, impulsy na niskich częstotliwościach, niosące tęsknotę, przepływały przez niego i płynęły dalej, do odległych obserwatorów.

— Kiedyś mnie kochałeś — rzekła Beryl. — A potem tak głupio zrobiliśmy. Pokochaj mnie na nowo. Pomóż mi stanąć na nogi. Potrzebuję twojej siły.

— Jasne, że ci pomogę — odparł Cassidy.

Wyszedł z jej apartamentu i kupił trzy kostki tryliny. Wracając, aktywował jedną z nich i wcisnął ją do ręki Beryl. Zielono-mleczne oczy zamglily się z przerażenia.

— Nie — jęknęła.

Ból płynący z jej strzaskanej duszy był wyborny w swojej intensywności. Cassidy przyjął na siebie cały strumień. Następnie zacisnął jej pięść, narkotyk przedostał się do jej krwiobiegu i znów zaznała spokoju.

Przyjrzyjmy się kolejnej:

z przyjacielem.

Zwiastowacz oznajmił:

— Przeszedł pan Cassidy.

— Wpuść go — odparła Mirabel Gunryk Cassidy Milman Reed.

Zwieracz drzwiowy rozszerzył się na oścież i Cassidy wkroczył do wewnątrz, w sam środek onyksowego i marmurowego przepychu. Belki kasztanowego palisandru tworzyły polerowaną drewnianą konstrukcję, na której spoczywała Mirabel, i było oczywiste, że upaja się dotykiem twardego drewna na pulchnym ciele. Kaskada włosów w kolorze kryształu spadała jej na ramiona. Należała do Cassidyaya przez osiem miesięcy w roku 2346 i wtedy była smukłą, nieśmiałą dziewczyną, teraz jednak z trudem mógł dopatrzeć się zarysów tamtej dziewczyny w tym wypchanym kopczyku.

— Dobrze wyszłaś za męża — zauważył.

— Do trzech razy sztuka — odparła Mirabel. — Usiądź. Chcesz drinka? Może wyregulować klimat?

— Nie, tak jest dobrze. — Nie siadał. — Zawsze chciałaś mieć pałac, Mirabel. Największa intelektualistka pośród moich żon, ale miałaś upodobanie do wygody. Teraz masz wygodę.

— Olbrzymią.

— Jesteś szczęśliwa?

— Mam komfort — rzekła Mirabel. — Nie czytam już dużo, ale mam komfort.

Cassiday zauważył, że to, co brał za leżący na jej kolanach koc — purpurowy ze złotymi nitkami, miękki, bezwładny, otulający, ma kilkoro oczu. Mirabel trzymała na nim rękę.

Niebezpieczne wizje

— Z Ganimedesa? — spytał. — Zwierzątko?

— Tak. Mąż kupił mi w zeszłym roku. Wiele dla mnie znaczy.

— Pewnie znaczyłby dla każdego. Sądzą, że są dość kosztowne.

— Ale takie kochane — rzekła Mirabel. — Są jak człowiek. Takie przywiązane. Pewnie myślisz, że jestem głupia, ale to jest teraz najważniejsza rzecz w moim życiu. Ważniejsza nawet od męża.

Widzisz, kocham to stworzenie. Przyzwyczaiałam się już do tego, że inni mnie kochają, ale nie ma zbyt wielu rzeczy, które ja umiałabym kochać.

— Mogę obejrzeć? — spytał łagodnie Cassiday.

— Uważaj.

— Oczywiście. — Podniósł ganimedejskie stworzenie. Miało niezwykłą teksturę, nigdy nie dotykał czegoś tak miękkiego. Coś drżało strachliwie w ciele zwierzęcia. Cassiday wykrył równoległy niepokój napływający od strony Mirabel, gdy trzymał jej zwierzę. Pogłaskał je. Zatrzepotało z zadowoleniem. Opalizujące smugi zaśniły, gdy zwinęło mu się na rękach.

— Co porabiasz, Dick? — spytała. — Dalej pracujesz dla tej linii kosmicznej?

Zignorował pytanie.

— Przypomnij mi ten cytat z Szekspira, Mirabel. Ten o muchach. O muchach i rozbrykanych chłopcach.

Na jej bladym czole pojawiły się zmarszczki.

— To z *Króla Leara* — powiedziała. Poczekaj. Mam.

Czym muchy w rękach rozbrykanych chłopców

Tym my we władzy bogów: uśmiercają

*Nas dla zabawy.**

— O, właśnie ten — odparł. Jego wielkie ręce zacisnęły się szybko na pledopodobnym stworzeniu z Ganimedesa. Zrobiło się szare, a trzciniowate włókienka popękały na zmasakrowanej powierzchni. Strumień przerażenia, bólu i poczucia straty, jakie napłynęło od Mirabel, prawie go ogłuszył, ale przejął go i prze — transmitował dalej.

— Muchy — wyjaśnił. — Rozbrykani chłopcy. Moja zabawa, Mirabel. Jestem teraz bogiem, nie wiedziałaś? — Jego głos brzmiał spokojnie i radośnie. — Żegnaj. Dziękuję.

Na wizytę czeka kolejna:

nabrzmiwiająca nowym życiem.

Lureen Holstein Cassiday, trzydzieści jeden lat, wielkooka brunetka, w siódmym miesiącu ciąży, była jedyną z jego żon, która nie wyszła ponownie za męża. Jej pokój w Nowym Jorku był mały i ascetyczny. Jako dwumiesięczna żona Cassidaya pięć lat temu była pulchniutka, a teraz była jeszcze pulchniejsza, choć Cassiday nie wiedział, w jakim stopniu przyrost nowej tkanki był skutkiem ciąży.

— Wyjdiesz teraz za męża? — zapytał. Potrząsnęła głową ze śmiechem.

— Mam pieniądze i cenię sobie niezależność. Nie pakowałabym się w taki układ jak z tobą. Z nikim.

— A dziecko? Urodzisz je?

Pokiwała głową z zapalem.

— Ile się napracowałam, żeby je począć! Myślisz, że to łatwe? Dwa lata prób sztucznego zapłodnienia! Fortuna na honoraria! Maszyny grzebiące mi w środku — te wszystkie środki stymulujące jajeczkowanie — och, nie, nic nie rozumiałaś. To nie jest niechciane dziecko. To jest dziecko wywalczone.

— To ciekawe — rzekł Cassiday. — Byłem u Mirabel i Beryl, i każda z nich ma jakieś dziecko. W pewnym sensie. Mirabel miała małą bestyjkę z Ganimedesa. Beryl miała uzależnienie od tryliny i była bardzo dumna z tego, że z niego wyszła. A ty kazałaś sobie zrobić dziecko, bez udziału faceta. Cała wasza trójka czegoś szuka. Interesujące.

— Dobrze się czujesz, Dick?

— Znakomicie.

— Masz taki beznamiętny głos. Jakbyś wyrzucał z siebie potok słów. To trochę przerażające.

— Mmm. Tak. Wiesz, co zrobiłem Beryl? Kupiłem jej parę kostek tryliny. Potem wziąłem to zwierzątko Mirabel i wykręciłem je — nie, nie skręciłem mu karku. Zrobiłem to bardzo spokojnie. Nigdy nie byłem furiatem.

— Chyba ci odbiło, Dick.

— Czuję twój strach. Boisz się, że zrobię coś twojemu dziecku. Strach mnie nie interesuje, Lureen. Ale rozpacz — tak, warto jej się przyjrzeć. Żal. Chcę zbadać te uczucia. Chcę im pomóc je zbadać. Sądzę, że właśnie tego chcą się dowiedzieć. Nie uciekaj, Lureen. Nie chcę cię skrzywdzić, nie w taki sposób.

Była drobnej budowy i niezbyt silna, a ciąża czyniła ją dość nieporadną. Cassiday złapał ją delikatnie za nadgarstki i przyciągnął do siebie. Czuł, jak wysyła nowe emocje, żal nad sobą i przerażenie, a przecież nic jej jeszcze nie zrobił.

Jak dokonać aborcji na dwa miesiące przed planowanym porodem?

Lekkie kopnięcie w brzuch może załatwić sprawę. Zbyt prostackie, zbyt prostackie. Cassiday nie przybył tu jednak uzbrojony w środki poronne, zgrabną pigułkę ze sporyszu, szybko działający paralizator wywołujący skurcze. Wykonał więc szybki zamach kolaniem, ubolewając nad prostactwem tego gestu. Lureen zwiotczała. Kopnął po raz drugi. Całą operację wykonał z absolutnym spokojem, gdyż napawanie się czynieniem gwałtu byłoby wysoce niewłaściwe. Trzecie kopnięcie wydawało się uzasadnione. Wtedy ją puścił.

Była jeszcze przytomna, ale wiła się z bólu. Cassiday otworzył się na strumień jej uczuć. Zdał sobie sprawę z tego, że dziecko w jej brzuchu jeszcze żyło. Może wcale nie umrze. Na pewno jednak będzie okaleczone. Z Lureen sączyła się świadomość, że może urodzić kalekie dziecko. Płód będzie musiał zostać zniszczony. Będzie musiała zacząć od początku. Strasznie to smutne.

— Dlaczego? — wyjęczała. — Dlaczego...

Wśród obserwatorów:

odpowiednik konsternacji.

Z jakiegoś powodu wszystko nie rozwinęło się tak, jak zaplanowali złociści. Wyglądało na to, że nawet oni są w stanie się przeliczyć i uznali to za cenne doświadczenie. Należało jednak coś zrobić z Cassidayem.

Dali mu wielką władzę. Potrafił wykrywać i przesyłać do nich niezmienną emocje innych istot ludzkich. Było to dla nich przydatne, gdyż dzięki tym danym być może będą w stanie zrozumieć ludzi. Czyniąc go jednak przekaźnikiem uczuć innych, nie mogli uniknąć wytlumienia jego własnych. A to zniekształcało dane.

Stał się zbyt destruktywny, na swój beztroski sposób. Należało to poprawić. Teraz w zbyt dużym stopniu miał wgląd w naturę samych złocistych. Im wolno zabawiać się z Cassidayem, gdyż zawdzięczał im życie. Ale jemu nie wolno zabawiać się z innymi.

Uruchomili łącze komunikacyjne z nim i wydali mu polecenia.

— Nie — zaprotestował Cassiday. — Nic już do mnie nie macie. Nie mam po co wracać.

— Konieczne są dalsze poprawki.

— Nie zgadzam się.

— Nic ci to nie da.

Nadal nie zgadzając się, Cassiday wsiadł na statek na Marsa, niezdolny sprzeciwić się ich woli. Na Marsie wyczarterował statek latający w regularne rejsy na Saturna i przekonał załogę, by przelecieli koło Japeta. Złociści dopadli go natychmiast, gdy znalazł się w ich bezpośrednim zasięgu.

— Co macie zamiar ze mną zrobić? — spytał Cassidy.

— Odwrócić kierunek strumienia emocji. Nie będziesz już wrażliwy na emocje innych. Będziesz nam transmitował własne uczucia. Odtworzymy twoją świadomość, Cassidy.

Zaprotestował. Bezskutecznie.

W rozjarzonej kuli złotego światła wprowadzili kolejne poprawki. Przedostali się do jego ciała i zmienili je, skierowali jego percepcję do wewnątrz, by mógł karmić się własną rozpaczą, niczym sęp szarpiący własne wnętrzności. To przyniesie cenne informacje. Cassidy protestował, dopóki mógł, kiedy jednak wróciła mu świadomość, było już za późno na protesty.

— Nie — jęknął. — W żółtej poświacie ujrzał twarze Beryl, Mirabel i Lureen. — Nie możecie mi tego zrobić... Znęćacie się nade mną... jak nad muchą...

Odpowiedź nie nadeszła. Odesłali go z powrotem na Ziemię. Odesłali go do świata trawertynowych wież i dudniących ruchomych chodników, do domu uciechy przy 485-tej Ulicy, do wysp światła jarzących się na niebie, do jedenastu miliardów ludzi. Wypuścili go na wolność, by żył wśród nich, cierpiał i informował o swoich cierpieniach. Kiedyś nadejdzie dzień, gdy go uwolnią, ale jeszcze nie teraz.

Oto Cassidy:

przybity do krzyża.

Tłum. Jolanta Pers

Posłowie:

Jedno z pierwszych opowiadań fantastycznych, jakie napisałem, było śmiertelnie ponurym przedstawieniem Nowego Jorku, który popadł w kanibalizm. Było ono na tyle realistyczne, że przez całe cztery lata nikt nie chciał go kupić i tylko zlecenie redaktora niniejszej antologii sprawiło, że zostało w ogóle wydrukowane.

Dziś, dwanaście czy trzynaście lat później, przeszedłem od dosłownego przedstawiania kanibalizmu do symbolicznego przedstawiania wampiryzmu, co — jak sądzę — świadczy o zdrowym postępie w chorobie. Każdy pisarz wraca do swoich obsesji, gdy da mu się wolną rękę i każda sytuacja, wszystko jedno, jak groteskowa, mówi coś o charakterze relacji międzyludzkich. Jeśli wygląda na to, że chcę powiedzieć, iż pożeramy się nawzajem, dosłownie lub w przenośni, że wysysamy z siebie substancję, że praktykujemy wampiryzm lub kanibalizm, niech tak będzie. Za każdą groteską leży jej przeciwieństwo; za ponurością kanibalizmu leży tani sentymentalizm. „Ludzie potrzebują innych ludzi”. Przynajmniej po to, żeby ich pożreć.

Nie będę przeproszał. Nie będę się tłumaczył. To tylko opowiadanie, wymyślona fikcja o przyszłości i innych światach. Nic ponadto.

Wprowadzenie do „Dzień po dniu, kiedy przybyli Marsjanie”

O Frederiku Pohlu nie można powiedzieć wiele — no chyba, że wszystko. Jest redaktorem *Galaxy Magazine*; to on w roku 1953 wymyślił i zrealizował serię cieszących się zasłużoną sławą oryginalnych antologii *Star Science Fiction Stories*; był także współautorem, wraz z Cyrilem Kornbluthem, powieści *Handlarze kosmosem*; on również uratował od zapomnienia „Scanners Live in Vain” Cordwainera Smitha w swoim zbiorze z roku 1952, *Beyond* „te *End of Time*. Także to on okazał się psem gończym, który wytropił doktora Linebargera, który okazał się Cordwainerem Smirhem i ściągnął go z powrotem na poletko literatury spekulatywnej.

Jest wykładowcą włączającym się po Stanach Zjednoczonych, głoszącym ostatnie zdobycze nauki i przez przypadek znakomicie się sprawdzającym w roli ambasadora literatury science fiction; jest redaktorem, który bezlitośnie zmasakrował w czytaniu moje niedawno napisane, znakomite opowiadanie, twierdząc, że słowa „irygator do lewatywy” i „genitalia” są wulgarne. Cóż, nikt nie jest doskonały.

Fred Pohl jest bardzo wysokim facetem koło czterdziestki, który ciągle przemieszcza się między redakcją *Galaxy* przy Hudson Street, a Red Bank w New Jersey, gdzie mieszka z rodziną. W tym pierwszym miejscu rozważa możliwości świata, jaki wokół siebie tworzymy, w tym drugim — bada programy telewizyjne niosące w sobie zalążek świata. Rzecz jasna, niepokoi go to, co widzi. Czego dowodem poniższe opowiadanie.

Teraz tylko parę zdań o jego opowiadaniu. Traktuje ono o niezmiernie złożonym problemie w sposób najbardziej prymitywny i podstawowy: sprowadzając do najmniejszego wspólnego mianownika irracjonalne ludzkie reakcje, by można było dostrzec, że tak naprawdę kryje się za nimi obojętność. To opowieść bez mała dziennikarska, ale nie dajmy się zwieść jej pozornej prostocie; Pohl zadaje cios prosto w serce.

Frederik Pohl
The Day After The Day The Martians Came

Dzień po dniu, kiedy przybyli Marsjanie

Do każdego pokoju motelu, poza normalną liczbą łóżek, wstawiono po dwie prycze, a pan Mandala, kierownik, przerobił tylną część hallu na męską sypialnię. To go jednak nie zadowoliło i próbował namówić jednego z czarnoskórych boyów, żeby opróżnił magazyn kufrów i również wstawił do niego prycze.

— Ależ, proszę pana — tłumaczył mu przełożony hotelowych boyów, przekrzykując panujący w hallu hałas — wie pan, że gdybyśmy mogli, to byśmy to zrobili. Ale nie możemy, bo nie ma gdzie wynieść starych telewizorów, które kazał pan zostawić, to po pierwsze; a po drugie, nie mamy już pryczy.

— Nie kłóć się ze mną, Erneście. Powiedziałem, żebyś przestał się ze mną kłócić — odparł pan Mandala. Bębnił palcami po kontuarze i ze złością rozglądał się po hallu. Było tam ponad czterdzieści osób, które głośno gadały, grały w karty i drzemały. Telewizor mruczał, wyrzucając streszczenie konferencji prasowej NASA i na ekranie pan Mandala ujrzał zdjęcie jednego z Marsjan, który gapił się do kamery, a z oczu ciekły mu wielkie, galaretowate łzy.

— Wyłącz to — zarządził pan Mandala, odwracając się wystarczająco szybko, by przyłapać swoich boyów na gapieniu się w ekran. — Nie płacę wam za oglądanie telewizji. Idźcie i zobaczcie, czy nie ma czegoś do roboty w kuchni.

— Byliśmy już w kuchni, proszę pana. Nie potrzebują nas.

— Kiedy ci mówię, Erneście, że masz iść, to idź! Ty też, Berzie. — Śledził wzrokiem ich przemarsz przez hali i żałował, że nie może równie łatwo pozbyć się choć części tego tłumu, który tam tkwił. Zajęli wszystkie fotele, a niektórzy przysiadali na oparciach, opierali się o ściany i okupowali cały bar, który zgodnie z przepisami był od dwóch godzin zamknięty. Gdyby wierzyć temu, co napisali w formularzach meldunkowych, wszyscy byli z gazet, agencji prasowych, sieci radiowych i telewizyjnych, i tak dalej i czekali na poranną konferencję na Przylądku Kennedy'ego. Pan Mandala chciał, żeby już nadszedł ranek. Nie podobało mu się, że taka liczba ludzi tłoczy się w hallu, zwłaszcza że jego zdaniem znaczna ich część nie zameldowała się jako goście hotelowi.

Na ekranie było widać pośpiesznie zmontowany materiał ukazujący powrót sondy kosmicznej Algonkin-9 z Marsa, ale nikt go nie oglądał. Od północy pokazywano ten film już trzeci raz, więc wszyscy obejrzel go co najmniej jeden raz, kiedy jednak pokazano kolejne ujęcie jednego z Marsjan, wyglądającego jak smutny jamnik z rozciągniętymi płetwami foki zamiast kończyn, jeden z pokerzystów poruszył się i wykrzyknął:

— Wymyśliłem marsjański dowcip! Dlaczego Marsjanie nie kąpią się w Oceanie Atlantyckim?

— Pan obstawia — powiedział krupier.

— Bo zostawiliby otoczkę brudu dookoła — powiedział reporter, składając karty. Nikt się nie zaśmiał, nawet pan Mandala, choć dobre żarty czasem się trafiały. Wszyscy byli już nimi znużeni — a może po prostu znudzeni.

Pan Mandala nie załapał się na pierwszą sensację związaną z Marsjanami, bo akurat spał. Kiedy

zadzwoił do niego kierownik dziennej zmiany i obudził go, pan Mandala pomyślał najpierw, że to żart, a potem, że ten człowiek zwariował; w końcu kogo obchodzi, że sonda marsjańska wraca z jakimiś zwierzętami? A jeśli nawet nie były to zwierzęta, to co z tego. Dopiero kiedy zobaczył napływające teleksem rezerwacje, zdał sobie sprawę z tego, że jednak kogoś to obchodzi. Mimo to pan Mandala nie był specjalnie zainteresowany takimi rzeczami. To sympatyczne, że Marsjanie przylecieli, bo dzięki temu jego motel był pełen, podobnie jak wszystkie inne motele w promieniu setek mil od Przylądka Kennedy'ego, ale to stwierdzenie wyczerpuje właściwie zainteresowanie pana Mandali kwestią Marsjan.

Ekran telewizora ściemniał, po czym pojawiła się na nim czołówka wiadomości NBC. Pokerzyści natychmiast przerwali grę.

W hallu zapadła cisza, a niewidoczny na ekranie spiker czytał oświadczenie NASA.

— Doktor Hugo Bache z Fort Worth w stanie Teksas, weterynarz, który przybył dziś wieczorem by zbadać Marsjan w ośrodku recepcyjnym bazy lotniczej Patrick, sporządził raport wstępny, który właśnie został ujawniony przez pułkownika Erica T. „Happy” Wingertera, w imieniu Krajowego Urzędu Aeronautyki i Badań Kosmosu.

Człowiek z agencji prasowej krzyknął:

— Zróbcie głośniej! — Przy odbiorniku zakotłowało się. Głośnik na chwilę ucichł, po czym ryknął:

— Marsjanie są ciepłokrwistymi kręgowcami, prawdopodobnie ssakami. Pobieżne badanie sugeruje raczej wolny metabolizm, choć doktor Bache przypuszcza, że w jakimś stopniu może to być skutkiem trudnej podróży w ciasnym pojemniku na próbki sondy Algonkin-9, na trasie 137 000 000 mil. Nie wykryliśmy żadnych, powtarzam żadnych oznak choroby zakaźnej, choć oczywiście przestrzegamy ścisłych procedur sterylizacyjnych...

— Akurat — krzyknął ktoś, chyba korespondent CBS. — Walter Cronkite rozmawiał z Mayo Clinic i powiedzieli, że...

— Cicho! — zawyły dziesiątki głosów i znów dało się słyszeć spikera:

— ...co kończy pełny tekst raportu sporządzonego przez doktora Hugo Bache'a, ujawnionego właśnie przez pułkownika „Happy” Wingertera. — Zapadła cisza; po czym znów rozległ się głos spikera, słaby lecz zdecydowany; towarzyszyły mu powtórki kilku już pokazanych filmów. Pokerzyści podjęli grę na nowo, a spiker opowiadał o konferencji prasowej z udziałem doktora Sama Sullivana z Instytutu Lingwistyki Uniwersytetu Indiany, który doszedł do wniosku, że dźwięki wydawane przez Marsjan są istotnie jakąś formą języka.

Co za bzdura — pomyślał pan Mandala, znużony i senny. Wyciągnął taboret i przysiadł na nim, prawie zasypiając.

Obudził go czyjś śmiech; zerwał się raptownie. Uderzył w dzwonek na kontuarze, chcąc zwrócić na siebie uwagę.

— Panie i panowie! Proszę! — krzyknął. — Jest czwarta rano. Inni goście próbują spać.

Niebezpieczne wizje

— Taaa, jasne — rzucił człowiek z CBS, podnosząc dłoń w niecierpliwym geście — ale niech pan chwilę poczeka. Mam jeszcze jeden. Co to jest marsjański apartamentowiec? Poddajecie się?

— No, powiedz — odezwała się rudowłosa dziennikarka z *Life*.

— Dwadzieścia siedem piętér piwnic!

— To ja też opowiem jeden — wtrąciła się dziewczyna. — Jaki jest marsjański nakaz religijny, z powodu którego ona musi zamykać oczy podczas stosunku? — Odczekała sekundę. — Broń Boże zobaczyć, jak mąż dobrze się bawi!

— Gramy czy nie? — warknął jeden z pokerzystów, ale reszta go zagłuszyła. — Kto wygrał marsjański konkurs piękności? — Nikt nie wygrał! — Jak zmusić Marsjanę, żeby przestała uprawiać seks?

— Ożenić się z nią! — Przy ostatnim żarcie pan Mandala głośno się roześmiał, a kiedy jeden z reporterów podszedł do niego i poprosił o zapalniczki, podał mu pudełko.

— Dzięki — rzekł mężczyzna, zapalając fajkę. — Długa noc, nie?

— No, jasne — odparł pan Mandala uprzejmie. Na ekranie telewizora po raz czwarty wyświetlano film o ładowniku. Pan Mandala ziewnął, gapiąc się nań obojętnie; nie było za wiele widać, ale to było wszystko, co można było — i można będzie — zobaczyć jeśli chodzi o Marsjan. Ci wszyscy reporterzy, kamerzyści, felietoniści, dźwiękowcy, rozmyślał pan Mandala z przyjemnością, wszyscy czekający na dziesiątą rano, kiedy to miała się zacząć konferencja prasowa na Przylądku Kennedy'ego, którzy przejadą te czterdzieści mil przez moczary porośnięte palmą sabałową, i wszystko na próżno. Przecież kiedy tam dotrą, nie zobaczą nic, czego by już nie widzieli.

Jeden z pokerzystów opowiadał długi, zawity dowcip o Marsjanach chodzących po Miami w futrach. Pan Mandala patrzył na niego z dezaprobatą. Gdyby choć niektórzy z nich udali się do swoich pokoi i poszli spać, mógłby spróbować wypytać innych, czy zameldowali się w hotelu. Choć przecież nikogo już nie był w stanie upchać — wszystkie pokoje miały podwójne obłożenie. Porzucił tę myśl i gapił się obojętnie na Marsjan na ekranie, próbując sobie wyobrazić, jak ludzie na całym świecie oglądają ich na ekranach telewizorów, czytają o nich w gazetach, *przejmują* się nimi. Nie wyglądali na takich, którymi warto się przejmować; pełzali niezgrabnie na swoich długich słabych kończynach, przypominających rozciągnięte płetwy foki, dysząc ciężko z powodu silniejszej niż na Marsie grawitacji, z tępym wyrazem wielkich, podłużnych oczu.

— Debilne gnojki — jeden z reporterów zwrócił się do palacza. — Wie pan, co słyszałem? Mówili mi, że astronauta trzymali ich zamkniętych w luku magazynowym, bo śmierdzą.

— Na Marsie nie czuć smrodu — odparł palacz zdecydowanym tonem. — Rzadkie powietrze.

— Czuć? Oni to uwielbiają. — Położył przed panem Mandalą na kontuarze banknot dolarowy. — Mogę prosić o rozmienienie na dziesięciocentówki do automatu z colą? — Pan Mandala w milczeniu wyliczył mu monety. Nie przyszło mu do głowy, że Marsjanie mogą wydawać jakiś zapach, ale wyłącznie dlatego, że nie poświęcił zagadnieniu większej uwagi. Gdyby w ogóle się nad tym zastanawiał, na pewno by pomyślał.

Pan Mandala wyłowił dziesięciocentówkę dla siebie i udał się w ślad za dwoma mężczyznami do automatu z colą. Obraz na ekranie zmienił się — teraz pokazywano kiepskie zdjęcia wykonane przez astronautów, przedstawiające niskie, nieregularne budynki w kolorze piasku na jaśniejszym piaszczystym podłożu. NASA określiło je jako „największe marsjańskie miasto”, razem jakaś setka płaskich, pozbawionych okien budowli.

— Sam nie wiem — odezwał się w końcu drugi z reporterów, przechylając butelkę z colą. — Sądzi pan, że można ich uznać za inteligentnych?

— Trudno powiedzieć — odparł palacz. Pracował dla Reutersa i było to po nim widać: miał szeroką, czerwoną twarz angielskiego szlachcica. — Oni budują domy — przypomniawszy.

— Goryle też.

— Bez wątpliwości. Bez wątpliwości. — Facet z Reutersa rozpromienił się. — Chwileczkę, przypomniawszy sobie jeszcze jeden dowcip. Był sobie raz... momencik, u nas opowiada się go o Irlandczykach. Tak, już mam. Na Marsa leci następny statek i załoga odkrywa, że jakaś straszna ziemską chorobą zmiotła całą rasę, z wyjątkiem jednej samicy. Wszyscy są bardzo zmartwieni, w ONZ odbywa się debata, zawarte zostaje porozumienie o ratowaniu ginącej rasy i Amerykanie

przegłosowują odszkodowanie w wysokości dwustu milionów dolarów; w skrócie — żeby uratować ich od wyginięcia, zapada decyzja o skrzyżowaniu mężczyzny z tą jedyną ocalałą marsjańską samicą.

— No nie!

— Tak. Cóż, w końcu znajduje się Paddy O'Shaughnessy, takie jego szczęście, i mówią mu: „Widzisz, masz wejść do tej klatki, Paddy, i tam jest taka samica. Musisz tylko zrobić jej dziecko, rozumiesz?” A O'Shaughnessy pyta: „Co ja z tego będę miał?”, więc mu proponują tysiąc funtów. Jasne, że się zgadza. Otwiera drzwi klatki, wchodzi i widzi samicę. Ucieka. — Facet z Reutersa odstawił pustą butelkę po coli na stojak i skrzywił się, usiłując oddać wyraz obrzydzenia u Paddy'ego. — „Jezu Chryste” mówi, „czegoś takiego to się nie spodziewałem”. „Tysiąc funtów, Paddy!” przypominają mu, namawiając. „No, dobra, niech będzie” odpowiada Paddy, „ale mam jeden warunek”. „Jaki?” — pytają, „Musicie mi przyrzec” mówi Paddy „że dzieci będą wychowane w wierze katolickiej”.

— Tak, ten już słyszałem — odezwał się drugi z reporterów. Ruszył by odłożyć swoją butelkę i zahaczył nogą o stojak; cztery skrzynki pustych butelek po coli spadły i potoczyły się z brzękiem po podłodze.

Tego już pan Mandala znieść nie mógł. Westchnął, zająknął się, uderzył w dzwonek i zakrzyknął: — Ernest! Berzie! Biegiem do mnie! — Kiedy Ernest objawił się, wystawiając swoją ciemną głowę w kolorze śliwki przez drzwi dla obsługi z miną dobitnie świadcząca o tym, że spodziewa się katastrofy, pan Mandala wrzasnął: — Och, żeby was pokręciło, durnie, setki razy wam mówiłem, żeby zrobić porządek z tymi stojakami! — Stał nad nimi, dysząc ze złości, a boye zbierali całe butelki i potłuczone szkło, zerkając na niego od czasu do czasu, ciemna śliwka i arabski piasek. Wiedział, że wszyscy reporterzy przyglądają mu się z dezaprobatą.

Potem wyszedł za zewnątrz, prosto w noc, żeby trochę ochłonać, bo było mu przykro i wiedział, że może mu się zrobić jeszcze bardziej smutno.

Trawa była mokra. Krople osadzającej się rosy spadały z trampoliny do basenu. Motel nie był aż taki cichy, jak powinien być nad ranem, ale dość cichy. Od czasu do czasu rozlegał się tylko, gdzieś z daleka śmiech i hałas z hallu. Na pana Mandalę działało to uspokajająco. Poprawił sobie humor, obchodząc wszystkie galerie wokół pokoju, sprawdzając maszyny do lodu i automaty z papierosami, by dojść do wniosku, że wszystko jest w porządku.

Nad głową zahuczał samolot wojskowy z bazy McCoy. Ponad nim jasno błyszczały gwiazdy, choć na wschodzie już wstawał świt. Pan Mandala ziewnął, spojrzał w górę i zaczął się zastanawiać, która z tych gwiazd może być Marssem; wreszcie wrócił do swojego biurka i już po chwili był na tyle zajęty długą, wyczerpującą rundą wizyt po pokojach i kontroli, że zapomniał o Marsjanach. Potem, kiedy już większość gości z hałasem ładowała się do swoich samochodów i eleganckich autobusów i zaczęła się schodzić dzienna zmiana, pan Mandala otworzył dwie butelki coli i zaniósł je Ernestowi do pokoju personelu.

— Ciężka noc — powiedział, a Ernest wyraził aprobatę zarówno wobec coli jak i intencji, skinął głową i zaczął pić. Oparli się o mur oddzielający basen od drogi dojazdowej i patrzyli, jak reporterzy i reporterki ruszają w drogę, ku autostradzie, na konferencję prasową o dziesiątej. Większość z nich nie spała w ogóle. Pan Mandala potrząsnął głową z niechęcią, zastanawiając się, czemu taki drobiazg wywołał tyle zamieszania.

Ernest pstryknął palcami, uśmiechnął się i powiedział:

— Przypomniałem sobie następny marsjański żart, proszę pana. Jak się nazywa siedmiostopowy Marsjanin atakujący włócznią?

— Och, do diabła, Erneście — odparł pan Mandala — nazywa się „Sir”. Wszyscy to znają. — Ziewnął, przeciągnął się i odezwał refleksyjnie: — Ktoś mógłby pomyśleć, że pojawią się jakieś nowe żarty. A cały czas słyszę stare, tylko zamiast Żydów i katolików wszyscy wstawiają do nich Marsjan.

— Tak, zauważyłem, proszę pana — zgodził się Ernest.

Pan Mandala wstał.

— Lepiej idź się przespać — poradził — bo dziś w nocy mogą wrócić. Sam nie wiem po co... Wiesz, co sobie myślę, Erneście? Jeśli nie liczyć dowcipów, to nie sądzę, żeby za pół roku ktokolwiek jeszcze pamiętał o Marsjanach. Nie wierzę, żeby ich przyjazd dla kogoś coś znaczył.

— Nie mogę się z panem zgodzić — zaproponował łagodnie Ernest — ale nie wydaje mi się. Dla niektórych to dużo znaczy. A dla mnie *diabelnie* dużo.

Tłum. Jolanta Pers

Posłowie:

Nadal jestem przekonany, że opowieść powinna mówić sama za siebie i wszelkie słowa dopisane do niej przez autora, kiedy już skończył ją opowiadać, to wykręt, kłamstwo albo pomyłka. Jest wszakże jedna rzecz, o której chciałbym wspomnieć — powód, dla którego powstało to opowiadanie. Nie chcę was przekonywać, że to był dobry powód, ani też, że udało mi się osiągnąć cel — w tej sprawie już zdążyliście wyrobić sobie własne zdanie, a przynajmniej powinniście byli. Chcę jednak powiedzieć, jak czasem rzeczywistość odbija w sobie sztukę.

Gdzieś między czasami, w których napisałem „Dzień po dniu, kiedy przybyli Marsjanie”, a dniem dzisiejszym, spotkałem pastora z małego miasteczka w Alabamie. Jak w wielu kościołach, nie tylko w Alabamie, miał problem z integracją. I jego zdaniem znalazł sposób na jego rozwiązanie, a przynajmniej zmniejszenie — pośród białych nastolatków w swoje kongregacji: zachęca ich do czytania fantastyki, ma nadzieję, że — po pierwsze — zaczną się przejmować zielonoskórymi Marsjanami, a nie czarnoskórymi Amerykanami, a po drugie — że zrozumieją, iż wszyscy ludzie są braćmi... przynajmniej w skali całego kosmosu, który mogą zamieszkiwać istoty nie będące wcale ludźmi.

Podoba mi się, jak ten człowiek służy Bogu. To dobry plan. Powinien się sprawdzić. Lepiej byłoby, gdyby się sprawdził — w przeciwnym razie niech Bóg ma nas w swojej opiece.

Wprowadzenie do „Jeźdźcy purpurowej doli”:

Philip Jose Farmer jest jednym z niewielu naprawdę *dobrych* ludzi, jakich znam. Jest człowiekiem życzliwym życzliwością, w której są odcienie siły, rozsądku i człowieczeństwa. Jest także niezniszczalny. Deptali po nim mistrzowie, ale on zdołał wyjść z tego niepokonany. Był oszukiwany przez marnych wydawców, skandalicznie kierowany przez nieudolnych agentów, karygodnie ignorowany przez przemądrzałych krytyków, gnębiony przez Furie Losu i Pecha, a mimo to, *mimo to* zdołał wydać piętnaście książek lak znakomitych, że uważa się go za „pisarza pisarzy” w dziedzinie, w której zawiść i cios nożem w plecy nikogo nie dziwią.

Phil Farmer dobiega pięćdziesiątki, jest łagodnym człowiekiem, którego bogactwo wiedzy o wszystkim, począwszy od archeologii a na nocnych zwyczajach Sir Richarda Burtona (nie tego aktora) skończywszy, jest imponujące. Lubi spacerować ulicami, pija kawę, pali papierosy i kocha wnuki. Ale przede wszystkim jest autorem opowieści. Weźmy choćby „Kochanków”, historię, która przebojem wdarta się na scenę science fiction w magazynie *Startling Stories* (1952 rok). Dawniej rozdział seksu zamyka! się między okładkami autorstwa Bergeya, przedstawiającymi młode panie o masywnych udach i w biustonoszach połyskujących mosiądzem. Tak było, dopóki tematem tym nie zajął się Farmer. Zbadał on chyba wszystkie aspekty psychopatologii, w sposób dojrzały i wnikliwie inteligentny. W 1951 roku większość wydawców uważała to za nierealne. I niech nikomu nie przychodzi do głowy krytykować tego osiągnięcia. Pamiętajmy, że dawniej brak genitaliów u Kimballa Kinnisona nie dziwił wydawców i pasjonatów tego typu literatury, a przed erą Farmera, dr David H. Keller był najbliższy psychologicznym eksploracjom w tym gatunku literackim, a przecież daleko mu do tego, co osiągnęli na przykład Dostojewski albo Kafka.

Wydawca nigdy nie powinien nikogo faworyzować. Tymczasem podziw dla opowieści, którą za chwilę państwo przeczytacie, moje zdumienie pirotechniką pisarską i zazdrość o bogactwo przemysłu oraz doskonałość kompozycji każą mi powiedzieć, że opowiadanie to wyróżnia się w antologii nie tylko długością — jest też ono bez wątpienia najlepsze. Nie, nazwijmy je *najznakomitszym*. Jest klejnotem, który świeci takim blaskiem, że ponowna lektura pozwoli odsłonić szlif po szlifie, wątek po wątku, euforia po zachwycie, wszystko to, co za pierwszym razem zaledwie nam błysnęło. Wyjaśnienia podstaw tej opowieści zostały zawarte w posłowniu Phila Farmera, a wszelkie próby oryginalnego i zwięzłego skomentowania tego, o czym nam tu opowiada, byłyby bezsensowne. Autor doskonale mówi sam za siebie. Chciałbym jedynie poświęcić chwilę na wspomnienie o trzech elementach twórczości Farmera, które według mnie powinny zostać wyjaśnione.

Pierwszym jest odwaga. Mimo niepowodzeń u wydawców, którzy nie są godni nosić za nim piórnika, wytrwał w pisaniu opowiadań, które wymagają znacznej cerebracji i obalenia wcześniejszych sposobów myślenia. Choć jego twórczość spotkała się z obojętnym przyjęciem czytelników przyzwyczajonych do miękkich, różowo — białych historii o króliczkach, on wytrwale

przenosił się od jednej niebezpiecznej wizji do następnej. Wiedział, że bez trudu zarobiłby na życie literacką papką, zdawał sobie sprawę, że poruszając głębsze i bardziej denerwujące tematy, narazi się na wrogość i głupotę innych, a mimo to trzymał się własnego sposobu pisania, własnych idei albo własnej muzy, jeśli można to tak nazwać.

Drugą sprawą jest niezdolność porzucenia raz powziętego pomysłu. Najmniejsza iskra idei prowadzi go coraz dalej i dalej ku ekstrapolacjom i konsekwencjom, z których pomniejsi pisarze wycisnęliby tetralogię. On jest kontynuatorem wspaniałych tradycji wszystkich wielkich myślicieli. Dla Farmera nie ma tajemnicy zbyt zawiłej, której by nie dało się rozwikłać. Nie ma myśli zbyt dziwacznej, by nie podjąć próby ponownej oceny przy pomocy narzędzi logiki. Nie ma historii zbyt wielkiej, by ją opisać, postaci zbyt niejasnej, by zrobić z niej bohatera, wszechświata zbyt odległego, by go zbadać. Niestety, podczas gdy Farmer zakreśla ogromne tory orbit wokół pomniejszych talentów, które przejmują się tylko wszami w swoich brodatych reputacjach, dziedziną, jaką wybrał i zaszczycił swoimi darami, przeważnie go ignoruje.

Trzecim elementem jest jego styl. Za każdym razem inny. Z kolejnymi opowieściami jego doskonałość wzrasta geometrycznie. Czytelnik powinien posiadać umiejętność „przeżuwania” zarezerwowaną dla najlepszych w literaturze. Twórczość Farmera jest jak stek, który trzeba dokładnie pogryźć i przetrawić, a nie jak deser z tapioki, który przechodzi nam przez przełyk bez wysiłku.

Widzę, że zabrnąłem znacznie dalej niż zamierzałem. Proszę to zapisać na karb entuzjazmu, z jakim wydawca podchodzi do tego opowiadania. Powstało ono na zamówienie, podobnie jak wszystkie w tym zbiorze. Ale kiedy zostało ukończone na etapie 15 tysięcy słów, Farmer zwrócił się do wydawcy z pytaniem, czy mógłby je napisać raz jeszcze, nieco obszerniej, bez dodatkowej zapłaty, ponieważ sądził, że zawartym w nim ideom przydałoby się trochę więcej miejsca i swobody. Oczywiście Farmerowi zapłacono, a opowiadanie zostało napisane od nowa. Uważam jednak, że honorarium było niewystarczające. Jak oszacować wartość oryginalności, zapału i odważnego spojrzenia w jutro? Resztę Philowi Farmerowi powinni zapłacić czytelnicy swoimi opiniami. Przydałaby się też jakaś nagroda albo sześć, na przykład Hugo. Na pewno wyglądałyby tak, jakby odlano je specjalnie po to, by stały na Półce nad kominkiem pisarza w jego mieszkaniu w Beverly Hills. Szepnijcie słówko tym na górze.

Nagroda Hugo, nominacja do Nebuli
Philip Jose Farmer
Riders of the Purple Wage

Jeźdźcy purpurowej doli

Gdyby Juliusz Verne naprawdę mógł zajrzeć w przyszłość, na przykład w 1966 rok, pewnie zesrałby się w gacie. A w 2166, rany! — z niepublikowanych wspomnień Dziadka Winnegana „*Jak orznąłem Wuja Sama i inne osobiste wyzwody*”.

Kur, który piał na wspak

Olbrzymy Un i Sub mieli go na chleb.

Poszarpane strzępy wypływają na powierzchnię wina snu. Ogromne stopy miażdżą potworne grona na piekielny sakrament.

On — Głupi Jaś — w swej duszy, jak w cebrze, łowi lewiatana.

Na wpół obudzony jęczy, przewraca się, spływa potem czarnych odmętów i jęczy po raz drugi. Un i Sub nie próżnują. Obracają kamienne żarna zatopionego młyna mruczając *Fie, fye, fo, fum*¹. Oczy lśnią pomarańczowo-czerwono, jak ślepie kota w ciemnym kącie, matowieje biel zębów rachowanych mroczną arytmetyką.

Un i Sub, Głupim Jasiom podobni, pracowicie mieszają metafory, nie zważając na nic.

Tchórz i kogucie jajo: wyłania się bazyliszek i pieje po raz pierwszy. Potem jeszcze dwa razy. W gwałtownie krwią rumieniejącym świetle krzyczy wstaje — dumny — choć — niełatwo.

Rośnie i pęcznieje, aż waga i długość wspólnymi siłami przyginają go, choć daleko mu do płaczącej wierzby i złamanej trzciny. Jednooki i czerwonogłowy zerka zza krawędzi łoża. Podpiera i unosi bezbrodą szczękę, po czym, z pęczniejącym korpusem, ześlizguje się w dół. Pojedynczym okiem patrzy najpierw w jedną, potem w drugą stronę, węchem bada podłogę i rusza ku drzwiom, które niesumienny strażnik lapsus linguae zostawił uchylone.

Zatrzymuje go głośny ryk dobiegający ze środka sali. Ryczy trzynoga oślica, sztaluga Baalima. Na niej tkwi „płótno” — płytka, owalna rynka z plastiku poddanego specjalnej obróbce. Obraz jest wysoki na siedem stóp i głęboki na osiemnaście cali. Przedstawia scenę, która musi zostać ukończona do jutra.

Dzieło jest zarazem rzeźbą i malunkiem. Altoreliefowe formy mają zaokrąglone kształty, niektóre znajdują się głębiej, inne płycej. Lśnią światłem z zewnątrz oraz wewnętrznym blaskiem napromienionego plastiku „płótna”. Jasność wnika w postaci, na moment w nie wsiąka, po czym się uwalnia. Jest bladoczerwona czerwienią świtu, krwi rozwodnionej łzami, gniewu i atramentu, którym zapisuje się cyfry w kolumnie „winien”.

To obraz z Serii o Napach²: *Dogmaty Napa, Walka Napa w przestworzach, Dni Napa, Nap Słońca, Ciemna strona Napa, Drzazgi, Kłamliwy Nap, Prawość Napa i Improwizacje a Nap*.

Sokrates, Ben Johnson, Cellini, Swedenborg, Li Po i Hajawa — ta zabawiają się w Tawernie pod Syreną. Przez okno widać Dedala, który stojąc na blankach Knossos wpycha Ikarowi raketę w tyłek, aby syn wystartował w słynny lot z należyтым odrzutem. W jednym z kątów tawerny kuli się Og, syn Ognia. Zagryzając kość szablozębego, maluje bizony i mamuty na pokrytym pleśnią tynku. Barmanka Atena pochyla się nad stołem, podając znakomitym biesiadnikom nektar i precle. Za nią stoi Arystoteles z rogami kozła. Podniósł jej spódnicę i bierze ją od tyłu. Popiół z papierosa zwisającego z jego wykrzywionych uśmiezkami warg spadł na materiał sukni, która zaczyna się tlić. W drzwiach męskiej toalety pijany Batman ulega długo tłumionemu pragnieniu i próbuje przelecieć Robina. Z drugiego okna widać jezioro, po którego powierzchni przechadza się mężczyzna ze

zmatowiałą, zieloną aureolą nad głową. Za nim, z wody wystaje peryskop.

Zwinny prąciwąż owija się wokół pędzla i zaczyna malować. Narzędzie malarza to niewielki cylinder, którego jeden koniec połączony jest z przewodem biegnącym do maszyny w kształcie kopuły. Z drugiego końca wystaje aplikator. Szczelinę otworu można zmniejszać lub zwiększać, obracając kciukiem tarczę. Farba w wybranym kolorze i odcieniu wytryska z niego w postaci mocno rozpylonego obłoku lub gęstego strumienia, a odpowiednie funkcje wybiera się kilkoma pokrętłami na cylindrze.

Tasiemcowaty gorliwie tworzy, warstwa po warstwie, kolejną postać. Potem wciąga stęchły odór pleśni, upuszcza pędzel, wyslizguje się drzwiami i rusza wzdłuż łuku ściany owalnego korytarza, gnąc ciało w kształt hieroglifów beznogich stworzeń — znaków na piasku, które wszyscy mogą przeczytać, lecz niewielu zrozumie. Krew tętni w rytmie żaren obracanych przez Una i Suba, karmiąc i oczyszczając gorącokrwistego gada. Ściany pałają, wyczuwając intruzyjny kształt i poddając się ekstruzji magmy pożądania.

On jęczy. Gruczołowata kobra unosi się i chwieje, posłuszna fujarce jego cipragnienia. Niech się nie stanie światłość! Noce mają być jego kloaką. Prędko, obok izby matki, najbliższej wyjścia. Ach! Wzdycha miękko, z ulgą, ale powietrze ze świstem opuszcza pionową, zaciśniętą linię warg, zwiastując odjazd pociągu do Desideratum.

Drzwi to przeżytek; mają dziurkę od klucza. Szybko! Na poręcz i na zewnątrz przez otwór, na świat. Na ulicy jedna osoba — ulicznica — młoda kobieta o fosforyzujących, srebrnych włosach i takim futerku.

W drogę, aleją i wokół jej kostki. Ona patrzy w dół z zaskoczeniem, które ustępuje przerażeniu. Jemu się to podoba; zbyt wiele miał zbyt chętnych. Oto znalazł diament w chaszczach.

W górę, wokół nogi o skórze miękkiej jak kocie ucho, zwój za zwojem, ślizgiem przez dolinę pachwin. Węsząc wśród sprężynek włosów jak samozwańczy Tantal, zbacza z drogi i pnie się w górę po lekkiej wypukłości brzucha. Wita się z pępkiem, przyciska go dzwoniąc na górę, owija się wokół wąskiej talii i, nie — śmiałek, szybko kradnie całusa każdemu z sutków. Potem zawraca w dół, szykując się do wyprawy na mons veneris, by zatknąć tam swoją chorągiew.

Och, rozkosze tabu i marne świętości! Tam jest dziecko! Ektoplazma przybiera kształt niecierplivej przedzapowiedzi rzeczywistości. Kropla, jajo i smyk przesmykiem fałd ciała, gotowych pochłonąć szczęśliwego Mikromoby Dicka, najlepszego w peletonie miliona milionów zwinnych braci. Niech wygra najwaleczniejszy.

Salę wypełnia donośny skrzek. Gorący oddech mrozi skórę. On spływa potem. Sople obrastają kancerową skorupę, która ugina się pod ciężarem lodu. Mgła toczy się wokół z gwizdem mijając stelaż skrzydeł. Lotki i sterówki nieruchomieją zmrożone. On szybko traci pułapnimusz. Wyżej! W górę! We mgle gdzieś przed nim wzgórze Wenus; Tannhauser, zadmij w trąbo-dziwę³, wystrzel rakiety. Lecę w dół.

Wrota matki się rozwarły. Ropuch zakałyka jajowate przejście. Jego podgardle wydyma się i opada jak miech. Bezzębna gęba się rozdziawia. Ginnungagap. Rozwidlony język wystrzela i oplata boa ducipciela. On krzyczy z obu gąb i szarpie się to w jedną, to w drugą stronę. Przenikają go fale sprzeczności. Dwie błoniaste łapy gną i płaczą zwiotczałe ciało w guz węzła — trzon przecieka, jakżeby inaczej.

Kobieta się nie zatrzymuje. Zaczekaj na mnie! Powódź pędzi z rykiem. Fala rozbija się o guz i gwałtownie się cofa, by po chwili zetrzeć się z odpływem. Za wiele tego, a tylko jedno ujście. On szarpryska, niebosklony leca w dół kaskadą. To nie arka Noego, ani nie *Arca tetragona*. Jego nova wybucha strumieniem milionów gorących, niespokojnych meteorów — błysków w kadzi egzystencji.

Przyjdź królestwo twoje. Lędźwie i brzuch spowija śniedź zbroi, on drży, zimny i mokry.

Boski patent na świt traci ważność

...powiada Melofon Voxpopper, prezenter Pompek Aurory i Godziny na Kawę, na kanale 69B. Wiersze pochodzą z 50-ych Dorocznych Pokazów i Konkursu organizowanego przez Centrum Sztuki w Beverly Hills na poziomie 14. Deklamuje Omar Bakchylides Runa, w zupełności improwizując, jeśli nie liczyć kilku kwestii przemyślanych poprzedniego wieczoru w niepublicznej tawernie Prywatne Uniwersum, a można tak zrobić, bo Runa nic z tego nie zapamiętał. Mimo to, zdobył Pierwszy Wieniec Laurowy A. Nie wiedzieć czemu Pierwszy, bo nie ma Drugiego, Trzeciego, etc. Wieniec klasyfikuje się alfabetycznie od A do Z, Boże pobłogosław naszą demokrację.

Szaro-różowy losoś wyskakuje spomiędzy fałd nocy
W tarlisko, z którego wykluwa się nowy dzień.
Świt-czerwony ryk heliosowego byka
Szarżującego ponad horyzontem.
Fotonowa krew zranionej nocy,
Przebitej sztyletem morderczego słońca.

i tak dalej, przez pięćdziesiąt wersów łamanych i przerywanych wiwatami, brawami, gwizdami, sykami i skowytem.

Chib jeszcze na wpół śpi. Spogląda w zwięzający się pas ciemności, w miarę jak sen umyka do podziemnego tunelu. Zerka spod ledwie uchylonych powiek w inną rzeczywistość: świadomość.

— Puść mego wścibskiego ludka!⁴ — błaga za Mojżeszem i wyobraża sobie długie brody i rogi (za pozwoleniem Michała Anioła), co z kolei przywodzi mu na myśl prapradziadka.

Żelazny łom woli siłą rozwiera mu powieki. Widzi fido zajmujące cały łuk ściany naprzeciwko niego i zakrzywiające się do połowy sufitu. Świt, paladyn słońca, ciska szarą rękawicę.

Kanał 69B, TWÓJ ULUBIONY KANAŁ, lokalna stacja LA pokazuje ranek. (Złudzenie głębi. Fałszywy brzask Natury naśladowany przez elektrony, którym formę nadają urządzenia stworzone przez człowieka.)

Wstawaj z blaskiem słońca w sercu i z pieśnią na ustach! Co za kulminacja wzruszających wierszy Omara Runy! Zobacz świt takim, jakim widzą go ptaki na drzewach i jakim widzi go Bóg!

Voxpopper nuci cicho słowa, a w tle grają dźwięki *Tańca Anitry* Griega. Stary Norweg nawet nie marzył o takiej widowni, no bo i skąd. Młody Chibiabos Elgreco Winnegan ma lepki knot za sprawą spóźnionego wytrysku na naftowych polach nieświadomości.

— Ośle, tyłek⁵ w troki i jazda na koń — odzywa się Chib. — Dziś rusza Pegaz.

Chłopak mówi, myśli i żyje w chwilowości terażniejszej.

Wstaje z łóżka i wpycha je w ścianę. Pozostawienie na wierzchu pościeli zmiętej jak język starego pijaka zburzyłoby estetykę jego pokoju, naruszyłoby krzywą odzwierciedlającą uniwersum i zakłóciłyby mu pracę.

Pokój ma kształt dużego jaja. W jednym z węższych końców znajduje się mniejsze owalne

pomieszczenie z toaletą i prysznicem. Chib opuszcza je, wyglądając jak jeden z homerowskich, podobnych bogom Achajów o masywnych udach, potężnych ramionach, brązowozłotej skórze, niebieskich oczach i kasztanowych

Philip Jose Farmer — Jeźdźcy purpurowej doli 71 włosach — choć bezbrodych. Dzwonek telefonu udaje rehot południowoamerykańskiej rzekotki drzewnej, o której słyszał kiedyś na kanale 122.

— Sezamie, otwórz się!

Inter caecos regnat luscus

Twarz Rexa Luscusa rozlewa się na całą szerokość fido. Pory skóry przypominają naznaczone lejami pole bitewne pierwszej wojny światowej. Czarny monokl zasłania lewe oko, wyprute w burdzie, do jakiej doszło między krytykami sztuki podczas wykładu z serii *Kocham Rembrandta*, na kanale 109. Choć ma spore wpływy i mógłby się postarać o szybką wymianę, zrezygnował.

— *Inter caecos regnat luscus* — powtarza, gdy go o to zagadują, a często także, kiedy nikt nie pyta. — Czyli „wśród ślepców jednooki królem”. Dlatego zmieniłem imię na Rex Luscus, co znaczy Król Jednooki.

Krąży plotka, rozpowszechniana przez samego Luscusa, że pozwoli on biochłopakom włożyć sobie sztuczne proteinowe oko, kiedy zobaczy dzieła artysty, którego wielkość wymagałaby postrzegania głębi. Mówi się też, że może zrobi to już wkrótce, ponieważ odkrył Chibiabosa Elgreco Winnegana.

Luscus spogląda wygłodniałe (uwielbia przysłowki) na kutner Chiba z przyległościami. Chib pęczniej złością, nie obrzękiem.

— Złotko, chcę tylko mieć pewność, że wstałeś i gotów jesteś sprostać niezmiernie ważnym sprawom dzisiejszego dnia — mówi Luscus bez zająknięcia. — Musisz być gotów na pokaz Musisz! No, ale twój widok przypomina mi, że jeszcze nie jadłem. Co powiesz na śniadanko ze mną?

— Co zjemy? — pyta Chib, lecz nie czeka na odpowiedź. — Nie, za wiele mam dziś do zrobienia. Sezamie, zamknij się!

Twarz Rexa Luscusa blednie. Przypomina mordę kozła, choć on sam woli ją nazywać twarzą Pana, Faunusa sztuk wszelkich. Dał sobie nawet przyciąć uszy w szpic. Niezłe.

— Fe—e—e—e! — Chib beczy do zjawy. — Fe! Zakłamanie! Nigdy nie pocałuję cię w tyłek, Luscus, ani nie pozwolę, byś ty całował mój. Nawet jeśli przez to stracę stypendium!

Telefon dzwoni raz jeszcze. Zjawia się twarz Rousseau Czerwonego Sokoła. Jego nos przypomina dziób orła, a oczy — popękane czarne szkło. Szerokie czoło okala pasek czerwonego materiału, przytrzymując proste, czarne włosy spływające na ramiona. Jastrząb ma koszulę z kozłej skóry. Na szyi zawiesił sznur paciorków. Wygląda jak Indianin, ale Siedzący Byk, Szalony Koń, czy najszlachetniejszy Rzymski Nos natychmiast wykopaliby go z plemienia. Nie żeby zaraz byli antysemitami, po prostu nie mogliby szanować śmiałka, który na sam widok konia dostaje pokrzywki.

Urodzony jako Julius Applebaum, oficjalnie stał się Rousseau Czerwonym Sokołem w Dniu Nadania Imienia. Właśnie powrócił ze spierwotnionego lasu i delektuje się przekłętymi rozkoszami dekadencjonalnej cywilizacji.

— Co u ciebie, Chib? Chłopaki pytają, kiedy się tu zjawisz?

— Mam do was dołączyć? Jeszcze nie jadłem śniadania i mam do załatwienia tysiąc spraw. Muszę się przygotować do wystawy. Zobaczymy się w południe!

— Wczoraj przegapiłeś setną zabawę. Jacyś podli Egipcjanie próbowali obmacywać dziewczęta, ale kazaliśmy im się kłaniać ścianom.

Rousseau znika jak ostatni z czerwonoskórych.

Chib myśli o śniadaniu, ale rozlega się gwizd interkomu. Sezamie, otwórz się! Przed sobą widzi salon. W powietrzu unosi się dym, zbyt gęsty i zawzięty, by się poddać klimatyzacji. W przeciwległym krańcu jajowatego wnętrza jego przyrodni brat i siostra śpią na siedzisku. Bawiąc się w mamę i przyjaciela, usnęli z ustami otwartymi zbawienną niewinnością, śliczni urodą właściwą wyłącznie śpiącym dzieciom. Przed zamkniętymi powiekami obojga tkwi baczne *oculus* podobne oczom mongolskich Cyklopów.

— Ślicznie wyglądają, prawda? — odzywa się Mama. — Skarbeńki. Były za bardzo zmęczone, żeby pójść do siebie.

Stół jest okrągły. Wiekowi rycerze i damy zbierają się przy nim przed wyprawą po asa, króla, królową i waleta. Za zbroję służą im liczne warstwy tłuszczu. Policzki Mamy zwisają jak proporce w bezwietrzny dzień. Jej piersi przesuwają się po stole, trzęsąc się, wydymając i falując.

— Zgraja graczy — głośno mówi Chib, przyglądając się tłustym twarzom, balonowym biustom i zapasionym zadom. Obecni unoszą brwi. Cholera, co znaczą słowa szalonego geniusza?

— Twój dzieciak naprawdę jest opóźniony? — pyta jeden z przyjaciół Mamy. Wszyscy wybuchają śmiechem i sięgają po piwo. Angela Ninon szcza sobie pod nogi, bo nie chce by ominęło ją nowe rozdanie. Ma nadzieję, że Mama i tak niedługo włączy spryskiwacze. Wszyscy się z tego śmieją.

— Wchodzę — mówi Wilhelm Zdobywca.

— We mnie możesz zawsze — stwierdza Mama. Goście ryczą ze śmiechu.

Chib ma ochotę płakać. Nie robi tego jednak, choć od dzieciństwa zachęcano go, by płakał zawsze, gdy czuje taką potrzebę.

— Dzięki temu lepiej się czujesz. Pomyśl o Wikingach. Tacy faceci, a płakali jak dzieci, gdy nachodziła ich ochota — powtarzane za zgodą kanału 202 o popularnym programie *Przez matkę*

Chib nie płacze, bo czuje się jak mężczyzna wspominający ukochaną mamę, która nie żyje już od wielu lat. Dawno temu została pogrzebana pod zwałami ciała. Jako szesnastolatek miał cudowną matkę.

Potem go od siebie odsunęła.

Drzewo rodzinne rośnie kołysane wiatrem, więc dmuchajcie ile wlezie⁶

— z wiersza Edgara A. Gristusa, emitowanego przez kanał 88

— Synu, ja niewiele z tego mam. Robię to, bo cię kocham. A potem już tylko sadło, sadło, sadło!

Gdzie ona przepadła?

W otchłani otłuszczenia. Rosnąc, stopniowo znikła.

— Synku, mógłbyś choć od czasu do czasu trochę się ze mną pomocować.

— Sama mnie odsunęłaś, Mamo. W porządku. Teraz jestem już dorosły. Nie masz prawa oczekiwać ode mnie, że do tego wrócę.

— Już mnie nie kochasz!

— Mamo, co jest na śniadanie? — pyta Chib.

— Teraz idzie mi karta, Chibby — mówi Mama. — Sam tyle razy powtarzałeś, że jesteś już dorosły, więc choć raz sam sobie zrób śniadanie.

— To po co do mnie dzwonisz?

— Zapomniałam, kiedy zaczyna się twoja wystawa. Chciałam się trochę przespać, zanim na nią pójde.

— O 14:30, ale nie musisz tam być.

Uszminkowane zielono wargi rozchylają się jak brzegi zaatakowanej przez gangrenę rany. Mama drapie się w zarumieniony sutek.

— Chcę iść. Nie mogę przegapić artystycznego triumfu mego syna. Myślisz, że dostaniesz stypendium?

— Jeśli nie, zostaje nam tylko Egipt.

— Ci śmierdzący Arabowie! — wtrąca Wilhelm Zdobywca.

— O tym decyduje Biuro, nie Arabowie — mówi Chib. — Oni przenieśli się z tej samej przyczyny, dla której być może my też będziemy musieli wyjechać.

Z niepublikowanych wspomnień Dziadka: *Kto by pomyślał, że Beverly Hills robi się antysemitki?*

— Nie chcę jechać do Egiptu! — szlocha Mama. — Musisz dostać to stypendium, Chibby. Nie chcę opuszczać gniazda. Tu się urodziłam i wychowałam. Wprawdzie na dziesiątym poziomie, ale przeniosłam się razem z wszystkimi przyjaciółmi. Nigdzie nie pojedę!

— Nie płacz, Mamo. — Chib martwi się wbrew sobie. — Nie płacz. Rząd nie może cię zmusić do wyjazdu, wiesz przecież. Masz swoje prawa.

— Jeśli zależy ci na wygodnym życiu, pojedziesz — wtrąca Zdobywca. — Oczywiście jeżeli Chib nie zdobędzie stypendium. A nie miałbym mu za złe, gdyby nawet nie próbował. To nie jego

wina, że Wuj Sam nie rozumie słowa „nie”. Masz swoją purpurę, na którą Chib zarabia, sprzedając obrazy. Ale to ci nie wystarcza. Wydajesz szybciej niż dostajesz.

Mama z furią wrzeszczy na Wilhelma i wdają się w kłótnię. Chib wyłącza fido. Do diabła ze śniadaniem. Później coś zje. Do południa musi skończyć ostatni obraz na Festiwal. Przyciska płytę i puste ściany jajowatego pokoju otwierają się w kilku miejscach. Przybory malarskie pojawiają się niczym dary od elektronicznych bogów. Zeuxis by się przekręcił a Van Gogh dostał drgawek, gdyby zobaczyli płótno, paletę i pędzel, jakich używa Chib.

Jednym z etapów procesu malowania jest gięcie i skręcanie tysięcy drucików w różne kształty, na różnych poziomach obrazu. Druciki są tak cienkie, że widać je tylko przez szkła powiększające, a formuje się je niezwykle delikatnymi szczypcami. Stąd specjalne gogle i długi instrument, niewiele grubszy od pajęczej nici, którym Chib posługuje się w pierwszych stadiach tworzenia sceny. Po setkach godzin mozolnej, wymagającej cierpliwości dłubaniny (czego się nie robi z miłości), druciki zostają umocowane.

Chib zdejmuje gogle i przygląda się całości. Potem rozpylaczem pokrywa druty wybranymi kolorami i odcieniami. Farba w ciągu kilku minut wysycha, tworząc sztywną skorupę. Chib podłącza do panwi przewody elektryczne i wciśnięciem guzika posyła niewielkie napięcie w sieć drucików. Metalowa pajęczyna rozżarza się i jak lilipucie lonty znika, pozostawiając tylko szary dym.

Powstaje trójwymiarowe dzieło z twardych powłok farby tworzących wiele poziomów pod zewnętrzną skorupą. Powłoki mają różną grubość, ale wszystkie są na tyle cienkie, że pozwalają światłu wnikać przez wierzchnie warstwy do spodnich, gdy obraz obracany jest pod różnymi kątami. Części tych łupin działają jak zwierciadła odbijające i wzmacniające światło, aby uwypuklić wewnętrzne sceny.

Podczas pokazów obraz umieszcza się na ruchomej podstawie, która obraca całość o 12 stopni w lewo od środka i o 12 stopni w prawo od środka.

Fido daje sygnał dźwiękowy. Chib klnie i zastanawia się, czy go nie odłączyć. Na szczęście to nie interkom, przez który wzywa go histeryczny głos Matki. Jeszcze nie. Pewnie zadzwoni, jeśli za dużo przegra w pokera.

Sezamie, otwórz się!

Śpiewaj, o kapmuzo wuja sama⁷

Dziadek pisze w swoich *Osobistych Wyzwodach*: Dwadzieścia pięć lat po tym, jak uciekłem z dwudziestoma miliardami dolarów, a potem rzekomo umarłem na zawał, Falco Accipiter znowu wpadł na mój ślad. Jako detektyw WBS, zaczynając pracę w swoim zawodzie, przybrał imię Falcona Hawka. Co za egoista! Ale nie można mu odmówić bystrości i wytrwałości. Jest jak drapieżny ptak. Pewnie trząślbym się ze strachu, gdybym nie był za stary na to, by się bać zwykłych ludzi. Kto takim rozluźnia pęta i zdejmuje kapturki? Jakim cudem trafił na stary i zimny już trop?

Accipiter przypomina nadmiernie podejrzliwego sokoła, który szybując, próbuje zajrzeć wszędzie. Sprawdza nawet własny tyłek, upewniając się, czy nie schował się tam żaden głuptak. Bładoniebieskie oczy rzucają spojrzenia jak sztylety wyciągane z rękawa i ciskane z lekkim obrotem nadgarstka. Rejestrują wszystko z drobiazgowością i skrupulatnością godną samego Sherlocka. Detektyw kręci głową we wszystkie strony i strzyże uszami, a jego nozdrza falują. Żywy radar, sonar i odar.

— Panie Winnegan, przepraszam, że dzwonię tak wcześnie. Obudziłem pana?

— Wiesz doskonale, że nie! — mówi Chib. — Proszę nie przedstawiaj się. Wiem, kim jesteś. Chodzisz za mną już od trzech dni.

Accipiter nawet się nie czerwieni. Mistrz opanowania. Rumieni się wyłącznie głęboko w sobie, gdzie nikt nie może tego zobaczyć.

— Skoro wie pan, kim jestem, pewnie może mi pan powiedzieć, dlaczego do pana dzwonię.

— Chyba nie myślisz, że jestem aż tak głupi?

— Panie Winnegan, chciałbym z panem porozmawiać o pańskim prapradziadku.

— On nie żyje od dwudziestu pięciu lat! — krzyczy Chib. — Zapomnij o nim i nie zawracaj mi więcej głowy. Nie staraj się o nakaz przeszukania. Żaden sędzia go nie wyda. Dom jest hecą... to znaczy fortecą człowieka.

Chłopak myśli o Mamie. Wie, jaki będzie dla niego ten dzień, jeśli wkrótce nie wyjdzie z mieszkania. Najpierw jednak musi dokończyć malowanie.

— Znikaj Accipiter — mówi Chib. — Chyba podam cię do BPHR. Jestem pewien, że w tym idiotycznym kapeluszu masz fido.

Twarz Accipitera jest gładka i nieruchoma, jak alabastrowa rzeźba sokolego boga Horusa. Nawet jeśli w jego jelitach gromadzi się odrobina gazu, pozbywa się jej niepostrzeżenie.

— Rozumiem, panie Winnegan. Nie zbędzie mnie pan tak łatwo. W końcu przecież...

— Znikaj!

Interkom gwizdże trzykrotnie. Zdradzę, że trzy gwizdki to sygnał Dziadka.

— Podśluchiwałem — oznajmia studwudziestoletni tubalny głos, głęboki jak echo w grobowcu Faraona. — Chcę cię zobaczyć zanim wyjdiesz. Oczywiście, jeśli możesz poświęcić kilka minut Antycznemu Durniowi⁸.

— Tobie Dziadku, zawsze — mówi Chib, myśląc, jak bardzo kocha staruszka. — Chcesz coś do

jedzenia?

— Tak i potrzebują też stawy dla umysłu.

Der Tag. Dies Irae. Götterdämmerung. Armageddon. Zbliża się kres. Wóz albo przewóz. Czas decyzji. Tyle telefonów z samego rana i przecucie, że to jeszcze nie koniec. Co przyniesie dzień?

Pastyłka słońca wsuwa się w obolałe gardło nocy

— Omar Runa

Chib idzie ku wypukłym drzwiom, które chowają się w przestrzeń między ścianami. Centralnym punktem domu jest owalny pokój rodzinny. W pierwszym kwadrancie, według ruchu wskazówek zegara, znajduje się kuchnia, którą od pokoju rodzinnego oddzielają sześciometrowej wysokości harmonijkowe parawany pokryte przez Chiba rysunkami z egipskich grobowców. Aluzja do jakości współczesnego jedzenia jest zbyt subtelna. Siedem cienkich filarów wokół salonu wyznacza granicę między pokojem a korytarzem. Filary łączone są wysokimi, harmonijkowymi przegrodami, pomalowanymi przez Chiba w okresie fascynacji mitologią Amerindów.

Korytarz także ma kształt owalny; prowadzi do wszystkich pomieszczeń w domu. Pokoi jest siedem. Sześć z nich to kompleksy sypialnia–pracownia–toaleta–prysznic. Siódmym jest schowek.

Małe jajka w większych jajach w obrębie jeszcze większych jaj w megamonolocie na gruszy planety w jajowatym wszechświecie. Najnowsze doniesienia kosmogonii sugerują, że nieskończoność ma kształt owocu kury. Bóg wysiaduje nad otchłanią i gdcze co jakiś trylion lat.

Chib przemierza hol, przechodzi między dwoma filarami, które sam wyrzeźbił w nimfetki kariatydy i wchodzi do pokoju rodzinnego. Matka patrzy z ukosa na syna. Według niej przekroczył już granice szaleństwa, a jeśli nie, to znajduje się o krok od obłędu. To po części jej wina; nie powinna się była brzydzić i w chwili szału odwoływać Tego, Teraz jest gruba i brzydka, Boże, taka gruba i brzydka. Nie ma niepłonnej, ani nawet płonnej nadziei, że zdoła zacząć od nowa.

Taki jest naturalny bieg rzeczy, powtarza sobie, wzdychając z niechęcią i płacząc, bo on porzucił miłość do Matki dla obcych, jędrnych i kształtnych powabów młodych kobiet. Ale dlaczego zrezygnował także z nich? Przecież nie jest homo. Skończył z tym jeszcze jako trzynastolatek. Po co więc ta wstrzeźliwość? Forniksator⁹ też nie wzbudza w nim namiętności, a przecież zrozumiałaby, choć tego nie aprobuje.

O Boże, gdzie popełniłam błąd? Przecież ze mną wszystko jest w porządku. Dzieciak wpada w obłęd, jak jego ojciec — Raleigh Renesans, tak chyba się nazywał — i jego ciotka, i prapradziadek. Wszystko przez to malowanie i tych radykałów z Junga Radicus, z którymi się wszędzie ciąga. Jest na to zbyt wrażliwy i uzdolniony. O Boże, jeśli coś się stanie memu maleńkiemu chłopcu, będę musiała jechać do Egiptu.

Chib zna jej myśli, bo mówiła mu o nich wiele razy, a nowe już nie przychodzą. Bez słowa obchodzi okrągły stół. Rycerze i damy zalanego Camelotu przyglądają mu się zza chmielowej zasłony.

W kuchni otwiera owalne drzwiczki w ścianie. Wyjmuje tacę z jedzeniem w przykrytych naczyńkach, całą zawiniętą w folię.

— Nie zjesz z nami?

— Nie wiem, Mamo — mówi i wraca do swego pokoju po cygara dla Dziadka. Drzwi, wykrywając, wzmacniając i transmitując do mechanizmów aktywujących zmienne, lecz rozpoznawalne zjawy pól elektrycznych epidermy, tym razem go nie wpuszczają. Chib jest za bardzo

zdeenerwowany. Magnetyczne wiry zakłócające równowagę jego skóry zniekształcają konfigurację spektralną. Drzwi odsuwają się do połowy, ponownie zasuwają, po czym raz jeszcze zmieniają zdanie, odsuwają, zasuwają.

Kopnięte nogą skrzydło blokuje się zupełnie. Chib postanawia, że każe zainstalować sezamowe zamknięcie otwierane obrazem lub głosem. Problem w tym, że skończyły mu się jednostki i kupony. Nie ma za co kupić materiałów. Wzrusza ramionami. Zakrzywiającym się, jednościenne holu idzie do drzwi Dziadka. Od osób w salonie odgradzają go kuchenne parawany.

W pieśniach jego pokój, wolność
Piękno, miłość i tęsknota;
Oraz śmierć i życie wieczne
Na Błogosławionych Wyspach,
I w królestwie Ponemaha,
W kraju życia poza życiem.
Hajawata bardzo kochał
Łagodnego Chibiabosa¹⁰.

Chib śpiewnie recytuje hasło; drzwi się odsuwają.

Zza nich dociera blask. Światło jest żółtawe, z lekkim odcieniem czerwieni — twór własny Dziadka. Patrząc w wyrzuczenie wejścia chłopak czuje się tak, jakby zaglądał w gałkę oka szaleńca. Dziadek stoi pośrodku pokoju. Ma białą brodę do połowy ud i białe włosy sięgające kolan. Choć to z powodzeniem by wystarczyło do ukrycia nagości — a przecież nie jest w miejscu publicznym — nosi spodni. Dziadek jest trochę staromodny, co u męża z dwunastoma dekadencjami na karku jest wybaczalne.

Ma tylko jedno oko, tak jak Rex Luscus. Uśmiecha się, odsłaniając własne zęby, wyrosłe z załączków wszczepionych przed trzydziestu laty. Wielkie, zielone cygaro tkwi w kąciu pełnych, czerwonych warg. Nos ma szeroki i rozplaszczony, tak jakby czas nadepnął nań ciężką stopą. Spore rozmiary czoła i policzków zawdzięcza być może zastrzykowi odżibwejowskiej krwi w żyłach, choć urodził się jako Finnegan i nawet pot ma celtycki, o woni whiskey. Głowę trzyma wysoko, a szaroniebieskie oko przypomina sadzawkę na dnie przedpotopowego kotła erozyjnego, pozostałości po stopionym lodowcu.

Krótko mówiąc, twarz Dziadka przypomina oblicze Odyna powracającego z wyprawy do źródła Mimira i rozważającego, czy nie zapłacił zbyt wysokiej ceny. A może jest to lico osmaganej wiatrem i piaskiem Sfinksy z Gizy.

— Parafrazując słowa Napoleona, ciąży na tobie czterdzieści wieków historii — mówi Dziadek. — Skąła wszech epok. *Czymże jest człowiek?* zapytuje Nowy Sfinks, bo choć Edyp rozwiązał zagadkę starej Sfinksy, nic nie osiągnął, bowiem Ona już wydała na świat nowego przedstawiciela swego rodzaju, przemądrzałego gówniarza z pytaniem, na które jak dotąd nikt nie zdołał odpowiedzieć. Możliwe, że w ogóle się nic da.

— Śmiesznie mówisz, Dziadku. Ale mi się to podoba. Chib uśmiecha się do staruszka. Kocha go.

— Codziennie się tu zakradasz, nie tyle z miłości do mnie, co z chęci zdobycia wiedzy i mądrości. Wszystko widziałem, wszystko słyszałem i myślałem więcej niż odrobinę. Wiele podróżowałem, zanim schroniłem się w tym pokoju ćwierć wieku temu. Tymczasem to tutaj odosobnienie okazało się najwspanialszą Odyseją.

Starożytny marynator¹¹

Tak siebie nazywam. Marynata mądrości w zalewie przesolonego cynizmu i zbyt długiego życia.

— Uśmiechasz się, więc pewnie właśnie miałeś kobietę — dogaduje mu Chib.

— Nie, mój chłopcze. Przed trzydziestu laty straciłem czucie w wyciorze. I dzięki za to Bogu, bo od tamtej pory pokusa cudzołożenia już mi nie dokucza, że nie wspomnę o masturbacji. Nadal jednak tkwią we mnie inne siły, potencjał innych grzechów, a te są jeszcze poważniejsze.

— Pomijając grzeszność samych seksualnych asocjacji, z którymi, o paradoksie, wiąże się grzech polucji, miałem inne powody, by nie uciekać się do Nauk Pradawnych Czarnych Magów w poszukiwaniu krochmalu dla ciała. Byłem za stary. Młode dziewczęta pociągały we mnie już tylko pieniądze. Jednocześnie miałem w sobie za wiele poezji i umiłowania piękna, by brać pomarszczone pęcherze mego pokolenia lub generacji, które pojawiły się na świecie przed moją.

— Sam widzisz, mój synu. Jęzor zwinnie miota się w czaszy dzwonu. Bim–Bam–Bom. Sporo bimbania, ale niewiele Bambara–bara–nienia.

Dziadek śmieje się głęboko. Brzmi to jak ryk lwa i gołębnie gruchanie.

— Jestem tylko rzecznikiem praojców, adwokatem — kanciarzem broniącym dawno zmarłych klientów. Przybywam nie po to by pogrzebać, lecz by sławić, a moje poczucie prawości każe mi wyznać błędy przeszłości. Jestem dziwakiem, zrzedliwym starcem, uwięzionym w pniu drzewa jak Merlin. Salmoksisem, trackim bóstwem hibernującym w jaskini. Ostatnim z Siedmiu Śpiących Braci.

Podchodzi do cienkiej, plastikowej rurki zwisającej z sufitu i ściąga w dół składane uchwyty peryskopu.

— Wokół naszego domu krąży Accipiter. Wyniuchał coś gnijącego w Beverly Hills na poziomie 14. Czy to możliwe, że Win–again¹² Winnegan wciąż żyje? Wuj Sam jest jak diplodocus, którego ktoś kopnął w tyłek. Trzeba dwudziestu pięciu lat, żeby sygnał dotarł do jego mózgu.

W oczach Chiba pojawiają się łzy.

— Boże, Dziadku, nie chcę, żeby coś ci się stało.

— A co się może stać studwudziestoletniemu starcowi. Grozi mu najwyżej niewydolność mózgu albo nerek.

— Z całym szacunkiem, Dziadku — mówi Chib. — Śmiem twierdzić, że trzymasz się kupy.

— Możesz mnie nazywać młynem Id — odpowiada Dziadek.

— Mąka, która w nim powstaje, trafia później do dziwnego pieca mojego ego i tam się piecze... a raczej niedopieka, mój drogi.

Chib uśmiecha się przez łzy.

— W szkole uczyli mnie, że kalambury są tanim i ordynarnym chwytem.

— Co dobre dla Homera, Arystofanesa, Rabelais i Szekspira, jest też dobre dla mnie. A tak przy okazji, skoro już mówimy o tanioci i ordynarności, wczoraj w nocy, przed pokerową imprezą, spotkałem na korytarzu twoją Matkę. Właśnie wychodziłem z kuchni z butelką wódki. Prawie zemdląła. Na szczęście szybko się pozbierała i udawała, że mnie nie widzi. Może myślała, że ma

przed sobą ducha, ale wątpię. Gdyby tak było, wypaplałaby to całemu miastu.

— Mogła powiedzieć lekarzowi — mówi Chib. — Widziała cię kilka tygodni temu, pamiętasz? Możliwe, że wspomniała o tym, żaląc się na tak zwane zawroty głowy i halucynacje.

— A ten stary konował, znając historię naszej rodziny, powiadomił WBS. To możliwe.

Chib spogląda przez okular peryskopu. Obraca go i kręci gałkami na uchwycie, podnosząc i opuszczając cyklopa na końcu rury na zewnątrz. Accipiter krąży wokół skupiska siedmiu jaj. Każde tkwi na szerokim, lekko zakrzywionym tunelu korytarza, przypominającym konar połączony z centralnym pniem. Detektyw wchodzi po stopniach jednej z „gałęzi” ku mieszkaniu pani Applebaum. Drzwi się otwierają.

— Chyba akurat zastał ją z dala od forniksatora — mówi Chib.

— Pewnie czuje się samotna. Nie chce rozmawiać z nim przez fido. Mój Boże, ona jest grubsza niż Mama!

— A jaka ma być? — odpowiada Dziadek. — Państwo Przeciętni siedzą cały dzień na tyłkach, piją, jedzą i gapią się w fido. Ich mózgi zmieniają się w szlam, a ciała w szambo. Cezar w dzisiejszych czasach bez trudu mógłby się otoczyć tęgimi przyjaciółmi. Ej, tu Brutusie? Już jadłeś?¹³

Uwaga Dziadka nie powinna jednak dotyczyć pani Applebaum. Kobieta ma w głowie otwór, a ludzie uzależnieni od forniksacji niezmiernie rzadko tyją. Całymi dniami, a także przez część nocy, siedzą lub leżą z igłą wetkniętą w forniks mózgu i aplikują sobie serie słabych wstrząsów elektrycznych. Przy każdym z nich doświadczają niewypowiedzianej ekstazy. Takiej rozkoszy nie da im żadna potrawa, napój, ani nawet seks. Jest to nielegalne, ale rząd zwykle nie nęka amatorów takiej rozrywki, chyba, że mają na koncie inne wykroczenia. Fornicy rzadko mają dzieci. Dwadzieścia pięć procent populacji Los Angeles ma wywiercone w czaszkach otwory i zamocowane w nich maleńkie tuleje ułatwiające wkładanie igieł. Pięć procent społeczeństwa to uzależnieni, którzy fundują sobie powolną śmierć, rzadko jedzą, a ich rozdęte pęcherze sączą truciznę do krwiobiegu.

— Moje rodzeństwo też cię pewnie widywało, gdy wymykałeś się na msze. Sądzisz, że mogli...?

— Oni także biorą mnie za ducha. W dzisiejszych czasach i w takim wieku! Ale to chyba dobry znak, że są jeszcze w stanie w cokolwiek uwierzyć, nawet jeśli to duch.

— Lepiej przestań się wykradać do kościoła.

— Tylko dzięki Kościołowi i tobie jakoś się trzymam. Dzień, w którym mi powiedziałaś, że straciłeś wiarę był dla mnie bardzo smutny. Byłby z ciebie dobry kapłan — nie bez wad, oczywiście — a ja mógłbym mieć prywatne msze i spowiadać się tu, w tym pokoju.

Chib nic nie mówi. Chodził na religię i nabożeństwa tylko po to, by zadowolić Dziadka. Kościół przypominał jajowatą muszlę morską, która, gdyby ją przyłożyć do ucha, szumiałaby tylko odległym rykiem Boga, oddalającego się tak jak odpływ.

Są światy błagające o bogów

ale On uparcie trzyma się tego, szukając sobie roboty.

— ze wspomnień Dziadka

Dziadek zajmuje miejsce przy okularze. Śmieje się.

— Wewnętrzne Biuro Skarbowe! Sądziłem, że je zlikwidują! Kto teraz do cholery ma jakiś dochód wart zgłaszania? Myślisz, że działają tylko przeze mnie? To możliwe.

Woła Chiba z powrotem do peryskopu skierowanego na centrum Beverly Hills. Chib patrzy na rząd siedmiojajowych skupisk na konarach. Widzi fragment centralnego placu, wielkie jajowate budynki ratusza, agencji federalnych i Centrum Sztuki oraz część potężnej spirali, na której wznoszą się świątynie i dora (od pandory), w której ci na purpurze dostają dołę, a ci, co mają dodatkowe dochody, kupują delicje. Ze swego miejsca dostrzega kraniec wielkiego, sztucznego jeziora. Pływają po nim łodzie i kajaki. Ludzie łowią ryby.

Napromieniona plastikowa kopuła, pod którą kryje się Beverly Hills ma kolor błękitnego nieba. Elektroniczne słońce właśnie pnie się ku zenitowi. Widać kilka białych, prawdziwie wyglądających obrazów chmur i nawet ułożony w V klucz gęsi migrujących na południe. Ich krzyki na dole są ledwo słyszalne. Wszystko wydaje się bardzo ładne tym, którzy nigdy nie opuścili murów LA. Ale Chib dwa lata spędził w Korpusie Uzdrawiania i Ochrony Światowej Przyrody — KUOSP — więc wie, jaka jest różnica. Mało brakowało, a zdezerterowałby razem z Rousseau Czerwonym Sokołem i dołączył do neo–Amerindów. Potem chciał zostać leśnym strażnikiem, ale to by oznaczało, że być może kiedyś musiałby zastrzelić lub aresztować Czerwonego Sokoła. Poza tym, nie zamierzał się oszukiwać, ponad wszystko pragnął malować.

— O, tam jest Rex Luscus — mówi Chib. — Robią z nim wywiad przed Centrum Sztuki. Ale tłum.

Pellucidus — przełom przejrzystości

Luscus powinien mieć na drugie imię Triumfator. Wielki erudyta z uprzywilejowanym dostępem do komputera Biblioteki Górnego Los Angeles i przebiegłością Ulissesa, zawsze kończył lepiej niż jego koledzy.

To właśnie on założył Szkołę Krytyków Go–Go.

Gdy Luscus ogłosił nazwę swojej filozofii, Primaluks Ruskin — son, jego wielki przeciwnik, po wnikliwych poszukiwaniach triumfalnie ogłosił, że Luscus zaczerpnął nazwę z dawnego slangu, jakiego używano w połowie dwudziestego wieku.

Niebezpieczne wizje

Następnego dnia, podczas wywiadu transmitowanego przez fido, Luscus nazwał Ruskinsona namiastką uczonego, mówiąc, że właśnie tego się spodziewał po przeciwniku.

Określenie „go–go” wzięło się z języka Hotentotów, w którym oznaczało „badać”, czyli obserwować dany przedmiot — a według nowej filozofii artystę i jego dzieła — dopóki czegoś się nie zauważy.

Krytycy ustawiali się w kolejkę, by się zapisać do nowej szkoły. Ruskinson rozważał popełnienie samobójstwa, ale zamiast tego oskarżył Luscusa, że na drabinę sukcesu piął się po rozporkach.

Luscus za pośrednictwem fido odparł, że jego życie osobiste nie powinno nikogo interesować. Mógł pozwać Ruskinsona o naruszenie prywatności, ale stwierdził, że nie poświęci mu więcej uwagi niż rozgniecionemu komarowi.

— Co to do diabła takiego ten komar? — pytają miliony widzów. — Czemu ten ważniak nie mówi po ludzku?

Na moment głos Luscusa zostaje przyciszony, a tłumacze objaśniają niezrozumiałe słowo na podstawie przed chwilą otrzymanych na monitorze informacji z komputera, który sprawdził hasło w encyklopedii.

Przez dwa lata Luscus płynął na fali nowości Szkoły Go–Go.

Potem zdołał odbudować nieco podupadłą reputację, tworząc filozofię Człowieka Totipotencjalnego.

Zyskała ona taką popularność, że Biuro Kulturowego Rozwoju i Rekreacji zamówiło w programie antenowym godzinę dziennie na półtora roku z góry, przeznaczając ten czas na wstępny kurs totipotencjalizacji.

Komentarz Dziadka Winnegana zanotowany w *Osobistych Wyzwodach*:

Co można powiedzieć o Człowieku Totipotencjalnym, o owej apoteozie indywidualności i pełnego rozwoju psychosomatycznego, o demokratycznym Ubermensch zachwalanym przez Rexa Luscusa, o człowieku seksualnie jednostronnym? Biedny, stary Wuj Sam! Próbuje wepchnąć proteuszowych obywateli w jedną, stabilną matrycę, aby ich kontrolować. A jednocześnie chce zachęcić każdego i wszystkich do pielęgnowania wrodzonych zdolności — jeśli takie mają! Biedny, stary, długonogi, bokobrodaty schizofrenik o białym sercu i krzemiennym mózgu! No cóż, lewa ręka nie ma pojęcia o tym, czym zajmuje się prawa. A co gorsza, prawa ręka nie wie, co sama robi.

— Co można powiedzieć o Człowieku Totipotencjalnym?

— odezwał się Luscus do przewodniczącego podczas czwartego spotkania pod hasłem „Seria Luscańskich Wykładów”. — W czym różni się on od współczesnego Zeitgeist? Otóż w niczym. Człowiek Totipotencjalny jest imperatywem naszych czasów. Musi zaistnieć, zanim zdołamy stworzyć Złoty Świat. Jak można mieć Utopię bez utopijczyków, a Złoty Świat z ludźmi z mosiądzu?

Właśnie tamtego Pamiętnego Dnia Luscus wygłosił mowę na temat Przełomu Przejrzystości *Pellucidus* i tym samym uczynił Chibiabosa Winnegana sławnym. A przede wszystkim, wcale nieprzypadkowo zdobył największą przewagę nad konkurentami.

— Przejrzysty? *Pellucidus*? — mruczy Ruskinson. — Boże, co ten Dzwoniec¹⁴ znowu wymyślił?

— Wyjaśnienie, dlaczego właśnie tym określeniem nazywam rodzaj geniuszu Winnegana, chwilę potrwa — ciągnie Luscus.

— Ale najpierw pozwólcie, że trochę odbiegnę

Z Arktyki do Illinois

— Otóż Konfucjusz kiedyś powiedział, że niedźwiedź nie może spokojnie pierdnąć na biegunie północnym, żeby w Chicago nie zerwał się wiatr. Chciał w ten sposób wyrazić zależność wszelkich wydarzeń i wszystkich ludzi połączonych niezniszczalną pajęczyną. To, co robi jeden człowiek, nieważne jak mało znaczące nam się wydaje, powoduje wibracje nitek pajęczej sieci i wpływa na wszystkich ludzi.

Trzydziesty poziom Lhasa, Tybet, Ho Chung Ko patrząc w fido, mówi do żony: Ten biały kutas wszystko poplątał. Konfucjusz nic takiego nie powiedział. Niech Lenin ma nas w opiece! Zaraz do niego zadzwonię i zrobię piekło.

Żona odpowiada: Lepiej zmieńmy kanał. Akurat leci kurs Mal–O–Wana i...

Ngombe, dziesiąty poziom, Nairobi: Tutejsi krytycy to zgraja czarnych drani. Luscus to co innego. On w sekundę poznałby się na moim geniuszu. Jutro rano idę złożyć podanie o emigrację.

Żona: „Mógłbyś przynajmniej spytać mnie, czy chcę wyjeżdżać! A co z dziećmi... z matką... z przyjaciółmi... z psem...? i tak dalej w bezlwią noc jasnej Afryki.

— ...były prezydent Radinoff — ciągnie Luscus — powiedział kiedyś, że nadeszła era „człowieka wtyki”. Określenie to, według mnie niezwykle wnikliwie, doczekało się kilku raczej wulgarnych komentarzy. Otóż Radinoffowi nie chodziło o to, że ludzka społeczność przypomina łańcuszek zbrojeńców. Chciał jedynie powiedzieć, że prądy współczesnego społeczeństwa płyną obwodami, których częścią jesteśmy my wszyscy. Nastąpiła era Pełnego Zespolenia. Żadne druty nie mogą wisieć luzem; w przeciwnym razie dojdzie do zwarcia. Jednocześnie nie da się zaprzeczyć twierdzeniu, że życie bez indywidualności jest nic nie warte. Każdy człowiek musi być *hapax legomenon*...

Ruskinson podrywa się z fotela.

— Znam to określenie! — wrzeszczy. — Tym razem mam cię Luscus!

Jest tak bardzo poruszony, że przewraca się i mdleje. To symptom powszechnie dziedziczonej wady. Kiedy odzyskuje przytomność, jest już po wykładzie. Rzuci się do rejestratora, aby przejrzeć to, co przegapił. Widzi jednak, że Luscus unikał definiowania *Pellucidus* — Przełomu Przejrzystości. Ma to wyjaśnić podczas kolejnego spotkania.

Dziadek znowu stoi przy peryskopie i pogwizduje.

— Czuję się jak astronom. Planety krążą po orbitach wokół naszego domu — słońca. Oto Accipiter, najbliższy, Merkury, choć ten akurat nie jest bogiem złodziei, lecz ich Nemezis. Następna, Benedyktyna, twoja żalonna Wenus. Mocniej, mocniej, mocniej! Plemniki porozbijająby sobie główki o jej kamienne jajo. Masz pewność, że jest w ciąży?

— Potem twoja Mama, ubrana, że niech ją kule biją i szkoda, że czyjaś jej jeszcze nie trafiła. Nasza Matka Ziemia zmierza ku perygeum parlamentowego sklepu, żeby zmarnować twoją dolę.

Dziadek pewniej opiera stopy o podłogę, tak jakby stał na kołyszącym się pokładzie. Niebiesko — sine żyły na jego nogach pną się duszącą winoroślą po prastarym dębie.

— Krótka przerwa w roli wielkiego astronoma Hen Doktor Sterascheissdreckschnuppe, by wcielić się w der Lodzpotwotna Kapitan von Łowicz die Ryben in der Beczken. Ach! Oto trampowiec Schteamer, Deine Mama, spaczą s kuhsu, pruje dziobem, kołysze się w odmętach alkoholu. Kompas przepadł; rumb na oko. Trzy szmaty na wiatr. Koła łopatkowe kręcą się w powietrzu. Czarna, złana potem załoga pali w kotłowni frustracji. Śruby napędowe zaplątały się w sieci nerwicy. Jest tylko Wielki Biały Wieloryb, ledwie błysk 1 w czarnych odmętach, ale zbliża się szybko. Chce ją przesyć od tyłu, w taką rufę nie sposób nie trafić. Jakże mi żal tej łodzi. Płaczę. I wymiotuję z obrzydzenia.

— Ognia! I raz jeszcze! Bar—a—bam! Mama kładzie się na bok. W kadłubie ma dziurę o poszarpanych brzegach, ale nie tę, o której myślisz. Idzie na dno, dziobem w dół, jak przystoi zapalonej felacjonistce. Jej wielka rufa unosi się w górę. Gul, gul! Pełna fato — mowa piątka! —

— I znowu z podmorskiego świata w przestworza. Twój leśny Mars, Czerwony Sokół, właśnie wyszedł z tawerny. A Luscus, Jowisz, jednooki Wszechojciec Sztuki — otoczył się rojem satelitów. Wybacz mi, że mieszam mitologię nordycką z rzymską.

Ekskrecja jest gorzką stroną twórczości

— mówi Luscus sprawozdawcom fido. — Chcę przez to powiedzieć, że Winnegan, tak jak każdy artysta, wielki czy mały, tworzy sztukę, która jest po pierwsze sekrecją, jemu wyłączną, a po drugie ekskrecją. Oczywiście ekskrecją w pierwotnym sensie tego słowa, czyli „odłączeniem”. Ekskrecją twórczą i odosobnioną. Wiem, że moi szanowni koledzy będą się śmiali z takiej analogii, ale wyzywam ich na debatę w fido w pierwszym dostępnym terminie.

Artysta demonstruje odwagę publicznie pokazując twory wypływające z jego wnętrza. Gorzką stroną jest to, że może go spotkać odrzucenie lub brak zrozumienia w czasach mu współczesnych. Prócz tego, gorycz potęgowana jest strasznym bojem, jaki toczy się w jego wnętrzu. Twórca poddaje się działaniu obcych i chaotycznych żywiołów, często sprzecznych, które on sam musi spoić, a potem ukształtować w wyjątkowe dzieło. Stąd termin „ekskrecji odosobnionej”.

— Czy mamy rozumieć, że wszystko jest wielką kupą gnoju, a sztuka ją diametralnie zmienia, formując z niej coś wspaniałego i oświecającego? — pyta jeden ze fido-reporterów.

— Niezupełnie. Ale jest pan bliski prawdy. Problem ten rozwinę i objaśnię w późniejszym terminie. Teraz zamierzam mówić o Winneganie. Pamiętajmy, że pomniejsi artyści oddają jedynie zewnętrzny wygląd

Niebezpieczne wizje rzeczy; są jak fotografowie. Ci wspaniali potrafią ukazać głębię przedmiotów i postaci. Tymczasem Winnegan jest pierwszym, który w swoim dziele wykracza poza zwykłą, pojedynczą głębię. Wynaleziona przez niego wielowarstwowa technika altoreliefu pozwala objawić — czyli wprost pokazać — wewnętrzne warstwy nałożone na siebie.

— Wielki Malarski Obieracz Cebuli! — krzyczy głośno Primaluks Ruskinson.

Luscus spokojnie czeka, aż śmiechy ucichną.

— W pewnym sensie jest to doskonałe porównanie. Wielka sztuka, podobnie jak cebula, wyciska z oczu łzy. Jednakże światło w obrazach Winnegana nie jest wyłącznie odbiciem; jest wchłaniane, przetrawiane i dopiero potem oddawane. Każdy załamany promień pokazuje nam nie różne aspekty postaci w głębi, lecz całe postacie. A śmiem nawet twierdzić, że całe światy. Nazwałem to *Pellucidus* — Przełomem Przejrzystości. Takie właśnie jest wklęsłe wnętrze naszej planety i takim przedstawił je w zapomnianej już powieści romantycznej dwudziestowieczny pisarz Edgar Rice Burroughs, twórca nieśmiertelnego Tarzana.

Ruskinson jęczy i czuje, że znowu robi mu się słabo.

— Przezroczyści! *Pellucidus*! Świat Pellucidar! Luscus, ty dwuznaczny draniu! Ty amatorze ekshumacji!

— Bohater Burroughsa spenetrował ziemską skorupę i odkrył pod nią inny świat. Wnętrze, w pewnym sensie okazało się przeciwnością zewnętrznej postaci. Kontynenty były tam, gdzie na powierzchni morza, i na odwrót. W podobny sposób Winnegan odkrył świat wewnętrzny, przeciwieństwo publicznego wizerunku Przeciętnego człowieka. Tak jak bohater Burroughsa, nasz artysta powrócił z zadziwiającą opowieścią o niebezpieczeństwach psychiki i o jej badaniu. —

— Fikcyjny podróżnik znalazł na Pellucidar praludzi i dinozaury. Także świat Winnegana, choć z

jednej strony całkowicie współczesny, jest archaiczny. Przepastnie pierwotny. Ale w jego iluminacji tkwi też zła i tajemnicza plama czerni, której na Pellucidar odpowiada mały, niezmienny księżyc rzucający straszny, nieruchomy cień. —

— Oczywiście celowo użyłem pojęcia „przejrzystości” w teorii *Pellucidus*. O ile jednak „przejrzysty” oznacza „odbijający światło w równym stopniu całą powierzchnią” albo „przepuszczający światło bez rozpraszania go lub zniekształcania”, to obrazy Winnegana kierują się odwrotnością tej zasady. Ale pod załamywanymi i zakrzywianymi promieniami, wnikliwy obserwator dojrzy pierwotną jasność, czystą i niezmaconą. To właśnie światło łączy wszystkie frakcje i liczne poziomy, i właśnie je miałem na myśli mówiąc wcześniej o erze „człowieka wtyki” i o polarnym niedźwiedziu. Wyjątkowo baczny widz to dostrzeże i niemal poczuje fotonowy *fremitus* serca świata Winnegana.

Ruskinson jest bliski omdlenia. Uśmiech i czarny inonokl Luscusa upodabniają go do pirata, który właśnie zdobył hiszpański galeon wyładowany złotem.

Dziadek nie rusza się od peryskopu.

— A oto i Maryam bint Yusuf, egipska prosta kobieta, o której mi opowiadałeś — mówi. — Twój Saturn. Daleka, królewska, chłodna. Nosi jeden z tych kolorowych, wirujących kapeluszy, za którymi wszyscy teraz szaleją. Czy to pierścienie Saturna, czy może aureola?

— Jest piękna. Byłaby cudowną matką moich dzieci — mówi Chib.

— Iście arabski szyk. Twój Saturn ma dwa księżycy, matkę i ciotkę. Przyzwoitki! Mówisz, że byłaby dobrą matką! Za to jaką żoną! Jest inteligentna?

— Mądrością dorównuje Benedyktynie.

— A zatem łajnomózga. Masz do takich szczęście. Skąd wiesz, że się w niej kochasz? W ciągu sześciu miesięcy kochałeś dwadzieścia kobiet.

— Kocham ją i już.

— Aż zjawi się następna. Potrafisz w ogóle kochać coś prócz malowania? Benedyktyna planuje aborcję, czy tak?

— Nie, jeśli uda mi się ją od tego odwieść — odpowiada Chib. — Prawdę mówiąc już jej nawet nie lubię. Ale to ona nosi moje dziecko.

— Niechże się przyjrzę twoim lędzwiom. W rzeczy samej, jesteś mężczyzną. Przez chwilę nie byłem tego pewien. Dziecko to szaleństwo.

— To cud, który wstrząśnie sekstyliionami niewiernych.

— Oto gdzie mysz pogrzebana. Czyżbyś nie słyszał, że Wuj Sam oddał serce propagandzie, by ograniczyć propagację? Gdzieś ty się podziewał całe swoje życie?

— Muszę już iść, Dziadku.

Chib całuje staruszkę i wraca do swego pokoju, by dokończyć ostatni obraz. Drzwi nadal upierają się go nie poznawać, więc dzwoni do parliamentowego warsztatu, ale tam się dowiaduje, że wszyscy technicy poszli na Festiwal Sztuki. Czerwony z wściekłości wychodzi z domu. Flagi i balony powiewają i huśtają się na sztucznym wietrze, który specjalnie na tę okoliczność wzmocniono. Przy jeziorze gra orkiestra.

Przez peryskop Dziadek patrzy, jak Chib odchodzi.

— Biedaczysko! Boleję nad jego bólem. Chce mieć dziecko. Czuje się rozdarty, bo ta biedaczka Benedyktyna postanowiła je usunąć. Nawet nie wie, że część jego agonii wynika z tego, że się utożsamia z dzieciną, której los jest z góry przesądzony. Jego własna Matka miała niezliczone — no, w każdym razie liczne — aborcje. Gdyby nie boża łaska, on znalazły się wśród usuniętych, stałby się kolejną nicością. Chce, by jego dziecko także miało szansę. Ale nic na to nie poradzi. Nic a nic —

— No i jest jeszcze inne uczucie, to samo, które trapi resztę ludzkości. Chib rozumie, że schrzanił swoje życie albo że coś mu je poplątało. Każdy myślący człowiek o tym wie. Nawet kołtuny i mętnomózgi nieświadomie to pojmują. Ale dziecko, cudowna istotka, nieskalana żadnym rysikiem tabliczka, nieukształtowany aniołek, symbolizuje nową nadzieję. Może ono niczego nie schrzani. Może wyrośnie na zdrowego pewnego siebie rozsądnego pogodnego niesamolubnego kochającego człowieka. Dumny, choć niespokojny rodzic zawsze sobie przyrzeka: „Nie będzie takie jak ja, ani jak sąsiad zza ściany”. —

— Chib też tak sobie myśli i przysięga, że jego maleństwo będzie inne. Ale oszukuje sam siebie, tak jak i pozostali. Dziecko ma jednego ojca i jedną matkę, ale za to tryliony cioć i wujków. Nie tylko tych sobie współczesnych, ale także tych zmarłych. Nawet gdyby Chib uciekł w puszcze i samotnie wychowywał malca, przekazałby mu własne nieświadomione przekonania. Dziecko wyrastałoby, kształtując w sobie postawy, z których jego ojciec nawet nie zdaje sobie sprawy. Wychowanie w izolacji rzeczywiście doprowadziłoby do tego, że potomek byłby szczególną istotą ludzką. —

— A gdyby wychowywał dziecko w tej społeczności, nieuchronnie przejęłoby przynajmniej część nastawień swoich towarzyszy zabaw, nauczycieli i tak dalej *ad nauseam*. —

— Lepiej więc Chibie porzuć myśl o stworzeniu nowego Adama z owej maleńkiej kopalni potencjału. Jeśli wyrośnie na człowieka o zmysłach choć w połowie zdrowych, stanie się tak za sprawą twojej miłości i nauk oraz dlatego, że sprzyjało mu szczęście w kontaktach z innymi, a przy poczęciu otrzymało odpowiednią kombinację genów. Twój syn lub twoja córka już walczy i już kocha.

Ten sam sen u jednego kończy się koszmarami, a u drugiego polucją

Tak mawia Dziadek.

— Niedawno rozmawiałem z Dante Alighierim i opowiadał mi, jakim piekłem głupoty, okrucieństwa, perwersji, ateizmu i niebezpieczeństw był szesnasty wiek. O dziewiętnastym paplał bezsensownie, na próżno poszukując odpowiednich obelg.

— Za to w naszym wieku tak mu się podniosło ciśnienie, że musiałem ukradkiem podać mu środek uspokajający i odesłać wehikułem czasu w towarzystwie pielęgniarki. Wyglądała zupełnie jak Beatrice, więc była — chyba — odpowiednim dla niego lekarstwem.

Dziadek chichocze, przypominając sobie, że Chib, jako mały chłopiec, naprawdę wierzył w opowieści o gościach przybywających wehikułem czasu, postaciach takich, jak Nabuchodonozor, król co jadał trawę; Samson, zagadkowa postać Epoki Brązu i dopust Filistynów; Mojżesz, który skradł boga swemu teściowi Kenicie i przez całe życie walczył z obrzezaniem; Budda, pierwszy Bitnik; Syzyf, który dbał o to by skały nie porósł mech, ale zrobił sobie krótki urlop od obowiązku wtaczania jej pod górę; Androkles i jego koleś, tchórzliwy Lew z krainy Oz; Czerwony Baron Richthofen; Beowulf; Al Capone; Hajawata; Iwan Groźny i setki innych.

W końcu Dziadek zaczął się niepokoić. Bał się, że Chib myli fantazję z rzeczywistością. Bardzo nie chciał mówić malcowi, że zmyślał te wszystkie przepiękne opowieści po to, by go nauczyć historii. Czuł się tak, jakby miał wytłumaczyć dziecku, że Święty Mikołaj nie istnieje.

Potem, gdy niechętnie wyjaśniał wszystko wnukowi, zobaczył, że Chib z trudem powstrzymuje się od śmiechu i zrozumiał, że tym razem to on dał się nabrać. Chiba nikt nigdy nie zaskoczył albo chłopak nigdy nie dał tego po sobie poznać. Tamtym razem obaj się uśmieli, a Dziadek znowu zaczął opowiadać o swoich gościach.

— Nie ma wehikułów czasu — mówi Dziadek. — Czy ci się to podoba, czy nie, musisz żyć w swoich czasach, mój ty Miniverze Cheevy¹⁵.

— Machiny pracują w fabrycznych halach w ciszy przerywanej tylko trajkotem nielicznych dozorców. Wielkie rury zasysają z morza wodę i denny szlam. Wszystko automatycznie trafia na dziesięć poziomów produkcyjnych LA. Tam nieorganiczne związki przetwarzane są w energię, a dalej w materię, czyli w jedzenie, napoje, leki i wszelkie przedmioty. Poza murami miasta niewiele jest pól uprawnych i hodowli zwierząt, ale każdy ma wszystkiego w bród. Duplikaty materii organicznej są sztuczne, lecz niezwykle wierne, więc kto by się na tym poznał?

— Głód i niedostatek doskwierają tylko samozwańczym banitom włóczącym się po lasach. Jedzenie i wszelkie dobra przesyłane są do pandor i rozdzielane odbiorcom purpury. *Purpura*. Co za eufemizm!. By zasłużyć na purpurę kojarzoną z królewskim stanem i boskim prawem, wystarczy się urodzić.

— Ludzie innych epok postrzegaliby naszą jako szaloną, tymczasem cieszy się ona przywilejami, których innym brakowało. By zaradzić poczuciu krótkotrwałości i wyobcowania, megalopolia dzielona jest na niewielkie społeczności. Człowiek może całe życie nie ruszać się z miejsca, nie musi

nigdzie się przenosić, by zdobyć to, czego potrzebuje. Wraz z tym powrócił prowincjonalizm, małomiasteczkowy patriotyzm i wrogie nastawienie do obcych. Stąd krwawe walki młodocianych gangów z różnych miast. Stąd nieustające, złośliwe plotki. Stąd wymóg podporządkowania się lokalnym prawom.

— Jednocześnie każdy mieszkaniec małego miasta ma fido, które pozwala mu śledzić wydarzenia w dowolnym miejscu na świecie. Doskonałych programów jest ile dusza zapagnie, choć są pomieszane z bzdurami i propagandą, które rząd uważa za pożyteczne dla ludzi. Człowiek może nie wychodząc z domu zdobyć stopień naukowy odpowiadający doktoratowi.

— Nastąpiło kolejne Oświecenie, sztuki kwitną tak jak w peryklejskich Atenach, w państwach — miastach Italii za czasów Michała Anioła oraz w szekspirowskiej Anglii. Ale, o paradoksie, takiej ilości analfabetów historia świata nie pamięta. I tylu uczonych. Więcej osób włada klasyczną łaciną niż za czasów Cezara. Świat estetyki rodzi bajeczne owoce.

— Powszechna jest polityka *homogenizacji* ograniczająca prowincjonalizm i dodatkowo zmniejszająca prawdopodobieństwo wojny między narodami. Polega ona na dobrowolnej wymianie części obywateli różnych państw. Ci ludzie to zakładnicy pokoju i braterskiej miłości. Przekupstwem nakłania się do emigracji mieszkańców, którzy nie potrafią przetrwać wyłącznie na purpurze lub uważają, że byłiby szczęśliwsi gdzie indziej.

— Nasz świat pod niektórymi względami jest Złoty; pod innymi przypomina koszmar. Co się więc zmieniło? Przecież to samo można powiedzieć o każdej epoce. Nasza musiała sobie radzić z przeludnieniem i automatyzacją. Czy mogliśmy rozwiązać problem inaczej? Przecież jak zawsze wszystko się sprowadza do dylematu osła Buridana (tak naprawdę był to pies). Osioł ów zdychał z głodu, ponieważ nie mógł się zdecydować, którą z dwóch identycznych wiązek siana ma zjeść.

— Historia mówi: *otoporis asinorum* z ludźmi — osłami na moście czasu.

— Nie, oba te porównania nie są ani sprawiedliwe, ani słuszne. Mówimy raczej o koniach Hobsona, który proponował zwierzę w najbliższym boksie stajni lub żadne. Dziś wieczorem Zeitgeist wybiera się na przejażdżkę, niech każdy pilnuje własnego ogona!

— Twórcy Potrójnej Rewolucji z połowy dwudziestego wieku, nie pomylili się w niektórych aspektach swoich prognoz. Ale nie docenili tego, jak na przeciętnego człowieka wpłynie brak pracy. Wierzyli, że wszyscy ludzie mają równy potencjał rozwijania zdolności artystycznych, że każdy może się zająć sztuką, majsterkowaniem, jakimś hobby albo nauką dla samej nauki. Nie potrafili sprostać „niedemokratycznej” rzeczywistości. Otóż zaledwie dziesięć procent populacji — jeśli nie mniej — posiada wrodzoną umiejętność tworzenia dzieł wartościowych albo przynajmniej interesujących. Rzemiosło, wszelkie zainteresowania oraz nieustanne kształcenie się po jakimś czasie tracą atrakcyjność i człowiek jak zawsze wraca do trunków, fido i nierzędu.

— Bez poczucia własnej godności ojcowie stają się wolnymi strzelcami, koczownikami na stepach seksu. Matce, przez wielkie M, przypada dominująca rola w rodzinie. Ona też różnie się prowadzi, ale opiekuje się dziećmi; większość czasu spędza właśnie przy nich. W domu, gdzie ojciec jest mniejszą figurą — stale nieobecny, słaby lub obojętny — dzieci często mają skłonności homo — seksualne lub ambiseksualne. Bajkowy świat jest zarazem światkiem — homo—elfów.

— Niektóre cechy tej epoki dało się przewidzieć. Do takich należy swoboda seksualna, choć dawniej nikt nawet nie przypuszczał, jak daleko ona sięgnie. Kto mógł wiedzieć, że powstanie sekta Panamorytów? To prawda, że Ameryka w swoim czasie rodziła różne obłąkańcze kultury z zapalem żaby produkującej skrzek. Wczorajszy monomaniak jest jutrzejszym mesjaszem i tak oto Sheltey i jego wyznawcy przetrwali lata prześladowań, a dziś ich poglądy zakorzenione są w naszej kulturze.

Dziadek ponownie ustawia siatki celownicze peryskopu na Chibie.

— Oto idzie mój piękny wnuk, niesie podarunki Grekom. Jak dotąd Herkules nie zdołał oczyścić augiaszowej stajni jego psychiki. A jednak, ten Apollinowy fajtłapa, ten Złamany Edyp, może mimo wszystko odnieść sukces. Spotkało go więcej szczęścia niż większość jego rówieśników. Miał stałego, choć potajemnego ojca — błaznowatego starca ukrywającego się przed tak zwaną sprawiedliwością. Doświadczył miłości oraz dyscypliny i w tej oto komnacie otrzymał wyśmienite nauki. Okazał się też jednym ze szczęśliwców, którzy mają zawód.

— Problem w tym, że Mama za dużo wydaje, a w dodatku jest uzależniona od hazardu, przez co nie przysługuje jej pełen gwarantowany deputat. Ja oficjalnie nie żyję, więc nie dostaję purpury. Chib musi sam na wszystko zarobić, sprzedając lub wymieniając swoje obrazy. Luscus pomógł mu rozślawiając jego imię, ale w każdej chwili może się obrócić przeciw niemu. Pieniądze z obrazów nie wystarczają. Nic dziwnego, w końcu nie są już podstawą naszej gospodarki; pełnią teraz rolę zaledwie pomocniczą. Chibowi potrzebne jest stypendium, ale go nie dostanie, jeśli nie pozwoli Luscusowi na zbliżenie.

— Chłopak bynajmniej nie stroni od kontaktów homoseksualnych. Jak większość jego rówieśników jest seksualnie ambiwalentny. Sądzę, że nadal od czasu do czasu sypia z Omarem Runą. Bo niby dlaczego nie? Przecież się kochają. Chib odrzuca Luscusa dla zasady. Nie będzie się kurwił dla kariery. Poza tym wyznaje poglądy głęboko zakorzenione we współczesnym społeczeństwie. Wierzy, że niewymuszony homoseksualizm jest naturalny (cokolwiek to oznacza?), ale przymusowy jest — jak niegdyś by to określono — dewiacją.

— Dlatego Chib być może pojedzie do Egiptu. Tylko co się wtedy stanie ze mną? —

— Nie przejmuj się mną i twoją Matką, Chibie. Nie przejmuj się niczym. Nie ustępuj Luscusowi. Wspomnij przedśmiertne słowa Singletona, dyrektora Agencji Relokacji i Rehabilitacji, który zastrzelił się, bo nie umiał się dostosować do nowych czasów: „Co będzie, jeśli człowiek zdobędzie świat, ale da dupy?”

W tej chwili Dziadek widzi jak wnuk, który od jakiegoś czasu szedł przygarbiony, nagle się prostuje. Moment później Chib już tańczy. Nieco nieudolnie szura nogami, a potem robi serię piruetów. Widać, że krzyczy coś radośnie. Przechodnie wokół niego się uśmiechają.

Dziadek wzdycha, po czym się śmieje.

— Boże, te młode kozy. Nie sposób przewidzieć, kiedy zmieni się spektrum i czerń smutku zostanie wyparta przez jasny pomarańcz radości! Tańcz, Chibie, tańcz. Niech ci się zakręci w tym szalonym łbie! Bądź szczęśliwy, nawet jeśli ma to trwać tylko chwilę! Jesteś jeszcze młody, tryskasz niepokromioną nadzieją! Tańcz, Chibie, tańcz!

Śmieje się i ociera łzę.

Seksualne implikacje szarzy lekkiej brygady

to lektura tak fascynująca, że doktor Jespersen Joyce Bathymens, psycholingwista pracujący dla federalnej Agencji Rekonfiguracji Grupowej i Interkomunikatywności, niechętnie się od niej odrywa. Niestety, obowiązki wzywają.

— Rzdokiewka, odmiana *radicus* jest czerwona — mówi do dyktafonu. — Młodzi z Junga Radicus nazwali tak swoją grupę, ponieważ *radicus* to *radicis*, czyli „korzeń”, a stąd słowo „radykalny”. Być może chodziło im także o barwę samego korzenia. Chcą być gniewni, a powszechnie wiadomo, że człowiek robi się z gniewu czerwony. Możliwe, że nie bez znaczenia są też rakowatość oraz gorączka rui. Do tego dochodzi jeszcze ruderalizm, w dialekcie Beverly Hills oznaczający niezdiscyplinowanie i społeczną niezaradność.

— Nie zaklasyfikowałbym Junga Radicus do Lewicy; organizacja reprezentuje raczej współczesną niechęć wobec Życia–W–Ogóle i nie propaguje żadnej radykalnej polityki naprawczej. Młodzi sprzeciwiają się Postaci Rzeczy, zachowując się przy tym jak małpy, ale nigdy nie przedstawiają konstruktywnej krytyki. Chcą tylko niszczyć, nie myśląc o tym, co zrobią po destrukcji.

— Jednym słowem, gderają i narzekają jak każdy przeciętny obywatel, a wyróżniają się tylko tym, że jaśniej się wyrażają.

W Los Angeles istnieją tysiące grup takich jak ta, a na całym świecie pewnie miliony. Młodzi mają za sobą zwyczajne dzieciństwo. Urodzili się i wychowali w tym samym gnieździe, co jest jednym z powodów wybrania akurat tej grupy na przedmiot badań. Jakie zjawisko doprowadziło do ukształtowania się dziesięciu tak twórczych osób? Wszyscy przyszli na świat mniej więcej w tym samym czasie, w siedmiu domach Strefy 69–14. Praktycznie dorastali razem od chwili, kiedy wsadzono ich do wspólnego kojca na centralnym pniu gniazda, a każda z matek pilnowała dzieci po kolei, podczas gdy pozostałe robiły to, co musiały, by... co to ja chciałem?

— Aha, wszyscy mieli normalne życie, chodzili do tej samej szkoły, żyli ze sobą, prowadzili zwykłe seksualne gry, przyłączali się do młodocianych gangów i wdawali w dość krwawe wojny z Weestwood i innymi bandami. Bez wątplenia wszystkich ich wyróżniała wyjątkowa ciekawość intelektualna i wszyscy czynnie zaczęli uprawiać sztukę.

— Według jednej z teorii — niewykluczone, że prawdziwej — całą dziesiątkę spłodził tajemniczy obcy, Raleigh Renesans. Niestety, nie sposób tego potwierdzić. W tamtym okresie Raleigh Renesans mieszkał w domu pani Winnegan, ale wiadomo, że był niezwykle aktywny w całym gnieździe, a nawet w całym Beverly Hills. Nadal nie wiemy skąd pochodził, kim był i dokąd odszedł, choć wiele agencji prowadziło intensywne poszukiwania. Nie miał dowodu tożsamości ani innych dokumentów, a mimo to władze długo się nim nie interesowały. Podobno miał coś na naczelnika policji Beverly Hills, a być może także na niektórych agentów federalnych stacjonujących w tej okolicy.

— Przez dwa lata mieszkał z panią Winnegan, po czym przepadł bez śladu. Powiadano, że opuścił Los Angeles i dołączył do plemienia białych neo–Amerindów, czasem zwanymi też Indianami.

— A wracając do młodych z Junga (czyżby od Carla Junga?) Radicus. Buntują się oni przeciw ojcowskiemu wizerunkowi Wują Sama, czyli Uncle Sama, którego zarazem kochają i nienawidzą — W swej nieświadomości utożsamiają go oczywiście z *unco*, szkockim słowem oznaczającym osobę tajemniczą, dziwaka lub obcego, co wskazywałoby, że własnych ojców uważają za obcych. Wszyscy pochodzą z domów, w których ojcowie byli nieobecni lub słabi, co, niestety, jest dość powszechne w naszej kulturze.

— Ja sam nigdy nie znałem mego ojca... Tooney, wymaż ostatnie zdanie. Nie ma związku z tematem. Słowem *unco* określa się także wieści lub nowiny, co oznacza, że ci nieszczęśliwi młodzi ludzie z niepokojem oczekują wiadomości o powrocie ojców i być może potajemnie żywią nadzieję na pojednanie z Samem, czyli właśnie z ojcami.

— Wuj Sam. Sam jest skrótem od Samuela, z hebrajskiego *Šemû'cl*, co znaczy „Jego imieniem jest Bóg”. Wszyscy Radicusi są ateistami, choć niektórzy, zwłaszcza Omar Runa i Chibiabos Winnegan, jako dzieci uczyli się religii (odpowiednio w panamo — ryckiej i rzymsko — katolickiej wierze).

— Bunt młodego Winnegana przeciwko Bogu i katolickiemu kościołowi bez wątpienia zyskał na sile z tej przyczyny, że jego matka wpychała w niego leki przeczyszczające¹⁶, gdyż stale cierpiał na zaparcia. Prawdopodobnie nie cierpiał uczyć się fazechizmu, bo wolał się bawić. Wspomnieć należy także o bardzo znaczącym i traumatycznym przeżyciu, gdy siłą założono mu *kateter*. (Wstrzymywanie się od ekskrecji w młodym wieku zostanie szerzej omówione w dalszej części raportu.)

— Wuj Sam, Wzorowy Ojciec, ważna figura. Podtekst w słowie *figura* jest tak oczywisty, że nawet o nim nie wspomnę. Być może ważna jest też *figa*, jako gest. Wystarczy sobie przypomnieć „pięści złożone w figi”! — sprawdź to w *Piekle* Dantego, gdzie jakiś Włoch lub inny piekielnik powiedział: „Hej, Boże, weź to, daję tobie!” gryząc kciuk w pradawnym geście wyrażającym bunt i brak szacunku. Hm? Kciuk wepchnięty w usta — czyżby infantylność?

— Istnieje wiele słów, które z imieniem „Sam” łączą fonetyczne, ortograficzne i semisemantyczne związki. Niezwykle znaczący jest fakt, że młody Winnegan nie lubi, gdy się go nazywa *kochanym jelonkiem*¹⁷. Twierdzi, że matka mówiła tak do niego tyle razy, że robi mu się niedobrze na dźwięk tych słów. Określenie to ma dla niego głębsze znaczenie. Weźmy na przykład *sambara* indyjskiego, jelenia z porożem, które ma *trzy* odgałęzienia. (Tu też pojawia się w nazwie człon *sam*.) Liczba *trzy* symbolizuje w pojęciu chłopaka dokument Potrójnej Rewolucji. Data jego powstania jest zarazem historyczną datą początku naszej ery, której Chib rzekomo tak nienawidzi. Potrójność to także archetyp Świętej Trójcy, przeciwko której często bluźnią młodzi z Junga Radicus.

— Muszę przyznać, że grupa ta różni się od innych, dotąd przeze mnie badanych. Pozostałe ograniczają się do nieczęstych i łagodnych bluźnierstw, nie wykraczając poza słabego, a wręcz bledziuchnego religijnego ducha współczesności. Wielcy bluźniercy żyć mogą tylko w czasach wielkiej wiary. —

— „Sam” to także „taki sam”, czyli młodzi nieświadome dążą do konformizmu.

— Niewykluczone też — choć ten punkt analizy może się okazać bez związku — że Sam ma związek z Samekh, czyli z piętnastą literą hebrajskiego alfabetu. (Sam! E!?) Według dawnych zasad ortografii języka angielskiego, których młodzi z Junga Radicus uczyli się w dzieciństwie, piętnastą literą alfabetu łacińskiego jest O. W tablicy alfabetycznej mego słownika, 128. edycji Webster's New Collegiate, łacińskie „O” znajduje się w tym samym wierszu, co arabski symbol Dad oraz hebrajski znak mem. A zatem mamy podwójne odniesienie do brakującego i upragnionego ojca (w symbolu „Dad”) oraz do dominującej matki (w symbolu „mem”).

— Grecki omikron, który także znajduje się w tym samym wierszu, nic mi na razie nie mówi. Ale

dajcie mi czas; trzeba się nad tym zastanowić.

— Omikron. Małe „o”! Mała litera omikron ma kształt jaja. Małe jajo, zapłodnione plemnikiem ojca? Macica? Podstawowy kształt w nowoczesnej architekturze?

— Sam Hill, tak dawni Anglicy eufemistycznie nazywali piekło. Czy Wuj Sam jest takim ojcem, że niech go Sam Hill pochłonie? Nie, lepiej to wykreśl Tooney. Możliwe, że gruntownie wykształcona młodzież czytała gdzieś to przestarzałe określenie, ale nie sposób tego potwierdzić. Nie chcę wymyślać żadnych powiązań, przez które mógłbym się narazić na śmieszność.

— Zastanówmy się. Samisen. Japoński instrument muzyczny o *trzech* strunach. Czyli ponownie dokument Potrójnej Rewolucji i Trójca. Trójca? Ojciec, Syn i Duch Święty. Matka jest zupełnie lekceważona, więc mamy szarą gęś? Nie, raczej nie. Wymaż to, Tooney.

— Samisen. Syn Sama? To nas prowadzi wprost do Samsona, który powalił świątynię Filistynów, grzebiąc ich i siebie. — Chichot. — To mi przypomina, że ja też taki byłem w ich wieku, zanim nie dojrzałem. Tę ostatnią uwagę wyrzuc, Tooney.

— Samowar. Słowo rosyjskie, oznacza przyrząd, który sam gotuje. Nie wątpię, że młodzi z Junga Radicus gotują się do rewolucji. Ale gdzieś w głębi niespokojnych dusz wiedzą, że Wuj Sam jest ich kochającym rodzicem, ojcem i matką zarazem, i że chce dla nich jak najlepiej. Mimo to, zmuszają się by go nienawidzić, przez co gotują się w sobie, czyli samo — warzą.

— Jest jeszcze samlet — młody łosoś, czyli angielski „salmon”. Ugotowany ma barwę żółtawo — różową lub bladoczerwoną, nieco podobną do barwy korzenia — *radicis* — rzodkiewki, w każdym razie tak to wygląda w ich nieświadomości. Małe łososie to młodzi z Junga Radicus. Czują, że są gotowani w wielkim szybkowarze współczesnego społeczeństwa.

— Doskonała krańcząca faza — to jest kończąca fraza, prawda Tooney? Zapisz wszystko, przygotuj zgodnie ze wskazówkami, zredaguj, sam dobrze wiesz jak, i wyślij do szefa. Muszę kończyć. Już się spóźniłem na obiad u Mamy; bardzo się denerwuje, kiedy nie jestem na czas.

— Aha, postscriptum! Zalecam, by agenci baczniej obserwowali Winnegana. Jego przyjaciele pozbywają się nadmiaru psychopary, prowadząc dyskusje i pijąc, ale jego zachowania nagle uległy zmianie. Zdarzają mu się długie okresy milczenia, rzucił palenie, alkohol i seks.

Nie jest profit beze czci¹⁸

nawet w dzisiejszych czasach. Parlimiēt otwarcie nie sprzeciwia się prywatnym tawernom, prowadzonym przez obywateli, którzy uiścili wszystkie opłaty licencyjne, zdali wszystkie egzaminy, podpisali umowy i przekupili lokalnych polityków oraz komendanta policji. Ale nikt im nic nie załatwia i nie ma dużych budynków do wynajęcia, więc tawerny mieszczą się w domach właścicieli.

Chib najbardziej lubi *Prywatne Uniwersum*, między innymi dlatego, że gospodarz działa nielegalnie. Dionizos Gobrinus nie mogąc wywalczyć sobie miejsca w świecie blokad, kolczastych drutów i pułapek w oficjalnych procedurach, przestał się starać o licencję.

Otwarcie wymalowuje nazwę lokalu ponad matematycznymi równaniami, które niegdyś wyróżniały fasadę domu. (Prof. Mat., U. Beverly Hills, 14, Al-Khwarizmi Descartes Łobaszewski zrezygnował z kariery naukowej i ponownie zmienił imię.) Atrium i liczne sypialnie odpowiednio przystosowano do pijatyk i hulank. Egipscy goście tu nie przychodzą, prawdopodobnie dlatego, że są wyjątkowo wrażliwi na kwieciste sentymencje na ścianach — twórczość stałych bywalców.

ALI WALI

MAHOMET BYŁ SYNEM DZIEWICZEGO NAPA

SFINKS TO SKUNKS

PAMIĘTAJ MORZE CZERWONE!

PROROKA RAJCUJĄ GARBUSY

Ojcowie, dziadowie i pradziadowie niektórych autorów tych obraźliwych napisów sami musieli znosić podobne obelgi. Tymczasem ich potomkowie całkowicie się zasymilowali. Są stuprocentowymi Beverly Hillczykami. Bo z takich jest królestwo człowieka.

Za kanciastym barem, którego kształt jest wyrazem buntu przeciwko jajowatości, stoi Gobrinus, męczyzna przypominający pękaty sześcian. Nad nim wisi duży napis:

Co jednemu jako miód, drugiemu poisson jako truciznę policzy¹⁹

Gobrinus już wiele razy objaśniał znaczenie tych słów, nie zawsze ku zadowoleniu słuchających. Otóż Poisson był matematykiem. Dość powiedzieć, że rozkład Poissona jest przybliżeniem rozkładu dwumianowego, gdzie rośnie liczba doświadczeń, gdy w pojedynczym doświadczeniu prawdopodobieństwo sukcesu jest bardzo małe.

Kiedy klient jest zbyt pijany, by mu nalać następną kolejkę, wyrzuca go się z tawerny głową naprzód, przy czym Gobrinus piekli się i krzyczy przeraźliwie: „Poiason! Poisson!”

Siedzący przy sześciokątnym stole, młodzi z Junga Radicus witają się z Chibem, nieświadomie wybierając słowa, które jak echo powtarzają opinię federalnego psycholingwisty o jego zachowaniu.

— Chib, ty mnichu! Jak zawsze chi-chi-chichoczesz! Chiba szukasz kaca, jak mniemam! Wybieraj do woli!

Madame Trismegista siedzi przy małym stoliku z blatem w kształcie pieczęci Salomona. Wita Chiba. Już od dwóch lat jest żoną Gobrinusa. To rekord, ale on wie, że czeka go nóż, jeśli zechce ją zostawić. Poza tym, mąż wierzy, że jego pani rozdając karty, potrafi żonglować jego przeznaczeniem. W epoce oświecenia kwitnie wróżbiarstwo i astrologia. Nauka prze do przodu, a głupota i przesady galopują po flankach, szczypiąc uczone tyły wielkimi, czarnymi zębami.

Sam Gobrinus, kształcony doktor, niosący pochodnię wiedzy (jeszcze do niedawna), nie wierzy w Boga. Pewien jest jednak, że gwiazdy maszerują w zgubnym dla niego szyku. Kierując się dziwną logiką, sądzi, że karty jego żony sterują gwiazdami; nie wie, że wróżenie z kart i astrologia to dwie zupełnie odrębne dziedziny.

Ale czego się można spodziewać po człowieku, który twierdzi, że wszechświat jest asymetryczny?

Chib macha ręką do Madame Trismegisty i podchodzi do innego stolika. Siedzi przy nim

Typowa mastolatica

Benedyktyna Serinus Melba. Jest wysoka i szczupła. Ma wąskie, lemurze biodra i smukłe nogi, za to wielkie piersi. Jej włosy, równie czarne co źrenice jej oczu, uczesane są z przedziałkiem pośrodku, przyklejone pachnącym sprayem do czaszki i splecione w dwa długie warkocze, spuszczone do przodu na nagie ramiona, i spięte po gardłem złotą broszą w formie nuty. Potem sploty ponownie się rozdzielają i każdy okala łukiem jedną pierś. Druga spinka przytrzymuje je tam, a poniżej rozchodzą się okalając jej kibić, łączą za plecami, gdzie raz jeszcze są spięte i powracają, by spotkać się na jej brzuchu. Tu łączy je następna brosza i bliźniaczy wodospad spływa czernią po spódnicy w kształcie dzwonu.

Twarz dziewczyny jest grubo ubarwiona zielenią i akwamaryną. Za ozdoby służą jej biała koniczyna zamiast pieprzyka i topaz. Ma na sobie żółty stanik ze sztucznymi, różowymi sutkami. Z biustonosza zwisają plisowane, koronkowe wstążki. Jaskrawozielony gorsetowy półpancerz z czarnymi rozetami okala ją w talii. Częściowo kryje go drucziana konstrukcja pokryta różowym, połyskującym materiałem. Z tyłu stelaż się wydłuża, tworząc półkokon albo długi ptasi ogon, do którego przyczepione są żółte i szkarłatne sztuczne pióra.

Przezroczyta spódnica do kostek faluje. Nie zasłania obramowanych koronką majtek w żółte i ciemnozielone pasy, białych ud i czarnych, siatkowych pończoch z zielonymi zdobieniami w kształcie nut. Buty ma niebieskie, błyszczące, z topazowymi wysokimi obcasami.

Benedyktyna przebrała się w kostium, żeby wystąpić na Festiwalu Sztuki. Brakuje jej tylko estradowego kapelusza. Do tawerny przyszła ponarzekać, między innymi na to, że Chib zmusił ją do odwołania występu, przez co straci szansę na wspaniałą karierę.

Towarzyszy jej pięć dziewcząt, wszystkie między szesnastym a dwudziestym pierwszym rokiem życia. Wszystkie piją P (jak w skrócie nazywają popczachę).

— Moglibyśmy porozmawiać na osobności, Benny? — pyta Chib.

— Po co? — dziewczyna odpowiada pięknym kontraltem oszpeconym brzydką modulacją.

— Ściągnęłaś mnie tu, żeby mi zrobić publiczną scenę?

— Na litość boską, czy scena może być inna? — piszczy Benedyktyna. — Tylko popatrzcie! Chce ze mną rozmawiać sam na sam!

W tej chwili Chib uświadamia sobie, że ona boi się spotkać z nim bez świadków. Co więcej, w ogóle nie jest w stanie być sama. Teraz już go nie dziwi, dlaczego się upierała zostawić otwarte drzwi sypialni, gdy jej przyjaciółka, Bela, znajdowała się w zasięgu głosu. I w zasięgu słuchu.

— Mówiłeś, że użyjesz tylko palca! — wrzeszczy i pokazuje na lekko zaokrąglony brzuch. — Spodziewam się dziecka! Ty zgniły, gładkogęby, przewrotny draniu!

— To nieprawda — odpowiada Chib. — Mówiłaś mi, że mogę, że mnie kochasz.

— „Kochasz! Kochasz!” Słyszycie go! Skąd mam do diabła wiedzieć, co wtedy mówiłam, tak mnie podnieciłeś! Poza tym, na pewno nie powiedziałam, że możesz mi wsadzić! Tego bym nigdy nie powiedziała! Nigdy! A ty co *zrobiłeś?! Co zrobiłeś?!* Boże, przez tydzień ledwo mogłam chodzić, ty draniu!

Chib się poci. Prócz Symfonii Pastoralnej Beethovena sączącej się z fido, w pomieszczeniu nie słyhać innego dźwięku. Przyjaciele chłopaka uśmiechają się znacząco. Gobrinus, odwrócony do gości plecami, pije scotcha. Madame Trismegista tasuje karty i pierdzi gazową kombinacją piwa i cebuli. Przyjaciółki Benedyktyny przyglądają się swoim mandaryńsko długim paznokciom pomalowanym odblaskowo albo gapią się na niego. Jej krzywda i zniewaga są ich i na odwrót.

— Nie mogę brać pigułek. Od nich mam pryszczę, psują mi wzrok i rozwalają nozdrza! Dobrze o tym wiesz! A tych sztucznych macic nie znoszę! Poza tym, skłamałeś! Mówiłeś, że ty wziąłeś pigułkę!

Chib widzi, że Benedyktyna sama sobie przeczy, ale w takiej chwili nie ma sensu silić się na logikę. Jest wściekła, bo jest w ciąży. Nie uśmiecha się jej kłopot aborcji akurat teraz. Dlatego szuka zemsty.

Zaraz, zaraz — myśli Chib — jakim cudem zdołała zajść w ciążę tamtej nocy? Nie udałoby się to żadnej, nawet najbardziej płodnej kobiecie. Musiała majstrować coś przedtem albo potem. Ale przyrzeka, że stało się to właśnie wtedy, kiedy on wystąpił jako

Rycerz ognistego tłuszczka²⁰

albo

Wciąż chodzi wpieniony²¹

— Nie, nie! — woła Benedyktyna.

— Dlaczego nie? Przecież cię kocham — mówi Chib. — Chcę cię poślubić.

Benedyktyna wrzeszczy.

— O co chodzi? Co się dzieje? — krzyczy jej przyjaciółka Bela z korytarza.

Benedyktyna nie odpowiada. Wściekając się i trzęsąc jak w szponach gorączki, gramoli się z łóżka, odpychając Chiba na bok. Biegnie do małego jaja łazienki. On rusza za nią.

— Mam nadzieję, że nie chcesz zrobić tego, o czym myślę...? — mówi jej.

Benedyktyna jęczy.

— Ty podstępny, podły sukinsynu!

W łazience dziewczyna odchyła fragment ściany, który staje się półką. Na niej, przyczepione magnetycznymi podstawami, stoją liczne pudełka i butelki. Ona chwyta podłużny pojemnik środka plemnikobójczego, kuca i wsuwa go w siebie. Naciska aplikatur w dnie i zawartość pieniać się, wydostaje się z sykiem, którego nawet zasłona ciała nie jest w stanie zagłuszyć.

Chib przez moment stoi jak sparaliżowany. Potem zaczyna wrzeszczeć.

— Trzymaj się ode mnie z dala, ty ruderalisto — krzyczy Benedyktyna.

Od drzwi sypialni niepewnie zbliża się Bela.

— Dobrze się czujesz, Benny?

— Zaraz zrobię jej dobrze! — ryczy Chib.

Skokiem dopada do półki i chwyta z niej klej chwiloxy. Benedyktyna zwykle używa go do przyklejania peruk. Klej trzyma wszystko na mur, dopóki nie zmiękczy się go specjalnym odklejaczem.

Benedyktyna i Bela krzyczą jednocześnie, gdy Chib podnosi Benedyktynę w górę, po czym opuszcza ją na podłogę. Mimo oporu dziewczyny, udaje mu się spryskać klejem pojemnik, skórę i włosy wokół.

— Co robisz? — wrzeszczy Benny.

Chib wciska aplikator w pojemniku do końca i spryskuje go klejem. Kiedy Benedyktyna próbuje się wyrwać, przyciska jej ramiona ciasno do tułowia i nie pozwala się ruszyć, bo mogłaby przesunąć tubę głębiej do środka lub ją wyjąć. W milczeniu odlicza do trzydziestu, i jeszcze raz do trzydziestu, aby klej zdążył zupełnie wyschnąć. Potem ją puszcza.

Piana bałwanami wypływa wokół jej pachwin, spływa po nogach i rozlewa się po podłodze. W niezniszczalnym pojemniku znajduje się płyn pod wielkim ciśnieniem. Piana szybko zwiększa objętość przy zetknięciu z powietrzem.

Chib bierze z półki puszkę odklejacza i zaciska ją w dłoni. Nie chce, by dostała się w jej ręce. Benedyktyna podskakuje i zamachuje się na niego. Śmiejąc się jak hiena w namiocie z tlenkiem azotu, Chib blokuje pięść dziewczyny i odpycha ją od siebie. Piana sięga już kostek. Benedyktyna traci równowagę, pada i tyłem wyjeżdża z sypialni na pośladkach, przy akompaniamencie stukotu

pojemnika.

Podnosi się na nogi i dopiero wtedy uświadamia sobie, co Chib zrobił. Jej gniew rośnie wraz z wrzaskiem. Dziewczyna puszcza się w dziki taniec, szarpiąc za pojemnik i z każdym pociągnięciem coraz głośniej krzycząc z bólu. Potem się odwraca i wybiega z pokoju, a raczej próbuje wybiec. Wpada w ślizg. Bela staje jej na drodze. Przywierają do siebie i razem wyjeżdżają z sypialni, w drzwiach robiąc półobrót. Piana kłębi się wokół, więc obie wyglądają jak Wenus i jej przyjaciółka rodzące się ze spienionych fal Cypryjskiego Morza.

Benedyktyna odpycha Belę, lecz za wolność płaci kawałkami skóry, które zostają pod długimi i ostrymi paznokciami przyjaciółki. Bela sunie przez drzwi z powrotem ku Chibowi. Wygląda jak początkująca łyżwiarka, która uczy się utrzymywania równowagi. Nie udaje się jej. Mija Chiba na plecach, z nogami w górze, jęcząc głośno.

Chib na bosaka ślizga się ostrożnie po podłodze, zatrzymuje się przy łóżku, zabiera ubranie, ale uznaje, że z włożeniem go powinien zaczekać, aż znajdzie się na zewnątrz. Staje w okrągłym holu akurat w chwili, gdy Benedyktyna czołgając się wymija jedną z kolumn dzielących korytarz od atrium. Jej rodzice, dwa behemoty w średnim wieku, tkwią na siedzisku z puszkami piwa w dłoniach, z szeroko otwartymi oczami i rozdziawionymi ustami. Oboje się trzęsą.

Chib sunąc korytarzem nawet nie mówi im dobranoc. Ale dostrzega fido i widzi, że przełączyli obraz z ZEWN. na WEWN., na sypialnię Benedyktyny. Ojciec i matka dziewczyny oglądali Chiba i córkę. Półzwód u ojca świadczy, że przedstawienie mu się podobało, było lepsze niż wszystko, co dotąd widział na zewnętrznym fido.

— Przebrzydli podglądacze! — ryczy Chib.

Benedyktyna też już do nich dotarła. Jąkając się i szlochając, wskazuje pojemnik, po czym celuje palcem w Chiba. Na jego wrzask oboje dźwigają się z siedziska niczym dwa lewiatany z głębiny. Benedyktyna odwraca się i rusza ku niemu z wyciągniętymi przed siebie ramionami, zakrzywionymi palcami o długich pazurach i z twarzą meduzy. Za nią ciągnie się wściekle spieniony kilwater. Ojciec z matką posuwają się w pianie.

Chib wpada na filar, odbija się od niego i sunie w bryzgach, bezskutecznie próbując utrzymać się podczas manewru w linii prostej. Na szczęście nie traci równowagi. Rodzice dziewczyny już polegli z grzotem, który wstrząsa solidną konstrukcją domu. Teraz się podnoszą, przewracają oczami i ryczą jak hipopotamy wypływające na powierzchnię. Rzucają się na niego, lecz nie są już razem. Mama krzyczy przenikliwie. Jej twarz, pomimo tłuszczu, jest twarzą Benedyktyny. Tata okrąża filar z jednej strony, mama z drugiej. Córnka wyminęła inną kolumnę, przytrzymując się jej jedną ręką, by się nie pośliznąć. Stoi teraz między Chibem, a drzwiami prowadzącymi na zewnątrz.

Chib wali w ścianę korytarza w miejscu, gdzie nie ma piany. Benedyktyna biegnie ku niemu. On nurkuje na podłogę, odbija się od deski i sunie w przestrzeń między filarami wprost do atrium.

Mama i tata łączą się na kursie kolizyjnym. Titanic napotyka lodową górę. Jedno i drugie prędko ginie pod powierzchnią. Twarzami do dołu ślizgają się na brzuchach ku Benedyktynie. Ona wyskakuje w powietrze, zalewając pianą sunących pod nią rodziców.

Teraz już nikt nie ma wątpliwości, że rząd nie kłamał. Pojemnik rzeczywiście wystarcza na 40 000 aplikacji plemnikobójcy, czyli na 40 000 stosunków. Piana jest dosłownie wszędzie. Sięga kostek — a w niektórych miejscach nawet kolan — i nie przestaje płynąć.

Bela leży na plecach na podłodze atrium. Głową trafiła między miękkie fałdy siedziska.

Chib powoli się podnosi i przez moment stoi, rozglądając się wokół. Kolana ma ugięte, aby w każdej chwili jednym skokiem umknąć niebezpieczeństwu, ale ma nadzieję, że to nie będzie konieczne. Jego stopy pewnie natychmiast znalazłyby się w górze.

— Stój ty cuchnący sukinsynu! — drze się ojciec. — Zabiję cię! Nie możesz bezkarnie krzywdzić mojej córki!

Chib patrzy, jak mężczyzna obraca się niczym wieloryb we wzburzonym oceanie i próbuje wstać. Ponownie pada i jęczy, jakby trafił go harpun. Mamie szczęście też nie sprzyja.

Widząc, że ma wolną drogę — bo Benedyktyna tymczasem gdzieś znikła — Chib żegluję przez atrium, docierając do wolnej od piany podłogi tuż przy wyjściu. Z ubraniem na ramieniu i pojemnikiem odklejacza w garści, rusza ku drzwiom.

W tej samej chwili Benedyktyna woła go po imieniu. Chłopak się odwraca i widzi, jak kochanka sunie ku niemu od kuchni. W dłoni trzyma wysoką szklankę. Co chce z nią zrobić? Na pewno nie proponuje mu drinka.

Dziewczyna błyskawicznie rzuca się ku suchej strefie podłogi, po drodze pochylając się w przód i krzycząc. Ale i tak udaje się jej cisnąć zawartość szklanki z idealną precyzją.

Chib wrzeszczy z bólu, tak jakby obrzezywali go bez znieczulenia. Parzy go wrzątek.

Benedyktyna, znowu leżąc na podłodze, śmieje się. Chib po serii podskoków i krzyków, upuszcza pojemnik i ubranie, dotykając dłońmi poparzonej skóry. W końcu się opanowuje. Przerzywa błazenadę, chwytając Benedyktyne za prawą rękę i wyciąga ją na ulicę Beverly Hills. Tego wieczoru na zewnątrz jest sporo ludzi. Wszyscy ruszają za dziwną parą. Chib przystaje dopiero nad jeziorem. Wchodzi do wody, aby ochłodzić poparzenia, ciągnąc dziewczynę za sobą.

Tłum ma o czym rozmawiać, gdy Benedyktyna i Chib wyczołgują się z jeziora i biegną do domu. Gapie gadają i śmieją się patrząc, jak ludzie z agencji oczyszczania miasta usuwają pianę z powierzchni jeziora i z ulic.

— Byłam taka obolała, że nie mogłam chodzić przez miesiąc! — wrzeszczy Benedyktyna.

— Sama się o to prosiłaś — odpowiada Chib. — Nie masz na co narzekać. Twierdziłaś, że chcesz mieć ze mną dziecko i powiedziałaś to szczerze.

— Chyba postradałam zmysły! Nie, nieprawda! Nigdy tego nie powiedziałam! Kłamiesz! Zmusiłeś mnie do tego!

— Nigdy nikogo bym nie zmuszał. Dobrze o tym wiesz. Przestać się ciskać. Jesteś wolna i zgodziłaś się z wolnej woli. Masz przecież wolną wolę.

Omar Runa, poeta, wstaje z miejsca. Jest wysokim szczupłym rudo — brązowym młodzieńcem o orlim nosie i bardzo grubych czerwonych wargach. Ma długie kręcone włosy przycięte w kształt *Pequoda*, fikcyjnego żaglowca, na którego pokładzie szalony kapitan Ahab wraz z szaloną załogą i narratorem Ismaelem — jedynym, który ocalał — ścigają białego wieloryba. Fryzura ma bukszpryt, kadłub, trzy maszty, noki rei, a nawet łódź zawieszoną na żurawiku.

Omar Runa klaszcze.

— Brawo i U filozofie! Zatem za wolną wolę; wolę szukania Prawd Wiecznych — bo jakich? — albo Śmierci i Potępienia! Piję za wolną wolę! Panowie, wychylmy toast! Wstańcie młodzi z Junga Radicus, zdrowie naszego przywódcy!

I tak oto się zaczyna

Szalone p-party

— Chib, przepowiem ci przyszłość! — woła Madame Trismegista. — Sprawdźmy w kartach, co mówią nam gwiazdy!

On siada przy jej stoliku, a przyjaciele gromadzą się wokół.

— Słucham, Madame. Jak mam się wyplątać z tego bałaganu? Ona tasuje karty i odwraca pierwszą z wierzchu.

— Jezu! As pik!

— Czeka cię długa podróż!

— Egipt! — woła Rousseau Czerwony Sokół. — O nie, lepiej tam nie jedź! Zabierz się ze mną tam, gdzie ryczą bizona i...

Płask i kolejna karta pokazuje twarz.

— Wkrótce poznasz piękną ciemnoskórą pannę.

— Cholerną Arabkę! Nie, Chib, powiedz, że to nieprawda!

— Niedługo doczekasz się wielkich honorów.

— Chib dostanie stypendium!

— Jeśli dostanę stypendium, nie muszę wyjeżdżać do Egiptu — mówi Chib. — Madame Trismegisto, z całym szacunkiem, ale opowiadasz bzdury.

— Nie kpij sobie, młokosie. Nie jestem komputerem. Odbieram spektrum wibracji psychiki.

Płask.

— Znajdziesz się w wielkim niebezpieczeństwie, fizycznym i moralnym.

— To się zdarza przynajmniej raz dziennie — mówi Chib. Płask.

— Osoba bardzo ci bliska umrze dwa razy. Chib blednie, ale się śmieje.

— Tchórz umiera razy tysiąc.

— Czeka cię podróż w czasie, powrót do przeszłości.

— Jeny! — wtrąca się Czerwony Sokół. — Madame, prześciga dziś pani samą siebie. Ostrożnie!

Dostanie pani psychicznej przepukliny i będzie musiała przywdziać ektoplazmatyczny pas!

— Drwijcie sobie, proszę bardzo, łajnomózgi — mówi Madame.

— Światów jest wiele. Karty nie kłamią, nie kiedy ja je rozdaję.

— Gobrinus! — woła Chib. — Jeszcze jeden dzban piwa dla Madame.

Młodzi z Junga Radicus wracają do swego stołu, beznogiego dysku utrzymywanego w górze przez pole grawitacyjne. Benedyktyna przygląda im się nieprzyjaźnie, po czym wraca do pozostałych mastolatek. Przy sąsiednim stoliku, zwrócony twarzą do nich siedzi Pinkerton Legrand, agent parlamentu. Jednokierunkowe fido ukryte pod marynarką wycelowuje w stronę dziewczyn. Wiedzą, że to robi. A on wie, że one wiedzą i zgłosił to przełożonemu. Marszczy brwi, widząc wchodzącego Accipitera. Legrand nie lubi, kiedy agenci z innego wydziału węszą wokół jego sprawy. Accipiter nawet nie patrzy w jego stronę. Zamawia czajnik herbaty, a potem udaje, że wrzuca do środka pigułkę, która łącząc się z taniną daje P. Rousseau Czerwony Sokół mruga do Chiba.

— Naprawdę sądzisz, że można sparaliżować całe Los Angeles jedną bombą? — pyta.

— Raczej trzema bombami! — odpowiada Chib głośno, aby fido Legranda wyraźnie zarejestrowało słowa. — Jedna na konsolę kontrolną fabryki odsalania, druga na pulpit zapasowy i trzecia w kolano wielkiej rury, która doprowadza wodę do zbiornika na poziomie 20.

Pinkerton Legrand błędnie. Wychyla całą szklaneczkę whisky i zamawia następną, choć i tak wypił już za dużo. Przyciska płytkę fido, uruchamiając przekaz w potrójnym top-priorytecie. W KG lampka mruga czerwono; gong dźwięczy raz po raz. Szef budzi się tak nagle, że spada z krzesła.

Accipiter także słyszy Chiba, ale siedzi sztywny i zasępiony, jak diorytowy posąg sokoła Faraona. Cierpi na monomanię. Plany zatopienia całego Los Angeles nie zmuszą go do zmiany obranego kursu, nawet jeśli młodzi rzeczywiście wprowadzą słowa w czyn. Detektyw wreszcie wpadł na trop Dziadka i jest tu, bo chce wykorzystać Chiba jako klucz do domu. Jeden „szczur” — tak właśnie myśli o swoich przestępcach — jeden „szczur” umknie do nory drugiego.

— Jak sądzisz, kiedy możemy zacząć działać? — pyta Huga Wells-Erb Heinsturbury, autorka powieści science fiction.

— Za jakieś trzy tygodnie — odpowiada Chib.

W KG szef przeklina Legranda, który zakłócił mu odpoczynek. Tysiące młodych mężczyzn i kobiet wyżywa się, snując podobne plany zniszczenia, zamachów i buntu. Nie rozumie, dlaczego ci punkowie to robią, skoro dotąd wszystko dostawali za darmo. Gdyby to od niego zależało, zamknąłby wszystkich w więzieniu i poturbował trochę albo nawet bardziej.

— Gdy już to zrobimy, będziemy musieli stąd zmykać na zewnątrz — odzywa się Czerwony Sokół. — Mówię wam, chłopaki, nic nie przebije wolności w puszczy. Człowiek staje się prawdziwą jednostką, a nie tylko jednym z wielkiego tłumu bez twarzy.

Czerwony Sokół wierzy w plan zniszczenia LA. Jest szczęśliwy — choć o tym nie mówi — bo na łonie Matki Natury bolał nad brakiem inteligentnych kompanów. Inni dzicy potrafią usłyszeć jelenia z odległości stu metrów i znaleźć grzechotnika w zaroślach, ale pozostają głusi na odgłos kroków filozofii, nawoływania Nietzchego, rechotu Russella i hałasu Hegela. — Niepiśmienne świnię! — mówi na głos.

— Co? — dziwią się pozostali.

— Nic. Chłopaki, sami wiecie, jakie to wspaniałe. Przecież byliście w KUOŚP.

— Ja byłem O-fermą — mówi Omar Runa. — Dostałem kataru siennego.

— A ja w tamtym czasie pisałem drugą pracę dyplomową — oznajmia Gibbon Tacyt.

— Ja byłem w orkiestrze Korpusu — przyznaje Sibelius Amadeus Yehudi. — Bazę opuszczaliśmy tylko na czas koncertów, czyli niezbyt często.

— Chib, ty byłeś w KUOŚP. Podobało ci się, prawda? Chib kiwa głową.

— Aha, ale będąc neo-Amerindem cały czas poświęcasz na to, żeby przeżyć. Kiedy bym malował? A gdybym znalazł czas na tworzenie, kto by oglądał moje obrazy? Poza tym, to nie jest życie dla kobiety lub dziecka.

Czerwony Sokół robi urażoną minę i zamawia whisky zmieszaną z P.

Pinkerton Legrand nie chce przerywać obserwacji, ale nie może wytrzymać rosnącego parcia na pęcherz. Idzie do pomieszczenia dla klientów, przeznaczonego na przechwyt ogólny. Czerwony Sokół, w kiepskim nastroju z powodu reakcji przyjaciół, podstawia mu nogę. Legrand się potyka, łapie równowagę i chwiejnie rusza do przodu. Benedyktyna wystawia nogę. Legrand pada na twarz. Już nie ma po co iść do urynału. No, chyba żeby się obmyć.

Wszyscy prócz Legranda i Accipitera się śmieją. Legrand skacze na równe nogi i zaciska pięści. Benedyktyna nie zwraca na niego uwagi. Podchodzi do Chiba. Przyjaciółki idą za nią. Chib sztywnieje.

— Ty zboczony draniu! Mówiłeś, że zrobisz to palcem!

— Powtarzasz się. Teraz najważniejszy jest los dziecka. Co z nim będzie?

— A co cię to obchodzi? — pyta Benedyktyna. — Przecież nawet nie wiesz, czy to twoje!

— To by była ulga. Ale nawet w takiej sytuacji, dziecko musi mieć głos. Może zechce żyć, nawet z tobą jako matką.

— W tak żalonym świecie? — krzyczy dziewczyna. — Wyświadczą mu przysługę. Pojadę do szpitala i pozbędę się go. Przez ciebie tracę wielką szansę na Festiwalu Sztuki! Będą na nim różni agenci, a ja dla nich nie zaśpiewam!

— Kłamiesz. Przecież jesteś ubrana jak na scenę. Benedyktyna czerwienieje i wytrzeszcza oczy. Jej nozdrza falują.

— Zepsułeś mi zabawę! Hej, ludzie, chcecie usłyszeć coś potwornego? Oto wspaniały artysta, wielki byk, przykład męskości, boski Chib, któremu bez pomocy nie staje!

Przyjaciele Chiba patrzą po sobie. O co chodzi tej dziwce? Też im nowina!

Z *Osobistych wywodów* Dziadka: Niektóre cechy religii panamoryckiej, tak potępianej i lekceważonej w dwudziestym pierwszym stuleciu, stały się teraz częścią codziennego życia. «Love, love, love» fizyczna i duchowa! Już nie wystarczy tylko całować i przytulać dzieci. Oralna stymulacja genitaliów niemowląt przez rodziców i krewnych doprowadziła do interesujących odruchów warunkowych. Mógłbym napisać książkę o tym aspekcie życia w połowie dwudziestego drugiego wieku i chyba to zrobię.

Legrand wychodzi z łazienki. Benedyktyna uderza Chiba w twarz. Chłopak jej oddaje. Gobrinus podnosi klapę w barze i wypada przez otwór krzycząc: „Poisson! Poisson!”

Zderza się z Legrandem, który opiera się o Belę, ta krzyczy, obraca się i wymierza policzek Legrandowi, który jej oddaje. Beueclyklyna wylewa szklanicę r Chibowi w twarz. On z wyciem skacze i zamachuje się pięścią. Benedyktyna robi unik. Pięść przechodzi ponad jej ramieniem i trafia w pierś przyjaciółki.

Czerwony Sokół wskakuje na stół.

— Jestem bestią doskonałą, pół — aligatorem, pół — ...

Blat podtrzymywany przez pole grawitacyjne nie wytrzymuje tak wielkiej wagi. Przechyla się i wyrzuca śmiałka prosto w dziewczęta. Wszyscy padają. Panny gryzą i drapią Sokoła, a Benedyktyna ściska jego jądra. Sokół wrzeszczy, wije się i potężnym kopniakiem wyrzuca Benedyktynę na stół. Blat zdążył wrócić na zwykłą wysokość i złapać poziom, ale raz jeszcze się przechyla, zrzucając dziewczynę po przeciwnej stronie. Legrand, który chwiejnie skrada się przez tłum ku wyjściu, zostaje powalony. Traci kilka przednich zębów na czyjejś rzeponce kolanowej. Plując krwią i trzonowcami zrywa się z ziemi i grzmoci stojącego obok.

Gobrinus strzela z broni, która wali odrobiną światła. Ma ona oślepić awanturników i przywołać ich do rozumu zanim odzyskają wzrok. Pocisk zawisa w powietrzu i lśni jak

Gwiazda nad stajnią szaleńców²²

Naczelnik Policji rozmawia przez fido z mężczyzną w budce. Nieznajomy wyłączył wizję i maskuje głos.

— W *Prywatnym Uniwersum* leją się na poważnie. Naczelnik wzdycha. To dopiero początek Festiwalu, a oni już zaczynają.

— Dziękuję. Chłopcy za chwilę wyjadą. Jak się pan nazywa? Chciałbym pana zgłosić jako kandydata do Medalu Obywatela.

— Aha! A przy okazji też nieźle mnie przetrzepać! Nie jestem kapusiem. Spełniam tylko swój obowiązek. Poza tym, nie lubię Gobrinsula i jego klientów. To banda snobów.

Naczelnny wydaje rozkazy służbom bezpieczeństwa publicznego, wygodnie siada w fotelu i popija piwo, śledząc przebieg operacji na fido. O co tym ludziom chodzi? Ciągłe się wściekają.

Ryczą syreny. Bolgani jeżdżą wprawdzie na bezgłośnych tricyklach o napędzie elektrycznym, ale nadal trzymają się wiekowego zwyczaju zawiadamiania przestępców, że się zbliżają. Pięć trojkółek zatrzymuje się przed otwartymi drzwiami *Prywatnego Uniwersum*. Policjanci zsiadają i naradzają się. Noszą dwupoziomowe, cylindryczne hełmy, czarne z purpurowymi guzikami. Nie wiadomo po co mają ochronne gogle. Ich pojazdy nie przekraczają 15 mil na godzinę. Wielkie, złote naramienniki zdobią ramiona czarnych i puchatych jak futro misia kurtek. Szorty mają soczyście niebieski kolor; a buty z cholewami lśnią czernią. Policja nosi elektryczne pałki i broń na pociski z duszącym gazem.

Gobrinus zagradza wejście.

— Daj spokój, wpuść nas do środka — mówi sierżant O'Hara. — Nie, nie mam nakazu, ale go zdobędę.

— Jeśli wejdiesz, podam cię do sądu — odpowiada Gobrinus. Uśmiecha się. Wprawdzie biurokracja okazała się tak poplątana, że w końcu przestał się starać o legalną licencję, ale w takiej sytuacji rząd będzie go chronił. Obawa przed naruszeniem prywatności pęta policji ręce zbyt mocnym sznurem.

O'Hara zagłąda przez drzwi do środka. Na podłodze leżą dwa ciała. Pozostali biorą się za łby i boki albo ocierają z krwi. Accipiter siedzi jak sęp, któremu marzy się padlina. Jeden z leżących dźwiga się na czworaka i wyczołguje między nogami Gobrinsula na ulicę.

— Sierżancie, proszę aresztować tego mężczyznę — mówi Gobrinus. — Ma nielegalne fido. Oskarżam go o naruszenie prywatności.

Twarz O'Hary się rozjaśnia. Przynajmniej będzie miał na koncie jedno porządne aresztowanie. Legrand trafia do więźniarki, która pojawia się zaraz za karetką. Przyjaciele wynoszą Czerwonego Sokoła aż na próg. Otwiera oczy w chwili, gdy na noszach trafia do karetki. Mruczy coś.

O'Hara pochyła się nad nim.

— Co?

— Kiedyś walczyłem z niedźwiedziem uzbrojony tylko w nóż i nie ucierpiałem tak bardzo, jak w starciu z tymi ciotami. Oskarżam ich o napaść, pobicie, morderstwo i uszkodzenie ciała.

O'Hara próbuje nakłonić Sokoła do podpisania zeznań, ale nic z tego nie wychodzi, bo Sokół ponownie mdleje. Policjant klnie. Kiedy poszkodowany dojdzie do siebie, na pewno odmówi podpisywania czegokolwiek. Jeśli ma choć trochę rozsądku, nie będzie chciał, żeby dziewczęta i ich chłopcy podkładali się za niego.

Przez zakratowane okno więźniarki drze się Legrand.

— Jestem agentem parliametu! Nie możecie mnie aresztować!

Policjanci otrzymują nagłe wezwanie do Centrum Sztuki, gdzie bijatyka między miejscową młodzieżą a przyjezdnymi z Westwood, może się zmienić w poważne zamieszki. Benedyktyna wychodzi z tawerny. Choć została wielokrotnie uderzona w ramiona i brzuch, kopnięta w pośladki i trafiona w głowę, nie zdradza żadnych oznak poronienia.

Chib pół–smutny, pół–radosny, patrzy za nią. Czuje tępy żal na myśl, że dziecku odmawia się prawa do życia. Teraz rozumie już, że po części sprzeciwia się aborcji, ponieważ utożsamia się z płodem; wie już to, czego według Dziadka jeszcze nie wie. Zdaje sobie sprawę, że jego narodziny były przypadkiem — szczęśliwym lub nie. Gdyby wydarzenia potoczyły się inaczej, nigdy by nie przyszedł na świat. Myśl o własnym nieistnieniu — bez malowania, bez przyjaciół, bez śmiechu, bez nadziei, bez miłości — przeraża go. Jego Matka po pijanemu nigdy się nie przejmowała antykoncepcją. Miała mnóstwo aborcji, a on mógł być jednym z usuniętych.

Patrząc, jak Benedyktyna odchodzi dumnym krokiem (pomimo porwanego stroju), zastanawia się, co w niej widział. Życie z nią, nawet gdyby urodziła dziecko, składałoby się z samych zgrzytów.

W gnieździe ust wyściełanych nadzieją

Raz jeszcze przysiada miłość,

Grucha, strzepuje kolorowe pióra, olśniewa,

A potem odlatuje, po drodze się wypróżniając,

Bo ptaki mają już taki zwyczaj,

Że lubią startować z odrzutem.

— Omar Runa

Chib wraca do domu, ale nadal nie może wejść do swego pokoju. Zamiast tego idzie do schowka. Obraz jest w siedmiu — ósmym gotowy. Nie skończył go, ponieważ nie był z niego zadowolony. Teraz zabiera go z domu i niesie do mieszkania Runy, które znajduje się w tym samym gnieździe. Runa jest teraz w Centrum, ale zawsze zostawia otwarte drzwi. Ma u siebie sprzęt, którego Chib używa, aby ukończyć dzieło. Pracuje z pewnością i zapałem, jakich brakowało mu przy pierwszym podejściu. Potem opuszcza dom Runy niosąc wielkie, owalne „płótno” nad głową.

Mija pnie gniazd i przechodzi pod krętymi konarami zakończonymi jajowatymi kształtami. Przecina wiele małych trawiastych parków z drzewami, przemyka pod kolejnymi domami i po dziesięciu minutach zbliża się do serca Beverly Hills. I tam Chib — Merkury widzi

Skapane w złocie popołudnia trzy ołowiane kobiety

dryfujące w kanoe po Jeziorze Issos. Maryam bint Yusuf, jej matka i ciotka obojętnie trzymają wędki i spoglądają na kolorowy, rozspiewany i rozgadany tłum przed Centrum Sztuki. Policjanci zdążyli już rozpedzić bijących się młodych i otoczyli zgromadzonych pilnując, by nikt już nie sprawiał kłopotów.

Trzy kobiety mają na sobie ciemne stroje całkowicie zasłaniające ciała, noszone przez członków fundamentalistycznej sekty mahometańskiej Wahhabi. Nie zakrywają twarzy; teraz już nawet Wahhabi tego nie wymagają. Egipska brać na brzegu nosi współczesne ubrania, skandaliczne i grzeszne. Mimo to, trzy kobiety przyglądają się im.

Ich mężczyźni stoją na skraju tłumy. Są brodaci i odziani jak szejkwowie z nadawanego w fikio pokazu Legii Cudzoziemskiej. Mruczą pod nosami gulgoczące przekleństwa i syczą na gorszące odsłanianie ciała przez kobiety, lecz mimo to się gapią.

Ta mała grupa przybyła z zoologicznego rezerwatu w Abisynii, gdzie przyłapano ich na kłusowaniu. Ich parlimięt dał im trzy możliwości. Zamknięcie w ośrodku odwykowym, gdzie musieliby się poddawać kuracji, dopóki nie staliby się dobrymi obywatelami nawet, gdyby miało to trwać do końca ich życia. Emigracja do megalopolii Haifa w Izraelu. Albo emigracja do Beverly Hills w LA.

Jak to, mieliby żyć między przekłętymi Żydami Izraela? Splunęli tylko na to i wybrali Beverly Hills. Niestety, Allah z nich zakpił! Teraz otaczali ich Finkelsteinowie, Applebaumowie, Siegelowie, Weintraubowie i inni spośród niewiernych plemion Izaaka. Co gorsza, w Beverly Hills nie było meczetu. Codziennie podróżowali czterdzieści kilometrów na 16. poziom, gdzie udostępniano im świątynię albo modlili się w prywatnym domu.

Chib pędzi nad plastikowe nabrzeże jeziora, odkłada obraz i nisko się kłania, zrywając nieco wymięty kapelusz z głowy. Maryam uśmiecha się do niego, ale szybko poważnieje, gdy przy — zwoitki przywołują ją do porządku.

— *Ja kelb! Ja ibn kelb!* — krzyczą dwie kobiety. Chib uśmiecha się do nich i macha kapeluszem.

— Czarujące, zapewne, panie! Och, cudowne damy przywodzicie na myśl trzy Gracje — mówi, po czym głośno krzyczy:

— Kocham cię, Maryam! Kocham cię! Jesteś dla mnie jak roza Saronu! Piękna, sarniooka, dziewicza! Forteca niewinności i siły, pełna gorącej matczynej i całkowitej wierności wobec jedynej prawdziwej miłości! Miłuję cię, jesteś jedynym światłem na mrocznym niebie umarłych gwiazd! Wołam do ciebie przez pustkę!

Maryam rozumie światowy angielski, lecz wiatr niesie słowa w przeciwną stronę. Dziewczyna szczyrzy zęby w niemądrym uśmiechu, a Chib nic nie może poradzić na chwilową niechęć do niej i na błysk gniewu, tak jakby go zdradziła. Mimo to zbiera się w sobie i krzyczy ponownie:

— Zapraszam cię na moją wystawę! Chcę, żebyś poszła ze mną! Ty, twoja matka i ciotka będziecie moimi gośćmi. Możesz obejrzeć moje obrazy i duszę, by się przekonać, jaki mężczyzna uniesie cię ze sobą na swoim Pegazie, moja gołębico!

Nie ma nic śmieszniejszego niż słowny potok młodego, zakochanego poety. Potworna przesada. Śmieję się z tego, ale zarazem czuję wzruszenie. Choć jestem stary, pamiętam moje pierwsze miłości, ogień, powódzie słów, miecze błyskawic, ból skrzydeł. Kochane panny, większość z was już nie żyje; reszta pewnie zwiędła. Posyłam wam całusa.

— Dziadek

Matka Maryam staje w kanoe. Przez moment Chib widzi jej profil i zwiastun jastrzębiej urody, którą Maryam odziedziczy, kiedy osiągnie wiek swojej matki. Teraz dziewczyna ma łagodnie orlą twarz — „dzieło ostrza miłości” — tak właśnie Chib nazwał jej nos. Cięcie śmiałe, lecz piękne. Za to jej matka przypomina starą, brudną orlicę. Ciotka nie ma w sobie nic orlego, ale za to w jej rysach jest coś z wielbłąda.

Chib oddała niepochlebne, wręcz zdradzieckie porównania, ale nie może się pozbyć trzech brodatych, odzianych w długie szaty i niemytych mężczyzn, którzy go otaczają.

Uśmiecha się.

— Nie pamiętam, abym was zapraszał — mówi.

Patrzą na niego niepewni. Szybka angielska mowa Los Angeles brzmi dla nich jak nadęta-kłuchas. Ali — tak w Beverly Hills nazywa się każdego Egipcjanina — wychrapuje przekleństwo tak stare, że nawet pre-mahometańscy mieszkańcy Mekki je znali. Zaciska dłoń w pięść. Drugi Arab podchodzi do obrazu i bierze zamach nogą, tak jakby chciał kopnąć dzieło.

W tej samej chwili matka Maryam stwierdza, że stanie w kanoe jest równie niebezpieczne, co stanie na wielbłądzie. A nawet bardziej, bo żadna z trzech kobiet nie umie pływać.

Nie potrafi tego także Arab w średnim wieku, który atakuje Chiba. Malarz odsuwa się na bok i pomaga napastnikowi znaleźć się w jeziorze, przyspieszając jego lot kopnięciem w siedzenie. Jeden z młodszych mężczyzn rzuca się na Chiba, drugi zaczyna kopać obraz. Obaj zamierają, słysząc krzyki trzech kobiet i widząc, jak wszystkie wpadają do wody.

Biegną na brzeg i także lecą do wody, każdy pchnięty w plecy ręką Chiba. Bolgan słyszy jak cała szóstka wrzeszczy i miota się. Biegnie ku nim. Chib zaczyna się martwić, bo Maryam ma kłopoty z utrzymaniem się na powierzchni. Jej strach nie jest udawany.

Chłopak nie rozumie, dlaczego Arabowie tak się zachowują. Przecież stopami na pewno dostają do dna; woda sięga im najwyżej pod brodę. Mimo to, Maryam wygląda tak, jakby tonęła. Pozostali także, ale nimi Chib się nie przejmuje. Powinien wskoczyć po Maryam. Jeśli jednak to zrobi, będzie musiał zmienić ubranie przed wystawą.

Myśląc o tym, śmieje się głośno, a potem rzy jeszcze głośniej, patrząc jak bolgan wskakuje na ratunek kobietom. Po chwili podnosi obraz i odchodzi ze śmiechem. Zanim dociera do Centrum, trzeźwieje.

— Jak to możliwe, że Dziadek nic a nic się nie mylił? Jakim cudem umie mnie tak przejrzeć? Czyżbym był niestały albo zbyt powierzchowny? Niemożliwe, wiele razy zakochywałem się głęboko. Czy to moja wina, że kocham Urodę, a urodziwe panny, które kocham, nie mają jej dość? Moje oko jest zbyt wymagające; przeczy pragnieniom serca.

Masakra rozsądku²³

Hol wejściowy (jeden z dwunastu), do którego wchodzi Chib, został zaprojektowany przez Dziadka Winnegana. Gość wkracza do drugiego, zakrzywiającego się tunelu z lustrami ustawionymi pod różnymi kątami. W końcu korytarza widać trójkątne drzwi. Wydają się za małe, aby zmieścić się w nich ktokolwiek powyżej dziewiątego roku życia. Za sprawą iluzji zwiedzający ma wrażenie, że przesuając się ku drzwiom, idzie po ścianie. Na końcu tunelu wydaje mu się, że stoi na suficie.

Za to drzwi w miarę zbliżania się do nich rosną, aż w końcu stają się olbrzymie. Komentatorzy zgadywali, że w zamierzeniu architekta takie wejście jest symbolicznym przedstawieniem bramy do świata sztuki, bo zanim się wstąpi do wspaniałej krainy estetyki, należy stanąć na głowie.

W środku odwiedzającemu na początku się wydaje, że olbrzymia sala jest tyłem do przodu albo na odwrót. Coraz bardziej kręci mu się w głowie. Najdalsza ściana wydaje się najbliższą, dopóki gość nie zaczyna się orientować. Niektórzy zupełnie nie potrafią się przestawić i muszą wyjść, zanim zemdleją albo zaczną wymiotować.

Po prawej stronie znajduje się wieszak z napisem: TU MOŻESZ SIĘ POWIESIĆ. Kalambur wymyślił Dziadek, który według większości ludzi zawsze posuwa się w żartach za daleko. Jeśli stary Winnegan wykracza poza granice językowego dobrego smaku, to jego praprawnuk przeskakuje wszelkie granice w malarstwie. Wystawa składa się z trzydziestu najnowszych prac, łącznie z trzema ostatnimi z serii, której główną postacią jest Nap: *Gwiazda Napa*, *Nap pomoże* i *Nap spętany*. Ruskinson i jego uczniowie grożą, że zaraz zaczną wymiotować. Luscus i jego gromada chwala dzieła, ale robią to umiarkowanie. Luscus kazał swoim zaczekać, aż porozmawia z młodym Winneganem. Dopiero potem mają pójść na całość. Ludzie z fido kręcą wszystko i robią wywiady z obydwojema arbitrami, próbując sprowokować kłótnię.

Główna sala budynku ma kształt wielkiej półkuli i jasny sufit, który co dziewięć minut przechodzi przez pełne spektrum. Podłoga jest gigantyczną szachownicą, a w centrum każdego pola znajduje się twarz. To portrety wielkich ludzi reprezentujących różne dziedziny sztuki. Michał Anioł, Mozart, Balzac, Zeuxis, Beethoven, Li Po, Twain, Dostojewski, Farmisto, Mbuzi, Cupel, Krisznagurti i wielu innych. Dziesięć pól pozostaje bez twarzy, aby przyszłe pokolenia mogły dodać swoich kandydatów do nieśmiertelności.

Dół ścian pokrywają freski przedstawiające ważne wydarzenia z życia artystów. Przy biegnących łukiem murach znajduje się dziewięć scen, po jednej dla każdej z Muz. Na konsolach ponad scenami umieszczono rzeźby opiekujących się nimi bogiń. Wszystkie są nagie i mają przejrzałe figury wielkie piersi, szerokie biodra i mocne nogi, tak jakby rzeźbiarz widział je jako bóstwa Ziemi, a nie jako subtelne i utalentowane panny.

Twarze mają tę samą podstawową budowę co gładkie, łagodne oblicza klasycznych greckich posągów, ale wokół ich ust i oczu czai się coś niepokojącego. Wargi się uśmiechają, ale zarazem są gotowe ostrzegawczo odsłonić zęby. Oczy są głębokie i groźne. NIE SPRZENIEWIERZAJCIE SIĘ MI. mówią. BO W PRZECIWNYM RAZIE...

Nad każdą ze scen znajdują się Przejrzyste plastikowe półsfery. Ich akustyczne właściwości sprawiają, że ludzie nie znajdujący się pod kopułą nie słyszą dźwięków płynących z danej sceny i na odwrót.

Chib toruje sobie drogę wśród hałaśliwego tłumu ku scenie z Polihymnią, muzą, która roztacza opiekę między innymi nad malarstwem. Po drodze mija tę, na której Benedyktyna śpiewa z całego ołowianego serca, dobywając z gardła alchemię złotych dźwięków. Dostrzega Chiba i jakimś cudem posyła mu groźne spojrzenie, choć nie przestaje się uśmiechać do swoich słuchaczy. Chib nie zwraca na nią uwagi. Zauważa tylko, że zmieniła suknię podartą w tawernie. Dostrzega także wielu policjantów w całym budynku. Tłum nie jest w wybuchowym nastroju. Wszyscy są zadowoleni i tylko trochę niesforni. Ale policja wie, jak bardzo mylą pozory. Wystarczy jedna iskra...

Chib mija scenę Kaliope, na której improwizuje Omar Runa. Potem podchodzi do Polihymnii, kiwa głową do Rexa Luscusa, który odmachuje mu ręką i stawia obraz na podeście. To pochylona *Masakra Niewinnych* (którą opatrzone podtytułem *Pies na sianie*).

Obraz przedstawia stajnię.

Stajnia jest grota ze stalaktytami o dziwnych kształtach. Światło, które łamie się — lub załamuje w całej jaskini jest czerwienią Chiba. Penetruje ona każdy obiekt, podwaja swą intensywność, po czym rozchodzi się poszarpanymi promieniami. Podczas ruchu, gdy oglądający przechodzi z jednej strony na drugą, aby zobaczyć obraz w pełni, widzi wiele poziomów światła i dzięki temu dostrzega postacie pod zewnętrznymi figurami.

Krowy, owce i konie stoją w boksach w głębi jaskini. Niektóre spoglądają z przerażeniem na Marię i Dzieciątko. Inne otwierają pyski, najwyraźniej próbując Marię ostrzec. Chib w legendzie do obrazu wyjaśnił, że w noc narodzenia Chrystusa zwierzęta w stajence mogły między sobą rozmawiać.

W kącie siedzi Jozel, zmęczony starzec, tak bardzo zgarbiony, że wygląda jakby w ogóle nie miał kręgosłupa. Ma dwa rogi, ale nad każdym jest aureola, więc nie ma niebezpieczeństwa.

Maria leży na plecach na słomie, na której powinno się znajdować także Dzieciątko. Przez kłapę w podłodze sięga mężczyzna, który na sianie kładzie wielkie jajo. Nieznajomy jest w drugiej jaskini pod spodem. Ubrany jest w nowoczesny strój, ma pijany wyraz twarzy i, podobnie jak Józef, garbi się jak bezkręgowiec. Za nim stoi potwornie gruba kobieta, wyglądająca zupełnie jak Matka Chiba. Trzyma dziecko, które mężczyzna podał jej zanim podrzucił jajo na siano.

Dzieciątko ma wyjątkowo piękną buzię i kąpie się w białym świetle aureoli. Kobieta zdjęła mu ją z głowy i ostrym brzegiem kroi maleństwo.

Chib doskonale zna anatomię. Przeprowadził sekcję wielu trupów, zanim zdobył doktorat w dziedzinie sztuki na Uniwersytecie w Beverly Hills. Ciało niemowlęcia jest wydłużone — wcale nie nienaturalnie — podobnie jak wiele namalowanych przez Chiba postaci. Obraz jest bardziej realny niż fotografia. Oglądający odnosi wrażenie, że ma przed sobą prawdziwe dziecko. Przez dużą, krwawą ranę widać jego trzewia.

Oglądającym zaciskają się żołądki, tak jakby patrzyli nie na obraz, lecz na rzeczywiste niemowlę z rozprutym brzuchem i widocznymi wnętrznościami. Czują się tak, jakby znaleźli dziecko na progu, gdy opuszczali dom.

Jajo ma półprzeźroczystą skorupę. W jego mętnym żółtku pływa potworny mały diabeł z rogami, kopytami i ogonem. Zamazane rysy twarzy przypominają połączenie rysów Henry'ego Forda i Wujka Sama. Kiedy patrzący przenosi wzrok z jednej strony na drugą, pojawiają się twarze innych: osób, które odegrały znaczną rolę w rozwoju nowoczesnego społeczeństwa.

W oknie tłoczą się dzikie zwierzęta, które przyszły oddać cześć, ale zostały, by bezgłośnie wyć z przerażenia. Na pierwszym planie są te, które człowiek zupełnie unicestwił, lub które przetrwały

wyłącznie w ogrodach zoologicznych i rezerwach. Dodo, wieloryb błękitny, gołąb wędrowny, kwaga, goryl, orangutan, niedźwiedź polarny, kuguar, lew, tygrys, niedźwiedź grizzli, kondor kalifornijski, kangur, wombat, nosorożec, bielik amerykański.

Za nimi stoją inne zwierzęta, a dalej, na wzgórzu, przycupnęły ciemne cienie tasmańskich aborygenów i haitańskich Indian.

— Co pan sądzi o tym dość niezwykłym obrazie, doktorze Luscus? — pyta fido-reporter.

Luscus się uśmiecha.

— Za kilka minut przedstawię przemyślaną opinię. Może najpierw lepiej porozmawiajcie z doktorem Ruskinsonem. Odnoszę wrażenie, że on od razu osądził to dzieło. Gdzie anioł boi się stąpać, głupi kroczy śmiało, sami rozumiecie.

Fido transmituje czerwoną twarz Ruskinsona i jego wściekły wrzask.

— Jakie bujdy opowiada się teraz na całym świecie! — mówi głośno Chib.

— HAŃBA! FLEGMA! SZTUCZNE ŁAJNO! TO TAK JAK UDERZYĆ SZTUKĘ W TWARZ I KOPNAĆ LUDZKOŚĆ W TYŁEK! HAŃBA! HAŃBA!

— Dlaczego to taka hańba, doktorze Ruskinson? — pyta fido-reporter. — Dlatego, że szydzi z wiary chrześcijańskiej i panamoryckiej? Ale śmiem twierdzić, że tak nie jest. Wydaje mi się, że Winnegan mówi nam co innego. Pokazuje, że ludzie przez własną chciwość i dążenie do samozagłady wypaczyli chrześcijaństwo, a może nawet wszystkie religie i ideały, że człowiek jest z natury mordercą i gorszycielem. Przynajmniej ja to tak rozumiem, choć oczywiście jestem tylko laikiem i...

— Młody człowieku, pozwól krytykom dokonać analizy! — przerywa mu Ruskinson. — Czy ma pan dwa doktoraty, jeden z psychiatrii, a drugi w dziedzinie sztuki? Otrzymał pan rządowy certyfikat uprawniający do wykonywania zawodu krytyka? Winnegan nie ma nawet krzyny talentu, nie wspominając już o geniuszu, o którym chrzanią rozmaici pyszałkowie żyjący w świecie złudzeń. Owa szkarada z Beverly Hills wystawia śmiecie — zwykły malarski bigos, który przyciąga uwagę jedynie nową techniką, jaką mógł wymyślić byle elektryk. Ogarnia mnie wściekłość, gdy widzę, jak zwykła sztuczka, byle jaka nowość, potrafi nie tylko ogłupić pewne sektory publiki, ale też wykształconych i mianowanych przez rząd krytyków, takich jak obecny tu doktor Luscus. No ale cóż, zawsze znajdą się uczone osły, które ryczą tak głośno, nadęcie i niezrozumiale, że...

— A czy nie jest prawdą — wtrąca dziennikarz — że wielu malarzy obecnie uważanych za wielkich, na przykład Van Gogh, za życia spotykało się z pogardą lub obojętnością krytyków? I...

Przedstawiciel fido celowo urywa. Doskonale opanował sztukę prowokowania gniewu z korzyścią dla widzów. Kuskinson puchnie, jego głowa przypomina naczynie krwionośne, które za chwilę zmieni się w tętniaka.

— Nie jestem ignorantem! — wrzeszczy. — Nic nie poradzę na to, że minione epoki miały swoich Luscusów! Wiem, o czym mówię! Winnegan jest marnym mikrometeoritem na nieboskłonie Sztuki. Nie jest godzien czyścić butów wielkim gwiazdom malarstwa. Jego reputacja została sztucznie nadęta przez pewną klikę, aby lśnić mogła odbitym blaskiem chwały. To hieny, gryzące rękę, która je karmi, jak szalone psy...

— Czy aby nie miesza pan metafor? — pyta fido-reporter. Luscus delikatnie ujmuje dłoń Chiba i odciąga go na stronę, gdzie mogą porozmawiać poza zasięgiem fido.

— Drogi Chibie — grucha — czas, byś się zadeklarował. Dobrze wiesz, jak ogromnie cię kocham, nie tylko jako artystę. Zapewne dłużej nie możesz się opierać wibracjom głębokiej sympatii, które niepowstrzymanie płyną między nami. Boże, gdybyś tylko wiedział, jak o tobie śniłem, mój cudowny, boski Chibie z...

— Mylisz się, jeśli sądzisz, że przystanę na to tylko dlatego, że masz możliwość stworzenia lub

zniszczenia mojej reputacji i nie przyznania mi stypendium — mówi Chib i wyrywa dłoń.

Jedno oko Luscusa ciska błyskawice.

— Czy jestem dla ciebie odrażający? Przecież niemożliwe, żebyś mi odmawiał z przyczyn moralnych...

— Chodzi o zasady — odpowiada Chib. — Nawet gdybym się w tobie kochał i tak nie pozwoliłbym ci kochać się ze mną. Chcę być sądzony wyłącznie według moich zasług, tylko tyle. Choć teraz, gdy się nad tym zastanawiam, nie obchodzi mnie opinia nikogo. Nie chcę słuchać pochwał ani zarzutów od ciebie i innych. Patrzcie sobie na moje obrazy i gadajcie do siebie, szakale. Nie próbujcie mnie zmuszać, bym się dopasowywał do waszych małych wyobrażeń o mnie.

Dobry krytyk to martwy krytyk

Omar Runa opuścił już scenę i stoi teraz przed obrazami Chiba. Kładzie dłoń na nagiej lewej piersi, na której wytatuowana jest twarz Hermana Melville'a. Drugie honorowe miejsce na prawej piersi zajmuje Homer. Runa krzyczy głośno. Jego czarne oczy są jak drzwi pieca wyrwane wybuchem. Już wcześniej zdarzało mu się poddawać natchnieniu płynącemu z dzieł Chiba.

Jestem Ahabem, nie Ismaelem
Złapałem na hak Lewiatana.
Jam dziki osioł przez mężczyznę spółdżony.
Me oko widziało wszystko!
Ma pierś jest jak nieodstałe wino
Jestem morzem z wrotami, lecz wrota się zatrzasnęły.
Uważaj! Skóra pęknie, drzwi się złamią.
Jesteś Nimrodem — mówię do mego przyjaciela, Chiba.
I oto nastąpi godzina, gdy Bóg powiada aniołom,
Jeśli ten człek potrafi dokonać tak wiele na początku,
Nic nie jest dla niego niemożliwe.
Zadmie w swój róg stojąc
Na niebiańskich murach i krzykiem biorąc
Księżyc za zakładnika, Dziewicę za żonę,
I żądając procentu z zysków
Wielkiej wszetecznicy Babilonu.

— Powstrzymajcie tego sukinsyna! — woła dyrektor Festiwalu. — Wywoła zamieszki, tak jak w zeszłym roku!

Bolgani się zbliżają. Chib obserwuje Luscusa, który rozmawia z człowiekiem z fido. Nie słyszy jego słów, ale jest pewien, że Luscus nie mówi o nim nic pochlebnego.

Melville pisał o mnie na długo zanim się urodziłem.
Jestem człowiekiem, który chce zrozumieć
Wszechświat, ale zrozumieć na własnych warunkach.
Jestem Ahabem, którego nienawiść musi przeszyć, strzaskać
Wszelkie przeszkody Czasu, Przestrzeni czy Subiektywnej
Moralności i wrzucić gorący
Żar w Łono Stworzenia, gdzie
Ma swoją jaskinię jakaś Siła
Albo nieznana Samoistność,
Obca, Odległa, Nieodkryta.

Dyrektor gestem nakazuje policji usunąć Runę. Ruskinson nadal wrzeszczy, choć kamery kierują

się na Runę albo na Luscusa. Członkini młodych z Junga Radicus, Huga Wells–Erb Heinsturbury, autorka science fiction, wpada w histerię słuchając głosu Runy i trzęsie się z pragnienia zemsty. Ukradkiem podchodzi do fldomana z *Time* 'a. *Time* już dawno temu przestał się ukazywać w formie magazynu, ponieważ nie ma już magazynów. Przekształcił się za to we wspieraną przez rząd agencję komunikacji. Jest przykładem prowadzonej przez Wuję Sama polityki, prawej ręki, lewej ręki i rąk przy sobie, polegającej na zapewnianiu agencjom komunikacyjnym wszystkiego, czego im potrzeba i jednocześnie pozwalaniu kierownikom agencji na określanie agencyjnej polityki. Tak oto połączył się rządowy interes z wolnością słowa. Rzecz możliwa, przynajmniej w teorii. *Time* zachował wiele ze swych pierwotnych zasad i nadal wierzy, że należy poświęcać prawdę i obiektywizm dla dobrego dowcipu, a science fiction trzeba wykończyć. Jego krytycy szydzili z każdego utworu Heinsturbury, dlatego teraz pisarka chce wziąć odwet za krzywdę, jaką wyrządzono jej niesprawiedliwymi recenzjami.

Quid nunc? Cui bono?

Czas? Przestrzeń? Materia? Przypadek?

Gdy umierasz — Piekło? Nirwana?

Nicość to nic, o czym warto myśleć.

Grzmi kanonada filozofii.

Pociski to niewypały.

Stosy teologicznej amunicji wybuchają,

Podpalone przez Rozsądek — sabotażystę.

Mów o mnie Efraimita, bo wstrzymano mnie

U Brodu Boga i nie potrafiłem wymówić

Syczącego hasła, aby mnie przepuszczono.

Nie umiem powiedzieć szibbolet

Ale powiem szambo!

Huga Wells–Erb Heinsturbury kopie fldomana z *Time*'a w krocze. On wyrzuca w górę ręce i puszcza kamerę kształtu i rozmiarów futbolowej piłki. Kamera uderza w głowę chłopaka. To jeden z młodych z Junga Radicus, Ludwig Eutrepe Mahlzar. Ten aż kipi gniewem, ponieważ źle przyjęto jego wiersz toniczny *Tryska zawartość przyszłych piekieł*. Kamera dolewa oliwy do ognia. Mężczyzna wybuchu. Uderza głównego krytyka muzycznego w wielki żołądek.

Tymczasem to Huga, a nie człowiek z fido, krzyczy z bólu. Nagie palce stopy trafiły na twarde, plastikowy pancerz, którym przedstawiciel *Time*'a, adresat wielu takich kopniaków, chroni swoje genitalia. Huga podskakuje na jednej nodze, trzymając obolałą stopę w dłoniach. Przypadkiem wpada na jakąś dziewczynę i daje początek reakcji łańcuchowej. Jakiś mężczyzna przygniata dziennikarza *Time*'a, który pochyla się po kamerę.

— Ahaa! — wyje Huga. Zdiera hełm fldomanowi, dosiada go i bije po głowie obiektywem kamery. Ferrytowe urządzenie nadal działa, wysyłając miliardom widzów obrazy niezwykle intrygujące, choć przyprawiające o zawroty głowy. Jedną stronę obiektywu przesłania krew, ale nie na tyle, by oglądający poczuli się zupełnie oszukani. Po chwili obserwują kolejne oryginalne ujęcie, gdy kamera ponownie wylatuje w powietrze, obracając się wokół własnej osi.

Bolgan dźga Hugę w plecy elektryczną pałką. Dziewczyna sztywnieje i wyrzuca kamerę łukiem za siebie. Obecny kochanek pisarki mociuje się z innym bolganem. Taczają się po podłodze. Jakiś młodociany z Westwood podnosi elektryczną pałkę i doskonale się bawi, wtykając ją w tyłki otaczających go dorosłych, dopóki nie naskakuje na niego miejscowy młodziak.

— Zamieszki to opium ludu — stęka szef policji. Wzywa wszystkie jednostki i przesyła wiadomość szefowi policji z Westwood, który ma akurat własne kłopoty.

Runa bije się w piersi i wyje
Panie, ja istnieję! I nie mów mi
Tak jak Żurawiowi, że wcale to ciebie
Do niczego nie zobowiązuje.
Jestem człowiekiem; jestem jednostką.
Wyrzuciłem Chleb przez okno,
Naszcząłem do Wina, wyciągnąłem korek
Z dna Arki, ściałem Drzewo
Na opał, a gdyby istniał Duch
Święty, przeleciałbym go od tyłu.
Ale przecież wiem, że to wszystko
Nic na Boga nie znaczy,
Że nic nie znaczy nic,
Że jest jest jest, a nie — jest nie jest jest — nie
Że róża jest różą jest
Że jesteśmy tu i nie będziemy
I że to wszystko, co możemy wiedzieć!

Ruskinson widzi idącego ku niemu Chiba, skrzeczy i próbuje uciec. Chib chwyta obraz *Dogmaty Napa* i wali nim Ruskinsona po głowie. Przerażony Luscus protestuje, nie dlatego, że Ruskinsonowi może się coś stać. Martwi się tylko, że malarz zniszczy dzieło. Chib odwraca się i bije Luscusa w żołądek brzgiem owalu.

Ziemia przechyla się jak tonący okręt,
Jej kręgosłup już prawie przełamała powódź
Ekskrementów z niebios i głębin,
Które Bóg w swej potwornej szczodrości
Ofiarował wysłuchując jęków Ahaba.
Bzdura! Bzdura!
Płaczę myśląc, że oto jest Człowiek
A oto jego koniec. Ale co to?!
Na fali powodzi trzymasztowiec
Pradawnego kształtu. Latający Holender!
Ahab raz jeszcze dosiada okrętu.
Śmiejcie się, o Parki, szydźcie sobie Norny!
Bo ja jestem Ahabem i ja jestem Człowiekiem
I choć nie potrafię wybić dziury
W murze tego Co się Zdaje
By pochwycić garść tego Co Jest,
Ale nie przestanę walić pięścią.
Ja i moja załoga się nie poddamy,
Choć deski pękają nam pod stopami
I toniemy, by wkrótce nie można nas było odróżnić
Od ekskrementów wszelkich.

Przez chwilę zapłonie to w
Oku Boga na zawsze: Ahab stoi
Na tle łuny Oriona,
Zaciśnięte pięści, zakrwawiony fallus,
Niczym Zeus pokazujący trofeum
Pozbawienia męskości swego ojca Kronosa.
A potem on wraz z załogą i statkiem
Nurkują i spadają poza
Krawędź świata.
I z tego co wiem, wciąż jeszcze L
e
c
ą

Porażony elektryczną pałką bogana Chib zmienia się w drżącą bezwładną masę. Gdy dochodzi do siebie, słyszy głos Dziadka z nadajnika w kapeluszu.

— Chib wracaj szybko! Accipiter dostał się do środka i próbuje się przedostać przez drzwi do mego pokoju!

Chłopak wstaje. Pięciami i łokciami toruje sobie drogę do wyjścia. Kiedy dysząc dociera do domu, widzi, że drzwi do pokoju dziadka zostały otwarte. Ludzie z WBS i technicy stoją w korytarzu. Chib wpada do wnętrza. Accipiter stoi pośrodku pomieszczenia. Jest blady i się trzęsie. Poruszony kamień. Na widok Chiba kuli się w sobie.

— To nie moja wina. Musiałem się włamać. To był jedyny sposób, żeby się dowiedzieć prawdy. To nie moja wina; nawet go nie dotknąłem.

Chib czuje, jak zaciska mu się gardło. Nie może mówić. Klęka i bierze rękę starca. Dziadek ma lekki uśmiech na niebieskich wargach. Po raz ostatni umknął Accipiterowi. W dłoni trzyma ostatnią stronę zapisków swoich wspomnień.

Przez zasłony nienawiści, szarżują ku bogu

W życiu widziałem niewielu prawdziwie pobożnych i większość naprawdę obojętnych. Ale duch czasów się zmienia. Wielu młodych, tak mężczyzn jak i kobiet, ożywia nie miłość do Boga, lecz gwałtowna antypatia do Niego. To mnie ekscytuje i przywraca mi siły. Młodzi, tacy jak mój wnuk i Runa, wykrzykują bluźnierstwa i w ten sposób oddają cześć Jemu. Gdyby nie wierzyli, nie myśleliby o Nim. Teraz widzę nadzieję na przyszłość.

Przez kraj na skraj²⁴

Chib i Matka, ubrani na czarno, schodzą tunelem przejścia na poziom 13B. Jest przestronny, ma świecące ściany i nie płaci się tu za wstęp. Chib podaje fido—kasie cel podróży. Za ścianą, proteinowy komputer nie większy niż ludzki mózg, wszystko przelicza. Bilet z kodem wysuwa się ze szczeliny. Chib bierze go i razem z Matką wychodzą na łukowatą przystań, gdzie chłopak wsuwa bilet w otwór. Wyskakuje inna karta, a na wypadek, gdyby nie umieli czytać, mechaniczny głos powtarza informacje z biletu w angielskim światowym i w dialekcie, jakiego używa się w LA.

Do zatoki wpadają gondole, zwalniają i zatrzymują się. Nie poruszają się na kołach, podróżują w bezustannie stabilizującym się polu grawitacyjnym. Odcinki przystani odsuwają się, tworząc porty dla gondoli. Pasażerowie wchodzą do specjalnych klatek. Klatki stale przesuwają się do przodu, a drzwi otwiera automat. Podróżni wsiadają do gondoli, zajmują miejsca i czekają, aż zamkną się nad nimi siatkowe formy bezpieczeństwa. Z kanału w podwoziu wysuwają się przejrzyste plastikowe łuki, które łączą się nad głowami siedzących tworząc kopułę.

Automatycznie sterowane gondole czekają, aż droga będzie wolna. Dla bezpieczeństwa monitorują je rezerwowe komputery proteinowe. Po otrzymaniu sygnału startowego, pojazdy powoli opuszczają zatoki i wsuwają się w tunel. Tutaj ponownie przystają, czekając na jeszcze jedno potwierdzenie. W ciągu mikrosekund poddawane są trzykrotnej kontroli. Potem szybko ruszają tunelem.

Gwizd! Świst! Inne gondole mijają ich z boku. Tunel świeci żółto, tak jakby wypełniał go naelektryzowany gaz. Gondola przyspiesza błyskawicznie. Już tylko nieliczne pojazdy ją wyprzedzają, ale Chib dodaje gazu i wkrótce już nikt ich nie może dogonić. Zaokrąglona rufa łodzi przed nimi migocze jak przynęta, której nie zdołają schwytać, dopóki nie zwolni przed swoim portem docelowym. W tunelu jest niewiele gondoli. Pomimo stumilionowej populacji, na szlaku północ — południe panuje mały ruch. Większość mieszkańców Los Angeles nie opuszcza samowystarczalnych gniazd. Tunele wschód — zachód są bardziej uczęszczane, ponieważ niektórzy wolą publiczny ocean od miejskich pływalni.

Wehikuł z rykiem pruje na południe. Po kilku minutach tunel opada i nagle biegnie pod kątem 45 stopni. Błyskawicznie mijają kolejne poziomy.

Przez przezroczyste ściany Chib ogląda ludzi i architekturę innych miast. Poziom 8., Long Beach. Interesujący. Domy wyglądają jak dwa wycięte z kwarcu talerze ustawione jeden na drugim, wierzchem do wierzchu, a całość wspiera się na kolumnie z rzeźbionych figur. Wchodzi się i wychodzi po łuku przyporowym.

Na poziomie 3 A tunel się prostuje. Gondola w locie mija miejsca, na widok których Mama zamyka oczy. Chib ściska jej dłoń i myśli o przyrodnim bracie i kuzynie, którzy żyją za żółtawym plastikiem. Na ten poziom trafia piętnaście procent populacji: opóźnieni w rozwoju, nieuleczalni szaleńcy, zbyt brzydzy, potworni i zgrzybiali. Roją się tam, przyciskając puste lub powykrzywiane twarze do ściany tunelu i patrząc na mijające ich ładne pojazdy.

„Humanitarna” medycyna utrzymuje przy życiu niemowlęta, które *powinny* — zgodnie z prawem Natury — umrzeć. Już od dwudziestego wieku ludzi z wadliwymi genami ocalano od śmierci, doprowadzając tym samym do stałego rozprzestrzeniania się tych genów. Tragiczne jest to, że współczesna nauka potrafi wykryć i naprawić takie geny jeszcze w jajach i plemniku. Teoretycznie więc wszyscy ludzie mogliby mieć zupełnie zdrowe ciała i fizycznie idealne mózgi. Problem w tym, że mamy za mało lekarzy i placówek w stosunku do ilości rodzących się dzieci. Nawet mimo stale spadającej liczby urodzeń.

Medycyna utrzymuje ludzi przy życiu tak długo, że dopada ich starcza zgrzybiałość. Stąd rosnąca liczba śliniających się, bezmyślnych starców. Jest też coraz więcej tumanów. Istnieją terapie i leki, które przywróciłyby większości z nich „normalność”, ale za mało lekarzy i szpitali. Może kiedyś będzie ich dość, ale to nie pomoże współczesnym nieszczęśnikom.

Co można robić teraz? Starożytni Grecy zostawiali niedorozwinięte niemowlęta na polach, by tam umarły. Eskimosi wysyłali swych starców na lodowych krach. Może my powinniśmy gazować nienormalne noworodki i starych ludzi? Czasem myślę, że tak właśnie byłoby najbardziej miłosiernie. Ale nie mogę oczekiwać, że kto inny naciśnie włącznik, jeśli ja tego nie zrobię.

Zastrzeliłbym pierwszego, który by sięgnął w jego stronę.

— z Dziadkowych *Osobistych Wyzwołów*

Gondola zbliża się do jednego z niewielu skrzyżowań. Pasażerowie spoglądają w szeroką gardziel tunelu na prawo. Ku nim pędzi ekspres. Wyłania się przed nimi, na kursie kolizyjnym. Wiedzą, że nic im nie grozi, a mimo to chwytają się siatki, zaciskają zęby i mocniej opierają stopy o podłogę. Mama wydaje z siebie cichy pisk. Pojazd przelatuje nad nimi i znika. Powietrze wyje i łopocze za nim jak dusza w drodze na sąd podziemnego świata.

Tunel ponownie opada w dół i wyrównuje bieg dopiero na poziomie 1. Widzą ziemię poniżej i potężne, samonastawne filary podtrzymujące megapolię. Przemykają ponad małą miejscowością — osobliwą osadą z początku dwudziestego pierwszego stulecia — jedną z wielu pod sześcianem, zachowanych jako muzea.

Piętnaście minut od rozpoczęcia podróży Winneganowie docierają do ostatniej stacji. Winda zjeżdżają na ziemię i tam wsiadają do wielkiej, czarnej limuzyny. O transport zadbało prywatne przedsiębiorstwo pogrzebowe, ponieważ Wuj Sam i rząd Los Angeles płacą za kremację, ale nie za pochówek. Kościół już nie upiera się przy grzebaniu ludzi, pozostawiając wierzącym wybór między rzuconymi na wiatr prochami lub pochowanymi w ziemi ciałami.

Słońce już w połowie pokonało wędrówkę ku zenitowi. Mama zaczyna mieć kłopoty z oddychaniem. Jej szyja i ramiona czerwienieją i puchną. Trzy razy była poza murami i zawsze, pomimo klimatyzacji w limuzynie, dopadała ją ta dziwna alergia. Chib klepie ją po dłoni. Jadą z grubsza połataną drogą. Archaiczny, osiemdziesięcioletni, zasilany ogniwami paliwowymi i napędzany elektrycznie wehikuł trzęsie trochę, ale tylko w porównaniu z jazdą gondolą. Szybko pokonuje dziesięć kilometrów do cmentarza, zatrzymując się tylko raz, by przepuścić jelenia na drugą stronę drogi.

Ojciec Fellini już na nich czeka. Jest strapiony, bo musi im powiedzieć, że według Kościoła Dziadek dopuścił się świętokradztwa. Swoje zwłoki zastąpił ciałem innego mężczyzny, pozwolił, by odprawiono za niego mszę i pochowano w świętej ziemi. Co więcej, Dziadek zmarł jako przestępca, nie odpokutowując swych win. Z tego co wiadomo Kościołowi, przed śmiercią nie żałował za grzechy.

Chib spodziewa się takiej odmowy. W Św. Marii w Beverly Hills na poziomie 14. odmówiono

odprawienia mszy za Dziadka. Ale Dziadek wielokrotnie powtarzał, że chciałby spocząć obok swoich przodków, a chłopak uparł się spełnić jego wolę.

— Sam go pochowam! Tutaj, na skraju cmentarza! — mówi Chib.

— Tak nie można! — odpowiadają chórem ksiądz, przedstawiciele domu pogrzebowego i agent federalny

— Do diabła z tym! Dajcie łopate!

W tej samej chwili chłopak zauważa szczupłą, ciemną twarz i sierpowaty nos Accipitera. Agent nadzoruje wydobywanie trumny (pierwszej) dziadka. Wokół niego tłoczy się co najmniej pięćdziesięciu fidomanów, uwieczniając wydarzenie minikamerami. Kilka dekametrów nad nimi unoszą się nadajniki. Dziadek, jak przystało na ostatniego miliardera i największego kryminalistę stulecia, skupił na sobie uwagę wszystkich mediów.

Fidoreporter: Panie Accipiter, proszę o kilka słów komentarza. Chyba nie przesadzam mówiąc, że to historyczne wydarzenie ogląda co najmniej dziesięć miliardów widzów. Dziś nawet dzieci w wieku szkolnym wiedzą o Winneganie „Win again”. Co pan na to? Pracował pan nad tą sprawą przez dwadzieścia sześć lat. Sukces daje panu ogromną satysfakcję.

Accipiter się nie uśmiecha, jego twarz przypomina diorytową rzeźbę: Prawdę mówiąc, nie poświęcałem tej sprawie całego czasu. W sumie zebrałyby się może trzy lata. Ale rzeczywiście co miesiąc zajmowałem się nią przynajmniej przez kilka dni, zatem można powiedzieć, że tropem Winnegana szedłem dwadzieścia sześć lat.

Fidoreporter: Mówi się, że koniec tej sprawy oznacza także koniec WBS. Jeśli nas dobrze poinformowano, organizacja działała już tylko ze względu na Winnegana. Oczywiście zajmowaliście się też innymi sprawami, ale tropienie fałszerzy i hazardzistów, którzy nie zgłaszają swych dochodów przekazano innym agencjom. To prawda? A jeśli tak, co zamierza pan teraz robić?

Accipiter, głosem zdradzającym odrobinę emocji: Rzeczywiście, WBS ma zostać rozwiązane. Stanie się to jednak dopiero po zakończeniu sprawy przeciwko wnuczce Winnegana i jej synowi. Ukrywali go i dlatego uważa się ich za współwinnych. Prawdę mówiąc, niemal wszyscy mieszkańcy Beverly Hills poziomu 14. powinni stanąć przed sądem. Jestem pewien, choć nie mogę tego udowodnić, że doskonale wiedzieli, iż schronił się w tamtejszym domu. Nawet ksiądz Winnegana to wiedział, ponieważ Winnegan często chodził na msze i do spowiedzi. Duchowny twierdzi, że namawiał Winnegana, by oddał się w ręce policji i odmówił udzielenia mu rozgrzeszenia, dopóki tego nie zrobi. Ale Winnegan — zatwardziały „szcur” — to znaczy kryminalista — odmówił spełnienia poleceń księdza. Uważał, że nie popełnił przestępstwa i że to Wuj Sam jest winowajcą. Wyobrażacie to sobie? Co za bezczelność i deprawacja człowieka!

Fidoreporter. Chyba nie planuje pan aresztowania wszystkich mieszkańców 14. poziomu Beverly Hills?

Accipiter: Odradzono mi to.

Fidoreporter: Czy po zakończeniu tej sprawy planuje pan odejść na emeryturę?

Accipiter: Nie. Zamierzam się przenieść do Wydziału Zabójstw Górnego LA. Morderstwa dla zysku zdarzają się już bardzo rzadko, ale nadal, dzięki Bogu, trafiają się zbrodnie w afekcie!

Fidoreporter: Jeśli jednak to młody Winnegan wygra sprawę przeciwko panu — a wysunął zarzuty naruszenia prywatności domu, nielegalnego włamania i bezpośredniego spowodowania śmierci jego prapradziadka — nie będzie pan mógł pracować dla wydziału zabójstw ani żadnej innej organizacji policyjnej.

Accipiter, zdradzając więcej emocji: Nic dziwnego, że nam, stróżom prawa, tak trudno jest działać efektywnie! Czasem nie tylko większość obywateli staje po stronie tych, co łamią przepisy,

ale nawet moi pracodawcy...

Fidoreporter — Czy mógłby pan dokończyć to zdanie? Jestem pewien, że pańscy przełożeni oglądają ten kanał. Nie? Słyszałem, że proces Winnegana i pański mają, z jakiejś przyczyny, odbyć się *równocześnie*. Jak zamierza pan być obecny na obu rozprawach? Ha — ha! Niektórzy fidonadawcy nazywają pana Człowiekiem Symultanicznym!

Accipiter. Wszystko przez bezmózgiego urzędnika! Źle wprowadził dane do komputera prawnego! Właśnie wyjaśniamy pomyłkę w datach. Mogę chyba wspomnieć, iż urzędnik jest podejrzany o celowe popełnienie błędu. Zbyt wiele takich przypadków miało miejsce...

Fidoreporter. Czy mógłby pan streścić naszym widzom przebieg sprawy? Proszę tylko o główne wydarzenia.

Accipiter: No tak. Jak wiadomo, przed pięćdziesięciu laty wszystkie prywatne przedsiębiorstwa stały się rządowymi agencjami. Wszystkie prócz koncernu budowlanego Finnegan 53 Stany, którego dyrektorem był Finn Finnegan. Był on ojcem mężczyzny, który dziś zostanie — gdzieś — pochowany. Także wszystkie związki prócz największej unii budownictwa, zostały rozwiązane albo przekształcone w organizacje rządowe. Tymczasem tamten koncern i unia stanowiły jedność, ponieważ do pracowników należało dziewięćdziesiąt pięć procent pieniędzy, podzielonych mniej więcej równo między wszystkich. Stary Finnegan był dyrektorem firmy oraz pełnomocnikiem i sekretarzem unii. Owa firma — unia tak czy inaczej, a przeważnie inaczej, starała się uniknąć nieuchronnego wchłonięcia przez państwo. Metody działania Finnegana poddano śledztwu, podejrzewając stosowanie przymusu, szantażowanie senatorów USA, a nawet Sędziów Sądu Najwyższego. Niestety, niczego nigdy nie dowiedziono.

Fidoreporter: Gwoli wyjaśnienia naszym widzom, którzy być może niezbyt dobrze pamiętają historię powiem, że już pięćdziesiąt lat temu pieniądze używano wyłącznie do zakupu dóbr niegwarantowanych. Poza tym, podobnie jak dziś, uważano je za oznakę prestiżu i pozycji społecznej. Niegdyś rząd zastanawiał się nad całkowitym wycofaniem środków pieniężnych, ale przeprowadzono ankietę, która dowiodła, że miały one ogromną wartość psychologiczną. I choć rządowi pieniądze nie są dziś potrzebne, zachowano też podatek dochodowy, ponieważ jego wysokość określała pozycję człowieka i dawała sposobność wycofywania sporych ilości gotówki z obiegu.

Accipiter. Otóż kiedy stary Finnegan zmarł, rząd ponownie podjął próby wcielenia pracowników i kierowników firmy w poczet urzędników państwowych. Niestety, młody Finnegan okazał się równie przebiegły i występny jak jego ojciec. Oczywiście nie śmiem nawet sugerować, że sukces młodego Finnegana miał cokolwiek wspólnego z faktem, iż jego wuj był w tamtym czasie prezydentem USA.

Fidoreporter: Młody Finnegan miał siedemdziesiąt lat w chwili śmierci ojca.

Accipiter: Podczas nieustającej walki, która ciągnęła się wiele lat, Finnegan postanowił zmienić nazwisko na Winnegan, co brzmi podobnie do „win again”. Człowiek ten miał dziecinny, można by nawet rzec idiotyczny, pociąg do kalamburów, których, *szczerze* mówiąc, nie rozumiem. Mam na myśli kalambury, oczywiście.

Fidoreporter. Naszym widzom spoza Ameryki, którym nie jest znana tutejsza tradycja Dnia Nadania Imienia... wyjaśniamy, że zwyczaj został zapoczątkowany przez Panamorytów. Kiedy obywatel osiąga wiek dojrzały, może w dowolnym momencie przybrać nowe imię, które według niego odpowiada jego temperamentowi lub życiowemu celowi. Powiniennem też dodać, że Wuj Sam, którego niesłusznie oskarżano o próby narzucenia obywatelom konformizmu, bardzo wspiera takie indywidualistyczne podejście do życia. Zwyczaj ten jest podtrzymywany, pomimo tego, że rząd

zmuszony jest uruchomić dodatkowe siły archiwizujące. Muszę wspomnieć o jeszcze jednej ciekawostce. Według rządu, dziadek Winnegan był niesprawny umysłowo. Moi słuchacze na pewno mi wybaczą, jeśli na moment panu przerwę i wyjaśnię podstawy, na jakich Wuj Sam oparł te przypuszczenia. Otóż ci z państwa, którym pomimo nieodpłatnych możliwości kształcenia nie jest znane klasyczne dzieło literackie z początku dwudziestego wieku, „Finnegan’s Wake”, powinni wiedzieć, że autor, James Joyce, zaczerpnął ów tytuł z wodewilowej piosenki (Pół ekranu zostaje wygaszone i monitor krótko objaśnia słowo „wodewil”).

Piosenka ta opowiadała o Timie Finneganie, irlandzkim ceglarzu, który pijany spadł z drabiny i prawdopodobnie się zabił. Podczas czuwania przy zmarłym Finneganie, przypadkowo opryskano zwłoki whisky. Finnegan, czując alkohol — „wodę życia” — usiadł w trumnie, po czym wstał z niej, żeby pić i tańczyć z żałobnikami.

Dziadek Winnegan zawsze twierdził, że ta wodewilowa piosenka oparta była na rzeczywistych wydarzeniach, bo prawdziwego mężczyzny nic nie zmoże. Podobno ów Tim Finnegan był jego przodkiem. Tak absurdalne stwierdzenie zostało użyte przez rząd w sprawie przeciwko Winneganowi.

Tymczasem Winnegan przedstawił dokumenty potwierdzające jego słowa. Dopiero później — niestety za późno — okazało się, że papiery są fałszywe.

Accipiter. W sprawie przeciwko Winneganowi rząd zyskał sympatię zwykłych obywateli, którzy narzekali, że związek zawodowy jest niedemokratyczny i dyskryminujący. Kierownicy i pracownicy otrzymywali dość wysokie pensje, podczas gdy wielu ludzi musiało się zadowalać gwarantowanym dochodem. Dlatego Winnegan został postawiony przed sądem i oskarżony, oczywiście zupełnie słusznie, o różne wykroczenia, między innymi o próby obalenia demokracji. Widząc, że nie uniknie klęski, Winnegan zaplanował największy wyczyn w swojej karierze przestępczej. Jakimś cudem zdołał ukraść 20 miliardów dolarów ze skarbca rezerw federalnych. Dla jasności dodam, że suma ta stanowiła połowę gotówki istniejącej w tamtym okresie w Górnym LA. Winnegan zniknął z pieniędzmi. Kradzież nie była jedyną zbrodnią, jaką popełnił, nie zapłacił też podatku dochodowego od zrabowanej sumy. Niewybaczalne. Nie rozumiem, dlaczego tak wiele osób podziwiało poczynania tego oprycha. Widziałem nawet programy pokazujące go jako bohatera, oczywiście nieudolnie ukrytego pod innym nazwiskiem.

Fidoreporter. Tak, kochani, Winnegan popełnił największe przestępstwo naszej epoki. I choć w końcu został zlokalizowany, a dziś ma być — gdzieś — pochowany, to sprawa nie jest jeszcze zamknięta. Rząd wprawdzie twierdzi, że jest, ale gdzie są pieniądze, 20 miliardów dolarów?

Accipiter. Prawdę mówiąc, pieniądze nie mają dziś żadnej wartości. Są wyłącznie pamiątką dla kolekcjonerów. Wkrótce po tamtej kradzieży rząd ściągnął z obiegu całą gotówkę, po czym wydał nowe banknoty, aby nie mylić ich ze starymi. Administracja od dawna zamierzała przeprowadzić taką akcję, ponieważ uważała, że pieniędzy jest za dużo. Przywrócono do obiegu zaledwie połowę sumy, jaką zebrano.

Bardzo chciałbym wiedzieć, gdzie się podziały tamte pieniądze. Nie spocznę, dopóki nie poznam prawdy. Wytropię je, nawet jeśli będę na to musiał poświęcić wolny czas.

Fidoreporter. Może mieć pan tego czasu dużo, jeżeli młody Winnegan wygra sprawę. Bo, jak drodzy państwo pewnie wiedzą, Winnegana znaleziono martwego na dolnym poziomie San Francisco, mniej więcej rok po jego zniknięciu. Jego wnuczka zidentyfikowała ciało, a odciski palców i uszu, wzory siatkówki oka, uzębienia, grupa krwi, typ włosa i dziesiątki innych wzorów identyfikacyjnych zgadzały się z wzorami Winnegana.

Chib, który przysłuchuje się całej rozmowie, myśli, że Dziadek musiał wydać wiele milionów ze

skradzionych pieniędzy, aby to wszystko zaaranżować. Nie wie, ale podejrzewa, że jakieś laboratorium badawcze gdzieś na świecie wyhodowało jego duplikat w biozbiorniku.

Miało to miejsce dwa lata przed narodzinami Chiba. Kiedy chłopiec miał pięć lat, Dziadek ni stąd ni zowąd się pokazał. Wprowadził się do domu nawet nie zawiadamiając Mamy o swoim powrocie. Tylko Chiba traktował jak powiernika. Oczywiście Mama nie mogła zupełnie nie zauważać Dziadka, ale teraz twierdziła, że nigdy go nie widywała. Chib sądził, że chciała w ten sposób uniknąć posądzenia, iż była współwinna przestępstwa, ale nie miał pewności. Może odgrodziła „odwiedziny” Dziadka od reszty świadomości. Nie miałyby *i* tym większych Kłopotów, w końcu nigdy nie wiedziała nawet czy był wtorek, czy czwartek i nie potrafiła powiedzieć, jaki mieli rok.

Chib nie zwraca uwagi na grabarzy, którzy dopytują się, co mają zrobić z ciałem. Podchodzi do grobu. Widać już wierzch jajowatej trumny. Koparka ultradźwiękami kruszy zbitą ziemię i zasysa piach do góry długim, przypominającym trąbę aparatem. Accipiter rezygnuje z dotychczasowego opanowania i uśmiecha się do fidoreporterów, zacierając dłonie.

— Ciesz się, póki możesz sukinsynu — mówi Chib. Tylko gniew powstrzymuje łzy i szloch, który w nim narasta.

Strefa wokół grobu zostaje oczyszczona, by zrobić miejsce chwytakom maszyny, które opuszczają się do dołu, zahaczają pod dnem i wyciągają czarną trumnę z napromienionego tworzywa sztucznego z posrebrzanymi arabeskami. Stawiają ją na trawie. Chib widząc, jak ludzie z WBS przystępują do otwierania wieka, chce coś powiedzieć, ale zamyka usta. Przygląda się wszystkiemu uważnie i ugina kolana, tak jakby szykował się do skoku. Fidomani się zbliżają, a kamery w kształcie ocznych gałek kierują się na ludzi wokół trumny.

Wieko ustępuje z jękiem. Rozlega się wielkie bum. Gęsty, czarny dym napiera falą. Accipiter i jego ludzie, wszyscy czarni, wydostają się z chmury, świecąc białkami szeroko otwartych oczu i kaszląc. Fidomani biegną we wszystkich kierunkach albo pochylają się po upuszczone kamery. Ci, którzy stali dalej, widzą, że do eksplozji doszło na dnie grobu. Tylko Chib wie, że wyciągnięcie trumny aktywowało w grobie urządzenie detonujące.

On też jako pierwszy spogląda w niebo, na pocisk wylatujący z dołu, bo tylko on się tego spodziewał. Po chwili fidoreporterzy kierują kamery na raketę, która wspina się na wysokość stu metrów, pęka i między dwoma okrągłymi kształtami rozwija się wstęga. Obiekty rosną i stają się balonami, a wstęga zmienia się w wielki sztandar.

Na nim widnieją napisane wielkimi czarnymi literami słowa

Winnegan's fake!²⁵

Dwadzieścia miliardów dolarów ukrytych pod czymś, co wyglądało jak dno grobu, płonie wściekle. Niektóre banknoty wystrzelone w gejzer sztucznych ogni unoszone są przez wiatr. Ludzie z WBS, fidoreporterzy, kierownicy domu pogrzebowego i członkowie zarządu miasta rzucają się w pogoń za nimi.

Mama jest oszołomiona.

Accipiter wygląda tak, jakby za chwilę miał dostać zawału.

Chib płacze i śmieje się, taczając się po ziemi.

Dziadek raz jeszcze orznął Wują Sama i cały świat widzi jego największy kawał.

— Ty przewrotny staruchu! — szlocha Chib między napadami śmiechu. — Ty przewrotny staruchu! Kocham cię!

Gdy tarza się po ziemi i ryczy tak głośno, że bołą go żebra, czuje w dłoni jakiś papier. Przestaje się śmiać, podnosi się na kolana i woła za mężczyzną, który dał mu list.

— Twój Dziadek zapłacił mi, żebym oddał to tobie, kiedy jego pochowają — wyjaśnia mężczyzna.

Chib czyta.

Mam nadzieję, że nikt nie został ranny, nawet ci z WBS.

Ostatnia rada od Starego Mędrca w Jaskini. Zerwij się. Opuść LA. Wyjedź z kraju. Jedź do Egiptu. Niech twoja Matka sama pobędzie jeźdźcem purpurowej doli. Na pewno jej się uda, jeśli trochę potrenuje oszczędzanie i wyrzeczenia. Jeżeli nie, to nie twoja wina.

Masz wielkie szczęście, że się urodziłeś obdarzony talentem, a może nawet geniuszem. Jesteś dość silny, by chcieć zerwać pępowinę. Zrób to. Jedź do Egiptu. Chłoń starożytną kulturę. Stań przed Sfinksem. Zadaj jej (tak naprawdę to jest on) Zagadkę.

Potem odwiedź jeden z rezerwatów na południe od Nilu. Przez jakiś czas żyj tam, otoczony niemal wierną kopią Natury takiej, jaką była zanim rodzaj ludzki zbecześcił ją i wypaczył. Nasyć się duchem pradawnego czasu i miejsca gdzie homo sapiens (?) ewoluował z człekokształtnego mordercy.

Dotąd tworzyłeś penisem, który, przykro mi to mówić, był bardziej nabrzmiały żółcią niż pasją życia. Naucz się malować sercem. Tylko w ten sposób możesz się stać wielki i prawdziwy.

Maluj.

Potem możesz jechać, gdzie tylko zechcesz. Będę z tobą tak długo, jak długo będziesz żył i mnie pamiętał. Pozwól, że zacytuję słowa Runy: „Będę Gwiazdą Północną twojej duszy”.

Trzymaj się wiary, że znajdą się inni, którzy cię pokochają tak samo jak ja, a nawet bardziej. A co najważniejsze, ty musisz kochać ich równie mocno, jak oni ciebie.

Potrafisz?

Tłum. Agnieszka Jacewicz

Posłowie:

Dziwnie obojętnie podchodzę do sprawy lotu człowieka na Księżyc. Mówię *dziwnie*, ponieważ czytam science fiction od roku 1928, a publikuję własne opowiadania SF od 1952. Poza tym byłem pewien, modliłem się i miałem nadzieję, że do 1940 roku trafimy na Marsa. Mniej więcej w wieku osiemnastu lat porzuciłem myśli o tak wczesnej wyprawie, ale wiedziałem, że kiedyś, może w 1970 roku, nam się to uda.

Poza tym, od 1957 roku zajmowałem się elektroniką wykorzystywaną do celów militarnych i komercyjnych, a obecnie pracuję w firmie związanej z programami kosmicznymi Saturn i Apollo. Przed dziesięciu laty byłbym zachwycony możliwością pracy przy projektach związanych z podróżami w kosmos. Rakiety, lądowania na Księżycu, śluzy powietrzne i wszystko inne, co się z tym wiąże.

Tymczasem przez ostatnie osiem lat coraz bardziej interesowały mnie i martwiły problemy ziemskie. Należą do nich błyskawiczny wzrost zaludnienia, kontrola urodzin, gwałt na Matce Naturze, „prawa” człowieka i zwierząt, konflikty międzynarodowe, a przede wszystkim zdrowie psychiczne. Chciałbym zobaczyć, jak badamy kosmos, ale nie uważam tego za konieczne. Skoro Stany Zjednoczone chcą wydawać swoje (moje) pieniądze na rakiety kosmiczne, w porządku. Jestem przekonany, że kiedyś zyskamy na badaniach kosmicznych więcej niż to, co obecnie na ten cel wydajemy. Dokonane „przy okazji” odkrycia technologiczne, wynalazki, które są dziełem szczęśliwych przypadków, a także sprawy takie jak kontrola pogody, w końcu przekonają nas, że wszystkie włożone w to wysiłki i koszty są opłacalne. Chcę tak myśleć.

Ale przeznaczmy przynajmniej tyle samo pieniędzy i starań na próby odkrycia przyczyn różnych zachowań człowieka. Jeśli trzeba wybierać między dwoma różnymi projektami, zrezygnujmy z tego, który dotyczy kosmosu. Jeżeli to zdrada, no cóż, trudno. Ludzie są ważniejsi od raket; nigdy nie zdołamy znaleźć harmonii z Naturą, która istnieje poza ziemską atmosferą, skoro nie umiemy się zgrać z tą na powierzchni naszej planety.

Pomysł tego opowiadania powstał po wykładzie zorganizowanym w domu Toma i Terry Pinckardów. Lou Barron mówił wówczas między innymi o dokumencie Potrójnej Rewolucji. Zawiera on list wysłany 22 marca 1964 roku przez specjalną komisję do prezydenta Lyndona B. Johnsona; politycznie bezpieczną odpowiedź, jakiej udzielił sekretarz i specjalny doradca prezydenta oraz sam raport dotyczący Potrójnej Rewolucji. Autorzy dokumentu zdają sobie sprawę z tego, że człowiek znalazł się na progu nowej ery, co wymaga fundamentalnej oceny istniejących wartości i instytucji. Trzy oddzielne, a zarazem wzajemnie się wspierające rewolucje to: (1) Rewolucja Cybernetyki, (2) Rewolucja Broni i (3) Rewolucja Praw Człowieka.

Nie zamierzam streszczać tu tego dokumentu; nawet to zabrałoby zbyt wiele miejsca. Dla zainteresowanych kryzysem naszych czasów, tym co należy zaplanować i wprowadzić w życie oraz bliższą i dalszą przyszłością, dokument ten ma nieocenioną wartość. Można go otrzymać pisząc do: The Ad Hoc Committee on the Triple Revolution, P.O. Box 4068, Santa Barbara, California.

Lou Barron był pierwszą osobą, która wspomniała w mojej obecności o Potrójnej Rewolucji, i

jak dotąd ostatnią. Tymczasem data powstania tego dokumentu może się stać niezmiernie ważna dla historyków, bo dzięki temu zdołają kiedyś wskazać początek ery „społeczeństw planowanych”. Śmiało można traktować go na równi z tak ważnymi dokumentami jak Magna Carta, Deklaracja Niepodległości, Manifest Komunistyczny i inne. Odkąd zapoznałem się z treścią raportu, w dwóch czasopismach znalazłem wzmianki o nim. Podczas wykładu Lou Barron powiedział, że dokument Potrójnej Rewolucji, pomimo swego znaczenia, nadal nie jest znany niektórym ekonomistom oraz specjalistom z zakresu nauk politycznych z UCLA.

Po wykładzie Barrona powstał mglisty zarys opowieści o społeczeństwie przyszłości opartym na obecnie obserwowanych tendencjach. Pewnie nigdy bym do tego nie wrócił, gdyby Harlan Ellison nie poprosił mnie kilka miesięcy później o opowiadanie do tego zbioru. Jak tylko usłyszałem, że ma nie żadnych tabu, ogarnęła mnie pasja, którą wiele osób postrzeżałoby

Niebezpieczne wizje jako przejaw ordynarności, a nie normalności. Gdzieś z nieświadomości wzięła się parafraza tytułu powieści autorstwa Zane Grey, „Riders of the Purple Sage”. Pozostałe elementy trafiły na swoje miejsca, a potem zaczęły się ekstrapolacje.

Chciałbym wyjaśnić kilka spraw. Po pierwsze, opowiadanie to jest tylko jednym z tuzina, jakie mogłem napisać, a każde mówiłoby o zupełnie innych przyszłych światach. Implikacji dokumentu Potrójnej Rewolucji jest wiele.

Po drugie, opowiadanie pokazuje jedynie szkielet tego, co chciałem napisać. Teoretycznie nie było limitu ilości słów, ale w praktyce musi być jakaś granica. Te 30 tysięcy słów przekroczyło ją, ale wydawcy okazali się wyrozumiali. Tak naprawdę napisałem 40 tysięcy słów, ale zmusiłem się do wycięcia wielu rozdziałów i ograniczenia objętości tych, które pozostawiłem. W rezultacie otrzymałem 20 tysięcy słów, które potem rozbudowałem ponownie do 30 tysięcy. Powstało wiele epizodów i listów różnych prezydentów amerykańskich do rozmaitych agencji. Listy i odpowiedzi na nie miały pokazać, jak rozpoczął się okres wycofywania pieniądza z obiegu i jakie były początki zamkniętych, wielopoziomowych miast. Bardziej szczegółowe przedstawienie dokładnej struktury społeczeństwa, OOGENEZA BEVERLY HILLS, POZIOM 14., zostało wycięte, podobnie jak opis potyczek gangów nastolatków organizowanych przez miasto podczas Festiwalu Sztuki, scena z Chibem i jego matką, nadająca ich wzajemnym relacjom większą głębię, scena ze sztuki fido mówiącej o początkach działalności sekty Panamorytów i jeszcze kilkanaście innych rozdziałów.

Po trzecie, autorzy dokumentu Potrójnej Rewolucji — według mnie — wybiegają naprzód tylko o pięćdziesiąt lat. Ja przeskoczyłem do roku 2166, ponieważ jestem pewien, że konwersja energia-materia i duplikowanie przedmiotów materialnych będzie już wówczas powszechnie dostępne. Może nawet wcześniej. Opieram to przekonanie na wiedzy o obecnych dokonaniach w dziedzinie fizyki. (Istnienie wspomnianych w opowiadaniu proteinowych komputerów przewiduje się w jednym z ostatnich numerów *Science News Letter*). Pisałem o tym w opowiadaniu z 1955 roku. O ile wiem, moje przepowiednie były pierwszą wzmianką o proteinowych komputerach w literaturze w ogóle, nie tylko SF. Ludzie przestaną być zależni od rolnictwa, hodowli zwierząt, rybołówstwa czy wydobywania surowców mineralnych. Co więcej, miasta staną się prawdopodobnie zupełnie niezależne od państwowych administracji. Rządy będą potrzebne po to, by unikać międzynarodowych konfliktów. Zmagania między państwami — miastami a rządami federalnymi zostały w tym opowiadaniu tylko zasygnalizowane.

Po czwarte, autorzy dokumentu Potrójnej Rewolucji wykazali się pokorą i zdrowym rozsądkiem stwierdzając, że nie wiedzą jeszcze, jak należy planować nasze społeczeństwo. Podkreślili, że najpierw należy przeprowadzić dogłębne studia, a dopiero potem, z wielką rozwagą i ostrożnością, sformułować wskazówki.

Po piąte, wątpię, by zrobiono to z konieczną dogłębnnością i ostrożnością. Współczesność stale nas goni; na karkach czujemy gorący oddech Potrzeby. Poza tym, poważne studia ludzkości zawsze były za bardzo zagmatwane w politykę, przesady, biurokrację, interes własny, głupotę, ultrakonserwatyzm i cechę, która łączy nas wszystkich: zupełną ignorancję.

Po szóste, mimo to rozumiem, że nasz świat *musi* zostać zaplanowany i życzę planującym wiele szczęścia w tym niebezpiecznym zadaniu.

Po siódme, możliwe, że się mylę.

Po ósme, mam nadzieję, że tak jest.

Opowiadanie to jest tylko opowiadaniem, a nie płytą rezonansową, od której miałyby się odbijać pomysły. Nie miało ono też być przepowiednią. Za bardzo zainteresowali mnie stworzeni przeze mnie bohaterowie. I choć główny pomysł wziął się z idei Lou Barrona, nie jest on odpowiedzialny za żaden element tej opowieści. Prawdę mówiąc, wątpię, czy mu się ona w ogóle spodoba.

Bez względu na to, jak zostanie przyjęta, pisanie jej sprawiło mi wielką frajdę.

Wprowadzenie do „Systemu Malleya”:

Niesamowite, że w antologii niemal całkowicie poświęconej nowym, młodym głosom w fikcji spekulatywnej znalazło się opowiadanie napisane przez kobietę, która tworzy dłużej niż ja żyję! Albo jest to dowód uznania wobec ożywczych wartości właściwych jej pisarstwu, albo wobec wyjątkowej natury owej autorki. Optowałbym za tym drugim — nie lekceważąc rzecz jasna pierwszego — i przyznałibyście mi rację, gdybyście kiedykolwiek poznali Miriam deFord. Należy ona do tego rodzaju osób, które zmieniają nasz pogląd na temat ludzi starych. Jeśli jej wypomnicie wiek lub też wspomnicie o domu spokojnej starości, odparuje zapewne ciętym aforyzmem Schopenhauera („*Pierwsze czterdzieści lat życia daje człowiekowi tekst; dopiero następne trzydzieści dostarcza do tego tekstu komentarza*”), czy też może Ortegi y Gassetta („*Dziewczyna piętnastoletnia ma zazwyczaj więcej sekretów niż starzec, a kobieta trzydziestoletnia — więcej tajemnic niż przywódcy większości krajów*”). Jeśli te odpowiedzi do was nie przemówią, może trafi do was szybkie *fumikomi* na prawe podbicie?

Miriam Allen deFord jest nie tylko sławną pisarką, twórczynią *The Overbury Affair* i *Stone Walls* — niemal klasycznych już dziś rozpraw na temat zbrodni i kary, ale także autorką dziesięciu, nie, już jedenastu książek historycznych i biograficznych. To prawdziwa gwiazda na polach literatury faktu poświęconej zbrodni i kryminalnej nowelistyki, a także ulubienica czytelników sf i fantasy. Opublikowała nieprawdopodobne ilości przekładów z łaciny, literackich biografii, tekstów krytycznych, artykułów na tematy polityczne i socjologiczne, przez wiele lat pracowała jako dziennikarka w renomowanych pismach, wydała mnóstwo wierszy (między innymi tomik poezji wybranych, *Penultimates*). Urodzona w Filadelfii, mieszkała i żyła przez większość swego życia tam, gdzie wysłało ją serce, czyli w San Francisco. Wyszła za Maynarda Shipleya, który był (zmarł w roku 1934) sławnym pisarzem i wykładowcą uniwersyteckim.

Nie powiem, ile lat liczy sobie pani deFord, czuję jednak, że mówimy o cudzie. W czasie, gdy wszyscy kwestionują zdrowie psychiczne Wszechświata, najdrobniejszy nawet cud należy wieścić wszem i wobec, by utwierdzać nas wszystkich i każdego z osobna w gasnącej wierze, iż na tym najlepszym ze światów istnieje jednak nadzieja i jakaś harmonia. Bo stawmy czoło smutnemu, lecz wszechobecnemu faktowi: większość osób dojrzałych, w naszej kulturze zwanych starszymi, to zrzędlive marudy, które tęsknią za swoją utraconą młodością. A Miriam deFord zaprzecza tej teorii. Z jej urokiem niewielu może się równać, zaś w kwestii umiejętności przekonywania pozostawia wszystkich daleko w tyle. (Dowodem na tę ostatnią cechę jest pewna historia. Redaktor tej antologii chciał zmienić tytuł jej opowiadania na „Komórki pamięci” czy coś równie głupiego i nonsensownego. Miriam przekonała go, że w ten sposób robi z siebie idiotę. Redaktor przywrócił więc opowiadaniu pierwotny tytuł, a dzięki argumentom pisarki — chociaż pokonany — nie poczuł się bynajmniej poniżony. Fakt ten, moi drodzy, świadczy o prawdziwej klasie tej kobiety.) Tyle że... ani jej urok osobisty, ani umiejętność przekonywania, ani — bezwzględnie — jej wiek nie stanowią

powodu, który przyciąga naszą uwagę do jej twórczości. Chodzi raczej o magnetyczną siłę tej prozy, a także o oryginalne i bezkompromisowe poglądy Miriam deFord na drażliwe i wymagające natychmiastowego rozwiązania problemy współczesności.

Miriam Allen deFord jako autorka ma jasno wytyczony cel, którego nie sposób przecenić. Jej opowiadanie (zarówno dla tej antologii, jak i dla całej literatury) to lekcja pokazowa. Nie wystarczy myśleć wnikliwie i przedstawiać wnioski w przykuwający uwagę sposób. Jeśli pisarz jest pisarzem, do diabła z chronologicznymi etykietkami. Znając czy nie znając wieku pani deFord, będziecie pod wrażeniem jej opowieści, po której człowiek popada w zadumę nad kierunkiem, w jakim toczy się ten świat i rozważa sensowność wypowiedzi innych autorów, tłumaczących swoje nędzne teksty podeszłym wiekiem. Miriam deFord miażdży ich swoją twórczością, a jej opowiadanie prawdziwie porusza. Tak trzymać!

Miriam Allen deFord
The Malley System

System Malleya

Shep:

— Czy to daleko? — spytała. — Muszę wrócić do domu na szkolny program telewizyjny. Wyślizgnęłam się tylko po witaminy. Jestem już na cybernetyce, a mam dopiero siedem lat — dodała chępliwie.

— Nie — wychrypiałem — to zaledwie parę kroków stąd. Droga nie zajmie ci nawet minutki. Córka mnie poprosiła, żebym cię do niej przyprowadził. Rozpoznałem cię, bo mi ciebie opisała.

Dziecko popatrzyło na mnie niepewnie.

— Nie wyglądasz dość staro, by mieć córkę. I nie wiem, o kim mówisz.

— Jest tu na dole. — Mocno trzymałem jej chude ramię.

— Mam zejść po tych schodach? Nie podoba mi się to.

Rozejrzałem się szybko. W pobliżu nie było nikogo, więc pchnąłem dziewczynkę przez mroczne drzwi i zasunąłem za nami zasuwę.

— Cholera, jesteś dzikim lokatorem! — krzyknęła w panice. — Nie możesz mieć...

— Zamknij się! — Położyłem jej dłoń na ustach i rzuciłem dziewczynkę na stos szmat, który służył mi za łóżko. Jej anemiczny opór tylko mnie zachęcił. Zdarłem szorty z jej drżących nóg.

Och, Boże, Boże! Tak, tak, tak! Widok jej krwi straszliwie mnie podniecał.

Mała odrzuciła głowę w tył i histerycznie krzyknęła, dokładnie w chwili, gdy zatonałem w błogim spełnieniu. Wściekle otoczyłem rękoma jej cienką szyję i walnąłem głową smarkuli o cementową podłogę z taką siłą, że krew i mózg wyciekły z roztrzaskanej czaszki.

Znieruchomiałem, szczęśliwy i zaspokojony, i po prostu zapadłem w sen. Nawet nie słyszałem łomotania w drzwi.

Carlo:

— Tam jest! — oświadczył Ricky, wskazując w dół. Podążyłem spojrzeniem za jego palcem. Pod konstrukcją ruchomego chodnika ujrzałem skulone, bezwładne ciało.

— Zdołamy zejść?

— Gość jakoś zszedł, a pewnie jest na jakichś prochach, w przeciwnym razie w ogóle by tu nie tkwił.

W zasięgu wzroku nie dostrzegłem nikogo. Dochodziła północ i ludzie siedzieli w domach lub w palarniach. Wędrowaliśmy ulicami przez kilka godzin, szukając czegoś, co zabije monotonię.

Ostrożnie, krok po kroku zdołaliśmy do niego dotrzeć. Schody są zwykle pod prądem, ale praktyka czyni mistrza. Można się nauczyć unikać newralgicznych punktów.

Ricky wyciągnął latarkę atomową. Facet był starym prykiem — wyglądał na dwieście lat — i martwym dla świata. Powinien mieć więcej rozumu, w jego wieku! Zasłużył sobie na to, co mu daliśmy.

A daliśmy mu wiele. Rany, od razu się obudził i zaczął kwiczeć, ale stanąłem mu buciorem na twarzy. Powinniście go byli widzieć, gdy zdarliśmy z niego ubranie — te paskudne, szare włosy na piersi, wszystkie żebra widoczne, a przy tym wzdęty brzuch, obwisły w miejscu, gdzie zaczęliśmy ciąć. Odrażający drań. Nieźle go potraktowaliśmy. Nie miał szans nas zobaczyć, bo z marszu wepchnąłem mu gały w czaszkę. Potem wsadziłem mu bucior w gardło, żeby gnojek siedział cicho. Przetrzęsaliśmy mu kieszenie — nie było tego za wiele, bo pewnie sporo wydał na prochy, ale zabraliśmy mu kody kredytowe na wypadek, gdybyśmy znaleźli sposób ich użycia tak, aby nikt nas nie przyłapał. Zostawiliśmy starego pod schodami i zaczęliśmy się wspinać z powrotem.

Byliśmy w połowie drogi w górę, kiedy usłyszeliśmy nad głowami brzęczenie pieprzonego helikoptera policyjnego.

Miriamni:

— Jesteś stuknięta — warknął na mnie. — Co sobie, do diabła, myślisz...? Że ożeniłem się z tobą wedle jakichś starych obrządków i możesz mnie przez to kontrolować?

Ledwie mogłam mu odpowiedzieć przez łzy.

— Nie jesteś mi dłużny nieco uwagi? — wydukałam. — Mimo wszystko zrezygnowałam dla ciebie z innych mężczyzn.

— Nie bądź taka cholernie zaborcza. Gadasz, jakbyś tęskniła za czasami ciemnoty. Kiedy ja chcę ciebie i ty chcesz mnie, wtedy okay. Jednak przez resztę czasu oboje jesteśmy wolni. I to raczej inni mężczyźni zrezygnowali z ciebie, niż ty z nich, prawda?

To stwierdzenie przesądziło sprawę. Sięgnęłam za wideościanę, gdzie ukrywałam staroświecką broń laserową, którą dał mi w dzieciństwie dziadek. Nadal działała, a dziadek nauczył mnie z niej strzelać. Wycelowałam w gnoja i pif-paf, pif-paf — prosto w jego kłamliwą gębę!

Przestałam strzelać dopiero, gdy opróżniłam magazynek. I chyba właśnie wtedy zemdlalam. Odzyskawszy przytomność, zobaczyłam Jona, mojego syna z pierwszego małżeństwa... Otworzył drzwi swoim kluczem. Ja i gnojek leżeliśmy na wznak na podłodze, lecz tylko ja żyłam. Och, ten Jon z jego humanistycznymi studiami i poczuciem obywatelskiego obowiązku!

Richie:

Okropna niesprawiedliwość! To był przecież tylko nędzny Pozaziemski i miałem z nim mało zabawy. Był rok 2083, chyba, i nowe zasady wprowadzono dwa lata wcześniej, więc Pozaziemscy powinni znać swoje miejsce i nie wchodzić tam, gdzie ich nie chcą. W parku zabaw wisiał napis „Tylko dla ludzi”, a ten tu był, stał sobie tuż obok kabiny, w której umówiłem się na randkę z Martą. Trzymał w łapie kasetę, toteż domyśliłem się, że jest turystą, ale Pozaziemscy powinni sprawdzić, co im wolno, zanim kupią bilety. A w ogóle to wołałbym, żeby ich nie wpuszczano na Ziemię. Takie jest moje zdanie!

Zamiast uciekać, drań miał odwagę odezwać się do mnie:

— Czy możesz mi powiedzieć... — zaczął tym głupim, typowym dla nich rżącym głosem. A w dodatku mówił z ohydny akcentem.

Przyszedłem wcześniej, więc pomyślałem, że zobaczę, co się zdarzy.

— Taaa, jasne, mogę ci powiedzieć — naśladowałem jego wymowę. — Jedno mogę ci powiedzieć na pewno Masz zbyt wiele paluchów na tylnych łapach, abyś mi się podobał.

Popatrzył skonsternowany, a ja ledwie się mogłem powstrzymać od śmiechu. Rozejrzałem się — te kabiny są prywatne i wokół nie było żywej duszy. Miałem pełny widok... aż po lądowiska helikopterów. Marty nie widziałem jeszcze nigdzie w zasięgu wzroku. Wsadziłem rękę pod kurtkę i wy dostałem mały scyzoryk, który nosiłem dla własnej obrony.

— Poza tym nienawidzę takich chwytnych ogonów dodałem. — Nienawidzę ich, lecz je kolekcjonuję. Daj mi swój.

Pochyliłem się, chwyciłem ogon i zacząłem ciąć u nasady.

Wtedy Pozaziemski naprawdę wrzasnął i starał się uciec, jednak sprawnie go przytrzymałem. Chciałem go tylko przerazić, lecz mnie rozwścieczył. A jego fioletowa krew przyprawiła mnie o mdłości i jeszcze bardziej wkurzyła. Miałem się przed gostkiem na baczności, bo mógłby mnie zaatakować, ale — niech mnie cholera — po prostu zemdłał. Właściwie, nie znam się na Pozaziemskich... z tego, co wiem, równie dobrze mógł być płci żeńskiej.

Tak czy owak, podniosłem ogon i potrząsałem nim, starając się go osuszyć z krwi i już miałem trzasnąć Pozaziemskiego (czy też Pozaziemską) w ucho i rzucić pod krzaki, gdy usłyszałem czyjeś kroki. Pomyślałem, że nadchodzi Marta, a ponieważ moja dziewczyna lubi się czasem zabawić, więc zawołałem:

— Hej, cukierczku, patrz, jaki prezent właśnie dla ciebie zdobyłem!

Niestety, to nie była Marta, lecz jeden z tych oślizgłych natrętów z Federacji Planetarnej.

Brathmore:

Znowu jestem głodny. Jestem silną, żywotną osobą i potrzebuję prawdziwego pożywienia. Czy ci głupcy oczekują, że stale będę żył na neurosyntetykach i predigestach? Kiedy czuję głód, muszę zjeść coś porządnego.

I tym razem miałem szczęście. Zamieszczane przeze mnie ogłoszenia sprowadzają ich zawsze, choć nie zawsze dokładnie takich, jakich potrzebuję. Czasem muszę pozwolić odejść nieodpowiedniemu kandydatowi i czekać na następnego. Chodzi mi głównie o właściwy wiek — muszą być soczyści i młodzi, ale też nie za bardzo. Zbyt młodzi mają mało mięsa na kościach.

Jestem metodyczny, toteż prowadzę rejestr. Zamówiony osobnik miał być numerem siedemdziesiątym ósmym. A wszystko w cztery lata, odkąd poczułem natchnienie i zamieściłem ogłoszenie na publicznym kanale prasowym: „Poszukiwany partner do tańca, mężczyzna lub kobieta, 16–23 lat”. Ponieważ w późniejszym wieku u prawdziwych tancerzy mięśnie robią się zbyt twarde.

Po dwudziestogodzinnym tygodniu pracy każdy admin centrum obliczeniowego, jak i praktykant z obsługi serwisu, wchodzi dla relaksu na jakiś kanał rozrywkowy i miałem przecucie, że wielu z nich pragnie zostać zawodowymi tancerzami. W ogłoszeniu nie podałem, czy jestem dostępny na paśmie trójwymiarowym, wirtualnym, czy też w palarni, ale gdzie indziej mógłbym być?

— Ile masz lat? Gdzie ćwiczyłaś? Jak długo? Co potrafisz? Włączę muzykę, a ty mi pokażesz.

Pokazy nie trwają zbyt długo... ale w każdym razie na tyle długo, bym mógł się kandydatom dokładnie przyjrzeć. Realne biuro mam na dwudziestym siódmym piętrze Sky — High Rise, ni mniej, ni więcej. To bardzo poważany budynek. Oficjalnie występuję pod szyldem „Przemysł rozrywkowy”; a przynajmniej taki wisi na moich drzwiach.

Zadowolającym kandydatom mówię po przyjściu: „Okay. Teraz udamy się do mojej sali tanecznej i zobaczymy, jak pójdzie nam w duecie”.

Wchodzimy na dach i lecimy helikopterem do mojej kryjówki. Czasami w drodze robią się nerwowi, wtedy ich uspokojam. Jeśli mi się nie udaje, ląduję w najbliższym porcie i po prostu stwierdzam: „Tu się pożegnamy, bracie (lub siostro). Nie potrafię pracować z kimś, kto mi nie ufa”.

Dwa razy zjawił się w moim biurze gliniarz ze skargą jakiegoś głupka, ale jestem na taką okoliczność przygotowany. Zresztą, nie wymyśliłbym jako pretekstu tańca, gdybym nie miał odpowiednich papierów. Szkoda, że nie znaliście mnie wcześniej — przez dwadzieścia lat byłem profesjonalistą.

O tych, którzy zniknęli, nikt się nigdy nie niepokoił. Zwykle nie zdradzali nikomu, dokąd idą. A jeśli się wygadali i ktoś mnie później o nich pytał, odpowiadałem po prostu, że nigdy do mnie nie dotarli. Nie sposób udowodnić, że było inaczej.

Więc oto miałem przed sobą numer 78. Dziewczyna, dziewiętnaście lat, ładna i pulchna, lecz jeszcze nie muskularna.

Reszta jest łatwa — w mojej kryjówce.

— Załóż spódniczkę, siostro — mówię — i pójdziemy do sali poćwiczyć. Przebieralnia jest tam.

Wciskam guzik i przebieralnia wypełnia się trującym gazem. Wystarczy około sześciu minut.

Potem zanoszę ofiarę do mojej specjalnie przerobionej kuchni. Ubrania trafiają do pieca spalającego śmieci. Macerator i rozpuszczalnik rozprawiają się z metalem i szkłem. Wrzucam do niego wszystko: szkła kontaktowe, biżuterię, pieniądze... Nie jestem przecież złodziejem. A ciało przyprawione i dobrze natłuszczone — wkładam do piekarnika.

Piekę je jakieś pół godziny, takie lubię. Po kolacji skrupulatnie sprzątam, a macerator zajmuje się kośćmi i zębami. (I czasem, wierzcie lub nie, kamieniami żółciowymi.)

Tak było i dziś. Mieszam sobie najpierw kilka drinków dla zaostrenia apetytu, potem wydaję nóż i widelec — prawdziwe antyki, które sporo mnie kosztowały, ponieważ pochodzą z czasów, kiedy ludzie jadaliby prawdziwe mięso.

Mięso... Wspaniałe i parujące, z chrupiącą brązową skórką i ociekające sokiem. Mój żołądek aż dudni od rozkoszy. Biorę pierwszy zachwycający kęs.

Eee! Co, do diabła...? Co było z tą laską nie tak? Musiała należeć do bandy, która ćpa jedną z tych niekonwencjonalnych trucizn! Straszny ból wypełnia moje ciało. Aż się od niego skręcam. Nie pamiętam, żebym krzyczał, jednak podobno słyszeli mnie wyraźnie na samej autostradzie, więc w końcu ktoś się włamał i mnie znalazł.

Zabrali mnie do szpitala, gdzie wycięto mi połowę żołądka.

Niestety, oczywiście znaleźli również ją.

* * *

— Niezwykle interesujące — ocenił kryminolog ze Związku Afrykańskiego. Mężczyzna odwiedzał więzienie. Wraz z naczelnikiem siedzieli w biurze tego ostatniego i obserwowali na wielkim ekranie, jak technicy zdejmują przestępcom mózgowy sondy, a później — otoczeni robostrażnikami — wyprowadzają czterech mężczyzn i kobietę... Chociaż... Czy ten ostatni osobnik nie był również kobietą? Trudno to było stwierdzić, gdyż istota wyglądała na oszołomioną, a ciągnięta do kabiny spoczynkowej ledwie powłóczyła nogami. — Chce pan powiedzieć, że robicie im to codziennie?

— Tak, każdego dnia przez cały wyrok. A większość ? nich dostała dożywocie.

— I robicie to wszystkim więźniom? Czy może tylko zbrodniarzom?

Naczelnik roześmiał się.

— Nie, nawet nie wszystkim zbrodniarzom — odparł. — Wyłącznie tym zabójcom, gwałcicielom i zwyrodnialcom, których zaliczamy do „Poziomu Pierwszego”. Dość nierozsądnie byłoby pozwolić profesjonalnemu włamywaczowi na codzienne przeżywanie własnego nieudanego włamania... Efekt byłby prawdopodobnie odwrotny od celu, jaki nam przyświeca. Przestępca bez trudu dokonałby analizy słabych punktów skoku i dzięki temu doskonale przygotował następny na dzień po opuszczeniu więzienia!

— I ta kuracja działa odstrasza?

— Gdyby tak nie działała, nie moglibyśmy z niej korzystać. Wie pan, że w Związku Interamerykańskim obowiązuje zakaz stosowania okrutnych i wyrafinowanych kar. Ta kara nie jest już obecnie uważana za wyrafinowaną, a nasz Sąd Najwyższy i Trybunał Apelacyjny Regionów Ziemi. Oba oszacowały, że nie jest też okrutna. Raczej działa terapeutycznie.

— Chodziło mi o to, czy ta kara odstrasza innych potencjalnych przestępców przebywających

jeszcze na wolności.

— Mogę powiedzieć panu tylko jedno: każda średnia szkoła w naszym Związku ma w programie lekcje z elementarnej penologii, w ramach których odbywają się pokazy nagrań filmowych naszej kuracji. Zyskaliśmy rozgłos, a ja często udzielam wywiadów. Z dwóch tysięcy więźniów mojej instytucji, która jest przeciętnej wielkości, obecnie jedynie tę piątkę poddajemy kuracji. Odkąd zaczęliśmy stosować tę terapię przed dziesięcioma laty, wskaźnik zabójstw w naszym Związku spadł z najwyższego do najniższego na Ziemi.

— Och, tak, byłem tego świadom, oczywiście. Dlatego właśnie oddelegowano mnie do zbadania, czy możemy również i u nas zastosować waszą kurację. Rozumiem, że jestem jedynie jednym z pańskich licznych gości.

— Dokładnie tak. Aktualnie Związek Wschodnioazjatycki rozważa rychłe zatwierdzenie naszej terapii jako stałego elementu systemu penitencjarnego, a szereg innych Związków ma nadzieję wprowadzić ją w niedalekiej przyszłości.

— A w innym sensie... odstraszenie... jak wpływa na samych przestępców? Czy kuracja przynosi wymierne sukcesy? Wiem oczywiście, że ci ludzie nie mogą obecnie kontynuować kryminalnej kariery, lecz... jaki jest psychologiczny wpływ na nich, tu i teraz?

— Podstawy — odrzekł naczelnik — zdefiniował Lachim Malley, nasz znany penolog...

— Tak, rzeczywiście, jeden z najznakomitszych!

— Również tak uważamy. Jego pomysł zrodził się pierwotnie z niewiele znaczącego i wręcz banalnego fragmentu historii społeczeństwa. W dawnych czasach, kiedy istniały prywatne sklepy i ludziom płacono za pracę w nich, właściciele sklepów z ciastkami, słodyczami i podobnymi przysmakami, których młodzi szczególnie łakną... oraz, jak sądzę, właściciele browarów i rozlewni win... mieli pewien zwyczaj, a mianowicie pozwalali nowym pracownikom najeść się bądź napić do syta. Ustalono, że pracownicy dość szybko się zaspokajali, a po pewnym czasie odczuwali nawet odrazę do tychże produktów, których wcześniej tak bardzo pożąдали. W ten sposób na dłuższą metę właściciel oszczędzał sporo pieniędzy. Malleyowi przyszło do głowy, że uzyskamy podobny efekt, jeśli zmusimy notorycznego przestępcę do przeżywania stale na nowo epizodu, który doprowadził do jego uwięzienia, czyli będziemy mu go przypominać codziennie, że tak powiem: ustawiczne wbijać mu go do głowy. Eksperyment stał się wykonalny, odkąd potrafimy bezboleśnie pobudzać dowolną część mózgu poprzez elektryczne sondy umieszczone w odpowiednich miejscach. My tutaj, w tym więzieniu, jako pierwsi zastosowaliśmy tę terapię w praktyce.

— I sprawdza się bez wyjątków?

— Początkowo niektórzy z najbardziej niebezpiecznych zbrodniarzy... na przykład masowi kanibale, których pan widział albo degeneraci molestujący dzieci... wydają się prawdziwie rozkoszować powtórным przeżywaniem swych zbrodni. Mniej zepsuci załamują się już na początku kuracji — niejako powtórne i zwielokrotnione uczestnictwo w popełnionych czynach stanowi dla nich straszliwe katusze. Lecz nawet najpotworniejsi i najbardziej zatwardziali zbrodniarze — choćby ci dwaj, którzy dopiero zaczęli odbywać karę — stopniowo zaczynają się nudzić oglądaniem dokonanych przez siebie przestępstw, potem się przesycają, a w końcu, choć trzeba na to czasu, kompletnie zrażają do swych dawnych impulsów. Niektórzy z tych ludzi odczuwają straszliwą skruchę. Miałem u siebie zdegenerowanych kryminalistów, którzy padali na kolana i błagali mnie, bym im pozwolił zapomnieć. Jednak nie mogę, naturalnie...

— A gdy odsłużą karę? Przypuszczam, że podobnie jak w naszym Związku, wyrok dożywocia naprawdę nie oznacza więcej niż piętnaście lat...

— Między nami mówiąc, oznacza przeciętnie lat dwanaście. Tyle że niektórych przestępców...

na przykład tego ostatniego... nigdy nie można by bezpiecznie wypuścić na wolność. Na szczęście, większość godzi się ze swoim losem, ogólnie rzecz biorąc. Ponieważ prócz tej codziennej gehenny, prowadzą tutaj całkiem niezłą egzystencję. Żyją sobie wygodnie, mają sposobność do edukacji i rozrywki, kiedy to możliwe, załatwiamy im odwiedziny współmałżonka, a wielu robi na różnych polach nawet całkiem niezłe kariery, jakby wcale nie przebywali w więzieniu.

— A co z tymi, którzy jednak wychodzą na wolność? Czy niektórzy z nich powracają na drogę przestępstwa? Mieliście wśród nich recydywistów?

Naczelnik wyglądał na zakłopotanego.

— Hmm... Nie, nigdy dotąd nie wrócił tu do nas żaden podmiot Systemu Malleya — odparł niechętnie. — W rzeczywistości, czuję się w obowiązku powiedzieć panu, że istnieje pewna drobna wada Systemu. Do tej pory nie mieliśmy jeszcze ani jednego osobnika, którego po odbyciu kary moglibyśmy odesłać z powrotem do społeczeństwa. Póki co, każdego z nich trzeba było przenieść... zamiast na wolność do... szpitala psychiatrycznego.

Afrykański kryminolog milczał. Potem przesunął wzrokiem po biurze, w którym siedział. Po raz pierwszy zauważył zbrojone ściany, pancerne szyby w oknach i wycelowaną w drzwi elektroniczną broń, dzięki przyciskowi na biurku naczelnika gotową do natychmiastowej aktywacji.

Naczelnik dostrzegł spojrzenie swego gościa i zarumienił się.

— Obawiam się, że jestem zwyczajnym tchórzem — wyjąkał. Tak, trzymamy podmioty Systemu pod ścisłym nadzorem, a w razie zagrożenia robostrażnicy mają rozkaz tak strzelać, by zabić. Ciągle jednak pamiętam doświadczenia mojego poprzednika, który wraz z Lachimem Malleyem...

— Ma się rozumieć, słyszałem — wtrącił Afrykanin — że Malley zmarł nagle podczas wizyty w pańskim więzieniu. Podobno na atak serca.

— Mój poprzednik był trochę zbyt niedbały — odparł naczelnik z ponurym uśmiechem. — Pokładał pełną wiarę w System Malleya i nawet nie zaopatrzył się w robostrażników, którzy w przypadku buntu mogliby wesprzeć techników lub choćby przed codziennym obchodem przeszukać podmioty i sprawdzić, czy któryś z nich nie ukrył noża. Tamtego dnia podmiotów było więcej... przynajmniej czternaścioro. Kiedy więc skazańcy w sposób absolutnie skorelowany w czasie i wcześniej zaplanowany sterroryzowali techników... a mieli już wówczas założone sondy... i włamali się do biura... No tak, można powiedzieć, że Malley faktycznie zmarł na serce. Podobnie jak mój poprzednik... Dokładnie rzecz biorąc, obaj zginęli od ciosu w serce.

Tłum, Ewa i Dariusz Wojtczakowie

POSŁOWIE:

Ponieważ temat zbrodni, zarówno tej realnej, z którą stykamy się niemal codziennie, jak i fikcyjnej stanowiącej osnowę opowiadań kryminalnych, zajmuje większą część mojego pisarstwa, jest oczywiste, że wykorzystałam ten wątek nawet w opowieściach z gatunku science fiction. Ta szczególna ekstrapolacja przyszła mi do głowy nagle i niespodziewanie, jak spora część mojego pisarstwa fantastycznego. Morderstwa przeważnie popełniają ludzie w stanie emocjonalnego napięcia, nawet jeśli owa emocja to tylko chore poszukiwanie dreszczyku przez zdegenerowany umysł. A skoro tak jest, jaką gorszą karę można wymyślić dla przestępcy, niż zmusić go do powtórnego przeżywania zbrodni, aż poczuje on niesamowitą skruchę albo — co wydaje się bardziej prawdopodobne i co wykazałam w powyższym opowiadaniu — załamie się psychicznie.

Przyjmując za pewnik, że ludzkość w ogóle ma przed sobą jakąś przyszłość i że uda nam się dogonić nasze zdobycze techniczne także w sensie społecznym i psychologicznym, przyszłym kryminologom można zaproponować taką właśnie penologiczną kurację. Pojawia się jednak kluczowe pytanie: czy taka „kuracja” bardziej by odstraszała niedoszłych zbrodniarzy niż praktykowane dziś egzekucje? I choć w tekście zaprzeczyłam temu, nie jestem wcale pewna, czy przyszłe sądy nie uznałyby „terapii” za bardziej okrutną niż sama zbrodnia.

Wprowadzenie do „Zabawki dla Juliette”:

Opowiadanie *Zabawka dla Juliette* jest wręcz modelowym przykładem literackiego „sprzężenia zwrotnego”. Niedawno pewien redaktor serialu telewizyjnego nadawanego w czasie najlepszej oglądalności pilnie potrzebował scenariusza do nowego odcinka. Zamiast czekać na natchnienie, humor i wolny czas zatrudnionego na umowę zlecenie scenarzysty, usiadł i sam napisał scenariusz, który miał zostać nakręcony w ciągu kilku dni. Gdy skończył, natychmiast wysłał tekst do departamentu prawnego studia. Dla ustalenia praw autorskich i tak dalej... Jeszcze tego samego dnia zadzwonił do niego wściekły prawnik. Okazało się, że redaktor — który z literaturą fantastyczną stykał się niezwykle rzadko i to wyłącznie poza gruntem zawodowym — niemal scenę po scenie i słowo w słowo (łącznie z tytułem) nieświadomie skopiował bardzo znane opowiadanie z tego gatunku. Kiedy prawnik wytknął mu fakt ewidentnego plagiatu, redaktor zbladł, a po chwili przypomniał sobie, że rzeczywiście czytał ową historię jakieś piętnaście lat wcześniej. Prawa do ekranizacji opowiadania odkupiono pospiesznie od sławnego pisarza fantasy. Muszę w tym miejscu coś dodać: zakładam, iż redaktor nie kłamał, gdy się zaklinał, że podczas pisania scenariusza nie miał bladego pojęcia o istnieniu literackiego pierwowzoru. Wierzę mu, ponieważ tego rodzaju nieświadome plagiaty są na porządku dziennym w pisarskim świecie. Jest nieuniknione, że teksty, które czytają autorzy (a czytają ich mnóstwo), w jakiś sposób na nich oddziałują i często twórcy zapamiętują luźne pomysły, strzępki scen bądź fragmenty charakterystyki bohaterów, które później mimowolnie przenoszą do własnych opowieści — motywy te najczęściej bywają zmodyfikowane i wkomponowane w zupełnie nowe realia, niemniej jednak w sposób bezpośredni zostały zapożyczone z pracy innego pisarza. Żadną miarą nie można tego typu dialogu pomiędzy różnymi utworami nazwać plagiatem, chociaż w moim wywodzie tkwi częściowa odpowiedź na pytanie, które przeróżnej maści idioci zadają nierzadko autorom na przyjęciach: „Skąd pan czerpie inspirację?”

Poul Anderson przed kilkoma miesiącami przysłał mi kartkę z wyjaśnieniem, że właśnie napisał opowiadanie i już miał je opublikować, kiedy nagle uprzytomnił sobie, że tematyka jego utworu przypomina mu pewną moją historię. Przeczytał ją mniej więcej miesiąc temu podczas zjazdu pisarzy, w którym obaj uczestniczyliśmy. Dodał, że jego opowiadanie jedynie luźno nawiązuje do fabuły mojego tekstu, chciał mnie jednakże uprzedzić o tym podobieństwie, by uniknąć ewentualnych późniejszych zarzutów. Konkluzja listu od Poula była właściwie natury retorycznej. Jestem wprawdzie człowiekiem dość zarozumiałym, lecz nigdy nie posunąłbym się do twierdzenia, iż Poul Anderson musi ode mnie „ściągać” pomysły. I druga, podobna sytuacja — rok temu na Światowym Konwencie Science Fiction w Cleveland przedstawiono mi pewnego znanego niemieckiego fana tego gatunku, Toma Schlucka. (Toma zaproszono gościnnie jako „honorowego fana”, zgodnie z tradycją wymiany członków fandomów, organizowanej przez Transatlantycki Fundusz Fanów.) Tom uściskał mi dłoń, a po chwili wręczył wydaną w miękkiej oprawie niemiecką książkę science fiction. Początkowo nie rozumiałem powodów otrzymania tego daru, wobec czego mój rozmówca otworzył

tomik, który okazał się zbiorem opowiadań napisanych pod pseudonimem przez bardzo znanego niemieckiego miłośnika sf, Waltera Ernstinga. Na stronie przedtytułowej dostrzegłem dedykację: „Dla Harlana Ellisona z podziękowaniem i wyrazami szacunku.” Ciągle niczego nie pojmowałem, więc Tom pokazał mi pierwsze opowiadanie, zatytułowane *Die Sonnenhomb*. Pod tytułem widniał napis: „Nach einer idee von Harlan Ellison”. Zmarszczyłem brwi, gdyż nadal nie wiedziałem, o co chodzi. Rozpoznałem swoje nazwisko, które wygląda identycznie we wszystkich językach z wyjątkiem rosyjskiego, chińskiego, hebrajskiego czy sanskrytu, nie znałem jednak niemieckiego i obawiam się, że stałem jak baran. Tom wyjaśnił mi w końcu, że zasadnicza idea historii, którą napisałem w 1957 roku (*Run for the Stars*) zainspirowała Ernstinga do stworzenia opowiadania *Die Sonnenbombe*. To również było literackie „sprzężenie zwrotne”. Mimo iż dzieliło nas pół świata... Poczulem głębokie wzruszenie i jeszcze coś więcej: potwierdzenie sensowności mojej pracy. Każdy, nawet najmniejszy pisarz żywi przecież nadzieję, iż jego utwory go przeżyją i będą w jakiś sposób wpływać na innych ludzi. Nie jest to oczywiście podstawowy cel pisarstwa, ale coś w rodzaju sekretne pragnienia porównywalnego z utajoną motywacją każdego ojca, który płodzi dzieci, by jego nazwisko nie umarło wraz z nim. A wtedy w moich rękach tkwił namacalny dowód, że pomysł wyczarowany przez mój umysł dotarł do innego pisarza i zainspirował jego wyobraźnię do stworzenia nowego tekstu. Uznałem opowiadanie Niemca za najautentyczniejszą z możliwych form hołdu wobec mojej twórczości. Z pewnością nie był to plagiat, lecz właśnie literackie „sprzężenie zwrotne”. Przykłady podobnego układu „akcja — reakcja” można w świecie pisarskim mnożyć, a niektóre nawet stały się legendą. Bywają tematem seminariów pisarskich, warsztatów, konferencji i nieskończonej wymiany listów między twórcami. Cóż to wszystko ma wspólnego z Robertem Blochem, autorem poniższego opowiadania? Bardzo wiele.

W roku 1943 Robert Bloch opublikował opowiadanie pod tytułem *Yours Truly, Jack the Ripper*. Przedrukowywano je szereg razy, pojawiało się wielokrotnie w antologiach, przerabiano je na scenariusze radiowe i telewizyjne... i wielokroć podrabiano. Przeczytałem je w roku 1953 i od tej pory tkwiło w mojej głowie. Często też z przyjemnością wspominam jego adaptację sceniczną w Molle Mystery Theater. Akcja owego opowiadania bazowała na pomyśle, że Kuba Rozpruwacz dzięki swoim rytualnym zabójstwom zawarł pokój z bogami mroku i ci pozwolili mu żyć wiecznie. Kuba stał się nieśmiertelny, a Bloch na zimno i metodycznie prześledził szlak późniejszych (w okresie pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu lat) morderstw dokonanych według podobnego schematu, niemal w każdym większym mieście świata. Myśl, że Kuba Rozpruwacz — którego nigdy nie schwytano — mógłby żyć dalej, przez wszystkie te lata nie opuszczała mojej pamięci i odżyła niespodziewanie, gdy zacząłem przygotowywać tę antologię. Zadzwoiłem więc do Roberta Blocha i zasugerowałem, że skoro Kuba jest nieśmiertelny, może mógłby się pojawić w świecie przyszłości. Wizja osobnika z zamglonej i brudnej ulicy Whitechapel, mroczna postać człowieka zwanego Skórzany Fartuchem, czającego się w sterylnym i zautomatyzowanym mieście przyszłości, była anachronizmem, który mnie zafascynował. Bobowi Blochowi temat również się spodobał, oświadczył zatem, że natychmiast zabiera się za pisanie. Gdy dostałem jego opowiadanie, bez wahania je kupiłem, gdyż było (przepraszam za wyrażenie) rozkoszne. Tyle że... wizja Kuby Rozpruwacza grasującego w świecie przyszłości nadal tkwiła w moich myślach, stanowiąc prawdziwie niezdrową obsesję. Ostatecznie spytałem Boba, czy nie przeszkodzi mu, jeśli napiszę do tej antologii opowiadanie, którego akcja zaczyna się w momencie, w którym skończyła się w jego opowieści. Nie przeszkadzało mu. Był to kolejny modelowy niemal przypadek literackiego „sprzężenia zwrotnego” i to nawet podwójnego. I — ponownie — najautentyczniejsza forma hołdu. Bloch dosłownie rozpętał twórczy proces w umyśle innego pisarza, czyli u mnie.

Wynikiem tego obustronnego „sprzężenia” jest historia, która znajduje się w antologii tuż za opowiadaniem Roberta Blocha. Bob uprzejmie i łaskawie zgodził się też napisać wstęp do mojego opowiadania, w ramach rewanżu za mój wstęp do jego opowieści. Oba wstępy, opowiadania i posłowania wydają się stopione w jednolitą całość, stanowiąc, wspanialszą niż milion uczonych analiz spod piór literackich krytyków, demonstrację ożywczego przepływu idei, a także twórczych interakcji, jakie czasami zachodzą pomiędzy pisarzami.

Zresztą, zostałem obdarowany przez Roberta Blocha czymś znacznie cenniejszym niż tylko pomysłem na opowiadanie. Po raz pierwszy ujrzałem tego wysokiego, eleganckiego, czarującego mężczyznę o ostrych rysach, w okularach i z papierosem w długiej lufce, przypominającego nieco arystokratycznym sposobem bycia Erica von Stroheima, na Konwencie Science Fiction Środkowego Zachodu w hotelu Beatley’s-on-the-Lake w Bellefontaine, stan Ohio, w 1951 roku. Miałem wtedy niespełna osiemnaście lat, byłem natrętny, niedoświadczony i chciałem wiedzieć wszystko o science fiction. Bloch był już wtedy od wielu lat żywą legendą. Mimo sławy oraz wielu powieści i opowiadań na koncie, zawsze był dostępny dla nawet najbardziej niechlujnie wyglądających fanów, pragnących wyłudzić historyjkę bądź artykuł dla kilku czytelników swojego fanzinu. Oczywiście gratis. Często pełnił na konwentach funkcję mistrza ceremonii, a jego dowcip był równocześnie słodki jak melasa i ostry jak maczeta. Znał wszystkich i wszyscy znali jego. I tu nagle do tego filaru literatury fantastycznej podchodzi nieopierzony mądrala, Ellison.

Nie przypominam sobie dokładnie tej naszej pierwszej rozmowy — zapewne z powodu upływu czasu, a może już w wieku lat trzydziestu trzech lat cierpię na starczą demencję... W każdym razie spotkanie musiało jednak przyciągnąć czyjeś spojrzenie, gdyż ktoś nam zrobił wówczas zdjęcie. Nadal mam odbitkę: jestem na nim napuszony niczym paw w godach, a Bloch patrzy na mnie ze szczególną miną, sugerującą jednocześnie życzliwość, tolerancję, rozbawione zakłopotanie i skrajne przerażenie. Od tej pory mam zaszczyt się mienić przyjacielem Roberta Blocha.

Przytoczę jeszcze jedną krótką anegdotę, zanim pozwolę Blochowi opowiedzieć o własnej karierze i dzieciństwie, a także o naturze przemocy. Gdy przyjechałem do Hollywood w roku 1962, byłem dosłownie bez dolara przy duszy (miałem dziesięć centów, żonę, syna i byliśmy tak splukani, że jadąc przez Stany sponiewieranym fordem z 1951 roku, przez ostatnie trzysta mil jedliśmy tylko kupione na przydrożnej stacji tanie orzechowe pralinki), a Robert Bloch — który sam również nie był rewelacyjnie sytuowany — pożyczył mi pieniądze na wynajęcie mieszkania i jedzenie. Czekał trzy lata na zwrot tej znacznej pożyczki ani razu mi o niej nie przypominając. Jest jednym z najwspanialszych znanych mi ludzi, co może poświadczyć każdy, kto go spotkał. Z drugiej strony osobowość Blocha stanowi jedną z najbardziej zadziwiających dychotomii naszych czasów, albowiem tak łagodny, zabawny, empatyczny i spokojny człowiek jak Robert, pisze przecież porażająco makabryczne i niesamowite opowiadania, a produkuje je z zatrważającą regularnością. Choć tu przychodzi mi na myśl lament Sturgeona, że odkąd napisał jedno jedyne opowiadanie o gejach, wszyscy podejrzewają go o homoseksualizm. Bloch jako człowiek kompletnie nie pasuje do ponurych wizji, którymi nas raczy, wydaje się wręcz antytezą okropności, jakie przelewa na papier. (Proszę, by czytelnik przypomniał sobie te słowa, gdy przejdzie do mojej opowieści, która znajduje się za opowiadaniem Blocha.)

A teraz oddajmy głos Robertowi, który zarzuci nas wspomnieniami i zarazi dobrym humorem.

— W szkole podstawowej opuściłem sporo lekcji, ponieważ obracałem się w towarzystwie starszych i większych chłopaków, którzy wprowadzali mnie w brutalną dżunglę placu zabaw, wraz z jego sekretną hierarchią i zasadą nieustannego dręczenia słabych przez silnych. Na szczęście dla siebie, nigdy nie stałem się ofiarą ani też kompensującym agresją poczucie własnej niższości katem.

W pewnym momencie za to odkryłem, że potrafię skłonić moich towarzyszy do grania w rozmaite, skomplikowane gry, dzięki którym spalaliśmy nadmiar chłopięcej energii. Kopaliśmy na przykład rowy na tylnym dziedzińcu i bawiliśmy się w wojnę lub „zmienialiśmy” otwarty ganek frontowy w pokład statku pirackiego, zaś schwytane ofiary musiały przejść po kładce (to znaczy po blacie stołu z jadalni) i skakać do oceanu, czyli na frontowy trawnik. Zauważyłem wszakże, iż te zabawy nie skupiają zainteresowania moich towarzyszy równie mocno jak gry stanowiące surogat przemocy. A po latach, gdy dojrzeliliśmy do brutalnych, lecz niemał powszechnie czczonych dyscyplin sportowych, takich jak boks, zapasy, futbol czy inne aprobowane przez dorosłych zastępcze formy prawdziwej walki, wycofałem się w świat literatury, rysunku, dramatu i estetycznych rozkoszy teatru oraz filmu.

— Kiedy byłem ośmiolatkiem, okropnie mnie przeraziła niema wersja *Upiora w operze*, jednak równocześnie zafascynowało mnie kino i potęga sugestii tego świata iluzji. Zacząłem dużo czytać na temat przemocy w sztuce. W wieku lat piętnastu zacząłem korespondować z pisarzem fantasy, H.P. Lovecraftem, a ten zachęcił mnie do pisania. W szkole średniej odkryłem, że umiem rozśmieszać widownię, a później sobie uświadomiłem, że potrafię skłonić ludzi także do innych emocji.

— Jako siedemnastolatek sprzedałem swoje pierwsze opowiadanie do czasopisma „Weird Tales” i tak odnalazłem życiowe powołanie. Od tej pory opublikowałem z górą czterysta opowiadań, artykułów i krótkich powieści. Redagowałem kolumny literackie w czasopismach, wznowienia moich tekstów ukazały się w blisko stu antologiach w kraju i za granicą. Wydano dotąd dwadzieścia pięć moich książek: powieści i zbiorów opowiadań. W dodatku jako murzyn pisałem przemówienia i przeróżne artykuły dla polityków, a pewien okres życia przepracowałem w agencji reklamowej, tworząc teksty na każdy niemal temat. Dokonałem adaptacji trzydziestu dziewięciu moich własnych opowiadań na potrzeby radiowych słuchowisk, zaś w ostatnich latach skupiłem się głównie na scenariuszach dla telewizji i kina.

— Na początku spełniałem się niemal wyłącznie na polu fantasy, gdzie element przemocy jest otwarcie i wyraźnie produktem wyobraźni. Później jednak, będąc świadkiem masowej przemocy na niespotykaną dotąd skalę w trakcie drugiej wojny światowej, zacząłem badać przemoc u jej źródeł — na indywidualnym poziomie. Ciągle niechętny lub też niezdolny borykać się z teraźniejszością, wycofałem się w świat historii i „ponownie stworzyłem” — jako archetyp pozornie nonsensownej przemocy — okrytego niechlubną sławą seryjnego mordercę, który przedstawił się w tytule *Yours Truly, Jack the Ripper*. Opowiadanie to było niezliczoną ilość razy wznawiane i trafiło do wielu antologii, doczekało się też adaptacji radiowej, a w końcu i telewizyjnej. Podobno ostatnio wystawiono je w izraelskim teatrze. Z jakiegoś powodu pomysł żyjącego do chwili obecnej Kuby Rozpruwacza dotknął czułych miejsc w psychice moich odbiorców.

— Osobiście byłem daleki od lekkiego traktowania tego ucieleśnienia przemocy, toteż porzuciłem temat i dłużej go nie rozważałem. Trwała wojna, a gdy realna przemoc stała się niebezpiecznie bliska, skoncentrowałem się przez jakiś czas na humorze i science fiction. Dopiero w roku 1945 roku, kiedy ukazał się pierwszy zbiór moich opowiadań (*The Opener of the Way*), napisałem nowe. Nosiło tytuł *One Way to Mars*. Wykorzystałem kostium sf, by opisać psychotyczną amnezję współczesnego człowieka w kwestiach przemocy.

— Rok później wydałem swoją pierwszą powieść, *The Scarf* — spisana w pierwszej osobie relację wielokrotnego mordercy. Od tego czasu, nadal wprzegając konwencje fantasy i science fiction w zadania satyry i społecznego krytycyzmu, poświęciłem wiele swoich opowiadań i prawie wszystkie powieści (*Spiderweb, Shooting Star, The Kidnaper, The WiU to KM, Psychoza, The Dead Beat, Firebug, The Couch, Terror*) bezpośredniej analizie przemocy w naszym społeczeństwie.

— *Psychozę* zainspirował gazetowy artykuł poświęcony pewnemu psychopatycznemu mordercy, działającemu w małym mieście leżącym niedaleko od tego, które zamieszkiwałem. Nie poznałem zbyt wielu szczegółów popełnionych przez owego mordercę zbrodni, lecz zastanowiłem się, jakiego typu osoba mogła ich dokonać... Człowiek ten na co dzień wiódł bowiem pozornie normalne życie spokojnego obywatela wśród niewielkiej, stereotypowo staroświeckiej i znanej z plotkarstwa małomiasteczkowej społeczności. W takich środowiskach zazwyczaj wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich. Przemysławszy gruntownie uwarunkowania socjologiczne i rozmaite warianty hipotetycznej psychiki sprawcy, stworzyłem schizofreniczną postać, a w kilka lat później odkryłem, iż racjonalne podstawy, które dla niej skonstruowałem okazały się przerażająco bliskie aberracyjnej rzeczywistości.

— Niektóre z moich innych postaci również okazały się niepokojąco realne. Na przykład, kiedy napisałem *The Scarf*, redaktorzy nalegali na skreślenie krótkiego fragmentu powieści, w którym bohater daje upust nieco sadystycznej fantazji: wyobraził sobie mianowicie, co by się stało, gdyby wziął karabin o dużym zasięgu, wszedł na dach wysokiego budynku i zaczął strzelać do przypadkowych ludzi przechodzących ulicami w dole. Wówczas wydawcy uznali ten pomysł za „naciągany”, obecnie niestety życie okrutnie zweryfikowało ich opinię. Ale nie jest mi wcale z tego powodu do śmiechu...

— Nawiasem mówiąc, powieść *The Scarf* właśnie ukazała się w miękkiej oprawie. Oczywiście przejrzałem ją przed wznowieniem (po dwudziestu latach), by uaktualnić kilka slangowych fraz i aluzji do współczesności. Mój bohater natomiast nie potrzebował żadnych zmian; upływ czasu wykonał całą robotę za mnie. Dwadzieścia lat temu był czarnym charakterem, obecnie jawił się jako antybohater.

— Ponieważ przemoc bynajmniej obecnie nie zniknęła. Mało tego, ta przemoc, którą analizowałem, a niekiedy przewidywałem i prorokowałem, stała się dziś powszechniejsza i w pewnym stopniu została zaakceptowana. Jest to dla mnie znacznie bardziej przerażające niż wszystko, co potrafiłem sobie wyobrazić.

Tyle autorskiego komentarza. Próbując ujednoczyć całość tomu i wierząc stanowczo, że opowiadanie Blocha niewiele traci, gdy znamy z góry pojawiającą się w zakończeniu rewelację, muszę dodać, iż powyższa przedmowa została skomponowana na potrzeby całej antologii. Namawiam do przeczytania zarówno *Zabawki dla Juliette*, posłowie Roberta Blocha jak i jego wprowadzenia do następnego opowiadania — mojego autorstwa. Mamy tu bowiem do czynienia z klasycznym następstwem fabularnym, z pierwszeństwem chronologii przed pięknem...

A może Piękna przed Bestią.

Robert Bloch
A Toy For Juliette

Zabawka dla Juliette

Uśmiechając się, Juliette weszła do swojej sypialni i tysiąc innych Juliette odpowiedziało jej uśmiechem, ponieważ wszystkie ściany wyłożono lustrami, a sufit — inkrustowanymi szymbami, które odbijały wizerunek dziewczyny.

Gdziekolwiek spojrziała, widziała blond loki okalające jej delikatną twarzyczkę, która przywodziła na myśl promienny amalgamat dziecka i anioła. Jej dziecięce rysy niesamowicie kontrastowały z bujnym, dojrzałym ciałem w przejrzystym peniuarze.

Ale Juliette wcale nie uśmiechała się narcystycznie do siebie. Uśmiechnęła się, gdyż wiedziała, że właśnie wrócił dziadek, przywożąc jej kolejną zabawkę. Za kilka zaledwie chwil zabawka zostanie odkażona i dostarczona. Juliette chciała być gotowa na jej przybycie.

Obróciła pierścień na palcu i lustro się zamgliły. Kolejny obrót pierścienia zatopiłby pokój w całkowitych ciemnościach, zaś skręt w kierunku przeciwnym przywracał jaskrawy blask. Wszystko było kwestią wyboru — lecz w tym właśnie tkwił sekret życia. W wybieraniu... dla przyjemności.

A cóż będzie przyjemnością Juliette dzisiejszego wieczoru?

Podeszła do jednego z luster i przesunęła przed nim dłonią. Szkło odsunęło się na bok, ujawniając niszę: wejście w litej skale o kształcie trumny; wewnątrz wisiały okowy na łańcuchach, a na odpowiedniej wysokości umieszczono narzędzia do miażdżenia kciuków.

Przez moment dziewczyna się wahała; nie zabawiała się w tę grę od lat. Może innym razem! Pomachała ręką i lustro ponownie przesłoniło wejście.

Powędrowała wzdłuż szeregu luster, machając ręką i zatrzymując się na moment, by sprawdzić, co znajduje się za każdym z nich. Tu było urządzenie do łamania kołem, tam z kolei stalowe dyby z zestawem kolczastych biczów leżących na poplamionej zbrązowiała krwią drewnianej podłodze. W innym znajdował się stół do sekcji sprzed kilkuset lat oraz niezwykle narzędzia chirurgiczne, zaś za kolejnym zwierciadłem — elektryczne ościenie i druty, które wywoływały tak wspaniale niesamowite grymasy, wygibasy i ból nie do zniesienia, nie mówiąc o krzykach. Oczywiście krzyki nie miały znaczenia, ponieważ pokój był dźwiękoszczelny.

Juliette podeszła do bocznej ściany i ponownie zamachała; posłuszne lustro odsunęło się, a oczom dziewczyny ukazała się zabawka, o której już prawie zapomniała. Była to jedna z pierwszych rzeczy, jakie podarował jej dziadek i była bardzo stara, toteż wyglądała niemal jak sarkofag mumii. Jak dziadek ją nazwał? Żelazną Dziewicą z Nurembergu, tak, dokładnie, tak... Miała pod pokrywą zastrzone stalowe kolce. W środku można było umocować łańcuchami człowieka, po czym przekręcić małą korbę, która zamykała pokrywkę bardzo powoli, a kolce wbijały się w nadgarstki i łokcie, w kostki i kolana, w pachwiny i oczy. Trzeba było zachować ostrożność, by się zbyt nie podniecić, gdyż wtedy kręciło się zbyt szybko, niweczając całą zabawkę.

Działanie Dziewicy dziadek pokazał Juliette na pierwszej prawdziwej, żywej zabawce, którą przyniósł. Właśnie wtedy wyjaśnił wnuczce, jak powinna postępować z narzędziem. W ogóle nauczył ją wszystkiego, co wiedziała, ponieważ był bardzo mądry. Dał jej na imię Juliette od bohaterki

jednej ze staroświeckich, drukowanych książek, które odkrył. Tę szczególną książkę napisał filozof nazwiskiem de Sade.

Dziadek przynosił z Przeszłości zarówno książki jak i zabawki. Był jedyną osobą, która miała dostęp do Przeszłości, ponieważ posiadał Podróżnika.

Podróżnik był mechanizmem niezwykle wymyślnym, zdolnym osiągać częstotliwość wibracyjną, która niejako uwalniała go od czasu i pozwalała dowolnie się nim przemieszczać wstecz. W stanie spoczynku był to tylko niepozorny sześcian, lecz za to rozmiaru małego pokoju. Jednak kiedy dziadek uruchamiał urządzenie przyciskiem na panelu sterowania i rozpoczynała się wibracja, pudło się rozmazywało i znikało. Dziadek twierdził, że znajduje się ono nadal w tym samym miejscu (przynajmniej jego matryca pozostawała jako stały punkt w czasoprzestrzeni), tym niemniej rzecz lub osoba wewnątrz Podróżnika mogła się swobodnie udać w Przeszłość do każdej daty, na którą został zaprogramowany panel sterowania. Po przybyciu w Przeszłość przybysz był oczywiście niewidzialny, co jednak stanowiło raczej korzyść, zwłaszcza jeśli celem było wyszukiwanie przedmiotów i przetransportowanie ich do świata Juliette. Dziadek przyniósł kilka bardzo interesujących przedmiotów z prawie mitycznych miejsc, takich jak wielka biblioteka aleksandryjska, piramida Cheopsa, Kreml, Watykan, Fort Knox czy inne magazyny cudów i skarbnice wiedzy sprzed tysięcy lat. Dziadek lubił się wyprawiać właśnie w tę część Przeszłości, czyli w okres przed wojnami termonuklearnymi i epoką robotów. Uwielbiał zabierać stamtąd pamiątki. Książki, klejnoty i metale były bezużyteczne, cenne chyba tylko dla antykwariuszy, jednakże dziadek miał duszę romantyka i kochał tamte czasy.

Dziadek posiadał Podróżnika, lecz nie on go stworzył. Zbudował go ojciec Juliette, a dziadek przejął urządzenie po śmierci syna. Juliette podejrzewała, że dziadek zabił oboje jej rodziców, gdy była zaledwie niemowlęciem, nigdy wszakże nic uzyskała w tej materii całkowitej pewności. Właściwie obecnie nie miało to znaczenia, gdyż dziadek zawsze był dla niej bardzo dobry, a poza tym wkrótce sam umrze... i wtedy ona przejmie Podróżnika.

Często na ten temat żartowali.

— Zrobiłem z ciebie potwora — mawiał dziadek. — I któregoś dnia w końcu mnie zniszczysz. A później zniszczysz cały świat... albo przynajmniej to, co jeszcze z niego zostało.

— Boisz się — zadrwiła.

— Ależ skąd — obruszył się. — To przecież moje marzenie: zniszczenie absolutnie wszystkiego i przyspieszenie agonii tej sterylnej dekadencji, w jakiej żyjemy. Wiesz, że w pewnym momencie historycznym mieszkało na tej planecie trzy miliardy ludzi?! A teraz jest ich niecałe trzy tysiące! Niecałe trzy tysiące ludzi żyjących wewnątrz Kopuł, trzy tysiące więźniów zamkniętych na zawsze z powodu grzechów swych ojców, którzy nie tylko zrujnowali cały materialny świat na zewnątrz, ale zatruli nawet atmosferę, ponieważ wmieszali się w atomowy porządek wszechświata. Ludzkość praktycznie już wymarła, więc jedynie przyspieszysz finał.

— A nie moglibyśmy wszyscy wrócić w jakiś inny okres Podróżnikiem? — spytała.

— W jaki okres? Continuum jest niezmiennie. Jedno zdarzenie prowadzi nieubłaganie do kolejnego, a wszystkie są ogniwami łańcucha, który wiąże nas z teraźniejszością i jej nieuchronnym końcem w postaci ostatecznej zagłady. Trwamy jakoś w tym zamknięciu, to prawda, jednak funkcjonujemy wyłącznie w sensie jednostkowym, bez żadnego celu i nadziei na przyszłość jako społeczeństwo. Jeśli zaś chodzi o twoje pytanie, to nikt z nas nie potrafiłby już przeżyć w jakimkolwiek środowisku prymitywniejszym od naszego. Zostańmy zatem tutaj i czerpmy maksymalną przyjemność z chwil, które nam pozostały. Ja na przykład rozkoszuję się faktem, że jestem jedynym użytkownikiem i posiadaczem Podróżnika. A twoja przyjemność, Juliette, to...

Roześmiał się, a potem długo śmiali się oboje, gdyż świetnie wiedzieli, co sprawia przyjemność Juliette.

Już jako jedenastolatka zabiła pierwszą swoją zabawkę — małego chłopca. Dziadek przyniósł go z Przeszłości i podarował wnuczce do pierwszych zabaw erotycznych. Niestety, igraszki nie bardzo się udały, więc Juliette się wściekła i roztrzaskała chłopcu czaszkę stalowym prętem. Później dziadek przyniósł jej starszą zabawkę, mężczyznę o brązowej cerze, który całkiem dobrze współpracował... Lecz Juliette szybko się nim znudziła i pewnego dnia, kiedy zabawka spała w swoim łóżku, Juliette związała ją i wyjęła nóż.

Eksperymentując trochę, zanim mężczyzna umarł, Juliette odkryła nowe źródła przyjemności, o których oczywiście dowiedział się dziadek. Właśnie wtedy ochrzcił ją imieniem „Juliette”; wydawał się pochwalać jej zainteresowania i od tej pory zdobywał dla niej coraz to inne starożytne narzędzia tortur, które trzymała za lustrami w sypialni. No i ze swych niespokojnych wypraw w Przeszłość przynosił jej nowe zabawki.

Ponieważ był niewidzialny, mógł jej dostarczyć prezent niemal z każdego odwiedzonego w trakcie swoich podróży miejsca — wystarczyło użyć ogłuszacza i przetransportować zabawkę do ich świata. Rzecz jasna, każdą z nich należało bardzo dokładnie odkazić, bowiem w Przeszłości aż się roilo od dziwacznych mikroorganizmów. Kiedy już stawały się całkowicie antyseptyczne, trafiały do Juliette. Podczas minionych siedmiu lat doznała za ich przyczyną wielu rozkoszy.

Dziewczyna uwielbiała ten zachwycający moment oczekiwania na przybycie nowej zabawki. Jaka będzie? Dziadek dobierał je bardzo starannie. Starał się przynosić jej takie, które potrafią mówić i rozumieją angielski — czy też „angielski”, jak ten język nazywano w Przeszłości. Werbalna komunikacja była często istotna, szczególnie jeśli Juliette chciała się ściśle stosować do nakazów filozofa de Sade’a i przed „ostrzejszymi” rozkoszami cieszyć się jakąś formą stosunku seksualnego.

Tak czy owak, pozostawało pole do spekulacji. Czy zabawka będzie młoda czy stara, dzika czy łagodna, męska czy żeńska? Juliette miała już kontakt ze wszystkimi typami i doświadczyła wszelkich możliwych rodzajów zespolenia. Czasami utrzymywała zabawki przy życiu przez kilka dni, zanim się nimi zmęczyła... lub gdy przestała dostrzegać ich wyjątkowość. Innymi razy chciała zakończyć sprawę szybko. Na przykład dziś wieczorem czuła, że może ją uspokoić jedynie działanie najprymitywniejsze i najbardziej bezpośrednie.

Kiedy zdała sobie z tego sprawę, przestała się bawić lustrzanymi taflami i poszła wprost do dużego łóżka. Odgarnęła narzutę i macała pod poduszką tak długo, aż go wyczuła. Tak, ciągle tam leżał: długi nóż z szerokim, okrutnym ostrzem. Wiedziała, co dziś zrobi: weźmie zabawkę do łóżka, a później, w najwłaściwszym momencie, połączy wszystkie rozkosze w jedną. Ach, gdybyż umiała przewidzieć chwilę, w której zada pchnięcie nożem...

Zadrzała z antycypacji, a następnie z niecierpliwości.

Jaka będzie ta nowa zabawka? Juliette przypomniawszy sobie jedną uprzedzająco grzeczną i zimną; nazywała się Benjamin Bathurst. Był to angielski dyplomata z czasów, które dziadek określał mianem Wojen Napoleońskich. Och, wydawał się uprzedzająco grzeczny i lodowaty, póki nie omamiła go swoim ciałem i nie zaciągnęła do łóżka. Albo inna zabawka — amerykańska lotniczka z nieco późniejszego okresu Przeszłości... A pewnego razu trafiła jej się nawet wyjątkowa uczta — cała załoga łodzi żaglowej o nazwie „Marie Ceieste”. Żeglarze żyli aż kilka tygodni!

Tak, otrzymywała od dziadka naprawdę niezwykłe zabawki o niektórych z nich nawet potem czytała. Bo gdy dziadek ogłuszał ich i transportował tutaj, na zawsze znikali ze swojego świata, a jeśli byli z jakiegoś powodu znani bądź ważni w swoich czasach, ich zniknięcie odnotowywano. W niektórych książkach dziadka pojawiało się określenie „tajemnicze zniknięcie”; oczywiście żadnego

nigdy nie wyjaśniono. Ależ to wszystko było podniecające!

Juliette odłożyła starannie poduszkę na miejsce i wsunęła pod nią nóż. Nie mogła się już doczekać... Skąd to opóźnienie?!

Podeszła do przewodu wentylacyjnego, odchyliła peniuar i nacisnęła rozpylacz. Perfumowana mgła obmyła jej ciało. Ostatni wabik... Dlaczego jednak jej zabawka nie przybywała?!

Nagle dotarł do niej głos dziadka:

— Wysyłam ci małą niespodziankę, najdroższa. Zawsze tak mówił; to była część gry. Juliette wcisnęła guzik komunikatora.

— Nie drwij sobie ze mnie — jęknęła. — Powiedz mi, jaka jest.

— Anglik. Późna epoka wiktoriańska. Bardzo pruderyjny i przyzwoity, wnosząc z jego wyglądu.

— Młody? Przystojny?

— Znośny. — Dziadek zachichotał. — Twoje apetyty cię zdradzają, najdroższa.

— Któż to taki... czy ktoś z książki?

— Nie poznałem nazwiska. Podczas odkażania nie znalazłem żadnego dowodu tożsamości. Jednak sądząc po stroju, manierach i małej czarnej torbie, którą nosił, gdy go znalazłem bardzo wcześnie rano, oceniłbym go na lekarza wracającego z nagłego wezwania.

Juliette znała „lekarzy”, z lektur, ma się rozumieć. Wiedziała też, co oznacza termin „wiktoriański”. Kombinacja obu słów wydała jej się zupełnie odpowiednia.

— Pruderyjny i przyzwoity? — Zachichotała. — W takim razie obawiam się, że może przeżyć szok.

Dziadek roześmiał się.

— Masz już plan wobec niego, jak mniemam.

— Tak.

— Mogę popatrzeć?

— Proszę, nie tym razem.

— No dobrze.

— Nie bądź zły, dziadku. Kocham cię.

Wyłączyła się. Akurat w porę, ponieważ drzwi się otworzyły i zabawka weszła.

Juliette popatrzyła na nią i stwierdziła, że dziadek jej nie oszukał. Miała przed sobą mężczyznę około trzydziestki, atrakcyjnego, lecz stanowczo niezbyt przystojnego. Nie mógł zresztą wyglądać przystojnie w tym ponurym stroju i z absurdalnymi bokobrodami. Było w nim coś niemal przygnębiająco wytwornego i zmanierowanego, a do tego otaczała go aura skrępowania i psychologicznego wyparcia.

A gdy mężczyzna przyjrzał się dziewczynie w zakrywającym niewiele wdzięków peniuarze i zerknął na otoczone lustrami łóżko, nawet zaczął się rumienić!

Swoją reakcją całkowicie zawładnął sercem Juliette. Spłoniony przedstawiciel epoki wiktoriańskiej, zbudowany jak byk... i nieświadom, że trafił do rzeźni!

Tak się rozochociła, że nie potrafiła już nad sobą zapanować; natychmiast ruszyła do przodu i otoczyła go ramionami.

— Kim... Kim jesteś? Gdzie się znalazłem?

Stereotypowa reakcja, te same co zwykle pytania. Zazwyczaj Juliette zabawiała się dodatkowo, odparowując ciętymi ripostami, które miały zwieść i podniecić jej ofiarę. Dziś wieczorem wszakże czuła w sobie zaniepokojenie, które jeszcze wzrosło, gdy objęła mężczyznę i popchnęła go ku czekającemu łóżku.

Mężczyzna zaczął ciężko oddychać. Reagował właściwie, choć nadal był dezorientowany.

— Powiedz mi... Nie rozumiem. Żyje? A może jestem w niebie?

Poły peniuaru rozsunęły się, gdy dziewczyna położyła się na plecach.

— Żyjesz, kochanie, jak najbardziej — zamruczała. — Jesteś cudownie żywy. — Roześmiała się i zabrała się za udowodnienie mu swoich słów. — Lecz jesteś bliżej nieba, niż sądzisz.

I by go o tym zapewnić, wolną rękę wsunęła pod poduszkę i zaczęła po omacku szukać ukrytego noża.

Niestety, noża nie było już pod poduszką, gdyż jakimś sposobem trafił on w dłoń zabawki. A zabawka nie wyglądała już ani na pruderyjną, ani na przyzwoitą. Juliette mignęła twarz mężczyzny z zaciętą miną. Tylko mignęła, ponieważ w chwilę później dziewczyna ujrzała jedynie oślepiające ostrze noża, który się opuszczał, podnosił, opuszczał, podnosił, opuszczał...

Na nieszczęście pokój był dźwiękoszczelny, a zabójca miał mnóstwo czasu. Przez wiele dni nikt nie odkryje zmasakrowanego ciała Juliette.

Zaś w Londynie, po kolejnej bestialskiej zbrodni dokonanej wczesnym świtem, słuch o Kubie Rozpruwaczu raz na zawsze zagaśniał. Jakby tajemniczy morderca rozpułynał się w powietrzu.

tłum. Ewa i Dariusz Wojtczakowie

POSŁOWIE:

Sporo lat minęło, odkąd usiadłem przy maszynie któregoś posepnego zimowego dnia i napisałem do *Yours Truly, Jack the Ripper*. Czasopismo, w którym ukazało się opowiadanie, dawno temu straciło zainteresowanie duchami i samo oddało ducha. Tym niemniej, moja krótka historyjka najwyraźniej jakoś przetrwała i od tamtego czasu ściga mnie w przedrukach, zbiorkach, antologiach, przekładach na obce języki, a także adaptacjach radiowych i telewizyjnych.

Kiedy zatem wydawca niniejszej antologii zaproponował mi napisanie opowiadania, podsuwając pomysł: „Może Kuba Rozpruwacz w świecie przyszłości?”, byłem zdolny tylko do jednej jedynej reakcji.

Po prostu ją napisałem.

Wprowadzenie do „Łowcy w mieście na skraju świata”:

Zamierzam napisać o Harlanie Ellisonie. I wiercie mi, nie jest to łatwe.

Tak się złożyło, że jego udziałem w tej antologii stała się kontynuacja mojego własnego opowiadania, więc Harlan poprosił mnie o napisanie wstępu, aby uniknąć nieporozumień.

Nie będę prezentował rysu biograficznego tego pisarza; pewnie nie potrzebowałyby mnie do tego. Ellison opowiadał historię swojego życia tak wiele razy, że bez wątpienia każdy zna ją na pamięć.

Jestem więc zmuszony omówić jego postać jako czystej wody fenomen — chyba najbardziej niezwykły z istniejących w światku fantastyki — który bez wątpienia oddziałuje zarówno na moją świadomość, jak i na świadomość każdego twórcy science fiction. I to przynajmniej od piętnastu lat.

Kiedy po raz pierwszy spotkałem Harlana Ellisona na Światowym Konwencie Science Fiction w 1952 roku, był obiecującym osiemnastoletnim młodzieńcem. Dziś jest natomiast obiecującym trzydziestotrzylatkiem. Nie jest to bynajmniej uwaga deprecjonująca i absolutnie nie należy jej tak pojmować.

Jako osiemnastolatek wyróżniał się wśród innych fanów, zaś w wieku trzydziestu trzech lat zapowiada się na wybitnego pisarza. I mam na to dowody!

Jako fan był elokwentny, ambitny i niezwykle aktywny. Teraz, gdy stał się zawodowym pisarzem, te wartości stale można dostrzec w całej jego pracy, przy czym doszła do nich jeszcze jedna — przypadkiem aliteracyjna cecha — artyzm.

Czytajcie jego opowiadania, powieści, artykuły i teksty krytyczne. Może nie zawsze zgodzicie się z zawartymi w nich poglądami, bądź z formą, w jakiej autor je wyraża, lecz na pewno dostrzeżecie artyzm oraz mieszkankę wzruszenia i ekscytacji dostarczoną z głębokim przekonaniem i zaangażowaniem. Bez względu na przyjętą formułę narracji czytelnik nieodmiennie odnosi wrażenie, że Ellison zawsze właściwie pisze w pierwszej osobie.

Wspomniałem o wzruszeniu. Ellison często posługuje się skrajnościami, które sięgają od głęboko emocjonalnej empatii po słuszne oburzenie. Pisze tak, jak czuje... a czytelnik czuje to, co Harlan pisze.

Wspomniałem też o ekscytacji. Chodzi o wewnętrzny klimat, o stałe tornado, w którego centrum jakaś część osobowości Ellisona funkcjonuje jako oko obserwatora i to oko bardzo spostrzegawcze. Ani jego pracy, ani jego życia nie cechuje spokój, gdyż Ellison z pewnością nie należy do twórców, którzy kultywują buddyjską łagodność, siedząc i kontemplując własne powieści.

Wspomniałem o przekonaniu. Ponieważ Ellison nie jest obskurantem, o swoich przekonaniach mówi głośno i wyraźnie: i w prozie, i w życiu osobistym. Te przekonania zyskują mu zarówno zwolenników jak i wrogów. Bywa złośliwy lub przesadnie szczery i za to krytykują go ci, którzy upierają się przy opinii, że takie

Niebezpieczne wizje właściwości są godne podziwu u żołnierza, polityka czy dyrektora przedsiębiorstwa, lecz degradują twórczego artystę. Lecz Ellison przetrwa każdą kłótnię; jest

jedynym znanym mi żywym organizmem, którego naturalne środowisko to gorąca kipiela.

Wspomniałem o zaangażowaniu. Jasno wyznaczony cel i nieustępliwość przeniosły bezpiecznie Ellisona przez bezmierne pasmo przeżyć: służył w wojsku, miał kontakty z nastoletnimi gangami, gdy poszukiwał tła do swojej prozy, pracował jako redaktor i wydawca... Towarzyszy mu też bezustanne rozdarcie, którego doświadcza każdy pisarz, zmuszony do „łagodzenia” swoich tekstów, by zaspokoić gusta rozmaitych arbitrów.

Ellison często ściera się z osobami, które usiłują pokierować jego pisarstwem. W swojej podróży z Cleveland, przez Nowy Jork do Chicago zostawił za sobą szlak siwych włosów wydawców; wiele z tych włosów wyrwano z korzeniami. W Hollywood grał wobec producentów pikadora, a ostrze jego piki stałe było zatrute i gotowe do wbicia w byka, kogokolwiek by Harlan za niego nie uznał.

Niektórzy ludzie podziwiają go za odwagę, inni go za nią nienawidzą. Bo Harlan lubi się nieustannie sprawdzać... i przez to doskonalić.

Ta antologia jest tego znakomitym przykładem.

W trakcie piętnastu lat, podczas których Ellison z fana stał się pisarzem, dosłownie setki czytelników, autorów i wydawców science fiction marzyło o przygotowaniu antologii podobnej do tej.

Tamci marzyli, a Harlan rzeczywiście ją stworzył.

Mam świadomość, że nie powiedziałem nic o inteligencji Ellisona ani o wrażliwości zawartej w jego tekstach, które przyniosły mu nagrodę fanów science fiction, czyli Hugo oraz nagrodę amerykańskich pisarzy sf, czyli Nebulę. Możecie ocenić te zalety samodzielnie, czytając poniższe opowiadanie.

Jest ono przykładem swoistej podróży „do kresu nocy”, z pewnością we wspaniałej tradycji Grand Guignol¹ i bezpośrednia literacka spuścizna takich przerażających „patronów”, jak markiz de Sade czy Louis-Ferdinand Celine. Z pozoru ociekające krwią niemal na każdej stronie opowiadanie wydaje się amoralne i nieprzyzwoite, stanowiąc wstrząs dla naszych zmysłów i wrażliwości.

Jednak pod warstwą okropności, za szokującymi aluzjami do Erosa i Tanatosa tkwi głęboki portret Człowieka Opętanego... Człowieka Gwałtownego, którego przeniesienie z przeszłości do przyszłości daje nam niezwykle wgląd w utajone pokłady atawistycznej agresji tkwiącej w psychice współczesnego człowieka.

Ponieważ Kuba Rozpruwacz jest teraz z nami. Grasuje nocami, unika słońca, za to szuka płonącego serca wewnętrznej rzeczywistości, a obserwując go z tak bliska w historii Ellisona, możemy dostrzec przemoc (i przyznać się do jej istnienia), która czai się wewnątrz psychiki każdego z nas. W tym świecie (literackiej fikcji i głębin podświadomości) wszystko, co jest normalnie zakazane, staje się „nienormalnie” akceptowalne i dopuszczalne. Metafizyczne bzdury? Zanim podejmiecie decyzję, przeczytajcie opowiadanie i pozwólcie, by Rozpruwacz wprowadził was w świat popędów i sił, do których większość z nas się nie przyznaje i którym zazwyczaj nie ulega, tym niemniej te potężne siły tkwią w nas i w naszym społeczeństwie. A gdy przeczytacie, zadumajcie się, jeśli łaska, nad przypowieścią o dylemacie Kuby, który usiłuje — tej frazy często używamy, choć rzadko ją rozumiemy — „wyrobić sobie pozycję zawodową”.

Nieprzyzwoitość, tak. Niemoralność — zdecydowanie nie. Kostium niesamowitości i makabry skrywa bowiem głęboko etyczną prawdę, że nieuchronną i ostateczną ofiarą Kuby Rozpruwacza jest zawsze on sam.

Oraz wy i ja.

Robert Bloch

Harlan Ellison

The Prowler in the City at The Edge of the World

Łowca w mieście na skraju świata

Po pierwsze, było tu miasto, w którym nigdy nie zapadała noc. Cynowe i połyskliwe, jego ściany z antyseptycznego metalu przypominały ogromny autoklaw. Czyste i wolne od kurzu, i tak milczące, że nawet wirujące trzewia jego serca i umysłu nie przyciągały niczyjej uwagi. A ponieważ było zamknięte, odgłosy stóp odbijały się echem od jego powały i murów — tępy stukot egzotycznych butów podbitych skórą. Dźwięki, które powracały do idącego, przywodziły na myśl echo jodłowania w górskiej dolinie. Dźwięki wydawali też pokorni mieszkańcy, których żywoty były uporządkowane, higieniczne i równie metaliczne jak miasto, które zaludniali od lat. Miasto stanowiło zawiłą arterię, ludzie zaś krew, która beznamiętnie przez nią płynęła. Byli bezkształtną formą zespoloną ze sobą nawzajem, tworząc jednolitą całość. To było miasto lśniące w trwałości, nieśmiertelne w pojęciu, rosnące w uformowanym i wymodelowanym wyrażeniu egzaltacji. Stanowiło najnowocześniejszą ze wszystkich nowoczesnych konstrukcji i zostało stworzone jako miejsce zaprzeszłego pobytu dla doskonałych ludzi, ostatni i ostateczny rezultat wszystkich socjologicznych eksperymentów związanych z Utopią. „Przestrzeń do życia”, tak je nazywali, a byli skazani żyć wyłącznie w nim, w tym Erewhon² wykreślonym z poczucia przyzwoitości i czystości.

Nigdy nocy.

Nigdzie cienia.

...nagle jakaś postać. Plama poruszająca się na tle metalicznej sterylności. Ruch szmat i przylgniętych do nich grudek ziemi z grobów zaplombowanych przed wiekami. Jakiś kształt.

W przelocie dotknął spiżowo — szarej ściany, zostawiając odcisk brudnych palców. Przygarbiony osobnik przechodzący przez antyseptycznie czyste ulice, aż stały się — po jego przejściu — żałobnymi alejami z innego czasu.

Niejasno wiedział, co się stało. Niedokładnie, nie w szczegółach, ponieważ jednak był silny, zdołał się wymknąć, nie rozbijając przy tym cienkich jak skorupka jajka ścianek swego umysłu. W tym lśniącym mieście nie miał się gdzie ukryć, nie było tu żadnego miejsca, gdzie mógłby się zastanowić, a przecież potrzebował czasu. Zwolnił krok. Wokół siebie nie widział nikogo. Zupełnie irracjonalnie poczuł się nagle... bezpieczny? Tak, bezpieczny. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu.

Kilka minut wcześniej stał na wąskiej uliczce Miller's Court przed numerem 13. Była 6:15 rano. W Londynie panowała cisza, gdy zatrzymał się w korytarzu M'Carthy's Rents, w korytarzu śmierdzącym i cuchnącym moczem, gdzie dziwki ze Spitalfields znajdowały klientów. W rękę trzymał czarną torbę ze sztywnej skóry, do której ledwo wcisnął szklaną butlę z płynącym w formaldehydzie płodem. Przystanął, by zaczerpnąć gęstego od mgły powietrza, po czym ruszył okrężną drogą z powrotem do Toynbee Hali. Zdarzyło się to zaledwie kilka minut wcześniej. A teraz nagle znajdował się w zupełnie innym miejscu i nie była już 6:15 zimnego listopadowego ranka 1888 roku.

Podniósł oczy, gdy w tym obcym miejscu zalało go światło. Jeszcze przed chwilą znajdował się

w cichym jak grób Spitalfields, a później nieoczekiwanie załąło go światło, chociaż nie poczuł, by się przemieszczał lub został przez kogoś przeniesiony. A kiedy spojrział w górę, okazało się, że jest w jakimś zupełnie nieznanym mu miejscu. Przystanął teraz, zaledwie kilka minut po transferze, oparł się o połyskujący miejski mur i przypomniał sobie jeszcze inne światło sprzed kilku chwil. Pochodziło z tysiąca zwierciadeł. Były w ścianach, w suficie, wszędzie! Sypialnia, a w niej dziewczyna. Śliczna dziewczyna. Nie taka jak Czarna Mary Kelly, Mroczna Annie Chapman, Kate Eddowes czy któraś z tych żalonych szumowin, które był zmuszony wyleczyć...

Śliczna dziewczyna. Blondynka, zdrowa blondynka... póki nie rozchyliła peniuaru i nie zmieniła się w taką samą dziwkę jak te, które spotykał podczas pracy w Whitechapel...

Sybarytka, stworzenie rozkoszy, Juliette, jak się przedstawiła, zanim potraktował ją dużym, ostrym nożem. Znalazł nóż pod poduszką na łóżku, do którego go zaciągnęła... Jakże był zażenowany i taki bezwolny... I strasznie zmieszany. Stał, zaciskając kurczowo w palcach rączki czarnej torby i drżąc niczym dziecko. On, który bez lęku kręcił się nocami po Londynie, on, który chadzał dokąd chciał, który dał upust niekontrolowanej nienawiści już osiem razy... a teraz został sprowadzony na drogę grzechu przez kogoś innego, po prostu przez kolejną dziwkę, która usiłowała go wykorzystać w czasie, gdy próbował rozpoznać, co mu się właściwie przydarzyło i dokąd trafił. Wstyd! Więc potraktował ją dokładnie tak, jak sobie na to zasłużyła.

Było to zaledwie kilka minut temu. Bardzo skutecznie sobie z nią poradził.

Nóż też nie należał do zwyczajnych. Ostrze wydawało się składać z dwóch cienkich jak opłatek warstw metalu, z pulsującym, jarzącym się czymś pomiędzy. Rodzaj iskrzenia kojarzył się z tym, które produkował generator Van de Graafa. Tyle że nóż wyglądał dziwacznie. Nic go nie zasilalo. Nie przymocowano do niego przewodów i nie był połączony z żadną szyną zbiorczą, ani z niczym, co by wytwarzało choć najprostsze wyładowanie elektryczne. Kuba wrzucił go do czarnej torby, gdzie leżał teraz obok skalpela, szpulki katgutu i fiolek w skórzanych pokrowcach oraz płodu w butli. Płodu Mary Jane Kelly.

Pracował sprawnie, lecz szybko i w końcu pozostawił Juliette prawie dokładnie w tym samym stanie, co Kate Eddowes: gardło rozcięte od ucha do ucha, tułów rozszczepiony przez środek od piersi do pochwy, jelita wyciągnięte i udrapowane na prawym ramieniu, kawałek jelita oderwany i ułożony między lewym ramieniem i tułowiem. Wątroba przebita ostrzem noża; pionowe cięcie przez lewy płat tego organu. (Zaskoczyło go odkrycie, że na wątrobie nie dostrzegł najmniejszych nawet śladów marskości tak powszechnych u dziwek ze Spitalfields, które piły na okrągło, aby się pozbyć ciężaru swego ponurego, a równocześnie groteskowego żywota. Właściwie, ta dziewczyna wydawała się zupełnie niepodobna do pozostałych, mimo iż była wobec niego nawet bardziej bezwstydną niż tamte. I ten nóż pod poduszką na łóżku...). Najpierw przerwał jej główną żyłę, prowadzącą do serca. Potem zabrał się za pracę nad twarzą.

Zastanawiał się, czy nie usunąć lewej nerki — tak jak postąpił w przypadku Kate Eddowes. Uśmiechnął się do siebie, kiedy sobie wyobraził, jaką minę miał zapewne pan George Lusk, przewodniczący Straży Obywatelskiej Whitechapel, gdy otrzymał pocztą kartonowe pudełko od niego. Zawierało ono nerkę panny Eddowes i list — specjalnie napisany z błędami:

Z piekła, panie Lusk, sir, przesyłam panu połowę nerki, którą usunąłem pewnej kobiecie, przechowałem ją dla pana, a resztę usmażyłem i zjadłem. Była bardzo delikatna. Mogę panu posłać zakrwawiony nóż, którym ją wyciachałem, jeśli pan tylko jeszcze trocha poczeka. Złap mnie, jeśli umiesz, panie Lusk.

Chciał się podpisać „Z wyrazami szacunku, Kuba Rozpruwacz”, „Szybkonogi Kuba” albo może „Skórzany Fartuch” czy też innym przyjemnym podpisem, ale powstrzymało go wycucie stylu. Jeśli się za bardzo zagalopuje, nadmierna pewność siebie może zniweczyć jego plany. Może nawet już posunął się za daleko, sugerując panu Łuskowi, że zjadł nerkę. Co za ohyda. Po prawdzie, tylko ją powąchał.

Ta blondynka, ta Juliette z nożem pod poduszką. Była dziewiątą ofiarą. Oparł się o gładką stalową ścianę bez rys czy pęknięć i przetarł oczy. Kiedy będzie mógł przestać? I kiedy go zrozumieją, kiedy dotrze do nich jego wiadomość, przesłanie tak cenne, bo spisane krwią. Nie pojmowali jego uczynków, gdyż oślepiła ich własna chciwość! Czy będzie zmuszony zdziesiątkować nieskończone pułki dziwek ze Spitalfields, żeby go zrozumieli? Czy będzie zmuszony unurzać bruk po kostki w czarnej krwi, zanim pojmą, co do nich mówi i wreszcie przeprowadzą reformy?

Kiedy jednak zdjął z oczu lepkie od krwi dłonie, zdał sobie sprawę z tego, co praktycznie przeczuwał od samego początku: nie był już w Whitechapel. Ulica nie wyglądała na Miller's Court ani na żadną inną w Spitalfields. Może nawet nie znajdował się w Londynie. Ale... jak to możliwe?

Czy to Bóg go zabrał?

Czy Kuba umarł, podczas chwili nieświadomości między lekcją anatomii Mary Jane Kelly (tej dziwki, która go nawet pocałowała!) i sypialnianym wypatroszeniem Juliette? Czy Niebo w końcu go do siebie przywołało w nagrodę za pracę, jaką wykonał?

Wielebny Barnett chciałby o tym wiedzieć. Tyle że on chciałby wiedzieć o wszystkim! A misja „Skórzanego Fartucha” musi pozostać tajemnicą. Niech reformy nadejdą, tak jak pragnęli Wielebny i jego żona... I niech oboje sądzą, że owe reformy wywołały pisane przez nich pamflety, nie zaś skalpel Kuby.

Skoro nie żył, czy jego praca została ukończona? Uśmiechnął się do siebie. Jeśli Niebo go zabrało, na pewno była ukończona. Zwieńczona powodzeniem. Skoro jednak tak się stało, kim w takim razie była Juliette, która w kałuży krwi leżała teraz wypatroszona i stygnąca w sypialni z tysiącem luster? Wraz z tą myślą Kubę ogarnął strach.

Może nawet Bóg źle zinterpretował jego czyny?!

Podobnie jak źle zinterpretował je dobry lud Londynu królowej Wiktorii oraz Sir Charles Warren. Może Bóg uwierzył w to, co powierzchowne i zignorował prawdziwe pobudki Kuby?! Ale nie! To byłby absurd. Jeśli ktoś rozumiał Kubę, to właśnie dobry Bóg, który posłał mu wiadomość z potwierdzeniem, iż Kuba zrobił dobrze.

Bóg go kochał, tak jak on kochał Boga i Bóg o tym wiedział.

Tym niemniej, Kuba wciąż odczuwał strach.

Ponieważ... Kim była dziewczyna, którą właśnie zarznął?

— Moją wnuczką Juliette — odparł mu natychmiast czyjś głos obok niego.

Kuba nie miał siły ruszyć głową, mimo że wystarczyłoby odwrócić ją o kilka cali, by zobaczyć kto do niego przemówił. Czarna torba stała przy nim na równej i połyskliwej powierzchni ulicy. Czuł, że może nie zdążyć wydobyć noża przed atakiem. Czyli że wreszcie go dopadli. Zatrząsł się i przez chwilę nie był w stanie pohamować drżenia.

— Nie lękaj się, nie jestem twoim wrogiem — oznajmił głos. Był ciepły i kojący. Należał najprawdopodobniej do starszego człowieka. Kuba zatrząsł się niczym w febrze. Zdołał się jednakże odwrócić i spojrzeć. Miał przed sobą dobrotliwego starca o łagodnym uśmiechu. Starzec znowu przemówił, nie poruszając wargami: — Nikt cię nie skrzywdzi. Jak się miewasz?

Przybysz z roku 1888 opadł powoli na kolana.

— Wybacz mi, dobry Boże, nie wiedziałem. — W swojej głowie usłyszał śmiech starca. Śmiech wzniósł się niczym promień światła słonecznego przechodzącego przez aleję Whitechapel, od południa do godziny trzynastej, wstającego i oświetlającego szare cegły pokrytych sadzą ścian. Ten śmiech rósł i rozświeślał umysł Kuby.

— Nie jestem Bogiem. Cudowny pomysł, ale niestety nim nie jestem. Chciałbyś spotkać Boga? Jestem pewien, że bez problemu znajdziemy artystę, który wyrzeźbi dla ciebie jakiegoś boga. Czy to ważne? Nie, widzę, że nie. Masz bardzo niezwykły umysł. Nie wierzysz, ani nie wątpisz. Zastanawiające, w jaki sposób godzisz ze sobą oba te przekonania równocześnie... Chciałbyś, żebym ci poprawił niektóre twoje zwoje mózgowie? Nie, widzę, że i tego się boisz. Dobrze, chwilowo niech tak zostanie. Zrobimy to innym razem.

Chwytał go, podniósł z klęczek i postawił prosto.

— Jesteś zachlapany krwią. Musimy cię oczyścić. W pobliżu jest sanitariat. Nawiasem mówiąc, zrobiła na mnie ogromne wrażenie sprawność, z jaką sobie poradziłeś z Juliette. Jesteś pierwszy, wiesz? Jasne że nie, skąd miałbyś wiedzieć... W każdym razie, naprawdę jako pierwszy poradziłeś sobie z nią tak dobrze, jak ona radziła sobie z innymi. Ubawisz się, gdy ci opowiem, co zrobiła Kasparowi Hauserowi. Wykroiła mu fragment mózgu, a później odesłała nieszczęśnika z powrotem, pozwalając mu trochę pożyć w swoich czasach, aż wreszcie... ta mała dziwka... kazała mi go przyprowadzić do siebie powtórnie i wtedy potraktowała go nożem na serio. Tym samym, który zabrałeś, jak sądzę. Ciało znowu odesłaliśmy w przeszłość, w czasy Hausera. Wspaniała tajemnica. We wszystkich aktach figuruje jako sprawa nie rozwiązana... A wiesz? Juliette była od ciebie znacznie bardziej niechlujna. Potrafiła się zabawiać z ogromną werwą, ale cechowała się niewielką elegancją. Z wyjątkiem sędziego Cratera, wtedy była... — Przerwał i lekko się roześmiał. — Jestem starym człowiekiem i bełkoczę bez składu i ładu niczym pijak. Na pewno chcesz się doprowadzić do porządku i rozejrzeć. Możemy porozmawiać później... Pragnąłem ci tylko powiedzieć, iż satysfakcjonuje mnie to, co zrobiłeś Juliette. Chociaż będę trochę tęsknił za tą małą dziewczynką. Była świetną rurą.

Starzec podniósł torbę Kuby i — podtrzymując jej obryzganego krwią właściciela — ruszył czystą i migoczącą ulicą.

— Chciałeś, żeby ktoś ją zabił?! — spytał niedowierzającym tonem mężczyzna z 1888 roku.

Stary pokiwał głową, lecz nie poruszył wargami.

— Jasne. W przeciwnym razie, po cóż sprowadzałbym Kubę Rozpruwacza?

„Och, mój Boże — pomyślał przybysz. — Jestem w piekle. I wszedłem do niego jako Kuba Rozpruwacz”.

— Nie, mój chłopcze, nie i po trzykroć nie. Wcale nie jesteś w piekle. Trafiłeś do przyszłości. Dla ciebie to przyszłość, dla mnie zaś teraźniejszość. Przybyłeś z roku 1888, a teraz znajdujesz się w... — Umilkł i przez chwilę milcząco poruszał ustami, jakby licząc coś w myślach. — W roku 3077 — dodał w końcu. — To wspaniały świat, w którym przeżywamy mnóstwo szczęśliwych chwil. Cieszymy się, że jesteś tu z nami. Teraz chodź, umyjesz się.

* * *

W łaźni dziadek nieżyjącej Juliette zmienił głowę.

— Naprawdę gardzę tym — poinformował przybysza z roku 1888, łapiąc w palce własne policzki i rozciągając sflaczałą skórę jak gumę — jednak Juliette nalegała. Spełniałem jej zachcianki, jeśli tylko dzięki temu mogłem ją zaciągnąć do łóżka. Lecz te jej zabawki z przeszłości, a szczególnie ciągle zmiany głowy za każdym razem, kiedy chciałem, by mnie pieprzyła... Jednym słowem, to wszystko stawało się męczące, cholernie męczące.

Wszedł do jednej z wielu identycznie ukształtowanych kabin w ścianie. Zsuwane drzwi opuściły się i przez chwilę rozlegało się ciche syczenie, przypominające odgłos chrząszcza o chitynowych skrzydłach, a gdy drzwi się podniosły, wyszedł dziadek Juliette, teraz sześć lat młodszy od mężczyzny z roku 1888. Był zupełnie nagi i miał nową głowę.

— Ciało jest w świetnym stanie, wymieniłem je w ubiegłym roku — oświadczył, badając sobie genitalia i pieprzyk na prawym ramieniu.

Mężczyzna z roku 1888 odwrócił wzrok. Tak, bez wątpienia był w piekle i Bóg go nienawidził.

— No, Kuba, nie stój jak słup. — Dziadek Juliette uśmiechnął się do niego. — Wejdz do którejs z kabin i obmyj się.

— Nie mam na imię Kuba — obruszył się cicho przybysz, jakby został smagnięty.

— W porządku, w porządku... teraz idź się umyć.

Kuba podszedł do jednej z kabin. Była jasnozielona, lecz jej kolor zmienił się na jasnofioletowy, gdy się przed nią zatrzymał.

— Czy to będzie...?

— Tylko się oczyścisz. Czego się boisz?

— Nie chcę się zmienić jak ty.

Dziadek Juliette z trudem powstrzymał uśmiech.

— To błąd — odparł jedynie tajemniczo. Zrobił nie znoszący sprzeciwu ruch ręką i mężczyzna z roku 1888 wszedł do kabiny, która natychmiast się obróciła, zapadła w podłogę i wydała głośny syk. Kiedy się podniosła, obróciła i otworzyła, Kuba wyszedł. Potykał się i wyglądał na strasznie zmieszanego. Jego długie bacz — ki zostały starannie przycięte, szczecina na brodzie — usunięta, włosy zaś były obecnie o trzy odcienie jaśniejsze i rozdzielone na lewo, zamiast pośrodku. Ciągle nosił ten sam długi, ciemny płaszcz wykończony karakułowym kołnierzem, ciemną marynarkę, białą koszulę i czarny krawat (w którym tkwiła spinka w kształcie podkowy), teraz jednak strój wydawał się nowy, oczyszczony z brudu i ziemi, a może rzeczywiście był nowy — z jakiegoś syntetyku, który tylko przypominał stare ubranie Kubby.

— No! — mruknął dziadek Juliette. — Czy tak nie jest dużo lepiej? Oczyszczając ciało, zawsze oczyszczamy też umysł. — Wszedł do drugiej kabiny, z której wyszedł w chwilę później w elastycznym dopasowanym od szyi do stóp i bez widocznych szwów kombinezonie, po czym ruszył ku drzwiom.

— Dokąd idziemy? — spytał starego przybysz z roku 1888.

— Chcę, abyś kogoś poznał — odparł dziadek Juliette i Kuba zdał sobie sprawę, że tym razem bez wątpienia poruszał ustami. Kuba postanowił nie komentować tej zmiany. Musiał istnieć ku niej powód.

— Zabiorę cię tam, jeśli obiecasz, że na ulicy nie będziesz z siebie wydawał odgłosów zachwytu. Miasto jest rzeczywiście ładne, ale sam mieszkam w nim na tyle długo, że nie robi już na mnie wrażenia, a tak w ogóle to szczerze mówiąc, turystyka mnie nudzi. — Jego towarzysz nie odpowiedział, a dziadek uznał milczenie za akceptację warunków.

Szli. Kubę obezwładniła przemożna moc miasta. Było chyba niewyobrażalnie ogromne, solidne i niesamowicie czyste. Przypominało sen Kubby o idealnym Whitechapel. Spełniony sen. Kuba spytał o

slumsy, o noclegowni... Dziadek potrząsnął głową.

— Od dawna nie istnieją — wyjaśnił.

Więc jednak! Ktoś przeprowadził reformy, dla których Kuba poświęcił swą nieśmiertelną duszę. Machając czarną torbą, szedł raźnie dalej. Jednak po kilku minutach jego krok ponownie osłabł. Na ulicach bowiem nie było nikogo!

Tylko lśniące, nieskazitelnie czyste budynki i ulice, które bieły w pozbawionych celu kierunkach lub nieoczekiwanie się kończyły, jakby budowniczo wie zdecydowali, że ludzie potrafią zniknąć w jednym miejscu i pojawić się ponownie w innym, a skoro tak, po co mieli się męczyć konstruowaniem drogi z jednego punktu do drugiego.

Podłoże było metalowe, niebo również wyglądało metalicznie, wszędzie wokół czaiły się niebotycznie wysokie budynki — pozbawione wyrazu eksploracje dokonane na zaplanowanej przestrzeni jakby przez nieczuły mechanizm. Mężczyzna z 1888 roku poczuł się straszliwie osamotniony, jakby każdy popełniony uczynek prowadził go nieuchronnie do alienacji wobec tych samych ludzi, którym pragnął pomóc.

Kiedyś, gdy przybył do Toynbee Hali i Wielebny Barnett otworzył mu oczy na sprawę wstrętnych dziwek ze Spitalfields, Kuba przyrzekł pomoc na wszelkie możliwe sposoby. Po kilku tygodniach spędzonych wśród ścieków Whitechapel sprawa wydawała się równie prosta jak wiara w Pana... Dziwki? Na cóż komu dziwki? Nie były potrzebne bardziej niż chorobowe zarazki, które je zatruwały. Dlatego przybrał imię Rozpruwacza, po czym wyruszył, by wypełnić wolę Boga i zająć się nieszczęsnymi mętami, które zamieszkiwały londyński East End. Lord Warren, komisarz Metropolitan Police, a także Królowa i wszyscy inni uważali go za szalonego lekarza, wściekłego rzeźnika lub bestię w ludzkiej postaci, lecz te opinie nie sprawiały mu wcale przykrości. Wiedział, że pozostanie anonimowy do końca, aż jego dobre uczynki osiągną zamierzony efekt.

Cele miał dwa: zniszczyć najohydniejszą dzielnicę dziwek, jaką ten kraj kiedykolwiek widział i otworzyć oczy ludziom epoki. Minęło sporo czasu, a teraz... był tutaj, w świecie, gdzie dziwki najwyraźniej nie istniały, w sterylnej Utopii, stanowiącej ucieleśnienie marzeń Wielebnego Barnetta. A jednak ten świat nie wydawał się Kubie... właściwy.

Ten jego towarzysz — dziadek o głowie i ciele młodzieńca.

Przeraźliwa cisza panująca na pustych ulicach.

Dziewczyna imieniem Juliette i jej osobliwe hobby.

Dziadek, który nie przejmuje się śmiercią wnuczki.

Dziadek, który wręcz oczekiwał, że on, Kuba, ją zabije. No a teraz był do niego nastawiony przyjaźnie.

Dokąd szli?

[Wokół nich — miasto. Podczas spaceru dziadek nie rozglądał się na boki, Kuba zaś obserwował wszystko z uwagą, lecz niewiele rozumiał z tego, co widział. A co widział?

[Tysiąc trzysta promieni światła, szerokich na stopę i gęstych na siedem molekuł. Wybuchały z prawie niewidocznych szczelin w metalowych ulicach, rozchodziły się półkuliście i obmywały fronty budynków. Zmieniły odcień do niewyraźnego błękitu i zabarwiały nim tafle domów. Pokryły wszystkie otwarte przestrzenie i pochylały je pod odpowiednim kątem, a potem jeszcze bardziej i jeszcze, niczym papierowe figurki *origami*. Potem zmieniły odcień po raz wtóry, tym razem na stonowane złoto i przeniknęły ściany budowli, rozszerzając się i kurcząc w potężnych falach, obmywając nawet powierzchnie wewnętrzne. W końcu wycofały się prędko w chodniki. Cały proces zajął góra dwanaście sekund.

[A jednak noc wreszcie zapadła nad niewielkim kwartałem miasta. Opadła w gęstej niby —

mgle, która sięgała tylko do rogów ulic. Z wnętrza ciemności dochodziły rozmaite dźwięki: cykanie świerszczy, kumkanie bagiennych żab, trele nocnych ptaków, szum wietrzyku w gałęziach drzew i cicha muzyka niezidentyfikowanych instrumentów.

[Tafle matowego światła wydawały się zawieszane swobodnie w powietrzu, nad głową Kuby. Nagle coś drżącego, niemal niematerialnego zaczęło atakować tafle przed najwyższymi piętrami jednego z wielkich budynków. Kiedy tafle opadły powoli w powietrzu, budynek stał się mniej wyraźny, rozbił się na drobinki światła i uniósł w górę. A gdy tafle sięgnęły chodnika, budynek zupełnie się zdematerializował. Tafle zmieniły kolor do głębokiego oranżu i ruszyły ponownie w górę. Kiedy się podnosiły, na miejscu starego budynku zaczęła się formować nowa konstrukcja, wyciągając — takie przynajmniej wrażenie odniósł Kuba — drobinki światła z powietrza i formując je w spójną całość, która utworzyła (gdy tafle się zatrzymały) nową budowlę. Z pustki wyłoniły się nowe tafle świetlne.

[Przez wiele sekund słychać było brzęczenie trzmiela. Potem ucichło.

[Z szarej pulsującej dziury w powietrzu wyszedł pospiesznie tłum ludzi w gumowych strojach. Ich stopy stukotały na chodniku, aż idący szybko zniknęli za rogiem, skąd jeszcze przez chwilę dochodził cichnący odgłos. Następnie znów zaległa grobowa cisza.

[Kropła wody, gęsta jak rtęć, spadła na chodnik, uderzyła weń, odskoczyła, podnosząc się na parę cali, po czym ułożyła się w karmazynową smugę w kształcie zęba wieloryba. Smuga opadła na chodnik i znieruchomiła.

[Dwa kwartały budynków wtopiły się w chodnik, a metalowa warstwa pozostała gładka i nie popękana. Rosło na niej jedynie metaliczne drzewo o pniu srebrnym i smukłym, zwieńczonym kulą listowia, skonstruowaną ze złotych włókien, rozchodzących się świetliście w idealnym kręgu. Wciąż panowała kompletna cisza.

[Dziadek nieżyjącej Juliette i mężczyzna z 1888 roku kontynuowali spacer.]

— Dokąd idziemy?

— Do pani Van Cleef. Zazwyczaj w ogóle nie chodzimy. Och, no może czasami... Ale chodzenie nie sprawia nam już tak wielkiej przyjemności jak kiedyś. Robię to głównie dla ciebie. Podoba ci się tu?

— Hmm... Wszystko wokół... jest niezwykle.

— Nie przypomina Spitalfields, co? Lubię odwiedzać tamto miejsce w twoich czasach. Wiesz, że posiadam jedyne Podróżnika? Jedyne, jakiego kiedykolwiek skonstruowano. To dzieło ojca Juliette, czyli mojego syna. By zdobyć urządzenie, musiałem go zabić. Wierz mi, że postępował z nim kompletnie niedorzecznie. Traktował je niedbale. Był ostatnim z wynalazców i równie dobrze mógł mi je po prostu dać. Przypuszczam jednak, że miał lekkiego bzika i nie rozstałby się z nim dobrowolnie. Z tego samego powodu musiałem pozbyć się mojej wnuczki i dlatego sprowadziłem ciebie. W każdej chwili mogłaby mnie zabić. Była taka znudzona, głupio znudzona wszystkim...

W powietrzu przed nimi pojawiła się duża gardenia, która po chwili przybrała kształt kobiecej twarzy, okolonej długimi białymi włosami.

— Hernonie, nie możemy dłużej czekać! — Kobieta była wyraźnie poirytowana.

Dziadek Juliette też się zdenerwował.

— Cholerna suko! Kazałem ci chodzić! Ale nie, ty po prostu nie możesz, prawda? Skaczesz i skaczesz, nic innego chyba nie potrafisz. No cóż, będziesz musiała zwolnić i tyle. Dostosuj się, niech cię diabli! Wymyśliłem chodzenie, wypracowałem je, a ty...!

Podniósł rękę ku „kwiatowej” twarzy i natychmiast wyrosła mil z dłoni ścieżka z mchu. Twarz znikła, a w chwilę później, kilka stóp dalej, ponownie pojawiła się gardenia. Mech usechł i Hernon,

dziadek Juliette, opuścił rękę, jakby zmęczony głupotą swojej rozmówczyni. Obok gardenii pojawiły się teraz róża, lilia wodna, hiacynt, para floksów, dziki glistnik jaskółcze ziele i kwiat ostrożnia. Gdy każdy przybrał twarz jakiejś osoby, Kuba cofnął się o krok, przerażony.

Wszystkie twarze obróciły się ku tej, która początkowo była ostrożniem.

— Ty oszuście! Zgniły draniu! — krzyczały na szczupłą białą twarz.

Oczy kobiety–gardenii wybrzuszyły się, jej gałki oczne otoczył intensywnie purpurowy cień do powiek, nadając jej wygląd obłąkanego drapieżcy wypatrującego z jaskini potencjalnej ofiary.

— Gnojek! — krzyknęła na mężczyznę — ostrożnia. — Przecież ustaliliśmy. Wszyscy się zgodziliśmy, wszyscy! A ty musiałeś przybrać postać wielkiego ostu, co, dupku?! No to teraz zobaczysz... — Zwróciła się do pozostałych: — Zmieńmy formę! Do cholery z czekaniem, do diabła z chodzeniem! No dalej!

— Nie, niech to szlag! — krzyknął Hernon. — Mieliśmy chodzić! — Niestety, było już za późno. Powietrze wokół mężczyzny — ostrożnia zmaciło się i zageściło niczym muł na dnie rzeki, a później poczerniało, przybierając formę spirali, która trafiła w przerażonego teraz nieszczęśnika, po czym wybuchła i rozprzestrzeniła się na wszystkie strony, okrywając Kubę i Hernona, a także ludzi — kwiaty i całe miasto. I nagle stała się noc w Spitalfields, a przybysz z wiktoriańskiego Londynu znalazł się z powrotem w roku 1888. W rękę trzymał swoją czarną torbę, a ku niemu szła jakaś kobieta, skryta pod całunem londyńskiej mgły.

(W mózgu Kuby pojawiło się osiem dodatkowych guzków.)

Kobieta miała około czterdziestki, wyglądała na znużoną i niezbyt czystą. Nosila ciemną suknię z szorstkiego materiału, która sięgała jej aż do butów. Ponad spódnicą zawiązała poplamiony i pognieciony fartuch. Bufiaste rękawy kończyły się na wysokości nadgarstków, a kołnierzyk sukienki był ściśle zapięty pod szyją. Nad kołnierzykiem, na szyi kobieta zawiązała chustkę, a na głowę nałożyła kapelusz w kształcie panamy o szerokim rondzie i z podniesionym denkiem. W taśmie kapelusza tkwił żaloszny mały kwiat trudnego do określenia gatunku. Kobieta dzierżyła w dłoni dość sporą, ozdobioną paciorkami torebkę z krótkimi rączkami.

Zwolniła na widok Kuby, który krył się w głębokim cieniu. Właściwie, to raczej go wyczuła, niż zobaczyła.

Wyszedł więc i lekko się pokłonił.

— Piękny wieczór, miła pani. Może wypijemy po dużym piwie?

Jej rysy — zmienione przez niedolę, jaką znają jedynie kobiety, których ciało zaznało kontaktu z niezliczoną ilością mężczyzn — natychmiast się wygładziły.

— Uff, sir, aleś mnie wystraszył. Myślałam już, żeś sam stary Skórzany Fartuch. Na Boga, po prostu mnie przeraziłeś. — Próbowwała się uśmiechnąć, lecz wyszedł z tego grymas. Na policzkach miała jaśniejsze miejsca — plamy od ospy i zbyt dużej ilości dzinu. Jej głos był chropowaty i przywodził na myśl piłę, która nadaje się już tylko na śmietnik.

— Jestem prawnikiem, któregoś pani przyłapała na samotnym spacerze — zapewnił ją. — Chcę ci postawić, ładna damo, podwójnego portera w zamian za kilka godzin towarzysztwa.

Podeszła do niego i otoczyła go ramionami.

— Emily Mathewes, sir. Chętnie z tobą pójdę. Noc jest przerażająco zimna, a jako że grasuje Szczwany Kuba, takie kobitki jak ja nie są bezpieczne.

Odeszli w dół Thrawl Street. Mijali noclegownie. Kobieta zamierzała wrócić tu później, jeśli zdoła wyciągnąć kilka miedziaków od tego ciemnookiego, starannie ubranego nieznanego.

Kuba skręcił w prawo, na Commercial Street, a później w śmierdzącą aleję niemal równoległą do Flower & Dean Street. Nagle ostro pchnął w bok swoją towarzyszkę. Kobieta weszła głębiej w

aleję, a ponieważ sądziła, że mężczyzna ma zamiar wsunąć jej chutliwą dłoń pod halkę, oparła się o ścianę, rozchyliła nogi i zaczęła unosić spódnice. Jednakże w tym samym momencie Kuba chwycił chustkę na jej szyi, okręcił materiał w palcach i zaczął dusić ofiarę, pozbawiając ją tchu. Policzki Emily wydeły się, a w kapryśnym świetle z gazowej lampy ulicznej Kuba dostrzegł, że jej oczy momentalnie zmieniły kolor z orzechowych na brązowy odcień zeschniętych liści. Wyraz twarzy kobiety sugerował oczywiście przerażenie, choć zabarwione straszliwym smutkiem — z powodu utraty obiecanego dużego piwa i snu w noclegowni oraz z powodu zwyczajnego pecha. Dlaczego musiała spotkać akurat człowieka, który tak źle ją potraktował? Emily Matthews czuła okropny smutek z powodu nieuchronności losu...

Przyszedłem do ciebie z nocy.

To noc mnie wysłała,

akurat w tej chwili twojego żywota.

Od tej pory ludzie będą się zastanawiać,

co się wtedy zdarzyło.

Będą się milcząco pragnęli cofnąć,

powrócić wraz ze mną do minut,

które spędziłem z tobą,

zobaczyć moją twarz i poznać moje imię.

A może nie. Nawet nie próbuj mnie zatrzymać,

ponieważ wtedy przestanę być tym, kim jestem,

a będę jedynie kimś, kto próbował

i mu nie wyszło. Ach.

Dla mnie i dla ciebie zdarzenia stają się historią,

która zawsze będzie kusić mężczyzn;

lecz oni nigdy nie rozumieją, Emily, po co

cierpieliśmy oboje; oni nigdy naprawdę

nie rozumieją, dlaczego każde z nas

umarło tak strasznie.

Bielmo przesłoniło jej oczy. A kiedy kobieta zaczęła rzeźnić błagalnie i drżąco, Kuba wsunął wolną rękę do kieszeni płaszcza. Wiedział wcześniej, że będzie potrzebował skalpela, więc podczas wędrówki przełożył go tam z czarnej torby. Teraz zatem wsunął dłoń do kieszeni i go wy dobył.

— Emily... — powiedział cicho.

A później ją pocałował.

Dokładnie wymierzył, kierując czubek skalpela w miękkie ciało za i pod jej lewym uchem. *Sternocleidomastoideus*. Rozległo się ciche chrupnięcie pękającej Chrzastki. Kuba chwycił mocniej skalpel, obrócił go i podciął kobiecie gardło wzdłuż twardej dolnej szczęki. *Glandula submandibularis*. Przez palce przeciekła mu jej krew. Początkowo gęsta, płynęła powoli, aż nagle trysnęła, bryzgając obok zabójcy i trafiając w ścianę. Pobrudziła mu rękawy, zmoczyła białe mankiety. Emily zacharczała po raz ostatni i osłabła w jego uchwycie. Jego palce pozostały wplecione w jej chustkę; dostrzegł ciemne otarcia tam, gdzie zadrapał ciało. Nadal ciął, w górę, obok punktu, w którym kończyła się szczeka, aż wbił się w płatek ucha. W końcu opuścił zwłoki na brudny chodnik. Kobieta upadła i leżała nieco krzywo, więc ją wyprostował. Potem rozciął jej ubranie. Jej nagi brzuch błyszczał w bladym i migotliwym świetle gazowej lampy ulicznej; brzuch był wydęty. Kuba zaczął pierwsze cięcie we wgłębieniu pod jej gardłem. *Glandula thyreoidea*.

Rękę miał pewną, gdy ciał w dół, tworząc cienką czarną linię krwi. W dół i w dół... Między piersiami... Mostek... W dół, w dół, głęboko, aż do pępka. Wtedy wyciekło coś niezdecydowanie żółtego... *Plica umbilicalis media*. W dół, w dół... ponad krągłym garbem brzucha. Wcisnął nóż głębiej, choć czasem cofał go dla dokładniejszego nacięcia. *Mesenterium dorsale commune*. W dół, w dół, do spoconej, porośniętej splątanych włosów krągłości jej płci. Tu powierzchnia stwardniała. *Vesica urinana*. I w końcu aż do pochwy.

Pochwa, czyli brudna dziura.

Wstrętny, cuchnący krwawoczerwony dół żądz; mokra dziura dziwek.

A w jego głowie — sukkuby. A w jego głowie — czyjeś bacznie obserwujące oczy. A w jego głowie — umysły oddziałujące na jego umysł. A w jego głowie — ich podniecenie.

Ich, czyli:

Gardenii

wodnej lili

róży

hiacyncu

pary floksów

dzikiego glistnika jaskólcze ziele

i tajemniczego kwiatu z obsydianowymi płatkami, onyksowym pręcikiem, antracytowymi słupkami i umysłem Hernona, który był dziadkiem nieżyjącej Juliette.

Obserwowali całą tę odrażającą i szaloną lekcję anatomii. Obserwowali, jak Kuba przymyka ofierze powieki, usuwa jej serce, wycina jajowody. Obserwowali, jak ścisną przepelnioną dżinem nerkę... aż pękła. I jak wycina fragmenty piersi, aż stały się jedynie bezkształtnymi ochłapami krwawego mięsa, a później umieszcza je na oczach — jeden ochłap na każdym oku o zamkniętej powiece, które znowu wyglądało, jakby patrzyło, szeroko otwarte... Obserwowali!

Obserwowali go i pili z głębokiego, zmętniałego rozlewiska jego zwichrowanego umysłu. Wsypali się głęboko w wilgotną, drżącą istotę jego *id*. I rozkoszowali się.

— **Och, Boże, jakież to zachwycający widok! Albo rzuć okiem na to... Wygląda, jak niedojedzona skórka pizzy... albo zerknij tylko na to... Wygląda, jak *lumaconi*... O, Boże, zastanawiam się, jakby smakowała!**

— Zobacz, jaka gładka stal.

— **Nienawidzi ich wszystkich, wszystkich co do jednej... Majaczy mu się coś o dziewczynie, o chorobie wenerycznej. Boi się swego Boga, Chryste, Wielebny Barnett, on... on pragnie pieprzyć żonę Wielebnego!**

— Do społecznych reform może doprowadzić jedynie wspólny wysiłek nielicznych osób oddanych sprawie. Społeczne reformy stanowią zwieńczenie ich trudnej misji, ostatni etap działań, proces dziejowo usprawiedliwiony, choć etycznie niełatwy do akceptacji, ponieważ wymaga przyzwolenia na zdziesiątkowanie ponad pięćdziesięciu procent populacji, której posłużą reformy... Najlepsi społeczni reformatorzy to ci najśmielsi. On w to wierzy! Jak rozkosznie!

— **Wy, stado wampirów, wy, brudasy, wy, szumowiny, wy...**

— Wyczuł nas!

— **Niech go diabli! Niech cię diabli, Hernonie, wciągnąłeś nas zbyt głęboko, on wie, że tu jesteśmy... Ależ odrażające! Jaki to teraz ma sens? Wycofuję się!**

— Wróć, dokończ przekształcenie.

...spadli z powrotem w spirali, która ponownie skupiała się w sobie. Ciemność nocy z roku 1888 cofnęła się. Spirala wciągała się i wciągała, aż zamknęła się w najbardziej elementarnym punkcie przestrzeni, po czym się zwęgliła, czerniąc twarz mężczyzny, który był wcześniej kwiatem ostroźnia. Mężczyzna okazał się martwy. Miał wypalone oczodoły. Jeszcze niedawno jego oczy błyszczały żywą inteligencją, teraz pozostały z niego jedynie zwęglone szczątki. Najwyraźniej mężczyzny — ostroźnia użyto jako fokusu. Kuba natychmiast się ocknął, miał w głowie pełne i ejdetyczne wspomnienie tego, czego właśnie doświadczył. Nie była to ani wizja, ani sen, ani złudzenie, czy jakkolwiek inny wytwór jego umysłu. To wszystko naprawdę się odbyło! Wysłali go z powrotem do roku 1888, wymazali w nim pamięć o przyszłości, spotkaniu z Juliette i innych zdarzeniach, które nastąpiły po odejściu z Miller's Court numer 13. Wysłali go z powrotem i znaleźli dla niego zadanie, wypełniając które zabawiał ich, podczas gdy oni wysysali jego uczucia, emocje i nieświadome myśli; żerowali na nim, objadając się jego najbardziej sekretnymi doznaniem. Zresztą, z posiadania większości tych doznań aż do momentu tego dziwnego sprzężenia zwrotnego nawet nie zdawał sobie sprawy. Kiedy jego umysł spadł z jednego objawienia w następne, Kuba poczuł narastające mdłości. Przy jednym z nowych pojęć jego umysł starał się zahamować i wciągnął go w ciemność, zamiast stawić temu pojęciu czoła. Tyle że teraz wszelkie bariery zniknęły. Ludzie z miasta stworzyli nowe wzorce i Kuba potrafił dzięki nim wszystko zinterpretować, wszystko zapamiętać... „Śmierdząca seksualna dziura! Dziwki! Dziwki muszą umrzeć!”. Nie, Kuba wcale nie myślał w taki sposób o kobietach, przynajmniej nie o wszystkich kobietach, niezależnie od tego, jak bardzo były wulgarne czy prostackie. Był dżentelmenem i wiedział, że kobiety trzeba szanować. „Zaraziła go tryprem. Pamięta o tym”. Czuł wtedy wstyd i nieskończony strach, aż poszedł w końcu do swego ojca lekarza i przyznał się. Przypominał sobie minę ojca. Tak, pamiętał wszystko. Ojciec potraktował go w ten sam sposób, w jaki traktował ofiary zarazy. Nigdy już nie było między nimi tak samo jak przedtem. Badał go przez rękawiczki. „Społeczne reformy, cha cha cha cha”. Wszystko to złudzenie. Kuba był szarlatanem, klaunem... i gorzej. Zarznął coś, w co nawet nie wierzył. Zostawili jego umysł szeroko otwarty i jego myśli błądziły... a potem pędziły dalej i dalej... ku myśli o...

WYBUCH! W! JEGO! UMYŚLE!

Upadł twarzą do przodu na równy i wypolerowany metalowy chodnik, ale jakimś cudem go nie dotknął. Coś powstrzymało jego upadek i Kuba zawisł nad powierzchnią, zgięty w pasie niczym zabawna marionetka Punch pozbawiona sznurków lub pomocy stojących nad nią animatorów. Zapachniało czymś niewidocznym i Kuba na moment, jeszcze zanim tamci go opuścili, odzyskał pełną kontrolę nad swoimi zmysłami. Jego umysł był zmuszony na to patrzeć:

„On pragnie pieprzyć żonę Wielebnego Barnetta”.

Henrietta i jej pobożna petycja do królowej Wiktorii: „Madame, my, kobiety ze wschodniego Londynu, czujemy odrazę z powodu straszliwych grzechów, które zostały ostatnio popełnione w naszym otoczeniu...” Prosiła w niej o szybkie pojmanie jego, Kuby, w absolutnej niewiedzy, że ten, którego zguby żądała, rezyduje tak blisko niej i Wielebnego w Toynbee Hall. Myśl ta została wyłożona równie nago, jak nagie było ciało Henrietty w sekretnych snach, których Kuba nigdy nie pamiętał po przebudzeniu. A teraz zostawili mu „otwarte drzwi”, bezgraniczne horyzonty... i Kuba zobaczył siebie takim, jakim był naprawdę.

A był psychopatą, rzeźnikiem, lubieżnikiem, hipokrytą, klaunem.

— Zrobiliście mi to! Dlaczego mi to zrobiliście? Gorączka skrywała jego słowa. Kwiaty — twarze okazały się nieugiętymi hedonistami, którzy bez cienia litości zabrali go z powrotem do roku 1888, w podróży ku nieświadomej rzezi. Van Cleef, czyli kobieta — gardenia, zadrwiła:

— I po cóż tyle główkujesz, śmieszny kmiotku? (Czy „kmiotek” to nie prawdziwy kolokwializm, Hernonie? Jestem taka niepewna, gdy chodzi o dialekty.) Kiedy skończyłeś z Juliette, Her — non chciał cię odesłać z powrotem. Ale dlaczego miałby to zrobić? Był nam dłużny przynajmniej trzy przekształcenia, a ty uczyniłeś dobre przejście dla jednego z nich.

Kuba krzyczał na nich, aż struny głosowe odmówiły mu posłuszeństwa:

— Czy to było konieczne?! Ta ostatnia kobieta?! Czyjej śmierć jakoś przyczyni się do przyspieszenia moich reform... Czy tak?

Hernon roześmiał się.

— Oczywiście, że nie.

Kuba opadł na kolana, a miasto mu na to pozwoliło.

— Och Boże, och Boże wszechmogący, zrobiłem to, co zrobiłem... jestem zbryzgany krwią... i wszystko za nic, nadaremnie...

Cashio, czyli jeden z floksów, wyglądał na zaintrygowanego.

— Dlaczego jego tak niepokoi ta jedna zbrodnia, skoro inne go nie kłopotują?

Wścibski Verlag, który był dzikim glistnikiem jaskółcze ziele, odparł ostro:

— Ależ martwią go wszystkie zbrodnie. Absolutnie wszystkie. Przeskanuj go, a sam zobaczysz.

Oczy Cashia kręciły się przez chwilę po umyśle Kuby, potem się wycofały... Kuba zadrgał niczym rtęć, a gdy wrażenie minęło, mruknął nieobecnie:

— Hmm...

Potem pogmerał przy zatrasku czarnej torby, otworzył ją i wyjął butlę z płodem. Nienarodzone dziecko Mary Jane Kelly z 9 listopada 1888 roku. Trzymał je przed twarzą przez moment, po czym cisnął na metalowy chodnik. Butla się nie rozbiła, lecz znikła ułamek cała ponad czystą, sterylną ulicą miasta.

— Cóż za cudowna obrzydliwość! — nie posiadała się z radości Rosę, która była różą.

— Hernonie — odezwała się Van Cleef — on skupia myśli na tobie. Zaczyna cię o wszystko obwiniać.

Starzec śmiał się (nie poruszając ustami), a Kuba tymczasem wyjął z czarnej torby elektryczny skalpel Juliette i zrobił wypad do przodu. Krzyczał nieco chaotycznie:

— Pokażę wam, jacy jesteście zbrukani! Pokażę wam, że nie możecie mi robić bezkarnie takich rzeczy! Nauczę was! Umrzecie, wszyscy umrzecie! — To właśnie mówił, a jego tekst brzmiał jak jeden długi ryk zemsty, frustracji, nienawiści i ukierunkowanego szaleństwa.

Hernon ciągle się śmiał, gdy Kuba wbił mu w pierś lśniące wąskie ostrze pod prądem. Niemal bez udziału zabójcy ostrze obróciło się o 360 stopni i wycięło idealnie okrągły otwór, którego ścianki zwęgliły się i odpadły, ukazując pulsujące serce i połyskujące wilgocią wewnętrzne organy Hernona. Starzec miał dość czasu, by wrzasnąć z zaskoczenia, zanim otrzymał drugie pchnięcie. Tym razem była to przemyślana szarża Kuby, która wyrwała ofierze serce z piersi. Główna żyła. Aorta. *Arteria pulmonalis. Bronchus principalis.*

Serce wypadło do przodu, a za nim trysnął strumień krwi pod ogromnym ciśnieniem. Krew opryskała Kubę z taką siłą, że zerwała mu kapelusz z głowy, a jego samego na moment oślepiła. Jego twarz stanowiła obecnie ociekający czarno — czerwony kolaż ludzkich rysów i krwi.

Ciało Hernona podążyło za jego sercem i również upadło do przodu, w ramiona Rozpruwacza. Ludzie — kwiaty zaczęli wrzeszczeć, po czym zniknęli, a zwłoki starca wysunęły się z ramion Kuby i zdematerializowały się na sekundę przez opadnięciem na stopy mordercy. Ściany wokół zabójcy znowu były czyste, nieskalane, sterylne, metaliczne, nieczułe.

Kuba stał z zakrwawionym nożem w dłoni na opustoszałej ulicy.

— No! — krzyknął, podnosząc ostrze. — Teraz się zacznij!

Jeśli miasto go słyszało, nijak nie zareagowało na to wyzwanie, lecz:

[Ciśnienie gwałtownie przyspieszyło w łańcuchach czasowych.]

[Fragment lśniącej ściany na budynku oddalonym o osiemdziesiąt mil zmienił się ze srebrnego w rdzawy.]

[W komorach zamrażarki w przygotowany rowek wprowadzono dwieście żelatynowych kapsułek.]

[Synoptyk powiedział coś do siebie cicho, zaakceptował dane i natychmiast skonstruował niepojęty obwód pamięciowy.]

A w błyszczącym wiecznym mieście, gdzie noc zapadała tylko wtedy, gdy mieszkańcy jej potrzebowali i specjalnie się jej domagali...

Zapadła właśnie noc. Bez żadnego ostrzeżenia z wyjątkiem głośno wypowiedzianego: „No!”.

* * *

Po sterylnym, pięknym mieście grasowało stworzenie ze świata brudu i gnijących ciał. W ostatnim ziemskim mieście, mieście na skraju świata, z którego nieliczni ocalali mieszkańcy uczynili doczesny raj... Tam właśnie łowca objął w posiadanie krainę cienia, a ze sztucznego raju uczynił rewir polowań. Prześlizgując się z ciemności w ciemność, wypatrywał ruchu. Wędrował w poszukiwaniu partnerki do swego morderczego tańca.

Pierwszą kobietę znalazł, gdy się nagle zmaterializowała obok małej fontanny, która spłynęła z pustego powietrza i opuściła migoczącą wodę w lazurowy sześcian z niewiadomego materiału. Kuba dopadł do ofiary i zatopił drgające ostrze w jej karku. Potem wyciął jej gałki oczne i włożył w otwarte dłonie.

W jednej z wież wypatrzył drugą kobietę; uprawiała miłość z bardzo starym mężczyzną, który sapał, rzeził i chwycił się kurczowo za serce, podczas gdy młódka zmuszała go do namiętności. Seksem zabijała tamtego, kiedy Kuba zabił ją. Wbił ostrze noża w dolną krągłość jej brzucha, przesywając jej organy seksualne, kiedy dosiadała okrakiem starca. Jej krew i inne lepkie płyny organiczne spłynęły na ciało leżącego na ziemi partnera, który również umarł, ponieważ ostrze Kuby dosięgło przy okazji jego penisa w pochwie kobiety. Młódka upadła do przodu, na starca i Kuba tak ich zostawił — połączonych w ostatecznym miłosnym uścisku.

Później zauważył jakiegoś mężczyznę i udusił go gołymi rękoma, zanim tamten zdążył się zdematerializować. Po chwili rozpoznał go jako jednego z floksów i zrobił mu spore nacięcia na twarzy, do których włożył jego odcięte genitalia.

Kolejną kobietę dorwał, gdy śpiewała grupie dzieci pogodną pieśń o jajkach. Rozciął jej gardło i przeciął struny głosowe, pozwalając, by opadły na pierś ofiary. Jednak dzieci nie tknęły, a te z ciekawością obserwowały jego czyn. Bo Kuba lubił dzieci.

Polował w niekończącej się nocy, kompletując groteskową kolekcję serc, które wyciął jednemu, trojgu, dziewięciorgu... ludziom. A kiedy zebrał tuzin serc, zabrał je i ułożył niczym strzałki na jednym z szerokich bulwarów, których nigdy nie używały pojazdy, gdyż mieszkańcy miasta pojazdów nie potrzebowali.

Co dziwne, miasto nie uprzątnęło serc. A ludzie już przed Kubą nie znikali. Mógł się poruszać ze względną bezkarnością, ukrywając się jedynie wtedy, kiedy widział jakąś większą grupę, która

mogła go szukać. Coś się jednak w mieście działo (Raz usłyszał osobliwy zgrzytliwy dźwięk tarcia metalu o metal i plastiku o plastik. Chociaż nie potrafił zidentyfikować materiału jako plastiku — bo go nie znał — instynktownie ocenił, że słyszy odgłosy jakiejś źle funkcjonującej maszyny.)

Kolejną kobietę znalazł w kąpielni. Związał ją paskami oddartymi z własnego ubrania, a później odciął jej nogi nad kolanami i zostawił siedzącą w wirującej karmazynowej wodzie. Ofiara krzyczała, gdyż powoli uciekało z niej życie. Nogi Kuba zabrał ze sobą.

Kiedy wyszukał mężczyznę spieszącego się wydostać z wiecznej nocy, rzucił się na niego, podciął mu gardło, oderwał ramiona i zastąpił je nogami kąpiącej się kobiety.

I tak szalał przez pewien czas, który wydawał się nie mieć końca, demonstrując mieszkańcom miasta, co potrafi spłodzić zło. Udowadniał im, że ich niemoralność na tle jego własnej, jest po prostu żalosna.

W końcu coś mu podpowiedziało, że zwycięża. Gdy zaczął się w antyseptycznie czystej przestrzeni między dwoma niskimi aluminiowymi sześcianami, usłyszał głos, który dochodził gdzieś z góry, krążył wokół niego, a nawet rozlegał się w jego głowie. Było to publiczne obwieszczenie, nadawane przez jakiś mentalny system komunikacyjny, którego używali ludzie z miasta na skraj świata.

NASZE MIASTO JEST CZĘŚCIĄ NAS SAMYCH, A MY JESTEŚMY CZĘŚCIĄ MIASTA. REAGUJE ONO NA NASZE UMYSŁY, A TE Z KOLEI SPRAWUJĄ NAD NIM KONTROLĘ. ZESPOLONA FORMA, KTÓRĄ SIĘ STALIŚMY, JEST OBECNIE ZAGROŻONA. WEWNĄTRZ MIASTA POJAWIŁA SIĘ OBCA SIŁA I ZAMIERZAMY JĄ ZLOKALIZOWAĆ. JEDNAK UMYSŁ INTRUZA JEST SILNY. INTRUZ ZAKŁÓCA FUNKCJONOWANIE NASZEGO MIASTA. TA NIEKOŃCZĄCA SIĘ NOC JEST EFEKTEM OBCEJ INGERENCJI. WSZYSCY MUSIMY SIĘ SKONCENTROWAĆ WSZYSCY MUSIMY ŚWIADOMIE SKUPIĆ NASZE MYŚLI, BY URATOWAĆ MIASTO. ZAGROŻENIE ZE STRONY INTRUZA JEST DLA NAS W TEJ CHWILI PRIORYTETOWE. JEŚLI UMRZE NASZE MIASTO, UMRZEMY WRAZ Z NIM.

Komunikat nie został wygłoszony dokładnie tymi słowami, ale Kuba tak go sobie zinterpretował. W rzeczywistości, wiadomość była znacznie dłuższa i o wiele bardziej skomplikowana, chociaż jej sens był podobny i Kuba czuł, że zwycięża. Niszczył ich. Powiedzieli mu, że reformy społeczne są śmieszne?! No to on im teraz pokaże!

I tak kontynuował swój szalony pogrom. Zarzynał, szlachto — wał i patroszył, gdziekolwiek znalazł ofiary, a one nie potrafiły już zniknąć, nie były też w stanie uciec ani go powstrzymać. Kolekcja serc urosła do pięćdziesięciu, później siedemdziesięciu, wreszcie do stu.

Po jakimś czasie Kubę znudziły serca, toteż zaczął wycinać mózgi. Zbiór rósł.

Grasował przez niezliczoną ilość dni, a w czystym, pachnącym autoklawie miasta ciszę regularnie rozdzierały przenikliwe ludzkie wrzaski. Ręce Kuba stale miał lepkie od krwi.

Potem znalazł panią Van Cleef. Wyskoczył z ciemności i powalił ją. Podniósł ostrze noża, by je zatopić w jej piersi, lecz kobieta zniknęła!

Wstał i rozejrzał się wokół, nieco zdezorientowany. Van Cleef pojawiła się ponownie w odległości dziesięciu stóp od niego. Rzucił się za nią, ale znowu zniknęła i zmaterializowała się dziesięć stóp dalej. W końcu, kiedy rzucił się na nią już z pół tuzina razy, a ona za każdym razem mu się wymykała, stanął zasapany, z opuszczonymi ramionami i przyjrzał się jej badawczo.

W odpowiedzi posłała mu obojętne spojrzenie.

— Już nas nie bawisz — oświadczyła, poruszając ustami.

„Bawisz?!”. Jego umysł zawirował i utknął w miejscu daleko mroczniejszym niż wszystkie, które Kuba dotąd poznał. I przez mgłę własnej żądzы krwi zaczął sobie uświadamiać straszną prawdę. Robił to wszystko dla ich rozrywki! Mieszkańcy miasta po prostu pozwolili mu grasować. Perfidnie oddali mu władzę nad miastem, a on psocił i wygłupiał się dla nich.

Zło? Nigdy nawet nie podejrzewał granic tego pojęcia. Podszedł do kobiety, lecz ta zniknęła, tym razem na dobre.

Stał sam, gdy powróciło światło dnia. Miasto posprzątało bałagan, usunęło zarżnięte ciała i zrobiło z nimi to, co trzeba. W komorach zamrażarki żelatynowe kapsuły wróciły do swoich nisz, nie było już potrzeby odmrażać kolejnych mieszkańców, by dostarczać Kubie obiektów do zabawiania sybarytów. Jego praca była naprawdę skończona.

Stał na pustej ulicy. Ulicy, która dla niego zawsze była pusta. Mieszkańcy miasta od samego początku potrafili przed nim uciekać i teraz znów korzystali ze swej wszechmocy... W końcu i ostatecznie Kuba okazał się klaunem, tak jak mu niegdyś pokazali. Nie był wcieleniem zła, a tylko żalną kreaturą.

Spróbował użyć elektrycznego skalpela na sobie, niestety ostrze roztopiło się w drobinkach światła, a resztki uniósł wiatr, który zerwał się wyłącznie do tego celu.

Kuba stał samotnie, wpatrzony tępo w zwycięską czystość tej Utopii. Dzięki swoim talentom mieszkańcy utrzymali go przy życiu, życiu wiecznym, uczynili go nieśmiertelnym — na wypadek, gdyby któregoś dnia znowu zapragnęli się zabawić jego kosztem. Jego umysł rozłożyli na czynniki pierwsze, obnażyli najpierwotniejsze, nieuświadomione motywacje, sprowadzili do postaci galaretowatej brei i tak zostawili. Aby odczuwał permanentną wściekłość i bezsilną irytację, aby nigdy nie zaznał spokoju, końca męki ani snu.

Stał samotnie. Był stworzeniem ze świata slumsów, mrocznych zaułków i wszelakiego brudu, a znalazł się w świecie tak czystym jak pierwsze tchnienie niemowlęcia.

— Nie nazywam się Kuba — powiedział cicho. Mieszkańcy miasta nigdy przecież nie poznali jego prawdziwego nazwiska. Chociaż i tak nie dbali o nie. — Nie nazywam się Kuba! — powtórzył głośnie. Nikt go nie usłyszał. — NIE NAZYWAM SIĘ KUBA I BYŁEM ZŁY, BARDZO ZŁY. JESTEM ZŁYM CZŁOWIEKIEM, ALE MOJE IMIĘ NIE BRZMI KUBA! — krzyczał i krzyczał bez końca, a później znowu krzyczał, schodząc bez celu pustą ulicą. I ogromnie pragnął, by już nigdy więcej nie zmuszano go do polowania. Obcy w mieście na skraju świata.

tłum. Ewa i Dariusz Wojtczakowie

Posłowie:

Ścieżki, którymi niekiedy podążają nasze umysły, są często nie tymi, które naszym zdaniem obieramy. A cele, jakie osiągamy, równie często okazują się wprost przeciwne do zamierzonych. Historia, którą właśnie przeczytaliście, jest doskonałym tego przykładem.

Łowcę w mieście na skraju świata pisałem w sumie przez piętnaście miesięcy, wielokrotnie porzucając pomysł i do niego powracając. Jak wskazałem w mojej przedmowie do opowiadania Boba Blocha, najpierw pojawił się jedynie obraz bez akcji: ohydna kreatura w sterylnym mieście przyszłości. Obawiam się, że początkowo miałem w głowie tylko tę ponętą wizję, niewiele więcej. Pomyślałem, że w najlepszym razie może ona dostarczyć czytelnikowi krótkiego dreszczu przerażenia i makabry w książce, gdzie realizm (nawet w konwencji fantasy) jest przecież wszechobecny.

Podsunałem wizję Blochowi, a ten napisał swoją wersję. Jednak natychmiast uświadomiłem sobie szaleństwo pomysłu, że jeden człowiek potrafi zaszcześcić swoją wizję w umysł drugiego (nawet jeśli moja zrodziła się bezpośrednio z jeszcze wcześniejszego opowiadania Blocha).

Zdecydowałem się zatem pokolorować własną ilustrację. Za pozwoleniem Roberta. Ale co miałem zrobić z tą historią? Intrygował mnie sam Kuba Rozpruwacz, zabójca jawnie obłąkany, choć działający z ogromną precyzją i przemyślnością. A listy z przechwałkami, które wysyłał do gazet, policji i George'a Łuska, szefa Straży Obywatelskiej ze wschodniego Londynu?! Ależ był zuchwały! W życiu nie słyszałem o gorszym potworze! Byłem wstrząśnięty.

Tyle że... nie umiałem osnuć wokół niego opowiadania.

Tym niemniej, zabrałem się za pisanie. Zaczynałem moją historię ze dwa tuziny razy — co najmniej — w ciągu piętnastu miesięcy, podczas których redagowałem tę antologię. Zaczynałem opowieść i porzucałem ją po stronie czy dwóch, zniesmaczony własną pompatycznością i pretensjonalnością. Nie miałem niczego z wyjątkiem prostego szkicu — Kuba w autoklawie. Opowieść się nie kleiła, ja zaś w tym czasie napisałem scenariusz filmowy i pół tuzina telewizyjnych, a także ponad dwadzieścia opowiadań i niezliczoną masę artykułów, recenzji, tekstów krytycznych, przedmów... No i zredagowałem tę książkę. (Tym, którzy sądzą, że pisarz to ktoś, kto umieszcza swoje nazwisko na książce, pragnę przypomnieć, że tamtego nazywa się „autorem”. „Pisarz” to nieszczęśnik nie potrafiący się powstrzymać przed wprowadzeniem do swojego tekstu każdej myśli, która przemknie mu przez głowę. Ja jestem pisarzem. Piszę. Oto, co robię. I robię to często.) A tymczasem opowiadanie pokrywało się kurzem.

Jednakże pewien pisarz, którego swego czasu bardzo podziwiałem, wyjaśnił mi, że „kryzys twórczy” można równie dobrze nazwać „okresem przejściowym” czy też okresem stabilizacji, podczas którego ulegają zmianie styl, poglądy i zainteresowania twórcy. Na własnej skórze doświadczyłem, że miał rację. Pomysł na opowiadanie, którego nie byłem w stanie napisać, zawsze odkładałem do archiwum. Czasem na całe lata. A później, któregoś dnia, jakby za sprawą magii, chwyciłem strzęp konceptu, zaczynałem pisać i w kilka godzin historia niemal „sama się opowiadała”. Niektóre teksty nieświadomie układałem sobie w głowie przez kilka lat, w trakcie których świadomie zajmowałem się inną pracą. W swoim pisarskim Mózgu wiedziałem, że po prostu

nie mam aktualnie dość umiejętności albo wnikliwości, by dokończyć daną opowieść. Mógłbym napisać ją na siłę (robiłem tak, gdy byłem młodszy i uważałem, że powinienem wszystko natychmiast dokańczać), płodząc niecałkowicie przemyślaną historię, z której nie byłbym do końca zadowolony.

Identycznie stało się z *Lowcą w mieście na skraju świata*. Miesiące mijały, aż zdałem sobie sprawę, że próbuję coś powiedzieć o granicach i rozmiarach zła w społeczeństwie totalnym. Nie miała to być tylko opowieść o Kubie, lecz o wpływie na zło *per se* i o kulturze zła.

Materiał zaczął mnie ekscytować. Nagle uprzytomniłem sobie, że nie mogę napisać opowiadania z tą niewielką ilością informacji na temat Kuby Rozpruwacza, jakie potrafiłem sobie przypomnieć z *Yours Truly, Jack The Ripper* Roberta Blocha, z czytanej w gimnazjum *Little Blue Book* E. Haldemana — Juliusa, bądź choćby z przelotnych wzmianek w *The Lodger* autorstwa Alana Hynda i Belloc Lowndes. I nagle miałem plan. Integralność opowieści żądała odrobienia „pracy domowej”.

Zatem przeczytałem wszystko, co znalazłem. Oczyszcziłem półki w księgarniach i bibliotekach ze źródłowych tekstów poświęconych Rozpruwaczowi. Przy tej okazji muszę podziękować za pomoc (i przyjemność), jakiej dostarczyły mi książki Toma A. Cullena, Donalda McCormicka, Leonarda P. Mattersa oraz *The Harlot Killer* pod redakcją Allana Barnarda; jeszcze bardziej rozpałyły moją ciekawość na temat tej niewiarygodnej istoty znanej jako Kuba Rozpruwacz.

Wpadłem w nałóg. Nieustannie czytałem o morderstwach. I zupełnie podświadomie zacząłem snuć własne hipotezy związane z ewentualną tożsamością Kuby.

Uderzyła mnie koncepcja „niewidzialnego zabójcy”, czyli takiego, który mógł się znajdować w pobliżu miejsca zbrodni i nie być uważanym za podejrzanego. Zuchwałość tych morderstw i ich stosunkowo otwarta natura — na ulicach, dziedzińcach i alejach — wydawały się potwierdzać, że zabójstw dokonywał ktoś „niewidzialny”. W jakim sensie? Cóż, rozważmy, kogo można by uznać za „niewidzialnego” w wiktoriańskim Londynie? Sądzę, że policjanta, akuszerza i... duchownego.

Sposób, w jaki zarzynano biedne prostytutki, naprowadził mnie na dwie oczywiste konstatacje: sprawca najwyraźniej był dobrze obeznany z chirurgią i nawykły do koncepcji kobiecości panującej w owym czasie.

Przede wszystkim jednak forma i rodzaj zbrodni podsunęły mi myśl, że (pomijając oczywiste obłąkanie zabójcy) duchowny czy „rzeźnik” usiłował poprzez zabójstwa przekazać jakieś oświadczenie. Na pewno makabryczne i absolutnie szalone... tym niemniej bez dwóch zdań oświadczenie.

Z tym przekonaniem kontynuowałem swoje śledztwo. I we wszystkich tekstach o Rozpruwaczu regularnie natrafiałem na nazwisko Wielebnego Samuela Barnetta. Był to aktywny w sensie społecznym człowiek, który mieszkał niedaleko miejsc zbrodni, a mianowicie w Toynbee Hali. Żona Wielebnego nieustannie niemal peregrynowała po okolicy z kolejną petycją do królowej Wiktorii. Barnett miał zatem odpowiednią przeszłość i religijny zapał, toteż z pewnością pragnęłyby oczyszczenia slumsów niemal za wszelką cenę.

Rozwazałem dalej. Jeśli nie Wielebny — a nie chciałem (nawet w dziele fikcyjnym) zniesławić czy pomówić dawno zmarłego człowieka — w takim razie ktoś mu bliski. I może od niego młodszy... Od jednego pomysłu do kolejnego i w moim pisarskim mózgu powstała teoria, a później niemal portret potencjalnego Kuby Rozpruwacza. Dostrzegłem też kierujące takim osobnikiem pobudki.

(Cieszę się, że trafiłem na książkę Toma Cullena o Rozpruwaczu, gdy przyszła mi do głowy owa teoria. W książce tej odkryłem bowiem, że na wiele sposobów — choć nie tak jednoznacznie czy też nie temu samemu podejrzanemu — „przydzielili” te same pobudki „swojemu” Rozpruwaczowi co ja „mojemu”.)

W tym momencie zaczął się dla mnie okres pisania, który rozciągnął się na wiele tygodni.

Opowiadanie okazało się jednym z najtrudniejszych tekstów beletrystycznych, jakie kiedykolwiek napisałem. Wściekałem się na ograniczenia strony drukowanej i na sztywność klawiatury maszyny do pisania. Miałem ochotę wybuchnąć i najlepsze, co mogłem zrobić, to użyć typograficznych sztuczek, które są w ostatecznym rozrachunku czymś więcej niż tylko sztuczkami. Jestem pewny, że niebawem powstanie (musi powstać!) metoda, dzięki której będzie można „napisać” książkę o wizualnej i emocjonalnej sile oddziaływania, równej dziełu filmowemu.

W każdym razie, w końcu opisałem tę historię.

Kuba, którego przedstawiam, tkwi oczywiście w każdym z nas. Za jego sprawą stoimy i bezwolnie obserwujemy, jak ktoś zakłuwa nożem Catherine Genovese, przez niego godzimy się na Wietnam, ponieważ nie chcemy dać się wciągnąć. Takiego Kuby czasem potrzebujemy. Przynależymy do kultury, która potrzebuje potworów.

Idealizujemy naszych Alów Capone, Billych the Kidów, Jesse Jamesów i wszystkich im podobnych, łącznie z Jackiem Rubym, generałem Walkerem, Adolfem Hitlerem, a nawet Richardem Speckiem, którego rzeź chicagowskich pielęgniarek w stylu Kuby Rozpruwacza, zaczęła już funkcjonować jako nowoczesna legenda mass mediów.

Jesteśmy cywilizacją, która wręcz taśmowo produkuje zabójców i potwory, a potem zapewnia im jedną rzecz, której Kuba nigdy nie był w stanie osiągnąć: sławę. Kuba Rozpruwacz był człowiekiem przeklętym, który desperacko pragnął zdobyć rozgłos z powodu „dzieła”, jakiego dokonał (rozważcie napisane przez niego notatki), ale każda eskapada w miasto łączyła się ze strachem przed pojmaniem. Był człowiekiem rozdartym, który wyczuwał, że motłoch będzie go czcić, mimo iż wcześniej go zabije.

Oto przesłanie tej opowieści: To wy jesteście potworami!

Wprowadzenie do „Noc, podczas której do cna wyczerpał się czas”:

Brian Aldiss to angielski pisarz, który kilka lat temu otrzymał nagrodę Hugo za swój cykl *Cieplarnia*, a w ubiegłym roku dostał Nebulę za *The Saliva Tree* (ex aequo) w kategorii najlepszej krótkiej powieści. Do jego najciekawszych dokonań należy też powieść *Mroczne lata świetlne*, która opowiada o tarzaniu się we własnych odchodach. Poniższe opowiadanie należy natomiast do tekstów, nazywanych przeze mnie „niebezpiecznymi wizjami”.

Aldiss mieszka w Oksfordzie, w Anglii. Urodził się 19 sierpnia 1925 roku, w East Dereham, hrabstwo Norfolk. Twierdzi, że nie wyznaje żadnej religii. W swoim prywatnym życiu zdążył się już rozwieść, a ostatnio ponownie ożenić, z Margaret (jak słyszałem — dziewczyną zachwycającą i czarującą).

Napisał *Starship*, *Cieplarnię*, *Siwobrodego*, *Kto zastąpi człowieka?*, *Earthworks*. Oprócz tego współredagował (wraz z Harrym Harrisonem) zbiór *Nebula Awards Two* i jest literackim redaktorem „The Oxford Mail”. Jako gość honorowy uczestniczył w XXIII Światowym Konwencie Science Fiction, który odbywał się w Londynie w sierpniu 1965 roku.

Gdy zacząłem przygotowywać tę antologię, bardzo niewiele wiedziałem o Aldissie, lecz podziwiałem jego pisarstwo i chciałem, by jego opowiadanie trafiło do tego tomu. Opowiadanie otrzymałem, przeczytałem i zakupiłem, a teraz czuję, że moja odpowiedzialność w tej materii się skończyła. Pozwolę przeto wypowiedzieć się samemu twórcy (którego nazwisko należy wymawiać; „old-iis” z akcentem na drugą sylabę), nie dodając od siebie żadnego komentarza:

— Urodziłem się w 1925 roku, więc pamiętam, jak w dzieciństwie prowadzono mnie do szkoły... a może przedszkola i po drodze mijaliśmy gigantyczne kolejki bezrobotnych, czekających na zasiłek. Ci ludzie okropnie przerażali moją nianię. Był okres Wielkiego Kryzysu.

— Zacząłem pisać niemal natychmiast, gdy nauczyłem się czytać i tak naprawdę nigdy pisać nie przestałem. Pisałem opowieści science fiction już w wieku lat sześciu, zanim jeszcze pojąłem, o co w tym gatunku chodzi; pisałem opowiadania pornograficzne podczas pobytu w szkole z internatem, zanim odkryłem, czym jest seks! Spędziłem cztery lata w wojsku (1943–47), a ponieważ uznano mnie za wystarczająco dorosłego, by wysłać do służby liniowej w Birmie, ujrzałem na własne oczy trochę wojny japońskiej. Te „podróże” z okresu dojrzewania wywarły na mnie ogromne wrażenie: widziałem Indie, Birmę, stan Assam, Cejlon, Sumatrę, Malaje, Hong Kong.

— Po tych doświadczeniach nie chciałem robić już nic innego... poza życiem i pisaniem. Zacząłem od sprzedawania książek innych pisarzy, myśląc, że przynajmniej zyskam szansę poczytania ich dzieł. Po pewnym czasie zaprzestałem pisania do szuflady i spróbowałem co nieco opublikować. Udało się, więc porzuciłem księgarstwo. Moja pisarska kariera rozwijała się szczęśliwie, dzięki niej rozszerzyłem swoje horyzonty i poznałem wielu sympatycznych i interesujących ludzi. Pod tym względem miałem niebywały fart. Pech pojawił się za to w moim małżeństwie: stało się ono bitwą, którą toczyliśmy przez jakieś piętnaście lat i która niedawno — na szczęście — się zakończyła.

Obecnie jestem powtórnie żonaty — szczęśliwie.

— W Anglii znają mnie bardzo dobrze, a po mojej ostatniej powieści wydanej także w wersji kieszonkowej bywam nazywany „głównym brytyjskim autorem science fiction”. Ta ocena nie jest może ścisła, lecz z pewnością drażni moich oponentów! Na swoim wąskim polu jestem bardzo wszechstronny: piszę powieści i opowiadania różnego rodzaju, redaguję antologie (trzy, które przygotowałem dla Penguin Books, nadal sprzedają się jak gorące bułeczki), pojawiając się na konwentach, działam w literackich komisjach, telewizji i radiu. Współredaguję (wraz z Harrym Harri — sonem) krytycznoliterackie czasopismo poświęcone literaturze sf: „SF Horizons”.

— W 1964 roku, gdy moje małżeństwo było w impasie, kupiłem używanego land rovera i wyjechałem na sześć miesięcy do Jugosławii. Długo podróżowałem po tym kraju, zwłaszcza po jego części południowej — Macedonia i dalej. Z tej podróży zrodziła się książka *Malacjański gobelin*, a z czasem mam nadzieję objechać wszystkie inne post — bizantyjskie państwa. Przyznam, że lubię zwiedzać kraje komunistyczne — fakt, że kiedy przyjdzie co do czego, oni będą po drugiej stronie muru, wywołuje u mnie subtelny dreszczyk podniecenia. Nie żeby Jugosłowianie byli niesympatyczni, ale...

— Wciąż pozostaję człowiekiem bez jasno sprecyzowanego celu życiowego... z wyjątkiem jednego: Wiem, że jestem najlepszym na świecie pisarzem sf i pragnę, by wszyscy inni również się o tym fakcie dowiedzieli!

Brian W. Aldiss
The Night That All Time Broke Out

Noc, podczas której do cna wyczerpał się czas

Dentysta odprowadził ją z uśmiechem do drzwi i wezwał dla niej taksówkę, która wylądowała na balkonie, gdy tylko Fifi się tam pojawiła.

Taksówka nie była automatyczna, lecz raczej staroświecka, w każdym razie na tyle, by kobieta mogła ją uznać za elegancką. Fifi Fevertrees uśmiechnęła się olśniewająco do małpiego kierowcy i wsiadła.

— Polecimy za miasto — oświadczyła. — Wioska Rouseville, przy Trasie Z4.

— Mieszka pani na wsi, co? — spytał taksówkarz, wznosząc maszynę w pseudobłękiet. Niczym szalenciec kierował jedną łapą.

— Wieś jest w porządku — odparła Fifi obronnym tonem. Zawahała się, po czym zdecydowała, że właściwie może się pochwalić: — Poza tym, żyje się tam jeszcze lepiej, gdy pociągnęli do nas magistrale czasu. Nasz dom właśnie podłączają do magistrali. Kiedy wrócę, wszystko powinno być gotowe.

Prowadzący taksówkę szympans wzruszył ramionami.

— Mnie się życie na wsi wydaje dość kosztowne.

— Trzy standardowe płatności za transfer podstawowy Taksówkarz aż gwizdnął z wrażenia.

Chciała mu opowiedzieć więcej, na przykład o tym, że jest bardzo podekscytowana i żałuje, iż jej tato nie dożył, by doświadczyć przyjemności związanych z magistralami czasowymi. Niestety, z kciukiem, który włożyła w usta, oglądając sobie zęby w lusterku na nadgarstku, trudno było mówić. Usiłowała zobaczyć, czego dokonał dentysta.

Wykonał rzetelną robotę. Nowy mały perłowy ząb rósł już pewnie zakorzeniony w różowym dziąśle. Przy okazji Fifi oceniła, że ma bardzo seksowną buzię, dokładnie tak jak twierdził Tracey. Stary ząb dentysta usunął przy znieczuleniu gazem czasowym. Jakież to było proste! Jeden niuch i kobieta na chwilę znalazła się przedwczoraj, przeżywając na nowo tę przyjemną godzinę, którą spędziła na kawie z Peggy Hackenson. Nawet nie pomyślała o bólu. Gaz czasowy wspaniale się w obecnych czasach sprawdzał. Fifi naprawdę się cieszyła na myśl, że będą go mieli we własnym domu i że będzie dla nich dostępny przez cały czas. taksówka wzbiła się wyżej i wyleciała jednym z dylatacyjnych portów wielkiej kopuły, która pokrywała aglomerację. Opuszczając miasto, Fifi na moment poczuła smutek. Miasta były obecnie takie wspaniałe, że nikt nie chciał żyć poza ich granicami. Zresztą, życie poza nimi było rzeczywiście podwójnie kosztowne, chociaż — na szczęście — rząd wypłacał dodatek za trudne warunki życia każdemu, kto jak Fevertreesowie musiał mieszkać na wsi.

Parę minut później taksówka ponownie opuściła się nad ziemię. Fifi wskazała swoje gospodarstwo mleczarskie i taksówkarz łagodnie skierował maszynę na ładowniczy balkon, gdzie wyciągnął przednią łapę po wygórowaną sumę. Gdy otrzymał żądane kilopłatności, odchylił się i otworzył stopą drzwi Fifi. Negocjacje z szympansimi kierowcami nie miały najmniejszego sensu.

Fifi natychmiast zapomniała o kursie, kiedy pospiesznym krokiem ruszyła w dół przez dom. Ten

dzień miał być szczegółny! Konstruktorzy przez dwa miesiące instalowali centralkę czasową (dwa tygodnie dłużej niż zaplanowali), powodując okropny bałagan, bowiem przez wszystkie pomieszczenia przeciągali rury i kable. Teraz w domu panował już porządek. Fifi tanecznym krokiem zbiegała po schodach. Jak najszybciej pragnęła odnaleźć męża.

Tracey Fevertrees stał w kuchni i rozmawiał z majstrem. Gdy jego żona wpadła do pomieszczenia, odwrócił się i wziął ją za rękę, uśmiechając się w sposób, który zawsze działał na nią absolutnie kojąco, chociaż niejednej pannie z Rouseville pewnie spędzał sen z powiek. Jednak czar mężczyzny z trudem wytrzymał porównanie z urodą podekscytowanej Fifi.

— Czy wszystko działa? — spytała.

— W ostatniej chwili wynikł jeszcze drobny problem — odparł niechętnie majster, niejaki Archibald Smith.

— Och, który to już raz ja to słyszę, panie Smith?! W ubiegłym tygodniu mieliśmy takich piętnaście. Co tym razem?

— Eee, nie musicie się tym państwo przejmować. Wszystko dlatego, że musieliśmy doprowadzić gaz czasowy tutaj, tak daleko od głównego przewodu zasilającego z fabryczki w Rouseville i chyba mamy trochę kłopotów z utrzymaniem ciśnienia. Podobno doszło też do paskudnego wycieku w głównym szybie fabryki, no i trzeba zatkać tę dziurę. Ale nie powinniście się niczym martwić.

— W domu przetestowaliśmy wszystko i najwyraźniej działa świetnie — oznajmił Tracey żonie. — Chodź, to ci pokażę!

Uścisnęli rękę Smithowi, który wykazywał typową dla budowlańców niechęć do opuszczenia miejsca swojej pracy. W końcu odszedł, obiecując wrócić rano, by zabrać ostatnią torbę z narzędziami. Tracey i Fifi zostali sami ze swoją nową zabawką.

Wśród sprzętów kuchennych panel czasowy ledwie rzucał się w oczy. Był usytuowany obok małego agregatu nuklearnego. Dyskretny, niewielki element instalacji z tuzinem małych pokręteł i dwoma tuzinami przełączników dwustabilnych.

Tracey wyjaśnił Fifi, jak ustalono ciśnienie czasowe: niskie dla korytarzy i gabinetów, wyższe dla sypialni, zmienne dla salonu. Kobieta otarła się o niego i cicho zamruczała.

— Jesteś podekscytowany, prawda, kochanie? — spytała.

— Ciągle myślę o rachunkach, które musimy zapłacić. A rachunki przyjdą... i to nielicze. Trzy standardowe płatności za transfer podstawowy... Och! — Dostrzegł jej rozczarowane spojrzenie, więc szybko dodał: — Ale oczywiście uwielbiam to, kochanie. Wiesz, że będę zachwycony.

Potem krzątali się po domu, nieustannie pod parasolem włączonego kontrolera strumienia czasowego. W kuchni postanowili się cofnąć w czasie o kilka godzin — mniej więcej do połowy dzisiejszego poranka. Wybrali porę dnia, którą Fifi w krzątaniu kuchennej lubiła najbardziej. Śniadanie miała już za sobą, a jeszcze trochę wolnego czasu zostało do chwili, gdy trzeba będzie zaplanować i przełączyć program kuchenny na lunch. Postanowili ponownie przeżyć ranek, w którym Fifi była szczególnie spokojna i czuła się dobrze.

Natychmiast otoczyła ich wspaniała atmosfera tamtych minut.

— Cudownie! Rozkosznie! Mogę zrobić wszystko, mogę wszystko ci ugotować. Tak! Tak!

Pocałowali się i wbiegli do korytarza.

— Czyż nauka nie jest wspaniała?! — krzyczeli. Nagle się zatrzymali.

— Och nie — mruknęła Fifi.

Na pozór korytarz wydawał się w idealnym porządku. Na swoich miejscach były połyskujące metalicznie żaluzje, które kontrolowały ilość docierającego do wnętrza światła, magazynując nadwyżki na późniejsze, ciemniejsze godziny. Czysty chodnik ruchomy poniósł małżonków gładko do

przodu, a cała boazeria była ciepła i miła w dotyku. Niestety, umysły Fifi i Traceya „cofnęły się” do godziny piętnastej miesiąc temu, gdy tę spokojną porę dnia zakłócili im rozpoczynający pracę robotnicy.

— Kochanie, zrujnują nasz dywan! A boazeria już nigdy nie będzie wyglądać tak jak przedtem! Och, Tracey, popatrz... odłączyli żaluzje, chociaż Smith obiecał, że na pewno tego nie zrobią!

Mężczyzna chwycił ją mocno za ramię.

— Najdroższa, wierz mi, wszystko jest w porządku!

— Nie, nie jest! Nie jest w porządku! Popatrz na te brudne stare rury przewodzące czas. Leżą dosłownie wszędzie... I te paskudne kable, które wiszą nad nami! Rujnują nasz śliczny, absorbujący kurz sufit... Zobacz, ile tu wszędzie kurzu i brudu!

— Kochanie, to efekt cofnięcia się w czasie! — Tym niemniej musiał przyznać, że sam nie wierzy w idealnie sprzątnięty korytarz, który rejestrowały jego oczy. Podobnie jak Fifi, Traceya ogarnęły emocje sprzed miesiąca, gdy widział kręcących się po korytarzu Smitha i jego strasznych ludzi.

Małżonkowie dojechali chodnikiem do końca korytarza i przeskoczyli do sypialni, uciekając w kolejną strefę czasową. Fifi, zerkając za siebie przez próg, jęknęła z płaczem w głosie:

— Rany, Tracey, ależ czas ma moc! Chyba musimy zmienić ustawienia dla korytarza, co?

— Jasne, ustawimy na jakąś wcześniejszą datę, powiedzmy, na któreś miłe letnie popołudnie sprzed roku. Możemy wszystko, kochanie! „Podaj datę, a my cię tam wyślemy!”. Czy nie tak właśnie brzmi motto Centrali Łączy Czasowych Hmm... A jaki moment chciałabyś...?

Fifi rozejrzała się po sypialni, po czym zerknęła na męża spod opuszczonych długich rzęs.

— Och... jakiś odprężający, nieprawdaż?

— Druga rano, kochanie, wczesna wiosna i wszyscy w całej okolicy smacznie śpią. Od tej pory na pewno nie grozi nam już bezsenność!

Podeszła do niego blisko i oparłszy się piersią o jego klatkę piersiową, spojrzała mu prosto w oczy.

— Nie sądzisz, że może lepsza byłaby jedenasta wieczorem... Czas... hmm... pościelowy?

— Kochanie, wiesz, że figlować z tobą wolę na sofie. Chodź, usiądź na niej ze mną, a zgodzisz się z moją opinią co do salonu.

Salon znajdował się piętro niżej, a od powierzchni ziemi dzielił go tylko garaż i mleczarnia. Był to piękny duży pokój ze wspaniałymi ogromnymi oknami, z których rozciągał się widok na odległą kopułę miasta. Pośrodku pomieszczenia stała wielka sofa.

Usiedli na tym zmysłowym meblu i na wspomnienie licznych wcześniejszych rozkoszy zaczęli się pieścić. Po chwili Tracey opuścił rękę i podniósł z podłogi ręczny przełącznik połączony kablem ze ścianą.

— Możemy stąd kontrolować czas, Fifi, wcale nie musimy wstawać! Podaj datę i po prostu w nią wskoczmy.

— Jeśli myślimy o tym samym, lepiej nie cofajmy się dalej niż o dziesięć miesięcy, ponieważ nie byliśmy jeszcze wtedy małżeństwem.

— Och, niech pani da spokój, droga pani Fevertrees, nie jest pani chyba aż tak staroświecka? Przed ślubem jakoś się takimi drobiazgami nie przejmowałaś.

— Ależ przejmowałam się! ...Chociaż może raczej po fakcie niż w trakcie...

Pogładził delikatnie jej piękne włosy.

— Wiesz, pomyślałem sobie, że moglibyśmy spróbować czegoś nowego... Przenieśmy się na przykład w czasy, gdy mieliśmy po dwanaście lat. Jako dwunastolatka byłaś pewnie bardzo

seksowna i cholernie chciałbym cię taką ujrzeć. Jak ci się podoba ten pomysł?

Już miała się odciąć jakąś typową kobiecą wymówką, lecz ciekawość wzięła w niej górę.

— A może jeszcze głębiej, na przykład gdy mieliśmy po dziesięć lat?

— Świetnie! Wiesz, że mam słabość do lolitek?

— Tracę... musimy być ostrożni, żebyśmy z rozpędu nie cofnęli się poza dzień, w którym się urodziliśmy, bo skończymy jako małe kropelki protoplazmy lub czegoś w tym rodzaju.

— Kochanie, powinnaś uważnie przeczytać broszurki! Jeśli wyzwolimy dostateczne ciśnienie, by się cofnąć poza nasze daty urodzenia, po prostu wejdziemy w świadomość naszych najbliższych przodków tej samej płci — ty w świadomość swojej matki, ja w świadomość mojego ojca. Potem ty w swoją babcię, ja w swojego dziadka... Głębiej wstecz się nie da, bo nie pozwoli nam ciśnienie czasu w magistrali Rouseville.

Rozmowa zeszła na inne tematy, aż nagle Fifi wymamrotała sennie:

— Cóż za niebiański wynalazek z tego czasu! Słuchaj, przecież nawet gdy będziemy starzy, siwi i niezdarni, w każdej chwili będziemy mogli wrócić w przeszłość i cieszyć się sobą nawzajem, tak jak w latach naszej młodości! Tak właśnie zrobimy, prawda?

— Hmm... — odparł, myśląc dokładnie o tym samym.

Tego wieczoru zjedli ogromnego syntetycznego homara. Smakował trochę dziwnie. Prawdopodobnie podniecona kontaktem z magistralą czasu Fifi wstukała odrobinę błędną mieszankę — chociaż upierała się, że literówka musiała zdarzyć się w programie książki kucharskiej, którą wprowadziła do komputera kuchennego — i danie nie wyszło całkiem takie, jakie być powinno. Fevertreesowie cofnęli się więc o dwa lata do dnia, w którym jedli doskonałego homara; był to jeden z ich pierwszych wspólnych posiłków, krótko po tym, jak się poznali. Odtworzony z zakamarków pamięci smak zniwelował rozczarowanie obecną potrawą.

Tyle że nagle coś się zepsuło.

Niespodziewanej metamorfozy doznań nie poprzedził żaden dźwięk i pozornie nic się wokół nie zmieniło, jednak w głowach Fifi i Traceya dni z przeszłości zaczęły wirować niczym liście nad wrzosowiskiem. Pory posiłków nadchodziły i przemijały, a homar powoli zaczął przyprawiać oboje o mdłości, gdyż Fevertreesom wydawało się, że jedzą go na przemian z mięsem indyckim, serem, dziczyzną, a później ciastem z owocami i śmietaną, biszkoptowym puddingiem, lodami lub płatkami śniadaniowymi. Przez szereg przerażających minut siedzieli przy stole jak sparaliżowani, a przez ich kubki smakowe przetaczały się setki przemieszanych ze sobą smaków. Tracey zerwał się w końcu, ciężko sapiąc i wdusił przycisk przy drzwiach, całkowicie odcinając dopływ strumienia z magistrali czasu.

— Coś jest nie tak! — krzyknął. — To вина tego cholernego Smitha. Natychmiast do niego dzwonię. Zastrzelę drania!

Jednak twarz majstra, która pojawiła się na ekranie wideokomunikatora, była jak zawsze uprzejma.

— Nie ma mowy o żadnej usterce, panie Fevertrees — oświadczył Smith. — Ściśle rzecz biorąc, jeden z moich ludzi dopiero co do mnie dzwonił i przekazał, że nastąpiła jakaś awaria w fabryczce czasu w Rouseville, w miejscu, gdzie wasza rura łączy się z głównym przewodem zasilającym. Doszło do wycieku gazu czasowego. Wspomniałem panu dziś rano, że mamy pewien kłopot. Niech pan się spokojnie położy do łóżka, drogi panie — tak brzmi moja rada. Połóżcie się oboje, a rano prawdopodobnie wszystko wróci do normy.

— Mamy iść do łóżka! Jak on nam śmie rozkazywać! — krzyknęła Fifi. — Cóż za impertynencja! Ten człowiek usiłuje coś przed nami ukryć. Założę się, że sknocił gdzieś instalację, a teraz zasłania

się wyciekami w fabryczce.

— Możemy to od razu sprawdzić. Pojedźmy do fabryczki i zobaczymy, co się tam dzieje!

Zjechali windą na parter i wsiedli do pojazdu lądowego. Mieszkańcy miasta pewnie by się roześmiali na widok tego małego poduszkowca, który przypominał urocze archaiczne automobile, lecz tego typu pojazdy były bez wątpienia nieodzowne na wsi, czyli poza kopułami, gdzie nie docierał bezpłatny transport publiczny.

Drzwi się otworzyły. Wyjechali, poderwali maszynę do lotu i natychmiast wzniesli się parę stóp nad ziemię. Rouseville leżało na niskim wzgórzu, a fabryczkę czasu usytuowano na samym końcu osady. Jednak gdy małżonkowie dostrzegli pierwsze domy, zdarzyło się coś dziwnego.

Chociaż nie wiał wiatr, pojazdem zaczęło dziko szarpać. Fifi wpadła na ścianę, a w chwilę później poduszkowiec spadł, uderzając w żywopłot.

— Rany, ależ ten pojazd jest ciężki! Kiedyś wreszcie muszę się nauczyć go prowadzić! — mruknął Tracey, wysiadając.

— Nie zamierzasz mi pomóc, Tracey?

— Och, nie, nie, jestem przecież zbyt duży, żeby się bawić z dziewczynkami!

— Musisz mi pomóc! Zgubiłam lalkę!

— Nigdy nie miałaś lalki! Mała wariatka!

Ruszył biegiem przez pole. Fifi nie miała wyboru, musiała podążyć za nim. Biegając, wciąż go przywoływała. Strasznie trudne okazało się panowanie nad niezgrabnym i ciężkim ciałem dorosłej kobiety, kiedy się miało umysł dziecka.

Gdy znalazła męża, leżał pośrodku drogi do Rouseville, machając nogami i rękoma. Na' widok żony zachichotał.

— Mały Tracey sobie chodzi! — oświadczył.

Jednak kilka minut później zdołali ruszyć naprzód — znowu byli na nogach; choć chodzenie sprawiało ból Fifi, której matka okulała pod koniec życia. Dzielnie kuśtykali naprzód — dwie młode istoty tym razem o umysłach swoich starych rodziców. Kiedy wkroczyli do niewielkiej, pozbawionej kopuły wioski, dostrzegli, że większość mieszkańców ma podobne kłopoty — co rusz komuś „zmieniał się” wiek: od gaworzącego niemowlęcia do drżącego starca. Najwidoczniej w fabryczce czasu doszło do poważnej awarii.

W dziesięć minut później i w kilka pokoleń wcześniej, przybyli pod bramę fabryki. Pod logo Centrali Łączy Czasowych stał Smith. Początkowo go nie rozpoznali, bo nosił maskę chroniącą przed kontaktem z gazem czasowym; jej dysza wylotowa głośno wypluwała przeszłe chwile.

— Podejrzałem, że się pojawicie! — krzyknął. — Nie uwierzyliście mi, co? No cóż, w takim razie wejdźcie ze mną i zobaczcie wszystko na własne oczy. Górnicy natrafili na nieprzewidziane obfitą erupcję, zawory nie wytrzymały ciśnienia i wysiadły. Zanim ktoś tego nie naprawi, trzeba pewnie będzie ewakuować całą okolicę.

Gdy majster przeprowadził ich przez bramę, Tracey zauważył:

— Mam tylko nadzieję, że to nie sabotaż Roskich!

— Czyj sabotaż?

— Roskich. No... robota Rosjan. Przypuszczam, że ta fabryczka jest tajna?

Zdumiony Smith gapił się na niego dobre kilka minut.

— Czy pan oszalał, panie Fevertrees?! Rosyjscy naukowcy wynaleźli magistrale czasowe dokładnie w tym samym momencie, co nasi. Rok temu spędził pan miesiąc miodowy w Odessie, zgadza się?

— Też coś, w ubiegłym roku byłem w służbie liniowej w Korei!

— W Korei?!

Nagle na dziedzińcu Centrali Łączy Czasowych wylądowała jakaś ogromna czarna maszyna. Jej syreny wyły, a na dachu i pod podwoziem migały czerwone światła. To był wóz strażacki z miasta. Kierował nim robot, lecz ludzie z załogi zachowywali się bardzo dziwnie. Jeden młody położył się na ziemi i zaczął krzyczeć, że należy mu zmienić spodnie, zanim ludzie z Centrali wydadzą wszystkim maski przeciwczasowe. Strażacy nie mieli co gasić, gdyż nie było ognia, a tylko gigantyczny słup niemal niewidocznego czasu, który do tej pory zdążył się wznieść nad budynek i ogarnąć całą wioskę, a teraz powoli rozpraszał się we wszystkie strony, niosąc w swym silnym strumieniu całe nie wyobrażone albo zapomniane pokolenia.

— Chodźmy, może coś ustalimy — stwierdził Smith. — Jeśli mamy beczynnie stać, równie dobrze możemy wrócić do domu i zrobić sobie drinka.

— Pan jest bardzo głupim młodzieńcem, jeśli ma pan na myśli to, co podejrzewam — oświadczyła Fifi srogim głosem staruszki. — Większość aktualnie dostępnego na czarnym rynku alkoholu jest nielegalna i niebezpieczna w użyciu... Ja w każdym razie sędzę, że powinniśmy wspierać prezydenta w jego zacnej próbie stłumienia alkoholizmu, nieprawdaż, Tracey, kochanie?

Jednakże Tracey w ogóle nie słuchał żony, zagubił się bowiem w jakimś dziwnym wspomnieniu i aby je w pełni przywołać, gwizdał *La Palomę*.

Potykając się, dotarli za Smithem do budynku. Tu zatrzymało ich dwóch funkcjonariuszy policji. W tym samym momencie pojawił się jakiś pulchny mężczyzna w wieczorowym garniturze i masce przeciwgazowej. Natychmiast przemówił do jednego z policjantów. Smith przywołał pulchnego i przywitali się serdecznie niczym bracia. Zresztą, po chwili się okazało, iż rzeczywiście są braćmi. Brat Archibalda, Clayball Smith, kiwnął na nich, by poszli za nim do fabryczki i szarmancko ujął pod ramię Fifi, która była przecież ładną dziewczyną. Jego osobista tragedia polegała na tym, że nigdy nie zbliżył się do żadnej przedstawicielki płci pięknej bardziej niż tego dnia.

— Czy nie powinniśmy zostać odpowiednio przedstawieni temu dżentelmenowi, Tracey? — spytała Fifi męża.

— Nonsens, moja kochana. Gdy się wchodzi do którejś ze świątyń przemysłu, należy odłożyć na bok zasady etykiety. — Mówiąc to, wydawał się głaskać urojone baczki.

Wewnątrz fabryczki czasowej panował kompletny chaos. Tu skutki katastrofy były widoczne w całej okazałości. Pierwszych górników wyciągano właśnie z szybu, gdzie miał miejsce wybuch gazu czasowego. Jeden z tych biednych mężczyzn słabo przeklinał, zrzucając winę za tę straszliwą tragedię na Grzegorza III.

Przemysł czasowy nadal był w powijakach. Minęło dopiero dziesięć lat, odkąd pierwsze podziemne maszyny odkryły nisze czasowe zalegające głęboko pod skorupą ziemską. Odkrycie ciągle dziwiło niektórych, a badania znajdowały się jeszcze w stosunkowo wczesnym stadium.

Jednak prawie natychmiast po odkryciu zaczął się dynamicznie rozwijać przemysł czasowy, a jego przedstawiciele — z wielkodusznością typową dla przekonanych o własnej potędze nuworyszy — dopilnowali, by każdy mieszkaniec planety otrzymał odpowiednią porcję czasu, i to po niewygórowanej cenie. Aktualnie w przemysł czasowy inwestowano wielokrotnie większy kapitał niż w jakąkolwiek inną gałąź światowej gospodarki. Nawet fabryczka w tak małej wiosce jak Rouseville była warta miliony. Tyle że teraz w fabryce doszło do prawdziwej katastrofy.

— Tutaj jest bardzo niebezpiecznie — zauważył Clayball. — Lepiej nie stójcie tu za długo, ludzie — krzyczał przez przeciwgazową maskę. Wokół panował okropny hałas, który wzmógł się jeszcze, gdy jakiś reporter w odległości niecałego jarda rozpoczął nagrywanie komentarza dla telewizyjnych wiadomości. Po chwili Clayball odpowiedział na jakieś wykrzywane przez brata

pytanie: — Nie, to coś więcej niż szczelina w głównym przewodzie zasilającym. Tak brzmiało tylko wyjaśnienie dla ogółu. Nasi dzielni chłopcy tam na dole natrafili na zupełnie nowy szew czasowy i obecnie czas wycieka wszystkimi dziurami. Nie sposób go powstrzymać! Zanim się domyśliliśmy, że stało się coś złego, połowa naszych górników przeżyła na nowo podbój Brytanii przez Normanów. — Dramatycznym gestem wskazał na płyty pod stopami.

Fifi nie potrafiła zrozumieć, o czym ten mężczyzna, do diabła, mówi. Od opuszczenia Plymouth¹ dryfowała i to nie do końca w sensie metaforycznym. Wystarczyło, że musiała grać Matkę Pątniczkę wobec jednego z Ojców Pielgrzymów²; nie zamierzała dodatkowo ryć w glebie tego Nowego Świata. Przechodziło jej pojęcie, że te monstrualne wytwory nowoczesnej technologii niszczą cały czasowy harmonogram planety.

W swoim obecnym stanie nie mogła wiedzieć, że iluzje, które ciągle wyrzucał gejzer czasu rozprzestrzeniły się już po całym kontynencie. Prawie każdy komunikacyjny satelita krążący nad Ziemią przekazywał obecnie szczegółowe i mniej więcej zgodne z faktami relacje na temat tragedii i zdarzenia, które do niej doprowadziło, podczas gdy zdeorientowani widzowie przed telewizorami zapadali się w coraz wcześniejsze generacje, niczym w śnieżne zasy bez dna.

Ze złóż w niszach wysyłano rurami czas do miliardów domów na świecie. Eksperci już wcześniej obliczyli, że przy obecnym tempie zużycia za dwieście lat złoża czasu całkowicie się wyczerpią. Na szczęście, naukowcy starali się wytworzyć syntetyczne substytuty czasu. Zaledwie w ubiegłym miesiącu stosunkowo niewielki zespół badawczy z Time Pen Inc. z Ink w stanie Pensylwania ogłosił, że wyizolowano cząsteczkę o całe dziewięć minut opóźnioną w czasie wobec jakiegokolwiek innej molekuly znanej dotąd nauce. Spodziewano się szybkich postępów w dziedzinie doświadczalnych prac nad molekułami „czasowymi”.

Nagle nadjechał ambulans, ostro hamując. Za nim przybył drugi. Archibald Smith spróbował ściągnąć Traceya z drogi.

— Nie dotykaj mnie, pachołku! — warknął Tracey, usiłując wyszarpnąć wymaginywany miecz.

Z ambulansów zaczęli wyskakiwać ludzie, a policja odgrodziła teren kordonem.

— Zamierzają wydobyć naszych dzielnych terranautów! — zawołał Clayball, usiłując przekrzyczeć panujący zgiełk.

Wszędzie wokół roilo się od mężczyzn w ochronnych skafandrach i hełmach, tu i tam przemykały też smukłe pielęgniarki w przeciwgazowych maskach. Koncentrowano zapasy tlenu i zupy, reflektory kołysały się nad głową, oświetlając kwadratowy otwór szybu. Ludzie w żółtych kombinezonach opuszczali się do szybu, porozumiewając się przez radiotelefony na nadgarstkach. Po chwili znikli. Na parę sekund pełna trwogi cisza zawisła nad budynkiem, ogarniając zgromadzone przed nim tłumy.

Jednak po kilku minutach hałas wrócił do poprzedniego poziomu. Pojawiła się kolejna grupa mężczyzn o srogich minach, którzy zepchnęli na bok reporterów.

— Zdaje mi się, że powinniśmy się stąd wynosić, na litość Boską! — szepnęła słabo Fifi, zaciskając kurczowo dłonie na okrytych cienkim swetrem ramionach. — Nie podoba mi się tu!

W końcu przy szczycie wyrobiska powstało jakieś poruszenie. Brudni mężczyźni w kombinezonach pociągnęli za linę i w chwilę później w polu widzenia zjawiał się pierwszy terranauta, w charakterystycznym dla tych pracowników czarnym uniformie. Był bez maski, toteż osobiście kiwał głową z oszołomienia, lecz dzielnie walczył, by nie utracić świadomości. Zmusił nawet blade wargi do czarującego uśmiechu i zamachał ręką do kamer. Wśród gapiów podniosły się wiwaty.

Górnicy stanowili nieustraszoną grupkę, która nie bała się schodzić do niezmiernych mórz gazu czasowego zalegających pod skorupą ziemi. Ryzykowali życie, by wydobyć z nie poznanej dotąd

krainy bryłki drogocennej wiedzy, poszerzając w nieskończoność granice nauki.. Z jednej strony pozostawali anonimowi i wynagradzani nie — adekwatnie do skali niebezpieczeństwa, równocześnie jednak w momentach zagrożenia zyskiwali szacunek całego świata za wysiłek oraz odwagę.

Główny reporter wiadomości przepchnął się przez tłum i dotarł do ocalonego terranauty. Zadawał pytania i przyciskał mężczyźnie mikrofon niemal do samych warg; udręczona twarz bohatera pojawiła się na ekranach telewizorów miliarda niedowierzających widzów.

— Strasznie jest tam... na dole. Dinozaury i ich młode — zdążył wysapać górnik, prowadzony do najbliższego ambulansu. Na dole głęboko w gazie. Całe stada... I polują... Kilkaset stóp niżej i wylądowalibyśmy... wylądowalibyśmy przy stworzeniu... świata...

Zapadła cisza. Świeże posiłki policyjne przeganiały z fabryczki wszystkie nieupoważnione osoby, zanim pozostali terranautci pojawią się na powierzchni, chociaż jak dotąd nie widać było jeszcze ich kapsuły. Gdy uzbrojony kordon zaczął podchodzić, Fifi i Tracey rzucili się w jego stronę. Nie mogli już dłużej tu wytrzymać i czuli, że nic nie rozumieją. Nie zważając na wrzaski obu Smithów w ochronnych maskach, popędzili więc do drzwi i wybiegli w ciemność, a wysoko ponad nimi górował olbrzymi, niewidoczny pióropusz gejzeru czasu, pióropusz, który coraz bardziej rozkwitał, rozprzestrzeniając zagładę na cały świat.

Przez długi okres Fevertreesowie wpełzali zdyszani, opierając się plecami o najbliższy żywopłot. Od czasu do czasu Fifi kwiliła jak mała dziewczynka, a Tracey jęczał niczym starzec. Przeważnie jednak tylko ciężko oddychali.

Wstawał świt, gdy się podnieśli i ruszyli drogą ku Rouseville, trzymając się blisko uprawnych pól.

Nie byli sami. Towarzyszyło im mnóstwo mieszkańców wioski, którzy oddalali się od swoich domostw, gdyż obecnie stały się im one obce i niepojęte dla ich ograniczonych nagle mózgów. Gapiąc się na nieproszone towarzystwo spod zmarszczonych brwi, Tracey przystanął i sporządził sobie z gałęzi prymitywną pałkę.

Razem mężczyzna i jego kobieta, powłócząc nogami wchodzili na wzgórze.' Kierowali się z powrotem w dzicz, podobnie jak większość pozostałej przy życiu ludzkości. Ich przygięte ku ziemi, powykrzywiane sylwetki rysowały się niewyraźnie na tle pierwszych nieśmiałych promieni słonecznego światła.

— Ugh glumph hum herm morm glug humk — wymamrotała kobieta, co znaczyło (w przybliżonym tłumaczeniu z języka epok, kamiennej): „Dlaczego, cholera, człowiekowi musi się zawsze przydarzyć coś takiego dokładnie wtedy, gdy jest właśnie u progu cywilizacyjnego przełomu?”.

Tłum. Ewa i Dariusz Wojtczakowie

Posłowie:

Jeśli jakaś „niebezpieczna wizja” może być totalnie zakorzeniona w realnym życiu, jest nią absolutnie opowiadanie *Noc, podczas której do cna wyczerpał się czas*. Powiniennem wyjaśnić, że mieszkam obecnie w odległym zakątku Oxfordshire w Anglii, gdzie nabyłem cudowny szesnastowieczny dom, cały z kamienia, drewna, strzechy... i mocno zrujnowany. Powiedziałem do mojego przyjaciela, Jima Ballarda, pisarza sf: „Wygląda niczym jakieś osobliwie zmutowane, monstrialne hiperwarzywo wyrosłe z ziemi”, on zaś mi odparł: „Tak. I najwyraźniej teraz z powrotem w tę ziemię wrasta”.

Starając się utrzymać dom nad powierzchnią, postanowiliśmy wraz z żoną podłączyć go do głównego systemu hydrokanalizacyjnego i udroźnić stare szambo.

Robotnicy z wynajętej ekipy budowlanej natychmiast otoczyli budynek gigantyczną siecią kanałów i systemem ogromnych rur. W tym wszechobecnym chaosie zacząłem się nagle zastanawiać, jak poradzą sobie z podobnie przyziemnymi problemami przyszłe pokolenia. Rezultatem mojej zadumy jest powyższe opowiadanie.

W przybliżeniu licząc, jest to moja sto dziesiąta opublikowana opowieść. Rzuciłem etatową pracę dziesięć lat temu i zająłem się wyłącznie pisaniem. Te był jeden z najlepszych pomysłów, jakie kiedykolwiek przyszły mi do głowy. Wierzę też, że historia przedstawiona tutaj należy do moich pomysłów najbardziej wariackich. I żywię nadzieję, że wymyślę jeszcze mnóstwo innych, równie szurniętych historii... Bo naprawdę nie mam najmniejszej ochoty wracać do zwykłej pracy

Wprowadzenie do „Człowiek, który poleciał na Księżyc... aż dwukrotnie”:

Pierwotnie jedną z pobocznych (choć nie mniej ważnych) intencji tej antologii, miało być skupienie uwagi czytelników na opowiadaniach napisanych przez pisarzy, których twórczość w zasadzie sytuuje się daleko od literatury science fiction czy nawet w ogóle od konwencji fikcji spekulatywnej. Stąd w moim osobistym wstępnym spisie treści pojawiły się nazwiska takich twórców jak: William Burroughs, Thomas Pynchon, Alan Sillitoe, Terry Southern, Thomas Berger i Kingsley Amis. Nazwisko Howarda Rodmana również na tej liście figurowało. Okoliczności niemal makiawelicznej natury uniemożliwiły wszakże umieszczenie w zbiorze tekstów pierwszej szóstki twórców. Howard Rodman jest z nami. I czuję się z tego powodu zaszczycony.

Każdy kto ogląda telewizję, musi nieuchronnie zostać fanem dokonań Rodmana. Ponieważ jeśli nawet oglądacie ją sporadycznie i w gruncie rzeczy przypadkowo, z pewnością staracie się zawsze znaleźć najlepsze programy, czyli musieliście widzieć zrealizowane scenariusze Rodmana. [Mała dygresja: wydaje mi się dziwne, że mnóstwo fanów literatury science fiction, ludzi, których interesują krainy marzeń, loty tunelami czasoprzestrzennymi, miasta cudów, wspaniałe wynalazki, przejścia dylatacyjne, interaktywne media przyszłości z transmisją mentalną włącznie... równocześnie najgłośniej wykrzykuje swoją pogardę wobec nowoczesnej telewizji. Wielu poznanych przeze mnie fanów, gdy odkryło, że spędzam część życia pisząc dla tego medium, wyniośle oświadczało, że rzadko włączają odbiornik. Nie powiedzieli, że nie włączają go w ogóle, bym ich nie posądził o brak obycia. Najwyraźniej im przykro, że do przeciętnego człowieka trafiają obecnie programy o podróżach kosmicznych i sprawdzają się wszystkie inne przepowiednie Hugo Gernsbacka dotyczące „unaukowienia” codziennego życia w przyszłości. Przypuszczam, że jest to dla nich swego rodzaju tragedia, podobnie jak jest nią dla rasowego fana Tolkiena nagła konstatacja, że dziś byle oferma na całym świecie może sobie czytać kieszonkowe wydanie *Władcy pierścieni*. Uważam jednak, że lepiej z sensem wykorzystywać masowe medium jakim jest telewizja (nawet jeśli dziewięćdziesiąt sześć procent czasu antenowego to zwykły chłam i entropia), niż zdegradować je do okropnie antyseptycznego losu, jaki przeznaczyła mu sf z roku 1928.

Howarda Rodmana nominowano i obdarowano większą ilością nagród za telewizyjne scenariusze niż kogokolwiek, kto aktualnie pracuje w telewizji. Jego słynny scenariusz do odcinka *Naked City*. „Bringing Far Places Together”, otrzymał nagrodę Emmy i nagrodę Gildii Pisarzy — uhonorowano nie tylko Rodmana, ale również cały serial, reżysera i aktorskie gwiazdy. Miłośnicy telewizyjnych cykli przypomną sobie nadany w ubiegłym sezonie odcinek „The Game with Glass Pieces” z serii: *Bob Hope — Chrysler Theater*. To, w rzeczy samej, styl Howarda Rodmana nadawał ton najlepszym odcinkom *Naked City* i *Route 66*.

Rodman pochodzi z Bronxu, urodził się w 1920 roku i jako dziesięcioletek zdecydował, że zostanie pisarzem. Potraktował tę decyzję poważnie w wieku lat piętnastu i przez następny rok czytał minimum jeden tom opowiadań dziennie, przez kolejny rok zaś — tylko sztuki, lecz za to pięć albo

sześć każdego dnia. Natomiast od siedemnastego do dwudziestego pierwszego roku życia narzucił sobie codzienny obowiązek pisania trzech tysięcy słów: pisywał opowiadania, scenki do sztuk, wiersze, dialogi i inne teksty. Ukończył Brooklyn College, a później zrobił dyplom na Iowa University. Jako dwudziestojednolatek wstąpił do armii, został sierżantem i trafił do kontrwywiadu (polecono mu między innymi wojenne inspekcje domów publicznych francuskiego miasta Lilie). Opublikował ponad sto pięćdziesiąt opowiadań, kilkaset wierszy, czterdzieści jeden jednoaktówek, cztery sztuki trzyaktowe (które pojawiają się w antologiach najlepszych dramatów roku). Przez ubiegłe dziesięć lat działał aktywnie jako twórca radiowy, telewizyjny i filmowy. W wieku czterdziestu siedmiu lat Howard Rodman... postawny, jowialny, nieprawdopodobnie dowcipny i mądry facet... fascynat filmu... jest szczęśliwie żonaty po raz drugi, tym razem ze śliczną i utalentowaną aktorką Normą Connolly. Mają czworo dzieci, które — niezależnie od surowości przyjętych kryteriów — nie sposób nazwać inaczej jak tylko geniuszami.

Bardzo się cieszę, że opowiadanie Howarda trafiło do tej antologii i to nie tylko dlatego, że jest ono nieco odmienne od pozostałych, a zatem na ich tle prezentuje się wyjątkowo, lecz także z mniej znaczących powodów, które zamierzam omówić poniżej.

Byłem wielbicielem scenariuszy Rodmana na długo zanim przyjechałem do Hollywood. Uważałem je za ucieleśnienie ideałów, do których powinien dążyć scenarzysta pracujący w medium drażniącym tak wielu z nas. W ciągu pierwszych kilku miesięcy spędzonych w „mieście klaunów” starałem się poznać Rodmana, a gdy mi się to wreszcie udało, właśnie od niego nauczyłem się pewnej ważnej lekcji. Lekcji, z której może skorzystać każdy pisarz. Brzmi ona: „Nie bój się”. To proste: „Nie pozwól JM się zastraszyć. Bo ONI nic ci nie mogą zrobić”. Jeśli cię wykopią z produkcji filmowej, pracuj dla telewizji. Jeśli cię wykopią z telewizji, pisz powieści. Jeśli nie chcą kupować twoich powieści, sprzedawaj opowiadania. Jeśli nie zdołasz żadnego sprzedać, zatrudnij się jako murarz i pisz dalej. Pisarz zawsze pisze! Od tego jest. Jeżeli ktoś zabroni ci pisać teksty z jednego gatunku, jeśli — mówiąc obrazowo — wyrzucą cię z jednego rynku, spróbuj na innym. A gdy zamkną wszystkie bazy, wtedy — na Boga — idź i pracuj tak długo, aż cię docenią! Bo talent masz w sobie na zawsze. Kiedy jednak pierwszy raz powiesz: „Och, Chryste, oni mnie zniszczą!”, wtedy jesteś skończony. Ponieważ najważniejszy towar, który musi sprzedać autor, to własna odwaga. A jeśli pisarz takowej nie posiada, jest więcej niż tchórzem: jest zdrajcą, sprzedawczykiem i heretykiem, gdyż pisanie to jego najświętszy obowiązek. Tego właśnie się nauczyłem od Howarda Rodmana.

Inny powód mojego zadowolenia, że udało mi się wprowadzić do tej antologii jego nowelkę, to jej wydźwięk. Jest łagodna, pozornie zwykła i należy do „wizji” nie bardzo „niebezpiecznych”. Tym niemniej, gdy po raz pierwszy ją czytałem i te właśnie myśli mnie ogarnęły... przerwałem lekturę, a przez głowę przemknęło mi ostrzeżenie: „Przeczytaj jeszcze raz”. Rodman jest przebiegły. Więc przeczytałem ponownie jego opowiadanie i tym razem uderzyła mnie zarówno treść, wcale nie taka zwyczajna jak mi się początkowo zdawało, jak i sposób jej przedstawienia. Rodman pokusił się o coś bardzo trudnego i na swój własny sposób niepokojącego. Jego historyjka stanowi niezwykle mądry komentarz do problemu, który poruszyłem w drugim akapicie niniejszej przedmowy. („Dygresja” w nawiasach.) Opowieść Rodmana jest tego rodzaju, jakie zwykł kiedyś pisać Heinlein i jakie wielokrotnie tworzył Vonnegut, ale których większość spekulatywnych pisarzy nawet nie rozważała. Są za bardzo „oddaleni” w przestrzeni. Rodman ciągle posiada namacalne więzi z „tu i teraz”. I właśnie zainteresowanie tragedią (i zrozumienie dla tej tragedii) „tu i teraz” podsunęło mu pomysł historii człowieka, który poleciał na Księżyc... aż dwukrotnie.

Na koniec ostatni powód, dla którego zachwyca mnie takt zaistnienia tekstu Rodmana w tej

antologii. Rodman to prawdziwy bojownik, a nie jakiś salonowy liberał. Jego przestrozę dla mnie wieńczyło stwierdzenie, by nigdy nie obawiać się walki o to, co się napisało. Próbowałem tak postępować, czasami z powodzeniem, czasem bez. Nie jest to łatwe w Hollywood... Jednakże mój mentor, Howard Rodman, cisnął kiedyś ciężką popielniczką w człowieka, który odrzucił mu scenariusz i ktoś musiał Rodmana powstrzymać, w przeciwnym razie urwałby facetowi łeb. Przy innej okazji Howard wysłał bardzo potężnemu producentowi (który zarządził jeden z jego programów) wielką paczkę owiniętą w czarną krepe. Wewnątrz znajdowała się para ogrodowych nożyc, notka: *Requiescat in Pace* i nazwa programu. Po wytwórniach krąży też pewna anegdota: jeśli Ellison piszący dla ciebie nie przyprawił cię o dostateczny ból głowy, zadzwoń do Rodmana i zafunduj sobie oryginał.

A jednak mimo tej famy autor poniższego opowiadania osiągnął niepodważalny sukces, poświadczający renomę jego pisarstwa: należy obecnie do najbardziej zajętych scenarzystów w Hollywood.

Howard Rodman
The Man Who Went To The Moon—Twice

Człowiek, który poleciał na Księżyc... aż dwukrotnie

Gdy Marshall Kiss poleciał na Księżyc po raz pierwszy, miał dziewięć lat i była to podróż zupełnie przypadkowa. Na kiermaszu zerwał się balon i odleciał... a w nim znajdował się Marshall.

Opadł dopiero dwanaście godzin później.

— Gdzie byłeś? — spytał Marshalla jego tato.

— Na Księżycu — odparł chłopiec.

— Nie mów — mruknął ojciec, lekko rozdziawiwszy usta, po czym wyszedł, aby opowiedzieć sąsiadom o przygodzie syna.

Mama Marshalla, osóбка bardziej praktyczna, po prostu postawiła przed chłopcem kopiastą miskę smacznych gorących płatków.

— Po takiej wyprawie musisz być strasznie głodny. Lepiej zjedz kolację, zanim pójdziesz do łóżka.

— Chętnie zjem — odrzekł Marshall, zabierając się do spałaszowania miski płatków. Był w połowie, gdy zjawili się reporterzy: zwalisty facet z małym wąsikiem i oschły młodzieniec, który pracował w gazecie, by zarobić na chesne w college'u dla przyszłych przedsiębiorców.

— No dobrze — zagaił ten z wąsikiem — więc podobno byłeś na Księżycu?

Marshall poczuł się onieśmielony, toteż tylko milcząco pokiwał głową.

Przyszły przedsiębiorca uśmiechnął się z wyższością, lecz uśmiech zamarł mu na wargach, kiedy mama Marshalla posłała mu piorunujące spojrzenie.

— Jak było? — spytał pan z wąsikiem.

— Bardzo przyjemnie — odparł uprzejmie chłopiec. — Zimno, świeże powietrze i wiele śpiewania.

— Jakiego rodzaju śpiewania?

— Po prostu śpiewania. Przyjemne tony.

„Przedsiębiorca” uśmiechnął się chytrze, lecz powstrzymał uśmieszek, gdy nachmurzona mama Marshalla głośno postawiła szklankę mleka na stole.

— Przyjemne tony — powtórzył Marshall. — Dokładnie takie jak kościelne hymny.

Trzech sąsiadów przyszło popatrzeć na małego podróżnika. Stali za stołem i gapili się na chłopca, który dopiero co wrócił z Księżycy.

— Kto by w to uwierzył? — wyszeptał jeden z nich. — Wygląda tak młodo.

Marshall zarumienił się z dumy i opuścił głowę nad miseczkę z płatkami.

Właśnie wtedy czterech kolegów ze szkoły zerknęło przez kuchenne drzwi, po czym wcisnęło się między sąsiadów.

— Spytaj go! — syknął najmniejszy kolega.

— Hey, Marsh — zawołał najodważniejszy — będziesz grał jutro w piłkę?

— Jasne — odparł Marshall.

— Nic mu nie jest — najodważniejszy oświadczył pozostałym. — W ogóle go ten lot nie zmienił.

Tato Marshalla wrócił z dwoma innymi sąsiadami, a jakaś kobieta przyprowadziła męża i ośmioro dzieci; by zobaczyć podróżnika, przeszli aż dwie i pół mili. Koń wsunął głowę przez kuchenne okno, a kura wskoczyła i ukryła się pod piecykiem.

Do drzwi zadzwonił nauczyciel Marshalla, a gdy nikt nie zareagował na dzwonek, wszedł, przemaszerował przez dom i wkroczył do kuchni.

Wszyscy patrzyli na chłopca wesoło i z dumą, lecz najwyraźniej nikt nie wiedział, co powiedzieć. Nawet kiedy przybył burmistrz, świeżo ogolony i gotów wygłosić mowę, w ostatniej chwili jakaś myśl przemknęła mu przez głowę i bez słowa zamknął usta.

W kuchni zrobiło się ciepło od tak wielu ludzi ściśniętych blisko siebie, ale był to miły rodzaj ciepła, radości i szczęścia, i nikt nikogo nie popychał. Mama Marshalla tytko szczyrzyła zęby i błyskała uśmiechami, a jego tato — usadowiwszy się obok pieca na odwróconej skrzynce — pykał fajkę o główce z wydrażonej kukurydzianej kolby.

Reporter, który uczył się na przedsiębiorcę, zaczął wypytywać Marshalla:

— Skąd wiesz, że doleciałeś akurat do Księżyc? — Jednak na więcej się nie odważył, a po chwili jakimś sposobem znalazł się z tyłu tłumu, wypatrując ponad głowami pozostałych i stając na palcach.

W końcu kura zagdakała, co wszyscy uznali za zabawne, więc się głośno i z ulgą roześmiali.

Marshall skończył płatki i mleko, podniósł oczy i wyrztał przez okno. Odkrył, że podwórze przed domem jest również zatłoczone ludźmi: przybyli z odległości kilku mil, konno, powozami, pieszo lub w inny sposób. Widział, że czekają na jego opowieść, toteż wstał i wygłosił mowę:

— Nigdy rozmyślnie nie zamierzałem lecieć na Księżyc — zaczął.

— Podróż po prostu mi się przydarzyła. Balon ciągle się wznosił, a ja leciałem wraz z nim. Dość szybko odkryłem, że spoglądam z góry na wysokie szczyty. Wspaniały widok. Tym niemniej, nadal leciałem i leciałem. Po drodze rozwścieczyłem pewnego orła. Próbował się wzbić tak wysoko jak ja, niestety nie dał rady. Podrywał się szaleńczo, ten orzeł, ale bez skutku. I zadzierał głowę. — Wszyscy ludzie w kuchni i na podwórzu ze zrozumieniem pokiwali głowami. — Ostatecznie — kontynuował Marshall — dotarłem na Księżyc. Jak już wspominałem, przeżycie okazało się dość przyjemne. — Przerwał, ponieważ powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia.

— Byłeś przerażony? — spytał ktoś.

— Trochę — przyznał chłopiec. — Ale powietrze orzeźwiało mnie, ja zaś po prostu leciałem.

— No cóż — odezwał się burmistrz, ot tak, by coś powiedzieć

— cieszymy się, że mamy cię z powrotem. — Wyciągnął rękę i uściśnął dziewięciolatkowi dłoń.

Później Marshall uściśnął ręce wszystkim wokół i gapie rozeszli się do domów. Koń cofnął łeb z okna i wrócił do skubania trawy na podwórzu. Kura wyskoczyła znowu za próg, zostawiwszy jajko pod piecem. Dom był pusty, lecz nadal wypełniony radością. Chłopiec odnosił wrażenie, że ludzie, którzy do niego przyszli, przynieśli tu swoje szczęście i zostawili je jako prezent, tak jak kura jajko.

— To był dla ciebie wielki dzień — oznajmił tato chłopca.

— A teraz zmykaj lepiej do łóżka — dodała jego mama.

— Możliwe... — dodał tato Marshalla, myśląc intensywnie — możliwe, że staniesz się wielkim badaczem... za jakiś czas.

Chłopiec popatrzył na matkę i ujrzał w jej oczach obawę, że syn wyrośnie na włóczęgę, więc przez wzgląd na nią odpowiedział:

— Powiem ci coś, tato. Bardziej prawdopodobne mi się wydaje, że po tych wozach po prostu

osiądnę tu na stałe i już nie ruszę się z miejsca. — Oczywiście mrugnął porozumiewawczo do ojca, aby dać mu do zrozumienia, że może miał rację z tym badaczem. — Dobranoc, tato — dodał. — Dobranoc, mamó.

— Dobranoc, synu.

Mama pocałowała go w policzek.

Marshall wszedł do swojego pokoju, zamknął za sobą drzwi, rozebrał się i założył pidżamę. Ukląkł obok łóżka i złożył dłonie do modlitwy.

— To był — szczęśliwy dzień, Panie. Szczęśliwy, o ile pamiętam. Dzięki ci.

Wskoczył do łóżka i ułożył się do snu.

* * *

No cóż, wiecie, jak szybko mija czas. Marshall Kiss dorósł, ożenił się i uniezależnił. Miał dzieci i jego dzieci miały dzieci. Dzieci dorosły i jak to zwykle bywa, zgodnie z prawami natury poszły swoimi drogami. Żona Marshalla umarła równie naturalną śmiercią. I tak został sam na świecie. Żył na swojej farmie i pracował akurat tyle, na ile miał ochotę.

Czasami zachodził do miasta, siadał przy piecu w sklepie spożywczym i gawędził z ludźmi, a innymi razy zostawał w domu i słuchał deszczu rozmawiającego z szybami. Nadszedł czas, kiedy Marshall ukończył dziewięćdziesiątkę. Większość ludzi, którzy żyli, gdy był chłopcem, umarła.

Mieszkańcy miasta należeli do nowej generacji i chociaż nie zachowywali się nieuprzejmie, nie byli też zbyt przyjaźni. Takie jest to nowe pokolenie — nie spogląda wstecz, lecz tylko przed siebie.

Przyszedł więc moment, gdy Marshall przemierzał miasto od jednego końca do drugiego i nie spotykał ani jednej znajomej osoby. Kiwał głową ludziom na powitanie, a oni odpowiadali mu tym samym, lecz nie była to rzeczywista, bliska, ludzka więź, a jedynie zwykła uprzejmość. Wiecie, jak kończy człowiek, który musi żyć z taką świadomością: staje się samotny.

I dokładnie to się przytrafiło Marshallowi — zaczęła mu doskwierać samotność.

Najpierw pomyślał, że jeśli odizoluje się od i tak obcych przecież ludzi, może jakoś zapomni o własnej samotności. Przez cały miesiąc nie wychylił zatem nosa za próg, oczekując, że może ktoś się zainteresuje jego losem i przyjdzie zobaczyć, jak się starzec miewa. Niestety, nikt się nie pojawił, toteż w miesiąc później Marshall wrócił do miasta.

Ekspedientowi w sklepie najwyraźniej coś niejasno majaczyło, że od jakiegoś czasu nie widział starego, nie był tego jednak zbyt pewny.

— Nie bywał pan u nas przez parę dni, prawda? — spytał Marshalla.

— Raczej przez miesiąc — odparł Kiss.

— Nie mów pan — mruknął ekspedient, podliczając liczby na rachunku Marshalla.

— Odbyłem daleką podróż — wyjaśnił starzec.

— Odwiedzał pan krewnych? — spytał ekspedient.

— Byłem na Księżycu — odparł Marshall.

Ekspedient popatrzył trochę znudzony i kompletnie nie zainteresowany. Stwierdzenie bynajmniej nie zrobiło na nim wrażenia. Może nawet w ogóle nie uwierzył swemu klientowi. Był wszakże kulturalnym człowiekiem, więc skomentował:

— To musiała być przyjemna podróż.

Co powiedziawszy, przestał o tym myśleć. Marshall wyszedł ciężkim krokiem ze sklepu i ruszył, by pod — strzyc sobie włosy.

— Dość mocno urosły, panie Kiss — zauważył fryzjer.

— I powinny — odparł Marshall. — Nie ma salonów fryzjerskich na Księżycu, wie pan.

— Zgadza się — odrzekł fryzjer i zabrał się do pracy, pracowicie trzaskając nożycami i skupiając się, by przyciąć odstające kosmyki to w jednym, to w innym miejscu. Podczas tej pracy ani słowem nie zająknął się o Księżycu. Widocznie nie miał za grosz przyzwoitości, by chociaż spytać, jak było.

Więc Marshall zasnął i spał, aż fryzjer nie skończył.

Tymczasem na codzienne trzymowanie przyszedł burmistrz. Był młodym mężczyzną o gęstej brodzie. Od niechcienia zerknął na Marshalla.

— Starzec — powiedział do fryzjera.

Fryzjer pokiwał głową, nie przerywając pracy.

— Wygląda na wymęczonego — zauważył burmistrz.

— Nic dziwnego — odparł mu fryzjer. — Dopiero co wrócił z Księżycy. — Roześmiał się głośno.

— Nie mów pan — mruknął burmistrz.

— Tak twierdzi. — Fryzjer znowu się zaśmiał. — Dopiero co wrócił z Księżycy.

— No cóż, w takim razie to normalne, że jest zmęczony. — Słyszac rechot burmistrza i fryzjera, Marshall uświadomił sobie, że po prostu sobie z niego drwią. Ponieważ tak naprawdę wcale nie spał, oczywiście.

Ich śmiech go rozwścieczył, toteż zerwał się na równe nogi, zdarł z szyi pelerynkę i ciężkim krokiem ruszył dalej, do redakcji lokalnej gazety.

— Nazywam się Marshall Kiss — oświadczył nowemu pracownikowi za biurkiem — i przed chwilą wróciłem z podróży na Księżyc!

— Dzięki za informację, tatuśku — odparł reporter, uśmiechając się trochę krzywo. — Zajmę się tą sprawą, kiedy tylko znajdę trochę czasu. — Co powiedziawszy, zarzucił z ostentacją wielkie buciory na biurko i klasnął za głową dłońmi.

Starcowi stanęły w oczach łzy.

— Byłem na Księżycu dwukrotnie — krzyknął. — Raz, gdy miałem dziewięć lat i w owym czasie napisano o mojej podróży w twojej gazecie. Ludzie pokonywali nawet dwanaście mil jedynie po to, by na mnie popatrzeć. Wzniosłem się w starym balonie i przypawiłem o zawał orła, który usiłował się ze mną ścigać. Ale nie był w stanie wzlecieć równie wysoko jak ja. — Popatrzył na reportera twardo, lecz zauważył, że ten mu nie wierzy i nawet nie próbuje uwierzyć. — Nie zostało już krzty współczucia — ocenił Marshall — ani też radości na tym świecie. — I z tym słowami wyszedł.

Droga do domu była przeważnie skalista i stroma. Starcowi wydawało się, że przejście krótkiego dystansu zajmuje mu bardzo dużo czasu. „Nie potrafię zrozumieć, jak ludzie mogli się tak strasznie zmienić — pomyślał. — Trawa jest wszak ciągle zielona, konie mają ogony, a kury nadal znoszą jajka...”. Jego zadumę przerwał mały chłopiec, który przebiegł obok niego. Udawał, że galopuje i uderzał się w pośladek, jakby jechał konno.

— Witam — zagaił chłopiec. — Dokąd pan idzie?

— Po prostu na wzgórze, z powrotem na moją farmę — odparł Marshall.

— A gdzie pan był? — spytał chłopiec.

— Tylko w mieście — odparł starzec.

— Nigdzie indziej? — spytał rozczarowany chłopiec. — Nie był pan nigdzie indziej?

— No... Byłem też na Księżycu — oświadczył nieco nieśmiało Marshall.

Oczy chłopca otworzyły się szeroko i jasno rozbłysły.

— I to dwukrotnie — dodał z dumą stary. Malec otworzył oczy jeszcze szerzej.

— Jak się panu podobało? — krzyknął podekscytowany. — Jak... jak się panu podobało? — Z podniecenia aż się jąkał.

— Właściwie — dorzucił Marshall — dopiero co stamtąd wróciłem. Chłopiec milczał przez sekundę.

— Niech mi pan powie — spytał w końcu — mógłbym przyprowadzić przyjaciółkę i jej pana pokazać?

— Oczywiście, przyprowadź. Mieszkam o tam, w tym domu, który widzisz. — Starzec odwrócił się i ruszył ku domostwu.

— Zaraz wracam — obiecał malec i popędził najszybciej, jak potrafił po przyjaciółkę.

Dopiero jakieś pół godziny później chłopiec i dziewczynka dotarli do wskazanego domu. Zastukali w drzwi, a gdy nikt im nie odpowiedział, po prostu weszli.

— Wszystko w porządku — oznajmił chłopiec. — Ten pan jest bardzo towarzyski.

Nie znaleźli nikogo w kuchni, toteż zajrzeli do salonu, ale i ten okazał się pusty.

— Może wrócił na Księżyc — wyszeptła dziewczynka z respektem.

— Możliwe — zgodził się chłopiec, tym niemniej oboje zajrzeli do sypialni.

Marshall leżał na łóżku, więc początkowo pomyśleli, że śpi. Jednak po chwili, kiedy starzec się nie poruszał ani nie oddychał, chłopiec i dziewczynka uświadomili sobie, że udał się dalej niż na Księżyc.

— Sądzę, że masz rację — mruknął chłopiec. Rozdziawionymi niemal do granic możliwości oczyma wpatrywali się z podziwem w człowieka, który dwukrotnie odwiedził Księżyc.

— Czyli że teraz poleciał trzeci raz — zauważyła dziewczynka.

I nagle, zupełnie bez powodu przerażili się i uciekli, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Biegli cicho, trzymając się za ręce, zalęknieni, lecz równocześnie dziwnie szczęśliwi, jakby przydarzyło im się coś bardzo cudownego, czego nie potrafili objąć rozumem.

Po jakimś czasie, a zdarzyło się to na tej farmie pierwszy raz, koń wszedł do domu, wetknął głowę przez drzwi sypialni i zajrzał.

Potem kura wskoczyła do środka i ukryła się pod łóżkiem. A jeszcze później wielu ludzi przyszło popatrzeć na szczęśliwy uśmiech rozjaśniający twarz Marshalla.

— To on — wskazał chłopiec. — Człowiek, który był dwukrotnie na Księżycu.

Pod wrażeniem uśmiechu na twarzy zmarłego starca, obecności konia, który stał przy łóżku, machając ogonem i nagłego rozgdakania się siedzącej pod łóżkiem kury... jakoś nikt nie zaprotestował przeciw stwierdzeniu chłopca.

Zresztą, tego samego dnia wysłana z Ziemi rakietą kontynuowała swą trzydniową podróż ku Czerwonej Planecie. Mało kto chciał już latać jedynie na Księżyc. Istniały znacznie ciekawsze miejsca, które ludzie pragnęli odwiedzić.

Tłum. Ewa i Dariusz Wojtczakowie

Posłowie:

To szczególne opowiadanie zrodziło się z nagłego, niezwykle osobistego zrozumienia pewnych aspektów życia mojego ojca — kolosalnej zmiany, która nastąpiła podczas jego życia. Chodzi mi o niewyobrażalny postęp technologiczny, który dokonał się, gdy ojciec był chłopcem.

Ojciec opowiedział mi, jak kiedyś siedział i słuchał fonografu, który przynosił na plecach pewien człowiek, chodzący od wioski do wioski po Polsce, gdzie mój ojciec się urodził. Za kopiejkę ów mężczyzna kręcił korbką, płyta się obracała, igła rysowała płytę i jeśli ojciec przysunął ucho do tuby, słyszał wychodzący z niej cud: głos, muzykę, recytację.

Później, w roku 1928 czy 1929 mój ojciec wsiadł do aeroplanu, który wylądował na polu uprawnym w górach Catskill. Za pięć dolarów mój ojciec leciał aż pięć minut.

Skoro przeżył to mój ojciec, sprawa dotyczyła całego jego pokolenia. W okresie, który wydawał się niewiarygodnie krótki, znikła wszelka tajemnica i cud. Telewizja niewiele ma wspólnego z cudem, wbrew opinii, że nieprawdopodobna zawilgość wysyłania i odbioru telewizyjnego sygnału niemożliwa jest do zrozumienia dla dziesiątek i setek milionów zwykłych telewidzów. Telewizyjny odbiornik przyjął się właśnie dlatego, że „zlikwidowano” cud. Dlatego że odbiornik jest w gruncie rzeczy głupią skrzynką: nie tyle w sensie samej konstrukcji, co sposobu, w jaki uproszczono mechanizm jego obsługi, dzięki czemu telewizję może oglądać każdy, kto potrafi wcisnąć guzik i przekręcić pokrętło, by ustawić właściwy kanał. Nie trzeba nawet znać numerów kanałów, wystarczy umieć kręcić. Chociaż, *ipso facto*, jeśli ktoś pragnie obejrzeć jakiś program na kanale 8, musi tak długo owym pokrętłem kręcić, aż żądany program pojawi się na ekranie. *Ergo*, człowiek w końcu dociera do kanału ósmego.

I tak zniknął cud.

Dla mnie postęp techniczny ostatnich dekad ma w sobie coś z cudu. Jest magiczny, baśniowy i niewiarygodny. A ponieważ cud zmian, do których doszło, gdy mój ojciec był chłopcem, wydał mi się bezpowrotnie stracony, napisałem to opowiadanie.

Przypomina ono, że fantazja egzystuje w naszym codziennym życiu z równą intensywnością jak w cudownej przyszłości. Warto pamiętać, że najbardziej zaawansowane wytwory ludzkiego umysłu sięgają daleko poza zdolność pojmowania przeciętnego obywatela. Swoją drogą, to niesamowite, że ziemską cywilizacja wciąż się rozwija i to coraz szybciej, skoro tak niewiele jest osób cywilizowanych.

Pewnie w innym nastroju napisałbym bardziej wyrafinowaną literacko historię, tym razem jednak uznałem po prostu, że forma powinna współgrać z treścią. Skutkiem tego powstała baśń: staroświecka, sentymalna, wystukana na elektrycznej maszynie.

Wprowadzenie do „Wiary naszych ojców”:

Nie było wątpliwości. Jeśli książka miała zawierać nowe pomysły i podejmować zakazane tematy, składać się z opowiadań, których nie dałoby się sprzedać do zamieszczających masówkę czasopism, czy też konkretniej do hermetycznych, wyspecjalizowanych magazynów poświęconych fantastyce naukowej — musiałem zwrócić się do pisarzy, którzy nie boją się błądzić w ciemnościach. Phillip K. Dick od lat szlifował swój własny krajobraz, rzucając blaski swojej wyobraźni na *terra incognita* zawrotnych wymiarów. Poprosiłem o Phila Dicka i dostałem go. Opowieść napisaną o, i pod wpływem (jeśli to możliwe), LSD. Poniższy tekst, podobnie jak znakomita, ekscentryczna powieść *Trzy stygmaty Palmera Eldritch'a*, jest wynikiem takiej halucynogennej podróży.

Dick ma niepokojący zwyczaj wstrząsania teoriami różnych ludzi. Na przykład moją własną o wartości sztucznego pobudzenia, jako zachęty do podjęcia procesów twórczych. (Jak sądzę jest to unik z mojej strony, ponieważ nie potrafię pisać bez grzmiącej w tle muzyki. Nieważne czy jest to Honegger, Tijuana Brass, Arenie Shepp czy New Vaudeville Band grający „Winchester Cathedral”. Coś musi grać.) Kiedy byłem nieco młodszy, włóczyłem się po różnych nowojorskich klubach jazzowych jako krytyk, recenzent i zwykły słuchacz. Poznałem bliżej wielu muzyków, którzy przysięgali, że do gry niezbędna im jest marycha albo amfa. Potem, po sztachaniu się albo po haju kończyli na koce; rezultatem było szaleństwo. Znałem tancerki, które miały trawkę zamiast mózgow — bo bez działki nie potrafiły doświadczyć wrażenia „unoszenia się w powietrzu”; psychiatrów, którzy podpisywanymi przez siebie receptami na narkotyki podtrzymywali własne nałogi, jakim ulegli opierając się na złudzeniu, że ćpanie uwalnia ich umysły, pozwalając na bardziej wnikliwe analizy; artystów pozostających bezustannie pod wpływem LSD, a których dzieła stworzone pod wpływem środków „poszerzających horyzonty umysłu” wyglądały jak coś, co znalezione na dnie brodzika zostałoby natychmiast usunięte przy pomocy środka do szorowania. Moja teoria, powstała w ciągu lat obserwowania ludzi oszukujących samych siebie dla narkotycznego kopa, głosiła, że proces twórczy jest najżywotniejszy gdy czysty, niezamglony wypływa z głębin umysłu twórcy. Phillip K. Dick jest jej zaprzeczeniem.

Jego eksperymenty z LSD i innymi halucynogenami oraz stymulantami z grupy amfetaminy wydały owoce takie jak opowiadanie, które za chwilę przeczytasz, w każdym calu będące „niebezpieczną wizją”. Nasuwa się teraz pytanie: na ile prawdziwa jest moja teoria w świetle takich rzadkich sukcesów jak dziełko Phila Dicka? Chyba nie wiem. Zaryzykuję tylko stwierdzenie, że właściwe dozowanie środków poszerzających stany umysłu, może pozwolić twórczemu umysłowi na dostrzeżenie zupełnie nowych obszarów. Obszarów, które dotychczas były krajem ślepców.

Dla formalności, Phillip K. Dick uczęszczał na Uniwersytet Kalifornijski, miał się różnych prac, wśród których znalazło się prowadzenie sklepu muzycznego (jest znawcą Bacha, Wagnera i Buddy'ego Greco), pisanie reklam i prowadzenie programu poświęconego muzyce klasycznej dla radia KSMO w San Mateo w Kalifornii. Wśród jego książek wymienić należy: *Słoneczna loteria*,

Oko na niebie, Czas poza czasem, Simulakra, Prawda półostateczna, Marsjański poślizg w czasie, Dr Bloodmoney, Teraz czekaj na zeszły rok oraz Człowieka z Wysokiego Zamku, za którą w 1963 roku otrzymał Nagrodę Hugo. Choć korpulentny, brodaty i żonaty, wciąż ogląda się za dziewczynami.

Dziś występuje przed nami jako siła mogąca wstrząsnąć teoriami. A jeśli opowiadaniem „Wiera naszych ojców” nie naruszy choć troszkę twojego poczucia „rzeczywistości”, sprawdź swój puls. Możesz być martwy.

Nominacja do Hugo
Philip K. Dick
Faith of Our Fathers

Wiara naszych ojców

Na ulicy w Hanoi znalazł się twarzą w twarz z beznogim handlarzem, który poruszał się na małym, drewnianym wózku i piskliwym głosem zaczepiał każdego przechodnia. Chien zwolnił, nadstawił ucha, ale nie zatrzymał się; sprawa w Ministerstwie Reliktów Kulturowych zdominowała jego myśli i odwróciła uwagę: zupełnie jakby był sam, a wokół niego nie poruszały się te wszystkie rowery, skutery i odrzutowe motocykle. Tak samo beznogi handlarz — jakby w ogóle nie istniał.

— Towarzyszu — zawołał jednak kaleka i ruszył za nim na wózku. Silnik zasilany baterią helową szybko i sprawnie doprowadził pojazd do Chiena. — Mam szeroki wybór sprawdzonych ziołowych lekarstw, razem ze świadectwami pochodzącymi od tysięcy zadowolonych pacjentów; proszę zdradzić mi swoje schorzenie, a będę mógł pomóc.

— Dobrze, tylko że mnie nie dręczy żadna choroba — odparł Chien, zatrzymując się na moment.

Oprócz, pomyślał, jednej, występującej w chronicznej formie u zatrudnionych przez Komitet Centralny — karierowiczostwa zmuszającego do bezustannego sprawdzania dostępu do wszelkich rządowych posiad. Mojej też.

— Na przykład potrafię wyleczyć chorobę popromienną — śpiewnie zachęcał handlarz, wciąż podążając za Chieniem. — Albo zwiększyć, jeśli to potrzebne, konkretny element sprawności seksualnej. Mogę doprowadzić do remisji nowotworów, nawet przerażającej melanomy, którą pan nazwałby czarnym rakiem.

Uniósł tacę pełną buteleczek, małych, aluminiowych puszek oraz rozmaitych proszków w plastikowych pojemniczkach i zanucił:

— Jeśli rywal uporczywie usiłuje wysadzić was z lukratywnej, biurokratycznej posiadki, mogę dostarczyć maść, która wyglądając jak balsam do ciała jest, tak naprawdę, bardzo skuteczną trucizną. A u mnie ceny, towarzyszu, są niskie. W dodatku, w ramach specjalnej oferty dla osoby o tak dystygowanej postawie przyjmę powojenne papierowe dolary inflacyjne, które oficjalnie są walutą wymienną, ale w rzeczywistości są nie lepsze niż papier toaletowy.

— Idź do diabła — warknął Chien i skinął na przejeżdżającą poduszkową taksówkę. Już był spóźniony trzy i pół minuty na pierwsze dzisiejsze posiedzenie więc jego rozmaici, opaśli przełożeni w Ministerstwie, zaczną robić pospieszne zapiski w głowach — podobnie jak, w większym nawet stopniu, jego podwładni.

— Ale, towarzyszu — rzekł handlarz spokojnie — *wy musicie* coś u mnie kupić.

— Dlaczego? — zapytał Chien. Oburzenie.

— Ponieważ, towarzyszu, jestem weteranem wojennym. Walczyłem w Wielkiej Ostatniej Wojnie Wyzwolenia Narodowego po stronie Ludowego Zjednoczonego Frontu Demokratycznego przeciwko Imperialistom; straciłem dolne kończyny w bitwie o San Francisco.

W jego głosie brzmiały teraz triumf i przebiegłość.

— *Takie jest prawo.* Jeśli odmówicie towaru oferowanego wam przez weterana, ryzykujecie grzywnę a może nawet areszt — oraz hańbę na dodatek.

Znużonym gestem Chien odprawił taksówkę.

— Przyznaję — zgodził się. — Okay, muszę kupić coś od ciebie. Przejrzał pobieżnie skromny zestaw ziołowych leków, wybrał losowo jeden z nich.

— To — zdecydował, wskazując na papierową paczuszkę w tylnym rzędzie.

Handlarz roześmiał się.

— To, towarzyszu, jest środek plemnikobójczy kupowany przez kobiety, które z powodów politycznych nie kwalifikują się do Pigułki. Niezbyt przydatne dla was, właściwie bezużyteczne skoro jesteście mężczyzną.

— Prawo — odparł Chien uszczypliwie — nie wymaga ode mnie zakupienia od ciebie czegoś użytecznego; wyłączone nabycia czegokolwiek. Wezmę to.

Sięgnął pod ocieplany płaszcz po portfel, gruby od powojennych inflacyjnych banknotów, w których, służąc rządowi, cztery razy w tygodniu otrzymywał wypłatę.

— Opowiedzcie mi o swoim problemie — zaproponował handlarz.

Chien wpatrywał się w niego, zszokowany wtargnięciem w prywatność — i to dokonany przez kogoś spoza rządu.

— W porządku, towarzyszu — zrezygnował handlarz. — Nie będę naciskał. Będąc jednak lekarzem — zielarzem — powinienem wiedzieć ile to tylko możliwe.

Zamyślił się z ponurą miną na wymizerowanej twarzy.

— Czy oglądacie telewizję szczególnie długo? — spytał nagle.

— Co wieczór — odrzekł Chien, z zaskoczenia. — Oprócz piątków, kiedy chodzę do klubu ćwiczyć się w ezoterycznej sztuce szydełkowania, importowanej z pokonanego Zachodu.

Była to jego jedyna słabostka; poza tym poświęcił się całkowicie działalności partyjnej.

Handlarz sięgnął i wybrał szarą, papierową paczkę.

— Sześćdziesiąt dolarów handlowych — rzekł. — Pełna gwarancja; jeśli nie zadziała jak obiecałem, zwróćcie pozostałość a z radością oddam wam pełną cenę.

— A jakie — zapytał Chien kąśliwie — działanie gwarantujesz?

— Pozwoli odpocząć oczom zmęczonym oglądaniem pozbawionych treści oficjalnych monologów — wyjaśnił handlarz. — Preparat kojący. Zażyjcie go, kiedy tylko zostaniecie wystawieni na działanie typowych suchych i przydługich kazań, które...

Chien zapłacił, przyjął paczuszkę i odszedł. Bzdury, powiedział sobie w duchu. Przepisy uznające weteranów wojennych za klasę uprzywilejowaną to czysty kant, uznał. Żywią się nami — młodszymi — jak drapieżne ptaszyska.

Szara paczuszka, zapomniana, spoczywała w kieszeni jego płaszcza kiedy wchodził do imponującego gmachu powojennego Ministerstwa Reliktów Kulturowych, a potem do swojego, dość majestatycznego gabinetu, by rozpocząć kolejny dzień pracy.

W gabinecie czekał korpulentny, rasy kaukaskiej mężczyzna w średnim wieku, ubrany w jedwabny garnitur z Hong Kongu. Kamizelka pogrubiała go. Koło nieznanego stał bezpośredni przełożony Chiena, Ssu–Ma Tso–pin. Tso–pin przedstawił sobie obu mężczyzn w dialekcie kantońskim, którym posługiwał się bardzo słabo.

— Panie Tung Chien, to pan Darius Pethel. Pan Pethel będzie dyrektorem nowej placówki ideologicznej i kulturalnej, o charakterze dydaktycznym, która wkrótce zostanie otwarta w San Fernando, w Kalifornii.

Po chwili dodał:

— Pan Pethel poświęcił dotychczasowe życie udzielaniu pomocy ludowi walczącemu o

wysadzenie z siodła państw bloku imperialistycznego metodami pedagogicznymi; stąd jego wysokie stanowisko.

Uścisnęli sobie ręce.

— Herbaty? — zapytał Chien obu gości.

Wcisnął przełącznik swojego hibachi na podczerwień i natychmiast woda w bogato zdobionym, ceramicznym czajniczku — pochodzenia japońskiego — zaczęła bulgotać. Kiedy usiadł przy biurku spostrzegł, że niezawodna panna Hsi położyła na nim raport informacyjny (poufny) na temat Towarzystwa Pethela. Przejrzał go, udając, że nie robi nic szczególnego.

— Absolutny Dobroczyńca Ludu — odezwał się Tso-pin — osobiście spotkał się z panem Pethelem i ufa mu. To rzadkość. Szkoła w San Fernando z pozoru będzie nauczać tuzinkowych filozofii taoistycznych, lecz w rzeczywistości zapewni nam kanał łączności z liberalną częścią młodej inteligencji w zachodnich Stanach. Wciąż jeszcze sporo ich przeżyło, pomiędzy San Diego i Sacramento; szacujemy ich liczbę na co najmniej dziesięć tysięcy. Szkoła przyjmie dwa tysiące. Dla wybranych przez nas uczęszczanie do niej będzie obowiązkowe. Program pana Pethela angażuje pana w poważny sposób. Mmm, woda na herbatę się zagotowała.

— Dziękuję — mruknął Chien, wrzucając torebkę Liptona. Tso-pin kontynuował:

— Choć pan Pethel będzie nadzorował ukierunkowanie instrukcji udzielanych uczniom, wszystkie prace egzaminacyjne dziwnym trafem będą przekazywane tu, do pańskiego biura, w celu dokonania ich wnikliwej i starannej analizy ideologicznej. Innymi słowy, panie Chien, pan będzie decydował, na kim spośród tych dwóch tysięcy można polegać, którzy naprawdę poddają się programowaniu, a którzy nie,

— Należę herbaty — powiedział Chien i uczynił to bardzo ceremonialnie.

— Musimy zdać sobie sprawę — zahuczał Pethel w dialekcie kantońskim jeszcze gorszym niż Tso-pina — że po przegraniu z nami wojny światowej amerykańska młodzież rozwinęła w sobie talent do stwarzania pozorów.

Ostatnie słowa wymówił po angielsku; nie zrozumiałwszy ich, Chien zwrócił się z niemym pytaniem do swojego przełożonego.

— Do kłamstw — wyjaśnił Tso-pin.

— Wygłaszania — ciągnął Pethel — wszem i wobec właściwych sloganów przy jednoczesnym wewnętrznym przekonaniu, że są fałszywe. Prace testowe tej grupy będą bardzo przypominały prawdziwe...

— To znaczy, że wyniki testów *dwóch tysięcy* uczniów będą przechodziły przez mój gabinet? — zdumiał się Chien. Nie mógł w to uwierzyć. — Już to samo zajęłoby cały mój czas pracy; nie mam go dosyć na cokolwiek nawet przypominającego ten pomysł. — Czuł przerażenie. — Żeby krytycznie i oficjalnie zaaprobować lub odrzucić takich spryciarzy, jakich opisujecie... — Wykonał odrzucający gest. — Pieprzyć to — zakończył po angielsku.

Tso-pin zamrugał, słysząc tak wulgarne, zachodnie przekleństwo.

— Ma pan podwładnych — powiedział. — Może pan też zatrudnić nowych; budżet Ministerstwa, zwiększony w tym roku, pozwala na to. I proszę pamiętać: Absolutny Dobroczyńca Ludu osobiście wybrał pana Pethela.

W tym momencie jego głos zabrzmiał nieco złowieszczo. Akurat wystarczająco, żeby przedrzeć się przez emocje Chena i zmusić je do posłuszeństwa. Przynajmniej chwilowo. Dla podkreślenia swojej uwagi Tso-pin podszedł do dalszego końca gabinetu. Stał przed naturalnej wielkości, trójwymiarowym portretem Absolutnego Dobroczyńcy i po chwili czujniki dystansowe uruchomiły odtwarzacz zamontowany za obrazem. Twarz Dobroczyńcy poruszyła się, rozległo się znajome

kazanie, pełne jeszcze lepiej znanych akcentów.

— Walczcie o pokój, moi synowie — odezwał się portret łagodnie, acz zdecydowanie.

— Ha — prychnął Chien, ukrywając wciąż dręczące go zaniepokojenie.

Być może jeden z komputerów Ministerstwa mógłby posortować prace egzaminacyjne; być może dałoby się zastosować zestaw pytań testowych, na które można tylko udzielać odpowiedzi tak lub nie, w połączeniu ze wstępną analizą wzorców politycznej poprawności — i niepoprawności. Rzecz dałoby się zrutynizować. Prawdopodobnie.

— Mam ze sobą — odezwał się Darius Pethel — pewne materiały, które chciałbym dać panu do przejrzenia, panie Chien.

Rozpiął suwak szpetnej, staromodnej aktówki z plastiku.

— Dwa eseje egzaminacyjne — wyjaśnił, podając dokumenty Chienowi. — Pozwoli nam to stwierdzić, czy pan się nadaje.

Popatrzył potem na Tso-pina, który odwzajemnił spojrzenie.

— O ile mi wiadomo — ciągnął Pethel — jeśli odniesie pan sukces w tym przedsięwzięciu, zostanie pan mianowany wiceradnym Ministerstwa, a Jego Wielkość Absolutny Dobroczyńca Ludu osobiście przyzna panu medal Kisterigiana.

Obaj, razem z Tso-pinem uśmiechnęli się jednocześnie.

— Medal Kisterigiana — powtórzył Chien.

Wziął prace egzaminacyjne, przejrzał je, ostentacyjnie okazując leniwą obojętność. Jednak serce dygotało mu w kiepsko ukrywanym napięciu.

— Dlaczego te dwie prace? Mam na myśli czego mam tu szukać, sir?

— Jedną z nich — wyjaśnił Pethel — napisał oddany progresywista, lojalny członek Partii o bardzo dobrze sprawdzonych przekonaniach. Drugą młody *stilyagi*, którego podejrzewamy o ukrywanie maluczkich, burżuazyjno — imperialistycznych, zdegenerowanych przekonań. Pan ma ustalić, który jest który.

Wielkie dzięki, pomyślał Chien. Ale, skinąwszy głową, przeczytał tytuł pracy znajdującej się na wierzchu.

DOKTRYNY ABSOLUTNEGO DOBROCZYŃCY LUDU PRZEWIDZIANE W TRZYNASTYM WIEKU W POEZJI BAHÁ AD-DÍN ZUHAYRA Z ARABII

Przyjrząwszy się pierwszej stronie eseju, Chien zobaczył znany sobie czterowiersz, zatytułowany „Śmierć”. Znał go przez większość swojego dorosłego życia wyedukowanego człowieka.

Nie trafi raz, nie trafi drugi,

Tylko wybiera jedną z wielu godzin;

Nie ma dla niego głębin ni wzgórz,

Wszystko jest jedną równiną, na której szuka kwiatów.

— Mocny — powiedział. — Ten wiersz.

— Został tu użyty — rzekł Pethel, przyglądając się poruszeniom warg Chiena ponownie czytającego czterowiersz — by zwrócić uwagę na pradawną mądrość, wykazywaną w naszym obecnym życiu przez Absolutnego Dobroczyńcę, że żadna jednostka nie jest bezpieczna; wszyscy są śmiertelni i przetrwać może jedynie ponadludzka idea o znaczeniu historycznym. Tak być powinno. Czy zgodzi się pan z nim? To znaczy z tym studentem? — zawiesił głos. — Czy też może ośmiesza obwieszczenia Absolutnego Dobroczyńcy?

— Proszę pozwolić mi — zaproponował Chien ostrożnie — przejrzeć drugą pracę.

— Nie potrzebuje pan więcej informacji. Proszę podjąć decyzję.

— Ja — zaczął Chien z wahaniem — nigdy nie myślałem o tym wierszu w taki sposób — poczuł przyływ irytacji. — Tak czy owak, nie jest on autorstwa Baha ad-Din Zuhayra; to fragment antologii „Baśnie z tysiąca i jednej nocy”. Jednakże pochodzi z trzynastego wieku, to przyznaję.

Szybko przeczytał tekst towarzyszący poematowi. Okazał się standardowym, bez polotu, zbitkiem partyjnych sloganów znanych mu od kołyski. Ślepy, imperialistyczny potwór koszący i gaszący (mieszana metafora) ludzkie aspiracje, plany grupy antypartyjnej wciąż jeszcze istniejącej we wschodnich Stanach Zjednoczonych... Poczul się kompletnie znudzony i równie pozbawiony polotu, jak ten studencki esej. Musimy wytrwać, głosił tekst. Zetrzeć z powierzchni ziemi resztki Pentagonu w Catskills, ujarzmić Tennessee, a zwłaszcza gniazdo zatwardziałej reakcji w czerwonych górach Oklahomy. Westchnął.

— Sądzę — odezwał się Tso-pin — że powinniśmy pozwolić panu Chienowi na spokojne zapoznanie się z tym trudnym materiałem. Zwrócił się do Chiena: — Ma pan pozwolenie na zabranie tych prac na dzisiejszy wieczór do domu, do kondominium, by osądzić je bez pośpiechu.

Skłonił się, na wpół kpiąco, na wpół z troską. W każdym razie, czy była to zniewaga, czy nie, pozwoliła Chienowi wymknąć się spod topora, za co był wdzięczny.

— Jest pan wielce łaskawy — wymamrotał — pozwalając mi na spokojne wykonanie tej nowej i bardzo inspirującej pracy. Gdyby Mikoyan żył dzisiaj, pochwaliby to postępowanie.

Ty łajdaku, warknął w duchu, mając na myśli zarówno swojego przełożonego jak i białego Pethela. Wcisnąć mi taką śliską sprawę i to jeszcze na wieczór. Najwyraźniej Komunistyczna Partia USA ma kłopoty; ich akademie indoktrynacyjne nie potrafią sobie poradzić z tymi notorycznie upartymi, ekscentrycznymi młodymi Jankesami. I to śmierdzące jajo przerzucano sobie z rąk do rąk, aż trafiło do mnie. Nie ma za co dziękować, pomyślał kwaśno.

Tego wieczoru, w swoim niewielkim lecz dobrze wyposażonym mieszkaniu w kondominium, przeczytał drugą z prac egzaminacyjnych, autorstwa Marion Culper i okazało się, że ta również związana jest z poezją. Najwyraźniej pochodziły z kursu poezji, co spowodowało, że poczuł się niewyraźnie. Wykorzystywanie poezji — czy jakiegokolwiek formy sztuki — do celów społecznych było sprzeczne z jego naturą. W każdym razie, siedząc wygodnie w specjalnym, podtrzymującym kręgosłup fotelu klubowym krytym sztuczną skórą, zapalił najpierw długie, wielkie cygaro Cuesta Rey Number One English Market i wziął się do czytania.

Autorka eseju, panna Culper, wybrała do swojej pracy fragment wiersza Johna Drydena, angielskiego poety z siedemnastego wieku, końcowe wersy znanej „Pieśni na Dzień Świętej Cecylii”.

...Tak więc gdy ostatnią, straszną godziną

To rozpadające się widowisko pożre,

Trąbka zagra głośny ton,

Martwi ożyją, żywi umrą,

I Muzyka rozstroi niebo.

No cóż, cholerny kawałek, pomyślał Chien sarkastycznie. Czy mamy wierzyć, że Dryden przewidział upadek kapitalizmu? Czy to miał na myśli, wspominając o „rozpadającym się widowisku”? Chryste. Pochylił się by wziąć cygaro i stwierdził, że zgasło. Grzebiąc w kieszeniach w poszukiwaniu japońskiej zapalniczki na wpół wstał z fotela...

liiiiiiiii!!!! zapiszczał telewizor stojący po drugiej stronie salonu.

Aha, pomyślał Chien. Przewodniczący zaraz się do nas zwróci. Absolutny Dobroczyńca Ludu z Pekinu, gdzie przebywa już od dziewięćdziesięciu lat a może już stu? Albo też jak czasami lubimy sobie o mm pomyśleć, Du...

— Niech dziesięć tysięcy kwiatów uniżonego ubóstwa z własnej woli zakwitnie na dziedzińcach waszego ducha — wygłosił spiker telewizyjny.

Chien wstał z jękiem i złożył obowiązkowy ukłon. Wszystkie aparaty telewizyjne wyposażono w urządzenia obserwacyjne przekazujące do Polbezu, Policji Bezpieczeństwa, informację czy ich właściciel kłania się i czy ogląda program.

Na ekranie pojawiło się oblicze, szeroka, gładka i zdrowa twarz studwunastoletniego przywódcy Komunistycznej Partii Wschód, władcy wielu — zbyt wielu, przyszło Chienowi do głowy. Gadaj zdrów, pomyślał i usiadł w swoim fotelu klubowym ze sztucznej skóry, teraz zwróconym w stronę telewizora.

— Moje myśli — zaczął Absolutny Dobroczyńca Ludu dźwięcznym i spokojnym głosem — są z wami, moje dzieci. A zwłaszcza z panem Tung Chien z Hanoi, którego czeka trudne zadanie, mające na celu wzbogacenie ludu Demokratycznego Wschodu oraz Wschodniego Wybrzeża Ameryki. Razem musimy pomyśleć o tym szlachetnym, oddanym człowieku i czekającym nań obowiązku. Postanowiłem poświęcić kilka chwil mego czasu, by go uhonorować i dodać mu odwagi. Czy pan słucha, panie Chien?

— Tak, Wasza Wielkość — powiedział Chien i zaczął zastanawiać się nad prawdopodobieństwem, że Przewodniczący Partii przypadkowo wybrał na ten konkretny wieczór właśnie jego. Z tego oszacowania wyciągnął bardzo cyniczny, nieprawomyślny wniosek, że wszystko to jest nieprzekonujące. Prawdopodobnie ten program transmitowano wyłącznie do jego budynku albo najwyżej miasta. Mogła to być też symulacja komputerowa sporządzona w Hanoi TV Incorporated. W każdym razie wymagano od niego wysłuchania, obejrzenia — i zapamiętania. Zrobił to, wiedziony praktyką całego życia. Z zewnątrz sprawiał wrażenie bardzo uważnego słuchacza. Wewnątrz wciąż myślał o tych dwóch pracach egzaminacyjnych, zastanawiając się, która jest która. Gdzie kończył się nabożny entuzjazm dla Partii, a zaczynała sardoniczna satyra? Trudno powiedzieć... co oczywiście wyjaśniało, dlaczego to zadanie wylądowało na jego biurku.

Ponownie zaczął grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu zapalniczki — i znalazł niewielką, szarą paczuszkę, którą sprzedał mu handlarz-weteran. Cholera, pomyślał, przypomniawszy sobie cenę. Pieniądze wyrzucone w błoto i co ten lek ziołowy zdziałał? Nic. Odwrócił paczuszkę i po drugiej stronie zobaczył druk. No cóż, pomyślał i bardzo ostrożnie zaczął otwierać zawiniątko. Wpadł w pułapkę słów, które oczywiście w tym celu zostały tu umieszczone.

Zawodzisj jako członek partii i istota ludzka?

Obawiasz się, że staniesz się niepotrzebny

i zostaniesz wyrzucony na śmietnik historii przez...

Szybko przeczytał tekst, ignorując zawarte w nim zapewnienia, szukając informacji, co takiego kupił.

Tymczasem Absolutny Dobroczyńca gadał dalej.

Tabaka. W paczuszce była tabaka. Niezliczone, drobne, czarne ziarenka, przypominające proch, rozsiewające interesujący aromat, który podrażnił mu nozdrza. Odkrył, że ten konkretny gatunek nazywa się Princes Special. Bardzo przyjemny, uznał. Kiedyś zażył tabaki — w owym czasie palenie tytoniu było nielegalne z powodów zdrowotnych — w czasie studiów na Uniwersytecie Pekinśkim.

Taka panowała moda, zwłaszcza na mieszanki o właściwościach afrodyzjaku, sporządzane w Chungking diabli wiedzą z czego. Czy to było właśnie coś takiego? Do tabaki można dodać niemal każdy aromat, począwszy od esencji pomarańczowej, a skończywszy na sproszkowanych zużytych pieluszkach... jak się wydawało w przypadku niektórych, zwłaszcza angielskiej mieszanki zwanej High Dry Toast, która właściwie sama wystarczyła, by zakończyć jego pragnienie wdychania używek.

Na ekranie telewizora Absolutny Dobroczyńca pomrukiwał monotonie, a Chien delikatnie powąchał proszek, przeczytał zapewnienia — leczył wszystko, począwszy od spóźnień do pracy, a skończywszy na zakochaniu się w kobiecie o wątpliwym politycznie pochodzeniu. Ciekawe. Ale typowe dla takich zapewnień...

Odezwał się dzwonek przy drzwiach wejściowych.

Wstał, podszedł do drzwi i otworzył je, wiedząc co zastanie. Oczywiście, stał tam Mou Kuei, Naczelnik Budynku, niewysoki, o twardym spojrzeniu i gotów do wykonania swojego zadania; miał opaskę na ramieniu i metalowy hełm, co oznaczało, że rzecz jest poważna.

— Panie Chien, towarzyszu pracowniku Partii. Otrzymałem informację z telewizji. Nie patrzy pan na ekran, tylko zabawia się paczuszka o podejrzaną zawartość.

Wyjął długopis i notatnik.

— Dwa czerwone znaczki, w sumie otrzymuje pan nakaz usiąść wygodnie przed ekranem i poświęcić Przewodniczącemu całkowitą uwagę. Jego słowa dziś wieczór są skierowane konkretnie do pana, właśnie do pana.

— Wątpię — usłyszał Chien własną odpowiedź.

Kuei zamrugął i spytał:

— Co ma pan na myśli?

— Przewodniczący rządzi ośmioma miliardami towarzyszy. Niemożliwe by wybrał mnie.

Czuł gniew. Precyzja nagany otrzymanej od strażnika rozdrażniła go.

— Ale — zaoponował Kuei — dokładnie słyszałem to na własne uszy. Został pan wymieniony.

Chien podszedł do telewizora i pogłodził go.

— Ale teraz mówi o nieurodzaju w Ludowych Indiach. To nie ma ze mną nic wspólnego.

— Wszystko, co wypowiada Przewodniczący, jest istotne. Mou Kuei postawił znaczek na kartce, skłonił się formalnie i odwrócił.

— Polecenie udania się do pana i upomnienia za niedbalstwo przyszło z Centrali. Najwyraźniej uważają, że pańska uwaga jest ważna. Muszę nakazać panu uruchomienie automatycznego zapisu i odtworzenie opuszczonych fragmentów przemowy Przewodniczącego.

Chien pierdnął. I zamknął drzwi.

Z powrotem do telewizora, powiedział sobie. Gdzie spędzamy cały wolny czas. Dwie czekające studenckie prace egzaminacyjne dodawały się do gniołącego go ciężaru. I wszystko to w moim wolnym czasie, pomyślał gwałtownie. Niech ich szlag. Kij im w oko. Podszedł do telewizora, spróbował go wyłączyć. Natychmiast zamigotało czerwone światełko ostrzegawcze, informujące go, że nie wolno mu wyłączyć odbiornika — w gruncie rzeczy nie mógł przerwać tej tyrady i wygasić obrazu, nawet wyciągając wtyczkę z sieci. Obowiązkowe przemówienia, pomyślał, wykończą nas, pogrzebią. Gdybym tak był wolny od tego gadania, wolny od jazgotu Partii ujadającej na ludzkość...

Jednak nie było żadnego przepisu zabraniającego zażycia tabaki w trakcie oglądania Przewodniczącego. Otworzył więc małą paczuszkę i umieścił szczyptę granulek na grzbiecie lewej dłoni, potem gestem profesjonalisty uniósł ją do nosa i zrobił głęboki wdech, wciągając tabakę w głąb zatok. Przypomnij sobie stary przesąd, pomyślał do siebie, że zatoki są połączone z mózgiem i

dlatego wdychanie tabaki wpływa bezpośrednio na korę. Uśmiechnął się, usiadł w fotelu i wpatrzył się w ekran telewizora, w gestykulującego osobnika o tak dobrze znanym wyglądzie.

Twarz zmaląła, znikła. Dźwięk ucichł. Siedział przed pustką, próżnią. Tkwił przed nim biały, pusty ekran, a z głośnika dobiegał tylko cichy szum.

Pieprzona tabaka, pomyślał. A potem zachłannie wciągnął resztkę proszku z dłoni, gorliwie zasysając go do nosa, zatok i, tak przynajmniej to czuł, do mózgu. Rzucił się wręcz na tabakę, przyjmując ją radośnie.

Ekran pozostał pusty, a potem, stopniowo pojawił się na nim obraz. To nie był Przewodniczący. Nie Absolutny Dobroczyńca Ludu, co najważniejsze nawet nie postać ludzka.

Siedział przed mechaniczną konstrukcją, sporządzoną z elektronicznych obwodów, kręcących się nibynóżek, soczewek oraz szczekaczki, która brzękliwym głosem zaczęła prawić mu kazanie.

Gapiąc się nieruchomo, pomyślał: Co to jest? Rzeczywistość? Halucynacja, uznał. Handlarz zdobył gdzieś psychodeliczne środki używane w czasie Wojny Wyzwoleńczej — sprzedaje to, a ja wziąłem trochę, nie, wziąłem dużo!

Chwiejnie podszedł do wideofonu, wybrał numer posterunku Polbezu położonego najbliżej jego budynku.

— Chciałbym zgłosić handlarza środków halucynogennych — powiedział do słuchawki.

— Pańskie nazwisko i adres? — sprawny, energiczny i bezosobowy policyjny biurokrata.

Podał im informacje, potem z wahaniem wrócił na swój fotel ze sztucznej skóry i znów zobaczył dziwadło na ekranie. To jest zabójcze, powiedział do siebie. Musi to być jakiś preparat sporządzony w Waszyngtonie, albo w Londynie — silniejszy i bardziej dziwaczny niż LSD-25, który tak sprawnie rozpuszczono w naszych zbiornikach wodnych. A ja myślałem, że uwolni mnie to od ciężaru przemówień Przewodniczącego... to jest dużo gorsze, ta elektroniczna, jękająca się, kiwająca, metalowo — plastikowa paplająca potworność — to przerażające.

Żeby musieć siedzieć przed *tym* przez resztę życia...

Dwuosobowemu zespołowi Polbezu dotarcie do jego drzwi zajęło dziesięć minut. Do tego czasu, stopniowo powrócił na ekran znajomy obraz, zastąpił potworną sztuczną konstrukcję machającą nibynóżkami i jazgoczącą bez przerwy. Dygocząc, wpuścił policjantów, zaprowadził ich do stołu, na którym leżała paczuszka z resztką tabaki.

— Psychodeliczna toksyna — powiedział ochryple. — O krótkim działaniu. Przyjęta bezpośrednio do krwiobiegu przez nosowe naczynia włosowate. Opowiem szczegółowo, gdzie ją zdobyłem, od kogo, wszystko.

Wziął głęboki, drżący wdech. Obecność policji napawała go otuchą.

Dwaj oficerowie czekali z długopisami w dłoniach. A przez cały czas Przewodniczący wygłaszał w tle swoje przemówienie bez końca. Zupełnie tak samo jak podczas tysiąca wieczorów minionego życia Tunga Chiena. Jednak, pomyślał, już nigdy nie będzie tak samo, przynajmniej dla mnie. Nie po wciągnięciu tej trucizny.

Zastanawiał się, czy o to właśnie im chodziło?

Dziwne mu się wydało myślenie o *nich*. Osobliwe — a jednak w jakiś sposób właściwe. Na chwilę zawahał się, nie podał wszystkich szczegółów, nie powiedział policji dość, by mogła znaleźć tego człowieka. Handlarz uliczny, zaczął mówić; nie wiem gdzie; nie pamiętam. Ale pamiętał; dokładnie które to było skrzyżowanie. W rezultacie więc, z niepojętą niechęcią powiedział im wszystko.

— Dziękujemy, towarzyszu Chien.

Dowódca pary policjantów starannie zebrał resztę tabaki — właściwie to większość pozostała

— i wsunął do kieszeni munduru — eleganckiego, stylowego.

— Zanalizujemy ją w pierwszej wolnej chwili — powiedział — i poinformujemy was natychmiast, jeśli będzie wam potrzebna pomoc medyczna. Niektóre z psychodelików czasu wojny po jakimś czasie zabijały, niewątpliwie czytaliście o tym.

— Czytałem — zgodził się. Dokładnie to samo właśnie myślał.

— Powodzenia i dziękujemy za powiadomienie — obaj policjanci pożegnali się i wyszli.

Pomimo ich sprawności, cała sprawa najwyraźniej nimi nie wstrząsnęła; takie skargi musiały być typowe.

Raport z laboratorium nadszedł bardzo szybko — zaskakująco, biorąc pod uwagę potężną biurokrację państwową. Dotarła do niego przez wideofon, zanim jeszcze Przewodniczący zakończył przemówienie

— To nie halucynogen — poinformował go technik z laboratorium Polbezu.

— Nie? — zdziwił się, zaskoczony i, co dziwne, wcale nie uspokojony. Nic a nic.

— Przeciwnie. To fenotiazyna, która, jak niewątpliwie wiecie, jest środkiem przeciwpsychotycznym. Duża dawka w gramie mieszanki, ale niegroźna. Może obniżyć ciśnienie krwi, wywołać senność. Prawdopodobnie skradziona z wojennych zapasów leków. Pozostawiona przez wycofujących się barbarzyńców. Nie przejmowałbym się.

Chien w zamyśleniu powoli odłożył wideofon. A potem podszedł do okna — z którego roztaczał się piękny widok na podobne do siebie budynki Hanoi — żeby się zastanowić.

Odezwał się dzwonek do drzwi. Czując się jak w transie, przeciął pokryty dywanem salon, żeby otworzyć.

Stała tam dziewczyna w jasnobrązowym płaszczu przeciwdeszczowym i chustce na ciemnych, lśniących i bardzo długich włosach.

— Ehm, towarzyszu Chien? — spytała nieśmiałym, cichutkim głosem. — Ehm, towarzyszu Chien? Tung Chien? Minister...

Odruchowo wpuścił ją i zamknął za nią drzwi.

— Podśłuchiwałaś mój wideofon — powiedział.

Strzał w ciemno, ale coś w jego wnętrzu, niewypowiedziana pewność twierdziła, że tak było.

— Czy... zabrali resztę tabaki? — rozejrzała się. — Och, mam nadzieję, że nie; tak trudno ją zdobyć w tych czasach.

— Tabakę — odparł — łatwo dostać. Fenotiazynę nie. Czy to masz na myśli?

Dziewczyna uniosła głowę, przyjrzała mu się uważnie wielkimi, ciemnymi oczami.

— Tak, panie Chien... — zawahała się, wyraźnie niepewna, w przeciwieństwie do gliniarzy z Polbezu. — Proszę powiedzieć mi, co pan zobaczył, musimy mieć pewność, to dla nas niezmiernie ważne.

— Czy miałem wybór? — spytał ostro.

— T-tak, na pewno. To właśnie wszystko gmatwa, nie pasuje do naszych planów. Nie rozumiemy, to nie pasuje do niczyjej teorii — oczy jej jeszcze pociemniały, zrobiły się jeszcze głębsze. — Czy był to wodny potwór? Coś śluzowatego, z zębami, pozaziemska forma życia? Proszę mi powiedzieć. Musimy to wiedzieć.

Oddychała nierówno, z wysiłkiem, płaszcz unosił się i opadał. Przyłapał się na śledzeniu tego rytmu.

— Maszynę — wyjął.

— Och! — przechyliła głowę, potakując energicznie. — Tak, rozumiem; mechaniczny organizm nie przypominający człowieka. Nie symulacja, coś skonstruowanego tak by przypominało człowieka.

— To wcale nie wyglądało jak człowiek — powiedział.

W duchu dodał: i nie zdołało, nie próbowało, mówić jak człowiek.

— Wie pan, że to nie była halucynacja.

— Poinformowano mnie oficjalnie, że zażyтым przeze mnie środkiem była fenotiazyna. Nic więcej nie wiem.

Wyjawiał najmniej jak się dało; nie chciał mówić, tylko słuchać. Usłyszeć, co dziewczyna ma do powiedzenia.

— No cóż, panie Chien — odetchnęła głęboko, niepewnie. — Jeśli to nie była halucynacja, to co? Co pozostaje? Jaki stan „wyższej świadomości” to może być?

Nie odpowiedział. Odwracając się leniwym ruchem wziął obie studenckie prace, przejrzał je, ignorując dziewczynę. Czekając na jej kolejną próbę.

Znalazła się tuż koło jego ramienia, pachnąca wiosennym deszczem, słodyczą i poruszeniem, piękna wonią, wyglądem oraz, pomyślał, sposobem mówienia. Tak odmienna od ostrych, płaskich głosów słyszanych od dzieciństwa w TV.

— Część spośród — podjęła ochryple — tych, którzy zażyli stelazynę — to właśnie stelazynę pan dostał, panie Chien — widzi jedną postać, część inną. Pojawiły się jednak wyraźne kategorie; zmienność nie jest nieskończona. Niektórzy zobaczyli to samo co pan, nazywamy to Brzękadłem. Niektórzy wodnego potwora, to Paszcza. Jest też Ptak i Wzniesiona Rura, i... — przerwała. — Ale niewiele te inne reakcje panu powiedzą. Niewiele mówią nawet *nam*.

Zawahała się, potem podjęła:

— Teraz, kiedy już się to panu przydarzyło, panie Chien, chcielibyśmy, żeby przyłączył się pan do naszego zgromadzenia. Dołączył do określonej grupy tych, którzy widzą to samo co pan. Grupy Czerwonej. Chcemy dowiedzieć się, co to *naprawdę* jest i... — zrobiła jakiś gest długimi, woskowo gładkimi palcami. — To nie może być jednocześnie wszystkimi tymi postaciami.

Mówiła tonem pełnym emocji, trochę naiwnie. Chien poczuł, że może być nieco mniej ostrożny.

— A co pani widzi? — spytał.

— Należę do Grupy Żółtej. Widzę — burzę. Wyjący, gwałtowny wir. Wyrrywający wszystko z korzeniami, rozwalający budynki mieszkalne zbudowane tak, by przetrwały wieki — uśmiechnęła się słabo. — Niszczyciel. Wszystkich grup jest dwanaście, panie Chien. Dwanaście kompletnie odmiennych przeżyć, wszystkie po tych samych fenotiazynach, wszystkie pojawiające się w miejscu Przewodniczącego w trakcie jego przemówień. Czy raczej przemówień *tego*.

Uśmiechnęła się do niego. Długie rzęsy — prawdopodobnie sztucznie wydłużone — i wzrok pełen zachęty, nawet ufności. Zupełnie jakby sądziła, że on coś wie albo może zrobić.

— Powiniennem dokonać teraz obywatelskiego aresztowania — oznajmił sztywno.

— Nie przekraczamy prawa, nie tutaj. Przystudiowaliśmy radzieckie pisma prawnicze, zanim znaleźliśmy ludzi rozprowadzających stelazynę. Mamy jej niewiele; musimy bardzo starannie dobierać ludzi, którym ją dajemy. Wydawało się nam, że pan, najprawdopodobniej, jest dobrym celem... powszechnie znany, oddany młody człowiek z powojennego pokolenia, wspinający się w górę.

Wyjęła mu prace egzaminacyjne spomiędzy palców.

— Wrobili pana w polczytanie?

— Polczytanie? — nie znał tego terminu.

— Studiowanie pism lub przemówień w celu oszacowania, czy jest to zgodne z obecnym światopoglądem Partii. W wyższych kręgach nazywacie to po prostu czytaniem, prawda? — uśmiechnęła się ponownie. — Kiedy wespnie się pan o stopień wyżej, do poziomu pana Tso-pina,

będzie pan znał to wyrażenie.

Po chwili dodała ponuro:

— A jeśli chodzi o pana Pethela. Jest o wiele wyżej tej drabiny, panie Chien. W San Fernando nie ma żadnej szkoły ideologicznej; to są fałszywe prace egzaminacyjne zaprojektowane do oceny *pańskiej* ideologii politycznej. Czy zdołał pan odróżnić, która jest ortodoksyjna, a która heretycka? — mówiła to skrzacim głosem, w którym pobrzmiwało złośliwe szyderstwo. — Wybierze pan złą i pańska świetnie zapowiadająca się kariera nagle się zatrzyma, ani drgnie. Wybierze pan właściwą...

— Czy pani wie, która jest która? — zapytał gwałtownie.

— Tak — skinęła poważnie głową. — Mamy podsłuch w wewnętrznym biurze pana Tso-pina. Słyszeliśmy jego rozmowę z panem Pethelem — który wcale nie jest panem Pethelem, to Starszy Inspektor Polbezu Judd Craine. Prawdopodobnie słyszał pan wzmianki o nim; pracował na stanowisku głównego asystenta Sędziego Worlawskiego w Zurichu, w trakcie powojennego procesu w '98, dotyczącego zbrodni wojennych.

— Rozumiem — wydusił z siebie z trudem. Cóż, to wyjaśniało wszystko.

— Nazywam się Tania Lee — powiedziała dziewczyna.

Milczał, skinął tylko głową, zbyt ogłupiały by w ogóle używać mózgu.

— Technicznie rzecz biorąc, jestem tylko skromną urzędniczką — oznajmiła panna Lee — w pańskim Ministerstwie. Jednak, o ile pamiętam, nigdy się nie spotkaliśmy. Próbuje zajmować stanowiska, gdzie tylko się da. Najwyżej jak się da. Mój szef...

— Czy powinna mi pani to mówić? — wskazał na wciąż włączony telewizor. — Czy nie słyszą tego?

— Dołożyliśmy — uspokoiła go Tania Lee — spory szum do materiałów audiowizualnych opuszczających ten budynek. Odnalezienie podczepki zajmie im przynajmniej godzinę. Mamy więc — sprawdziła wskazania niewielkiego zegarka zapiętego na szczupłym przegubie — jeszcze piętnaście minut. Wciąż jeszcze będzie bezpiecznie.

— Proszę mi powiedzieć — powiedział — która z prac jest ortodoksyjna.

— Czy na tym właśnie panu zależy? Naprawdę?

— A na czym — zapytał — powinno mi zależeć?

— I widzi pan, panie Chien? Już nauczył się pan czegoś. Przewodniczący nie jest Przewodniczącym; jest kimś innym, ale nie potrafimy powiedzieć kim. Jeszcze nie. Panie Chien, z całym szacunkiem, czy kiedykolwiek oddał pan swoją wodę pitną do analizy? Wiem, że trąci to paranoją, ale czy zrobił to pan?

— Nie — odparł. — Oczywiście, że nie.

Wiedząc przy tym, co dziewczyna zamierza powiedzieć. Zrobiła to energicznie.

— Według naszych testów jest nasycona halucynogenem. Jest, była i będzie. Nie jednym spośród używanych w czasie wojny; nie powodującym dezorientacji, ale syntetycznym analogiem alkaloidów — sporyszu nazywanym Datrox-3. Pije go pan w tym budynku od momentu wstania z łóżka; pije go pan w restauracjach i innych odwiedzanych mieszkaniach. Pije go pan w Ministerstwie. Jest rozprowadzany z centealnego, wspólnego źródła — mowna, ponurym i zawziętym tonem. — Rozwiązaliśmy ten problem, od momentu odkrycia wiedzieliśmy, że poradzi sobie z nim dowolny silny środek na bazie fenotiazyny. Oczywiście nie mieliśmy pojęcia o czymś innym — o *różnorodności* autentycznych doznań, która, na logikę, nie ma sensu. To w halucynacjach powinny występować indywidualne różnice, a nie w przeżywanej rzeczywistości, która powinna być taka sama dla każdego — wszystko jest odwrócone do góry nogami. Nie umiemy nawet stworzyć prowizorycznej teorii, która by to tłumaczyła, a Bóg nam świadkiem, jak bardzo się staraliśmy.

Dwanaście wzajemnie się wykluczających halucynacji — to łatwo byłoby pojąć. Lecz nie jedną halucynację i dwanaście rzeczywistości.

Zamilkła i ze zmarszczonym czołem przyjrzała się uważnie obydwóm pracom egzaminacyjnym.

— Ta z arabskim wierszem jest ortodoksyjna — oznajmiła. — Jeśli to im pan powie, będą panu ufać i przeniosą na wyższe stanowisko. Znajdzie się pan o jeden szczebelek wyżej w hierarchii partyjnej.

— Uśmiechając się, miała śliczne, perfekcyjne zęby, dokończyła:

— Proszę zauważyć, co pan otrzymał dzięki swej porannej inwestycji. Pańska kariera będzie rozkwitała przez jakiś czas. I dzięki nam.

— Nie wierzę pani — wyznał.

Ostrożność działała w nim instynktownie, zawsze, ostrożność towarzyszyła każdej chwili życia urzędników hanojskiego oddziału Komunistycznej Partii Wschód. Znali nieskończoną liczbę sposobów na załatwienie przeciwnika przy wykorzystaniu spornych spraw — niektóre z nich sam zastosował; niektórymi posłużono się przeciwko niemu i wielu innym. To mógł być nowy sposób, nieznanemu mu. Zawsze mógł być.

— Dziś wieczór — rzekła — Przewodniczący wspomniał o panu osobiście. Czy nie wydało się to panu dziwne? Pan, spośród wszystkich ludzi? Niższy urzędnik w skromnym ministerstwie...

— Przyznaję — zgodził się. — Zdziwiłem się. Zgoda.

— To było uzasadnione. Jego Wysokość przygotowuje sobie elitarną kadrę młodych ludzi, powojennych, w nadziei na przewietrzenie skostniałej, chylącej się ku upadkowi hierarchii starych pierdzieli i partyjnych pismaków. Jego Wysokość wyodrębnił pana z tego samego powodu, z jakiego wybraliśmy pana my. Prawidłowo pokierowana, pańska kariera powinna zaprowadzić pana na szczyt. Przynajmniej na jakiś czas... jak wiemy. O to chodzi.

Czyli niemal wszyscy, pomyślał, pokładają we mnie wiarę. Oprócz mnie samego; a już na pewno nie po tym wszystkim, po doświadczeniu z antyhalucynogenną tabaką. Wstrząsnęło to latami pewności siebie, niewątpliwie całkiem słusznie. Jednak powoli zaczął odzyskiwać grunt pod nogami; czuł, jak wraca, z początku niepewnie, potem coraz szybciej.

Podszedł do wideofonu, podniósł słuchawkę i zaczął, po raz drugi tej nocy, wybierać numer Policji Bezpieczeństwa.

— Wydanie mnie — skomentowała to panna Lee — będzie drugą co do negatywnych skutków pańską decyzją. Powiem im, że sprowadził mnie pan tu w celu wręczenia łapówki. Sądził pan, że dzięki mojej pracy w Ministerstwie, będę wiedziała, którą pracę wybrać.

— A jaka moja decyzja — zapytał — byłaby najgorsza w skutkach?

— Nie wzięcie kolejnej dawki fenotiazyny — wyjaśniła spokojnie.

Nie pojmuję, co się ze mną dzieje, myślał Tung Chien, odwieszając słuchawkę. Dwie siły, Partia i Jego Wysokość z jednej strony — ta dziewczyna i jej rzekoma grupa z drugiej. Jedna chce bym zaszedł w hierarchii partyjnej najwyżej jak się da; druga — *czego chce Tania Lee?* Pomiedzy słowami, wewnątrz otoczki niemal trywialnej pogardy dla Partii, Przewodniczącego, etycznych standardów Ludowego Zjednoczonego Frontu Demokratycznego — czego ona naprawdę chce od niego?

— Czy jest pani antypartyjna? — zapytał z ciekawością.

— Nie.

— Ale... — machnął ręką. — Istnieją tylko partyjni i antypartyjni. Czyli pani musi być partyjna.

Gapił się na nią, skonsternowany. Z pełnym spokojem wytrzymała jego wzrok.

— Macie organizację — powiedział — i spotykacie się. Co chcecie zniszczyć? Normalne

funkcjonowanie rządu? Czy jesteście jak ci zdrazieccy studenci w Stanach w czasie wojny w Wietnamie, którzy zatrzymywali transporty wojskowe, demonstrowali...

— Było zupełnie inaczej — odparła zmęczonym tonem — ale nie o to chodzi. My chcemy wiedzieć: kto, czy co, nami rządzi? Musimy przeniknąć wystarczająco wysoko, żeby zwerbować kogoś z robiących karierę młodych teoretyków partyjnych, który miałby szansę na spotkanie z Przewodniczącym twarzą w twarz — rozumie pan?

Mówiła coraz ostrzejszym tonem. Spojrzała na zegarek, najwyraźniej chcąc już wyjść; piętnaście minut już niemal upłynęło.

— Bardzo niewiele osób naprawdę widziało Przewodniczącego, jak pan wie. Mam na myśli, widziało osobiście.

— Zaszły się w zaciszu — wyjaśnił. — Z powodu podeszłego wieku.

— Mamy nadzieję — kontynuowała panna Lee — że jeśli przejdzie pan ten oszukańczy test, któremu pana poddano — a z moją pomocą zrobił to pan — zostanie pan zaproszony na jedno z tych prywatnych przyjęć, jakie Przewodniczący organizuje od czasu do czasu, a o których w prasie, rzecz oczywista, nie ma żadnych wzmianek. Rozumie pan teraz?

Głos zrobił się jej nieco piskliwy, drżący z desperacji.

— Wtedy będziemy wiedzieli. Jeśli zdoła pan tam pójść, będąc pod wpływem środków antyhalucynogennych, zobaczyć go twarzą w twarz, jakim jest naprawdę...

— I zakończyć — powiedział, myśląc na głos — moją służbę, o ile nie życie.

— Jest nam pan coś winien — rzuciła Tania Lee, z pobladłą twarzą.

— Jeśli nie powiedziałabym panu, którą z prac egzaminacyjnych wybrać, zdecydowałby się pan na niewłaściwą i pańska kariera w służbie społeczeństwu i tak by się skończyła. Przegrałby pan — oblał test, nie mając pojęcia, że jest pan egzaminowany!

— Szanse są pół na pół — sprostował łagodnie.

— Nie — potrząsnęła gwałtownie głową. — Ta heretycka ukryta jest w gęstwinie partyjnego żargonu; teksty zostały zaprojektowane tak, żeby złapać pana w pułapkę. Oni *chcieli*, żeby panu się nie udało!

Po raz kolejny przejrzał obie prace, czując się zupełnie zagubiony. Czy ona ma rację? Przypuszczalnie. Prawdopodobnie. Jej słowa wydawały się prawdziwe, zwłaszcza wobec jego znajomości funkcjonariuszy partyjnych, a Tso-pina, jego szefa, w szczególności. Poczul się zmęczony. Pokonany.

— To, do czego pani próbuje mnie pani nakłonić — rzekł w końcu po długiej chwili — to zwyczajne *qui pro quo*. Zrobiła pani coś dla mnie — zdobyła, albo raczej twierdzi, że zdobyła — odpowiedź na to konkretne pytanie Partii. Jednak swoją część już pani zrobiła. Co może powstrzymać mnie przed wyrzuceniem pani stąd na zbity pysk? Nie muszę kompletnie nic robić.

Słyszał swój głos, beznamiętny, brzmiący ubóstwem emocjonalnym, tak częstym w partyjnych kręgach.

— Będą inne testy — odparła panna Lee — w miarę pańskiej wspinaczki w górę. A my będziemy ich pilnować dla pana.

Była spokojna, rozluźniona; najwyraźniej przewidziała jego reakcję.

— Ile mam czasu na zastanowienie?

— Teraz wychodzę. Nie ma pośpiechu. Nie zostanie pan zaproszony do willi Przewodniczącego nad Żółtą Rzeką w przyszłym tygodniu ani nawet miesiącu — podeszła do drzwi, otworzyła je, zatrzymała się jeszcze. — Kiedy będzie pan otrzymywał kolejne utajnione testy kontrolne, skontaktujemy się i dostarczymy właściwe odpowiedzi — więc od czasu do czasu spotka się pan z

kimś z nas. Prawdopodobnie nie będę to ja, tylko ten kaleki weteran, który sprzeda panu informacje przy wyjściu z Ministerstwa. Uśmiechnęła się, krótko, zdawkowo.

— Lecz pewnego dnia, na pewno nieoczekiwanie, otrzyma pan ozdobne, oficjalne, bardzo formalne zaproszenie do willi, a kiedy się pan tam uda, będzie pan nafaszerowany stelazyną... przypuszczalnie ostatnią dawką z malejącego zapasu. Dobranoc.

Drzwi zatrzasnęły się za nią, zniknęła.

Mój Boże, pomyślał. Mogą mnie szantażować. Za to co zrobiłem. A ona nawet nie zadała sobie trudu, żeby o tym wspomnieć; wzięwszy pod uwagę w co są zaangażowani, rzeczywiście nie było warto.

Ale czym szantażować? Już powiedział oddziałowi Polbezu, że otrzymał środek, który okazał się fenotiazyną. *W takim razie wiedzieli*, zdał sobie sprawę. Będą mnie obserwować, są czujni. Formalnie nie przekroczyłem prawa, ale — oni będą obserwować, na pewno.

Jednakże i tak zawsze obserwowali. Odprężył się nieco na tę myśl. Przez lata przyzwyczał się do tego, podobnie jak wszyscy.

Zobaczę Absolutnego Dobroczyńcę Ludu takim, jakim jest naprawdę, powiedział sam do siebie. Czego prawdopodobnie nikt nigdy jeszcze nie zrobił. Co to będzie? Która z podklas nie-halucynacji? Klas, których nawet nie znam... widok, który może mną ciężko wstrząsnąć. Jak zdołam przetrwać wieczór, utrzymać pozory, jeśli to jest coś takiego, jak to widziane w telewizji? Niszczyciel, Brzękadło, Ptak, Wzniesiona Rura, Paszcza — albo coś gorszego.

Zastanawiał się, jak też wyglądały te inne postaci... i dał sobie spokój; to do niczego nie prowadziło. I za bardzo budziło obawy.

Następnego ranka pan Tso-pin i pan Darius Pethel spotkali się z nim w jego gabinecie, obaj spokojni, lecz pełni oczekiwania. Bez słowa podał im jedną z „prac egzaminacyjnych”. Tę ortodoksyjną, z krótkim, chwytającym za serce arabskim czterowierszem.

— Tę — powiedział Chien twardo — napisał oddany członek lub kandydat do Partii. Ta druga — uderzył w pozostałe kartki — to reakcyjne śmieci.

Wbrew sobie, poczuł gniew.

— Pomimo powierzchownych...

— W porządku, panie Chien — Pethel skinął głową. — Nie musimy wnikać w szczegóły; pańska analiza jest prawidłowa. Czy słyszał pan swoje nazwisko w trakcie telewizyjnego przemówienia Przewodniczącego wczoraj wieczorem?

— Oczywiście — potwierdził Chien.

— Wywnioskował więc pan niewątpliwie — zauważył Pethel,

— że nasze wysiłki są dość istotne. Przewodniczący ma na pana oko, to jasne. W gruncie rzeczy skontaktował się ze mną osobiście w pańskiej sprawie — otworzył aktówkę i zaczął grzebać w środku.

— Cholera, zgubiłem to draństwo. W każdym razie...

Zerknął na Tso-pina, który delikatnie skinął głową.

— Jego Wysokość życzy sobie pańskiej obecności na obiedzie na Ranczo Nad Rzeką Jangcy w przyszły czwartek wieczorem. Pani Fletcher szczególnie docenia...

— Pani Fletcher? — przerwał mu Chien. — Kto to jest pani Fletcher? Po dłuższej chwili Tso-pin wyjaśnił sucho:

— Żona Absolutnego Dobroczyńcy. Nazywa się on — czego pan oczywiście nigdy nie słyszał — Thomas Fletcher.

— Jest biały — wyjaśnił Pethel. — Pochodzi z Komunistycznej Partii Nowej Zelandii; brał tam

udział w trudnym przejmowaniu władzy. Ta informacja formalnie nie jest utajniona, z drugiej strony jednak, jakoś się o tym nie mówi.

Zawahał się, obracając w palcach łańcuszek od zegarka.

— Przypuszczalnie lepiej by było, gdyby pan o tym zapomniał. Oczywiście, kiedy tylko pan go spotka, twarzą w twarz, zda pan sobie sprawę, zrozumie, że jest biały. Tak jak ja. Jak wielu z nas.

— Rasa — zauważył Tso-pin — nie ma nic wspólnego z lojalnością wobec Przewodniczącego i Partii. Przykładem pan Pethel.

Lecz Jego Wielkość, pomyślał Chien, wzdrygnął się. Na ekranie telewizora wcale nie sprawiał wrażenia osoby z zachodu.

— W telewizji... — zaczął.

— Obraz — przerwał mu Tso-pin — jest poddawany wielu subtelnym retuszom. Z powodów ideologicznych. Większość ludzi na najwyższych stanowiskach wie o tym.

Popatrzył na Chiena z wyraźną przyganą.

Czyli wszyscy się zgadzają. To, co widzimy, wcale nie jest rzeczywistością. Pytanie tylko — jak dalece od niej odbiega? Częściowo? Czy — całkowicie?

— Będę gotów — obiecał w napięciu.

Wpadka, pomyślał. Nie byli przygotowani — ludzie reprezentowani przez Tanie Lee, że tak szybko się tam dostanę. Gdzie antyhalucynogen? Zdołają mi go dostarczyć czy nie? Mając tak mało czasu, prawdopodobnie nie.

Dziwne, ale poczuł ulgę. Znajdzie się w obecności Jego Wysokości, będzie mógł zobaczyć go jak zwykłego człowieka, zobaczyć jak — tak samo jak wszyscy — widział go na ekranie telewizora. Będzie to wyjątkowo inspirujący obiad z najbardziej wpływowymi członkami Partii w Azji. Myślę, że dam sobie spokój z fenotiazynami, pomyślał. Ulżyło mu jeszcze bardziej.

— W końcu znalazłem — oznajmił nagle Pethel, wyciągając z aktówki białą kopertę. — Pańska karta i zaproszenie. Polecą pan Sino — rakieta do Willi Przewodniczącego w czwartek rano. Tam oficer protokolarny poinformuje pana, jakie zachowanie jest oczekiwane. Strój wieczorowy, krawat, frak, lecz atmosfera będzie luźna. Zawsze wznoszone jest wiele toastów. — Dodał po chwili: — Sam uczestniczyłem w dwóch takich męskich spotkaniach. Pan Tso-pin — tu uśmiechnął się złośliwie — nie został uhonorowany w taki sposób. Lecz jak to mówią, czekający zawsze się doczeka. Ben Franklin tak mówił.

— Powiedziałbym — powiedział Tso-pin — że do pana Chiena przyszło to nieco przedwcześnie.

Filozoficznie wzruszył ramionami.

— Ale nikt nigdy nie pyta mnie o zdanie.

— Tylko jedno... — Pethel zwrócił się do Chiena. — Możliwe, że kiedy zobaczy pan Jego Wysokość osobiście, poczuje się pan rozczarowany. Jeśli tak się zdarzy, to proszę uważać, by nie pokazać tego po sobie. Zawsze zwykliśmy — nauczono nas — żeby traktować go jako kogoś więcej niż człowieka. Ale przy stole zachowuje się... — zamachał ręką, — nienajlepiej. W pewnych aspektach jest taki sam jak my wszyscy. Może, na przykład, zacząć oddawać się dość ludzkiej pasji do nadmiernego lub niedostatecznego używania mowy; możliwe, że powie jakiś kiepski żart albo wypije za dużo... Szczerze mówiąc, nikt z góry nie wie, jak sprawy się potoczą, lecz zwykle przyjęcie trwa do późnego ranka następnego dnia. Dobrze więc będzie przyjąć dawkę amfetaminy, którą zaoferuje oficer protokolarny.

— O? — zdziwił się Chien.

To było coś nowego i interesującego.

— Żeby wytrzymać. Oraz zredukować skutki alkoholu. Jego Wysokość ma nieprawdopodobnie mocną głowę, często jest jeszcze na nogach i pali się do spaceru, kiedy wszyscy pozostali leżą już nieprzytomni.

— Niezwykły człowiek — wtrącił się Tso-pin. — Sądzę, że jego... słabostki tylko dowodzą, że to równy facet. I wszechstronny; przypomina ludzi Renesansu, na przykład Wawrzyńca Wspaniałego z Medyceuszy.

— Czasem przychodzi mi to na myśl — rzekł Pethel, przyglądając się Chienowi z takim natężeniem, że część wczorajszej grozy powróciła.

Czy znów wciągają mnie w pułapkę? — pomyślał Chien. Ta dziewczyna — czy mogła być sprawdzającym mnie agentem Polbezu, próbującym wyszperać tkwiący we mnie nielojalny, antypartyjny element?

Sądzę, uznał, że muszę zadbać, aby ten beznogi handlarzyna ziołowymi lekami nie dorwał mnie przy wyjściu z pracy. Będę wracał do domu zupełnie inną drogą.

Udało mu się. Ominął handlarza dziś, potem następnego dnia i tak aż do czwartku.

W czwartkowy poranek kaleka wychynął zza zaparkowanej półciężarówki i zastawił mu drogę.

— Mój środek? — zapytał. — Pomógł? Wiem, że tak; receptura pochodzi z czasu Dynastii Sung. Widzę, że pomógł. Zgadza się?

— Puść mnie — rzekł Chien.

— Czy mógłby pan być tak uprzejmy i udzielić odpowiedzi? Ton prośby był zupełnie nieoczekiwany, zazwyczaj handlarz pojękiwał w stylu drobnego ciułacza szarej strefy, tym razem jego wypowiedź uderzyła Chiena. Usłyszał ją głośno i czysto... zupełnie tak jak formułowali je marionetkowi żołnierze Imperializmu.

— Wiem, co mi dałeś — powiedział Chien. — I nie chcę więcej. Jeśli zmienię zdanie, mogę dostać to w aptece. Dzięki.

Ruszył przed siebie, ale wózek z beznogim pasażerem pojechał zanim.

— Panna Lee rozmawiała ze mną — oznajmił kaleka głośno.

— Hmm — zastanowił się Chien i automatycznie zwolnił kroku. Zauważył taksówkę i zamachał na nią.

— Dziś wieczorem udaje się pan na przyjęcie w willi Nad Rzeką Jangcy — oświadczył handlarz, dysząc ciężko z wysiłku dotrzymywania mu tempa. — Proszę wziąć lek — już!

Błagalnym gestem wyciągnął rękę z paczuszką.

— Proszę, towarzyszu Chien; przez wzgląd na samego siebie, na nas wszystkich. Żebyśmy wiedzieli, z czym musimy sobie poradzić. Dobry Boże, on może być kosmitą; to najgorsze, co przychodzi nam do głowy. Nie rozumie pan, Chien? Czym jest pańska cholerna kariera w porównaniu z tym? Jeśli nie zdołamy się dowiedzieć...

Taksówka zatrzymała się przy krawężniku. Drzwi otworzyły się. Chien zaczął wsiadać.

Pacuszka poleciała za nim, uderzyła w próg, ześliznęła się i wylądowała w rynsztoku, mokrym po wcześniejszym deszczu.

— Proszę — jęknął handlarz. — Nie będzie to pana nic kosztować. Dziś jest za darmo. Tylko proszę to zażyć przed przyjęciem. I proszę nie używać amfetamin, to są stymulanty mózdzku, zdecydowanie niewskazane gdy inhibitor adrenaliny, jak fenotiazyna, jest...

Drzwi taksówki zamknęły się za Chieniem. Usiadł wygodnie.

— Dokąd, towarzyszu? — zapytał zrobotyzowany mechanizm. Podał numer identyfikacyjny swojego mieszkania.

— Ten przygłupi handlarzyna zdołał wepchnąć swój brudny towar do mojego czystego wnętrza

— powiedziała taksówka. — Proszę zobaczyć, leży koło pańskiej stopy.

Zobaczył paczuszkę — zwyczajna koperta. Sądzę, pomyślał, że w ten sposób zjawiają się narkotyki — nagle po prostu leżą przy tobie. Przez chwilę siedział nieruchomo, potem podniósł zawiniątko.

Tak samo jak poprzednio, na papierze znajdował się napis, lecz tym razem odręczny. Kobięce pismo, od panny Lee:

Zaskoczyło nas tempo wydarzeń. Lecz, dzięki Bogu, byliśmy przygotowani.

Gdzie się pan podziewał we wtorek i środę? W każdym razie, oto środek i życzę szczęścia.

Złapię pana później w tym tygodniu. Nie chcę, żeby pan próbował mnie odnaleźć.

Podpalił notatkę, spłonęła w popielniczce taksówki.

I zatrzymał ciemne granulki.

Tym razem wszystko, pomyślał. Halucyiiiugeuy w wodzie pitnej. Rok po roku. Dziesięciolecia. W dodatku nie w czasie wojny, tylko pokoju. Nie w obozie wroga, tylko we własnym domu. Wredne sukinsyny, pomyślał. Może powinienem wziąć to, może powinienem sprawdzić, kim lub czym on jest i powiedzieć o tym grupie Tani.

Zrobię to, postanowił. I — w sumie był ciekaw.

Niewłaściwa emocja, wiedział to. Ciekawość, zwłaszcza w działalności partyjnej, często kończyła kariery.

Jednak w tej chwili owładnęła nim całkowicie. Zastanawiał się, czy ten stan przetrwa cały wieczór, jeśli, kiedy nadejdzie ta chwila, rzeczywiście zażyje lek.

Czas wszystko rozstrzygnie. To i wszystko inne. Jesteśmy kwiatami, pomyślał, na równinie, kwiatami, które zbiera. Tak jak w tym arabskim wierszu. Próbował sobie przypomnieć resztę poematu, ale nie zdołał.

Prawdopodobnie tak było równie dobrze.

Oficer protokolarny willi, Japończyk Kimo Okubara, wysoki i świetnie zbudowany, najwyraźniej były zapaśnik, patrzył na Chiena nieodmiennie wrogo, nawet gdy ten pokazał ozdobne zaproszenie i zdołał udowodnić swoją tożsamość.

— Dziwne, że zadał sobie pan trud przybycia tutaj — mruknął Okubara. — Dlaczego nie zostać w domu, żeby pooglądać sobie telewizję? Nikomu by tu pana nie brakowało. Jak dotąd radziliśmy sobie znakomicie.

— Już oglądałem telewizję — odparł Chien twardo.

Poza tym takie przyjęcia rzadko pojawiały się na antenie, były zbyt sprośne.

Pomocnicy Okubary sprawdzili, czy nie ma broni, włączając możliwość posiadania pojemnika doodbytniczego, oddali mu ubranie. Jednak nie znaleźli fenotiazyny — bo już ją zażył. Działanie takiego środka, jak wiedział, utrzymywało się około czterech godzin; to powinno wystarczyć z nawiązką. A jak powiedziała Tania, była to potężna dawka. Czuł się ociężały, niezborny i kręciło mu się w głowie. Język od czasu do czasu wpadał mu w drżenie przypominające chorobę Parkinsona — nieprzyjemny efekt uboczny, którego wcale się nie spodziewał.

Obok przeszła dziewczyna, naga od pasa w górę, z miedzianej barwy włosami spadającymi na ramiona i plecy. Interesujące.

Z innej strony nadeszła dziewczyna całkiem naga. Też interesujące. Obie sprawiały wrażenie nieobecnych, znudzonych i całkowicie panujących nad otoczeniem.

— Pan też tak tam pójdzie — Okubara poinformował Chiena.

— O ile wiem — zaprotestował zaskoczony Chien — obowiązuje krawat i frak.

— Żart — przyznał Japończyk. — Pańskim kosztem. Tylko dziewczyny noszą się nago. Może pan się nawet załapać, chyba, że jest pan homoseksualistą.

No cóż, pomyślał Chien, lepiej żebym to polubił. Poszedł z resztą gości — oni też, jak on, mieli na sobie krawaty i fraki, albo, w przypadku kobiet, suknie do samej ziemi — i czuł się nie na miejscu, pomimo uspokajającego działania stelazyny. Dlaczego tu jestem? pytał sam siebie. Dostrzegał wieloznaczność swojej sytuacji. Znalazł się tu dla poprawienia swojej pozycji w aparacie partyjnym, żeby otrzymać osobistą akceptację od Jego Wysokości... a także znajdował się tu, żeby zdemaskować Jego Wielkość, udowodnić, że ten dostojnik jest tylko oszustwem. Nie wiedział jakim, ale to nieważne: oszustwo wymierzone przeciwko Partii, przeciwko całemu miłującemu pokój ludowi Terry. Ironiczne, pomyślał i wmieszał się pomiędzy gości.

Dziewczyna o niewielkim, jasno podświetlonym biuście podeszła do niego, pytając o ogień, bezwiednie sięgnął po zapalniczkę.

— Dlaczego pani piersi świecą? — zapytał. — Zastrzyki radioaktywne?

Wzruszyła ramionami, nie odpowiedziała i odeszła, zostawiając go samego. Najwyraźniej zareagował niewłaściwie. Może to mutacja z czasów wojny, pomyślał.

— Drink, proszę pana.

Kelner z wdziękiem podsunął mu tacę. Wziął martini — najnowsza moda wśród najwyższych klas Partii w Chinach Ludowych — i pociągnął łyżeczek zimnego, wytrawnego smaku. Dobry, angielski dżin, pomyślał. Albo może oryginalny, holenderski składnik; jałowiec czy co tam dodawali. Niezłe. Ruszył przed siebie, czując się już lepiej. W gruncie rzeczy panująca tu atmosfera okazała się całkiem przyjemna. Goście byli pewni siebie, odnieśli sukces i mogli się odprężyć. Najwyraźniej plotka, że bliskość Jego Wielkości powoduje neurotyczny lęk, była tylko mitem: przynajmniej nie widział najmniejszych jego śladów i sam niewiele odczuwał.

Potężnej budowy, łysy mężczyzna zatrzymał Chiena, po prostu opierając swoją szklankę z drinkiem o jego pierś.

— To kruche maleństwo, które poprosiło pana o ogień — zaczął starszy człowiek i zachichotał. — To dziwadło z biustem jak choinka — to był transwestyta. — Parsknął rozbawiony. — Tu trzeba być ostrożnym.

— Gdzie, jeśli w ogóle — spytał Chien — znajdę prawdziwe kobiety? W białych krawatach i frakach?

— Całkiem blisko — odparł starszy facet i odpłynął z falą podekscytowanych gości, pozostawiając Chiena w towarzystwie samego martini.

Przystojna, dobrze ubrana, wysoka kobieta stojąca blisko Chiena, nagle położyła mu dłoń na ramieniu. Poczł napięcie w jej palcach.

— Nadchodzi — powiedziała. — Jego Wielkość. Dla mnie to pierwszy raz, trochę się boję. Czy włosy mam w porządku?

— Całkowicie — odruchowo odpowiedział Chien i podążył wzrokiem za jej spojrzeniem, czekając na spotkanie na żywo z Absolutnym Dobroczyncą Ludu.

To, co przecinało pokój, zmierzając w stronę stojącego pośrodku stołu, nie było człowiekiem.

Nie było też, jak sobie zdał sprawę, mechaniczną konstrukcją ani czymś, co widział w telewizji. Ewidentnie było to urządzenie służące wygłaszaniu przemówień, coś w rodzaju sztucznej ręki Mussoliniego, którą posługiwał się przy salutowaniu w trakcie długich i nudnych pochodów.

Boże, pomyślał, poczuł mdłości. Czy to coś Tania nazywała wodnym potworem? Nie miało kształtu. Żadnych pseudopodiów ani organicznych, ani metalowych. W pewnym sensie w ogóle go tu

nie było. Kiedy udawało mu się popatrzeć wprost na to, kształt znikał; widział ludzi na wskroś tego — ale nie to. Jednak kiedy przekrzywił głowę, złapał to na krawędzi pola widzenia, był w stanie określić jego kontury.

Wyglądało paskudnie, uderzyło go szpetotą niczym obuchem. Przemieszczając się, wysysało życie z kolejnych osób. Zżerało zgromadzonych, posuwało się, zżerało znów, żarło z nieskończonym apetytem. Nienawidziło, czuł jego nienawiść. Brzydziło się, czuł jego wstręt wobec wszystkich zgromadzonych — właściwie dzielił tę odrazę. W jednej chwili on, i wszyscy pozostali w ogromnej willi, zmienili się w poskręcane ślimaki, a nad tymi wszystkim leżącymi trupami mięczaków stwór delectował się, zwlekał, choć wciąż jednocześnie zmierzał ku niemu — a może to iluzja? Jeśli to halucynacja, pomyślał Chien, to najgorsza jaką kiedykolwiek miałem. Jeśli nie, to jest to paskudna rzeczywistość, zło zabijające i okaleczające. Widział szlak jego przejścia wyłożony rozdeptanymi resztkami zmiażdżonych mężczyzn i kobiet, widział, jak usiłują pozbierać się do kupy, poruszać poszarpanymi ciałami, słyszał próby rozmowy.

Wiem, kim jesteś, pomyślał Chien. Ty, najwyższa władza Partii o ogólnoświatowym zasięgu. Ty, który niszczysz każdy dotknięty żywy obiekt. Widzę ten arabski poemat, poszukiwanie kwiatów życia by je pożreć — widzę, jak ujeżdżasz równinę, którą dla ciebie jest Ziemia, równinę bez wzgórz, bez dolin. Wędrujesz dokądkolwiek chcesz, pojawiaasz się w dowolnej chwili, zżerasz wszystko. Projektujesz życie, a potem je pochłaniasz je i podoba ci się to.

Jesteś Bogiem, pomyślał.

— Panie Chien — odezwał się głos, dobiegający jednak z wnętrza jego czaszki, a nie od strony bezustego ducha zawieszzonego dokładnie przed nim. — Miło cię ponownie spotkać. Nic nie wiesz. Odejdz. Nie interesujesz mnie. Dlaczego miałbym się przejmować śluzem? Śluz, ugrzęzłem w nim, muszę go wydalać, i tak robię. Mogę cię złamać, mogę złamać nawet siebie. Pode mną są twarde głazy; rozstawiam nad szlamem ostro zakończone rzeczy. Sporządzam kryjówki, głębiny, wrę niczym czajnik. Dla mnie ocean jest jak miska maści. Strzępki mojego ciała łączą się ze wszystkim. Ty jesteś mną. Ja jestem tobą. To bez różnicy, tak jak bez różnicy jest czy stworzenie z biustem to chłopak, czy dziewczyna; można nauczyć się cieszyć obojgiem.

Zaśmiał się.

Chien nie mógł uwierzyć, że rozmawia z tym stworem, nie potrafił sobie wyobrazić — było to zbyt straszne — że to coś wybrało właśnie jego.

— Wybrałem wszystkich — powiedziało. — Nikt nie jest za mały, każdy pada i umiera, a ja jestem tu, by obserwować. Nie muszę robić nic, tylko obserwować, wszystko dzieje się automatycznie, tak zostało zaaranżowane.

W tym momencie przestało z nim rozmawiać. Rozpłynęło się. Jednak Chien wciąż to widział; wyczuwał zróżnicowaną obecność. Była to wisząca w pomieszczeniu kula, mająca pięćdziesiąt tysięcy oczu, milion oczu — miliardy: jedno oko dla każdej żywej istoty, czekające na jej upadek, aby wleźć na nią, leżącą w niemocy. Z tego powodu stworzyło rzeczy, a Chien wiedział, rozumiał. To, co w arabskim wierszu wydawało się śmiercią, nie było nią, tylko Bogiem. A raczej to Bóg był śmiercią, jedną siłą, jednym łowcą, jednym kanibalem, który pudłował i pudłował, raz za razem, ale, mając wieczność do dyspozycji, mógł pozwolić sobie na chybienie. Obydwa wiersze, zdał sobie sprawę, Drydena też. Rozpadanie się, to jest nasz świat i wszyscy to robimy. Skrzywia się, żeby takim się stać; naginając nas.

Lecz przynajmniej, pomyślał, wciąż jeszcze mam swoją godność. Z godnością odstawił szklanekę z drinkiem, odwrócił się, wyszedł z pokoju. Szedł długim korytarzem, pokrytym dywanem. Służący, ubrany na fioletowo, otworzył mu drzwi. Znalazł się na zewnątrz, w nocnym mroku na werandzie,

sam.

Nie sam.

To poszło za nim. Albo było tu już przed nim. Tak, to spodziewało się. Jeszcze z nim nie skończyło.

— Idę — oznajmił i skoczył w stronę barierki, sześć pięter w dół, gdzie lśniła rzeka i śmierć, prawdziwa śmierć, a nie coś widzianego przez arabskiego poetę.

Kiedy przetaczał się, to położyło jakiś swój wyrostek na jego ramieniu.

— Dlaczego? — zapytał. Jednak zatrzymał się, zastanawiając Nic nie rozumiał.

— Nie rzucaj się w dół z mojego powodu — powiedziało.

Nie widział tego, bo przesunęło się za jego plecy. Jednak dotyk na ramieniu — zaczął sprawiać wrażenie ludzkiej dłoni. A wtedy to coś zaśmiało się.

— Co jest w tym śmiesznego? — zapytał ostro, chwiejąc się na krawędzi, odciągany przez niby — rękę.

— Wykonujesz dla mnie zadanie — powiedziało. — Nie czekasz, nie masz zamiaru czekać? Wybiorę cię spośród innych; nie musisz przyspieszać tego procesu.

— A jeśli to zrobię? — zapytał. — Z obrzydzenia do ciebie?

Zaśmiało się. I nie odpowiedziało.

— Nawet nie powiesz — poskarżył się.

Znów brak odpowiedzi. Zaczął cofać się nieznacznie, na werandę. Natychmiast nacisk pseudo-dłoni znikł.

— To ty założyłeś Partię? — zapytał.

— Założyłem wszystko. Założyłem Partię i anti-Partię, która nie jest Partią; i tych, którzy są przeciwko. A także tych, których nazywacie Janeskimi Imperialistami; i tych w obozie reakcji; i tak dalej, bez końca. Założyłem wszystko. Jakby były to źdźbła trawy.

— I jesteś tu, żeby się tym nacieszyć? — spytał Chien.

— Chcę — powiedziało — żebyś zobaczył mnie takiego, jakim jestem, jakim mnie widziałeś, a potem zaufał mi.

— Co? — zdumiał się, wzdrygając się. — Zaufać ci w czym?

— Wierzysz we mnie? — spytało.

— Tak — odparł. — Widzę cię.

— No to wracaj do swojej pracy w Ministerstwie. Powiedz Tani Lee, że zobaczyłeś przepracowanego, starszego faceta z nadwagą, który pije za dużo i lubi podszczypywać dziewczęce pośladki.

— Chryste... — wyrwało mu się.

— Ty będziesz żył dalej, nie mogąc przestać, a ja będę cię prześladował — powiedziało. — Stopniowo pozbawię cię wszystkiego, co posiadasz lub czego pragniesz, jednego po drugim. A kiedy już będziesz zniszczony, prawie martwy, wyjawię tajemnicę.

— Jaką tajemnicę?

— Umarli żyć będą, żywi umrą. Zabijam, co żyje. Zachowuję, co umarło. I powiem ci, że *są rzeczy gorsze ode mnie*. Ale nie spotkasz ich, bo do tego czasu już cię zabiję. A teraz wróć do jadalni i przygotuj się do posiłku. Nie kwestionuj moich czynów. Robiłem to, kiedy nie było jeszcze Tunga Chiena na świecie i będę robił długo po nim.

Chien uderzył najmocniej jak potrafił.

Poczuł potworny ból głowy.

Ciemność i uczucie spadania.

Potem znów ciemność. Dostanę cię, pomyślał. Dopilnuję, żebyś też zdechł. Żebyś cierpiał, będziesz cierpiał tak jak my, dokładnie w ten sam sposób. Poświęcę temu swoje życie. Ponownie stanę przed tobą i przygwożdżę. Przysięgam, że gdzieś cię przygwożdżę. I będzie bolało. Tak jak mnie teraz.

Zamknął oczy.

Ktoś potrząsnął nim gwałtownie. Usłyszał głos pana Kimo Okubary.

— Wstawaj, pijaku. No już!

— Taksówkę — zażądał Chien, nie otwierając oczu.

— Już czeka. Wracaj do domu. Hańba. Zrobić z siebie widowisko.

Wstał niepewnie, otworzył oczy, obejrzał siebie dokładnie. Nasz Przewodniczący, za którym idziemy, pomyślał, jest Jedynym Prawdziwym Bogiem. A wróg, z którym walczyliśmy i walczymy nadal, też jest Bogiem. Nie ma więc ucieczki, prawdopodobnie nawet skok nie pomoże. Do którego, instynktownie, zacząłem się już przymierzać. Wzdrygnął się.

— Pomieszać drinki z prochami — powiedział Okubara słabnącym głosem. — Zrujnować sobie karierę. Widziałem to wiele razy. Spadaj.

Chien chwiejnie poszedł w kierunku wielkich, centralnych wrót willi Nad Rzeką Jangcy. Dwóch służących, ubranych jak średniowieczni rycerze, w herbowych płaszczach, ceremonialnie otworzyło przed nim odrzwia.

— Dobranoc, proszę pana — powiedział jeden z nich.

— 1 tobie też — odwarknął Chien i przeszedł obok niego, w mrok.

Za piętnaście trzecia rano siedział bezsennie w salonie swojego apartamentu i palił jedno Cuesta Rey Astoria za drugim. Zapukano do drzwi.

Otworzył i zobaczył Tanie Lee w płaszczu, z twarzą ściągniętą od chłodu. Oczy błyszczały jej pytająco.

— Nie patrz tak na mnie — burknął ostro. Cygaro mu zgasło, przypalił je.

— Dość już się na mnie gapiono — dodał.

— Widziałeś to — powiedziała.

Skinął głową.

Usiadła na poręczy fotela i po dłuższej chwili odezwała się:

— Chcesz mi o tym opowiedzieć?

— Wyjedź stąd najdalej, jak się da — rzekł. — Daleko.

Wtedy przypomniał sobie, że nigdzie nie jest dość daleko. Przypomniał sobie też, że o tym czytał.

— Nieważne — powiedział. Podniósł się i niezgrabnie poczłapał do kuchni, aby zrobić kawę.

— Czy... było aż tak źle? — spytała Tania, idąc za nim.

— Nie możemy wygrać — wyjaśnił. — Wy nie możecie wygrać, nie mam na myśli siebie. Ja w tym nie siedzę. Chcę tylko wykonywać swoją pracę w Ministerstwie i zapomnieć o tym. Zapomnieć tę całą przekłątą rzecz.

— Czy to kosmita?

— Tak — skinął głową.

— Wrogo nastawiony do nas?

— Tak — potwierdził. — Nie. Jedno i drugie. Głównie wrogi. — Więc musimy...

— Idź do domu — poradził — i do łóżka.

Przyjrzał się jej uważnie. Przesiedział wiele godzin i dużo myślał. O wielu sprawach.

— Jesteś zamężna? — spytał.

— Nie. Nie teraz. Kiedyś byłam.

— Zostań ze mną dzisiejszej nocy — poprosił. — To znaczy na resztę nocy. Do wschodu słońca.
— Po pauzie dodał: — Nocna część doby jest okropna.

— Zostanę — zgodziła się Tania, rozpinając pasek płaszcza — ale muszę otrzymać kilka odpowiedzi.

— Co Dryden miał na myśli — zapytał Chien — mówiąc o muzyce rozstrajającej niebo? Nie chwytam. Co muzyka robi niebu?

— Wszystkie reguły rządzące Wszechświatem kończą się — wyjaśniła, odwieszając płaszcz do szafy w sypialni. Pod nim miała sweter w pomarańczowe pasy i legginsy.

— A to źle — skomentował.

— Nie wiem — odrzekła po chwili zastanowienia. — Chyba tak.

— To wielka moc — uznał — przydawana muzyce.

— No cóż, znasz to stare, pitagorejskie powiedzonko o „harmonii sfer niebieskich”.

Beznamiętnie usiadła na brzegu łóżka i zdjęła pantofle.

— Wierzysz w to? — zapytał. — Czy wierzysz w Boga?

— Bóg! — zaśmiała się. — Przeminał wraz z silnikiem parowym. O czym ty mówisz? O Bogu czy bogu?

Przysunęła się, patrząc mu w twarz.

— Nie patrz na mnie z tak bliska! — cofnął się gwałtownie. — Nie chcę, żeby ktokolwiek, kiedykolwiek na mnie patrzył.

Odsunął się z irytacją.

— Sądzę — powiedziała Tania — że jeśli istnieje Bóg, to niewiele Go obchodzą ludzkie poczynania. Taką mam osobistą teorię. To znaczy, nie dba o to, czy wygra zło albo czy ludzie lub zwierzęta będą cierpieć i umierać. Szczerze mówiąc, nie widzę Go wokół siebie. A Partia zawsze zaprzeczała jakiegokolwiek formie...

— Czy kiedykolwiek Go widziałaś? — zapytał. — Kiedy byłaś dzieckiem?

— Och jasne jako dziecko tak. Ale wierzyłam też w...

— Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy — przerwał jej, — że dobro i zło są dwoma nazwami dokładnie tej samej rzeczy? Że Bóg może jednocześnie być dobrem i złem?

— Zrobię ci drinka — zaproponowała Tania i bosy poszła do kuchni.

— Niszczyciel — ciągnął Chien. — Brzękadło. Paszcza i Ptak, i Wzniesiona Rura — plus inne nazwy, formy, nie wiem. Miałem halucynację. Proszony obiad. Wielki. Straszny.

— Ale stelazyna...

— Sprowadziła jeszcze gorszą — oznajmił.

— Czy w jakikolwiek sposób — spytała Tania posepnie — możemy walczyć z tym, co widziałeś? Tym stworem, którego nazywasz halucynacją, a którą na pewno nie był?

— Trzeba w to wierzyć — odparł.

— Co to spowoduje?

— Nic — wyjaśnił zmęczonym głosem. — Absolutnie nic. Jestem zmęczony. Nie chcę drinka — po prostu chodźmy do łóżka.

— Okay — wróciła do sypialni, zaczęła ściągać sweter przez głowę. — Później pogadamy o tym dokładniej.

— Halucynacja — ciągnął Chien — jest miłosierna. Chciałbym ją wtedy mieć. Chcę swoją z powrotem. Chcę, żeby było tak, jak zanim ten twój handlarzyna dotarł do mnie z fenotiazyną.

— Po prostu chodź do łóżka. Będzie ciepło. Przytulnie i miło. Zdjął krawat, koszulę — i zobaczył na prawym ramieniu znak, stygmat, pozostawiony przez to coś, kiedy powstrzymało go

przed skokiem. Sine znaki, wyglądające jakby nigdy już nie miały zniknąć. Założył górę od piżamy, zasłaniając je.

— W każdym razie — powiedziała Tania, kiedy już położył się obok niej — twoja kariera posunęła się ogromnie naprzód. Nie cieszy cię to?

— Jasne — mruknął, lekko skinąwszy głową w ciemności. — Bardzo cieszy.

— Przytul się do mnie — Tania objęła go. — I zapomnij o wszystkim innym. Przynajmniej teraz.

Przyciągnął ją więc do siebie, zrobił czego chciała i czego sam chciał. Była zwinna; była szybka i aktywna; doszła do końca i odegrała swoją rolę. Nie zawracali sobie głowy słowami, dopiero na koniec zawołała „Och!”. A potem odprężyła się.

— Chciałbym — powiedział — żebyśmy tak mogli bez końca. Tak było — odparła Tania. — To jest poza czasem, to nie ma granic, jak ocean. Tacy byliśmy w kambrze, zanim wyszliśmy na ląd. To jest pierwotny ocean. To jedyne chwile, gdy cofamy się w czasie, kiedy jesteśmy po miłosnym uniesieniu. Dlatego to znaczy dla nas tak wiele. W tamtych czasach wcale nie byliśmy rozdzieleni; to było jak wielka galareta, jak te bezkształtne kawałki wyrzucane na plażę.

— Wyrzucane — rzekł — i pozostawione na śmierć.

— Możesz dać mi ręcznik? — spytała Tania. — Albo gąbkę? Potrzebna mi.

Poszedł do łazienki po ręcznik. Tam — teraz był nagi — znów zobaczył swoje ramię, zobaczył miejsce, w którym to coś go schwyciło i przytrzymało, odciągnęło, przypuszczalnie, żeby się nim troszkę dłużej pobawić.

Ślady, z niewyjaśnionych przyczyn, krwawiły.

Starł krew gąbką. Natychmiast wysączyła się świeża i, widząc to, zastanawiał się, ile czasu mu jeszcze zostało. Prawdopodobnie tylko godziny.

— Możesz kontynuować? — zapytał, wracając do łóżka.

— Jasne. Jeśli masz jeszcze siły, zależy to tylko od ciebie. Leżała, przyglądając mu się nieruchomo, ledwie widoczna w mroku nocy.

— Mam — powiedział. I przytulił ją mocno.

Przełożył Jarosław Cieśla

Posłowie

Nie jestem zwolennikiem żadnych idei zawartych w „Wierze naszych ojców”. Na przykład wcale nie twierdzę, że państwa zza Żelaznej Kurtyny wygrają zimną wojnę — albo że z moralnego punktu widzenia powinny wygrać. Jednak jeden wątek w tej opowieści, w świetle ostatnich eksperymentów z halucynogenami, przykuwa moją uwagę: przeżycie teologiczne, o którym mówiło tak wielu zażywających LSD. Wydaje mi się to nową ziemią nieznaną. Do pewnego stopnia przeżycia religijne można teraz badać metodami naukowymi... a, co więcej, można je uważać za częściowe halucynacje zawierające elementy rzeczywistości. Bóg, jako temat fantastyki naukowej, jeśli w ogóle się pojawia, zazwyczaj traktowany jest polemicznie, tak jak w „Z milczącej planety” Lewisa. Lecz ja wolę uważać, że temat ten jest ekscytujący intelektualnie. A jeśli, dzięki psychodelicznym substancjom, religijne przeżycia stałyby się normalnym elementem życia intelektualistów? Stary, dobry ateizm, który — w kontekście doświadczeń, a raczej ich braku — wielu z nas (ze mną włącznie) wydaje się właściwy, natychmiast odszedłby do lamusa. Fantastyka naukowa, zawsze zgłębiająca wszystko, co się będzie myślało, działa, w końcu musi bez uprzedzeń stawić czoła przyszłemu neo-mistycznemu społeczeństwu, w którym teologia jest wiodącą siłą, tak jak było w średniowieczu. To niekoniecznie jest krok wstecz, ponieważ teraz wierzenia można testować — ustanowić lub wygasić. Ja, osobiście, nie wierzę w Boga; mam tylko swoje doświadczenie Jego obecności... subiektywne, oczywiście. Lecz wewnętrzna rzeczywistość też jest realna. A w opowieści fantastycznej przenosi do środowiska to, co było wewnętrznym doświadczeniem; dzieli się nim ze społeczeństwem i w ten sposób przeżycie zaczyna podlegać dyskusji. Jednakże ostatnie słowo na temat Boga być może zostało już wypowiedziane: w roku 840, przez Johna Scotusa Erigenę, na dworze frankońskiego króla Karola Łysego.

— Nie wiemy, czym jest Bóg. Sam Bóg nie wie, kim jest, ponieważ niczym nie jest. Bóg dokładnie *nie jest*, ponieważ wykracza poza byt.

Tak przenikliwe — i zahaczające o zen — mistyczne spojrzenie, wyrażone tak dawno, trudne będzie do przebicia. W moich własnych eksperymentach ze środkami psychodelicznymi, w porównaniu z Erigeną doświadczyłem bardzo skromniutkiej iluminacji. (1966)

Wprowadzenie do „Człowieka układanki”:

Wszyscy zgadzają się, że spośród nowych, młodych pisarzy zajmujących się literaturą spekulatywną, jednym z najbardziej obiecujących jest Larry Niven. Píše od dwóch lat i już odnalazł własny styl, własny głos. Tworzy w gatunku zwanym „twardą fantastyką” — to znaczy, że jego naukowe ekstrapolacje są mocno oparte na aktualnym stanie wiedzy. W opowieściach Nivena nie znajdziecie puszek po piwiR na Marsie ani niewidocznej planety krążącej po orbicie Ziemi po przeciwnej stronie Słońca. Wydawać by się mogło, że to ogranicza horyzonty Nivena. Dla osób o małej wyobraźni mogłoby to okazać się prawdą. Lecz Larry Niven zajmuje się szczegółami; i w najdrobniejszych faktach — często przeoczonych przez pisarzy, którzy mylnie przypuszczają, że ekscytującą spekulatywną opowieść można zbudować tylko wokół wielkich, oczywistych tematów — znajduje fascynujące obszary pozwalające na rozwinięcie bardzo osobistych i niekonwencjonalnych tekstów.

W ciągu ostatnich dwóch lat pracował ciężko i tak skutecznie oraz dobrze, że jego piąte opublikowane opowiadanie „Becalmed in Hell” zajęło drugie miejsce w kategorii krótkich form Nagrody Nebula za 1965 rok, przyznawanej przez Stowarzyszenie Amerykańskich Pisarzy Science Fiction. Jego teksty już znalazły się w kilku zbiorach „najlepszych” opowiadań. A nie wygląda na to, aby na tym poprzestał. W gruncie rzeczy jest Wielką Nadzieją swojego pokolenia.

Larry jest milionerem. Naprawdę. Prawdziwym, autentycznym milionerem z monoklem w oku. Jak bardzo oddany jest ukochanej przez niego fantastyce może świadczyć fakt, że z wyboru utrzymuje się wyłącznie z pieniędzy zarobionych pisaniem. Niewielu spośród nas, głodnych, bladych, wysilających się pismaków, może powiedzieć o sobie to samo.

Larry Niven urodził się w Los Angeles jako dziedzic rodu Doheny i dorastał w Beverly Hills. Studia na matematyce w CalTech przerwał po pięciu kursach — jednym i dwóch trzecich roku. Absolutorium z matematyki zrobił w końcu w Washburn University w Topeka, Kansas, zużywając na to dużo czasu wskutek uczęszczania na liczne kursy z filozofii i języka angielskiego oraz na kursy doszkolające z psychologii. Rozpoczął studia magisterskie na wydziale matematyki Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles i po roku studiów nagle odwrócił się i oznajmił światu (który, w tym momencie, nie przyglądał mu się szczególnie uważnie): *Postanowiłem pisać fantastykę. Jest czerwiec 1963 roku i właśnie zaczynam. Pierwsze opowiadanie „The Coldest Place” sprzedał dokładnie rok później Fredowi Pohlowi, redaktorowi „Worlds of If”. O tej transakcji Larry mówił tak: Rosyjskie odkrycia astronomiczne dotyczące Merkurego, około sierpnia 1964 całkowicie zdezaktualizowały to opowiadanie. Ja już skasowałam czek i Red Pohl został z tym cholerstwem. Opublikował je w grudniu 1964 roku. Moja rodzina, która usłyszawszy, że chcę być pisarzem, narobiła dość szumu, żeby zakłócić wszystkie transmisje naszego globu na cały następny wiek (znajdź sobie uczciwą pracę!) — natychmiast przestała mnie prześladować A teraz chodzę późno spać, na czym właściwie polega zawód pisarza.*

Ciekawe spojrzenie na Nivena *et familie*. Mając dwa komplety rodziców, po rozwodzie w 1953 roku, musi dostarczać obydwóm pięciu stóp książek SF na półkę rocznie, żeby mogli się nim przechwalać, gdy znajdzie się w zasięgu słuchu. Jego brat i przyrodnia siostra podarowali mu w 1965 roku na urodziny album na wycinki, musi więc kupić trzeci komplet wszystkich swoich dzieł, żeby je podrzeć i zapełnić album, oraz czwarty jako archiwum. W ten sposób sprzedając opowiadanie, traci pieniądze.

Jest autorem znakomitej powieści, wydanej przez Ballantine, „World of Ptaws” oraz autorem poniższego opowiadania, zjadliwego i przerażająco logicznego komentarza do przyszłego systemu penitencjarnego, mocno opartego na dniu dzisiejszym, Boże uchron.

Nagroda Hugo, nominacja do Nebuli

Larry Niven

The Jigsaw Man

Człowiek układanka

W roku A.D. 1900 Karl Landsteiner sklasyfikował ludzką krew w cztery grupy: A, B, AB i 0, opierając się na wzajemnej ich niekompatybilności. Po raz pierwszy stało się możliwe dokonanie transfuzji z dużą dozą pewności, że nie zabije to pacjenta.

Ruch na rzecz likwidacji kary śmierci dopiero się zaczynał i już był skazany na porażkę.

Vh83uOAGn7 to był jego numer telefonu, prawa jazdy, ubezpieczenia społecznego, karty powołania i kartoteki medycznej. Dwa z nich unieważniono a pozostałe przestały mieć znaczenie, z wyjątkiem kartoteki medycznej. Nazywał się Warren Lewis Knowles. Miał umrzeć.

Do procesu został jeszcze dzień, ale to nie zmieniało pewności co do wyroku. Lew był winien. Jeśli ktokolwiek w to wątpił, oskarżenie miało żelazny dowód. Jutro o osiemnastej Lew zostanie skazany na śmierć. Broxton wnieśli apelację, na takiej podstawie czy innej. Apelacja zostanie odrzucona.

Cela była wygodna, mała i wyściełana. Nie w celu obrażania zdrowych zmysłów więźnia, choć niepoczytalność przestała już być usprawiedliwieniem dla łamania prawa. Trzy ściany stanowiły tylko kraty. Czwarta, zewnętrzna, była cementowa, pomalowana na spokojną zieleń. Lecz kraty — oddzielające go od korytarza, od ponurego starucha po lewej oraz od nastolatka, sprawiającego wrażenie kretyna, po prawej — miały po dziesięć centymetrów grubości, rozstawione co dwadzieścia centymetrów i zostały obleczone silikonem. Po raz czwarty dzisiaj Lew ścisnął w pięści plastikową wyściółkę i spróbował ją oderwać. W dotyku przypominała gąbczastą, gumową poduchę z twardym rdzeniem grubości ołówka. Nie dała się porwać. Kiedy puścił ją, wróciła gwałtownie do idealnie cylindrycznego kształtu.

— To nie fair — powiedział.

Nastolatek ani drgnął. Przez całe dziesięć godzin, które Lew spędził w celi, dzieciak siedział na brzeżku pryczy, włosy w strąkach spadały mu na oczy, a cień zarostu na twarzy powoli ciemniał. Poruszał długimi, włochatymi rękami wyłącznie w trakcie posiłków, resztą ciała w ogóle nie.

Słyszając głos Lewa staruch uniósł głowę.

— Wrobiony? — spytał z gorzkim sarkazmem. — Nie, ja...

— Przynajmniej jesteś szczerzy. Co zrobiłeś?

Lew powiedział mu. Nie potrafił usunąć z głosu brzmienia zranionej niewinności. Staruch uśmiechał się szyderczo, potakując, jakby spodziewał się dokładnie tego.

— Głupota. Głupota zawsze była najcięższym przestępstwem. Jeśli już *musiałeś* doprowadzić do własnej egzekucji, to dlaczego przynajmniej nie za coś ważnego? Widzisz tego dzieciaka po drugiej stronie?

— Jasne — potwierdził Lew, nawet nie odwracając wzroku.

— Jest przemytnikiem organów.

Lew poczuł, jak szok ścina mu rysy twarzy. Zebrał się w sobie, żeby jeszcze raz zajrzeć do

sąsiedniej celi — i wstrząsnął nim dreszcz. Dzieciak patrzył na niego. Tępowymi, ciemnymi oczami, ledwie widocznymi pod płataniną włosów, szacował Lewa tak, jak rzeźnik oglądający nadpsuty kawał wołowiny.

Lew przysunął się do krat dzielących go od celi starca.

— Ile osób zabił? — spytał ochryłym szeptem.

— Ani jednej.

— ?

— Był naganiaczem. Wyszukiwał kogoś samotnie włóczącego się po nocy, szprycował go prochami i zabierał do domu doktora, który był szefem gangu. To doktor mordował. Gdyby Bernie dostarczył trupa, doktor *jego* by oskórował.

Staruch siedział, mając Lewa tuż za plecami. Okręcił się w tył, żeby móc rozmawiać z sąsiadem, ale teraz najwyraźniej tracił zainteresowanie. Jego dłonie, zasłonięte przed wzrokiem Lewa przez kościste plecy, bezustannie poruszały się nerwowo.

— Ile osób nagonił?

— Cztery. Potem go złapali. Ten Bernie nie jest za bystry.

— A ciebie co tutaj sprowadziło?

Staruch nie odpowiedział. Zignorował Lewa kompletnie, ramiona poruszały się w takt ruchów rąk. Lew wzruszył ramionami i opadł na pryczę.

Była dziewiętnasta, czwartek wieczór.

Do gangu należało trzech naganiaczy. Proces Berniego jeszcze się nie zaczął, a drugi z nich już nie żył; trzeci uciekając, został postrzelony i przewieziony do szpitala tuż obok sądu.

Oficjalnie wciąż był żywy. Został skazany; apelację odrzucono; lecz wciąż jeszcze żył, kiedy przewieziono go, oszołomionego narkotykami, na salę operacyjną.

Stażyści unieśli go ze stołu i wetknęli mu ustnik, żeby mógł oddychać po umieszczeniu w płynie zamrażającym. Zanurzyli go powoli i kiedy temperatura jego ciała spadała, wprowadzili mu coś do krwioobiegu. Około ćwierć litra. Temperatura wciąż spadała, zbliżając się do punktu zamarzania, uderzenia serca rozlegały się coraz rzadziej. W końcu zatrzymało się. Jednak można je było z powrotem uruchomić. Zdarzało się, że w tym momencie ludzie byli ułaskawiani. Oficjalnie” przymytnik organów wciąż był żywy.

Lekarzem był szereg maszyn połączonych przenośnikiem taśmowym. Kiedy temperatura ciała przymytnika osiągnęła określoną wartość, taśma ruszyła. Pierwsza maszyna wykonała kilka nacięć klatki piersiowej. Zręcznie i mechanicznie doktor przeprowadzał kar — dioktomię.

Przymytnik był oficjalnie martwy. Jego serce natychmiast trafiło do magazynu. Potem skóra, w większości w jednym kawałku, wciąż żywa. Doktor ćwiartował go z ogromną starannością, jakby rozbierał na części elastyczną, delikatną, niezmiernie skomplikowaną układankę. Mózg spalono i popioły zachowano w urnie, do celów pogrzebowych. Cała reszta ciała, w plasterkach, małych kawałkach, pergaminowo cienkich warstwach, zwojach rurek, trafiła do magazynów w szpitalnym banku organów. Każdy kawałek można było szybko zapakować do odpowiedniego pudła transportowego i przewieźć do dowolnego miejsca na świecie w niewiele ponad godzinę. Jeśli przypadek tak zrządzi, jeśli trafią się właściwi ludzie ze stosownymi schorzeniami, to w odpowiednim czasie przymytnik organów może uratować więcej osób niż zabił.

I o to właśnie chodziło.

Leżąc na plecach, gapiąc się na wbudowany w sufit ekran telewizora, Lew nagle zaczął się trząść. Nie miał dość sił, żeby wetknąć słuchawkę do ucha i zniemacka bezgłośnie poruszenia

rysunkowych postaci zrobiły się obrzydliwe. Wyłączył telewizor, ale to nie pomogło.

Kawałek po kawałku rozparcelują go na sztuki i schowają na później. Nigdy nie widział banku organów, ale wuj miał jatkę...

— Hej! — wrzasnął.

Oczy dzieciaka otwarły się, jedyna jego żywa część. Staruch okręcił się, żeby popatrzeć znad ramienia. Na końcu korytarza strażnik zerknął raz, potem wrócił do czytania.

Strach skręcał Lewowi wnętrzności, łomotał w gardle.

— Jak możecie to wytrzymać?

Wzrok dzieciaka znów opadł ku podłodze.

— Wytrzymać co? — zapytał staruch.

— Nie wiecie, *co* z nami *zrobią*?

— Nie ze mną. Nie poćwiartują mnie jak wieprza. W jednej chwili Lew znalazł się przy kracie.

— Dlaczego nie?

Staruch mówił teraz bardzo cicho.

— Bo zamiast prawej kości udowej mam bombę. Wysadzę się w powietrze. To, co znajdą potem, nie będzie się nadawało do użytku.

Nadzieja, którą obudziły słowa starca zgasła, pozostała tylko gorycz.

— Wariat. Jak można wprawić sobie bombę w nogę?

— Wyciągasz kość, wiercisz w niej dziurę, składasz w niej bombę, wywlekasz z kości wszystko co organiczne, żeby nie zgniła i wstawiasz ją z powrotem w nogę. Oczywiście potem spada ci liczba czerwonych krwinek. Ale chciałem cię spytać, czy dołączysz do mnie?

— Dołączę?

Obejmiemy się przez kraty, w ten sposób bomba załatwi nas obu. Lew cofnął się.

— Nie, nie, dziękuję.

— Twój wybór — rzekł starzec. — Nigdy ci nie powiedziałem, kim byłem, prawda? Byłem tym doktorem. Bernie naganiał dla mnie.

Lew cofnął się aż do przeciwległych krat. Poczul ich dotyk na plecach, odwrócił się i zobaczył oczy chłopaka wpatrujące się tępo w niego z odległości pół metra. Przemysłowcy organów! Był otoczony przez zawodowych zabójców!

— Wiem, jak to jest — ciągnął staruch. — Nie robią tego ze mną. No cóż, jeśli jesteś pewien, że nie chcesz czystej śmierci, połóż się za pryczą. Jest dostatecznie gruba.

Prycę stanowił materac ze sprężynami, przymocowany do cementowego podwyższenia stanowiącego integralną część podłogi. Lew skulił się w pozycji embrionalnej, zakrywając oczy rękami.

Był pewien, że wcale nie chce umierać *teraz*.

Nic się nie stało.

Po chwili otworzył oczy, oderwał od nich dłonie i rozejrzał się.

Dzieciak patrzył na niego. Po raz pierwszy na jego twarzy widniał, jak przylepiony, kwaśny uśmiezek. W korytarzu strażnik, który dotychczas zawsze siedział na krześle koło wyjścia, stał przy kratkach, patrząc na niego. Wydawał się zaniepokojony.

Lew poczuł, jak rumieniec napływa mu na twarz. Staruch zabawił się jego kosztem. Poruszył się, żeby wstać...

Świat rozpląszczył się pod ciosem młota.

Połamany strażnik leżał oparty o kraty celi po drugiej stronie korytarza. Chłopak z włosami w

strąkach wyłaził z za swojej pryczy, potrząsając głową. Ktoś jęknął, jęk przerodził się w krzyk. Powietrze pełne było cementowego pyłu.

Lew wstał.

Wszystkie powierzchnie wystawione na eksplozję pokrywała krew. Lew spróbował, choć niezbyt starannie, znaleźć ślady starucha. Nie udało mu się.

Oprócz dziury w ścianie.

Musiał stać... dokładnie... tutaj.

Dziura była wystarczająco duża, żeby Lew mógł się przez nią wydostać, gdyby zdołał do niej dotrzeć. Lecz znajdowała się w celi starucha. Silikonowe osłony zostały zdarte z krat pomiędzy celami, zostały same pręty cienkie jak ołówki.

Lew spróbował przecisnąć się pomiędzy nimi.

Kraty pomrukiwały, wibrowały, choć nic nie było słychać. Kiedy Lew zauważył drgania, jednocześnie poczuł senność. Wcisnął ciało pomiędzy pręty, uwikłany w walkę pomiędzy narastającą paniką i wibracyjnymi ogłuszaczami, które musiały się włączyć automatycznie.

Pręty nie zamierzały się poddać. Ale jego ciało owszem, a kraty były śliskie od... Przedostał się. Wystawił głowę przez dziurę w ścianie i popatrzył w dół.

Wysoko. Wystarczająco, żeby wywołać zawroty głowy.

Budynek Sądu Gminy Topeka był niewielkim wieżowcem, a cela Lewa musiała znajdować się blisko szczytu. Popatrzył w dół pozbawionej występow, cementowej ściany upstrzonej oknami, gładko wprawionymi w mur. Żadnego sposobu dotarcia do nich, otwarcia czy wybicia.

Ogłuszacz powoli nadwątlął jego wolę. Gdyby głowę miał w obrębie celi razem z resztą ciała, byłby już nieprzytomny. Zmuszenie się do odwrócenia i popatrzenia w górę wymagało od niego ogromnego wysiłku.

Był *na samej górze*. Krawędź dachu znajdowała się zaledwie o kilka stóp powyżej poziomu jego oczu. Nie mógł jej dotrzeć, nie bez...

Zaczął wyczołgiwać się z dziury.

Wóz albo przewóz, nie da się rozparcelować dla banku organów. Ruch pojazdów rozgniecie wszelkie użyteczne jego części. Siadł na krawędzi dziury, płasko przywierając piersią do ściany. Kiedy złapał równowagę, sięgnął do krawędzi dachu. Niedobrze.

Podciągnął więc jedną nogę pod siebie, drugą trzymając sztywno wyciągniętą i *rzucił się* w górę.

Dłonie zacisnęły się na krawędzi w chwili, gdy zaczął spadać. Krzyknął z zaskoczenia, ale było już za późno. Dach sądu poruszał się! Wywłókł go z dziury, zanim zdążył rozluźnić chwyt. Wisiał, huśtając się powoli w przód i w tył nad pustką, a ruch dachu odsuwał go coraz dalej.

Dach sądu był chodnikiem dla pieszych.

Nie mógł się tam wdrapać, nie mając oparcia dla stóp. Nie miał na to dość sił. Chodnik sunął w stronę kolejnego budynku podobnej wysokości. Dotrze tam, jeśli tylko wytrzyma.

A w tamtym budynku okna były inne. Nieprzystosowane do otwierania, nie w czasach smogu i klimatyzacji, ale miały parapety. Może szkło da się rozbić.

A może nie.

Ręce mdlały mu pod obciążeniem. Tak łatwo byłoby się puścić... Nie. Nie popełnił żadnego przestępstwa, z powodu którego można by umrzeć. Stanowczo nie zamierzał ginąć.

Przez dziesięciolecia dwudziestego wieku ruch społeczny nabierał tempa. Luźno zorganizowany, międzynarodowy, a jego członkowie mieli tylko jeden cel: zastąpienie egzekucji więzieniem i rehabilitacją w każdym kraju, do którego byli w stanie dotrzeć. Argumentowali, że zabicie człowieka za jego przestępstwa niczego go nie uczy; że nie odstrasza innych, którzy mogliby popełnić takie samo

przestępstwo; że śmierć jest nieodwracalna, podczas gdy niewinny człowiek może zostać zwolniony z więzienia, kiedy tylko udowodni się jego niewinność. Zabicie człowieka nie służy niczemu dobremu, wyłącznie zemście społeczeństwa. A zemsta, twierdzili, nie przystoi oświeconemu społeczeństwu.

Przypuszczalnie mieli rację.

W 1940 roku Karl Landsteiner i Alexander S. Wiener opublikowali doniesienie o czynniku Rh w ludzkiej krwi.

W połowie wieku większość skazanych zabójców otrzymywała wyrok dożywocia lub krótszy. Wielu później powróciło do społeczeństwa, część „zrehabilitowana”, część nie. Karę śmierci utrzymano w niektórych stanach USA za porwania, lecz trudno było przekonać ławę przysięgłych do jej zastosowania. Podobnie było z oskarżeniami o morderstwo. Człowiek poszukiwany w Kanadzie za włamanie i w Kalifornii za morderstwo sprzeciwiał się ekstradycji do Kanady — miał większe szansę uniknięcia skazania w Kalifornii. Wiele stanów zniosło karę śmierci. Francja w ogóle jej nie miała.

Rehabilitacja kryminalistów była głównym celem nauki, czy sztuki zwanej psychologią.

Ale...

Banki krwi istniały na całym świecie.

Już wtedy mężczyźni i kobiety ze zniszczonymi nerkami byli ratowani przeszczepem tego organu od bliźniaka jednojajowego. Lekarz w Paryżu używał przeszczepów od bliskich krewnych, określając do stu parametrów zgodność tkanek, by z góry ocenić szansę sukcesu transplantacji.

Przeszczepy oczu stały się powszechne. Dawca oka mógł spokojnie doczekać śmierci, zanim uratował czyjś wzrok.

Ludzkie kości *zawsze* można przeszczepić, pod warunkiem, że najpierw oczyszczono je z całej materii organicznej.

Tak rzeczy miały się w połowie wieku.

Około 1990 stało się możliwe przechowanie dowolnego ludzkiego narządu przez każdy rozsądnie długi czas. Transplantacje stały się rzeczą normalną, wspomagane przez „nieskończenie cienki skalpel”, czyli laser. Umierający zazwyczaj zezwalali na wykorzystanie ich szczątków w bankach narządów. Lobby pogrzebowe nie potrafiło temu zapobiec. Lecz takie dary od zmarłych nie zawsze były przydatne.

W 1993 roku stan Vermont pierwszy przegłosował prawo o bankach organów. Tu zawsze istniała kara śmierci. Teraz skazaniec wiedział, że jego śmierć uratuje innym życie. Nieprawdą stało się twierdzenie, że egzekucja nie służy niczemu dobremu. Nie w Vermont.

Ani też, nieco później, w Kalifornii, Waszyngtonie, Georgii, Pakistanie, Anglii, Szwajcarii, Francji, Rodezji...

Chodnik sunął z prędkością szesnastu kilometrów na godzinę. Pod nim, niezauważony przez przechodniów, którzy późno wyszli z pracy oraz nocnych marków, właśnie rozpoczynających swoje wędrówki, Lewis Knowles zwiślał z ruchomej taśmy i obserwował parapet wsuwający się pod jego rozhuśtane stopy. Miał nie więcej niż pół metra szerokości i znajdował się dobrze ponad metr poniżej jego nóg.

Puścił się.

Kiedy stopy dotknęły parapetu, złapał się krawędzi osady okiennej. Bezwładność trochę nim rzuciła, ale nie spadł. Po dłuższej chwili zaczął znów oddychać.

Nie wiedział, co to za budynek, nie był jednak opuszczony. O dwudziestej pierwszej wszystkie okna były rozświetlone. Zaglądając do wnętrza, próbował trzymać się jak najdalej od światła.

To okno prowadziło do biura. Pustego.

Potrzebował czegoś do owiązania ręki, by móc rozbić to okno. Miał jednak na sobie tylko parę skarpetopantofli i więzienny kombinezon. No cóż, nie mógł wyglądać już bardziej podejrzanie niż w tej chwili. Zdjął kombinezon, owinął pięść jego częścią i uderzył.

Prawie połamał sobie rękę.

Hmmm... zostawili mu biżuterię, zegarek i diamentowy pierścionek. Zarysował diamentem okrąg, mocno przyciskając i uderzył drugą ręką. To *musiało* być szkło. Jeśli to plastik, jest zgubiony. Niemal idealny krąg szyby wpadł do wewnątrz.

Musiał powtórzyć to sześciokrotnie, zanim otwór zrobił się wystarczająco duży, aby zmieścić się w nim zmieścić.

Uśmiechnął się, wchodząc do wnętrza, wciąż trzymając kombinezon w ręku. Teraz potrzebna mu była tylko winda. Policjanci zgarnęliby go w jednej chwili, gdyby dopadli go na ulicy w więziennym kombinezonie, lecz jeśli uda mu się go tu ukryć, będzie bezpieczny. Kto podejrzewałby licencjonowanego nudystę?

Tyle tylko, że nie miał licencji. Ani noszonej przez nudystów na ramieniu torby, w której mógłby ją trzymać.

Ani maszynki do golenia.

Bardzo źle. Nigdy nie było tak zarośniętego nudysty jak on. Nie tylko sień zarostu, ale solidna broda. Gdzie można zdobyć brzytwę?

Zajrzał do szuflad w biurkach. Wielu biznesmenów trzymało zapasowe maszynki do golenia. Zatrzymał się w połowie poszukiwań. Nie dlatego, że znalazł brzytwę, ale dlatego, że zorientował się co to za budynek. Z papierów na biurku wynikało to jednoznacznie.

Szpital.

Wciąż ścisnął kombinezon. Wrzucił go do kosza, przykrył starannie papierami i opadł bezwładnie na fotel za biurkiem.

Szpital. *Musiał* wybrać akurat szpital. I to właśnie *ten*, z całkiem rozsądnych powodów zbudowany tuż obok Sądu Gminy Topeka.

Tyle, że właściwie nic nie wybierał, to budynek wybrał jego. Czy kiedykolwiek w życiu podjął decyzję bez zachęty z zewnątrz? Nie. Przyjaciele pożyczali od niego pieniądze na wieczne nieoddanie, mężczyźni odbijali mu dziewczyny, ominął go awans wskutek skłonności całego świata do ignorowania go. Shirley siłą zapędziła go do ołtarza, cztery lata później rzucając go dla kumpla, który zapędzić by się nie dał.

Nawet teraz, tuż przed możliwym końcem życia, było tak samo. Postarzały złodziej ciał dał mu okazję do ucieczki. Inżynier zaprojektował kraty w odległościach wystarczająco dużych, żeby mógł się pomiędzy nimi przecisnąć szczupły człowiek. Inny umieścił chodnik na dwóch wygodnych dachach. I oto znalazł się tutaj.

Najgorsze, że tu nie miał żadnych szans udawania nudysty. Szpitalny fartuch i maska stanowiła absolutne minimum. Nawet nudysta musiał czasem nosić coś na sobie.

Szata?

Nie było w niej nic oprócz stylowego, zielonego kapelusza i idealnie przejrzystego przeciwdeszczowego poncho.

Mógłby jednak spróbować. Gdyby znalazł golarkę, po dotarciu na ulicę byłby bezpieczny. Zagryzł kostki dłoni, żałując, że nie ma pojęcia gdzie jest winda. Musiał zaufać szczęściu. Wznowił przeszukiwanie szuflad.

Trzymał w ręku czarne pudełko z maszynką do golenia, gdy otwarły się drzwi. Krzepko

zbudowany mężczyzna w szpitalnym fartuchu wszedł energicznie do pomieszczenia. Stażysta (w szpitalu nie było ludzi na stanowiskach lekarskich) był już w połowie drogi do biurka, kiedy zauważył Lewa przykucniętego nad otwartą szufladą. Zatrzymał się. Szczęka mu opadła.

Lew zamknął mu ją pięścią zaciśniętą na pudełku z maszynką. Zęby mężczyzny zeszyły się z głośnym szczękiem. Kolana zaczęły się pod nim uginać, kiedy Lew ominął go i wypadł przez drzwi.

Winda w głębi korytarza stała akurat z otwartymi drzwiami. Nikogo nie było w okolicy. Lew wsiadł i nacisnął 0. W trakcie jazdy ogolił się. Maszynka ścinała zarost szybko i dokładnie, może trochę hałaśliwie. Golił sobie klatkę piersiową, kiedy otwarły się drzwi.

Chuda techniczka stała naprzeciw niego, z ustami i oczami emanującymi tym charakterystycznym, kompletnie bezmyślnym wyrazem człowieka czekającego na windę. Otarła się o niego, wchodząc do windy, wymruczała przeprosiny, właściwie go nie zauważając. Lew szybko wysiadł. Drzwi już się zamykały, gdy zdał sobie sprawę, że znajduje się na niewłaściwym piętrze.

Cholerna techniczka! Zatrzymała windę po drodze na parter.

Odwrócił się i wdusił przycisk w dół. Wtedy dotarło do niego to, co zobaczył w czasie tego jednego, krótkiego spojrzenia dookoła i głowa sama gwałtownie mu się obróciła, żeby rozejrzeć się porządniej.

Całe ogromne pomieszczenie wypełniały szklane zbiorniki, ustawione jedne na drugich, pod sam sufit, tworzące taki labirynt jak półki w bibliotece. Widok był bardziej lubieżny niż cokolwiek innego w Belsen. Cholera, tam byli *mężczyźni!* i *kobiety!* Nie, nie będzie patrzył. Nie chciał patrzeć na nic innego, tylko drzwi windy. *Co tej windzie zajmuje tyle czasu?*

Usłyszał syrenę.

Twarde płytki podłogi zaczęły wibrować pod jego bosymi stopami. Poczul odrętwienie w mięśniach, letarg w duszy.

Winda przyjechała... za późno. Uniemożliwił zamknięcie drzwi windy krzesłem. Większość budynków nie miała teraz klatek schodowych, tylko windy. Będą więc musieli użyć innej, żeby do niego dotrzeć. No cóż, gdzie ona jest? Nie ma dość czasu, żeby jej poszukać. Zaczynał czuć rosnącą senność. Musieli zogniskować kilka projektorów sonicznych na tym pomieszczeniu. Jedna wiązka wywoływała lekkie rozluźnienie, niezdarność. Lecz w punkcie przecinania się wiązek następowała utrata przytomności. Lecz jeszcze nie teraz.

Musiał najpierw coś zrobić.

Kiedy tu dotrą, będą mieli już za co go zabić.

Przednie ściany zbiorników były z plastiku, nie ze szkła: z bardzo specjalnego gatunku plastiku. Musiał mieć wyjątkowe właściwości, żeby nie wywoływać reakcji obronnych w kontakcie z nim miliardów różnych części ciała, które mogły być tu przechowywane. Żaden inżynier nie miał szans uczynić go jeszcze na dokładkę odpornym na rozbicie.

Pękał doskonale.

Później Lew zastanawiał się, jak udało mu się tak długo pozostać na nogach. Usypiający pomruk wiązek ogłuszających wciąż działał na niego, ściągając go w stronę podłogi, która z każdą chwilą wydawała mu się bardziej miękka. Krzesło, którym wymachiwał, robiło się coraz cięższe. Ale jak długo był w stanie unieść, walił nim z całych sił. Brodził po kolana w odżywczym płynie konserwującym, przy każdym kroku rozgarniał stopami miękkie, umierające fragmenty ciała, jednak był dopiero w jednej trzeciej roboty, kiedy cicha, syrenia pieśń pokonała go.

Upadł.

I po tym wszystkim nawet nie wspomnieli o potrząskanym banku organów!

Siedząc na sali sądowej, słuchając rytualnego gładzenia, Lew zwrócił się do Broxtona, żeby zadać mu na ucho pytanie. Pan Broxton uśmiechnął się do niego.

— Dlaczego mieliby o tym wspominać? Uważają, że mają i bez tego dość na ciebie. Jeśli sam to wywleczesz, oskarżą cię o nieusprawiedliwione zniszczenie wartościowych środków medycznych. Ale są pewni, że tego nie zrobisz.

— A pan?

Obawiam się, że mają rację. Ale możemy spróbować. Teraz Hennessey zacznie czytać akt oskarżenia. Czy możesz postarać się, żeby sprawiać wrażenie pokrzywdzonego i oburzonego?

— Jasne.

— To dobrze.

Oskarżyciel odczytał zarzuty. Brzmiał jak głos przeznaczenia dobiegający spod cienkiego blond wąsika. Warren Lewis Knowles sprawiał wrażenie pokrzywdzonego i oburzonego. Lecz już się tak nie czuł. Zrobił coś, za co warto umrzeć.

Wszystko kręciło się wokół banków narządów. Przy wystarczająco dobrych lekarzach i dostatecznym dopływie materiału do tych magazynów ludzkich części zamiennych, każdy podatnik mógł mieć nadzieję na życie wieczne. Który wyborca będzie głosował przeciwko wiecznemu istnieniu? Kara śmierci oznaczała dla niego życie i głosowałby za nią za dowolne przestępstwo.

Lewis Knowles oddał cios.

— Stan dowiedzie, że rzeczony Warren Lewis Knowles, w ciągu ostatnich dwóch lat, świadomie sześciokrotnie przejechał skrzyżowania na czerwonym świetle. W tym samym czasie Warren Knowles nie mniej niż dziesięć razy przekroczył ograniczenia prędkości, raz aż o dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę. Jego kartoteka jest dość bogata. Okażemy zapis jego aresztowania w 2082 pod zarzutem jazdy po pijanemu, z którego został uniewinniony tylko dlatego...

— Sprzeciw!

— Podtrzymany. Jeśli został uniewinniony, panie prokuratorze, sąd musi uznać go za niewinnego.

Tłum. Jarosław Cieśla

Posłowie:

Banki narządów istnieją w przyszłości twojej albo twoich wnuków. Tylko ogólnoswiatowa katastrofa, nic mniej, mogłaby to powstrzymać. Szybkie postępy transplantologii są powszechnie znane. Wiele znakomitych dzieł fantastycznych napisano w oparciu o problem banków organów dlatego, że są nieuniknione i dlatego, że są tak interesujące.

Następne zdanie nie powinno wywoływać sporów, jednak robiło to już i nadal będzie:

Technologia opracowana przez człowieka może zmieniać ludzką moralność.

Jeśli powątpiewasz w to — pomyśl: dynamit, proch, prasa drukarska, czyszczarka do bawełny, najnowsze techniki reklamowe, psychologia. Zastanów się nad samochodem: teraz jest rzeczą niemoralną pojechać do domu po przyjęciu sylwestrowym. (O ile nie weźmie się taksówki, czego nie da się dokonać, nie grożąc pistoletem.) Zastanów się nad bombą kobaltową, która uczyniła wojnę totalną rzeczą niemoralną. Czy wojna totalna była niemoralna przed jej wynalezieniem? W 1945 roku Alianci domagali się właśnie totalnej porażki Niemiec. Czy to było zło? Czy tak uważano w owym czasie? *Ja* nie (miałem siedem lat) i teraz też tak nie uważam (mam dwadzieścia osiem).

Co się dzieje, gdy śmierć jednego, prawdziwego kryminalisty może uratować życie dwudziestu podatnikom? Moralność się zmienia.

W psychologii poświęcono wiele miejsca rehabilitacji kryminalistów. Wkrótce stanie się to zapomnianą tradycją, jak alchemia.

Lecz transplantacja narządów to tylko połowa opowieści. O palmę pierwszeństwa walczy alloplastyka — nauka i techniki praktyczne służące wprowadzaniu, w celach medycznych, obcych substancji do ludzkiego organizmu. Tysiące ludzi chodzi dziś po ulicach z metalowymi rozrusznikami serca, nylonowymi rurkami zastępującymi fragmenty tętnic, plastikowymi zaworami zastępującymi organiczne w aortach, przezroczystymi wstawkami w soczewkach oczu. Kiedy alloplastyka leczy człowieka, nikt nie umiera.

Można pomyśleć o nadchodzących pięciuset latach jako o wyścigu pomiędzy dwiema technikami, alloplastyka i transplantologia. Lecz ta druga zwycięży. Jest zestawem prostszych metod.

Dobrą stroną transplantologii jest to, że dopóki w bankach organów nie pojawią się braki, każdy obywatel może żyć tak długo, jak długo wytrzyma jego układ nerwowy, ponieważ lekarze są w stanie pchać w niego części zapasowe w takim tempie, w jakim oryginalne narządy się rozpadają. Jak długo przeżyje mózg w godnym zaufania ciele, z młodą krwią? Każdy może zgadywać. *Ja* uważam, że kilkaset lat.

Lecz ryzykując zaprzepaszczenie stuleci życia, który obywatel zagłosuje przeciwko karze śmierci orzekanej za fałszywe reklamy, uporczywe nieprawidłowe przechodzenie ulicy, chamstwo, oszustwa podatkowe, posiadanie dzieci bez licencji? Albo (to bardzo realne zagrożenie) krytykowanie polityki rządu? Biorąc pod uwagę banki narządów, „Człowiek układanka” jest rzutem oka w najlepszą z możliwych przyszłość. Najgorsza to nieskończona dyktatura.

W Boże Narodzenie 1965 roku Harlan powiadomił mnie, że zbiera materiały do antologii. Akurat byłem w połowie powieści opartej na problemie banków narządów w jednej z ziemskich kolonii

międzygwiazdnych (teraz prawie skończonej), poświęciłem sporo czasu na ukazanie, jak coś takiego może zmienić Ziemię.

Sadzę, że mogłem sprzedać opowieść komukolwiek. Lecz spowodowałaby spory, tym samym wypełniając swoje zadanie. Bo ktoś powinien zacząć o tym myśleć. Nie mamy zbyt wiele czasu. To tylko przypadkowy zbieg historycznych okoliczności, że banki krwi Czerwonego Krzyża nie są zaopatrywane przez kostnice. Pomyślcie o zaletach takiego układu — i zaczynajcie się bać.

Wprowadzenie do „Porzucam kośćmi”:

Dziwnym trafem autorzy fantastyki futurologicznej zazwyczaj stają się specjalistami w określonej dziedzinie. Mamy egzoekologa Hala Clementa, poetę-wizjonera Raya Bradbury’ego, niszczycieli planet Edmonda Hamiltona i A.E. van Vogta. Niewielu jest pisarzy „renesansowych”, którzy potrafią sięgnąć wyobraźnią od gotyckiej fantazy do „twardej” fantastyki, do której należą opowieści spod znaku „miotacza i dyszy”. A wśród tych mistrzów wszystkich form tylko garstka umie poradzić sobie z opowiadaniem grozy zakotwiczonym w świecie współczesnym.

Fritz Leiber, który będąc dwukrotnym laureatem nagrody Hugo, naprawdę nie wymaga przedstawiania, niewątpliwie należy do najbardziej uniwersalnych wśród tej elity. Urodzony w 1910 roku, syn aktorów dramatycznych Fritza i Wirginii Bronson Leiber, studiował na Uniwersytecie Chicago, który skończył z wyróżnieniem, otrzymując tytuł magistra psychologii oraz mogąc pochwalić się trzyletnią przynależnością do bractwa Fi Beta Kappa. Był świeckim bratem Kościoła Episkopalnego, uczęszczał do Seminarium Teologii Ogólnej w Nowym Jorku, w 1935 roku pojechał z ojcem na tournée teatralne, grając wraz z nim; w latach 1937 do 1956 pracował jako redaktor, po drodze przez rok ucząc sztuki dramatycznej. Od 1945 do 1956 roku był redaktorem — korespondentem „Science Digest” i od tamtej pory jest niezależnym pisarzem fantastyki naukowej.

Dla historyków podaję, że pierwszym przyjętym do druku opowiadaniem Fritza Leibera było „The Automatic Pistol”, które ukazało się w „Weird Tales” w maju 1940 roku. Pierwszą opublikowaną (i za którą mu zapłacono) historią była „Two Sought Adventure”, pierwsze z niezapomnianej serii opowiadań, z gatunku „magii i miecza”, o Fahfrdzie i Szarym Kocurze. Ukazało się ono w 1939 roku, w sierpniowym numerze „Unknown”. Spośród jego czternastu książek fani ciepło wspomną *Conjure Wife*, *GatherDarkness!* z 1958, zdobywczynię Hugo w 1964 roku: *The Big Time* i *Wędrowca*, *Night’s Black Agents*, *A Pail of Air* oraz niedawną *Tarzan and the Valley of Gold*.

Nawiasem mówiąc, wydaje się właściwe, by napisanie *nowej* przygody światowej sławy bohatera stworzonego przez Edgara Rice Burroughsa przypadło — spośród wszystkich pisarzy, którzy mogliby się tym zająć — właśnie Fritzowi Leiberowi. Jego umiejętność nadawania wszystkiemu co pisze aury nie tylko znakomitego profesjonalizmu, ale prawdziwej poetyki, pozwalała mu utrzymywać się w czołówce twórców fantastyki przez ponad dwadzieścia lat. W powieści o Tarzanie udowodnił, że jego szalony talent do splatania fantazji z rzeczywistością jest niezrównany. Zaś do niniejszej antologii nic nie może pasować lepiej niż historia, którą Fritz postanowił opowiedzieć. Dowodzi bowiem jasno, że rzadko można przeprowadzić granicę między fantazy i fantastyką naukową.

„Porzucam kośćmi” to od dwóch lat pierwsza krotka forma Fritza, przynajmniej w chwili pisania tego wstępu. Pokazuje leiberowską wizję Wszechświata będącego splotem magii, nauki i przesądu, ewidentnie przy tym wykazując jego głęboką miłość do języka angielskiego. Nie daje się

zaklasyfikować, zawiera bowiem elementy horroru, fantastyki naukowej, psychologicznej fantazy oraz jungowskie wyjaśnienia osobistych szaleństw naszych czasów. Znakomicie spełnia wymagania postawione opowiadaniom w tym zbiorze: autorów poproszono o przedstawienie „niebezpiecznych” wizji i przyznać muszę, że niewiele jest równie przerażających jak ta, w której Fritz Leiber proponuje nadanie w końcu imienia Księżciu Ciemności.

Nagroda Hugo
Fritz Leiber
Gonna Roll The Bones

Porzucam kości

Joe Slattermill poczuł nagle pewność, że musi szybko wyjść, bo inaczej dostanie szalu i wałac łbem w podpory i łąty, utrzymujące jego rozpadający się domek złożony z wielkich, drewnianych, gipsowych i papierowych płyt, przewraca je wszystkie — za wyjątkiem ogromnego kominka, pieców i komina, znajdujących się po przeciwnej stronie kuchni.

Te ostatnie były solidne, kamienne. Kominek sięgał podbródka, był co najmniej dwukrotnie dłuższy i od końca do końca wypełniały go ryczące płomienie. Powyżej widniały kwadratowe drzwiczki rzędu pieców — jego Żona zarabiała wypiekami. Nad nimi rozciągał się długi na całą ścianę gzyms, znajdujący się zbyt wysoko, by mogła go dosięgnąć jego Matka, a tym bardziej doskoczyć do niego Guts. Zastawiono go mnóstwem pamiątek po przodkach, jednak te nie wykonane z kamienia lub porcelany tak mocno wyschły i poczerniały przez dziesięciolecia palenia w kominku, że wyglądały jak skurczone ludzkie głowy i czarne piłki golfowe. Przy jednym z końców stały prostokątne butelki dzinu jego Żony. Nad gzymsem wisiała stara chromolitografia, tak wysoko i tak poczerniała od sadzy i tłuszczu, że nie dało się odróżnić czy wiry i gruby, cygarowaty kształt to zmagający się z huraganem wielorybiczny parowiec, czy też statek kosmiczny nurzający się w burzy pędzonych światłem drobin pyłu.

Kiedy tylko Joe podwinął palce w butach, jego Matka natychmiast wiedziała, co knuje.

— Idziesz na dupy — mruknęła z przekonaniem. — W kieszeniach też pełno domowej forszy do wydania na grzech.

Potem wróciła do zjadania długich pasów, które prawą ręką niezbyt sprawnie oddzierała od trupa indyka ustawionego tuż przy strasznym ogniu; lewą rękę trzymając w pogotowiu do obrony przed Gutsem, który gapił się na nią, żółtooką, biednie odzianą, z długim, wyliniętym końskim ogonem. W brudnej sukience, tłusta jak boki indyka, Matka Joego wyglądała jak zgięta, brązowa torba, a jej palce jak gruzłowate patyki.

Wysoka jak wieża Żona Joego wiedziała to od tej samej chwili, albo nawet i wcześniej, sądząc po kosym uśmiechu, jaki posłała mu przez ramię ze swojego miejsca przed środkowym piecem. Zanim zamknęła drzwiczki, Joe spostrzegł, że piekła dwa długie, płaskie, wąskie, żebrowane bochenki i jeden wysoki jak kopuła. W swojej fioletowej podomce wyglądała chudo, jak śmierć i zaraza razem wzięte. Bez patrzenia wyciągnęła metrowej długości, cienką rękę po najbliższą flaszkę z dzinem, pociągnęła porządny łyk i uśmiechnęła się ponownie. Nie odezwała się, ale Joe wiedział, co by powiedziała:

— Wyjdiesz, będziesz się hazardował, urzniesz się, prześpisz z dziwką, wrócisz do domu, pobijesz mnie i pójdziesz za to do pierdła.

Błysnęło mu wspomnienie ostatniego razu, kiedy to siedział w ciemnej, kamienistej celi a ona przysłała w świetle księżyca, które uwydatniało zielone i żółte guzy na jej wąskiej czaszce, nabrzmiałe w miejscach, gdzie spadły jego ciosy, żeby poszeptać z nim przez wąskie okienko w tylnej ścianie i przeszmulgować ćwiartkę między kratami.

Joe był pewien, że tym razem będzie równie źle albo i gorzej, lecz mimo to podniósł się, razem z ciężkimi kieszeniami odzywającymi się stłumionym pobrzękiwaniem, i poczłapał wprost do drzwi, mamrocząc:

— Poturlam trochę kośćmi, może co zgarnę — mruknął, machając krzywymi rękami o gruzłowatych stawach, niczym kołami łopatkowymi, starając się obrócić swoje słowa w żart.

Kiedy wyszedł, na kilka sekund przytrzymał za sobą leciutko uchylone drzwi. Kiedy je w końcu zamknął, poczuł się głęboko nieszczęśliwy. Przed laty Guts wybiegłby razem z nim, poszukać zwady i damskiego towarzystwa na dachach i płotach, ale teraz wielkiemu kocurowi wystarczyło siedzenie w domu, parowanie przy kominku, podkradanie indyka i unikanie miotły, kłótnie i godzenie się z dwiema siedzącymi w domu kobietami. Nic nie podążyło za Joe'm do drzwi, oprócz mlaskania Matki, jej urywanego oddechu, brzęknięć butelki dzinu odstawianej na gzyms i skrzypienia desek podłogi pod stopami.

Noc była pełna lodowatych gwiazd. Kilka z nich zdawało się poruszać, wyglądały jak rozjarzone do białości gazy odrzutowe statków kosmicznych. Poniżej wydawało się, że całe Ironmine wyłączyło światła i poszło spać, pozostawiając ulice i place równie niewidzialnym podmuchom wiatru i duchom. Lecz Joe wciąż jeszcze znajdował się w czaszy stęchłego, gorzkiego odoru przeżartej przez robaki ciesielki znajdującej się za nim, czuł i słyszał, jak suche źdźbła trawnika ocierają mu się o łydki i przyszło mu do głowy, że przez całe lata coś głęboko w jego wnętrzu planowało wydarzenia tak, że on, dom, Żona, Matka i Guts zginą wszyscy razem. Z punktu widzenia fizyki fakt, że kuchenny żar nie sfajczył łatwopalnego budynku już lata temu, był cudem.

Garbiąc się, poszedł nie pod górę, ale w dół, gruntową drogą prowadzącą obok cmentarza Cypres Hollow do Night Town.

Tej nocy podmuchy wiatru były delikatne, lecz wyjątkowo niespokojne i zmienne, jak czarcie wicherki. Za pijanym, zniszczonym do białości płotem majaczącym w świetle gwiazd, podmuchy szeleściły w zaniedbanych drzewach Cypres Hollow, co wyglądało tak, jakby gładziły brody z oplątwy¹. John wyczuł, że duchy są równie niespokojne jak wiatr, niepewne gdzie i kogo nawiedzać, czy też wziąć sobie wolną noc, dryfując razem w żałości lubieżnym towarzystwie. Pomiędzy drzewami zielonoczerwone światelka wampirów pulsowały słabo i nieregularnie, jak chore robaczki świętojańskie albo ogarnięta zarazą flota kosmiczna. Joe wciąż czuł się głęboko nieszczęśliwy, ciągnęło go, żeby skręcić i zwinąć się w którymś co wygodniejszym grobie albo wokół jakiejś na wpół zrujnowanej tablicy nagrobkowej i oszukać los, uchronić Żonę i pozostałą trójkę przed wspólnym fatum. Pomyślał: Poturlatn kośćmi, naturlam się i pójdę spać. Lecz kiedy podejmował decyzję, minął już i obwisłą bramę, i pijany w trupa płot, i Shantytville.

Z początku Night Town sprawiało wrażenie równie wymarłego jak reszta Ironmine, potem jednak zauważył delikatną poświatę, równie paskudną jak światelka wampirów, lecz bardziej rozgorączkowaną, a wraz z nią usłyszał skoczną muzykę, cichą z początku, jakby przeznaczoną dla tańczących mrówek. Poszedł sprężystym chodnikiem, tęsknie wspominając dni, kiedy to miał sprężyny w nogach i skoczyłby w wir walki jak ryś albo marsjański pajak piaskowy. Boże, minęły już długie lata od czasu, gdy stoczył prawdziwą walkę czy choćby poczuł *moc*. Z wolna muzyka stała się jazgotliwa niczym utwory zespołu Bunnyghug skomponowane dla niedźwiedzi grizzly, głośna jak polka dla słoni, poświata zaś zmieniła się w szaleństwo gazowych pochodni, żagwi, trupio sinych i rozedrganych, neonowo różowych lamp rtęciowych; wszystkie szydziły z gwiazd, pomiędzy którymi żeglowały statki kosmiczne. W chwilę później stał przed trzypiętrową, fałszywą fasadą, rozjarzoną jak diabelska tęcza, zwieńczoną u szczytu bladobłękitnymi ogniami świętego Elma. Pośrodku

znajdowały się wahadłowe drzwi, przepuszczające światło górą i dołem. Nad framugą złoty napis bazgrał się sam, raz za razem, pełen ornamentów i zawijasów: „Kościniec”, a pod spodem demoniczną czerwienią „Kasyno”.

A więc to nowe miejsce, o którym gadano od tak dawna, w końcu zostało otwarte! Po raz pierwszy tej nocy Joe Slattermill poczuł w sobie drgnięcie prawdziwego życia i delikatną pieśczętę podniecenia.

Poturłam kośćmi — pomyślał.

Odkurzył swoje niebieskozielone ubranie robocze szerokimi, niestarannymi ruchami i poklepał się po dźwięczących kieszeniach. Wyprostował ramiona, rozciągnął wargi w wilczym uśmiechu i przedarł się przez drzwi, jakby walił wroga nasadą dłoni.

Wewnątrz „Kościniec” zdawał się mieć wielkość miasteczka, z barem długim jak tor kolejowy. Okrągłe wyspy światła na stołach pokerowych przeplatały się z klepsydrowego kształtu plamami mroku, przez które dziewczęta z żetonami lub drinkami, przemykały się jak białonogie czarownice. W oddali, przy podwyższeniu dla jazz — bandu, tancerki brzucha tworzyły *swoje*, przypominające klepsydrę kształty. Graczy było pełno, przycupniętych jak grzyby, wszyscy łysi od zadreżczania się kartą, rzutem kością, wpadnięciem kulki z kości słoniowej, a Szkarłatne Damy wyglądały niczym pola wilczomleczka.

Okrzyki krupierów, trzask rozdawanych kart, brzmiały jak miękkie lecz donośne staccato, przypominając szelesty i uderzenia jazzowej perkusji. Każdy atom tego miejsca podskakiwał w kontrolowanym rytmie. Nawet kłębki kurzu miotwały się w napięciu w stożkach światła.

Podniecenie Joego wzrosło, czuł jak sączy się przez niego, niczym powiew zapowiadający wichurę, lekkie tchnienie pewności siebie, które, jak wiedział, umiało się przekształcić w tornado. Wszystkie myśli o domu, Żonie i Matce wyleciały mu z głowy, a Guts uchował się w nich jedynie jako zwariowany, młody kocur wędrujący po obrzeżach jego świadomości. Mięśnie nóg Joego zadrgały solidarnie i poczuł, jak stają się coraz bardziej giętkie i silne.

Chłodnym okiem rozejrzał się po wnętrzu, ręka sama, jakby niezależnie od niego, sięgnęła w bok by zdjąć drinka z mijającej go, lekko podskakującej tacy. W końcu jego wzrok zatrzymał się na czymś, co w jego ocenie było Wielkim Stołem do Kości. Wszystkie Wielkie Grzybasy tam siedziały, łyse, sztywno wyprostowane niczym muchomory. Potem, przez prześwit pomiędzy nimi Joe zobaczył po drugiej stronie stołu postać jeszcze wyższą, lecz ubraną w długi, ciemny płaszcz z postawionym kołnierzem i z czarnym, miękkim kapeluszem naciągniętym nisko na czoło, widać było tylko niewielki trójkąt twarzy. W Joem obudziło się podejrzenie podszyte nadzieją, ruszył wprost ku prześwitowi pomiędzy Wielkimi Grzybasami.

Kiedy podchodził coraz bliżej, a białonogie kelnerki w błyszczących strojach schodziły mu z drogi, jego podejrzenia uzyskiwały jedno potwierdzenie po drugim i nadzieja rosła w nim i rozkwitała. Przy jednym końcu stołu siedział najtłuściejszy facet, jakiego kiedykolwiek w życiu widział, z długim cygarem, w srebrnej kamizelce i ze złotą spinką do krawata szeroką na co najmniej osiem cali, na której widniał napis „Pan Bones”. Blisko przeciwległego końca stała najbardziej ze wszystkich rozebrana dziewczyna z żetonami, jednak wyłącznie u niej tacę zwieszającą się z nagich ramion i wrzynającą się w brzuch tuż pod biustem, wypełniały stopy lśniącego złota i czarne jak smoła żetony. Zaś ona sama, chudsza, wyższa i mająca kończyny dłuższe nawet niż Żona, najwyraźniej miała na sobie wyłącznie parę długich, białych rękawiczek. Była całkiem — całkiem, jeśli kto lubi niewiele więcej niż bladą skórę naciągniętą na szkielet i biust niczym piegi.

Obok każdego z graczy stał okrągły stolik na żetony. Jeden był pusty. Strzeliwszy palcami na najbliższą, srebrną dziewczynę z żetonami, Joe wymienił wszystkie swoje zatłuszczone dolary na

odpowiadającą ich sumie liczbą jasnych żetonów i uszczyptał ją w lewą pierś na szczęście. Żartobliwie kłapnęła zębami w stronę jego palców.

Niespiesznie, ale nie tracąc czasu, podszedł, niedbale rzucił swój skromny stosik na pusty stolik i zajął wolne miejsce. Zauważył, że drugi Grzybas po jego prawej stronie miał kostki. Serce, choć inne części ciała nawet nie drgnęły, podskoczyło mu gwałtownie. Potem spokojnie podniósł wzrok i popatrzył nad stołem prosto przed siebie.

Płaszcz stanowił lśniącą, elegancką kolumnę satyny z gagatowymi guzikami, podniesiony kołnierz ze znakomitego pluszu, był czarny jak najciemniejsza piwnica, podobnie miękki kapelusz z szerokim, opuszczonym rondem i otokiem z wąskiego warkocza splecionego z końskiego włosia. Rękawy płaszcza stanowiły długie, mniejsze satynowe kolumny, kończące się wąskimi dłońmi o długich palcach, poruszających się bardzo szybko kiedy trzeba, ale w momentach spoczynku posągowo nieruchomych.

Joe widział wciąż tylko niewielką część twarzy, gładkie czoło bez najmniejszych śladów potu — brwi wyglądały jak krótkie kawałki otoku kapelusza — wymizerowane, arystokratyczne policzki oraz wąski, choć nieco płaski nos. Cera mężczyzny była mniej biała niż Joe z początku sądził. Widniał w niej ślad brązu, jak w dopiero co zaczynającej się starzeć kości słoniowej czy wenusjanskim steatycie. Kolejne spojrzenie na dłonie potwierdziło tę obserwację.

Za mężczyzną w czerni kłębiła się grupa najbardziej krzykliwie odzianych i najpaskudniejszych klientów, mężczyzn i kobiet, jakich Joe kiedykolwiek widział. Na pierwszy rzut oka poznał, że każdy z obwieszonych diamentami, wypomadowanych brutalni miał pod haftowaną kamizelką ukrytą spluwę i pałkę w kieszonce na biodrze. Każda zaś rozrywkowa dziewczyna o wężowym spojrzeniu, sztylet w podwiązce oraz posrebrzany krótkolufy rewolwer z rękojeścią wykładaną macicą perłową schowany pod wyszywanym cekinami jedwabiem, w zagłębieniu pomiędzy sterczącymi piersiami.

Jednocześnie jednak Joe wiedział, że to tylko ozdóbki. To mężczyzna w czerni, ich pan, był śmiertelnie niebezpieczny, człowiek, o którym na pierwszy rzut oka wie się, że nie można go tknąć i przeżyć. Jeśli bez pozwolenia położyłoby się choćby palec na jego rękawie, nieważne jak delikatnie i z jakim szacunkiem, biała dłoń poruszyłaby się szybciej niż myśl i nastąpiłoby pchnięcie nożem lub strzał. A może już samo dotknięcie zabiłoby, zupełnie jakby każdy czarny element stroju został naładowany przez tę bladą skórę potężnym ładunkiem. Joe spojrzał na ocienioną twarz jeszcze raz i uznał, że nie miałby ochoty spróbować.

Bo to oczy robiły największe wrażenie. Wszyscy hazardziści mają głęboko osadzone, podkrążone oczy. Leczą u tego człowieka znajdowały się tak głęboko, że nawet nie można było mieć pewności, czy spostrzegło się ich błysk. Były wcieloną zagadką. Niezgałębione. Jak czarne dziury.

Jednak wszystko to nawet o włos nie zniechęciło Joe'ego, choć trochę go nastraszyło. Przeciwnie, nie posiadał się z radości. Jego pierwsze podejrzenie uzyskało ostateczne potwierdzenie i nadzieja zakwitła w pełni.

To musiał być jeden z tych wielkich hazardzistów trafiających do Ironmine najwyżej raz na dziesięć lat, przyplądali z Wielkiego Miasta jedną z rzecznych łodzi, które przemierzały wody jak luksusowe komety, tryskając długimi ogonami iskier z wysokich niczym sekwoje kominów, opatrzonych na szczycie krzywo powycinanymi, dziurawymi blachami. Albo jak srebrzyste liniowce kosmiczne o kilkudziesięciu dyszach pełnych płomieni, kojarzących się z klejnotami, o bulajach migoczących jak rzędy zagarniętych asteroidów.

Jeśli już o tym wspomnieć, to niektórzy z tych największych hazardzistów naprawdę przybyli z innych planet, na których nocne życie toczyło się szybciej, a sportowa żyłka dawała szaloną mieszkankę ryzyka i zachwyty.

Tak, Joe zawsze marzył o zmierzeniu się na umiejętności z takim typem człowieka. Poczul *moc* zaczynając mrowić w sztywnych jak kamienie palcach, odrobinę.

Opuścił wzrok na stół do kości. Szeroki prawie na wzrost człowieka, co najmniej dwukrotnie dłuższy, niezwykle głęboki i pokryty czarnym, nie zielonym, sukniem. W rezultacie wyglądał jak wielka trumna. W jego kształcie było coś znajomego, czego nie potrafił określić. Jego blat, choć nie boki, skrzył się wielobarwnie, jakby lekko obsypano go drobnymi diamentami. Kiedy Joe popatrzył prosto w dół, mając oczy tuż nad blatem stołu, ogarnęło go nagle szalone wrażenie, że wzrokiem przebił się przez cały świat, że te diamenty to gwiazdy po drugiej stronie, widoczne pomimo świecącego tam słońca, zupełnie tak samo jak wtedy, gdy Joe dostrzegał gwiazdy w dzień patrząc spod szybu kopalni, w której pracował. Spłukany do czysta gracz, oszołomiony przegraną, wpadał w tę pustkę, spadając w nieskończoność, ku dnu wszystkich den, ku Piekłu lub czarnej galaktyce. Myśli Joe'ego zawirowały i poczuł w kroczu zimny uścisk żelaznych palców strachu. Ktoś mruknął za nim, „No już, palancie”.

Potem kości, które w międzyczasie zostały przekazane Wielkiemu Grzybasowi po jego prawej stronie, zatrzymały się na środku stołu, skupiając na sobie uwagę i zmiatając jego wizję. Lecz natychmiast pojawiło się inne dziwo, które go zaniepokoiło. Kości z kości słoniowej były duże, o niezwykle mocno zaokrąglonych rogach, z ciemnoczerwonymi kropkami lśniącymi jak prawdziwe rubiny, lecz tak ułożonymi, że każda ścianka sprawiała wrażenie miniaturowej czaszki. Na przykład, właśnie wyrzucona siódemka, przez co Grzybas po jego prawej stronie stracił punkt, składała się z dwójki mającej obie kropki w równym odstępnie po jednej stronie, imitującej oczy, zamiast pomiędzy przeciwległymi rogami, i z piątki mającej takie same czerwone oczka plus jeszcze pośrodku czerwony nos i dwie kropki poniżej, blisko siebie, tworzące zęby.

Długa, chuda ręka w białej rękawiczce, należąca do krupierki wystrzeliła nad blatem niczym albinotyczna kobra, zebrała kości i błyskawicznym ruchem umieściła je na krawędzi stołu dokładnie przed Joe'em. Odetchnął cicho, podniósł żeton i podręcznego stolika, zaczął kłaść go obok kości, kiedy zorientował się, że tu panują inne zwyczaje i odłożył go z powrotem. Miał jednak ochotę dokładniej mu się przyjrzeć. Był zaskakująco lekki, w kolorze bladej opalenizny, mniej więcej jak mleko z paroma kroplami kawy i na powierzchni miał wygrawerowany symbol, wyczuwalny palcami, choć niewidoczny. Joe nie miał pojęcia co to za symbol, to wymagałoby dłuższego obmacywania. Jednak jego dotknięcie było bardzo miłe, posłało pełną, mrowiącą moc wzdłuż ręki rzucającej kości.

Niedbale, choć szybko, obrzucił wzrokiem twarz przy stole, nie omijając Wielkiego Gracza naprzeciwko, i powiedział spokojnie:

— Rzut za penny — mając, oczywiście, na myśli pojedynczy żeton albo dolara.

Wszystkie Wielkie Grzybasy syknęły z dezaprobatą, a okrągła jak księżyc gęba Pana Bonesa poczerwieniała. Ruszył wezwać wykidajłów.

Wielki Gracz uniósł obciążone satyną przedramię, rzeźbioną dłoń wyciągnął płasko nad stołem. W jednej chwili Pan Bones zamarł, a syk ucichł szybciej niż w przekłutej przez minimeteor samouszczelniającej się powłoce. Cichym głosem, niemal szeptem, bez najmniejszego siadu drwiny, cziowiek w czerni odezwał się.

— Pozwólcie państwo.

Oto, pomyślał Joe, ostateczne potwierdzenie podejrzeń, jeśli jeszcze jakiegokolwiek było potrzebne. Naprawdę wielcy gracze zawsze byli perfekcyjnymi dżentelmenami, szcudrymi wobec ubogich.

Z delikatnym, pełnym szacunku śladem śmiechu jeden z Wielkich Grzybasów zawołał do Joe'ego:

— Wchodzę.

Joe podjął wysadzane rubinami kości.

Od czasu gdy po raz pierwszy złapał dwa jajka na jeden talerz, wygrywając wszystkie kulki w Ironmine, oraz tak długo żonglował pięcioma klockami z literami, że kiedy spadły ułożyły się w jednej linii w słowo „Matka”, Joe Slattermill dysponował niewiarygodną zręcznością i precyzją rzutu. W kopalni potrafił odbić kamień od ściany tak, żeby strzaskał czaszkę szczurowi przemokającemu w mroku w odległości piętnastu metrów. Czasami zabawiał się wrzucaniem małych kawałków skały z powrotem w otwory, z których je wyłupano tak, że zostawały tam, pasując idealnie, przynajmniej przez sekundę. Zdarzało się, że rzucając bardzo szybko, zdołał umieścić tak siedem czy nawet osiem kawałków w otworze, z którego przed chwilą wypadły, zupełnie jakby składał przestrzenną układankę. Gdyby kiedykolwiek znalazł się w kosmosie, na pewno umiałby pilotować sześć skoczków księżycowych naraz i z zawiązanymi oczami kręcić ósemki pomiędzy pierścieniami Saturna.

Pomiędzy precyzyjnym rzucaniem kamieniami a kośćmi, istnieje tylko jedna zasadnicza różnica — te ostatnie trzeba najpierw odbić o krawędź stołu, co dla Joe'go stanowiło tylko jeszcze bardziej interesujący sprawdzian jego daru.

Potrząsając kośćmi, czuł w dłoni i palcach moc, potężną jak nigdy.

Rzucił szybko, nisko, tak by kości wylądowały dokładnie przed krupierką w białych rękawiczkach. Uzyskaną siódemkę tworzyły, tak jak zamierzał, czwórka i trójka. Czerwone oczka umieszczono na nich podobnie jak na piątce, tylko obie miały po jednym zębie, a trójce brakowało nosa. Coś jak dziecięce czaszki. Wygrał penny — to znaczy dolara.

— Rzut za dwa dolce — oznajmił Joe Slattermill.

Tym razem wygrał jedenastką. Szóstka wyglądała zupełnie jak piątka, miała tylko trzy zęby — najlepsza czaszka ze wszystkich.

— Rzut za piątaka bez jednego.

Dwa Wielkie Grzybasy skomentowały tę odżywkę, wymieniając się skrycie uśmiezkami wyższości.

Teraz Joe rzucił trójkę i jedynekę. Miał cztery. Jedyneką, z jedną kropką nieco przesuniętą w bok, też jakoś przypominała czaszkę — może Cyklopa Liliputa.

Poświęcił trochę czasu na przygotowanie sobie wygranej, bezwiednie wyrzucając trzy dziesiątki pod rząd, mocno objając kości o stół. Chciał przyjrzeć się krupierce podnoszącej małe sześciaki. Za każdym razem zdawało mu się, że w trakcie wężowo szybkiego ruchu jej palce wślizgują się pod kości, kiedy leżały jeszcze płasko na blacie. Ostatecznie zdecydował, że to nie może być iluzja. Chociaż kości nie mogły przenikać przez sukno, jej dłoń w białej rękawiczce jakoś to robiła, wnikając na mgnienie w czarny, połyskujący diamentami materiał, jakby w ogóle go tam nie było.

Od razu przyszła mu do głowy myśl o dziurze wielkości stołu do gry w kości, przebijającej Ziemię na wylot. Znaczyłoby to, że kości toczą się i spoczywają na idealnie przejrzystej, płaskiej powierzchni niedostępnej wyłącznie dla nich. A może to tylko dłonie krupierki mogły przez nią przenikać, co zmieniałoby w czystą fantazję wcześniejszą wizję Joe'ego o splukanym hazardziście skaczącym w ten przerażający szyb, przy którym najgłębsza kopalnia to tylko zadraśnięcie.

Joe uznał, że musi sprawdzić, która wersja jest prawdziwa. Nie chciał ryzykować zawrotami głowy w jakimś krytycznym momencie gry — chyba, że absolutnie nie dałoby się tego uniknąć.

Wyrzucił jeszcze kilka nieznaczących układów, od czasu do czasu pomrukując, dla przyzwoitości: „No dalej, Mały Joe”. Wreszcie opracował plan. Kiedy w końcu zdobył swój punkt — z trudem, dwiema dwójkami — odbił kości od ścianki tak, że upadły dokładnie przed nim. Odczekawszy tylko

chwilkę, tyle, żeby gracze zobaczyli wynik, sięgnął lewą dłonią pod kości, o ułamek sekundy wyprzedzając krupierkę i zebrał je ze stołu.

Ajajaj! Joe nigdy w życiu z równie wielkim trudem nie walczył o zachowanie kamiennej twarzy i nie zdradzenie, co czuje jego ciało, nawet wtedy, gdy osa użądliła go w szyję w chwili, gdy zabierał się do włożenia ręki pod spódnicę swojej pruderyjnej, kapryśnej i wymagającej przyszłej Żony. Zewnętrzna strona palców piekła, jakby wsadził je do pieca hutniczego. Nic dziwnego, że krupierka nosiła białe rękawiczki. Muszą być z azbestu. Dobrze też się stało, że nie użył dłoni, którą rzuca, pomyślał, ze smutkiem przyglądając się rosnącym pęcherzom.

Przypomniał sobie, czego uczono go w szkole i co zaobserwował również w kopalni Twenty-Mile: że pod skorupą ziemi panuje przeraźliwy żar. Ta dziura wielkości stołu musiała jak komin podciągać do góry to gorąco, więc wskakujący do niej gracz usmażyłby się, zanim pokonałby pierwszy furlong², a w Chinach wyleciałaby tylko chmurka popiołu.

Jakby nie dość było pęcherzy na dłoni, Wielkie Grzybasy znów posykiwały pod jego adresem, a Pan Bones spurpurowiał i właśnie otwierał swą wielką gębę, mogącą pomieścić melona, by wezwać wykidajłów.

Ponownie uratowała Joe'ego uniesiona dłoń Wielkiego Gracza.

— Proszę mu powiedzieć, Mr. Bones — odezwał się cichy, łagodny głos.

Gospodarz ryknął w stronę Joe'ego:

— Żaden gracz nie ma prawa podnosić kości, którymi rzucił! Tylko moje krupierki mogą to robić! To zasada kasyna!

Joe ledwie skinął mu głową.

— Rzut za dziesiątaka bez dwóch — oznajmił chłodno, rzucił Małą Phoebe³ zdobywając punkt, zanim jeszcze dobrze przebrzmiał jego zakład, a potem przez jakiś czas wyrzucał co popadnie, oprócz piątki lub siódemki, czekając aż pulsowanie lewej ręki osłabnie i odzyska pełną kontrolę nad nerwami. W prawej ręce nie zauważył najmniejszych zmian mocy; czuł, że jest równie silna albo nawet silniejsza niż zazwyczaj.

W połowie tej przerwy Wielki Gracz ukłonił się Joe'emu nieznacznie, lecz z szacunkiem, osłaniając kapeluszem swoje bezdenne oczodoły, a potem odwrócił się i wziął długi, czarny papieros od najładniejszej i najbardziej groźnie wyglądającej dziewczyny ze swojej świty. Uprzejmość w drobiazgach, pomyślał Joe, kolejna oznaka wielkiego miłośnika gier losowych. Wielki Gracz miał swoją świtę, chociaż nieuważnie przyglądając się im w trakcie wykonywania rzutów Joe wypatrzył jednego, trzymającego się z tyłu próżniaka, który tu nie pasował — wystrzępiony elegancik z włosami w lokach, o nieobecnych oczach i gruźliczymi plamami na policzkach. Wyglądał na poetę.

Obserwując dym snujący się spod czarnego, szerokoskrzydłe — go kapelusza Joe doszedł do wniosku, że albo światło po drugiej stronie stołu przygasło, albo Wielki Gracz miał cerę o ton ciemniejszą, niż wydawało mu się z początku. Albo nawet — czysta iluzja — że jego skóra powoli ciemnieje tego wieczoru, niczym intensywnie wypalana fajka z sepiolitu. Zabawna była taka myśl — to fakt, że było tu dość żaru, żeby pianka morska ściemniała (o czym Joe dość boleśnie przekonał się na własnej skórze), jednak jak na razie, jego zdaniem, cały znajdował się pod blatem stołu.

Żadna z myśli Joe'ego poświęconych Wielkiemu Graczowi, poufałych czy też pełnych podziwu, w najmniejszym stopniu nie zmniejszyła ani przepelniającej go pewności ogromnego zagrożenia ze strony człowieka w czerni, ani dogłębnego przekonania, że dotknięcie go skończyłoby się śmiercią. Jeśli gdzieś kiełkowały w Joem najmniejsze wątpliwości, zostały zduszone w zarodku przez mrozące krew w żyłach zdarzenie, które nastąpiło w kilka chwil później.

Wielki Gracz właśnie objął swoją najładniejszą — najgroźniejszą rozrywkową dziewczynę i

arystokratyczną dłonią, dystygowanie gładził ją po pośladku, kiedy poecina skoczył jak ryś, z zielonym błyskiem zazdrości i miłosnego szaleństwa w oku, lśniącym sztyletem celując w okryte czarną satyną plecy.

Joe nie pojmował jak ten cios mógł chybić, lecz Wielki Gracz, nie odrywając dystygowanej prawej dłoni od pluszowego tyłeczka dziewczyny, błyskawicznie wyciągnął lewą rękę, co wyglądało jak gwałtowne wyprostowanie się sprężyny. Joe nie widział czy czarny facet pchnął poecinę nożem w gardło, czy dosięgnął go tam ciosem karate, a może zastosował marsjański „podwójny palec”, czy tylko go dotknął. Tak czy siak, gość zatrzymał się jak trafiony ze strzelby na słonie i zwałił się na podłogę. Kilku czarnych podbiegło odciągnąć ciało, przy czym nikt nie zwrócił na zajście większej uwagi, najwyraźniej takie sytuacje były w „Kościńcu” na porządku dziennym.

Poruszyło to Joego mocno, o mało nie wyrzucił Phoebe przedwcześnie.

Lecz fale bólu przestały już płynąć w górę po lewym przedramieniu i nerwy miał teraz jak nowe, metalowe struny gitarowe, więc trzy rzuty później uzyskał piątkę oraz punkt i zabrał się do zgarnięcia stołu.

Rzucił dziewięć kolejnych wygrywających, pięć siódemek i dwie jedenastki, podnosząc w ten sposób wartość jednego postawionego żetonu do ponad czterech tysięcy dolarów. Żaden z Grzybasów nie wycofał się jeszcze, ale niektórzy zaczęli się wyraźnie niepokoić, a kilku pocie. Wielki Uracz nie obstawił jeszcze żadnego z rzutów Joe’ego, jednak z głębi przepaścistych oczodołów przyglądał się grze z dużym zainteresowaniem.

Wtedy Joe’emu wpadła do głowy szatańska myśl. Nikt nie mógł go ograć tej nocy, wiedział to, ale jeśli będzie trzymał kości aż do oczyszczenia stołu, nigdy nie będzie miał okazji zobaczyć umiejętności Wielkiego Gracza, a ciekawiły go bardzo. Poza tym, pomyślał, powinien odplacić uprzejmością za uprzejmość i sprawić wrażenie, że też jest dżentelmenem.

— Wycofuję czterdzieści jeden dolarów bez piąta. Rzut za penny.

Tym razem nikt nie syknął, a okrągła gęba Pana Bonesa nie zachmurzyła się. Lecz Joe miał świadomość, że Wielki Gracz patrzy na niego z zawodem, smutkiem czy może tylko zastanawiając się.

Joe natychmiast wypadł, rzucając wagon⁴, raczej ciesząc się z widoku dwóch najlepiej wyglądających czaszek szczerzących zęby obok siebie. Kości przeszły do Grzybasa po jego lewej ręce.

— Wiedział, kiedy kończy mu się passa — usłyszał mruknięcie innego Grzybasa, przepełnione niechętnym podziwem.

Gra toczyła się szybko wokół stołu, nikt się zanadto nie rozpędził, stawki nie przekraczały średnio wysokich. „Rzucam pole”, „Turlam za dychę”, „Za Andrewa Jacksona”⁵, „Turlam za trzydzieści dudków”. Od czasu do czasu Joe obstawiał któryś rzut, wygrywając więcej, niż tracił. Zanim kości dotarły do Wielkiego Gracza miał ponad siedem tysięcy dolarów, żywą gotówką.

Ten trzymał kostki przez długą chwilę w kamiennie nieruchomej dłoni, przyglądając im się w zadumie, choć nawet ślad zmarszczki nie zagościł na jego brunatnym czole, po którym nigdy nie spłynęła najmniejsza kropelka potu.

— Turlam za dwie dychy — mruknął, a kiedy ktoś wszedł do gry, zgiął palce, lekko potrząsnął kośćmi — rozległ się dźwięk jakby wielkie nasiona obijały się we wnętrzu na pół wyschniętej tykwy — i niedbale posłał kości w stronę końca stołu.

Joe nigdy wcześniej nie widział takiego rzutu przy żadnym stole. Kostki przecięły powietrze płaskim torem, nie obracając się w trakcie lotu, uderzyły dokładnie w spojenie blatu ze ścianką i zamarły tam, pokazując siódemkę.

Joe poczuł się głęboko zawiedziony. Przy swoich rzutach zwykł prowadzić obliczenia w rodzaju: „Wyrzut trzy stopnie w górę, pięć na północ, dwa i pół obrotu w powietrzu z ćwiartką śruby w prawo, uderzenie krawędzią jeden — dwa, pół obrotu wstecz i trzy czwarte śruby w lewo, lądowanie na ściance pięć, dwa przewroty na stole, wychodzi dwa”, a to tylko dla jednej kostki, w dodatku prościutka sekwencja, bez dodatkowych odbić.

W porównaniu z tym, technika Wielkiego Gracza była śmiesznie, bezdennie, przerażająco prosta. Oczywiście Joe mógłby ją skopiować z łatwością. Przecież to nic więcej niż najprostsza forma jego starej rozrywki polegającej na wrzucaniu kamieni z powrotem do dziur w ścianie. Lecz nigdy nawet nie pomyślał by zastosować tak dziecinny trik przy stole. Cała gra stałaby się zbyt prosta i pozbawiona całego uroku.

Poza tym nigdy nawet nie śnił, że ujdzie mu to na sucho. Z tego co słyszał na temat reguł, taki rzut budził najwięcej wątpliwości. Zawsze istniała możliwość, że jedna z kości nie dotarła do samego końca stołu albo leżała lekko przechylona w stronę ścianki. Poza tym, przypominał sam sobie, czy kości nie powinny odbić się od ścianki, choćby na ułamek cala?

Jednakże, na ile Joe był w stanie sprawdzić to swym bystrym wzrokiem, obie kostki leżały idealnie płasko i równo oparte o ściankę. Co więcej, wszyscy przy stole najwyraźniej zaakceptowali rzut, krupierka podjęła kostki, a Wielki Grzyb, który wszedł do gry przeciwko facetowi w czerni, przegrał. A jeśli chodzi o odbicie, no cóż, najwyraźniej „Kościńiec” nieco inaczej interpretował tę zasadę, a Joe głęboko wierzył w niekwestionowanie reguł kasyna, chyba że w ostateczności — obie, i Matka, i Żona dawno nauczyły go, iż w ten sposób najłatwiej uniknąć kłopotów.

Poza tym, w tej stawce nie było jego pieniędzy.

Głosem brzmiącym jak wiatr wiejący przez Cypress Hollow, albo na Marsie, Wielki Gracz oznajmił:

— Turlam za wiek.

Była to najwyższa stawka tej nocy, dziesięć tysięcy dolarów, a wypowiedzenie jej w taki sposób, jak zrobił to Wielki Gracz sugerowało, że tkwi w niej coś więcej. W „Kościńcu” przycichło, jazzmani założyli tłumiki na instrumenty, słowa krupierów padały dyskretniej, karty bardziej miękko opadały na stoły, zdawało się, że nawet kulki ruletki usiłowały robić mniej hałasu przy wpadaniu do przegródek. Tłum wokół Stołu do Kości Numer Jeden powoli gęstniał. Chłopcy i dziewczyny ze świąty Wielkiego Gracza utworzyli wokół niego podwójne półkole, zapewniając mu dużo przestrzeni.

Joe zdał sobie sprawę, że ta stawka „za wiek” była o trzydzieści dolców większa niż cały jego stosik. Trzech czy czterech Wielkich Grzybasów musiało się porozumieć, zanim doszli jak wejść do gry.

Wielki Gracz uzyskał kolejną siódemkę dokładnie takim samym płaskim, zatrzymanym rzutem.

Postawił kolejny wiek i zrobił to ponownie.

I jeszcze raz.

I jeszcze.

Joe zaczął się niepokoić i irytować. To niesprawiedliwe, żeby Wielki Gracz wygrywał tak wielkie stawki w taki mechaniczny, kompletnie pozbawiony uroku sposób. Cholera, te kostki nawet wyglądały obco, nie obracając się ani w powietrzu, ani na stole. Czegoś takiego można by oczekiwać od robota, w dodatku wyjątkowo nudno zaprogramowanego. Oczywiście Joe nie zaryzykował ani jednego swojego żetonu na obstawianie przeciwko Wielkiemu Graczowi, lecz jeśli gra będzie toczyć się tak jak dotychczas, będzie musiał to zrobić. Dwa Wielkie Grzybasy, spocone, już odeszły od stołu, przyznając się do porażki i nikt nie zajął zwolnionych przez nich miejsc. Wkrótce nadejdzie stawka, której pozostałe Grzybasy nie zdołają pokryć i wówczas on będzie musiał zaryzykować

część swoich żetonów albo wycofać się z gry — a tego nie mógł zrobić, nie w sytuacji gdy taka moc, jak oswojony piorun, przesywała mu prawą rękę.

Joe czekał i czekał, żeby ktoś zakwestionował jeden z rzutów Wielkiego Gracza, ale nikt tego nie zrobił. Zdał sobie sprawę, że pomimo starań by wyglądać nieporuszenie, zaczyna się czerwienić.

Leciutkim uniesieniem lewej dłoni Wielki Gracz powstrzymał krupierkę przed podjęciem kości. Spojrzenie oczu przypominających bezdenne studnie wbiło się wprost w Joe'ego, który z trudem powstrzymał się od odwrócenia wzroku. Wciąż nie mógł dostrzec żadnego odbłasku w tych oczodołach. Znienacka poczuł na karku delikatne mrowienie wywołane przerażającym podejrzeniem.

Z największą uprzejmością i grzecznością Wielki Gracz wyszeptał:

— Jak sądzę, znakomity gracz siedzący naprzeciwko mnie żywi wątpliwości co do prawidłowości mojego ostatniego rzutu, choć maniery powstrzymują go od głośnego wyrażenia ich. Lottie, próba karty.

Upiornie wysoka, kredowobiała krupierka wyjęła spod stołu kartę i z jadowitym błyskiem drobnych zębów cisnęła ją, wirującą, w stronę Joe'ego. Złapał w powietrzu wirujący kartonik i obejrzał go. Trzymał w ręku najcieńszą, najbardziej lśniącą, sztywną i płaską kartę, jaką kiedykolwiek spotkał. Dzoker, o ile miało to jakiegokolwiek znaczenie. Leniwym ruchem posłał ją z powrotem do krupierki, która bardzo delikatnie pozwoliła jej opaść pod własnym ciężarem wzdłuż końcowej ścianki stołu na dwie kości leżące obok niej. Karta zatrzymała się w płytkim zagłębieniu utworzonym przez ich zaokrąglone krawędzie. Krupierka zręcznie przesunęła ją na boki, wykazując, że pomiędzy kośćmi a ścianką stołu nigdzie nie ma najmniejszej szczeliny.

— Czy jest pan usatysfakcjonowany? — zapytał Wielki Gracz.

Joe, wbrew chęciom, skinął głową. Wielki Gracz skłonił mu się lekko. Na cienkich wargach krupierki błysnął uśmiezek wyższości, wyprostowała się, wystawiając ku Joe'emu swój bładzi biust wielkości gałek do drzwi.

Od niechcenia, niemalże znudzonym ruchem, Wielki Gracz powrócił do monotonnego stawiania „za wiek” i wyrzucania siódemek. Wielkie Grzybasy szybko wymiękały i jeden po drugim chwiejnie odchodziły od stołu. Jednemu Muchomorowi, o szczególnie różowej gębie, zdyszany goniec dostarczył gotówkę, ale to nie pomogło, stracił tylko kolejne stawki. A stos jasnych i czarnych żetonów przed Wielkim Graczem urósł tak, że przypominał drapacz chmur.

Joe czuł rosnącą złość i niepokój. Obserwował kości lądujące pod ścianką ze skupieniem sokoła lub satelity szpiegowskiego, lecz ani razu nie dostrzegł nic, co mogłoby usprawiedliwić zażądanie próby karty ani też nie zdobył się na zakwestionowanie zasad kasyna po tak długim uczestnictwie w grze. Szlag go trafiał, mało się nie wściekł, bo wiedział, że gdyby tylko dostał ponownie kości do ręki, obstrzelałby dookoła ten czarny, arystokratyczny filar hazardu. Na zylion sposobów przeklinał sam siebie za ten idiotyczny, zarozumiały, samobójczy impuls, który kazał mu wypuścić kości z garści.

Co gorsza, Wielki, Gracz zaczął się wpatrywać w Joe'ego tymi swoimi oczami, głębokimi jak szyby kopalniane. Na ile Joe mógł powiedzieć, wykonał ostatnie trzy rzuty nie poświęciwszy nawet jednego spojrzenia kościom czy ściance stołu. Cholera, robił się równie paskudny jak Żona albo Matka — obserwował go, i obserwował, i obserwował.

Lecz to nieruchome spojrzenie oczu nie będących oczami, przede wszystkim budziło w nim okropny lęk. Nadprzyrodzony strach dołączył do pewności śmiertelnego niebezpieczeństwa, jakie sobą reprezentował Wielki Gracz. Z kim właściwie, Joe pytał sam siebie, usiadł dziś do gry? Ciekawość i strach — pełna przerażenia ciekawość równie silna, jak pragnienie dorwania się do kości i wygrania. Włosy stanęły mu na głowie, cały pokryty był gęsią skórą, chociaż moc wciąż

pulsowała mu w prawej ręce jak trzymana na hamulcach lokomotywa lub rakietka usiłująca oderwać się od ziemi.

Tymczasem Wielki Gracz pozostał niezmienny — owinięty czarną satyną, elegancki, w szerokoskrzydłym kapeluszu, uprzedzająco grzeczny i śmiertelnie groźny. Właściwie to najgorszą rzeczą w tej sytuacji, w którą się Joe dziś wieczór wpakował, było to, że po żywionym przez większą część wieczoru podziwie dla postawy Wielkiego Gracza, teraz stracił go całkowicie wskutek mechanicznego stylu przeciwnika i w dodatku musiał koncentrować się na próbie przyłapania go na jakimkolwiek błędzie technicznym.

Bezlitosne koszenie Grzybasów trwało. Pustych miejsc było już więcej niż Muchomorów. Wkrótce pozostało tylko trzech.

W „Kościńcu” zapadła cisza niczym w Cypres Hollow albo na Księżycu. Jazz umilkł, również radosny śmiech, szuranie nogami, piski podszczyptywanych dziewczyn, podzwanianie drinków i monet. Wszyscy zdawali się gromadzić wokół Stołu do Kości Numer Jeden, krąg za kręgiem.

Joe czuł się znękany czujnością, poczuciem niesprawiedliwości, pogardą dla samego siebie, dzikimi nadziejami, ciekawością i strachem. Zwłaszcza tymi ostatnimi dwoma uczuciami.

Cera Wielkiego Gracza, na ile było ją widać, ciemniała systematycznie. Przez jedną, szaloną chwilę Joe zastanawiał się czy usiadł do gry z czarnuchem, czy może z przesyconym woodoo czarownikiem, któremu zaczynała odłazić charakterystyka.

Wkrótce nadeszła stawka „za wiek”, której dwa pozostałe Grzybasy nie były w stanie pokryć nawet wspólnymi siłami. Joe musiał wyciągnąć dychę ze swojej żałośnie małej stertki albo odejść od gry. Po krótkiej chwili bolesnego wahania zrobił to pierwsze.

I stracił.

Dwa Wielkie Grzybasy znikły w milczącym tłumie.

Czarne jak studnie oczy wpatrywały się w Joe’ego.

— Turlam za twój stos. Joe czuł gdzieś w głębi haniebny impuls, by przyznać się do splukania i uciec do domu. Przynajmniej posiadane już sześć tysięcy dolarów spodobałoby się Żonie i Mamusce.

Lecz nie potrafił sobie wyobrazić, by zdołał znieść śmiech tłumu, ani że musiałby żyć ze świadomością, iż miał w końcu szansę, choć znikomą, by wyzwąć Wielkiego Gracza i zrezygnował.

Skinął głową.

Wielki Gracz rzucił. Joe pochylił się nad stołem, zapominając o zawrotach głowy, wlepiając wzrok w kości.

— Zadowolony?

Joe wiedział, że powinien odpowiedzieć „Tak” i wymknąć się chyłkiem z głową podniesioną najwyżej jak się da. Tak postąpiłby dżentelmen. Jednak wówczas upomniał sam siebie, że przecież nie jest żadnym dżentelmenem, tylko wszawym, przepracowanym górnikiem obdarzonym talentem do rzucania.

Poza tym jedna z rubinowo wyszczerzonych kości wydawała się o ułamek włosa odstawać od drugiej.

— Nie — zdołał wydusić, przełknąwszy ślinę i z największym wysiłkiem w dotychczasowym życiu. — Lottie, próba karty.

Krupierka prawie warknęła, cofnąwszy się, jakby zamierzała splunąć mu w oko, a Joe miał przeczucie, że w takim wypadku oberwałby czystym jadem kobry. Lecz Wielki Gracz z naganą uniósł palec w jej stronę i rzuciła Joe’emu kartę, choć tak agresywnie, że ta na ułamek sekundy znikła pod czarnym filcem, zanim doleciała do jego rąk.

Była gorąca w dotyku i cała zbrązowiała, choć oprócz tego nie uszkodzona. Joe przełknął ślinę i

odrzucił ją.

Z szyderczym, połyskującym zatrutymi sztyletami uśmieżkiem, Lottie pozwoliła jej opaść wzdłuż ścianki i... po krótkim wahaniu karta wśliznęła się za kość, którą Joe podejrzewał.

Ukłon i szept:

— Ma pan bystry wzrok, sir. Bez wątpienia ta kostka nie doleciała do ściany. Moje najgłębsze przeprosiny i... pan rzuca, sir.

Na widok małych sześcianów spoczywających przed nim na czarnej krawędzi, Joe o mało nie dostał apopleksji. Wszystkie dręczące go uczucia, włączywszy ciekawość, nabrały wręcz nieprawdopodobnej intensywności, a kiedy powiedział — Rzucam o wszystko — a Wielki Gracz odparł — Dokładam — uległ niekontrolowanemu impulsowi i cisnął obie kostki wprost w matowe, czarne jak noc oczy Gracza.

Wpadły do jego czaszki i odbijały się wewnątrz, grzechocząc jak nasiona w wielkiej, niedosuszonej tykwie.

Gestem uniesionych obu dłoni dał do zrozumienia swoim chłopcom i dziewczętom, by żadne z nich, ani nikt inny, nie podejmował żadnych kroków odwetowych przeciwko Joe'emu, Wielki Gracz odchrząknął obiema kostkami, a potem wypluł je na stół tak, że zatrzymały się na samym środku, jedna leżąca płasko, druga oparta o nią, nieco uniesiona.

— Skośna kostka, sir — wyszeptał tak uprzejmie, jakby nie uczyniono mu żadnego afrontu. — Proszę powtórzyć rzut.

Joe odruchowo potrząsnął kośćmi, powoli wychodząc z szoku. Po chwili doszedł do wniosku, że chociaż teraz jest już w stanie odgadnąć prawdziwe imię swojego przeciwnika, to mimo wszystko próbuje ograć go z pieniędzy.

Mały zakamarek jego umysłu zastanawiał się, jak taki ożywiony szkielet trzyma się w kupie. Czy kości wciąż pokryte są chrząstkami i połączone ścięgnami, czy też zdrutowane lub trzymane polem siłowym, a może każda z nich to wapniowy magnes przyciągający sąsiednie? — to ostatnie łączyło się jakoś z pokoleniem zabójczej kościanej elektryczności.

W ciszy „Kościńca” ktoś odchrząknął, Szkarłatna Dama zachichotała histerycznie, z tacy trzymanej przez najbardziej rozebraną dziewczynę z żetonami ze złocistym brzękiem spadła moneta i melodyjnie potoczyła się po podłodze.

— Cisza — zarządził Wielki Gracz i błyskawicznym, niemal niemożliwym do prześledzenia ruchem sięgnął pod płaszcz na piersi i potem do krawędzi stołu przed sobą. Pojawił się tam lśniący, srebrzysty rewolwer o krótkiej lufie. — Następna osoba; począwszy od czarnej służącej, a skończywszy na panu, Panie Bones; która wyda jakikolwiek dźwięk w trakcie rzutu mojego szacownego przeciwnika, skończy z kulą w czaszce.

Joe skłonił mu się dwornie, dziwne to wszystko było, postanowił rozpocząć swoją serię siódemką z asa i szóstki. Rzucił i tym razem Wielki Gracz, sądząc po ruchu czaszki, uważnie śledził lot kostek oczami, których nie było.

Kości upadły, potoczyły się i zamarły. Nie wierząc własnym oczom, Joe zdał sobie sprawę, że pierwszy raz w swojej karierze gracza popełnił błąd. Albo też w spojrzeniu Wielkiego Gracza tkwiła moc większa niż w jego prawej ręce. Szóstka wypadła jak trzeba, ale jedyńka wykonała jeszcze pół obrotu i zatrzymała się też na sześciu oczkach.

— Koniec gry — oznajmił grobowym głosem Pan Boucs. Wielki Gracz uniósł brązową, chudą jak szkielet dłoń.

— Niekoniecznie — szepnął. Jego czarne oczodoły skierowały się na Joe'ego niczym wyloty dział obłętnicznych. — Joe Slattermill, wciąż masz coś wartego postawienia, jeśli chcesz. Twoje

życie.

W tym momencie chichot, histeryczne pokwikiwanie, wybuchy ryki i jęki śmiechu w niekontrolowany sposób wybuchły w całym „Kościńcu”. Pan Bones zreasumował ogólnie panujące przekonanie, przekrzykując hałas:

— Jakąż wartość może mieć życie takiego włóczęgi jak Joe Slattermill? Mniej niż dwa centy, grosze.

Wielki Gracz położył dłoń na rewolwerze lśniącem przed nim i śmiech ucichł.

— Znajdę dla niego zastosowanie — wyszeptał. — Joe Slattermill, ze swej strony ośmielę się postawić wszystko, co wygrałem tej nocy, a jako dokładkę dołożę świat i wszystko w nim. Ty postawisz swoje życie, a jako dokładkę duszę. Ty rzucasz kośćmi. Co postanowisz?

Joe Slattermill zdrzał, ale dramatyzm sytuacji go urzekł. Pomyślał chwilę nad tym i doszedł do wniosku, że na pewno nie zrezygnuje z pozycji gwiazdy takiego spektaklu tylko po to, żeby wrócić splukany do Żony, Matki, rozpadającego się domu i zniechęconego Gutsa. Może, powiedział sobie w duchu, dodając sobie odwagi, w spojrzeniu Wielkiego Gracza nie było mocy, może zrobił pierwszy i jedyny błąd w grze w kości. Poza tym, przychylił się raczej do oceny wartości jego życia wygłoszonej przez Mr Bonesa.

— Gramy — oznajmił.

— Lottie, proszę dać mu kostki.

Joe skoncentrował się jak nigdy wcześniej, moc triumfalnie zamrowiła go w ręce, rzucił.

Kości nigdy nie dotarły do filcu. Poleciały w dół, potem w górę, zakręciły dziko, omijając ściankę stołu i wróciły, lotem koszącym, jak małe, połyskujące czerwienią meteory, w stronę twarzy Gracza, gdzie nagle zatrzymały się, zawisając w czarnych oczodołach, każda pokazująca czerwoną kropkę asa.

Oczy węża.

Szept, towarzyszący kpiącemu spojrzeniu tych oczu:

— Joe Slattermill, wypadłeś.

Kciukiem i środkowym palcem — a raczej kością — wyjął kostki z oczodołów i upuścił je w obciążoną białą rękawiczką dłoń Lottie.

— Tak, wypadłeś z gry, Joe Slatturuil! — cisnął spokojnie. — A teraz możesz albo się zastrzelić — dotknął srebrzystego rewolweru — albo poderznąć sobie gardło — spod płaszcza wyciągnął myśliwski nóż ze złotą rękojeścią i położył go obok broni palnej. — Albo się otruć — do broni dołączyła niewielka, czarna buteleczka z białą czaszką i skrzyżowanymi pieszczelami. — Albo obecna tu Panna Flossie może zapewnić ci śmiertelny pocałunek.

Ustawił obok siebie najładniejszą, najgroźniej wyglądającą dziewczyną. Była wystrojona, poprawiła falbaniastą, krótką, fioletową spódniczką i popatrzyła na Joego prowokująco, głodnym wzrokiem, unosząc karminową, górną wargą by pokazać długie, białe kły.

— Albo też — dodał Wielki Gracz, znacząco skinąwszy głową w stronę stołu do gry o czarnym dnie — możesz wykonać Wielki Skok.

Joe odparł spokojnie.

— Wybieram Wielki Skok.

Postawił prawą stopą na swoim stoliczku na zetony, lewą na krawędzi stołu, zaczął upadać w przód... i znieacka odbił się od krawędzi, niczym tygrys rzucając się ponad stołem Wielkiemu Graczowi do gardła, pocieszając się myślą, że tamten poecina na pewno długo nie cierpiał.

Przelatując dokładnie nad środkiem stołu, przez ułamek sekundy zobaczył, co dokładnie się w nim znajduje, lecz mózg nie miał dość czasu na obróbkę tych danych, bo w ułamek sekundy później

wpadł na Wielkiego Gracza.

Błyskawicznym ciosem karate sztywną krawędzią dłoni trafił go w skroń... i brunatne palce oraz kości rozsypały się jak klocki. Lewa ręka Joego przeszła przez pierś Wielkiego Gracza, jakby nie było tam nic oprócz czarnego, satynowego płaszcza, a prawa, jak pałka, spadła na okrytą szerokoskrzydłym kapeluszem czaszką i skruszyła ją na kawałki. W chwilę później Joe rozciągnął się na podłodze wśród fragmentów czarnej odzieży i brązowych szczątków.

W jednej chwili poderwał się na nogi i sięgnął lewą ręką do wysokiego stosu żetonów Gracza. Miał dość czasu jedynie na jedno zagarnięcie. Nie widział żadnych złotych czy czarnych żetonów, wepchnął więc do lewej kieszeni spodni garść jasnych i uciekł.

A wtedy wszyscy obecni w „Kościńcu” rzucili się na niego. Błysnęły zęby, noże i kastety. Popychano go, drapano pazurami, kopano, skakano po nim i nadeptywano cienkimi obcasami. Złocona trąbka, zza której wyzierała czarna twarz o przekrwionych oczach, grzmotnęła go w czaszkę. Mignęła mu biała sylwetka złotej krupierki, usiłował ją schwycić, ale mu się wymknęła. Ktoś próbował zgasić żarzące się cygaro w jego oku. Lottie, wijąca się jak boa dusiciel niemal zdołała równocześnie dusić go rękami i zacisnąć jego gardło między udami. Flossie, sycząc jak rozwścieczona kotka, z przysadzistej flaszki o szerokim wylocie chlustała mu w twarz czymś, co wyglądało i śmierdziało jak mazista mieszanina kwasów. Pan Bones siał wokół niego pociskami ze srebrnego rewolweru. Dźgano go, wydłubywano mu oczy, walono w podstawę czaszki, duszono, zadawano ciężkie ciosy pięściami, kolanami, ściskano, kopano w tyłek, tłuczono gdzie popadnie i deptano po odciskach.

Jednak jakimś cudem wszystkie ciosy i chwytaki pozbawione były niezbędnej siły. Zupełnie jakby walczył z duchami. W końcu okazało się, że wszyscy zgromadzeni w „Kościńcu” działając razem są tylko odrobinę silniejsi od Joe'ego. Poczul, jak podnosi go mnóstwo dłoni i ciska nim przez wahadłowe drzwi tak, że wylądował tyłkiem na chodniku. Nawet to zanadto nie zabolalo. Bardziej przypominało łagodny kopniak zachęcający do oddalenia się.

Odetchnął głęboko i obmacał sobie gnaty. Najwyraźniej nie odniósł żadnych poważniejszych obrażeń. Wstał i rozejrzał się. „Kościńiec” był ciemny i milczący jak grób, Pluton albo reszta Ironmine. Kiedy oczy przyzwyczyły mu się do światła gwiazd i pojawiającego się od czasu do czasu pobrzasku przelatującego statku kosmicznego, zobaczył, że w miejscu wahadłowych drzwi znajduje się ciężka, żelazna brama zamknięta na kłódkę.

Zorientował się, że żuje coś chrupiącego, co jakoś utrzymał w prawej dłoni przez całe końcowe zamieszanie. Coś o mocnym smaku, jak chleb pieczony przez Żonę dla najlepszych klientów. W tym właśnie momencie mózg zdołał w końcu wywołać fotografię zrobioną w momencie zerknięcia w głąb stołu do kości. Widniała na niej cieniutka warstwa płomieni, rozchodzących się na boki, a tuż za nią twarze Żony, Matki i Gutsa, wszystkie wyrażające najwyższe zaskoczenie. Zdał sobie sprawę, że żuje fragment czaszki Wielkiego Gracza i przypomniał sobie kształt trzech bochenków, które Żona zaczęła piec, kiedy wychodził z domu. Zrozumiał, jaką magią posługiwała się, żeby wypuszczać go z domu na małe wyprawy pozwalające mu poczuć się prawie jak człowiek, z których wracał do domu z podwiniętym ogonem.

Wypluł kęs z ust i cisnął resztką puddingowej czaszki na drugą stronę ulicy.

Pogrzebał w lewej kieszeni. Większość jasnych żetonów pokruszyła się w czasie walki, ale znalazł jeden cały i uważnie zbadał palcami jego powierzchnię. Wyżłobiono na nim krzyż. Podniósł go do ust i ugryzł. Smak miał znakomity, choć delikatny. Zjadł go i poczuł, jak wracają mu siły. Poklepał się po wypchanej lewej kieszeni. Przynajmniej wyruszy dobrze zaopatrzony.

Potem odwrócił się i poszedł prosto do domu — jednak dłuższą drogą, dookoła świata.

Posłowie:

Opowieść o upiorze jest najstarsza i najlepsza na świecie, bo jest historią mówiącą o odwadze, o strachu znikającym dzięki wiedzy zdobytej w trakcie wyprawy w nieznane, ryzykownej, lub na taką wyglądającej: o odkryciu, że przerażająca biała postać to tylko facet nakryty prześcieradłem albo czarny gość wysmarowany białym popiołem. Prymitywne plemiona, takie jak Aborygeni, wprowadzają opowieść o upiorze do rytuałów inicjacyjnych dla chłopców. W dzisiejszych czasach jest ona nam potrzebna tak samo jak kiedyś. Dla współczesnego Amerykanina, tak jak dla Joego Slattermilla, największym upiorem okazuje się Rodzinka: apodyktyczna Żona albo Matka, doprowadzająca żądania wobec niego poza wszelkie granice absurdu. Nauka też jest polem bitwy z takimi upiorami jak Nieuleczalny Rak, Seks jest Brudny, Mozolny Znój to Wieczne Przeznaczenie Człowieka, Ludzie Nie Mogą Latać, Gwiazdy są Nieosiągalne, Człowiekowi Nie Przeznaczono By Wiedział (albo Robił) To, Tamto czy Siamto. Przynajmniej ja tak się czułem, pisząc „Porzucam kośćmi”.

Jako formę wybrałem typową amerykańską opowieść niesamowitą (albo to ona mnie wybrała), bo wiek kosmiczny idealnie pasuje do, wystawiających na próbę łatwowierność, wyczynów legendarnych postaci, takich jak Mikę Fink⁶, Pecos Pete⁷, Tony Beaver⁸, górnik John Henry⁹ oraz kosmiczny wędrowiec Paul Bunyan¹⁰, w jednej czwartej prawdziwy człowiek północnych lasów, w trzech czwartych dwudziestowieczny wymysł. Miałem straszną uciechę, opierając zakończenie na oczywistym geometrycznym fakcie, że dwa punkty na sferze, tak jak na Ziemi, zawsze łączą dwa odcinki koła wielkiego, obydwaj proste i zbieżające dokładnie do celu, nawet jeśli jeden z nich ma jedną milę długości, a drugi 24000 mil. Niesamowity talent do rzucania kośćmi nie jest wyłącznie marzeniem hazardzistów; psychokinetyczne oddziaływanie na kostki do gry od dawna należy do zakresu badań eksperymentalnych prowadzonych przez naukowców, zajmujących się postrzeganiem pozazmysłowym. Bawiło mnie wprowadzenie żargonu graczy ze względu na jego poetyczność, a także wymieszanie lotów kosmicznych z czarami, które są innym słowem na określenie sił autohipnozy, modlitwy, sugestii i całej podświadomości. Przekonanie, że fantastyka naukowa jest zamkniętą dziedziną znajdującą się poza głównym nurtem literatury jest błędne. Może ona stanowić składnik każdego typu opowieści, tak samo jak nauka i technologia wszędzie wciskają się w nasze życie.

Wprowadzenie do „Pan Randy, mój syn

Podjeżdżaliśmy pod górę niebezpiecznie krętą drogą wijącą się przez dolinę w gminie Madison, stan Indiana. Opony wizgotały jak świeżo odstawione od piersi prosiaki, a ja kulilem się po prawej stronie przedniego siedzenia. To był *wielki* samochód, wszystkie zakręty brał poślizgami, przy czym tylne koła przekraczały krawędź drogi. Raz, przy niebezpiecznym przechyle, otworzył się przede mną widok w dół, w głąb zielonej, pięknej doliny, w której leżało Madison, a potem samochód jeszcze przyspieszył, wchodząc w następny zakręt. Za nami nagle usłyszałem ryk silnika samochodu Strażnika Stanowego i zobaczyłem ostrzegawcze błyski czerwonego koguta. Zbliżał się szybko. Na tych wariackich zakrętach obowiązywało ograniczenie do trzydziestu kilometrów na godzinę, ale szalenięc za kierownicą grzał prawie sto dziesięć. Zbliżanie się glin napawało mnie szczęściem; mogłem spędzić noc w kiciu jako niezamierzony współnik kierowcy, ale, na Boga, oskarżony zostanę za życia. Kierowca najwyraźniej widział radiowóz we wstecznym lusterku, ale miał go głęboko gdzieś. Docisnął gaz do dechy i wielki sedan przeskoczył kolejny zakręt. Chyba wrzeszczałem. (Rzecz dla mnie niezwykła. W Północnej Karolinie jeździłem ciężarówką wyładowaną dynamitem, drogi są tam nie mniej kręte i niełatwo mnie przestraszyć. Lecz, pomijając sposób prowadzenia Normana Spinarda, należę do dobrych pasażerów, zdarzyło mi się nawet podróżować samochodami sportowymi. Lecz *tym razem...*)

W końcu wjechaliśmy na grzbiet wzgórza i wielki sedan ruszył z kopyta. Przy stu osiemdziesięciu wrzasnąłem do kierowcy żeby stanął, zanim ten cholerny gliniarz z Indiany wpakuje się nam w rurę wydechową. Uśmiechnął się krzywo — *tylko* w ten sposób umie to robić — i stanął na hamulcach. Stanęliśmy po małej karuzeli, wystając na pas przeciwległego kierunku ruchu, a ja opadłem bezwładnie na siedzenie. Radiowóz ledwie nas ominął, z piskiem opon i też zatrzymał się gwałtownie. Wypadł z niego rozjuszony gliniarz, twarz miał całą w plamach z wściekłości. Kiedy biegł w naszym kierunku potężnymi susami, z wyciągniętym pistoletem, wrzeszczał na całe gardło, nie czekając aż opuścimy szybę.

— Ty durny sukinsynu! — ryczał, a na szyi odznaczały mu się napięte ścięgna. — Wiesz, jak szybko jechałeś, ty bezmózgi, przeklęty błaznie?! Wiesz, że mogłeś zabić mnie i siebie, i każdego na tej pieprzonej drodze, ty porąbany, durny... O, cześć, Joe.

Uśmiechnął się szeroko i schował do kabury broń o paskudnie grubej lufie.

— Przepraszam, Joe, nie rozpoznałem cię.

Jego uśmiech jeszcze się poszerzył, wzruszył ramionami, jakby wiedział, że to Porządek Wszechrzeczy, i odszedł. Odjechał szybko, a Joe wrzucił w automacie jazdę w przód i ruszając w ślad za gliniarzem, przypalił gumy.

— Jeden z moich kumpli — wyjaśnił Joe L. Hensley. Uśmiechając się krzywo. Chyba zemdlałem. Carol Carr twierdzi, że Joe L. Hensley to misiaczek. Jasne.

Zmiana scenerii: Fort Knox, Kentucky, rok 1958. Stoję przed kapitanem, dowódcą mojej

kompanii piechoty. Jest bardzo ze mnie niezadowolony. Przez ostatnie sześć miesięcy mieszkałem poza koszarami, w przyczepie, choć już nie jestem żonaty, co odkrył dopiero bardzo niedawno. Jest na mnie wściekły. Złamałem chyba wszystkie możliwe reguły obowiązujące w jego kompanii. Nienawidzi mnie do szpiku kości. Wrzeszczy, że zobaczy moją dupę w Leavenworth i naprawdę ma zamiar to zrealizować. Nagle wybiegam z jego gabinetu, przez pokój adiutanta, korytarz, do świetlicy. Dopadam budki telefonicznej, zamykam za sobą drzwi, łapię za słuchawkę. Wybieram międzymiastową, proszę Madison w Indianie. Gapią się na mnie. Dolna część budki jest z listewek, chowam się za nią. Mam już połączenie z numerem w Madison.

— Joe! — wrzeszczę. — Chcą mnie wysłać do karnej... RATUNKU, JOE!

Już mnie zlokalizowali, teraz usiłują dostać się do budki. Blokuję drzwi nogą. Biorą toporek przeciwpożarowy i rozbijają szybę. Wywlekają mnie na zewnątrz; wciąż ściskam słuchawkę wrzeszcząc:

— RATUNKU, JOE!

Wloką mnie z powrotem do gabinetu kapitana. Trzyma mnie pod zbrojną strażą do czasu wypisania wszystkich papierów sądu wojskowego.

— Zdechniesz, dupku, w Leavenworth! — wrzeszczy kapitan, bliski apopleksji.

W ciągu dwóch godzin na jego biurku pojawiają się trzy, dosłownie *trzy*, oficjalne depesze z Kongresu. Dlaczego denerwuje pan st.szer. Ellisona? pyta jedna. Zostaw st.szer. Ellisona w spokoju, mówi druga. St.szer. Ellison ma *przyjaciół*, ostrzega trzecia. Potem przychodzi depesza od Stuarta Symingtona i kapitan wie, że przegrał. Skazuje mnie na tydzień mycia koszarowych okien. Moja dupa nigdy nie ogląda wnętrza Leavenworth. Kapitan przechodzi załamanie nerwowe i zostaje wystany na wyspy Bahama, gdzie, jeśli to możliwe, ma dojść do siebie. Joe L. Hensley siedzi sobie w Madison, stan Indiana, uśmiechając się Krzywo.

Carol Carr twierdzi, że Joe L. Hensley to kiciuś. Lepiej w to uwierz.

Hensley jest niewiarygodny. Legenda swoich czasów. Najpotężniejszy facet, jakiego widziałem w życiu. Dobrze ponad dwa metry pięć, same mięśnie, ostrzyżony na zwichrowanego języka, przez co jego głowa wygląda jak taki gipsowy gadżet, który można było dostać u Woolwortha. Wsiewało się do niego nasiona traw i to co wyrastało, wyglądało jak fryzura Joego. Ma twarz jak z Silly Putty¹ i uwielbia robić minę imbecyla, sprawiając wtedy wrażenie człowieka cierpiącego na wodogłowie. Służy to wywołaniu w opozycji fałszywego wrażenia bezpieczeństwa. Pewnego wieczoru, w barze w Evansville, stan Indiana, zostaliśmy wzięci w dwa ognie przez dwóch osiłków, którzy mieli ochotę na bójkę. Joe zrobił tę stukniętą minę, zaczął wydawać gardłowe dźwięki jak Lenny w powieści „Myszy i ludzie”, a potem zabełkotał:

— Jasne, że chcę się bić, ehem, pewnie, pewnie...

Mówiąc to, podszedł do ceglanej ściany i zaczął walić w nią swoją „martwą” ręką — w której, wskutek poparzenia, miał nieczynne zakończenia nerwowe — aż cegły się powykruszały, z ręki zostały strzępy poszarpanej skóry i mięśni, spomiędzy których wyzierały kości, a wszystko dookoła pochłapane było krwią. Dwóch osiłków nagle pozieleniało, jeden z nich wymamrotał: „Ten facet to wariat!” a potem zwiali w panice. Chyba się porzygałem.

Wszystko to zaledwie jest cieniem niewiarygodnej osobowości Hensleya Runamucka. Pomimo że stanowi wcielenie Morgana — McMurphy’ego — Yossariana — Sebastiana Dangerfielda — Gully Jimsona, wszystkich upchniętych w jednej petardzie, Hensley jest filarem lokalnej społeczności, bardzo szanowanym adwokatem, którego polityczne dossier wygląda jak następuje:

Prokurator gminy Jefferson, Indiana, 1960; prawnik Komisji Planowania Miasta Madison od 1959 do 1962; w 1960 wybrany do Zgromadzenia Ogólnego stanu Indiana, pracował tam w latach

1961–62; prezes Komisji Doradczej Bezpieczeństwa Ruchu Gubernatora od 1961 roku do 1965; członek Komisji Kodeksu Kryminalnego stanu Indiana; wybrany na stanowisko prokuratora Piątego Okręgu Sędziowskiego stanu Indiana. W 1966 ponownie wystartował w wyborach do legislatury w pięciu gminach i przegrał nędznymi 70 głosami. Prawdopodobnie było to wynikiem jego bardzo liberalnych poglądów na pornografię i inne nieprzyzwoitości. Nazwano to Purytańską Zadymą.

Joe urodził się w Bloomington, Indiana, w 1926 roku, tam dorastał i dorastał, i dorastał, i dorastał... Na Uniwersytecie Stanu Indiana kończył i szkołę średnią, i studia. W czasie Światowego Draństwa Nr 2 odsłużył dwa lata na Południowym Pacyfiku, a w czasie Wojny w Korei odwołano go na szesnaście cudownych miesięcy. Ożenił się z uroczą Charlotte (*musi* być uroczą, skoro lubię ją pomimo tego, że nosi imię mojej pierwszej żony, co jest *zupełnie* inną sprawą) i ma jedno dziecko, Mike'a, lat dwanaście.

Po raz pierwszy spotkałem Hensleya na Środkowozachodnim Konwencie Fantastyki Naukowej w połowie lat pięćdziesiątych i od tamtej pory jesteśmy kumplami. Są tacy, którzy utrzymują, że jesteśmy współczesnym wcieleniem Rover Boys² którzy, jak to się mówi, odmawiają stawienia się osobiście na zeznania pod przysięgą. Joe publikuje mniej niż powinien. Ma wrodzony talent, pisze z ogromną uciechą, trzymaną w ryzach głównie przez analityczny umysł prawnika. Jednak w opowieściach Hensleya jest dużo więcej emocji niż w bieżących dokumentach prawniczych. W tym miejscu pozwolę szaleńcowi przemówić we własnym imieniu:

— Zacząłem pisać w 1951 roku i sprzedąłem wyniki moich pierwszych wysiłków ludziom z *Planet Stories* Później nawiązałem z nimi zgodne i interesujące kontakty. Ja pisałem opowiadanie, a oni je kupowali. Zacząłem sprzedawać do innych czasopism, udało mi się upchnąć coś w *Swank* (z Harlanem Ellisonem), *Rogue* (z Harlanem Ellisonem), *Amazing Stories* (z Harlanem Ellisonem) oraz w większości pism fantastycznych i dla panów, takich jak *Gent*, *Dapperi* inne (bez Harlana Ellisona). Powieść *A Color of Hate* wydano w 1960 roku; inna *Deliver Us to Evil* krąży to tu, to tam; a trzecia *Privileged Communication* (tytuł zasugerowany przez Harlana Ellisona), jest w drodze i w tym roku zostanie skończona.

Poniższe opowiadanie uważam za najlepszą krótką formę, jaką kiedykolwiek napisałem. Świadek nie powie nic ponadto.

Joe L. Hensley
Lord Ranny, My Son

Pan Randy, mój syn

Tej nocy, gdy nadeszło wezwanie do opuszczenia ciepłego i przytulnego miejsca, zbuntował się; lecz w tym przypadku on był słaby, a natura silna. Na zewnątrz zaczął padać deszcz; nawałnica tak potężna, że synoptycy wciąż nawiażywali do niej przez pozostały czas. Walczył, żeby zostać z matecznością, lecz ona wypędziła go, więc w strachu i gniewie uszkodził ją subtelnie. Czarne chmury przesłoniły gwiazdy, a drzewa gięły się tylko pod podmuchami wichru.

Noc wcześniej, Sam Moore zostawił swojego syna grającego na podwórku do późna — jeśli to można było nazwać „grą”. Chłopiec formalnie w nic nie grywał, a dzieci z sąsiedztwa unikały okolic ich domu. Czasami któreś z nich z ukrycia zelżyło chłopca, lecz ostatnio zazwyczaj trzymały się z daleka.

Sam siedział na szeszlunku i gapił się tępo przed siebie, pogrążony w uzalaniu się nad sobą wywołanym sporządzaniem własnego nekrologu, zadając sobie ponadczasowe pytania: Kim byłeś? Co kiedykolwiek zrobiłeś? I dlaczego ja? Dlaczego ja teraz?

Przyglądał się dziecku z ukrywanym wstrętem. Randall cicho wędrował wzdłuż żywopłotu, małymi, dziecięcymi oczami przyglądając się podwórkom sąsiadującym z jego własnym. Był taki czas, kiedy dzieciaki z sąsiedztwa za punkt honoru poczytywały sobie ciśnienie w niego kamieniem, kiedy je mijał. Było to, zanim dwóch chłopaków Swihartów, w trakcie ucieczki po wykonanym ataku wpadło do studni, o której obecności w kącie podwórza nikt nie miał pojęcia. Mieli pecha, ale Randall żył, pamiętając kamienie i najwyraźniej nie dowierzał amnestii. Sam przyglądał się chłopcu kontynuującemu patrol.

Ból w środku był dziś gorszy i Sam tęsknił za snem zapomnienia.

W końcu czas nadszedł.

Pierwszy nadciągnął w ciszy, a wspomnienia o tej nocy giną w pomroce dziejów. Ten rósł łatwo, samotnie, dopiero późniejszy okres jego życia został zapisany. Jego ludzie wędrowali, a wspomnienia rozpadły się na mnóstwo legend. Lecz krew była tam.

Punkt: Stary człowiek pracował wśród sąsiadów jako ogrodnik przez wiele lat. Był nieco szurnięty, miał miękki uśmiech pełen popsutych zębów, kiepsko znał angielski, za to pamiętał rzeczy z przeszłości: swastyki, żółte gwiazdy, Buchenwald. Od czasu do czasu pisywał proste wiersze i wysyłał je do lokalnej gazety, jeden mu wydrukowano. Był przyjacielskim starym człowiekiem i rozmawiał ze wszystkimi, w tym z jedną z nastoletnich królewien z sąsiedztwa. Postanowiła źle go zrozumieć i zgłosiła jego przyjacielskość jako coś zupełnie innego.

Tamtego dnia, rok temu, stary człowiek kopał wśród różanych krzewów na frontowym podwórzu domu naprzeciwko. Randall przyglądał się, ssąc miętowego lizaka otrzymanego od starca, pozwalając, żeby z kącika ust ciekła mu ślina.

Czarny samochód zatrzymał się z piskiem hamulców, wysiadło z niego trzech zdecydowanych chłopaków. Mieli na sobie żółte swetry. Na plecach każdego z nich wyszyto orła, tak sprytnie, że przy poruszeniach ramion jego skrzydła zdawały się podrywać go do lotu. Każdy z chłopaków niósł piłę łańcuchową o rękojeści owiniętej czarną taśmą. Randall obserwował ich z rosnącym zainteresowaniem, wciąż jeszcze nie rozumiejąc.

Pobili starego człowieka silnymi rękami futbolistów, kulił się, krzycząc w obcym, gardłowym języku. Wszystko skończyło się szybko. Starzec leżał zmięty, okrwawiony, na żyznej, ciemnej ziemi. Chłopcy wpakowali się do czarnego samochodu i odjechali z dużą prędkością. Randall słyszał ich śmiechy jak powiewające za nimi proporcezki.

Dwa kwartały dalej teren nie nadawał się pod budowę. Było tam strome wzgórze. Właśnie tam pękła opona i czarny samochód zjechał ze zbocza, nabierając prędkości. Koziołkował, wybuchając potężnymi gejzerami ognia; miniaturowy, oszalały diabelski młyn; płomienie kotłowały się z rykiem, który prawie zagłuszał wrzaski palonych żywcem.

Rankiem Sam Moore obudził się wcale nie wypoczęty. Tej soboty sprzątaczką, będącą jednocześnie opiekunką do dziecka, dla odmiany nie spóźniła się — zostawił ich siedzących w pokoju rodzinnym. W telewizji grzmiał krwawy film wojenny, w którym mężczyźni ginęli w ilościach budzących obrzydzenie. Randall siedział ze skrzyżowanymi nogami na podłodze przed odbiornikiem, oglądając z entuzjazmem. Pani Cable patrzyła na ekran i omijała wzrok Sama, pogrążona we własnym, gorzkim świecie. Kiedyś Sam przed wyjściem zostawiał instrukcje, ale to było dawno. Niewiele kobiet zajęłoby się niedorozwiniętym dzieckiem. Teraz, mając własne problemy i właściwie niewiele się przejmując, mówił bardzo mało. Jeśli nawet dzieciak był pilnowany niezbyt starannie i jego bezpieczeństwo pozostawiało wiele do życzenia... to jednak Sam wciąż wypełniał społeczne wymagania dotyczące opieki nad dzieckiem.

Popatrzył na chłopca i coś mu w duszy pociemniało. Ann była błyskotliwa, ciężę przechodziła normalnie; lecz poród okazał się bardzo trudny i chłopiec był monstrualnym problemem. Ann zmieniła się. Chłopiec nie. Bardzo wczesnie wykonane testy dały negatywne wyniki, lecz w jego zachowaniu zawsze widać było brak zainteresowania, powolne poruszenia, oczy umiające śledzić obiekty, wędrować za nimi, ale nie robiące tego.

Dzisiejszego ranka nie potrafił się zmusić, żeby podejść do chłopca.

— Do widzenia — powiedział i otrzymał w zamian krótkie spojrzenie w górę, zawierające słaby błysk rozpoznania. Chłopiec ma trzy lata tylko raz; ale co jeśli ma trzy lata i osiem jednocześnie? Jeśli pozostanie trzylatkiem na zawsze?

Na ekranie telewizyjnym ciemnoskóry żołnierz odciągał swojego białego kapitana sprzed gąsienic nadjeżdżającego czołgu. Sam pamiętał scenariusz. Był to jeden z tych hollywoodzkich filmów z tanim przesłaniem. Braterstwo przetrwa, dopóki czarny nie zacznie potrzebować innego rodzaju pomocy.

— Na podwórku nie zauważył nawet piękna dnia. Stał przed garażem i zastanawiał się. Garaż był szczelny, miał segmentowe, pionowe wrota. Mógł uruchomić samochód i byłoby to łatwe. Jego żona, Ann, zrobiła to, ale z innych powodów i w inny sposób. Połknęła całe opakowanie pigułek nasennych, kiedy on był w mieście, pracując nad sprawą. Nastąpiło to w długo po szpitalu i klinikach, po ostatnich uzdrowicielach o złodziejskiej, obrzydliwej moralności, pewnych siebie, zachłannych zielarzach, sprytnych szarlatanach i konowalach, do których, w desperacji, Ann zabierała chłopca. Mijały właśnie cztery lata. Od tamtej pory nikt nie badał Randalla.

Po narodzinach Randalla nigdy naprawdę nie był *tutaj*. Snuła się jakiś czas, wielkie, wrażliwe

oczy patrzące z jakiegoś odległego miejsca, umysł zagracony jak śmietnik tym, co mogłoby być.

— Po prostu nie dotykaj mnie — powiedziała. — Wiem, powiedzieli, że powinniśmy mieć następne, ale nie... Proszę, Sam.

A wtedy to, co jeszcze w nim troszkę żyło, umarło. Wiedział, że to chłopiec. No... kochał ją, lecz potrafił przywołać jej twarz tylko w twarzy tego dziecka, w tym małym, nienawistnym obliczu, rzeczy, która zabiła coś, co Sam kochał.)

Ze szczękiem podniósł drzwi garażu i pojechał do adwokatury. Kolejny dzień, przypuszczalnie kolejne dolary. Nie zostało już zbyt wiele dni. Dr Yancey powiedział: „sześćmiesięcydoroku” — cztery miesiące temu, w dniu, gdy otwarli Sama Moore i szybciotko zaszyli by ukryć zniszczoną zawartość.

— Zbyt zaawansowany — oznajmił Yancey, a potem dodał odwieczne słowa bezsilnej desperacji, które tak wielu ludzi w końcu słyszy:

— Nic nie możemy zrobić.

Siddharta Gautama bez wahania wszedł do parku upamiętniającego słonie. Legendy mówiły, że drzewa mu się kłaniały. Jego matka, Maya, czuła się podtrzymywana przez potężne uczucie mocy. Dziecko pochodziło z dobrego rodu, ale było mało bystre, chronione i nigdy nie wypełniło przeznaczenia; dar rozwinął się niepewnie, nigdy nie użyty w pełni.

Punkt: Randall siedział przed rodzinnym domem, pod drzewem. Obserwował otaczający go świat z intensywną ciekawością. W pobliżu przeleciała pszczoła, przyglądał się jej z pewną troską, ale nie zaatakowała. Nie zaczepiały go zanadto od czasu, gdy jedna użądliła go wiosną, a on zniszczył wszystkie roje w promieniu dziesięciu przecznic.

Usłyszał głośny hałas znacznie wcześniej niż zlokalizował jego źródło. W pobliżu rozjazgotał się samochód propagandowy. Po kilku chwilach dotarł do rogu uliczki Randalla i zwolnił. Na jego boku widniał jaskrawy obrazek mężczyzny w kapłańskich szatach, trzymającego broń tuż przed piersią, z oczami rzucającymi piekielne błyski. Napis poniżej głosił:

— Ojciec Tempest walczy z Komunizmem.

Muzyka zawyła w głośnikach, przekraczając wszelkie dopuszczalne limity decybeli. Randall nadstawił ucha i dźwięk spowodował u niego ból ucha.

Kierowca wyłączył muzykę, a podkręcił naręczny mikrofon.

— Wielki wiec dziś wieczorem! — zawołał. — Posłuchaj, jak Ojciec Tempest ratuje świat i powie TOBIE jak walczyć z wpływami, które nas zniszczą. Sala gimnastyczna liceum, godzina dziewiętnasta.

Jego głos nabrał groźnych tonów.

— Nie pozwól, by twoi sąsiedzi nie znaleźli tam ciebie.

Z siedzenia za kierowcą, mężczyzna w kapłańskich szatach uśmiechał się i błogosławił ludzi pojawiających się w drzwiach i oknach.

W górze pojawiły się nagle chmury i spadło kilka kropel deszczu. Błyskawica rozświetliła niebo, ominęła wysokie drzewa i trafiła wprost w samochód propagandowy. Zapadła cisza i Randall przestał zasłaniać sobie uszy dłońmi. Ludzie wybiegli na ulicę, a po chwili usłyszał syrenę.

Opuścił frontowe podwórko i podszedł do okna z boku domu. Stąd widział Mrs.Cable. Jakoś udało się jej przespać całe zdarzenie. Chrapała rytmicznie z szeroko otwartymi ustami. Telewizor ciągle pracował, teraz leciała w nim opera mydlana.

Randall zaczął spacerować niespokojnie pod tylnym żywopłotem. Pełnił straż. Był jeden chłopiec, który wydawał się przyjacielski, uśmiechał się do Randalla, a potem ukradkiem, kiedy nikt

nie patrzył, szczypał i szturchał. Był chłopiec z pneumatyczną śrutówką, który postrzelił wiewiórkę, kiedy brała kąski jedzenia z ręki Randalla, chłopiec, który zabił jedną z ryb w stawie. Wiewiórka żyje nadal, lecz zrobiła się ostrożniejsza. A w stawie nadal są trzy ryby. Zawsze były trzy, za wyjątkiem tego jednego dnia. Jedna z nich teraz mocno różni się od pozostałych kształtem i kolorem.

Wielki pies przedarł się przez żywopłot i zaczęli się kotłować.

Randall uśmiechnął się do psa.

— Dobry piesek — powiedział.

Kikut ogona zaczął się kiwać w uwielbieniu.

Sam spędził w biurze ponury dzień, nakrzyczał na sekretarkę, nie słuchał klientów. Teraz już nie bywał tak zajęty jak kiedyś. Unikał spraw, które mogłyby się ciągnąć w nieskończoność. Częściowo odpowiedzialne za to było to obce coś rosnące mu we wnętrzu, lecz po części — i czerpał z tego coś w rodzaju ponurej dumy — był zbyt dobry w swoim fachu. Kiedy odeszła Ann, otoczył się pracą, zatopił się w niej. Teraz odrzucał oferowane zaliczki za obronę lub oskarżanie w sprawach, których zakończenia nie miał szans dożyć. Niewielki ukłon w stronę etyki, ale kiedy człowiek zaczyna umierać, bardziej przywiązuje wagę do drobiazgów.

Coraz trudniej było mu podejmować decyzje, a klienci odczytywali to w jego oczach i głosie. Zbieranina niegdyś kłębiąca się w jego biurze przerzedziła się i wkrótce nadszedł czas.

Pomyślał o chłopcu. Wiedział, że po śmierci Ann ignorował go i, co gorsza, nienawidził dzieciaka, wiążąc go z żoną, zdając sobie sprawę, że jej samobójstwo było wynikiem posiadania takiego dziecka.

Gazeta ofiarowała ucieczkę. Z dnia na dzień świat robił się coraz bardziej paskudny i zdawało się, że coraz łatwiej go opuścić. Dziś dwa kolejne państwa wystąpiły z Organizacji Narodów Zjednoczonych, w Szwecji notowano rosnący opad radioaktywny. Kolejny zakaz prób jądrowych jakoś nie dawał się uchwalić. Dwa afrykańskie narody ogłosiły, że skonstruowały własne bomby. W Missisipi członek fanatycznej organizacji białych zastrzelił sędziego okręgowego, który sądził i skazał dziewięciu mężczyzn oskarżonych o zlinchowanie rzecznika praw publicznych. W jego własnym stanie poprawka do konstytucji stanowej zakazująca kary śmierci przypadła w głosowaniu z kretesem.

Kiedy wracał do domu, czuł w plecach ból, którego dotychczas nigdy jeszcze nie było.

Ching-tsai spała głęboko w noc przyjscia. Objawił się jej Chin-li. Śniła i tęskniła do smoków spacerujących po niebie. Dziecko znowu było opóźnione, trzymane pod kloszem i na osobności.

Punkt: Pani Cable spała. W czasie odległym od najlepszej oglądalności, zarezerwowanych na westerny, ekshibicjonistyczne rozmowy, komedie i tym podobne, telewizja zaprezentowała program o budownictwie mieszkaniowym w Nowym Jorku. Pokazano zastępowanie kamienic czynszowych, wąskie uliczki i zmęczonych, brudnych ludzi. Kamery sprytnie rejestrowały znikanie budynków i powstawanie wysokich bloków z tanimi mieszkaniami. Reporter beznamytnym głosem czynił lakoniczne uwagi. W przebudowanym obszarze szerzyły się przestępstwa. Ulubionym ostatnio było dopadnięcie w windzie człowieka zbierającego czynsze, rozebranie go do goła i wepchnięcie mu w tyłek małej monety. Mnożyły się gwałty, bo obecne mieszkania miały lepszą izolację akustyczną niż dawne kamienice.

Randall patrzył. Ludzie wciąż byli zmęczeni i brudni.

Po programie dokumentalnym znów pojawiła się opera mydlana. Pani Cable obudziła się i razem

oglądali opowieść o mężczyźnie i kobiecie, zakochanych i zaślubionych, ale na nieszczęście nie sobie nawzajem.

W domu było gorąco i pusto. Sam otworzył okno i zobaczył ich. Pani Cable leżała wyciągnięta na szezlongu, kawałkiem papieru zakryła oczy dla osłony przed ostrym słońcem. Randall był przy stawie ze złotymi rybkami, zbudowanym przez Sama któregoś szczęśliwszego roku. Trzy odporne ryby przeżyły ostatnią ostrą zimę i marną wiosnę. Sam nie miał pojęcia, dzięki czemu utrzymywały się przy życiu. *On* ich nie karmił.

Chłopiec trzymał drobne dłonie nad wodą, Sam obserwował go ukradkiem. Chłopiec jakby poczuł na sobie jego wzrok, bo odwrócił głowę i uśmiechnął się w stronę okna. Potem zwrócił się z powrotem do stawu i szybkim ruchem przeciągnął dłońmi w wodzie. Podniósł prawą rękę, w której delikatnie trzymał rybę. Przełożył ją z ręki do ręki, trzepoczącą, uważnie obejrzał, wrzucił do wody i sięgnął po następną.

Sam nigdy nie widział czegoś takiego, ale chłopiec zachowywał się w szczególny sposób, jakby robił to już wielokrotnie.

Randall miał silną więź ze zwierzętami. Sam pamiętał wypadek z psem. Sąsiedzi z tyłu mieli wielkiego i złośliwego owczarka alzackiego, który od początku był postrachem okolicy. Pewnego dnia, kiedy Randall wyruszył na jedną ze swych, powtarzających się regularnie, ucieczek, Sam odnalazł go przytulonego do tego psa. Stał i patrzył, na wpół oczekując, że owczarek, zazwyczaj starannie uwiązany przez właścicieli na łańcuchu, rzuci się do szarpania i darcia. Lecz zwierzę nie wykonało żadnego agresywnego ruchu i tylko zaskomlało, kiedy zabierał chłopca.

Z wiekiem charakter psa najwyraźniej się poprawił, Sam bowiem widywał go bawiącego się wesoło u różnych sąsiadów.

Przygotował czek i wyniósł go pani Cable. Zapłacił jej za tydzień, przyjęła pieniądze radośnie. Dzień wypłaty był jedynym, w którym tajała nieco i wykazywała chęć do rozmowy.

— Mnóstwo podniecających rzeczy — powiedziała. — Piorun uderzył w samochód na środku ulicy. Spałam, ale pani Taldemp opowiedziała mi wszystko. Dwóch ludzi zginęło — potrząsnęła głową ze zdumieniem. — Dokładnie przed domem, a ja to przegapiłam — skinęła głową w stronę Randalla. — Rozwija się. Robi różne rzeczy, których dotąd nie robił. Te złośliwe dzieciaki, które zwykły rzucać kamieniami, już się nie pojawiają. Poprzednio biegał do nich i dawał im swoje zabawki, a teraz tylko rozgląda się, czy zobaczy któregoś. Trzymają się z daleka, kiedy jest na zewnątrz — potrząsnęła głową. — Nadal rzadko się odzywa, ale czasami mówi coś głośno i wyraźnie, kiedy się tego najmniej spodziewam — roześmiała się jękliwie. — Jaka szkoda, że nic nie można dla niego zrobić. Wciąż próbuje pan umieścić go w tej stanowej szkole dla głupków?

Sam walczył z bólem.

— Marne szanse — powiedział krótko. — Mają przepelnienie. Jest dość daleko w kolejce.

Odprowadził ją do frontowych drzwi. Przez większość dni ograniczała konwersację do minimum, ale dziś nie chciała przestać.

— Jest szybki. Na jednym z drzew mieszka wiewiórka. Odwróciłam się na chwilę i już siedział tam na górze i karmił ją. Myślałam, że mówił pan, że ten stary więź jest spróchniały?

Sam skinął głową. Co chwila fala bólu przeszywała mu plecy.

— No cóż, wspiał się na górę i miałam krzyż pański ze sprowadzeniem go na dół. Drzewo wcale nie wydało mi się spróchniałe — zrzędziła.

Było spróchniałe. Umarło tej wiosny i nigdy nie pokryło się liśćmi. Sam widział je niewyraźnie za oknem. Inne drzewa miały bujne korony. Zdało mu się, że na więzie widzi pączki i drobne listki,

ale musiał się mylić.

W końcu udało mu się wyprowadzić panią Cable za drzwi i wezwał doktora Yanceya. Zrobiwszy to, opadł z ulgą na fotel. Ból nieco zelżał. Chłopiec siedział na podłodze, obserwując go z dzieciinną, pełną ciekawości intensywnością, lekko przekrzywioną głową, bez śladu zażenowania. Sam przyznał, że dzieciak jest ładny. Rysy miał regularne, ciało zwarte i silne. Kiedyś Sam odwiedził Stanowy Ośrodek dla Opóźnionych w Rozwoju i najlepiej zapamiętał oczy widzianych tam dzieci. Większość była tępa, pozbawiona połysku. Niektóre sprawiały złudne wrażenie bystrości, tak jak oczy Randalla. Lśniły blaskiem śniegu, lecz brak było w nich związku z otaczającym światem.

— Boli cię, tato? — zapytał Randall.

Jedną ręką zrobił delikatny gest, jakby zeznawał i nagle odkrył prawdę, która go zaskoczyła.

— Boli cię — powiedział znowu. Wskazał palcem przez okno.

— Wszystko cierpi — dodał.

— Tak — potwierdził Sam. — Cały świat cierpi.

Sam usłyszał samochód na podjeździe, chłopiec odwrócił się od niego. To był doktor Yancey. Wszedł sprężystym krokiem i Sam przez moment poczuł palącą nienawiść do tego człowieka. Straszna, gorzka zazdrość chorego wobec zdrowych.

Dr Yancey najpierw zwrócił się do chłopca:

— Witaj, Randy. Jak się dziś czujesz?

Przez chwilę Sam sądził, że odpowiedzi nie będzie.

Randall popatrzył na doktora bez specjalnego zainteresowania.

— Jestem młody — odezwał się w końcu falsetem.

— Czasami mówi to ludziom — wyjaśnił Sam. — Chyba ma na myśli, że czuje się dobrze.

Yancey wszedł do kuchni, przyniósł wodę i żółtą kapsułkę.

— To cię nie ogłupi.

Podał wodę i lek, które Sam połknął posłusznie. Pozwolił mu na pomoc w dojściu do kanapy.

Zbadały go wprawne palce. Chłopiec przyglądał się temu z pewnym zainteresowaniem.

— Masz opuchliznę, ale nie ma żadnych oznak poważnych zaburzeń organów wewnętrznych.

Naprawdę powinieneś znajdować się w szpitalu.

— Jeszcze nie — zaprotestował Sam. — Jest chłopiec. Popatrzył w górę na Yanceya.

— Jak długo jeszcze, doktorze? — spytał, jednocześnie nie chcąc i chcąc wiedzieć.

— Niezbyt długo, Sam. Sądzę, że rak zaatakował kręgosłup. Mówił cicho, obejrzał się na chłopca, czy ten słucha. Randall wstał z podłogi. Poruszał się cicho i zwinnie, przeszedł przez pokój i korytarz. Światło zapaliło się w gabinecie.

— Jest wytracony z równowagi — wyjaśnił Sam. — Idzie do gabinetu, wyciąga książki i przewraca strony. Mam tam kilka encyklopedii i książek medycznych, które wykorzystuję w sprawach o uszkodzenie ciała. Przypuszczam, że lubi obrazki. Czasami spędza tam kilka godzin.

Niektórzy mówią, że Ubu'1 Kassim zniszczył swojego ojca dwa miesiące przed przyjściem. Szok śmierci i narodzin osłabił mateczność, która umarła kilka lat później. Jego życie było pogmatwane, przenoszenie się od jednego krewnego do drugiego, powolne dojrzewanie. Coś w jego wnętrzu ukrywało się aż do wczesnego wieku męskiego.

Punkt: Książki stanowiły zagadkę. Tak wiele tkwiło w nich rzeczy jakże widocznie niewłaściwych, ale same wcale nie były okrutne, tylko głupie i nie dbające o nic. Ojcowość także cierpiała, ale nie on był za to odpowiedzialny. W ojcowości nie dostrzegał miłości, ale nigdy go nie

skrzywdziła.

Książki nie pomogły.

Samotny, pozbawiony wsparcia przez to, czym stał się świat i co dla niego znaczył, podjął decyzję. Dotyczyła tylko jednego czasu i jednej rzeczy, resztę zostawił na później.

Pigułka poskutkowała na kilka godzin, potem jej efekt zaczął zanikać. Wziął następną i zajrzał do chłopca. Randall leżał w łóżku z otwartymi oczami, drobne ciało pod przykryciem, oddychając powoli.

— Gdzie jest mama? — zapytał.

Samem targnęły dwa uczucia — chęć zniszczenia chłopca i równie silne pragnienie przytulenia go. Nie zrobił żadnej z tych rzeczy. Poprawił przykrycie.

— Odeszła bardzo daleko — wyjaśnił dziecku miękko.

Randall skinął głową.

Sam uporządkował gabinet. Chłopiec znów grzebał w jego książkach. Sam powstawał je z powrotem na półki. Poszedł do łóżka. Sen nadszedł szybko.

Na zewnątrz, w sąsiedztwie, większość światła wciąż się paliła. Ludzie z niepokojem patrzyli na ekrany telewizorów. Trwała kolejna konfrontacja, tym razem na Bliskim Wschodzie. Ręce przysunęły się bliżej do czerwonego przycisku, guzika stworzonego przez człowieka. Prezydent przemówił i napięcie opadło, dla niektórych. Świat, taki jaki był i jak go wszyscy ludzie ukształtowali, miał istnieć jeszcze przez jakiś czas.

Sam śnił.

Pojawiły się twarze tysiąca klientów i zlały w jedną szaloną, pełną uprzedzeń gębę ignoranta, oblicze „nigdy–nie–zrobiłem” i „nigdy–nie–zrobię” jęczące na temat niesprawiedliwości życia płodzącego dzieci, które trzeba utrzymywać z krociowych zasiłków. Taką twarz Sam dobrze znał, twarz domagającą się rozwodu i alimentów, knującą gwałt i przyznającą się do morderstwa. Ta twarz nienawidziła wszelkich mniejszości i większości, jeśli nie była ich przywódcą, która przeklinała los i wyłudzała renty. Była częściowo znajoma, wiedział to, bo była jego własną.

Ten sen zbudowało piętnaście lat praktyki. Nie stanowił koszmaru, bo był dużo lepszy od życia.

Jednak pasował do życia i w jego trakcie, gdyby mógł dokonać racjonalnego wyboru, gdyby instynkt samozachowawczy nie był tak potężny i wrodzony, wybrałby śmierć.

Raz niemal wrócił do jawy, lecz ześliznął się z powrotem w studnię, gdzie znajdował się jedynie mały krąg światła. Ann i chłopiec tam byli. Dotknęli go miękkimi dłońmi. Odwrócił ich dokoła życia i zobaczył ich twarze; nosiły takie same znamiona jak jego własna — okrucieństwa, szaleństwa, złości i bólu. Ich ręce wciąż go dotykały, wił się, próbując uciec przed tym budzącym odrazę kontaktem. Ze strasznym, rozrywającym, palącym bólem, wyrzygał wszystko ze środka.

Obudził się.

Tylko jedna para rąk była prawdziwa. Drobne dłonie chłopca spoczywały lekko, nieruchomo na piersi Sama. W wyrazie twarzy dziecka było coś, jakaś świadomość, uczucie. Sam nie umiał tego rozpoznać, lecz tkwiła w tym satysfakcja, świadomość osiągnięcia czegoś, a może nawet miłość. Potem wszystko znikło. Chłopiec ziewnął i zabrał rękę. Odszedł i Sam usłyszał szelest jedwabnej kołdry w dziecięcej sypialni.

Nadszedł spazm pustego bólu. Sam podniósł się słabo, dotarł do kuchni, wziął pigułkę i siedział przez chwilę na kanapie czekając aż zacznie działać. Wracając, zajrzał do pokoju chłopca. Randall leżał wyprostowany na łóżku. Czoło lśniło mu od potu. Oczy miał otwarte, obserwujące, pełne oczekiwania.

— Jestem młody — powiedział żałośnie w przestrzeń.
— Tak — potwierdził Sam miękko. — Tak, bardzo młody.
— Była sprawa z głową — odezwał się Randall, szukając słów.
— Bolała pieska.

Wyciągnął mały palec i położył go na nadgarstku Sama.
— Ryby zawsze głodne. Dawałem im — potrząsnął głową.
— Widzę słowa. Nie umiem ich powiedzieć.

W jego głosie pojawiła się pewność siebie.

— Teraz będę szybciej rósł.

Odsunął dłonie od nadgarstka Sama i zbliżył do brzucha.

— Wszystko poszło. Wszystko poszło z wszystkich miejsc

— zakończył, przy czym znów na moment pojawił się w nim błysk, taki sam jak w sypialni Sama.

Sam gapił się, nic nie rozumiejąc.

Zimne, zagubione oczy obserwowały go, a kolejne słowa zmroziły mu krew w żyłach. Głos chłopca osiągnął natężenie i gwałtowność jak nigdy przedtem.

— Widzę rzeczy w telewizji, czytam je w książkach i w gazetach, tak wiele złych rzeczy, wszystko tam nienawiść, taka jak inni nienawidzą mnie.

— Tyle rzeczy tu — dotknął swojej malej głowy — jeszcze nie gotowych.

Zacisnął powieki, w kącikach pojawiły się łzy.

— Nie przykro. Urosnę starszy — dokończył Randall głosem stanowiącym nieludzką, okrutną obietnicę.

Był Inny, który urodził się w żłobie i umarł na krzyżu. Ten Jedyny przez chwilę był chroniony i dojrzałość nie została wymuszona.

Lecz nowy Jedyny, Jedyny urodzony dla naszych czasów, zobaczy żrącą nienawiść wszystkich innych, tak żrącą, że dosięgła i jego. Widzi ją w Alabamie i Wietnamie, a nawet w świecie tuż obok Niego. Widzi w telewizji i czyta o niej w gazetach, a potem rośnie niechroniony w tym świecie mas i historycznych przekazów.

Potem planuje. Potem decyduje.

Ten dojrzeje i dorośnie w gniewie.

Tłum. Jarosław Cieśla

Posłowie:

W momencie ukazania się tej opowieści przekroczyć już czterdziestkę, bardzo niebezpieczny okres. Sądzę, że chciałem ją stworzyć już bardzo dawno temu, lecz pisanie jej, a zwłaszcza wykańczanie, szlifowanie, które przemienia historyjkę w opowiadanie, miało na mnie przygnębiający wpływ. Nie potrafiłem pozbyć się uczucia, że w jakiś sposób obnoszę się z Bogiem. Był taki czas, kiedy serio nosiłem się z zamiarem wycofania jej, ale teraz cieszę się, że tego nic zrobiłem. Na swój sposób „Pan Randy, mój syn” jest głęboko religijnym opowiadaniem, łączącym najlepszą część mnie z tą częścią świata, którą uważam za najgorszą — ale świat zawsze był interesujący, mimo że paskudny. Z zawodu jestem prawnikiem i przyznaję, że akapity dotyczące snu są bardzo osobiste.

Jeśli pisarz może kiedykolwiek być zadowolony z opowiadania — oprócz „następnego”, które *zamierza* napisać — ja z tego jestem.

Wprowadzenie do „Eutopii”:

Kiedy nadszedł czas pisania wstępu do opowiadania Poula Andersona, odkryłem — z narastającą paniką — że jakoś nikt go nigdy nie poprosił o dane biograficzne, które powinny znaleźć się we wprowadzeniu. Wszystkich innych o to poproszono, wszyscy nadesłali zarówno informacje o sobie, jak i posłowia. Miałem posłowie do „Eutopii”, ale nic o Poulu Andersonie. Przez chwilę zastanawiałem się jak to możliwe, że tylko on został przeoczony, a potem zrozumiałem, iż to oczywiste. Wcale nie trzeba wręcać mi palców w imadło czy zakładać hiszpańskiego buta, żebym się przyznał do nałogu dotyczącego prac Poula Andersona. Bez żadnych też nacisków przyznam, że czytałem niemal wszystko, co w ciągu ostatnich szesnastu lat ten człowiek napisał z fantastyki. Toteż tak dogłębna znajomość zrodziła we mnie podświadome przekonanie, że wstęp może zostać napisany bez żadnych faktów. Wolę wierzyć w taką interpretację niż w jej alternatywę: że jestem zapomnianym imbecylem. Trzymanie się kamieni węgielnych osobistej religii jest *koniecznością*.

Mam swoje ulubione opowiadania Andersona, wy też. Czytałem „Un-Man”, *Strażników czasu*, opowieści o Hoka (z Gordy’em Dicksonem), *Podniebną krucjatę*, *Trzy Serca i Trzy Lwy* co najmniej po trzy razy, a wiele z nich po kilkanaście. Kiedy okazało się, że jednak *muszę* wykopać skądś fakty biograficzne, zacząłem grzebać na półkach w poszukiwaniu tomów Andersona: mało tego było, znalazłem jedynie trzydzieści dwie książki. Ten facet *nie potrafi* napisać jednego nudnego słowa!

Lecz oprócz oczywistych referencji, takich jak zdobycie kilku Hugo, znalazłem następujące fakty: jest żonaty z Karen i ma córkę Astrid, mieszka w Orinda w Kalifornii. Skończył fizykę na Uniwersytecie Minnesoty; jego kryminał *Perish by the Sword* wygrał pierwszą Nagrodę Macmillana Cocka Robina. W 1959 roku był honorowym gościem Światowego Konwentu Science Fiction. Pierwsze opowiadania sprzedał w 1949 roku (dwie nowelki: „To—morrow Children” i „Logic”) do czasopisma *Astounding*. Urodził się w Bristolu, w Pensylwanii. Oprócz tych dość zwyczajnych faktów (z wyjątkiem tego, że *Esquire*, czasopismo cieszące się w świecie sławą dbające o głębię spojrzenia i szczegółowość studiów, na których opierają się zamieszczane w nim artykuły, zdołało nader pomysłowo — w numerze ze stycznia 1966 — podpisać pełnostronicową fotografię Poula nazwiskiem A.E. van Vogta, którego z kolei zdjęciu zaś przypisało personalia Poula) istnieją *tajemnice*, ukryte tak głęboko, że tylko osobisty kontakt z pracami tego człowieka może uchylić ich rąbka. Tak więc po raz pierwszy zostaje odsunięty welon i może zostać powiedziana *prawda* o Poulu Andersonie, co samo w sobie jest niebezpieczną wizją.

Krąży plotka, że Anderson jest niezwykle wysoki, a ponieważ ma skłonność do opowieści o potężnie umięśnionych bohaterach, z których wielu to albo reinkarnacje, albo potomkowie Wikingów, mawia się również o jego skandynawskim pochodzeniu. To czysta bzdura. Poul Anderson (którego imię wymawia się nieco bardziej miękko od słowa *puli*) *naprawdę* ma metr wzrostu w skarpetkach (a nosi te *paskudne*, bawełniane), jest pulchny i pokryty złotym futrem, ma okrągłą głowę o krótkim pysku i małe, czarne ślepia. Gdyby nie dłonie o krótkich, grubych palcach, wyglądałby dokładnie jak

wielki, pluszowy miś. Tylko mocy jego osobistej perswazji oraz uprzejmości bezpośredniego otoczenia zawdzięcza to, że może uchodzić za patykowatego prawie dwumetrowca z szopą kręconych włosów na głowie, o gawędziarskim sposobie mówienia, któremu towarzyszą zamaszyste gesty rąk o dłoniach jak klapy od sedesu.

Poul Anderson nie napisał ani jednego słowa w przypisywanych mu opowiadaniach. *Wszystkie* napisał F.N. Waldrop, astmatyczny urzędnik pocztowy pracujący w wiejskim urzędzie w Muscatine, stan Iowa. Anderson, posługując się groźbami i oszczerstwami, trzymał Waldropa w garści przez ponad dwadzieścia lat. Sytuacji wcale nie poprawiał fakt porwania przez Andersona trojga dzieci Waldropa w 1946 roku.

A na koniec rzecz śmiechu warta: Anderson utrzymuje, że poniższa opowieść nie jest „niebezpieczna” i mógłby ją sprzedać do dowolnego czasopisma. Kiedy ją przeczytasz, zastanów się nad takimi tytułami jak *McCall's* czy *Boy's Life*. Proszę też kierować wszelkie pozwy o zniesławienie do N.F. Waldropa, RFD, Muscatine, Iowa.

Poul Anderson
Eutopia

Eutopia

— Gif hit nafn!

Danskarskie słowa warknęły z głośnika radia samochodowego w momencie, gdy wycie turbin przedarło się przez szum silnika i opon.

— Przedstaw się!

Jason Philippou rzucił okiem w górę, przez kopułkę. Pomiedzy dwiema poszarpanymi, zielonymi ścianami lasu, przez który biegła szosa, zobaczył pasek błękitu. Słońce odbijało się od błyszczącego kadłuba lecącej tam, śmiertelnej maszyny. Zbliżyła się z wyciem, zatoczyła nad nim krąg.

Spod pach pociekły mu po żebrach krople potu. *Nie wolno mi spanikować*, błysnęło mu gdzieś w zakamarkach umysłu. *Niech Bóg mi teraz pomoże*. Lecz do pomocy wezwał swój trening. Psychosomatykę: kontroluj symptomy, utrzymuj spokojny oddech, nakaz pulsowi zwolnić, a strach przed śmiercią da się opanować. Był młody, toteż miał wiele do stracenia. Lecz filozofowie Eutopii dobrze szkolili powierzone im dzieci. Będiesz człowiekiem, powiedzieli mu, a ludzkość dumna jest z tego, że nie rządzą nią instynkty i odruchy. Jesteśmy wolni, bo potrafimy nad sobą panować.

Nie zdołałby udawać przeciętnego obywatela (nie, tutaj mówili „wiecownika”) Norlandu. Zdradziłby go choćby zbyt silny helleński akcent. Lecz mógł spróbować przekonać tego pilota, tylko na kilka minut, że pochodzi z innej domeny tej historii. Zmienił trochę głos, nadając mu twardsze brzmienie i przyjął arogancką postawę, której tamten się spodziewał.

— A kim ty jesteś? I czego chcesz?

— Runolf Enarsson, kapitan straży Ottara Thorkelssona, Prawodawcy Norlandu. Ścigam człowieka, który ściągnął wróżdę na swoją głowę. Przedstaw się.

Runolf, pomyślał Jason. *No cóż, pamiętam cię dobrze, wysoki i prosty jak trzcina, krwi tyrkerskiej, lecz masz błękitne oczy, które dawno temu dotarły tu z Thule*. Zaś w tej części umysłu, która obserwowała wszystko z boku zrodziła się myśl: *Me, tu pomieszałem historie. Autochtonów zwałbym Erythrai, a wy nazywacie kraj swoich europejskich przodków Danarik*.

— Nazywam się Xipec, jestem kupcem z Meyaco — powiedział. Nie zwolnił. Granica była już o kilka stadiów, tak szaleńczo jechał całą noc od chwili ucieczki z zamku Prawodawcy. Małą miał nadzieję na dotarcie tak daleko, ale każdy obrót kół przybliżał go do celu. Szybkość rozmazywała obraz przydrożnego lasu.

— Jeśli tak, przykro mi, że muszę cię zatrzymać — odezwał się ostry głos Runolfa. — Skontaktuj się z Prawodawcą, który nadużycie twoich praw zmaże złotem. Jednak musisz się zatrzymać i opuścić samochód tak, żebym mógł obejrzeć twoją twarz przez lornetkę.

— Dlaczego? — zyskana kolejna sekunda, może dwie.

— Do Enwik przybył gość z Ojczyzny, Europy. — Ottar Thorkelsson ugościł go szczerze, za co ten dopuścił się czynu, który tylko śmierć może zmazać. Miast stanąć Ottarowi na ubitym polu, ukraść samochód, taki jak twój i uciekł.

— Czy nie starczyłoby obwołać go wobec ludu gnidą? *Przynajmniej tyle się nauczyłem o ich*

barbarzyńskich zwyczajach!

— Dziwne to słowa, jak na Meyacana. Zatrzymaj się natychmiast i wysiądź, albo otworzę ogień!

Jason zdał sobie sprawę, że zaciska zęby aż do bólu. Jak, na Hades, mógł człowiek spamiętać panujące na tym kontynencie setki małych religii, z których każda ma odmienne zwyczaje? Westfalia była jeszcze bardziej nieprawdopodobnym kotłem niż cała Ziemia w tej historii, w której ten obszar zwano Ameryką. *No cóż, pomyślał, teraz się okaże, jakie mam szansę ponownie usłyszeć, jak nazywają*

— Bardzo dobrze — powiedział. — Nie dajesz mi wyboru. Lecz naprawdę zażądam zadośćuczynienia za tę zniewagę.

Zwalniał tak wolno, jak tylko się odważył. Droga rozciągała się przed nim czarną wstęgą, przecinając potężną puszcę. Nie wiedział, czy kiedykolwiek prowadzono w niej wyrąb. Prawdopodobnie tak, kiedy po raz pierwszy biali ludzie przepłynęli przez Pentalimne (które nazywali Pięciomorzem) i założyli Enwik w tym samym miejscu, w którym w Ameryce znajdowało się Duluth, a w Eutopii Lykopoii. Wówczas Norland rozciągał się daleko w krainę jezior. Ale nadeszły wojny z Dakotami i Madziarami i ekspansja została zatrzymana; a potem rozwój handlu — ostatnio głównie syntetykami — pozwolił ludziom wykorzystywać interior jako tereny polowań, które tak szaleńczo uwielbiali. Trzysta lat wystarczy do powstania dziewiczej puszczy.

Przed oczami miał wyraźną mapę tego terenu zapamiętaną z domu: schludne gaje i sady, wioski zaprojektowane z myślą o wygodzie i urodzie, opalone ciała na stadionach, muzyka przy świetle księżycy... Nawet straszna Ameryka była bardziej ludzka niż ta głusza.

Obie historie znalazły się w niebycie, zagubione w wielowymiarowej czasoprzestrzeni; był sam, a śmierć przemierzała niebo. *I żadnego uzalania się nad sobą, idioto! Zachowaj energię, żeby przeżyć.*

Samochód zatrzymał się gwałtownie na poboczu. Jason sprężył się w sobie, otworzył drzwi i wyskoczył.

Radio za nim bluznęło przekleństwem. Wiszący w powietrzu pojazd zakręcił gwałtownie i zanurkował jak jastrząb. Tuż za plecami Jasona runął grad pocisków.

Wtedy znalazł się pod drzewami. Osłoniły go cieniem pełnym plamek słońca. Pnie stały jak symbole męskiej siły, z gałęzi dobiegał aromat, jakiego kobiety mogłyby pozazdrościć. Opadłe liście głuszyły echo jego stóp, zaśpiewał drozd, lekki wiatr ochłodził mu policzki. Rzucił się pod osłonę jednego z pni, leżał tam, spazmatycznie łapiąc oddech, z sercem tak łomoczącym, że niemal zagłuszało złowrogie wycie nad głową.

Na razie oddaliło się. Runolf musiał skontaktować się ze swoim panem. Ottar przyleci tu z końmi i psami, jedynymi środkami mogącymi zapewnić skuteczną pogoń. Jednak Jason zdobył kilka godzin przewagi.

Potem. Przywołał swój trening, usiadł i zaczął myśleć. Jeśli Sokrates, czując już chłód cykuty, mógł dzielić się mądrością z młodzieżą Aten, Jason Philippou mógł oszacować swoje szansę. W końcu jeszcze żył.

Sprawdził, co ma przy sobie. Pistolet o dużym kalibrze, miejscowego wyrobu, kompas, garść srebrnych i złotych monet, płaszcz mogący służyć za koc oraz tuniką, spodnie i buty typowe dla środkowej Wsfalii. A także siebie, najlepsze narzędzie. Był wysoki i barczysty — miał też jasne włosy i krótki nos, dziedzictwo po galijskich przodkach — został też wyszkolony przez ludzi zdobywających wieńce olimpijskie. Umysł, cały układ nerwowy, miały jeszcze większą wartość. Pedagodzy Eutopii sprawili, że posługiwanie się logiką, świadomością semantyczną, spojrzeniem z perspektywy, było dlań równie naturalne jak oddychanie. Kontrolował pamięć tak, że nie

potrzebował żadnych map. Wiedział, że pomimo jednego, katastrofalnego błędu został wyszkolony, żeby poradzić sobie z najdziwniejszymi przejawami ludzkiego ducha.

Oraz, tak, przede wszystkim, miał powód by żyć. Większy niż zwykle, ślepe pragnienie kontynuacji tożsamości, które DNA wypracował dla zapewnienia produkcji większej liczby cząsteczek DNA. Miał swoich ukochanych, do których winien wrócić. Miał swój kraj: Eutopię, Dobrą Krainą, którą jego lud założył dwa tysiące lat temu na nowym kontynencie, pozostawiając za sobą wszystkie nienawiści i okropności Europy, zabierając ze sobą dzieło Arystotelesa i w końcu zapisując w Prawach: „Celem państwa jest osiągnięcie powszechnego zdrowego rozsądku”.

Jason Philippou wracał do domu.

Wstał i ruszył na południe.

Te wydarzenia miały miejsce w Tetradę, którą polujący na niego nazywali Onsdag. Jakieś trzydzieści sześć godzin później wiedział, że to nie Pentada, tylko zbliżający się zachód słońca w Thorsdag. Zataczając się parł przez las, w ustach mając popielnik, w brzuchu pustkę wielką jak jaskinia, trzęsły się pod nim kolana, chmury much rzucały się na pot wyschnięty na jego skórze — a z oddali dobiegało szczekanie psów.

Odpowiedział im dźwięk rogu, długi, metaliczny sygnał przenikający pomiędzy liśćmi. Znaleźli jego trop, nie prześcignie jeźdźców i nie zobaczy już gwiazd.

Dłoń opadła mu na pistolet. *Zabiorę kilku ze sobą... Nie.* Wciąż był Hellenem, który nie zabija bez potrzeby, nawet barbarzyńców zamierzających go zarżnąć, bo złamał ich tabu. *Stanę pod otwartym niebem, przyjmę ich pociski i odejdę w ciemność wspominając, jak wygląda Eutopia, moi przyjaciele i Niki, moja miłość.*

Z trudem zdał sobie sprawę, że wyszedł z sosnowego lasu, znalazł się wśród brzoź. Ich liście złociły się w słońcu, które pieściło smukłe, białe pnie. A co to za warkot tam w przedzie?

Zatrzymał się. Miał szansę przetrwać. Doprowadził siebie na skraj śmierci, ale organizm dysponuje rezerwami, do których panujący nad nim człowiek może sięgnąć. Usunął ze świadomości szczekanie psów, ból i zmęczenie. Brał oddech za oddechem, świadom czystości i spokoju pobieranego powietrza, wyobrażając sobie atomy tlenu przenikające głodujące tkanki. Zmusił serce, by przestało się miotać, by zaczęło bić powoli i mocno; napinał i rozluźniał mięśnie dopóki wszystkie nie powróciły do gładkiej sprawności; ból przestał karmić się sam sobą i ucichł; desperację zastąpił spokój i chłodna kalkulacja. Pobiegł dalej.

Na południe od niego rozciągały się orne pola, młode zboże zieleniło się w złotym świetle padającym z zachodu. Niezbyt daleko znajdowała się farma, grupa budynków, długich, niskich, o stromych dachach. Dym z kominów ulatywał w niebo. Lecz wzrok Jasona przykuł przede wszystkim zbliżający się człowiek, prowadzący traktor z kultywatorem. Chociaż w tym świecie wymyślono silnik dielektryczny, nie dotarł on jeszcze tak daleko na północ i odór spalin wypełnił nozdrza Jasona. Pomyślał, że ten smród jest najbardziej odrażającą rzeczą w Ameryce — ten chlew, nazywany Los Angeles! — ale teraz odbierał go jako czystą i silną woń, był bowiem jego nadzieją.

Kierowca zauważył go, zatrzymał pojazd i zdjął strzelbę z uchwytów. Jason podszedł, trzymając dłonie zwrócone ku niemu, w geście pokoju. Kierowca odprężył się. Był typowym Madziarem: krępy, o wydatnych kościach policzkowych, brodę miał zaplecioną w warkoczyki, tunikę bogato haftowaną. *A więc przekroczyłem granicę!* — wykrzyknął Jason w duchu. *Opuściłem Norland i jestem na lektorium Województwa Dakoty.*

Przed wysłaniem go w ten świat, antropolodzy Instytutu Badań Parachronicznych oczywiście wpoili mu elektrochemicznie podstawowe języki Westfalii. (Szkoda, że nie nauczyli go staranniej o

obyczajach. Ale ściągnięto go na ten posterunek w Norlandzie dość pośpiesznie, po przypadkowej śmierci Megastenesa; zakładano, że jego doświadczenie z Ameryki dało mu szczególne kwalifikacje dla tej historii, która również była niealeksandryjska. Oczywiście podstawowym celem misji takich jak jego było zgromadzenie wiedzy na temat odmienności różnych społeczeństw Ziemi.) Ugrofińskie słowa łatwo sformułowały się w jego głowie:

— Pozdrowienia dla twego ja. Przybywam jako błagalnik.

Farmer siedział nieruchomo, napięty, patrząc na niego z góry, nasłuchując psów daleko w lesie. Strzelbę trzymał w pogotowiu.

— Czy jesteś wyjęty spod prawa? — spytał.

— Nie w tej dziedzinie, suwerenie (Kolejna nazwa i sposób rozumienia „obywatela”). Byłem pokojowo nastawionym handlarzem z Ojczyzny, przebywałem z wizytą u Ottara Thorkelssona w Ernvik. Spadł na mnie jego gniew, tak wielki, że złamał uświęconą gościnność i targnął się na moje życie, na swego gościa. Teraz jego łowcy są na mym tropie. Słyszysz ich niedaleko.

— Norlandczycy? Ależ tu jest Dakoty.

Jason skinął głową. Pozwolił sobie uśmiechnąć się, jego zęby błysnęły wśród brudu i szczeciny, pokrywających mu twarz.

— To prawda. Wtargnęli do twego kraju, nie pytając cię o zgodę. Jeśli nie zareagujesz, wjadą do twej posiadłości i zarzną mnie, proszącego o twą pomoc.

Farmer zważył strzelbę w rękę.

— Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę?

— Zabierz mnie do Wojewody — poprosił Jason. — W ten sposób uczynisz zadość i prawu, i honorowi.

Bardzo ostrożnie wyjął z kabury pistolet i podał go, trzymając za lufę.

— Na zawsze pozostanę twym dłużnikiem.

Twarz siedzącego na traktorze wyrażała na przemian wątpliwości, strach i złość. Nie wziął ofiarowanej broni. Jason czekał. *Jeśli dobrze ocenilem tego człowieka, zdobyłem kilka godzin życia. Może więcej. To będzie zależało od Wojewody. Moja jedyna szansa, to wykorzystać ich barbarzyństwo — te ich podziały na małe państewka, zwariowane pojmwowanie honoru, umiłowanie własności i prywatności.*

Jeśli przegram, umrę jak człowiek cywilizowany. Tego nie będą w stanie mi odebrać.

— Psy złapały twój wiatr. Będą tu, zanim zdołamy uciec — powiedział Madziar niespokojnie.

Jason omal nie zatoczył się z poczucia ulgi. Opanował się i rzekł:

— Możemy je trochę opóźnić. Czy możesz dać mi trochę benzyny?

— Aaa... w ten sposób! — Mężczyzna zachichotał i zeskoczył na ziemię. — Pomysłowo, cudzoziemcze. Dzięki, przy okazji. Życie było tu nudne przez zbyt wiele lat.

Miał na traktorze zapasowy kanister. Zataszczyli go dość daleko po tropie Jasona, spryskując ziemię i drzewa. Jeśli po tym nie zgubią tropu, to nic ich nie powstrzyma.

— Teraz spiesz się! — Madziar potruchtął pierwszy. Budynek jego farmy otaczały zamknięte dziedziny. Ze stodoł dobiegały słodkie wonie siana i bydła. Kilkoro dzieci podbiegło do wrót. Żona przegoniła je do domu, odebrała strzelbę od męża i zaciągnęła straż przy drzwiach, wyraz jej twarzy zmienił się przy tym tylko odrobinę.

Dom był solidny, przestronny i ładnie urządzony, jeśli tolerowało się wzorzyste gobeliny i malowane słupy. Nad kominkiem znajdowała się wnęka z ołtarzykiem rodzinnym. Choć większość ludzi w Westfalii dawno pozostawiła mity za sobą, ci rolnicy najwyraźniej wciąż czcili Boga W

Trzech Jedynego: Odyna–Attyle–Manitou. Mężczyzna podszedł jednak do nowoczesnego radiofonu.

— Sam nie mam samolotu — powiedział — ale mogę coś załatwić.

Jason usiadł i czekał. Nieśmiało podeszła do niego dziewczyna z dzbankiem piwa i kromką ciemnego chleba z plastrem sera.

— Bądź poświęcony, gościu — powiedziała.

— Ma krew waszą niech będzie — odpowiedział formalnie Jason.

Zdołał opanować wilczą łapczywość przy posiłku. Farmer wrócił.

— Jeszcze parę minut — oznajmił. — Jestem Arpad, syn Kalmana.

— Jason Philippou.

Podawanie fałszywego nazwiska wydało mu się niewłaściwe. Dłoń, którą uścisnął, była twarda i ciepła.

— Czemuż stary Ottar rozsierdził się na ciebie? — zapytał Arpad.

— Zostałem zwiedziony — wyjaśnił Jason gorzko. — Widząc jak swobodne są tam niezamężne kobiety...

— W rzeczy samej. Lubieżna z nich banda, ci Danskarzy. Omal tak bezwstydni jak Tyrkerzy.

Arpad zdjął z półki fajkę i kapciuch z tytoniem.

— Zapalisz?

— Nie, dziękuję. *W Eutopii nie trujemy się narkotykami.*

Psy zbliżyły się. Odgłosy sfory zmieniły się w zakłopotane poszczekiwanie. Rogi zapiszczały.

Arpad nabijał fajkę tak spokojnie, jakby była to teatralna sztuka.

— Ależ się muszą pocić! — uśmiechnął się. — Przyznaję, że Danskarzy są poetami, nawet w przekleństwach. I bez wątpienia są odważni. Byłem tam u nich, dziesięć lat temu, kiedy Wojewoda Bela posłał im ludzi do pomocy, po powodzi. Widziałem, jak śmiejąc się walczyli z szalejącą wodą. A poza tym, w dawnych wojnach dobrze nam stawali.

— Jak sądzisz, czy wojny jeszcze będą? — zapytał Jason. Przede wszystkim chciał uniknąć dalszego wypytywania o swoje kłopoty. Wcale nie był pewien reakcji swojego gospodarza.

— Nie w Westfalii. Za dużo roboty. Jeśli młoda krew nic wyszumi się dość w pojedynkach, cóż, można najać się na wojnę u barbarzyńców, za morzami. Albo na planetach. Mojego najstarszego tam ciągnie.

Jason przypomniał sobie, że kilkanaście dziedzin, leżących dalej na południu, wspólnym wysiłkiem prowadziło program astronautyczny. Technologia znajdowała się tu na podobnym poziomie jak w historii Ameryki, a utrzymywanie wielkich programów socjalnych czy militarnych było niepotrzebne, toteż zdołano założyć bazę na księżycu i wysłać wyprawę na Aresa. Z czasem, przypuszczał, dojdą tu do tego, co Hellenowie osiągnęli tysiąc lat temu i zmienią Afrodytę w nową Ziemię. Lecz czy wtedy zbudują prawdziwą cywilizację — racjonalnie myślących ludzi w racjonalnie zaplanowanym społeczeństwie? Wątpił w to, znużony.

Ryk na zewnątrz poderwał Arpada na nogi.

— To twój samolot — powiedział. — Idź lepiej. Czerwony Koń zawiezie cię do Varady.

— Danskarzy na pewno się tu pojawią wkrótce — Jason wyraził swój niepokój.

— A niech tam — Arpad wzruszył ramionami. — Powiadomię sąsiadów, a myśliwi nie są głupi, będą wiedzieć, że to zrobiłem. Poprzerzucamy się trochę obelgami, a potem każę im się wynieść z mojej ziemi. Dobrej drogi, gościu.

— Ja... ja chciałbym móc odpłacić ci za twą dobroć.

— Bah! To była zabawa. I okazja, żeby się swoim synom pokazać jak mężczyzna.

Jason wyszedł. Samolot okazał się helikopterem — nie odkryli tu grawitoniki — pilotowanym

przez małomównego, młodego autochtona. Wyjaśnił, że jest hodowcą i podwozi obcego nie tyle robiąc przysługę Arpadowi, ile w odpowiedzi na zuchwałość Norlandczyków, którzy nie zaproszeni wdarli się na teren Dakoty. Jason był zadowolony, że na tym rozmowa się zakończyła.

Maszyna wystartowała. W czasie lotu na południe Jason widział tu i ówdzie skupione blisko siebie wioski, od czasu do czasu magnacką siedzibę, resztę stanowiły żyzne, pofałdowane równiny. W Westfalii kontrolowano przyrost naturalny tak samo jak w Etopii. Lecz wcale nie dlatego, że zdawano sobie sprawę, iż człowiek potrzebuje przestrzeni i świeżego powietrza, pomyślał Jason. Nie, ich działania wynikały z chciwości, z dbałości o rodzinę. Ojciec nie chciał dzielić swego majątku pomiędzy zbyt wiele dzieci.

Słońce zaszło, pomarańczowy księżyc tuż przed pełnią pojawił się nad wschodnią krawędzią świata. Jason opadł na oparcie, czując drgania silnika przenikające kości, niemal napawając się zmęczeniem, i obserwował. Nie widać było najmniejszego śladu bazy księżycowej. Musi wrócić do domu zanim zobaczy księżyc lśniący światłami miast.

A odległość od domu była większa od nieskończoności. Mógłby zawędrować do najdalszej z gwiazd, które zaczęły właśnie migotać na tle fioletowego zmierzchu — gdyby przekroczenie prędkości światła okazało się możliwe — i nie znaleźć Etopii. Dzielili go od niej wymiary i przeznaczenie. Nic, prócz gnących rzeczywistość pól parachronionu, nie mogło przenieść go do jego własnych linii czasu, przecinając wiele innych.

Zastanawiał się dlaczego. Była to tylko pusta spekulacja, jednak zmęczony umysł znajdował ulgę w dzieciennych roztrząsaniach. *Dlaczego Bóg nakazał czasowi, potężnemu, pełnemu cieni, rozgałęziać się i łączyć, nieść w sobie wszechświaty takie jak Yggdrasil z danskarskich legend? Czy po to, żeby człowiek miał szansę zdać sobie sprawę ze wszystkich potencjałów, jakie w nim tkwią?*

Na pewno nie. Tak wiele z nich budziło tylko grozę.

Przypuśćmy, że Aleksander Wielki nie wydojrzał z gorączki, która złożyła go w Babilonie. Załóżmy, że zamiast doświadczyć tam upokorzenia, dzięki któremu spędził resztę długiego życia na umacnianiu podstaw swojego imperium — założmy, że tam umarł?

No cóż, tak się wydarzyło, i to prawdopodobnie w większości historii. Wówczas imperium padało w szaleńczych wojnach o sukcesję. Hellada i Orient rozdzielały się. Rodząca się nauka zmienia—ia się najpierw w metafizykę, potem w czysty mistycyzm. Wstrząsany konwulsjami świat śródziemnomorski podbijali Rzymianie: okrutni, pozbawieni zdolności twórczych, twierdzący, że są spadkobiercami Hellady nawet po zniszczeniu Koryntu. Żydowski, heretycki prorok zakładał mistyczny kult zakorzeniający się wszędzie, ponieważ ziemską egzystencja doprowadzała ludzi do rozpacz. Zaś kult ten nie znał tolerancji. Jego kapłani nie uznawali żadnego z rozlicznych sposobów postrzegania Boga prócz własnego. Wycinali święte gaje, zabierali z domów pokorne świątki i zamęczali ostatnich ludzi, którzy mieli wolne dusze.

O tak, myślał Jason, po długim czasie świat wyśliznął się z ich uścisku. Nauka mogła się narodzić, niemal dwa tysiące lat później niż u nas. Lecz trucizna pozostała: myśl, że człowiek musi dostosować się nie tylko zachowaniem ale i wiarą. Teraz, w Ameryce, nazywają to totalitaryzmem. A z powodu tego przekonania zrodził się koszmar rakiet nuklearnych.

Nienawidziłem tej historii, jej brudu, marnotrawstwa, brzydoty, restrykcyjności, hipokryzji, szaleństwa. Nigdy nie miałem trudniejszego zadania niż udawanie Amerykanina przy jednoczesnej możliwości zobaczenia od kulis jak, według ich osądu, rządził swoim życiem. Lecz dzisiejszej nocy... żal mi ciebie, nieszczęsny, zgwałcony świecie. Nie wiem, czy życzyć ci szybkiej śmierci, nader zresztą prawdopodobnej, czy nadziei, że któregoś dnia wasi potomkowie wywalczą sobie to,

co my osiągnęliśmy wieki temu.

Tu mieli więcej szczęścia. Muszę to przyznać. Chrześcijaństwo upadło przed najazdami Arabów, Wikingów i Madziarów. Potem Imperium Islamskie wykończyło się samo w wojnach domowych i barbarzyńska Europa mogła pójść swoją drogą. Kiedy przepłynęli Atlantyk, tysiąc lat temu, nie mieli dość siły by dokonać genocydu na tubylcach; musieli się z nimi dogadać. Nie istniał wtedy przemysł, który wypatroszyłby tę półkulę. Z konieczności obejmowali tę ziemię powoli, biorąc ją, jak oblubieniec bierze pannę młodą.

Lecz te potężne, mroczne puszcze, smutne równiny, niezamieszkane pustynie i góry pełne kozic... wrosły im w dusze. Gdzieś w zakamarkach ich umysłów zawsze będzie tkwił brutalny dzikus.

Westchnął, usadowił się wygodniej i sprowadził sen. Niki.

W miejscu, gdzie wodospad był znakiem nawigacyjnym na wielkiej rzece zwanej pod różnymi nazwami — Zeus Mississipi czy Longflood — lud, zasadniczo rolniczy, który nie rozwinął transportu powietrznego do tego stopnia co w Eutopii, wręcz musiał zbudować miasto. Handel i siła militarna ściągnęły tu rząd, sztukę, naukę i edukację. Varady liczyło około stu tysięcy mieszkańców — w Westfalii nie przeprowadzano spisów powszechnych — których domy, zwrócone do wnętrza, otaczały wieże zamku Wojewody. Obudziwszy się, Jason wyszedł na balkon. Dobiegł go szum ruchu ulicznego. Za dachami widniały zewnętrzne budowle obronne. Zastanawiał się, czy pokój oparty na równowadze sił pomiędzy maleńkimi państewkami ma szansę przetrwania.

Lecz poranek był zbyt zimny i jasny na tego typu rozważania. Był tu, bezpieczny, wykąpany, wypoczęty. Bezpośrednio po przybyciu nie miał zbyt dużo okazji do rozmowy — widząc stan zwracającego się doń uciekiniera, syn Beli Zsolta nakarmił go obiadem i wysłał do łóżka.

Wkrótce wezwą mnie na rozmowę, pomyślał Jason, i jeśli chcę przeżyć, będę musiał zachować wyjątkową ostrożność. Lecz przywrócone siły tętniły w nim na tyle mocno, że nie czuł potrzeby tłumienia obaw.

Wewnątrz odezwał się dzwonek. Wrócił do pokoju, obszernego i przewiewnego, choć bardzo bogato zdobionego. Przypomniawszy sobie o obyczaju niepochowalającym nagości, narzucił na siebie szatę, krzywiąc się trochę na widok pokrywającego ją zygzakowatego ornamentu.

— Proszę wejść — zaprosił po madziarsku.

Otworzyły się drzwi i młoda kobieta wtoczyła na wózku śniadanie.

— Szczęścia dla ciebie, gościu — powiedziała z silnym akcentem. Była Tyrkerką, nosiła nawet tradycyjną dla jej ludu suknię, zdobioną koralami i frędzlami. — Spałeś dobrze?

— Jak Kojot po udanym psikusie — zaśmiał się. Uśmiechnęła się w odpowiedzi, zadowolona z porównania, ustawiła naczynia na stole. Towarzyszyła mu przy posiłku, goście nigdy nie jedli w samotności. Dziczyna wydała mu się nieco zbyt ciężkim daniem na tak wczesną porę dnia, lecz kawa była znakomita, a dziewczyna uroczo podtrzymywała rozmowę. Powiedziała mu, że pracuje tu jako pokojówka i oszczędza na posag, chcąc wyjść za mąż po powrocie na ziemię Czirokezów.

— Czy Wojewoda udzieli mi audiencji? — zapytał Jason po posiłku.

— W wygodnej dla ciebie chwili — zatrzepotała rzęsami, — ale nie musimy się spieszyć.

Zaczęła powoli rozwiązywać pasek.

Tak szczodra gościnność musiała być wynikiem wzajemnego przenikania się obyczajów, swobody Danskarów i większej jeszcze Tyrkerów, oddziałującej na bardziej surowe zwyczaje Madziarów. Jason czuł się niemal jak w domu, gdzie poszczególne osoby znajdowały w sobie nawzajem rozkosz tak, jak im to odpowiadało. Kusiło go, żeby skorzystać — dziewczyna miała takie gładkie brwi jak Niki. Ale nie. Miał mało czasu. Musi zapewnić sobie niewzruszoną pozycję, zanim

Ottar skontaktuje się z Belą, inaczej znajdzie się w pułapce. Pochylił się nad stołem i poklepał drobną dłoń.

— Dziękuję, moja śliczna — rzekł — ale wiąże mnie przysięga.

Przyjęła odmowę równie naturalnie, jak złożyła propozycję.

Wydało mu się, że ten świat, który miał możliwości unifikacji, niemal celowo wybrał rozczłonkowanie na mnóstwo kultur. Jakaś część poczucia obcości wróciła do niego, kiedy patrzył na dziewczynę opuszczającą pokój. Zobaczył bowiem tylko przeblysłk swobody. Życie w Westfalii stanowiło labirynt tradycji, manier, prawa i tabu.

Ubrał się w przygotowany dla niego strój i ruszył długim, kamiennym korytarzem. Kolejna służąca skierowała go do biura Wojewody. Czekają przed nim kilkanaście osób ze skargami lub prośbami o rozstrzygnięcie sporów. Lecz kiedy Jason się przedstawił, został wprowadzony natychmiast.

Pomieszczenie, w którym się znalazł, należało do najstarszych w zamku. Spękane ze starości, potężne, drewniane kolumny, pokryte groteskowymi płaskorzeźbami przedstawiającymi bogów i bohaterów, podtrzymywały niski sufit. W podłodze umieszczono palenisko, dym z płonącego w nim ognia unosił się do otworu w suficie. Dość go pozostawało w pokoju, żeby Jasona zapiekły oczy. Łatwo mogliby zapewnić swojemu władcy nowoczesne biuro, pomyślał — ale nie, ponieważ przodkowie sprawowali sądy w tej budzie, on też musiał.

Światło sączące się przez wąskie okna wydobywało z mroku ostre rysy Beli, a potem ginęło w cieniach. Wojewoda był krępy, siwowłosy; w twarzy widać było znaczną domieszkę krwi tyrkerskiej. Siedział na drewnianym tronie, owinięty w koc, na głowie nosił rogaty pióropusz. W lewej ręce trzymał buńczuk z końskim ogonem, a na jego kolanach leżała obnażona szabla.

— Pozdrawiam, Jasonie Philippou — powiedział mocnym głosem. Wskazał stołek. — Siadź.

— Dziękuję, panie — Eutopianin przypomniał sobie, jak jego lud wyrósł z tytułomanii.

— Gotów jesteś mówić prawdę?

— Tak.

— Dobrze.

Znienacka wielmoża odprężył się, usiadł po turecku i spod koca wyciągnął cygaro.

— Zapalisz? Nie? Ja zapalę — twarz pokryła mu się zmarszczkami w uśmiechu. — Skoro jesteś cudzoziemcem, nie muszę odgrywać tego cholernego ceremoniału.

— Ulżyło mi — Jason spróbował odpowiedzieć podobną postawą. — Nie dbamy o formy w Republice Peloponeskiej.

— Twój kraj, he? Jak słyszałem, nie najlepiej się tam dzieje. — Nie. Kraj starzeje się. Z myślą o jutrze spoglądamy na Westfalię.

— Wczoraj wieczorem powiedziałeś, że przybyłeś do Norlandu jako kupiec.

— Wynegocjować porozumienie handlowe.

Jason starał się trzymać jak najbliżej swojej tutejszej, sztucznej tożsamości. Nie można było w innych historiach zdradzić, że Hellenowie wynaleźli parachronion. Nie tylko zmieniłoby to przedmiot ich studiów, lecz także okrucieństwem byłoby pokazać ludziom, że istnieje świat, w którym życie doprowadzone jest do perfekcji.

— Mój kraj jest zainteresowany importem drewna budowlanego i skór.

— Hmm. Więc Ottar zaprosił cię pod swój dach. Pojmuję czemu. Nie widzimy wielu przybyszów z Ojczyzny. Lecz pewnego dnia zapragnął twej krwi. Co się stało?

Jason mógł zasłonić się potrzebą prywatności, ale nie zostałyby to zbyt dobrze przyjęte. Zaś bezczelne kłamstwo było niebezpieczne: znalezienie się przed tym tronem automatycznie oznaczało,

że każde słowo wypowiada się pod przysięgą.

— Do pewnego stopnia, niewątpliwie, wina była moja — przyznał. — Ktoś z jego rodziny, osoba prawie dorosła, poczuła pociąg do mnie a ja — cóż, długo już byłem z dala od żony, a każdy mówił mi, że Danskarzy przed zawarciem małżeństwa cieszą się pełną swobodą, i — coż, nikogo nie chciałem skrzywdzić. Zaledwie zachęciłem... ale Ottar dowiedział się i wyzwiał mnie.

— Dlaczegoś mu nie stanął?'

Nie było co tłumaczyć, że cywilizowany człowiek nie ucieka się do przemocy, jeśli istnieje jakiegokolwiek inne rozwiązanie.

— Zważ, panie — rzekł Jason. — W razie mojej przegranej byłbym trupem. Jeślibym wygrał, projekty mojej firmy diabli by wzięli. Synowie Ottara nigdy by nie przyjęli główszczyzny¹, nieprawdaż? Nie, w najlepszym razie wygnaliby nas na zawsze ze swej ziemi, a Peloponez potrzebuje tego drewna. Pomyślałem, że najlepiej będzie uciec. Później moi wspólnicy mogliby się mnie wyprzeć przed Norlandem.

— Hmm... Dziwne rozumowanie. Ale jesteś lojalny. Czego ode mnie oczekujesz?

— Tylko bezpiecznego transportu do... Steinvik — Jason omal nie powiedział „Neathenai”. Wziął się w garść. — Mamy tam faktorię i statek.

Bela powoli wydmuchnął dym, skrzywił się, popatrując na rozżarzony koniuszek cygara.

— Chciałbym wiedzieć, dlaczego Ottar dostał szału. To do niego niepodobne. Choć przypuszczam, że kiedy w grę wchodzi własna córka, zaczyna brakować pobłażliwości.

Pochylił się w przód.

— Dla mnie — oznajmił — ważne jest, że Norlanderzy granicę przeszli bez pytania.

— Poważne naruszenie twych praw, to prawda. Bela rzucił jeździeckie przekleństwo.

— Nie rozumiesz. Granice święte są nie dlatego, że Attila tego chce, cokolwiek szamani by bajdurzyli. Są święte, bo to jedyna droga do utrzymania pokoju. Jeśli nie dość gwałtownie zareaguję na ten incydent i nie ukarzę Ottara, jakiś zapaleniec kiedyś może poczuć pokusę; a dziś wszyscy dysponują bronią jądrową.

— Nie chcę wojny z mego powodu! — krzyknął Jason, przerażony. — Prędeż mu mnie odeślij!

— O nie, nic takiego. Ukarzę Ottara, pozbawiając go zemsty, niezależnie czy wyrządziłeś mu dobro czy zło. Będzie musiał to przełknąć.

Bela wstał. Odłożył cygaro do popielniczki, uniósł szablę i z nagłą zupełnie się odmienił.

— Niniejszym, Jasonie Philippou, ogłaszam cię gościem pokoju w Dakoty. Dopóki będziesz pod naszą ochroną, twoja krzywda jest moja, mojego domu i mojego ludu. Tak mi dopomóż W Trzech Jedyny!

Całe opanowanie opuściło Jasona. Klęknął i wykrztusił podziękowanie.

— Dość — powiedział Bela. — Zorganizujemy twój transport najszybciej, jak się da. Wyślę cię powietrzem, z dywizjonem wojskowym. Lecz niezbędne będzie pozwolenie od wszystkich krajów, nad którymi przelećisz. To zajmie czas. Wracaj do siebie, odpocznij, wezwiemy cię, gdy wszystko będzie gotowe.

Jason wyszedł, wciąż rozdygotany.

Spędził kilka miłych godzin, wałęsając się po zamku i dziedzińcach. Młodzi mężczyźni z gwardii Beli chętnie popisywali się przed człowiekiem z Ojczyzny. Musiał docenić widowiskowość ich popisów jeździeckich i zapasów, sprawność w strzelaniu i w rozwiązywaniu zagadek. Coś w nim się zbudziło, kiedy słuchał opowieści o wędrownikach po równinach, lasach, wzdłuż rzeki do słynnej metropolii Unnberg. Pieśń barda budziła emocje głębsze niż opowiadana historia, sięgające na samo dno, do instynktów człowieka, małpy–zabójcy.

Lecz dokładnie od tych pokus odwróciliśmy się w Eutopii. Ponieważ zaprzeczamy, jakobyśmy byli małpami. Jesteśmy ludźmi, którzy posługują się rozumem. W tym tkwi człowieczeństwo.

Wracam do domu. Wracam do domu. Wracam do domu.

Służący postukał go w ramię.

— Wojewoda cię wzywa — głos miał przestraszony.

Jason pospiesznie udał się na wezwanie. Co poszło nie tak? Nie zaprowadzono go do pomieszczenia z wysokim tronem. Bela oczekiwał go na murach. Za nim stało na bacność dwóch wojów o pozbawionych wyrazu twarzach, w hełmach zwieńczonych piórami.

Bela wyglądał, jakby zaraz miał go trafić szlag. Splunął Jasonowi na nogę.

— Ottar do mnie dzwonił — wycharczał.

— Ja... Czy powiedział...

— A ja myślałem, że tylko chciałeś zaciągnąć dziewczynę do łóżka. A nie, że usiłowałeś zniszczyć dom, który cię przyjął!

— Panie...

— Nie obawiaj się. Wydarłeś ze mnie przysięgę. Teraz lata zajmie mi zrekompensowanie Ottarowi zła, jakie wyrządziłem mu za twoją przyczyną.

— Ale... *Spokój! Spokój! Mogłeś się tego spodziewać.*

— Nie polecisz samolotem wojskowym. Eskortę dostaniesz, owszem. Ale maszynę, którą polecisz, trzeba będzie spalić. Teraz idź, poczekaj przy stajniach, koło gnoju, aż wszystko przygotujemy.

— Nie chciałem nikogo skrzywdzić — zaprotestował Jason. — Nie wiedziałem.

— Zabierzcie go ode mnie, zanim go zatłukę — warknął Bela. Steinvik był starym miastem. Te wąskie, brukowane uliczki, te mizerne domki pamiętały jeszcze drakkary. Lecz ten sam wiatr wiejący znad Atlantyku, słony i świeży, usunął Jasonowi z duszy ostatnie ślady chandry, z którą tu dotarł. Przeciskał się przez tłum, pogwizdując.

Człowiek z Westfalii czy Ameryki uciekałby chyłkiem. Czyż nie zawiódł? Czyż nie trzeba go zastąpić kimś, kto w stworzonej tożsamości nie będzie miał nawet śladu Hellady? Lecz w Eutopii oczy widziały ostro i dokładnie. Jego porażka była wynikiem zwykłej pomyłki: której by nie popełnił, gdyby przed misją otrzymał dokładniejsze przygotowanie. Wszyscy uczą się na błędach.

Wspomnienie ludzi z Enwik i Varady — wybuchowych, szczodrych ludzi, których przyjaźń chętnie by utrzymał — prześladowało go przez chwilę. Lecz tę myśl także odsunął. Były inne światy, nieskończona ich liczba.

Szyld poskrzypywał na wietrze. Spółka Hunyadi i Ivar, armatorzy. Dobry kamuflaż w mieście, w którym co druga firma miała coś wspólnego z morzem. Podbiegł do drugich drzwi. Schody zastukotały mu pod butami.

Rozłożył dłoń przed mapą na ścianie. Ukryty skaner zidentyfikował jego odciski palców, otwarły się zamaskowane drzwi. Pomieszczenie za nimi wyłożono typową, miejscową boazerią. Lecz jego czyste proporcje mówiły o domu; a na półeczce rozkładała skrzydła Nike.

Nike.... Niki.... Wracam do ciebie! Serce podskoczyło mu w piersi.

Daimonax Astrides podniósł głowę znad biurka. Jason czasami zastanawiał się, czy cokolwiek mogło zburzyć żelazny spokój tego człowieka.

— Radujmy się! — zahuczał głęboki głos. — Co cię tu sprowadza?

— Obawiam się, że złe wieści.

— Cóż więc? Twoje zachowanie sugeruje, że nie jest to totalna katastrofa.

Daimonax dźwignął swe potężne ciało z fotela, podszedł do barku, napełnił dwa czyste, piękne

pucharzki i spoczął na kanapie.

Chodź, opowiadaj. Jason przysiadł obok.

— Nieświadomie — powiedział — przekroczyłem tabu, najwyraźniej jedno z najbardziej podstawowych. Miałem szczęście, że uszedłem z życiem.

— Ech — Daimonax gładził stalowoszarą brodę. — Nie pierwszy taki wypadek, nie ostatni. Nieporadnie zdążamy ku wiedzy, lecz rzeczywistość bez przerwy nas zaskakuje... Cóż, gratuluję uratowania skóry. Bardzo by mi było przykro cię oplakiwać.

Uroczyście ulali wino przed upiciem z pucharów. Rozsądny człowiek ustępuje przed potrzebą ceremonii; a czemu nie zaczerpnąć ich z dawno przebrzmiałych mitów? Poza tym podłoga była odporna na zaplamienia.

— Jesteś gotów do złożenia raportu? — zapytał Daimonax.

— Tak, po drodze poukładałem sobie dane w głowie.

Daimonax włączył zapis, rzucił kilka katalogujących słów.

— Mów — zakończył.

Jason pochlebiał sobie, że jego sprawozdanie zostało dobrze przygotowane; jasne, rzetelne i pełne. Jednak w trakcie przemowy, wbrew jego woli powróciły doświadczenia, nie w umyśle, ale w sercu. Zobaczył lśniące fale na największym Pentalimne; szedł korytarzami zamku Ernvik z ochoczym i ciekawym Leifem; stał przed Ottarem zmienionym w bestię; obezwładniał strażnika garażu i kradł samochód, drżącymi palcami obchodząc obwody zabezpieczające; pędził pustą drogą i przedzierał się przez bezludny las; Bela spluwał i jego triumf obracał się nagle w popiół. W końcu nie mógł się już powstrzymać:

— Dlaczego mnie nie poinformowano? Byłbym ostrożniejszy. Ale powiedzieli mi, że to ludzie swobodni i zdrowi, przynajmniej przed ślubem. Skąd miałem wiedzieć?

— Przeoczenie — zgodził się Daimonax. — Lecz siedzimy w tym interesie na tyle krótko, że zbyt wiele zakładamy z góry.

— Dlaczego jesteśmy tutaj? Czego możemy nauczyć się od tych barbarzyńców? Mając nieskończoność do zbadania, czemu tracimy czas na drugi co do upiorności świat, na jaki natrafiliśmy?

Daimonax wyłączył zapis. Przez dłuższą chwilę siedzieli w ciszy. Na zewnątrz turkotały koła, prze okno wsączył się śmiech i kilka taktów piosenki. Ocean lśnił w nisko stojącym słońcu.

— Nie wiesz? — w końcu miękko spytał Daimonax.

— No cóż... naukowa ciekawość, oczywiście — Jason przełknął ślinę. — Przepraszam. Instytut ma pewnie rozsądne powody. Na amerykańskiej historii obserwowaliśmy, jakie błędy może popełnić człowiek. Jak sądzę tu też.

Daimonax potrząsnął głową.

— Nie.

— Co?

— Uczymy się tu czegoś zbyt cennego, żeby się poddawać — wyjaśnił Daimonax. — Upokarzająca lekcja, ale nasza zadowolona z siebie Eutopia byłaby lepsza, gdyby przydać jej nieco pokory. Nie zdawałeś sobie z tego sprawy, bo na razie mamy za mało solidnych faktów by móc opublikować jakieś wnioski. Poza tym jesteś nowy w zawodzie, a pierwszy przydział miałeś zupełnie gdzie indziej. Lecz posłuchaj, mamy poważne podstawy by wierzyć, że Westfalia jest także Dobrą Krainą, podobnie jak Eutopia.

— Niemożliwe — wyszeptał Jason.

Daimonax uśmiechnął się i pociągnął łyk wina.

— Pomyśl — powiedział. — Czego człowiek potrzebuje? Po pierwsze zaspokojenia potrzeb biologicznych, jedzenia, schronienia, medycyny, seksu, zdrowego i w granicach rozsądku bezpiecznego otoczenia, w którym mógłby wychowywać dzieci. Po drugie, specyficznie ludzkich potrzeb: dążenia do czegoś, poznania, tworzenia. Cóż, czy tu tego nie mają?

— To samo można by powiedzieć o plemieniu z epoki kamienia łupanego. Nie można stawiać znaku równości pomiędzy zadowoleniem a szczęściem.

— Oczywiście. A czyż Eutopia nie jest uporządkowaną, zunifikowaną, starannie zaplanowaną krainą krów? Zlikwidowaliśmy wszelkie konflikty, nawet te wewnątrz ludzkiej duszy; opanowaliśmy inne planety; gwiazdy są zbyt odległe; gdyby dobry Bóg nie uczynił parachronionu możliwym, co by jeszcze nam zostało?

— Czy to znaczy... — Jasonowi zabrakło słów. Upomniął sam siebie, że człowiek przy zdrowych zmysłach nie może czuć się urażony jakimkolwiek stwierdzeniem, niezależnie jak oburzającym — że jeśli odebrać człowiekowi walkę, skłonność do tworzenia klanów, przesady, rytuały i tabu... nie zostanie mu nic?

— Mniej więcej o to chodzi. Społeczeństwo musi mieć strukturę i cel. Lecz natura wcale nie narzuca jaką strukturę i jaki cel. Nasz racjonalizm jest zupełnie pozaracjonalnym wyborem. Wzięcie na smycz tkwiącego w nas zwierzęcia to tylko inny rodzaj tabu. Możemy kochać jak się nam żywnie podoba, ale nie nienawidzić. Czyż jesteśmy więc bardziej wolni niż lud Westfalii?

— Lecz na pewno jedne kultury są lepsze od innych!

— Temu nie przeczę — przyznał Daimonax. — Pragnę tylko podkreślić, że każda z nich ma swoją cenę. Za nasze radości, które mamy w domu, zapłaciliśmy słono. Nie pozwalamy sobie na najmniejszy nierozsądny, choćby najslabiej wyczuwalny impuls. Usunąwszy z życia niebezpieczeństwa i trudności, likwidując różnice pomiędzy ludźmi, utraciliśmy jednocześnie wszelkie nadzieje związane ze zwycięstwem. Przypuszczalnie jest nawet gorzej: staliśmy się najczystszyimi indywidualistami. Nie należymy do nikogo. Nasz jedyny obowiązek jest negatywny — nie przymuszać innej jednostki. Państwo — sztuczna organizacja, bezimienny, nie stawiający żądań mechanizm — zaspokaja wszystkie potrzeby i koi wszelkie krzywdy. Gdzie lojalność po grób? Gdzie bliskość zbudowana przez całe życie spędzone razem? Odprawiamy ceremonie, ale wiemy, że to puste gesty, gdzie ich wartość? Ponieważ nasz świat jest absolutnie zjednoczony, gdzie kolory i kontrasty, gdzie duma z wyjątkowości?

A ci ludzie Westfalii, pomimo wszystkich przywar, wiedzą kim są, czym są, do czego przynależą i co jest ich własnością. Tradycja nie tkwi zamknięta w księgach, ale jest częścią życia; toteż ich przodkowie pozostają w żywej pamięci. Mają rzeczywiste problemy — toteż ich sukcesy też są rzeczywiste. Wierzą w swoje rytuały. Rodzina, królestwo, rasa — są wartościami dla których warto żyć i umierać. Przypuszczalnie mniej niż my używają mózgów — choć nawet tego nie jestem wcale pewien — lecz więcej korzystają z nerwów, gruczołów, mięśni. Wiedzą więc jak być człowiekiem, czego nasz ostrożny świat sobie odmówił.

Jeśli zachowali to wszystko, jednocześnie rozwijając naukę i technologię, czy nie powinniśmy spróbować od nich się uczyć?

Jason nie znalazł na to odpowiedzi.

W końcu Daimonax uznał, że Jason może już wracać do Eutopii. Po urlopie może dostać przydział do jakiejś historii, która będzie bardziej dla niego odpowiednia. Rozstali się w przyjacielskim zrozumieniu.

Parachronion szumiał. Energia pulsowała pomiędzy wszechświatami. Portal otwarł się i Jason przeszedł przez niego.

Znalazł się wśród glazurowanych kolumn. Białe Neathenai z gracją i spokojem zstępowało ku morzu. Człowiek, który go odebrał, był filozofem. Przyzwoita tunika i sandały wisiały gotowe do założenia. Skądś dobiegały dźwięki liry.

Jason zadrżał z radości. Leif Ottarsson zniknął z pamięci. Uległ mu tylko wskutek samotności i przypadkowego podobieństwa do jego ukochanej osoby. Teraz był w domu. A Niki czekał na niego, Nikias Demostheneou, najpiękniejszy i najbardziej czarujący z chłopców.

Tłum. Jarosław Cieśla

Posłowie:

Czytelnicy powinni wiedzieć, że pisarze wcale nie są odpowiedzialni za opinie i zachowania ich bohaterów. Jednak wiele osób nie zdaje sobie z tego sprawy. W konsekwencji, mnie na przykład, w twarz rzucono oskarżenia o faszyzm. Niewątpliwie niniejsza opowieść sprowadzi na mnie gorsze obelgi. A ja tylko chciałem utkać opowieść!

No cóż, przypuszczalnie tkwi w tym nieco więcej. Tego nie da się uniknąć. Każdy widzi świat ze swojego osobistego filozoficznego stołka. Toteż każdy pisarz próbujący opisać to co widzi, nieuchronnie uprawia propagandę. Lecz propaganda zawsze kryje się pod powierzchnią. Ta prawda jest tym bardziej słuszna w przypadku fantastyki naukowej, która zaczyna się od przekształcenia rzeczywistości w szczerą nierealność.

Cóż więc tu popierałem? Wcale nie żadną konkretną formę społeczeństwa. Przeciwnie, ludzkość wydaje mi się tak znakomicie i ironicznie zróżnicowana, że nie może istnieć żaden perfekcyjny porządek społeczny. Podejrzewam, że niewielu ludzi jest biologicznie przystosowanych do cywilizacji; zważcie na okresowe jej załamania. To przekonanie może być, oczywiście, błędne. Zaś jeśli nawet jest prawdziwe, może stanowić jedynie jeden z czynników, które powinniśmy w naszych planach brać pod uwagę. Lecz zmienność człowieka właściwie nie podlega dyskusji.

Dlatego też wszelkie układy, jakie tworzy, mają swoje słabe strony, które w końcu doprowadzają całość do ruiny; wszystkie jednak mają i zalety. Osobiście uważam, że tu–i–teraz to całkiem niezłe miejsce do życia. Lecz inni mogą mieć odmienne zdanie. W gruncie rzeczy mają. Jednocześnie nikt nie może zaprzeczyć, że *pewne* style życia są, w ogólnym rozrachunku, złe. Najgorsze i najbardziej niebezpieczne wśród nich są te, które nie tolerują żadnych innych, odmiennych od siebie.

Tak więc w wieku konfliktu potrzebne jest jasne zrozumienie naszych własnych wartości — i wartości wroga. Podobnie z równą jasnością powinno się dostrzec wady obu kultur. To imperatyw nie tyle moralny ile strategiczny. Tylko na takiej podstawie możemy wiedzieć co należy zrobić i co się zrobić da.

Nie jesteśmy bowiem osadzeni w pozbawionym znaczenia koszmarze sennym. Żyjemy w prawdziwym świecie, gdzie wydarzenia mają pojmowalne przyczyny, a przyczyny wywołują skutki. Nikt nigdy nie obdarzył nas świętą misją i przekonanie, że to nieprawda, miałyby zgubne konsekwencje. Mamy jednak prawo do samoobrony. Dowiedzmy się, co tak naprawdę pragniemy zachować. Wtedy zdrowy rozsądek i staromodna intuicja prawdopodobnie pozwolą nam przetrwać.

To raczej ciężkie kazanie, które każę unieść opowieści pomyślanej w końcu jako rozrywka. Główną myśl o wiele lepiej wyraził Robinson Jeffers:

„Niech żyje przyjaźń, a diabli wezmą ideologie.”

Wprowadzenie do Pary utworów Buncha:

W tej antologii znajdują się dwa opowiadania jednego autora i — niespodzianka! — nie moje. Davida R. Buncha, którego prace ogromnie podziwiam i który, co dziwne, nie spotkał się dotąd z należnym uznaniem. Po raz pierwszy czytałem jego opowiadanie w niezłym magazynie dla fanów, zatytułowanym „Inside”, redagowanym przez Rona Smitha. Smith natknął się gdzieś na Buncha, jego styl, zmysł poetycki i niemal dadaistyczne wizje, umiejętnie przekształcane w formę literacką fantasy i science fiction. Bunch publikował regularnie w „Inside”. Jego prace budziły mieszane reakcje. Niektórzy bardzo wrażliwi krytycy (jak John Ciardi) komentowali je uczenie. Co głębsi fani drapali się po głowach i zastanawiali, po co marnować miejsce na Buncha, kiedy mogliby czytać liczniejsze i lepsze analizy pozbawionej bezwładności jazdy, jak w opowiadaniach Eda Earla Reppa czy inne takie. Sześć lat temu atrakcyjna i inteligentna była redaktorka *Amazing Stories*, Cele Goldsmith Lalli, zaczęła wydawać opowiadania Buncha. Znowu furora i mieszane reakcje. Ale wreszcie Bunch znalazł dom. Oboje, z Cele, wykazując się *znaczną* miarką odwagi, zaczęli publikować opowiadania o Moderanie, świecie robotów. Były to historie naprawdę ostrzegawcze, jak podniesiony palec wpakowany prosto w oko lub nos czytelnika. Ja sam musiałem czekać dziesięć lat, by samemu wydawać Buncha. Stąd jego dwa opowiadania, maleńki pęczek, może bukietek.

Bunch pochodzi z Missouri. Ma szerokie wykształcenie; ukończył z wyróżnieniem szkołę średnią, w nagrodę dostał stypendium do Central Missouri State College, gdzie na główny przedmiot kierunkowy wybrał angielski, a na dodatkowe fizykę i nauki społeczne, kończąc ze stopniem Bachelor of Science; otrzymał Master of Arts z Washington University, gdzie koncentrował się na literaturze angielskiej i amerykańskiej. W pewnym okresie zaczął robić doktorat, ale tuż przed ostatnim dzwonkiem uciekł od pisania dysertacji na warsztaty literackie Uniwersytetu Stanowego Iowa. Na tym poprzestał i w końcu opuścił tę uświęconą świątynię nauki, by zacząć pisać w swój własny sposób, w swoim czasie.

Ucieczka nie wyszła mu na złe. Publikował w ponad czterdziestu czasopismach, od poezji po szeroką gamę opowiadań. Większość jego prac ukazała się w „małych” magazynach lub pismach science fiction; do tych pierwszych należą: *San Francisco Review*, *Southwest Review*, *New Mexico Quarterly*, *Chelsea*, *Perspective*, *Genesis West*, *The Smith*, *Shenandoah*, *New Frontiers*, *Simbolica*, *The Fiddlehead*, *The Gallery Sail Review*, *Forum* i wiele innych. Publikował prawie we wszystkich istniejących pismach SF i przeżył dziesiątki innych. Został uhonorowany trzy razy przez Judith Merrill w jej antologiach *Year's Best SF*. W tym roku zbiór jego opowiadań przyjęty został do wydania książkowego. Jego wiersze ukazywały się w o wielu więcej magazynach niż wymienione powyżej, a zbiór poezji jest przewidziany do publikacji.

Bunch jest prawdopodobnie najbardziej niebezpiecznym wizjonerem spośród zaprezentowanych w antologiach. Podąża tą drogą przez całą swoją spekulatywną karierę literacką, nie tylko z tej szczególnej okazji, jak paru innych autorów. Pisze o enigmatycznym, tajemniczym, niewiadomej, bajce

przyszłości. Mówi zagadkami. Próba ich rozwiązania jest przywilejem czytelnika.

David R. Bunch
Incident in Moderan

Incydent w Moderanie

W Moderanie wojny toczą się prawie bez przerwy, ale ten incydent zdarzył się w czasie zawieszenia broni. Nawaliły dwie warownie na północy —jakaś awaria taśm przenoszących amunicję, jak myślę — i wszyscy opowiedzieliśmy się za przerwaniem wojny na parę dni, żeby dać im szansę czynnego udziału w walce. Żebyście mnie źle nie zrozumieli — nie była to biała jak lilia tak zwana uczciwa gra ani hipokryzja z rodzaju kochaj–bliźniego–swego–z–Warowni, jak być może bywało w Dawnych Czasach. Im większa i lepsza wojna, tym większe i lepsze szansę, by nienawidzić potężnie i zdobyć zaszczyty. Nic dodać, nic ująć.

W każdym razie było międzywojnie, gdy robiłem jakieś dziwne rzeczy tuż przed jedenastym, najbardziej wysuniętym murem mojej warowni. W zasadzie nie robiłem, tylko siedziałem w swoim otulającym biodra fotelu, ciesząc się przymglonym letnim słońcem przezierającym przez czerwono—brązową tarczę lipcowych oparów i mówiąc mojemu naczelnemu zbrojmistrzowi, co ma robić. Tak się złożyło, że akurat polerował tablicę honorową na Murze 11, oznajmiającą, że nasz fort, Warownia 10, jest PIERWSZY W WOJNIE, PIERWSZY W NIENAWIŚCI I PIERWSZY W SIANIU STRACHU W SERCACH WROGÓW.

Robiło się nudnawo. Chodzi mi o to, że ten zastój między wojnami robił się nieciekawym, to kierowanie polerowaniem tablic i to drzemanie w przefiltrowanych płomieniach letniego słońca. Z czystej nudy i dla rozrywki, jak myślę, zebrałem się, żeby wstać i obić mojego zbrojmistrza nową trzcinką z metalu, obciążoną ołowiem. Nie dlatego, że nie sprawiał się jak należy, rozumiecie, ale po prostu dlatego, że musiałem coś zrobić. Ruch na dziewiątym wzgórzu na lewo ode mnie zaoszczędził mi tej raczej głupiej i może bezcelowej, choć nie nieprzyjemnej straty energii. Szybko skupiłem swój szerokokresowy moderański wzrok w jednym punkcie, poderwałem do oczu pokoskop i dostrzegłem kształt.

Kiedy go namierzyłem, był kształtem, zgadza się! Natychmiast poznałem, że to jedna z tych form ruchu — człowiek? zwierzę? chodząca roślina? — ha, cóż można powiedzieć o większości z tych zmutowanych form, które włóczą się po bezdomnym plastiku w Moderanie? Kiedy stanął przede mną, opadł mnie niepokój. Dziwne, poczułem się jakoś winny i zawstydzony, że on jest taki zgięty, taki powykręcany i gąbczasty z powodu posiadania ciała. Och, czemu oni wszyscy nie mogą być twardzi i lśniący, metalowi i czyści jak my, panowie warowni, z minimalną ilością ciałopasów pozwalających zachować im kształt? To, jacy jesteśmy my, panowie Moderaru, lśniący i stalopodobni w naszej wspaniałości, z nielicznymi, zredukowanymi ciałopasami, z nowometalowym stopem naszego cielesnego splendoru, jest podstawą uporządkowanego i pełnego nienawiści szczęśliwego żywota. Ale przypuszczam, że zawsze muszą istnieć formy niższe, w naszych oczach insekty... Postanowiłem przemówić, bo nie mogłem tak siedzieć i pozwalać bezwolnie, by się na mnie gapił.

— Jesteśmy między wojnami — zagadnąłem konwersacyjnie.

— Zepsuły się dwie potężne warownie na północy, więc postanowiliśmy wstrzymać działania.

Nic nie powiedział. Patrzył na tablicę honorową na Murze 11 i na zbrojmistrza polerującego

dumne słowa.

— To tylko zajęcie dodatkowe między prawdziwą robotą — podjąłem. — I daję mi szansę na drzemkę w tym przefiltrowanym letnim słońcu, podczas gdy zbrojmistrz zajmuje się pracą. Ale robi się nudno. Przed twoim przyjściem byłem gotów wstać i zacząć okładać go moją trzcinką z nowometalu, obciążoną ołowiem, choć jest całkowicie metalowym stopem nowometalu, wykonuje dobrą robotę i zapewne nie poczułby razów. Po prostu musiałem coś zrobić, wiesz. Być może rozumiesz, że panu warowni w Moderanie nie wolno pracować. To wbrew kodeksowi.

— Zaśmiałem się, ale czułem, co dziwne, wyraźne zdenerwowanie w ciałopasach i mgliste wzdłuż obrzeży spojeń. Czemu patrzył na mnie w ten sposób? I skoro już, czemu spojrzenia takiej nieznaczącej formy życia w ogóle na mnie działały?

Czy umiał mówić? Umiał. Niebieskawe miękkie wargi rozdzieliły się i żółto-różowy kawałek chrząstkowego mięsa zatańczył w wilgotnej mazi ust, których wnętrze było czerwone jak surowe mięso. Kiedy ten nieco wulgarny pokaz mięsa i powietrza dobiegł końca, uświadomiłem sobie, że powiedział:

— Niedawno pochowaliśmy syna. Posiekaliśmy plastik naszymi prowizorycznymi narzędziami grzebalnymi i zdążyliśmy złożyć go pod powłoką. Spieszyliśmy się. Wiedzieliśmy, że nie możecie zagwarantować nam długiego zawieszenia broni. Przyszedłem podziękować wam za to, co zrobiliście.

Zadrzałem lekko, słysząc tę dziwną mowę i odwróciłem się doń plecami, potem szybko doszedłem do siebie i niedbale machnąłem stalową ręką.

— Uznaj, że przyjąłem podziękowania — powiedziałem. — Jeśli zyczysz sobie stalowy kwiat dla dekoracji, weź sobie.

Zadygotał, wstrząsając wszystkimi luźnymi częściami ciała.

— Przyszedłem ci podziękować — powiedział z czymś, co jak przypuszczam w jego plemienu uchodziło za szorstkość — nie wystawiać się na pośmiewisko. — Jego spojrzenie wyrażało zaskoczenie i powątpiewanie.

Nagle uznałem, że cała ta sytuacja staje się niedorzeczna. Oto ja, Moderańczyk między wojnami, zajęty własnymi sprawami, siedzę sobie przed jedenastym murem mojej warowni i czekam na wznowienie wojny, a tu jakaś dziwna chodząca klucha sentymentalizmu, której istnienia nawet nie podejrzewałem, przybiega oto z dziewiątego wzgórza na lewo ode mnie, by podziękować mi za jakiś pogrzeb.

— Był okazały? — zapytałem. Gorączkowo próbowałem przypomnieć sobie informacje z Dawnych Czasów. Kondukt żałobników rozciągnięty na milę? Muzyka — mnóstwo? Kwiaty — całe stosy?

— Tylko my — odparł — ja i jego matka. I syn. Spieszyliśmy się. Byliśmy pewni, że nie możecie dać nam wielu godzin w tych zwariowanych czasach. Dziękujemy wam za to, co zrobiliście — za przyzwoitość.

Przyzwoitość? Co to za dziwne słowo? Co on rozumie przez przyzwoitość?

— Przyzwoitość? — powtórzyłem.

Obrządek. No wiesz! Starczyło nam czasu na krótką modlitwę. Prosiliśmy, żeby synowi wolno było żyć po wiek wieków w szczęśliwym domu.

— Słuchaj — powiedziałem, mając już trochę dość tego wszystkiego — za mało pamiętam z Dawnych Czasów, by o tym dyskutować. Z Dawnych Czasów pamiętam nie więcej jak połowę. Ale wiem, że wy biedni cieleśni mutanci grzebiecie swoich zmarłych, a potem prosicie, żeby wolno im było powstać i żyć znowu, jakieś dwadzieścia pięć razy lżej niż zdehydratowany bąbel powietrza.

Nie o to chodzi? Ale czy nie jest to podejmowaniem zbędnego ryzyka? Czemu po prostu nie zmadrzejecie i nie zaczniecie żyć tak jak my, panowie Moderanu? Poddajcie się operacji, gdy jesteście młodzi i pełni wigoru, odrzućcie ciało, które nie jest wam potrzebne, „zastąpcie się” całkowicie metalowymi „wymiennikami” ze stopu nowometalu i żyćcie wiecznie. Odżywiajcie się czystym ekstraktem patoki z introvenu, który wymyśliliśmy, i to pewne, że wam się uda. My wiemy, co mamy i wiemy jak żyć... A teraz, jeśli wybaczysz, z meldunku napływającego właśnie w tej chwili z sygnalizatora wynika, że te warownie z północy zostały naprawione. Przerwaliśmy ostrzał z ich powodu i teraz będziemy musieli związać się co sił, żeby nadrobić stracony czas nienawiści. Przypuszczam, że ostrzał może być cięższy, niż kiedykolwiek widziałeś.

Kończąc mowę patrzyłem, jak coś, co wyglądało na zdumienie i zwątpienie, migocze dziwnie na jego obciążonym ciałem obliczu.

— Przerwaliście wojnę z powodu... z powodu awarii tych dwóch warowni na północy? Nie... Nie zrobiliście tego, żebyśmy mogli pogrzebać syna, nie z przyzwoitości?! — Musiała dopaść go jakaś zimna myśl, bo jakby się skurczył i pomarszczył, i zrobił się o parę cali niższy, stojąc na plastiku. Na nowo zdumiały mnie trudy, na jakie te cielesne istoty narażały się z powodu swoich emocji i palpacji serca. Uderzyłem w moją „zastąpioną” pierś w swego rodzaju medytacji i podziękowałem szczęśliwym żelaznym gwiazdom na naszym wspaniałym nowo-satelitarnym niebie za swój stan chłodnego opanowania.

— Za krótką chwilę — powiedziałem — otworzymy ogień. Teraz oczyszczamy linie przed pierwszym odliczaniem wstecznym i generalnym wznowieniem wojny. Rozumiesz, staramy się zaczynać wszyscy razem. Potem każda warownia dba wyłącznie o siebie i o to, by zrobić jak największy pożytek z amunicji.

Patrzył na mnie przed długi czas, sprawdzając czy nie żartuję. Po chwili tonem, który jak sędzę wśród cielesnych istot wyraża wielki smutek i wielką rezygnację, powiedział:

— Tak, przypuszczam, że naprawdę nie przestaliście dlatego, żebyśmy mogli pogrzebać syna i zmówić modlitwę. Przypuszczam, że naprawdę chodziło o awarię warowni na północy. Teraz rozumiem, że doszukałem się w waszym postępku czegoś prawdziwego i pięknego, i że tego czegoś prawdziwego i pięknego wcale tam nie było. Tak więc... przyszedłem podziękować ci za przyzwoitość... za nic...

Możliwe, że lekko pokiwałem głową, a może i nie, bo słyszałem już Głos, słyszałem, jak sygnalizator mówi, że wszystko jest gotowe do Wielkiego Ostrzału i że panowie mają zająć pozycje przy swoich tablicach rozdzielczych w Pokojach Wojennych.

— O to chodzi! — powiedziałem do nikogo i niczego w szczególności. — Teraz będzie podwójne strzelanie i całodobowe odpalanie głowic, dopóki nie nadrobimy czasu mierzonego w jednostkach nienawiści.

Już miałem odwrócić się i odejść, przypominając mojemu zbrojmistrzowi o zabranii fotela, by pospieszyć do mojego Pokoju Wojennego i przystąpić do Wielkiego Ostrzału, gdy zimny dźwięk zare—zonował w mojej stali. Co to za piskliwe skomlenie niesie się wzdłuż plastiku? Wtedy zobaczyłem. To ten mały cielesniak. Stracił kontrolę nad emocjami, upadł i zalewał się prawdziwymi łzami.

— Wszystko w porządku, nie bój się — zawołałem do niego przez ramię. — Trzymaj się dolin, nie wchodź na zbocza i nie oszczędzaj nóg. Uda ci się. Na początku strzelamy tylko w szczyty.

Ale gdy przeszedłem przez mur i kazałem zbrojmistrzowi wszystko przygotować, zauważyłem, że ten mały cielesny leży jak długi, lejąc łzy na plastik. Nie próbował zejść z linii ognia, nie próbował się ratować! Nagle stara Sąsiednia Warownia na wschodzie wypaliła z taką siłą, że mały cielesniak

został dosłownie rozplaszczony na placek — w istocie nawet bardziej niż rozplaszczony, gdyż trafiła go zabójcza bomba Zump, która, czego jestem pewien, wbiła go w środek ziemi i jednocześnie wyniosła wysoko w niebo, rozrzucając na wszystkie wiatry, i byłem ogromnie rad, że spadła spory kawałek od mojego kompleksu. Ale gdy zerknąłem na dymiącą łąkę pustki w miejscu, gdzie ledwie przed chwilą była porządna plastikowa powłoka, nie mogłem pohamować radości, że wojna znów jest w toku. Nawet nie próbowałem uronić łzy nad cieleśniakiem i ani jedna myśl nie zasmucała mego serca, gdy pędziłem do Pokoju Wojennego, by wcisnąć spusty wyrzutni.

Tłum. Maria Gębicka-Fraç

David R. Bunch
The Escaping

Uciekanie

W moim niewielkim pokoju z łóżkiem, z czerwoną narzutą i dwoma oknami z szarymi roletami chciałbym zobaczyć Wieżę, nie w zachodzie słońca pamięci, gdyż w rzeczywistości nigdy tam nie byłem, ale w księżycowej poświacie myślenia. I w moim myśleniu byłaby to rzecz wspaniała, choć wysoka tylko na cztery stopy, z księżycem przeglądającym się w zbiorniku, który zawierałby moje łańcuchy, i platformą zapraszającą, pustą. Wysoka postać stałaby na ulicy, czerstwa i prosta przez chwilę, w księżycowej poświacie myślenia (choć ja sam mam dobrych pięć cali poniżej przyzwoitego wzrostu), a potem odwrót i marsz do celu, dobrym krokiem, w szybkim tempie, łańcuchy jadące lekko na dwóch małych wózkach, milczące i nie tarasujące drogi. Dla uczczenia księżycowego blasku wspięlibyśmy się na sam czubek Wieży i siedli swobodnie na platformie nad metalowym zbiornikiem. Łańcuchy zsunęłyby się bezgłośnie z wózków, w dół przez szczeliny zbiornika, pociągając za sobą nasze stopy, a my siedzielibyśmy triumfalnie w ciszy odmierzającej nasze zwycięstwo. Nie zawstydzeni znikomością zwycięstwa, ani trochę nie zawstydzeni, wyciągnęlibyśmy barwne chorągiewki, które oszczędzaliśmy, długo i cierpliwie oszczędzaliśmy na tę godzinę naszego dokonania. Nadmuchując dwa baloniki, jeden czerwony, drugi niemal nieprawdopodobnie jasnozielony, i przywiązując je do przegubów dłoni, siedzielibyśmy tam radośni i zwycięzcy w poświacie księżyca, na»ze łańcuchy na dole w zbiorniku, nasze głowy wysoko w gwiazdach, na Wieży wysokiej ledwie na cztery stopy... I tyle co do poświaty księżyca.

Poranne ziewnięcie, słońce staje się prawdziwe, okrutne i jasne, by powiększyć nasze łańcuchy. Przeminał blask księżyca i myślenie. Teraz jest instynkt, tylko czysty instynkt i walka, by stawić im czoło, gdy warczą. Pewnie, śniliśmy o słońcach, wielkich brązowych słońcach ze złotymi domami na grzbietach i o nas w domu co rano, jadących w dół triumfalnie, kroczących w dół statecznymi słońcowymi krokami do naszego zbiornika i zeskakujących tak szybko na platformę, że nikt nie zobaczyłby naszych łańcuchów. Brzęk, ślizg, krótki suchy grzechot i już po nich, zniknęły w zbiorniku, zupełnie zniknęły dla całego świata prócz nas, a my siedzimy wysoko na platformie, wysokiej na cztery stopy, nadmuchując balony i z kamiennymi twarzami patrząc na tłum. Na tłum pomrukujący, zły, zawiedziony, jakoś umniejszony, nie chcący uwierzyć, że jego ofiara naprawdę jest bez łańcuchów. Widzę ich teraz, potrząsających wygolonymi, tłustymi, łysymi, kędzierzawymi i ściętymi najeża siwymi, starymi głowami w małych przejętych grupkach, roztrząsając swój wstyd i wstydliwą potrzebę, chcących wiedzieć, desperacko pragnących wiedzieć, że choć teraz łańcuchy nie są wystawione na pokaz, czy nadal tam są. Muszą być! Och, tak, okrążą zbiornik; będą zerkać, łomotać i w dziecinnej złości kopać mojego słońca, i będą mnie nienawidzić, gdy siedzę taki radosny z moimi świątecznymi balonami podskakującymi na porywistym wiśniowo-jabłkowym wietrze w ten kwitnący, promienny i piękny wiosenny dzień. I jeden z nich, jakiś zdesperowany bystry złośliwiec, nagle przemyśli wszystko w żałości umniejszonej chwili. „Są w zbiorniku! Prawdopodobnie. Zrzucił je na dół przez dziury!” Wtedy prawda uderzy w nich wszystkich, uderzy jak wielka fala na plaży, przedrzesię przez nich i przytłoczy przyjemnie wilgotną myślą, „Znów go mamy! Są w

zbiorniku. Prawdopodobnie! Zrzucił je na dół przez dziury!”

Ha! — wtedy wystarczy przynieść aparat rentgenowski, zrobić zdjęcia ze wszystkich stron i pod każdym kątem, i potwierdzić to, co jest do potwierdzenia. Potem będą ciąć, jedni wielkimi palnikami acetylenowymi, a inni, po drugiej stronie, daleko od żaru, małymi otwieraczami do konserw, zwijając się jak w ukropie, bo tak rozpaczliwa będzie ich potrzeba wdarcia się przez dno, odsłonięcia mnie i potwierdzenia, że nadal mam łańcuchy. Palniki acetylenowe sprawdzą się; otwieracze do konserw nie. Ale na jedno wyjdzie. Wyciągną moje łańcuchy przez dno zbiornika, przez dziury wykrojone acetylenem i pociągną moje nogi tak daleko, jak tylko pozwoli rozsądek. A ja wiem, że wówczas będę stanowić żałosny widok, ze świątecznymi balonikami podskakującymi elegancko i kokieteryjnie nad głową, siejącymi zielone i czerwone błyski w jabłkowo-wiśniowym powietrzu, z nogami w łańcuchach, stopami kreślącymi małe zwyczajne niepotrzebne łuki, bliźniacze wahadła w dziurach w zbiorniku, ja sam rozdarty między wesołością a zwyczajnym wstydem, ponury, ujawniony i zdeterminowany... I tyle co do słoni. I tyle co do Wież i zbiorników, jeśli o to chodzi. Ale nie myślcie, że zostaliśmy pobici. Pokonani? Och, nie! Mam na to sztuczkę; mam sztuczkę dokładnie na taką okazję.

Nazywa się księżycowaniem niebnego jaja i ulepszaniem powietrza. Oto, co robimy: podnosimy wysoko w niebo konstrukcję podobną do jaja, taką z gładkimi brązowymi ścianami i małymi nakrapianymi oknami, wysoko w błękit, wysoko, niemal nieprawdopodobnie wysoko, tak wysoko, jak tylko sięgamy w myśli, w każdej myśli. Potem wybieramy zadanie dla pośledniejszej z naszych jaźni — posiadanie co najmniej dwóch jaźni jest jak sądzę powszechnie i bezsprzecznie zrozumiałe — i stawiamy ją na stercie kamieni jej dzieła. Mojej jaźni z nogami w łańcuchach, jaźni, która pragnie wspiąć się na małą Wieżę po małe zwycięstwo i ukrycie łańcuchów, lecz nigdy tego nie robi, ostatnio kazałem zająć się pracą zwaną zwijaniem powietrza albo pracą będącą mniej więcej odpowiednikiem zwijania powietrza, zwaną rozwijaniem powietrza. Żadne z tych zajęć w zasadzie nie wymaga wysiłku fizycznego ani zniechęcającej ilości siły psychicznej czy zdrowia psychicznego, obie te prace mogą zająć jaźń danej osoby na długi, długi czas. Niekiedy myśląc o tym jestem w kłopotcie, bo nie wiem, dlaczego praca tego rodzaju albo blisko spokrewnionego rodzaju, nie jest uznana przez wszystkich ludzi jako życiowy cel.

Aby zwinąć powietrze, najpierw dzielę całe powietrze w moim bloku zadań na schludne, jednolite pasy, każdy pas taki szeroki i gruby, żeby jak najlepiej pasował do przewidzianego na ten dzień całokształtu misji zwijania powietrza. I to paskowanie powietrza, jak je nazywam, nadaje się, prawie albo całkowicie, do nieskończonej liczby wariacji pod względem szerokości pasów i grubości pasów. Mogę mieć co drugi pasek taki sam, co trzeci pasek taki sam, sąsiednie paski takie same, wszystkie sąsiadujące różne, wszystkie pasy takie same, pięć pasów takich samych, potem cztery różne, pięć albo sześć różnych i tak dalej i tak dalej. Ale zawsze staram się zachować jakiś możliwy do rozpoznania wzór, jakiś sens w swoim paskowaniu. I nigdy nie przystępuję do zasadniczego zwijania, dopóki nie zakończę paskowania całego bloku zadań albo, jak można by powiedzieć, mojego całkowitego obszaru powietrza i w myślach nie opatrzę pasków etykietkami. Potem, po spaskowaniu całkowitego obszaru powietrza i poetykietkowaniu go w mojej głowie, pozostaje tylko radosne i rozbawiające zadanie siedzenia na łańcuchach na środku ulicy na krawędzi bloku zadań, wśród głupawych uśmiechów, pokasływania i wesołych wypowiedzi tłumu, zaczynając moje zwijanie i nawijanie. Oczywiście, umysł muszę mieć ostry jak brzytwa, jak to się mówi, by stale dopasowywać każdy pas z jego siostrzanym lub braterskim rozmiarem, co może mieć bardzo duży wpływ na intensywność mojego zadania, gdy przyjdzie do rozwijania. Ponieważ uważam tę pracę za swego rodzaju ćwiczenie lub rozrywkę w drodze do celu, jak można by powiedzieć,

absolutnie, ale to absolutnie nie mam zamiaru ani chęci na stałe poprzestawiać powietrza w bloku zadań albo, jak powiedzieliśmy, w obszarze powietrza. Pozostawienie go w taki sposób, przestawionego na stałe, sprawiłoby, że czułbym się godny pogardy i winny pogwałcenia natury.

I w górę w niebosiężne jajo, wysoko od łańcuchów, cystern, zadań i wszystkich tych wygolonych, tłustych, łysych, kędzierzawych albo ostrzyżonych na jeża zadartych głów — wszystkich, Wszystkich! złośliwych obserwatorów — jak idzie? Cóż, idzie świetnie. A jaki tego sens? Cóż, tam sens wspaniały. Ummm... mm... mmm... mmmm... Och, błogości kołysania się w niebosiężnym jaju...

Tłum. Maria Gębicka-Frać

Posłowie:

Kiedy nie piszę opowiadań beletrystycznych (i wierszy), za które zwykle dostaję tyle, co nic, ani opowiadań science-fiction-fantasy, za które zwykle dostaję mniej niż powinienem, zarabiam na życie pracując (w charakterze cywila) dla Sił Powietrznych USA. Ponieważ moje utrzymanie nie zależy od pracy literackiej, siadając przed kartką białego papieru nie mam na szyi redakcyjnej ani wydawniczej obroży. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie chciałbym zarabiać na życie jako pisarz, ale nie chciałbym też narażać na gwałt swojej duszy pisarza. Ponieważ nie jestem głupi w takich sprawach, poszedłem na kompromis. Na naprawdę trudny kompromis, bo tamta druga praca zabiera mi czas i energię. Z drugiej strony, całe życie jest sztuką kompromisu, jak sądzę, małym dramatem szamotania się i miotania między długim snem Przed i dłuższym snem Po.

Ale nie w Moderanie! W Moderanie nie ma snu Po. Moderańczycy są niezniszczalni. I czy szukają kompromisu? Akurat! Po prostu siadają przy swoich pulpitych w Pokojach Wojennych na całodobowe wystrzeliwanie głowic, by uczestniczyć w wojennej grze. A kiedy nastaje niespokojny czas pokoju, nie sadzą kwiatków ani nie biegną do szkółki niedzielnej. Mają złe serca i wcale tego nie kryją. Wiedzą, jak zdobywać punkty nienawiści tak w czasie pokoju jak w czasie wojny. Nie dodają sobie, ani nie udają. Nienawiść jest ich główną cnotą, tak jak wojna jest ich główną zabawą. Są absolutnie godni podziwu, ponieważ nie ma w nich hipokryzji. Cieszą się życiem i mówią to w biały dzień, mówią o dobrym strzelaniu, o warunkach podziurawionych jak rzeszoto, o rękach i nogach wrogów spiętrzonych przy murze.

Tak więc przesadziłem. Ale w obu tych opowiadaniach mówię o prawdzie i nieprawdzie, gdyż w gruncie rzeczy, co poważny pisarz zawsze ma na myśli? „Ja” w obu opowiadaniach jest prawdziwe. W jednym cierpi, będąc marzycielem, z powodu irytująco dokuczliwych trosk powszedniego świata i jego mieszkańców. Ale w końcu ucieka i znajduje prawdę w swoim niebosiężnym jajku, po zaskoczeniu swoich dręczycieli i powiedzeniu im czegoś w swój własny sposób (absurd zadań zwijania i rozwijania powietrza), czego bez wątpienia nie rozumieją. W drugim opowiadaniu „ja” poznało prawdę dawno temu. Będąc panem Moderanu, lśniącym i pewnym siebie, zna zimną niekwestionowaną prawdę pulpity sterowniczych, Pokoi Wojennych, introvenu i „wymienników” pozwalających na życie wieczne, w przeciwieństwie do absurdalnych nadziei i niepewności ślamazarnego cieleśniaka i jego gadaniny o przyzwoitości, cokolwiek w świecie oznacza to słowo...! W pierwszym opowiadaniu „Ja” ucieka w fantazję, bo pragnie świata prawdy. W drugim ucieczka nie jest potrzebna. „Ja” ma taki świat, jakiego pragnie, jedyny świat, który naprawdę zna i jedyny, który w jego oczach nadaje się do satysfakcjonującego wiecznego życia. Świat cieleśniaków, przepełniony nadziejami i wątpiwościami, jest niedorzecznością, którą lud Moderanu zostawił dawno temu i daleko w tyle.

Wprowadzenie do „Domku dla lalek”:

Tworzenie większości antologii (twierdziłem przed rozpoczęciem pracy nad leżącym przed wami tomem) jest sztuką dziecinnie łatwą. Niektórzy zrobili na tym karierę. Jest sztuką mniej więcej tak skomplikowaną jak chrząknięcie. Nie mam zamiaru minimalizować wyrafinowania smaku i umiejętności dokonywania wyboru, które to cechy musi posiadać wydawca, żeby antologia była ciekawa i wszechstronna; to jedyne cechy, jakich potrzebuje czytelnik, żeby zostać selekcjonerem antologii. (Kiedy ich brak, no cóż, książki nie warto kupować.) Ale zasadniczo kompilowanie pracy innych w spójną czy tematyczną grupę nie jest wyjątkowo męczącą pracą. Wymaga tylko skompletowania przeznaczonych na przemiał czasopism, pewnej liczby przyjaciół z dobrą pamięcią i wolnej linii do biura praw autorskich, by sprawdzić, co jest publicznie dostępne.

Książka, którą macie w rękach, to zupełnie inna para kaloszy. Nie zamierzam okrzykiwać się super selekcjonerem ani sugerować, że wykonywanie tej roboty wymaga wyjątkowej odwagi (tylko wyjątkowej głupoty). Ale książka ta naprawdę wymagała sporo zachodu: musiałem dotrzeć do wyjątkowych pisarzy i nakłonić ich, aby otworzyli się na całą szerokość i napisali opowiadania, które być może zawsze chcieli napisać, lecz zawsze się bali, że nie zdołają ich sprzedać. Przeglądanie rękopisu za rękopisem wymagało miesięcy żmudnej pracy, by znaleźć opowiadania dostatecznie niekonwencjonalne i poruszające, żeby zasługiwały na wstępną reklamę, jaką otrzymała ta książka, oraz tak bogate i wybuchowe, jak według mnie być powinny, żeby uzasadnić istnienie NIEBEZPIECZNYCH WIZJI. Zrobienie po prostu „kolejnej antologii” mi nie wystarczało. Problem sprowadzał się nie do skompletowania kartek wydartych ze starych czasopism i spleśniałych kopii z kufrów kopistów, lecz do stworzenia tworu niezależnego, niemalże żyjącego własnym życiem.

Pierwotna lista autorów, którzy — jak miałem nadzieję — przyczynią się do powstania wersji ostatecznej, przeznaczonej do druku, stale ulegała zmianom. Jeden pisarz był obłożnie chory, inny (przechodzi) dwuletni kryzys, trzeciego tak przyparły do muru rachunki od lekarza żony, że zobowiązał się napisać chałturę pod bardziej sławnym nazwiskiem innego człowieka, a jeszcze inny wyjechał z kraju na zlecenie wydawnictwa. Korekty, korekty, szukanie po omacku i znowu korekty. I kiedy wydawało się, że osiągnięcie zamierzonego celu nie jest możliwe — na wczesnych etapach byłem bardziej niż teraz skłonny do wpadania w panikę — zawarłem umowę z agentami literackimi i podesłałem im prospekt książki, prosząc o staranny wybór propozycji.

Od jednego agenta otrzymałem przewiązane sznurkiem rękopisy wyciągnięte z szuflady prac odrzuconych. (Między kartkami jednego z nich znalazłem notkę uzasadniającą odrzucenie, napisaną przez Dorotny McIlwraith, wydawcę już od dawna nie istniejących *Weird Tales*. Aż boję się myśleć, jak długo to dzieło leżało w szufladzie.) Od innego agenta dostałem niewiarygodnie nędzną pracę czołowego profesjonalisty z głównego nurtu. Trzeci dał mi opowiadanie tak rażąco wyuzdane, że musiało powstać dla jednego z tych „prywatnych nakładów”, o jakich się słyszy. Nie zostało sprzedane zapewne z uwagi na ogólną skandalicznie niską jakość, bo motywy seksualne były

wystarczające, by wydrukowano je przynajmniej w „Erosie”. Od swojego agenta Roberta P. Millsa (naprawdę bardzo dobrego agenta) dostałem tylko dwie propozycje. Obie kupiłem. Jedną było opowiadanie Johna Sladeka, obecne w tym tomie, a druga to „Domek dla lalek” Jamesa Crossa.

Przyznaję, że przed otrzymaniem tego opowiadania nie słyszałem o Jamesie Crossie. Nie znałem go jako pisarza *science fiction*, co nie powinno dziwić, bo zwykle nim nie jest. W rzeczywistości nie istnieje ktoś taki jak „James Cross”. To pseudonim literacki. Poprosił, żeby nie ujawniać jego prawdziwego nazwiska, i tak się stanie, przynajmniej tutaj. Nic nie mówiące nazwisko sprawiło, że przewertowałem jego rękopis jak inne mierne propozycje, które dostałem od agentów. Powiniennem być mądrzejszy. Bob Mills nie idzie na łatwiznę. „Domek dla lalek” jest brawurowym opowiadaniem, tak wyjątkowym i efektownym jak „Evening Primrose” Johna Colliera, „Bom of Man and Woman” Richarda Mathesona czy „Miss Gentilbelle” Charles’a Beaumonta. Jest niepowtarzalnym wydarzeniem. Jest po trosze *science fiction* i prawie całkowicie fantazją. Jest absolutnie niesamowite.

O Crossie autor pisze, co następuje:

„Od roku jestem profesorem socjologii na Uniwersytecie Jerzego Waszyngtona i szefem uniwersyteckiej społecznej Grupy Badawczej, gdzie moje zadanie polega na kierowaniu krajowymi badaniami nad częstością występowania różnych symptomów psychosomatycznych i używania leków psychotropowych wśród dorosłej populacji Stanów Zjednoczonych.

Wcześniej, przez ponad dziesięć lat, brałem udział w wyspecjalizowanych badaniach zagranicznych dla amerykańskiej Agencji Informacyjnej i innych agend rządowych — praca wiązała się ze zbieraniem informacji socjologicznych i psychologicznych oraz z oceną skuteczności propagandy. Badaniami tego rodzaju zajmowałem się od początku drugiej wojny światowej. Wcześniej byłem reporterem. Ukończyłem uniwersytety Yale, Columbia i Southern California.

Mieszkam w Chevy Chase w stanie Maryland. Jestem szczęśliwym mężem i mam czworo interesujących (choć czasami wyjątkowo nieznośnych) dzieci w wieku od lat dwóch do osiemnastu. Moja żona jest bardzo dobrym konsultantem *public relations*. W wolnym czasie, kiedy nie piszę, czytam, śpię, jem, podróżuję, gram w golfa i tenisa albo oglądam mecze w TV. Wcześniej byłem teatralnym agentem prasowym; uczyłem na trzech uniwersytetach; grałem półzawodowo w baseball (leworęczny miotacz, specjalista od zakręconych piłek i innych sztuczek); służyłem jako oficer w marynarce i później pracowałem w służbie zagranicznej; pisałem scenariusze i występowałem w nieudanym programie edukacyjnym w TV.

„James Cross” jest pseudonimem. Zacząłem używać go, bo: (a) publikuję artykuły w różnych zawodowych żurnalach pod prawdziwym nazwiskiem i nie chcę mieszać tych dwóch rzeczy ani dawać recenzentom okazji do drwin, że jak na powieściopisarza jestem dobrym socjologiem i jak na socjologa dobrym powieściopisarzem; (b) większość z mojej twórczości literackiej powstawała w czasie, gdy pracowałem dla rządu i musiała zostać oficjalnie zaaprobowana — nawet beletrystyka. Dzięki „Jamesowi Crossowi” zyskałem większą swobodę.

Dotychczas opublikowałem cztery powieści: *Root of Evil*, *The Dark Road*, *The Grave of Heroes* i *To Heli for Half-a-Crown*, thriller wydany w lutym 1967 przez Handom House. Wszystkie ukazały się w twardej oprawie i paperbackowych reprintach i zostały przetłumaczone na takie języki, jak francuski, włoski, szwedzki, holenderski i norweski. *The Dark Road* ukazywała się w odcinkach w *Saturday Evening Post*. Moje powieści były rozprowadzane przez dwa kluby książki, szwedzki i holenderski — z tego względu nakład był stosunkowo ograniczony i nie uczynił mnie bogatym. Szkoda.”

Tu znowu Ellison. Tak oto „James Cross” przygotowuje nas na to, na co nie ma żadnego

przygotowania: autentyczne przeżycie. „Domek dla lalek” jest cudowną historią.

Po przeczytaniu opowiadania ci z was, którzy mają małe córki, już nigdy nie będą w stanie patrzeć bez drżenia, jak bawią się na podłodze swoimi Barbie w ich domkach.

James Cross
The Doll-House

Domek dla lalek

— Dwieście pięćdziesiąt dolarów na twój wszawy fundusz absolwentów — mówił Jim Eliot, potrząsając anulowanym czekiem. — Do diabła, jak myślisz, co za to zrobią — nazwą twoim imieniem jakiś budynek? Przywieszą tablicę pamiątkową dla Julii Wardell Eliot?

Żona spojrzała na niego zimno.

— Tylko dlatego, że ty chodziłeś do szkoły, która dostaje pieniądze od legislatury stanowej, a wszyscy profesorowie są na państwowej pensji...

— W porządku, przestań — tylko następnym razem postaraj się najpierw zbilansować książeczkę czekową; masz szczęście, że czek nie został zrealizowany. Do licha, jak myślisz, ile my mamy na koncie?

— Skąd mam wiedzieć? Ty jesteś najmądrzejszy, to się tym zajmuj.

— Jakies dwadzieścia pięć dolarów, plus moja jutrzejsza wypłata — dokładnie 461 dolarów 29 centów, po potrąceniach. A w przyszłym tygodniu trzeba zapłacić za hipotekę, gaz i prąd, i benzynę, do tego lekarz i dentysta, opłaty samochodowe i rachunki za twoje ubrania.

— Niby ja szastam pieniędzmi! A twój kaszmirowy garnitur za 250 dolarów, który musiałeś mieć w zeszłym miesiącu? I nowe kije do golfa, i lunche na kartę kredytową — czemu nie możesz korzystać z funduszu reprezentacyjnego jak wszyscy inni?

— W porządku — westchnął Eliot — daj mi tylko ten cholerny rachunek. Jeśli są jeszcze jakieś чеки bez pokrycia, chcę o tym wiedzieć.

— Zrób, co trzeba, kochanie — powiedziała Julia. — Idę do łóżka. Nie budź mnie, gdy przyjdiesz.

Odwróciła się do drzwi, jedwabna tafta jej czerwonej podomki zaszeleściła niczym rój cykad — 99 dolarów 75 centów, pomyślał z wściekłością Eliot, Saks Fifth Avenue. Ale złość opuszczała go powoli, gdy myślał o rachunkach, swoich i Julii, o dzieciach, o amerykańskim stylu życia. Hipoteka, country club, szkoły, lekcje — na miłość boską, tańca, pływania, golfa, tenisa, baletu i puzonu; doktor Smedley, ortodonta, dwadzieścia pięć zielonych za każdym razem, gdy przykręca śrubkę na aparacie Pameli; Michael w szkole prywatnej i jego bluzy sportowe J. Press, średnio cztery na rok; rachunki sklepowe Julii i doktor Himmelfarb — trzydzieści dolarów za godzinę, bo Julia jest znudzona i przestraszona, a niedługo on sam będzie się kwalifikować na kozetkę u dobrego doktora; i, przyznał sam przed sobą, jego ubrania, jego rachunki z baru i klubów golfowych, i drogie kobiety, które brał od czasu do czasu, kiedy dzwonił do Julii i mówił, że musi zostać w mieście. I, przede wszystkim, pomyślał, przede wszystkim ja sam, bo pozwalam nam wszystkim żyć w ten sposób, choć zarabiam 15 tysięcy rocznie. Ale co mam zrobić? Za dwa, trzy lata zwolni się fotel wiceprezesa, kiedy stary Cader przejdzie na emeryturę i muszę żyć tak, jakbym już na nim siedział, bo jeśli nie będę tak żyć, nawet nie wezmą mnie pod uwagę — „nie jest materiałem na szefa” — i skończę jak Charlie Wainwright — dobry stary Charlie — główny kasjer, z małym złotym zegarkiem i jeszcze mniejszą emeryturą.

Nadciągała burza, zerwał się wiatr i Eliot czuł, jak zbyt wielki dom, obciążony dwoma hipotekami, trzeszczy na wietrze i woła o pieniądze, o więcej pieniędzy, nie tylko z pożyczki konsumpcyjnej, którą spłacał w lichwiarskich ratach, ale wielkich pieniędzy, grubej forsy, ciężkiego szmalu.

Usiadł ze zmęczeniem za biurkiem i zaczął rachować. Nawet z hipotetyczną premią na Boże Narodzenie będzie pod kreską. Przez jakiś czas może żonglować rachunkami, zapomnieć o doktorze

1 dentyście, zwodzić wierzycieli, ale prędzej czy później wszyscy zrobią się paskudni (podczas gdy przez cały czas napływać będą nowe rachunki) i wejdą mu na pensję, i to będzie koniec jego kariery w banku. Wybiła druga, nim poczołgał się do łóżka.

Następnego dnia była sobota i wstał wcześnie, na wpół przytomny ze zmęczenia, gdy reszta domu jeszcze spała. Zostawił list do Julii, że wróci po południu, i pojechał na północ, w kierunku swojej ostatniej nadziei.

Nikła to była nadzieja. John Wardell, wuj Julii, nigdy go nie lubił i nigdy nie skrywał swoich uczuć. Zawsze dawał mu do zrozumienia, że uważa go za prowincjonalnego dorobkiewicza, który miał czelność wżenić się w świetną starą rodziną z Nowej Anglii. Z katedrą na Harvardzie i reputacją światowego autorytetu w dziedzinie cywilizacji klasycznej sprawiał, że Eliot czuł się jak jakiś ubrany w spodnie brodaty Got, który przypadkiem trafił do rzymskiego senatu. Ale wuj John był już na emeryturze, mieszkał wygodnie na starej farmie na północy stanu, co lato wyjeżdżał do Grecji i Włoch, zimował w Indiach Zachodnich. Powinien mieć kupę forsy, którą zostawi Julii, swojej jedynej krewnej, i Jim Eliot chciał dostać trochę już teraz, kiedy potrzebowali pieniędzy, nie później, gdy spadek będzie po prostu dodatkowym dochodem.

Wielki czarny pies zaczął ujadać dziko, prężąc smycz z ogniwek. Eliotowi skojarzył się z rzymskim psem z malowidła ściennego w Pompei. *Cave canem*, pomyślał, cofając się nerwowo, ostrożnie, uspokajająco wyciągając rękę i czekając, by ktoś odwołał bestię. Po paru minutach drzwi się otworzyły i w progu stanął John Wardell, ubrany w sztruksy i czerwoną flanelową koszulę.

— Leżeć, Brennus. Spokojnie, mały.

Pies przywarował obojętnie. Eliot wyminął go nerwowym krokiem, z wyciągniętą ręką.

— I co, Jim — powiedział John Wardell, witając się z nim niedbałym uściskiem dłoni — nie widuję cię zbyt często, z pewnością więc masz jakiś kłopot. Wejdź, napijemy się.

Dojście do sedna zajęło sporo czasu — trzy drinki, gwoli ścisłości — ale w końcu Eliot opowiedział wszystko staremu, który go nienawidził.

— Nie dla mnie, dla Julii i dzieci. Jeśli ktoś mi nie pomoże, będzie po nas.

— Oczywiście, oczywiście, Jim — odparł wuj. — Wiem, że nie myślisz o sobie. Ale na jedno wychodzi — dodał ze złośliwym uśmiechem. — Nie widzę wyjścia z sytuacji, chyba że zaczniesz defraudo—wać pieniądze z banku.

Eliot nerwowo poderwał głowę, jakby stary odczytał jego myśli. Potem zmusił się do uśmiechu.

— Myślałem, że może wesprzesz nas na jakiś czas... wuju Johnie — rzekł ponuro i szczerze.

John Wardell wybuchnął śmiechem.

— Myślisz, że mam pieniądze, Jim? Myślisz, że Julia ma widoki na spadek? Czekasz na buty po nieboszczyku? Dobry Boże, mam tylko emeryturę, i to niewielką, i rentę, którą wykupiłem przed laty. Wszystko kosztuje. Wystarcza mi na życie, na nic więcej.

Eliot popatrzył na niego bezradnie i wyciągnął szklaneczkę po dolewkę, nieświadom klinicznego, oderwanego rozbawienia starca.

— Do diabła z tym — powiedział głośno — gdybym miał trochę forsy, odbiłbym się od dna. Mógłbym zaryzykować. Tendencja zwykła. Mógłbym być bogaty.

— Ale masz mniej niż nic, Jim — rzekł stary — jesteś winien więcej, niż posiadasz. Nawet gdybyś znał przyszłość, nie zebrałbyś dość gotówki, by gra była warta świeczki.

— Gdybym znał przyszłość — powiedział Eliot — jakoś zdobyłbym pieniądze.

— Tylko tego chcesz, Jim? To naprawdę proste. Wystarczy zasięgnąć rady wyroczni — albo sybilli, jak zwali ją Rzymianie. Zadasz pytanie, a bóg udzieli ci odpowiedzi ustami swojej kapłanki. Każdy dom powinien mieć swoją wyrocznię.

Przez chwilę Eliot myślał, że stary stał się bardziej wyrozumiały. Patrząc na ciemnoczerwone usta pod jastrzębim nosem i białą aureolę włosów zrozumiał, że ogień niechęci został podsycony.

— Chciałbyś mieć własną wyrocznię, Jim?

— Jeśli nie zamierzasz mi pomóc, przestań się ze mną droczyć.

— Petroniusz pisze o wyroczni w butelce w Kurne. Wystarczyło karmić ją regularnie, a żyła wiecznie. Chciałbyś użyć czegoś takiego?

— Idę — mruknął Eliot, chwiejnie podnosząc się na nogi.

— Wcale nie żartuję, Jim. Od osiemnastu lat jestem ci winien prezent ślubny i myślę, że dziś go dostaniesz. Usiądź.

John Wardell wyszedł z pokoju i wrócił po dwóch minutach z niewielkim domkiem dla lalek. Postawił go ostrożnie na stole. Eliot z ciekawością przyjrzał się domkowi. Nie był standardową wersją wiktoriańskiego dworku, tylko dziwną reminiscencją czegoś, co widział dziesięć lat temu, w czasie podróży po Europie, w Pompejach.

Starzec popatrzył na niego bacznie.

— Poznajesz? Dom Vettii w Pompejach. W idealnej skali. Popatrz na atrium i basen, na pokoje po obu stronach. Tam go kupiłem.

Eliot pochylił głowę, żeby spojrzeć przez bramę na atrium i basen. Niewiele zobaczył, ale przypomniał sobie, że większość domków dla lalek ma dach na zawiasach i można go podnosić, by z góry obejrzeć wnętrze. Obmacywał przez chwilę bok modelu, szukając haczyka. Nagle wydało mu się, że z wewnątrz dobiega ciche szuranie. Gwałtownie odsunął rękę, potrącając domek i niemal zrzucając go ze stołu.

— Zostaw ją w spokoju — powiedział John Wardell ostro. — Nie patrz na Wyrocznię, ona tego nie lubi. Nigdy tego nie rób, pod żadnym pozorem.

— Chcesz powiedzieć, że w środku coś jest?

— Nie muszę, słyszałeś ją. Ale nie otwieraj, nigdy.

— A jak to działa? — zapytał Eliot, chcąc udobruchać starego

— Widzisz ten pusty basen za atrium? Napisz pytanie na skrawku papieru, złóż kartkę i włóż do basenu. Przynieś maleńką miseczką, napełnij ją mlekiem osłodzonym miodem i wsuń przez bramę. Potem odejdziesz i następnego dnia rano wyjmij karteczkę z basenu. Będzie na niej wypisana odpowiedź.

— Nie można tego przyspieszyć?

— Czasami można, ale nie radzę próbować. To powoduje zbędne zamieszanie.

— Możesz mi pokazać, jak to się robi?

John Wardell wzruszył ramionami. Wyszedł do kuchni i wrócił z suchym listkiem laurowym. Podpalił go i pokój wypełnił się aromatycznym dymem. Wsunął listek do domku i patrzył, jak wonne opary rozchodzą się po wnętrzu.

— Co chcesz wiedzieć? Cokolwiek. Napisz szybko.

Eliot oddał kawałek kartki i na jednej stronie napisał: „Kto wygra World Series?” Złożył świstek i wsunął go do pustego basenu.

— W porządku — powiedział John Wardell — teraz musimy wyjść. Zabierz butelkę.

Kiedy wrócili po pół godziny, zapach liścia laurowego już się ulotnił. Wardell pochylił się i wyjął z domku złożony kawałek papieru. Eliot rozwinął go i przeczytał szybko. Potem przeczytał powoli.

— *Fringillidae sunt*. Co to za bzdury?

— Drugie słowo jest łatwe — powiedział John Wardell. — Znaczy: oni [zwycięzcy] są. Ale *Fringillidae*... zaczekaj chwilę.

Wyjął trzeci tom dwudziestotomowego słownika klasycznego, wertował go przez parę minut, potem pokręcił głową.

— Nie znam takiego słowa. Nigdy się z nim nie spotkałem.

— Do diabła, jaki więc z tego pożytek?

— Powiniennem cię uprzedzić, że Wyrocznia posługuje się kilkoma językami i wyraża niejasno. Wiesz — „Jeśli król Krezus przekroczy ze swoim wojskiem rzekę Halys, zniszczy potężne cesarstwo” — które? Okazało się, że własne. Nie odczytał proroctwa właściwie.

— Nie martw się o mnie, rozgryzę to.

— W takim razie nie będziesz miał kłopotów.

W głosie wuja Johna pobrzmiwała nieprzyjemna nuta drwiny, jakby stary wiedział o nim coś bardzo brzydkiego, coś, co on również powinien wiedzieć, coś, na co powinien się zachnąć, jeśli posiadał wrażliwość umożliwiającą zrozumienie lub wyczulone poczucie godności własnej.

Nagle Eliot opamiętał się. Co on tu robi? Słucha zrzędzenia stetryczalego ramola. Chciał pieniędzy, ratunku, haka do wbicia w górę, z której spadał, a ten szalony i wrogo usposobiony stary piernik proponował mu niebieskie migdały.

— Słuchaj, nie wiem, skąd wytrzasnąłeś tę swoją Kasandrę za trzy grosze, ale jeśli nie sprawi ci kłopotu, czy mógłbyś mi powiedzieć, jak to było z tą... z tą Wyrocznią? Do licha, co to takiego? Skąd się wzięła?

— Naprawdę nie wiesz? — zapytał stary. — No tak, zapomniałem, skąd miałbyś wiedzieć. Domyślam się, że na tej swojej zaściankowej Sorbonie zrobiłeś kurs administracji, akwizycji albo wyceny dzieł sztuki.

Jaki wuj, taka bratanica, pomyślał Eliot ze złością, przypominając sobie wczorajsze docinki Julii. Myślałby kto, że jestem jakimś dzikusiem, bo nie studiowałem w Harvardzie. Przez chwilę kusiło go, żeby wyjść, ale znajdował się w zbyt rozpaczliwym położeniu i poza tym pomyślał, że po raz pierwszy od czasu znajomości z wujem wyczuwa w nim coś innego prócz tej zimnej, szyderczej wrogości, z jaką zwykle był traktowany, jakby z pozycji outsidera awansował do rangi gamoniowatego, trzeciorzędnego krewnego, ale mimo wszystko krewnego. Albo może do poziomu wielkiego, głupiego, niezdarnego psa z denerwującymi nawykami, ale należącego do rodziny.

— Sybilla Kumańska — mówił wuj John — jak wiedziałbyś, gdybyś otrzymał przyzwoite wykształcenie, uważana była za nieśmiertelną. Początkowo była młodą kapłanką Apollina i bóg przemawiał jej ustami, gdy w transie przepowiadała przyszłość tym, którzy o to prosili. Było sześć takich kapłanek, ale Apollo upodobał sobie tę z Kurne. Ofiarował jej dar prorokowania i nieśmiertelności. Zakochał się jak zwyczajny śmiertelnik, ale nie była to ślepa miłość: kiedy pewnej nocy przyłapał swoją przyjaciółkę na baraszkowaniu w trawie z miejscowym rybakiem, wprawdzie nie odebrał jej darów, lecz roztropnie powstrzymał się od dołączenia do nieśmiertelności daru wiecznej młodości. I aby zagwarantować, że nie powtórzy się historia z młodym rybakiem, zmniejszył ją do wielkości wyrosniętej myszy, zamknął w pudełku i przekazał kapłanom świątyni, by służyła im przez całą wieczność.

— Wierzysz w te bajdy?

Wuj John nieznacznie wzruszył ramionami. W geście tym było zbyt wiele niepewności, by miał jednoznaczną wymowę.

— Naprawdę nie wiem. U Liwiusza czytamy, że drugi król Rzymu rozmawiał z nieśmiertelną wyrocznią w Kurne i że było to około 700 roku p.n.e. Petroniusz siedemset czy osiemset lat później pisał, że ta sama osoba, czy może istota, żyła w jego czasach. Przy paru okazjach próbowałem dociec prawdy, wyjść poza mity, ale za każdym razem uzyskiwałem odpowiedź, która wprowadzała tylko jeszcze większy zamęt. Może Wyrocznia spadła z nieba i nie mogła wrócić. Może zabrzmiałoby bardziej naukowo i racjonalnie, gdybym mówił o przeniknięciu z innego kontinuum, innej ramy iluzji, jakiegoś innego...

— Och, Chryste, przestań pieprzyć — szepnął Eliot. Na głos powiedział: — Co jest w środku? Karaluch, mysz, coś innego? Jak zrobiłeś tę sztuczkę z pisaniem? Na zasadzie starej maszyny do robienia pieniędzy?

— Dopóki nie podniesiesz wieka i nie spróbujesz się dowiedzieć, i dopóki Wyrocznia będzie ci mówić, co nastąpi, jakie to ma znaczenie? Jeśli chcesz uważać mnie za tresera szcurów lub wszy albo wierzyć, że cierpię na demencję, bo to poprawi ci samopoczucie, proszę bardzo. Albo jeśli twoje pojęcie wszechświata jest zbyt ograniczone, by pogodzić się z cudem — z Marsa czy Księżyca, z przeszłości czy z przyszłości, skąd sobie życzysz — wtedy daj sobie spokój i obaj uznamy tę wizytę za niebyłą. Mogę ci tylko powiedzieć, że kupiłem ten domek parę lat temu gdzieś między Kurne i ruinami Pompei, że dostałem go tanio i że widziałem, jak działa. *La vecchia religiom* — stara religia, powiedział mi ten człowiek i chciał szybko dobić targu — pewnie wykopał to nielegalnie.

Ten stary postrzeleniec naprawdę w to wierzy, pomyślał Eliot. Patrzył na starszego mężczyznę z rosnącym niepokojem. Ani przez chwilę nie uwierzył, że w domku dla lalek mieszka Wyrocznia z Pompei, z Kurne czy skąd tam u diabła pochodziła, lecz stary wydawał się być tego pewien, a on nauczył się nie lekceważyć starego. Czy to możliwe? Gdyby noc nagle rozwarła się niczym olbrzymie usta, tuż za peryferiami jego pojmowania, i wyrzygnęła prawdziwy cud? Postanowił pogodzić się z tym niesamowitym...

— Słuchaj — powiedział nagle. — Wierzę ci w sprawie pieniędzy. Masz tylko emeryturę i rentę. Poza tym jesteś goły, podobnie jak ja. Sprzedasz mi domek? Teraz nie mogę zapłacić, ale jeśli to coś naprawdę działa, będę miał forsy jak lodu. Już świtają mi pewne pomysły. Tylko podaj cenę.

— Nie — odparł stary. — Weź go jako zaległy prezent ślubny. Weź go sobie. W moim wieku już wiem o przyszłości wszystko, co trzeba. W zeszłym roku niczym ostatni głupiec zapytałem, ile mi życia zostało i wierz mi, taka wiedza nie sprawia radości.

John Wardell urwał i popatrzył na Eliota z dziwnym wyrazem twarzy. Po sekundzie odzyskał normalne opanowanie i dystans, ale w tej krótkiej chwili Eliot, choć zwykle ślepy na nie wyrażone słowami uczucia innych, wyczytał w oczach starego zimną, rozpaczliwą nienawiść kogoś, kto ma umrzeć do kogoś, kto będzie żyć dalej.

— Śmiało, bierz — podjął stary. — Tylko pamiętaj, żeby co wieczór karmić Wyrocznię mlekiem z miodem. Nie otwieraj dachu domu. Nie lubi, gdy ktoś jej przeszkadza albo na nią patrzy. Na noc zostawiaj pytania, lecz nie spodziewaj się odpowiedzi przed świtem. Nie próbuj jej popędzać.

— Jestem naprawdę wdzięczny.

— Nie ma za co — odparł starzec z dziwnym uśmiechem. — Jeszcze mi nie dziękuj. Domyślałem się, że sam trafisz do wyjścia.

Po powrocie do domu Eliot z zaskoczeniem stwierdził, iż Julia jest trochę wzruszona tym, że na własną rękę wybrał się z wizytą do wuja Johna. Była ciepła i czuła, więc dopiero późno w nocy mógł wysmyknąć się do samochodu i przenieść domek do małego pokoju w piwnicy, gdzie urządził

sobie zaciszny prywatny gabinet.

W poniedziałek zabrał karteczkę do biblioteki publicznej i poprosił o przetłumaczenie. W ciągu paru dni wykonał dziesięć telefonów, na próżno, podczas gdy World Series skurczyły się do trzech spotkań i zakłady bukmacherskie skakały jak szalone. Wreszcie, dwa dni po zakończeniu rozgrywek, kartka trafiła do bibliotekarza, który na studiach specjalizował się w zoologii. *Fringillidae*, powiedział, to rodzina ptaków, wśród których najbardziej znany jest północnoamerykański kardynał.

Eliot stał w czytelni, drapiąc się po głowie, dwa dni za późno, żeby zarobić na zwycięstwie Kardynałów z St. Louis. To wtedy uświadomił sobie, że przepowiednie Wyroczni czasami są zbyt niejasne, by mogły mieć jakąś wartość, a czasami jest zbyt późno, by odnieść z nich jakąś korzyść.

W ciągu paru następnych tygodni wypróbował Wyrocznię, co noc sumiennie wstawiając do domku miseczkę mleka z miodem, co rano, kiedy zadał pytanie, cierpliwie wyciągając odpowiedź. Był zadowolony z wyników testów.

Pod koniec października zapytał Wyrocznię, kto wygra wybory prezydenckie i uzyskał odpowiedź: *filius Johanni victor est*. W tym czasie zainwestował w słownik łaciński i bez problemu przetłumaczył mniej niż elegancką łacinę (ostatecznie Wyrocznia z urodzenia była Greczynką), „Syn Johna jest zwycięzcą”, a dzień czy dwa później przeczytał nagłówki: „Johnson Landshde.”

Ale nadal był ostrożny. Tydzień później zapytał Wyrocznię, czy powinien kupić udziały Space Industries, Ltd., Kanada, po dwa centy za akcję. Dwa słowa *caveat emptor* wybiły mu to z głowy, a w następnym miesiącu bez większego zdziwienia przeczytał, że cena akcji spadła do zera i że zarząd firmy postawiony został w stan oskarżenia.

W ramach ostatniego sprawdzianu zapytał Wyrocznię, kiedy umrze John Wardell. Patrzył na odpowiedź, *Ule fuit*, kiedy Julia odbierała rozmowę międzymiastową: wuj zmarł tej nocy we śnie. Biedny staruszek, pomyślał Eliot, męcząc się na trwającym bez końca nabożeństwie żałobnym. Mieliśmy swoje zatargi, ale w końcu chyba trochę mnie polubił. Przynajmniej chciał wyświadczyć mi przysługę.

Jeden z najlepszych klientów banku, Max Siegel, znany Jimowi Eliotowi od pięciu lat, pracował w przemyśle tekstylnym, a dokładnie zajmował się kupnem i sprzedażą tkanin. W jego ustach interes wydawał się stosunkowo prosty: Kupujesz partię nie farbowanego materiału — często na kredyt — przewidujesz, jakie kolory będą modne w nadchodzącym sezonie, każesz ufarbować materiał i odsprzedajesz z zyskiem. Ale Jim Eliot wiedział, że sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana i niebezpieczna. W przypadku dokonania nietrafnego wyboru człowiek zostawał z partią tkanin ufarbowanych na niewłaściwy kolor, wartości kilkuset tysięcy dolarów. W takim przypadku mógł je trzymać, płacąc za magazyn, albo kazać przefarbować i pokładać w Bogu nadzieję, że koszt przefarbowania pozwoli mu utrzymać się w biznesie. Max Siegel odznaczał się niesamowitym drygiem do przewidywania modnych kolorów i bank z przyjemnością udzielał mu krótkoterminowych pożyczek, gdyż zawsze spłacał je przed wyznaczonym terminem.

— W porządku, Max — powiedział Jim Eliot przy drugim martini — nie będzie kłopotów z pożyczką. Wiesz, że twój kredyt jest pewny. A propos, jaki będzie kolor w tym roku?

— Chciałbyś zaryzykować, Jim? Opuść sobie, dostajesz pensję regularnie co dwa tygodnie. Wpłać forszę do banku.

— Nie, chciałbym dać cynk Julii.

— Leśna zieleń, na sto procent.

Ten nocy Eliot zadał pytanie Wyroczni i rankiem otrzymał odpowiedź: *ex Tyre ad Caesarem*. Łatwo było odczytać — „z Tyru do cezara” — ale nie miało to sensu. Znów udał się do biblioteki i tym razem dowiedział się w dziesięć minut, że w mieście Tyr wyrabiano cenny purpurowy barwnik,

który był zarezerwowany dla szat rzymskich cesarzy.

Jim Eliot prowadził kilka kont inwestycyjnych, z których najlepsze, w wysokości około 500 tysięcy dolarów, należało do pewnej starej panny spoza miasta. Rzadko ją widywał i starsza pani zwykle zdawała się na bank, pod warunkiem, że zyski będą się kształtować powyżej pięciu procent. Przez cały czas mniej więcej jedna dziesiąta kapitału znajdowała się na rachunku oszczędnościowym, czekając na zyskowną inwestycję, a dziesięć procent w gotówce leżało w depozycie, zgodnie z życzeniem właścicielki. Był to pierwszy raz Eliota i ręce mu się pociły, gdy brał 10 tysięcy dolarów ze skrytki depozytowej.

Za gotówką kupił bele surowego materiału, a potem umówił się z farbiarzem na trzydziestodniowy kredyt. Kiedy podał kolor — królewska purpura — człowiek popatrzył na niego tak, jakby chciał zerwać umowę. Ale Eliot już się nie bał.

— Purpura — powtórzył — królewska purpura, cała partia.

W następnym tygodniu Max Siegel umówił się z nim na lunch.

— Tim — powiedział — wpadłem w poważne tarapaty. Widziałem zapowiedzi w „Vogue”. W tym roku obowiązuje purpura, królewska purpura, a ja jestem ugotowany z leśną zielenią.

— Chcesz wziąć następny kredyt, Max?

— Za późno. Nim przefarbuję towar, rynek będzie zalany purpurą. Wszyscy się przestawiają. Mógłbym spisać zieleń na straty i czekać do przyszłego roku, ale gdyby wpadła mi w ręce purpura, wyszedłbym na swoje.

— Co by było, gdybyś dostał purpurowy materiał wartości 10 tysięcy dolarów?

— Zapłaciłbym 25 tysięcy i jeszcze nieźle na tym zarobił.

W następny poniedziałek Jim Eliot spieniężył czek Siegela, zapłacił farbiarzowi, odłożył 10 tysięcy do skrytki depozytowej, podreperował swoje konto. Wystarczyło na spłatę najbardziej pilnych długów, znacznej części drugiej hipoteki, kredytu w prywatnym towarzystwie pożyczkowym, ale na koniec został bez grosza, a rachunki nie przestały napływać. Jedno śmiałe posunięcie nie wystarczyło.

Na giełdzie dużym powodzeniem cieszyły się akcje azjatyckiej kopalni złota, których cena wahała się w ciągu dnia od jednego do półtora dolara. Na Wall Street wszyscy wiedzieli, że jeśli kiedyś cena złota gwałtownie podskoczy, ktoś się nieźle obłowi. Eliot zadał pytanie Wyroczni i dostał odpowiedź, tym razem po angielsku: „Morze będzie pełne złota, tak jak pełne jest ryb.” W sformułowaniu było coś dziwnego, dlatego postanowił zaczekać. W następnym tygodniu dowiedział się, na wszelki wypadek odpukując w niemalowane, o nowym procesie pozyskiwania złota z wody morskiej, co sprawiło, że cena kruszcu spadła na całym świecie.

Ale unikanie strat nie wystarczało. Potrzebował odpowiedzi, która pozwoli mu zarobić. Rachunki napływały i suma na koncie znów spadła do około stu dolarów. Robiło mu się niedobrze od niejasnych odpowiedzi Wyroczni i jej odpowiedzi w obcych językach. Napisał list, żądając jasnych wiadomości po angielsku. Następnego dnia rano przeczytał odpowiedź: *Vox dei multas linguas habet* [Głos boga ma wiele języków].

Bardzo zabawne, pomyślał i tej nocy umyślnie nie dał jeść Wyroczni. Wstawił miseczkę, ale nie napełnił jej mlekiem i miodem. Powtórzył żądanie. Spalił liście laurowe. Rano nie było odpowiedzi. Sytuacja powtarzała się przez tydzień. Raz, gdy przyłożył ucho do ściany domu, usłyszał szuranie, a kiedy indziej pomyślał, że słyszy cichy głosik. Odpowiedzi jednak nie było i uświadomił sobie, że coś, co przeżyło dwa tysiące lat, może pościć przez długi czas.

W środę miał paskudny dzień. W pracy zapomniał odpowiedzieć na list od jednego z klientów i oburzony starszy pan napisał skargę bezpośrednio do prezesa banku. W domu czekał na niego list ze

szkoły Michaela, przypominający, że należy zapłacić chesne za rok. Potem Julia, niezwykle elegancka w nowych spodniach ze złotej lamy i pulowerze z lamparciej skóry, przerwała mieszanie martini i podniosła głowę znad dzbanka, by zakomunikować mu, że zapisała Pamelę na lekcje dykcji — „te klamerki, kochanie, sprawiają, że mamrocze” — oraz na zajęcia w szkole wdzięku; że pralka zepsuła się na dobre; że Durkessowie z sąsiedztwa sprawili sobie nowego vana; że najwyższy czas zatrudnić gosposię na stałe, nawet gdyby mieli dobudować nowy pokój, i, na koniec, że Pongo, kot, potrzebuje serii zastrzyków z witaminami.

Eliot wypił pięć martini przed kolacją, a potem drzemał w fotelu. Zbudził się po pierwszej; Julia już spała. Wsunął głowę pod kran, puścił zimną wodę. Nalał sobie szkockiej z dużą ilością lodu i siedział, pogrążony w myślach. Po jakimś czasie ruszył do piwnicy, z Pongiem, tłustym, ponurym, wykastrowanym kocurem pod pachą, wiercącym się i miauczącym.

Julia wymyśliła sobie, żeby czasami wyprowadzać Ponga na smyczy, jakby był psem. W drodze do piwnicy Eliot przetrząsnął szufladę w kuchni, znalazł ozdobną smycz z wplecionymi srebrnymi nitkami i przypiął ją do obroży nabijanej okruchami kryształu górskiego. W swoim gabinecie przywiązał koniec smyczy do rury. Pongo siedział i wylizywał się leniwie. Eliot podszedł do domku i przesunął rękę wzdłuż krawędzi dachu, szukając haczyka. Wysunął go. Przez chwilę myślał o przestrodze starego Wardella, który przestrzegał przed zagładaniem do wnętrza domku. Potem podniósł dach umocowany na zawiasach. Przechylił stojącą lampę i zajrzał ciekawie do środka. W jednym z pokoików przy atrium zobaczył na leżance coś, co przypominało małą staruszkę. Miała jakieś sześć cali wzrostu i była odziana w ciemną szatę. Odwróciła głowę i popatrzyła na niego, zimno i ze złością.

Podniósł ją, trzymając mocno w palcach jak rybak węgorza, ale staruszka prawie się nie wyrywała. Zaniósł ją do kota. Przez chwilę bał się, że Pongo zerwie smycz. Kocur przeżył się i miauczał przeraźliwie, pragnąc zatopić zęby w małym, ciepłym stworzeniu. Dzieliło ich tylko parę cali. Eliot widział, jak poruszają się szczęki sfrustrowanego kota i słyszał gorączkowe szczekanie zębów. Przysunął kobietę—lalkę jeszcze bliżej, tak blisko, że czuł koci oddech i drobiny śliny na grzbiecie ręki. Ciało między jego palcami trzęsło się słabo. Pongo zaczął ryczeć. Po chwili Eliot położył Wyrocznię z powrotem na leżance i zamknął dach domku. Zostawił list, ten sam, co w poprzednie noce i nie napełnił miseczki.

Następnego dnia rano czekała na niego wiadomość: „Zapytaj, a otrzymasz odpowiedź.”

Tej nocy zaczął karmić Wyrocznię.

Nazajutrz „pożyczył” pięć tysięcy od tej samej klientki, co wcześniej, a wieczorem postawił pytanie. Nie miał czasu, by czekać na korzystny kurs na giełdzie czy na okazyjny interes; był bliski bankructwa, a dokładnie miał zostać bankrutem, gdy tylko spłyną wszystkie rachunki. Zależało mu na trzech zwycięzcach, na trzech koniach w trzech gonitwach. Nawet gdyby wszystkie były faworytami, zgarnie jakieś sto tysięcy, odłoży to, co pożyczył, spłaci długi i zostanie mu dość pieniędzy, by stanąć na nogach.

Rankiem trzy imiona widniały na skrawku papieru. Przepisał je starannie do notesu: Sun-Ray, Snake-killer i Apollo: pierwsza, druga i trzecia gonitwa na miejscowym torze.

Przy studolarowym okienku kupił pięćdziesiąt kuponów, obstawiając Sun-Ray, i parę minut później stał przy celowniku i patrzył, jak zakłady spadają z 5-3 na 3-2. Mimo to, pomyślał, wygram 12 i pół tysiąca na obstawienie drugiej gonitwy. Nawet nie czekał na finisz. Na ostatniej prostej Sun-Ray miał siedem długości przewagi i ciągnął. Eliot jako jeden z pierwszych znalazł się przy kasie, by spieniężyć kupony.

Nastąpiło małe opóźnienie w wypłaceniu wygranej. Musiał podać nazwisko i adres oraz pokazać

swoją licencję pracownika banku — „dla chłopców ze skarbówki” — wyjaśnił przepraszająco kasjer, wyliczając dwanaście i pół tysiąca dolarów. O Chryste, pomyślał Eliot, zapomniałem o fiskusie, niewiele mi zostanie po zapłaceniu podatku. Następnym razem, myślał, następnym razem, gdy tylko wykaraskam się z dołka, będę trzymać się zysków kapitałowych.

Przy studolarowym okienku postawił wszystko na Snake-killera. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie byłoby bezpieczniej zostawić pięć tysięcy, żeby odłożyć je nazajutrz, ale w tej chwili bezpieczna gra już nie miała sensu. Zabrnął za daleko. Snake-killer nie przypadł mu do gustu, podobnie jak stawki, obniżone przez jego zakład. Na szczęście miał 10—1 na Apolla w trzeciej gonitwie i nawet gdyby postawił 25 tysięcy dolarów, zakłady powinny utrzymać się na poziomie 4—1 albo 5—1.

Drugą gonitwę oglądał do końca. Mało brakowało. Stał przy barierce, sparaliżowany ze strachu, gdy Snake-killer szedł łeb w łeb z jakąś klaczą. Wreszcie wyskoczyły numery na tablicy totalizatora i zobaczył, że jego koń wygrał. Oddychał bardzo szybko, pot zalewał mu oczy i ledwo trzymał się na nogach.

Potem wystartował do okienka wypłat, czując, jak serce łomocze mu w piersiach. Niewiele czasu zostało do trzeciej i dla niego ostatniej gonitwy. Znowu został poproszony o dokumenty, szybko podał swoje nazwisko i adres.

Po paru minutach szedł z 25 tysiącami zielonych do okienka studolarowego, by postawić na Apolla, i niebawem wpychał do kieszeni długi pas kuponów. Dał sobie mentalnego kopa, że nie zachował tych pięciu tysięcy, które wziął od klienta. Oddam jutro rano, obiecał sobie, jutro z samego rana. Popatrzył na stawki na tablicy totalizatora: nawet po jego wielkim zakładzie nadal wynosiły 5—1; za jakieś pięć minut dostanie 125 tysięcy.

Tym razem nawet nie wyszedł na tor, tylko stał przy kasach, patrzył na tablicę i czekał, aż wyskoczy numer 11, Apollo. Poszło bardzo szybko. Usłyszał ryk, który powitał start, potem nierówne crescendo dźwięku, gdy konie zniknęły za zakrętem, następnie coś w rodzaju ciszy, gdy numer 11 wychodził na czoło stawki. Eliot odwrócił się od tablicy i podszedł szybko do kasy, wyciągając kupony. Na torze, pomyślał, biegnie moja kariera w banku. Pieniądze wpłacę od razu, z wyjątkiem pięciu tysięcy. Ale, na Boga, na osobiste konto. Julia nie dostanie ani centa.

— Chwileczkę — powiedział kasjer. — Wynikły jakieś wątpliwości.

Eliot uśmiechnął się z pewnością siebie. Uśmiechał się, gdy kasjer znowu odwrócił się w jego stronę.

— Masz zły dzień, stary. Właśnie zdyskwalifikowali Apolla. Możesz podrzeć kupony.

Eliot rozejrzał się i zobaczył, że miejsce 11 zajmuje 4, która przyszła druga.

— Niemożliwe — wydukał — powiedziała mi...

— Pech, stary, weź się w garść, odejdz od okienka, ludzie czekają. Odszedł chwiejnie, patrząc przez długi czas na tablicę, mając nadzieję, że w jakiś nieprawdopodobny sposób nastąpi apelacja od apelacji. Jednak nic się nie stało, więc wreszcie poszedł do domu. W pociągu jeszcze raz przeczytał wiadomość: „Najszybsze jutro będą: Sun-Ray, Snake-killer, Apollo.” O Chryste, pomyślał, ta suka znowu mnie wystawiła — „najszybsze”, ani słowa o dyskwalifikacji. Tym razem dam ją kotu, niech się z nią trochę pobawi.

W domu nikogo nie było. Tylko liścik od Julii. „Pamela jest na pizam-party u Evansów. Ja wybieram się do kina. Jedzenie jest w lodówce. Pongo siedzi w piwnicy, pamiętaj, żeby go wypuścić.”

Wypił szybkiego drinka. Pięć tysięcy dolarów do tyłu. Znikąd nie wytrzaśnie takiej sumy. Dom obciążony hipoteką, samochody niewiele warte, polisę na życie już zastawił. A lada dzień panna

Winston niespodziewanie zjawi się w banku, jak zawsze, żeby przeliczyć pieniądze w skrytce depozytowej. Albo inspektorzy zrobią kontrolę. Gdyby tylko ta wredna Wyrocznia tak nie mąciła. W skrytce depozytowej zostało jeszcze sporo gotówki. Może spróbować jeszcze raz. Nie wlepią mi wyższego wyroku, jeśli mnie złapią. Tym razem, powiedział sobie, naprawdę ją zagłodzę; tym razem dam ją kotu, aż będzie błagać mnie o pomoc.

Był niezłe wstawiony, gdy przypomniał sobie o liście Julii i pobrnął do piwnicy, żeby wypuścić kota. Z początku nie zwrócił uwagi na Ponga skulonego w kącie gabinetu; kątem oka zarejestrował jego obecność, to wszystko, gdy z kocią smyczą w ręce zmierzał spieszenie do domku dla lalek.

Popatrzył na domek. Wejście w ruinie. Cienkie drewno i papier–mache rozdarte, głębokie rysy wokół basenu, gdzie sięgnęły pazury... Otworzył szybko haczyk i podniósł dach. Leżanka Wyroczni poniewierała się w kącie pokoiku, w kawałkach. W domku nie było nikogo.

W kącie gabinetu Pongo mrucał ekstatycznie. Eliot ruszył powoli w jego stronę, a kot nastroszył się, zaciskając w łapach coś, co wyglądało jak zmięty ciemny gałganek. Eliot dziko smagnął kota po grzbiecie. Kocur czmychnął, zostawiając swoją zabawkę.

Eliot podniósł ją. Podarta czarna szmatka, okręcona wokół czegoś zgruchotanego. Gdyby nie poczuł wilgoci i nie podniósł palca do światła, gdyby nie zobaczył plamki krwi, pomyślałby, że to tylko lalka bez głowy.

Jedną z licznych fobii Julii był chorobliwy strach przed włamywaczami, ale kiedy kupił pękaty rewolwer Bankers Special kaliber .38, kazała mu go trzymać nie w nocnej szafce przy łóżku — bo równie przeraźliwie bała się broni — tylko w szufladzie biurka w gabinecie w Piwnicy, pod kluczem.

Klucz nosił na kółku z innymi kluczami, więc szybko otworzył szufladę i wyjął rewolwer, zważył go w dłoni. Wymachując, nim podszedł do domku dla lalek. Jeszcze raz zajrzał do środka, wiedziony dziką, nieprawdopodobną nadzieją, że Wyrocznia nadal tam jest, że jakimś cudem zdołała wymknąć się kotu. Niestety, domek był pusty albo raczej prawie pusty, bo w kącie basenu poniewierał się kawałeczek papieru.

Wyciągnął go. Kiedy umrę, pomyślał i odczytał ostatnią wiadomość, jaką dostał: „*ille* umrzesz [dzisiaj].”

Wystrzał rewolweru w zamkniętej piwnicy zabrzmiał jak huk armaty.

Julia wybrała się na dwa filmy. Żaden z nich nie był zbyt dobry, ale skoro zapłaciła za bilet, chciała go wykorzystać, dlatego siedziała do końca nudnego seansu. Po powrocie do domu zaparkowała samochód i weszła przez garaż do kuchni. Wnętrze wyglądało tak, jakby urzędował w nim szalony kucharz. Na półkach walały się poprzewracane puszki i butelki. Szafka z przyprawami wisiała krzywo na ścianie, a na kuchennym stole leżał otwarty słoiczek z liśćmi laurowymi.

Pozbierała je mechanicznie, niemal bezmyślnie, potem zaczęła szukać męża. Nie było go w salonie ani w sypialni, więc w końcu postanowiła zajrzeć do piwnicy. W głównej części nie paliło się światło, ale widziała nikły żółty blask sączący się spod drzwi gabinetu. Zapaliła lampę sufitową.

Pongo leżał na podłodze, sztywny i niezdarny w kałuży krwi. Przez chwilę zastanawiała się, co się stało, potem przy rozwalonej głowie martwego kota zobaczyła rewolwer. Podeszła do drzwi gabinetu. Usłyszała monotonną recytację niezrozumiałych słów. Powoli i ostrożnie otworzyła drzwi.

Pierwszą rzeczą, na jaką zwróciła uwagę, był ostry aromatyczny zapach spalonych liści laurowych i smużki niebieskawo–szarego dymu nad miedzianą popielniczką.

Jej mąż klęczał przed dużym domkiem dla lalek w kącie pokoju. W lewej ręce trzymał małą drewnianą miseczkę, a w drugiej pełną do połowy butelkę z mlekiem. Zawołała do niego ostro, ale nie odpowiedział. Weszła do gabinetu. Dach domku dla lalek był podniesiony. Nigdy wcześniej nie

zaglądała do środka więc ciekawie wyciągnęła szyję. Zobaczyła podwórko z pustym basenem i wokół kilka pokoików. W jednym stał mebelek przypominający antyczną leżankę. Coś na niej leżało. Po chwili Eliot odwrócił się i popatrzył na nią niewidzącym wzrokiem. Potem sięgnął do domku i podniósł z leżanki coś, co wyglądało jak szmaciana laleczka. Zaczął do niej mamrotać w języku, którego nie znała, zupełnie nie zwracając na nią uwagi. Klęczał i mamrotał, gdy poszła na górę, i nie poruszył się dużo później, gdy przyjechała karetka.

Tłum. Maria Gębicka-Frąc

Posłowie:

Odtworzenie kolejnych etapów prowadzących do powstania opowiadania zwykle wymaga czegoś zbliżonego do pamięci absolutnej, chyba że jest się jednym z tych metodycznych pisarzy, którzy zapisują pomysły, wątki i kolejne fazy. Jednakże w przypadku „Domku dla lalek” całkiem dobrze pamiętam, od czego się zaczęło.

Razem z synem Brianem, wówczas dwulatkiem, oglądaliśmy fantastyczny domek dla lalek w starym budynku Smithsonian. Briana zafascynowały lalki i zapytał, czy są one „prawdziwymi ludźmi”, czy się ruszają i tak dalej. Pomyślałem o makabrycznej historii M. R. Jamesa o osiemnastowiecznym domu lalek, gdzie lalki ożywały po północy, ale przecież nie mogłem wykorzystać ponownie tego samego pomysłu. Potem bez konkretnego powodu wspomniałem Palazzo Vettii w Pompejach i pomyślałem, że taki ładny letni dom rzymski byłby cudownym domkiem dla lalek. Następnie, błądząc myślami w okolicach Neapolu, przypomniałem sobie historię Petroniusza o Wyroczni, która jakimś sposobem została uwięziona w butelce. Później znów wróciłem myślami do pytania syna i różne wątki splotły się w z grubsza ciosaną całość. (Wszystko to trwało jakieś trzydzieści sekund.) W drodze do domu zacząłem rozważać to bardziej świadomie i systematycznie, i nim wysiadłem z samochodu, miałem w głowie w miarę dobrze zarysowany plan opowiadania. W taki właśnie sposób wymyślam większość swoich historii — wykorzystując każdy dostępny bodziec i każdą wolną chwilę; zawsze pracowałem na pełen etat i pisałem dla przyjemności, dla relaksu, bo uznałem, że powstrzymanie się od pisania jest trudne.

Niebezpieczna część „niebezpiecznej wizji” w mojej historii jest obecna od samego początku, Jim Eliot jest dorobkiewiczem, który się nie dorobił, kimś z wielką przyszłością za sobą. Chciałby „piąć się w górę”, jak mówią socjolodzy, w rzeczywistości tak samo jak w temperamencie. Wzenił się w klasę wyższą, mieszka na bardzo drogim podmiejskim osiedlu i ma nadzieję, że pewnego dnia jego dochody dorównają jego stylowi życia — dokładnie tak, jak niektóre ludy pierwotne wierzą, że odtwarzanie skutków spowodzi przyczynę: polej się wodą, a spadnie deszcz. Życiem Jima Eliota rządzi niebezpieczna wizja — wizja Krainy Mamony, wielkiego szmalu, szeleszczących banknotów spadających z drzew pieniężnych jak suche liście — i jeszcze przed otrzymaniem domku dla lalek zachowuje się tak, jakby jego wizja już się spełniła. Trwoni pieniądze; tym, czego nie uda mu się wydać, zajmuje się jego żona. Przeciąga strunę: tonie w długach, zongluje rachunkami, tańczy na linie, która staje się coraz cieńsza, bliska pęknięcia. Oto dlaczego chce uwierzyć w niewiarygodne. Oto dlaczego przyjmuje wątpliwy prezent od umierającego człowieka, który w oczywisty sposób jest jego wrogiem. Oto dlaczego nie powstrzymuje go jedno czy drugie niepowodzenie, będące jednoznacznym ostrzeżeniem. Jest opętany niebezpieczną wizją i wierzy, że tania sztuczka otworzy przed nim drzwi mennicy Stanów Zjednoczonych.

„Bogowie mają w zwyczaju — rzekł Cezar do króla Ariowistusa — wznosić ludzi wysoko, by tym większy był ich upadek.” Jim Eliot nie wspiał się wcale zbyt wysoko, wyjąwszy parę minut, ale jego upadek był równie bolesny.

Większość moich powieści i opowiadań obraca się wokół pieniędzy, seksu i pozycji społecznej.

To opowiadanie mówi o pieniądzach i różnych symbolach, które ludzie za nie wymieniają; o łatwych pieniądzach i wiecznie niebezpiecznej wizji — że tam gdzieś, zaraz za rogiem, w innym kraju, w innym czasie, w innym wymiarze, czeka dziecinnie prosty sposób ich zdobycia.

Wprowadzenie do „Seks i/lub pan Morrison”:

Nikt nie pisze jak Carol Emshwiller. Absolutnie nikt. I nikt nigdy nie pisał. Carol jest jedyna w swoim rodzaju, mówi własnym głosem, opiera się porównaniom, zgłębia dziedziny zwykle uważane za niebezpieczne i jest tak bliska uprawiania czystej sztuki, jak żaden ze znanych mi pisarzy.

Trudno mi mówić o Carol... a jeszcze trudniej o jej pracy. Jej dziełaspółgrają ze zwyczajną symboliką i standardami. Poza tym Carol (w obecności nieznanym) ma kłopoty z mówieniem o sobie. W czasie sesji analizy krytycznej ma skłonności do gestykulowania, mamrotania, szukania słów. Tego wahania nie widać w jej opowiadaniach. (Możliwe, że musi je przerabiać, żeby znaleźć język odpowiedni do danej historii, ale to jest *ex post facto*. Najważniejszy jest pomysł, zaś akceptowanie lub odrzucenie różnych przemawiających elementów do czasu osiągnięcia pożądanej harmonii to kwestia warsztatu pisarza.) Z tej rozbieżności wyciągam naturalny wniosek: Carol Emshwiller najbardziej elokwentnie wypowiada się w swojej pracy. Często tak bywa z najlepszymi pisarzami. Często tak bywa z wyjątkowymi ludźmi.

Co do uprawiania czystej sztuki, Carol jest pierwszym znanym mi pisarzem, któremu uwierzyłem, gdy usłyszałem, że pisze dla przyjemności. Opowiadania Carol rzadko są komercyjne. Są szczerymi wizjami osobistymi. (Zawsze utrzymywałem, że pisarz musi najpierw nauczyć się podstaw swojego rzemiosła, komercyjnego sposobu opowiadania historii w najprostszym, najbardziej bezpośrednim sposób, a dopiero potem porywać się na łamanie zasad i ustanawianie nowego podejścia. Carol jest, powtarzam, wyjątkiem od tej reguły. Od pierwszej przeczytanej jej pracy uważam, że jest innowatorem, eksperymentatorem. Albo zna zasady tak dobrze, że może przyjmować je lub odrzucać w zależności od potrzeb projektu, albo ma — jak podejrzewam — wrodzony talent i nie podlega tym samym zasadom co reszta nas. To akademickie rozważania, naprawdę, bo dowodem jest lektura. Carol za każdym razem wychodzi obroną ręką.) Jej „wizje” nigdy nie są całkowicie substancjalne. Zmieniają się i mieniają jak tęczowe plamy oleju w kałuży. Niemal jakby historie Carol skręcały za rogiem w inny wymiar. Widoczna jest tylko część zamierzonej pracy. To, co naprawdę ma do powiedzenia, jest przelotne, cieniste, nęcące jak przywoływanie z mgły. Nie można tego przyrównać do widocznej części góry lodowej ani ukrytego znaczenia haiku czy czegoś, co już skądś znamy. Powtarzam, to jedyne w swoim rodzaju. Z braku lepszego wyjaśnienia poprzestanę na skręcaniu—za—róg—w—inny—wymiar.

Jednakże bycie „czystym” artystą jest nie tylko konsekwencją rodzaju pracy, jaką ona wykonuje. To stan umysłu, od samego początku. Nieskończenie trudniej, bez porównania, jest uprawiać takie pisarstwo, niż tylko aspirować do sprzedania tego, co się napisze. Carol zdaje się nie przejmować sprzedawaniem swoich prac — przynajmniej nie w takim stopniu, jak większość pisarzy. Naturalnie, chce ujrzeć je w druku, ale gdyby w zamian miała napisać coś, czego nie chce, natychmiast spasa. Wyzaczyła sobie wysoki pułap jakości i porywa się na to, czego zdobycie graniczy z niemożliwością. I pisze z pełną świadomością, że może się nie sprzedać. Nie jest pod żadnym

względem pisarzem z wieży z kości słoniowej, który pisze wyłącznie do szuflady, który czuje się zbyt niepewnie, by wystawiać prace na publiczną krytykę. Nic z tych rzeczy. Carol jest świadoma realiów wydawniczych. Istnieje zbyt mało czasopism i wydawców, którzy podejmą ryzyko eksperymentu, dalekosiężności, indywidualizmu, skoro mogą wychodzić na czysto ze sprzedaży wyświechtanej przedpotopowej fantazy. To nie zniechęca Carol. Ona pisze po swojemu, pisze wspaniale.

Tak się składa, że geniusz talentu Emshwillerów (słowa „geniusz” używam z pełną świadomością implikacji definicji) nie ogranicza się do Carol. Jak wiadomo większości ludzi, jest ona żoną reżysera Eda Emshwillera, którego awangardowymi filmami wielu z nas cieszyło się znacznie dłużej niż nastoletni i undergroundowi kinomani, którzy błędnie wrzucili Eda do jednego worka z Warholem, Brakhage’em, Angerem i Davidem Brooksem. Geniusz Emshwillerów — męża i żony — jest kombinacją profesjonalnych umiejętności oszczędnie zastosowanych do tworzenia zwięzłych, kapryśnych i czasami złowieszczych dzieł z dziedziny beletrystyki i filmu. Byłoby szczęśliwą nieuchronnością, gdyby Ed przełożył prace Carol na język filmu.

Z osobistego opisu Carol wyłania się wizerunek pani domu z Levittown — troje dzieci, kiepska gospodyni, umie gotować, jeśli się spręży i od czasu do czasu to robi — i podejrzewam, że taki wizerunek jest troskliwie pielęgnowany. Carol–pani domu jest kimś, od kogo Carol–pisarka jest zmuszona się odcinać. Ale powierzchowność kryje fascynujące rzeczy: „Kiedyś nienawidziałam wszystkiego, co wiązało się z pisaniem, choć gdyby wówczas ktoś podsunął mi maleńką sugestię, o co w tym chodzi, myślę, że uwielbiałabym pisać tak jak teraz. W college’u niemal oblałam angielski i z powodu złej oceny musiałam powtarzać semestr z tego przedmiotu. (Mam wyjątkowo marne zdanie o sposobie, w jaki naucza się literatury.) Początkowo uczęszczałam do akademii muzycznej, do klasy skrzypiec, a potem przenieśliśmy się do szkoły plastycznej. Byłam złym muzykiem, ale dobrym artystą plastykiem. W szkole plastycznej przy University of Michigan poznałam Eda. Wyjechałam na stypendium Fulbrighta do Francji. Dopiero po poznaniu kilku pisarzy, później, w Nowym Jorku, zaczęłam rozumieć, o co chodzi w twórczości literackiej. Staram się oglądać wszystkie filmy undergroundowe. Przedkładam interesujące porażki nad dzieła, w których artysta zawsze dokładnie wie, co robi.”

Opowiadanie Carol pod żadnym względem nie jest porażką. Jest skończonym sukcesem, z pewnością najdziwniejszą historią o seksie, jaką kiedykolwiek napisano i praktycznie zalicza się do science fiction. Wychodzi znacznie dalej niż większość opowiadań, które Carol publikowała w magazynach komercyjnych i jest chyba najbardziej nowatorskie spośród wszystkich innych składających się na tę antologię. Polecam je młodszym pisarzom, wyłamującym się z getta, szukającym nowych kierunków.

Carol Emshwiller
Sex and/or Mr. Morrison

Seks i/lub pan Morrison

Mogę nastawiać zegarek według kroków pana Mormona na schodach — nie znaczy to, że jest aż tak punktualny, ale na moje potrzeby wystarcza. Około 8:30. (Mój zegarek i tak się spieszy.) Codziennie rano ciężko schodzi po schodach, a ja cofam wskazówki o dziesięć, osiem albo siedem minut. Przypuszczam, że mogłabym robić to bez niego, ale byłoby szkoda, gdyby wszystkie te ciężkie kroki, te sapnięcia i westchnienia zużywanej energii marnowały się jedynie na schodzenie na dół, dlatego dostosowałam swoje życie do tego porannego tempa. Pogrzebowego tempa, ktoś mógłby powiedzieć, ale pogrzebowego tylko dlatego, że pan Morrison jest gruby i tym samym powolny. Prawdę mówiąc, jak na mężczyznę jest miłym człowiekiem. Zawsze się uśmiecha.

Czasami czekam na dole, patrząc w górę, i czasami trzymam budzik. Uśmiecham się i mam nadzieję, że mój uśmiech nie jest tak tęskny jak jego. Okrągła twarz pana Morrisona ma w sobie coś z twarzy Mony Lisy. Z pewnością ma jakieś tajemnice.

— Nastawiam zegarek według pana, panie M.

— He, he... jej, jej — stęknienie, oddech. — Ha... — dźwignięcie brzucha na prawo — mam nadzieję...

— Och, dla mnie jest pan wystarczająco punktualny.

— He, he. Och, tak. — Z pewnością cały świat ciąży mu na barkach albo może miażdżą go i spłaszczają setki mil powietrza. Ile funtów na cal kwadratowy go obciąża? Brakuje mu wewnętrznej energii, by odeprzeć ciężar. Wszystkie jego mięśnie rozlewają się pod skórą niczym galareta.

— Nie ma czasu na rozmowy — mówi. (On nigdy nie ma czasu.) Odchodzi. Lubię go i podoba mi się jego cięty bostoński akcent, ale wiem, że jest zbyt dumny, by okazywać życzliwość. Dumny to złe słowo, więc niech będzie nieśmiały. Na tym poprzestaną.

Odwraca się, sapie, a potem puszcza do mnie oko, żeby złagodzić swoje oschłe słowa. A może to tylko tik. Myśli, jeśli w ogóle o mnie myśli: Co jeszcze powie i co ja jej odpowiem? Czy może wiedzieć coś, czego ja już bym nie wiedział? I tak, kołysząc się z boku na bok na iksowatych nogach, wychodzi za drzwi.

Teraz zaczyna się dzień.

Mogę robić naprawdę sporo rzeczy. Często spędzam czas w parku. Niekiedy wypożyczam łódkę, wiosłuję i karmię kaczki. Uwielbiam muzea, poza tym są wszystkie te darmowe galerie sztuki i wystawy sklepowe i, jeśli oszczędnie gospodaruję, od czasu do czasu mogę wcisnąć się na poranek do kina lub teatru. Ale nie lubię przebywać poza domem po powrocie pana Morrisona. Ciekawe, czy zamyka swój pokój, gdy wychodzi do pracy.

Jego pokój znajduje się wprost nad moim, a pan Morrison jest zbyt wielki, by zachowywać się cicho. Dom jęczy pod jego ciężarem i osiada, gdy wstaje z łóżka. Podłoga trzeszczy pod jego stopami. Nawet ściany poskrzypują, a tapeta szeleści jak papier ryżowy. Ale chyba nie przeszkadza mi ten hałas. Dzięki tym odgłosom kontroluję pana Morrisona. Czasami, tutaj, na dole, małpuję jego ruchy, od łóżka do komody, łup, łup, od komody do szafy i z powrotem. Wyobrażam go sobie,

platfusa. Wyobraźcie go sobie. Wyobraźcie sobie te wielkie nogi wsuwające się w czeluście nogawek boskiej miary (bo przecież zwyczajny człowiek nie może mieć takich nóg), wyobraźcie sobie te nogi Thora w nogawkach przepastnych jak jaskinie. Wyobraźcie sobie te dwie opasłe kolumny, skąpo porośnięte włoskami koloru pszenicy, na ślepo szukające drogi w szerokich jak spódnice rurach z brązowej wełny, jeszcze wilgotnych od wczoraj. Ooo. Uff. W górę, do szelek. Chyba słyszę stąd jego oddech.

Szczotkuję włosy trzy razy szybciej niż on, mogę więc wyjść i czekać przy najniższym stopniu, zanim otworzy drzwi.

— Nastawiam zegarek według pana, panie M.

— Nie ma czasu. Nie ma czasu. Wychodzę. Ha... — i zamyka frontowe drzwi tak delikatnie, jakby myślał, że boję się jego wielkich, tłustych rąk.

I tak, jak powiedziałam, zaczyna się dzień. Pytanie (a może to pytanie na dzisiaj): Kim on naprawdę jest, jednym z Normalnych czy jednym z Innych? Niełatwo rozstrzygnąć w przypadku takiego grubasa. Zastanawiam się, czy jestem w stanie to zrobić. A jednak chcę posunąć się do pewnych granic i jestem jeszcze dość zwinna. Całe to wiosłowanie i chodzenie do góry i na dół... Ostatnio spędziłam całą noc skulona pod krzakiem w Central Parku, poza tym dwa razy wdrapałam się po schodach pożarowych na dach i z powrotem (ale niewiele zobaczyłam i jeszcze nie mam pewności co do Innych).

Szafa chyba nie będzie się nadawać, bo nie ma dziurki od klucza, choć mogłabym lekko uchylić drzwi i zaklinować je nogą. Mogłby nie zauważyć. Albo wsunę się pod łóżko. To prawda, że jestem chuda i mała, niemal dziecięcej budowy, ale to nie będzie łatwe. Z drugiej strony szukanie kochanków na dachu też nie było łatwe.

Czasami żałuję, że nie jestem małą, chyzą jaszczurką, ciemnozieloną albo żółtawo-brązową. Mogłabym się wśliznąć, ukryta w cieniu jego brzucha, gdy będzie otwierał drzwi i w życiu by mnie nie zobaczył, choć oczy ma tyleż szybkie, co nogi niezdarne. Mimo wszystko byłabym szybsza. Czmychnęłabym za etażerkę albo za biurko, a może po prostu położyłabym się w kącie, bo z pewnością nieczęsto spogląda na podłogę. Jego pokój jest nie większy od mojego i jego obecność musi go wypełniać, albo raczej wypełnia go jego brzuch i nogi. Widzi sufit i obrazy na ścianach, blat nocnej szafki, biurka i komody, ale podłoga i dolne połowy wszystkiego byłyby dla mnie bezpieczne. Nie, nawet nie muszę żałować, że nie jestem jaszczurką, z wyjątkiem dostania się do środka. Ale jeśli nie zamyka pokoju, to z tym też nie powinno być problemu i będę mogła spędzić cały dzień na szukaniu kryjówek. Jeśli zdecyduję, że to właściwy wieczór, wezmę ze sobą coś do jedzenia. Żadnych krakersów i orzechów, wyłącznie bezszelestne produkty, jak ser i batony figowe.

Teraz, gdy o tym myślę, wydaje mi się, że zostawiałam pana Morrisona na sam koniec, jak dzieci lukier, zjadany po skończeniu ciasta. Teraz rozumiem, że byłam głupia, bo skoro pan Morrison naprawdę jest jednym z najbardziej prawdopodobnych kandydatów, powinien pójść na pierwszy ogień.

I tak dzisiejszy dzień zaczyna się od zgromadzenia prowiantu i zwiadowczej wyprawy na górę.

Pokój jest zagracony. Nie ma etażerki, ale są setki książek i czasopism. Zaglądam za ich sterty. Zaglądam do szafy, pełnej obwisłych, ogromnych marynarek, wśród których z łatwością zdołam ukryć. Wystarczy spojrzeć na szerokie ramiona, spadające z wieszaków. Zaglądam pod łóżko i we wnękę pod biurkiem. Kucam pod nocnym stolikiem. Moszczę się wśród brudnych koszul i skarpetek ciśniętych w ką. Och, pod względem kryjówek ten pokój jest lepszy od Central Parku. Postanawiam wykorzystać je wszystkie.

Jest coś bardzo miłego w przebywaniu tutaj, bo lubię pana Morrisona. Już same jego gabaryty

podnoszą mnie na duchu; jest dość wielki, by być ojcem każdego. Jego pokój krzepi tymi wszystkimi ojcowsko dużymi rzeczami. Czuję się tutaj leniwie i młodo.

Zjadam parę batoników, siedząc w szafie na jego butach, miękkich, szerokich kamaszach, rozdeptanych, bardziej podobnych do poduszek niż butów. Potem ucinam sobie drzemkę w brudnych koszulach. Mogłoby się wydawać, że jest ich z piętnaście, ale w rzeczywistości jest tylko siedem i kilka skarpetek. Potem kucam pod biurkiem, przytulając kolana do piersi, czekam i zaczynają ogarniać mnie wątpliwości. Teraz już wiem, że ten rozkołysany brzuch będzie większy nad wszelkie moje oczekiwania. Z pewnością wszystko ocieni albo zasłoni, dlatego więc kucam tutaj, postukując paznokciami w nogę biurka, kiedy mogłabym być na dworze i karmić gołębie? Wyjdź, mówię sobie. Naprawdę chcesz tu spędzić cały dzień i może także noc, skulona i uwięziona? A jednak, czy ostatnio nie robiłam tego samego wiele razy i zawsze na próżno? Czemu nie spróbować jeszcze raz? Bo z pewnością pan Morrison jest najbardziej obiecujący ze wszystkich. Jego oczy, zmrużone przez policzki wypchane tłuszczem, wyglądają niemal chińsko. Nos ma rzymski i w pospolitej twarzy byłby dominujący, ale tutaj ginie. Jest pomniejszony. Skarłały. „Ratuj — woła — tonę.” Spróbowałabym, ale będę miała inne ważniejsze obowiązki, gdy pan Morrison wróci. Obowiązki dla dobra ogółu, dosłownie dla wszystkich, ale nie sądzę, by kierowały mną bodaj najmniejsze uprzedzenia.

Widzicie, parę tygodni temu poszłam na poranek teatralny. Patrzyłam, jak Royal Ballet tańczy „Święto wiosny” i wtedy przyszło rai na myśl... Ha, co pomyślelibyście, widząc tancerzy w trykotach, które mają uchodzić za gołą skórę? Nagie kostiumy, tak je nazwałam. I wszyscy ci elegancko ubrani, kulturalni ludzie oklaskiwali ich, akceptowali, choć doskonale wiedzieli... To jak swego rodzaju nowe szaty cesarza, tylko że na odwrót. Pomyślcie, są tylko dwie płci i każdy jeden z nas należy do jednej z nich i z pewnością, to znaczy przypuszczalnie, wie coś o drugiej. Z drugiej strony, być może tutaj popełniłam błąd. Pomyślelibyście... no właśnie, pomyślelibyście to, co ja sobie pomyślałam: że wśród nas muszą być Inni.

Ale szukam ich nie ze strachu ani z odrazy. Jestem otwarta i wolna od uprzedzeń. Zrozumiecie, że mówię prawdę, gdy wyznam, że nigdy nie widziałam (i czyż to nie wydaje się dziwne?) narządów mojego poczęcia ani u mojego ojca, ani u mojej matki. Bóg jeden wie, jakie one były i jaki wpływ wywarły na mnie.

Czekam więc tutaj, stukając pantoflem w podłogę i ogryzając skórki przy paznokciach. Kontempluję nie polakierowaną, spodnią stronę blatu biurka. Rysuję ją paznokciem kciuka. Zjadam jeszcze parę batoników i zastanawiam się, czy nie posłać mu łóżka, ale postanawiam tego nie robić. Ssie skórę w zgięciu łokcia, aż robi się czerwona. Czas płynie tak powoli jak wskazówki szkolnego zegara. Przeczolguję się po podłodze i wyciągam za stertami książek i czasopism. Czytam pierwsze ustępy w tuzinie z nich. Dzięki wylegiwaniu się w kurzu i wcześniej w koszulach i skarpetkach zyskuję swoisty zapach i pokrywam się szarym, jakby zwierzęcym puchem, co sprawia, że czuję się bezpieczniej, jak gdybym naprawdę należała do tego pokoju i mogła pełzać po podłodze bez przyciągania uwagi pana Morrisona, wyjąwszy może poklepanie po głowie, gdy będę go mijać.

Łup... przerwa. Klap... przerwa. Tych kroków nie można pomylić. Dom krzykiem wita jego obecność. Podłogi budzą się z poskrzypywaniem i nachylają w stronę klatki schodowej. Poręcz odsuwa się od jego śliskich, wielkich jak bochny rąk. Tapeta wygląda tak, jakby nagle zaległy się pod nią pluskwy. Pan Morrison musi myśleć: Ha, tym razem nie zerka na mnie z drzwi. Co za ulga. Mogę całkowicie skupić się na wspinałce. Podnosić lewą nogę, walcząc z ciśnieniem. Ooo. Łup. Przystanąć i udawać, że patrzę na obrazek na ścianie.

Czmycham pod biurko.

To dziwne, że zaraz po wejściu do pokoju, pan Morrison kładzie gazetę na biurku i siada z

kolanami przy moim nosie: istne mury, piece kolan, buchające żarem i wilgocią, wyrzucające delikatne miazmaty mokrej wełny i potu. Piersi matki napierające w moją stronę. Pewnie równie miękkie. Czemu nie mogę przyłożyć do nich policzka? Zważcie, siedzi nieruchomo, bez postukiwania nogą, bez rytmicznego napinania uda. Jest niepodobny do reszty nas, ale czy człowiek jego formatu mógłby robić takie drobne rzeczy?

Piętrzą się dowody poszlakowe, lecz jak dotąd to wszystko, co udało mi się zgromadzić i nadszedł czas na coś konkretnego. Potrzebuję tylko jednej rzeczy, tylko jednego faktu.

Pan Morrison czyta i poprawia spodnie w kroczu, i znowu czyta. Jego oddech zionie kiełbasą i czosnkiem. Przypominam sobie, że jest już po kolacji, więc wyjmuję ser i zjadam go jak najwolniej, małymi króliczymi kąskami. Skubię ten mały kawałek przez pół godziny.

Wreszcie pan Morrison wychodzi do łazienki, a ja przemieszczam się pod koszule i skarpetki i rozprostowuję nogi. A jeśli rozbierze się tak jak moja babcia, pod nocną koszulą? Pod, w jego przypadku, jakąś ogromną płachtą wielkości podwójnego łóżka?

Ale nie. Wieszka marynarkę na małym wieszaku i krawat na gałce drzwi szafy. Rzuca na mnie koszulę i muszę sobie zrobić drugą dziurkę szpiegowską. Potem zdejmuję buty i skarpetki. Spadają olbrzymie spodnie z powolnym, niewidocznym wysiłkiem (wygląda przez okno). Zabiera się za żółtkę majtasy, drapiąc się najpierw z tyłu i wprawiając pośladki w istne trzęsienie ziemi.

Gdzie on kupił takie słoniowe galoty? W jakim sklepie kiedyś leżały złożone na półce? W jakiej fabryce kobiety siedziały przy maszynach szwalniczych, szyjąc te gacie nie z tego świata? Z Marsa? Z Wenus? Z Saturna, bardziej prawdopodobne. Albo może z jakiegoś księżycy Jowisza z mniejszym ciśnieniem powietrza na cal kwadratowy skóry i mniejszą grawitacją, gdzie pan Morrison może pokonywać schody po trzy stopnie na raz, przeskakiwać przez płoty (bo z pewnością nie jest na to za stary) i tańczyć przez całą noc z dziewczętami swojego kalibru.

Mruży swoje orientalne oczy, patrząc w lampę pod sufitem i zsuwa galoty, pozwala im spaść swobodnie na podłogę. Widzę Appalachy jego uda i pośladka. Jak taki człowiek może stać nagi nawet przed małym lusterkiem? Zatracam się, zahipnotyzowana. Niepodobna określić koloru jego skóry — taki sam kłopot jak z niebieskoszarymi oczami albo oceanem. Płowy, różowy, oliwkowy i czerwony, gdzieśsinie sina słoniowa szarość. Jego oczy musiały przywyknąć do takiej różnorodności barw i do ogromu, skupienia, obfitości swojej osoby, do nieumiarkowanej przesady, kosmicznej, astronomicznej.

Jestem kompletnie przytłoczona. Leżę w kokonie koszul bez najlżejszego drżenia. Moje oczy nie pojmują tego, co widzą. On wykracza poza moje zrozumienie. Możecie sobie wyobrazić, jak cienkie muszą wydawać mu się moje nadgarstki? Myśli (jeśli w ogóle o mnie myśli): Ona może pochodzić z innego świata. Jakże obce są jej kostki i kości nóg. Jak mocno odznaczają się jej oczy. Jaka zielona jest jej cera w cieniach na skrajach twarzy. (Bo muszę przyznać, że podobnie jak on mogę znajdować się na równie odległym krańcu skali ludzkości.)

Nagle dusza zaczyna mi śpiewać. Mój oddech mruczy w gardle hymny tak wolno, jak śpiewałby sam pan Morrison. Czy to może być miłość? — zastanawiam się. Moja pierwsza *prawdziwa* miłość? Ale czyż zawsze nie byłam namiętnie zainteresowana ludźmi? Albo raczej tymi, którzy wywarli na mnie wrażenie? Lecz czy to uczucie nie jest inne? Czy miłość naprawdę mogła przyjść do mnie tak późno? (La, la, li, la, z którego płyną wszystkie dobrodziejstwa.) Zamykam oczy i wtulam głowę w koszulę. Uśmiecham się do brudnych skarpetek. Wyobraźcie sobie, jak on kocha się ze mną!

Znacznie poniżej jego roztargnionego, skierowanego w sufit spojrzenia, czołgam się na łokciach i kolanach z powrotem za stare książki. Bezpieczniejsze miejsce, by otrząsnąć się z głupoty. Przecież jestem taka stara, że mógłby (kiedyś nawet byłam zamężna) być moim najmłodszym synem. Gdyby

jednak był moim synem, czy mógłby mnie tak przerosnąć? Rozumiem, że nigdy gonie doścignę (to prawda odnosząca się do wszystkich synów). Wolno mi go kochać tylko tak, jak mysz być może kocha rękę, która czyści klatkę, bez pełnego zrozumienia, bo, jak mysz, widzę go tylko częściowo. Więcej wyczuwam. Wyczuwam głębszą wielkość. Wyczuwam ogrom, jakiego jeszcze nie jestem w stanie sobie wyobrazić. Zaokrąglone powidoki ociągają się na spodnich stronach moich powiek. Wydaje się, że tajemnicza ciemność zalega w kątach pokoju, a cień pana Morrisona zasłania jednocześnie okno na jednej ścianie i lustro na drugiej. Bezwarunkowo jest jak góra lodowa, siedem ósmym pod wodą.

Ale teraz odwraca się w moją stronę. Zerkam spomiędzy książek, trzymając czasopismo nad głową jak w czasie deszczu. Robię to nie tyle dlatego, by się ukryć, ile by odgrodzić się od jego ogromu.

I trwamy tak, oko w oko. Patrzymy na siebie i nie wydaje się, by on pojmował mnie lepiej niż ja rozumiem jego, jednakże zazwyczaj jego umysł wyprzedza mój, przeskakuje za niedokończone zdania. Jego oczy nie są już tęskne i jeszcze nie zaskoczone. Ale jego pępek — to zupełnie inna historia. Oto tutaj wreszcie jest oko Boga. Gnieździ się na rozległej, nijakiej płaszczyźnie skóry niczym słońce na krzywiźnie wszechświata, śląc mi gorące mrugnięcia, dobrotliwe, tłuste mrugnięcia. Oko brzucha akceptuje i rozumie. Oko brzucha poznaje mnie i patrzy na mnie tak, jak zawsze pragnęłam, by na mnie patrzono. (Aha, choć idę doliną cienia.) Teraz cię widzę.

Ale teraz go widzę. Właśnie tam skóra zwisa luźnymi, plastikowymi fałdami, i jest tam mały krążek w kolorze miedzi, podobny do pięćdziesięciocentówki zrobionej z centówek. Ma dziurkę w środku i jest zaśnieżony na skrajach. To musi być swego rodzaju „nagi kostium” i jakie by nie były narządy płciowe, to są ukryte za tą gorącą, dziobatą i kostropatą imitacją skóry.

Patrzę w te dziewczęce oczy i są one puste, jakby gałki oczne składały się z samych białek, tak puste, jakby wcale nie miały płci, jaja bez żółtek, jak chłopiec–lalka z okrągłą dziurką do wylewania wody.

Boże, myślę. Nie jestem religijna, ale myślę, mój Boże, a potem podnoszę się i jakoś, w kulawym klusie, wydostaję się stamtąd i zbiegam po schodach jak na skrzydłach. Zatrząskuję drzwi mojego pokoju i wsuwam się pod łóżko. Najbardziej oczywista kryjówka, ale gdy już tam jestem, nie mogę znieść myśli o wyjściu. Leżę i słucham, czekając na dudnienie na schodach, grzmot stóp łamiących stopnie, trzask wrywanej poręczy.

Wiem, co powiem. „Akceptuję. Akceptuję — powiem. — Będę kochać, już kocham, czymkolwiek jesteś.”

Leżę, nasłuchując, patrząc na zwisające skraje narzuty w absolutnej ciszy domu. Czy ktoś może być tutaj w takiej dziwnej ciszy? Czy mam zwątpić nawet we własne istnienie?

„Bóg jeden wie — powiem — czy sama jestem normalna.” (Skąd można wiedzieć takie rzeczy, gdy wszystko jest ukryte?) Powiem wszystkim, że akceptujemy. Powiem im, że nagie kostiumy są brzydkie. Akceptujemy twoje fałdy, twoje hałdy, zmarszczki, koleiny, bruzdy i wyboje, cokolwiek tam jest. Twoje pętle, sznurki, robaki, guziki, figi, wiśnie, płatki kwiatów, twoje miękkie małe ropuszaki, brodawkowate i zielonkawe, twoje kocie jęczyczki albo szczurze ogony, twoje ostrygi, jednookie między nogami, twoje zaskrońce, ślimaki — akceptujemy. Uważamy, że prawda jest miła.”

Ale co to za długa cisza. Gdzie on jest? Bo musi (nie musi?) przyjść po mnie po tym, co widziałam. Dokąd poszedł? Może myśli, że zamknęłam drzwi na klucz, ale nie zamknęłam. Nie zamknęłam.

Dlaczego nie przychodzi?

Thum. Maria Gębicka-Frąc

Posłowie:

Blake napisał: *Głowa Wzniosłość, serce Namietność, genitalia Piękno, ręce i stopy Proporcja.*

Miło byłoby żyć w społeczeństwie, w którym genitalia naprawdę byłyby uważane za piękno. Wydaje mi się, że każdy inny sposób widzenia jest obsceniczny. Przecież są. Czemu ich nie lubić? Nie można ich ukrywać i kazać ludziom dorastać bez zastanawiania się nad powodem ukrywania. (A kiedy się pomyśli, że każde zwierzę czy prawie każde zwierzę na świecie poczyna się z tego, co określamy „nieprzyzwoitym” słowem, to społeczeństwo wydaje się chore.)

Napisałam szereg opowiadań na ten temat. Pomysł na „Seks i/lub pan Morrison” wpadł mi do głowy, gdy oglądałam balet „Święto wiosny” w Metropolitan Opera House. Nawiasem mówiąc, bilety przyjął w prezencie, choć zwykle tego nie robię. Tancerze nosili „nagie kostiumy”, cieliste trykoty z odciskami rąk i pręgami imitującymi malunki na skórze. Siedząc tam wśród tych wszystkich na oko dojrzałych, zamężnych i żonatych widzów (każdy z nich był jednej z płci, a są tylko dwie... na miłość boską, tylko dwie!), nagle przypomniałam sobie, że jako małe dziecko naprawdę uważałam, że ludzie okrywają się tak starannie, bo diametralnie różnią się między sobą. Domyślałam się istnienia ogólnego męsko-damskiego przeciwieństwa, wiecie, chłopcy — kluczyk, dziewczynki — dziurka (choć, jak przypuszczam, w tym wieku czułam, że mężczyźni — kluczyk, kobiety — nic), ale poza tym istniało podobieństwo. Gdyby ludzie nie nosili ubrań, myślałam, jakże wyjątkowe i cudowne rzeczy moglibyśmy zobaczyć.

Wszystko to wróciło do mnie, gdy siedziałam na balecie. Nagle te nagie kostiumy na scenie wydały mi się bardzo dziwne, jak gdyby moje dziecięce przemyślenia były jedynym możliwym logicznym wyjaśnieniem całego tego ukrywania. W przeciwnym razie dlaczego dorośli, zwłaszcza ci tutaj widzowie, na oko wykształceni i raczej starszawi, w oczach innych jedнопłciowi i w związkach małżeńskich, mieliby oglądać przedstawienie z tancerzami w farbowanych skórach? Bez sensu!

Stąd ta historia...

Wprowadzenie do „Czy chcesz, by stawił cię proch?”:

Sam nie wiem, czemu lubię Damona Knighta, prezesa i założyciela stowarzyszenia Amerykańskich Pisarzy Science Fiction. Po namyśle muszę przypisać to faktowi, że jest żonaty z Kate Wilhelm, która pisze lepiej ode mnie, co mnie oburza, ale to jedna z tych prawd, z którymi w końcu trzeba się pogodzić. Jest również o niebo ładniejsza. Ergo, skoro Kate jest lepszą pisarką niż ja pisarzem, zakładam, że jest również lepszą osobą i jako taka musiała dostrzec w Damonie coś, za co warto go kochać, dlatego z szacunku i podziwu dla Kate podziwiam i szanuję Damona. To krępujące i niestosowne, w najlepszym wypadku.

Niektórzy uważają, że Damon Knight zasługuje na uznanie z własnego tytułu. Jako autor powieści *Hell's Pavement*, *The Analogs* i *Mind Switch*, które zdaniem wielu są wspaniałymi przykładami czystej fantastyki. Jako wydawca *A Century of Science Fiction*, *Cities of Wonder* i *13 French Science Fiction Stories* oraz jedenastu innych antologii, sławionych jako szczytowe osiągnięcie gatunku. Jako krytyk literacki i autor zbioru esejów, *In Search of Wonder*, który pomógł mu zdobyć nagrodę Hugo w 1956 w kategorii najlepszej książki non fiction. Wszystko to jest powiedziane w obronie Damona Knighta. Być może Knight ma pewne zalety.

Jednak jeśli rzeczywiście jest takim wzorem doskonałości, jak każą nam wierzyć jego fani, wtedy jak wyjaśnić co następuje:

Knight siedzi w restauracji z przyjaciółmi, patrząc na Jamesa Blisha, który siedzi ze mną przy innym stole i pantomimicznie opowiada rysunkowy humor z gazety; Damon wpada w czarną rozpacz i zalewa się łzami, gdy Blish nie chce mu wyjaśnić znaczenia dziwacznych ruchów ręki...

Knight uczestniczy w Konferencji SFWA (której jest założycielem i dyrektorem od 1956) w Milford w Pensylwanii; ściągnąwszy na siebie gniew gromady pisarzy, znajduje dwa, długie na piętnaście stóp, słupy przewleczone przed przednią i tylną szybę swojego samochodu i nie wydaje ani słowa złości czy sprzeciwu, tylko dąsa się przez dwa dni...

Knight nie tylko sprzedaje „The Man in the Jar” jednemu z najlepszych czasopism, ale ma czelność zawrzeć je w swoim ostatnim zbiorze, *Turning On*, bez wyjaśnienia pokrętej logiki rozwiązania...

Knight trzyma mnóstwo cudownych opowiadań Kate Wilhelm, zakupionych dla cyklu *Orbit* antologii science fiction, ale nie zgadza się na sprzedaż istnej perełki do mojej antologii, zmuszając biedną kobietę, by sprzedała ją jemu do jakiegoś bliżej nie sprecyzowanego i odległego w czasie zbioru, który on składa...

Z każdej z tych historii wynika wniosek, że Damon Knight jest osobą psującą innym zabawę. Kolosem na glinianych nogach.

Knight urodził się w Baker w Oregonie w 1922. Uczył się w szkołach publicznych w Hoor River. Spędził rok na studiach w WPA Art Center w Salem, potem przeniósł się do Nowego Jorku i w 1941 wstąpił do bractwa entuzjastów science fiction, nazywających się Futurianami. Wykonał parę ilustracji SF (sam przyznaje, że były kiepskie), pracował dla Popular Publications jako asystent redaktora w ich brukowcach i jako recenzent dla Scott Meredith Literary Agency. Od 1950 jest wolnym strzelcem, stale nadąsanym.

Pierwsze opowiadanie sprzedał (dzięki jawnemu zastraszaniu i napadom złego humoru) Donaldowi Wollheimowi (obecnie wydawcy Ace Books) do *Stirring Science Fiction*, kiedy miał osiemnaście lat; od tego czasu sprzedał około stu opowiadań, pięć powieści, cztery zbiory opowiadań, poprzednio wymienione antologie, itp.

O zawartym tutaj opowiadaniu Damona Knighta: przysłał je, choć powiedziałem mu prosto z mostu, że w takim czcigodnym zbiorze nie ma miejsca dla faceta jego pokroju. Nawet mi się spodobało, ale zamierzałem je odesłać, po prostu żeby mu pokazać, że nikt nie lubi takich cwaniaczków, a wówczas otrzymałem list od Kate. Napisała, że Damon przemieni jej życie w piekło. Mieszkają w „wielkim, delikatnym dworze wiktoriańskim w Milford, z trzema pełnymi energii chłopcami, trzema kocurami i nieokreśloną liczbą ryb tropikalnych” i Damon naprawdę da jej popalić, bowiem ją poprosiłem o opowiadanie, a jego nie. I zagrozi’, że jeśli *jego* opowiadanie zostanie odrzucone, a *jej* przyjęte, sprzeda ją na statek białych niewolników płynący do Marakeszu.

Nie trzeba mówić, że postawił na swoim, jak zwykle. Tym samym znajdziecie w tej antologii jedno opowiadanie Damona Knighta i żadnego opowiadania Kate Wilhelm. Poruszmy tę sprawę w czasie następnej inkwizycji Amerykańskich Pisarzy Science Fiction.

*Damon Knight
Shall The Dust Praise Thee*

Czy chcesz, by słaWił cię proch?

Nastał Dzień Gniewu. Trąby zagrzmiały na udręczonym niebie, wzywając. Suche skały podniosły się z jękiem i runęły z łoskotem. Potem niebiosa rozdarły się i w oślepiającym świetle ukazał się tron z białego ognia, w tęczy, która płonęła zielenią.

Błyskawice migotały na horyzoncie. Wokół tronu unosiło się siedem majestatycznych postaci w bieli, przepasanych na piersiach złotymi pasami, a każda trzymała w ogromnej dłoni czaszę, z której płynęły opary przysłaniające niebo.

Z jasności na tronie dobiegł głos:

— Idźcie i wylejcie siedem czasz gniewu Boga na ziemię. Pierwszy anioł runął z niebios jak piorun i wylał z czaszy strumień ciemności, która niczym dym spowiła gołą ziemię. I zapadła cisza.

Potem drugi anioł sfrunął na ziemię i pomykał to tu, to tam, nie opróżniając czaszy; w końcu zawrócił do tronu, wołając:

— Panie, miałem wylać swą czaszę na morze. Ale gdzie jest morze?

I znów zapadła cisza. Albowiem suche, pokryte pyłem skały rozciągały się pod niebem bez końca; w miejscu dawnych oceanów widniały tylko głębokie czeluście w kamieniu, suche i puste jak cała reszta ziemi.

Trzeci anioł zawołał:

— Panie, moja czasza jest dla rzek i źródeł wody. Potem czwarty anioł zawołał:

— Panie, pozwól mi opróżnić moją czaszę. — I wylał swą czaszy na słońce, które w jednej chwili rozblęskło oślepiająco; i anioł szybował to tu, to tam, rażąc ogniem pustą ziemię. Po jakimś czasie osłabł i wrócił do tronu. I znów nastąpiła cisza. Potem z tronu dobiegł głos:

— Zaprzestańcie.

Pod bezkresną kopułą nieba nie fruwały ptaki, ani jedno stworzenie nie pełzało po powierzchni ziemi; nie było drzew ani źdźbła trawy.

Głos rzekł:

— Nastał dzień wyznaczony. Zstąpmy na dół.

Potem Bóg zstąpił z nieba i przybrał postać słupa dymu; i chodził po ziemi jak w dawnych czasach. A za Nim szło siedmiu aniołów z czaszami, poszeptujących. Byli sami pod żółtawoszarzym niebem.

— Ci, którzy są martwi, uciekli przed naszym gniewem — rzekł Jahwe. — Lecz nie uciekną przed sądem. — Sucha dolina, w której stali, była ogrodem Eden, gdzie pierwszy mężczyzna i pierwsza niewiasta zerwali owoc, którego nie wolno im było spożywać. Na wschodzie była przełęcz, przez którą występna para wypędzona została z Edenu. Kawalek dalej na zachód ujrzeli dziobate turnie góry Ararat, gdzie osiadła arka po oczyszczającym potopie.

I rzekł Bóg wielkim głosem:

— Niechaj otworzy się księga życia i niechaj martwi powstaną z grobów i z morskiej głębiny.

Głos niósł się echem pod pośępnym niebem. I znów suche skały dzwignęły się i opadły, ale martwi nie powstali. Tylko pył wirował, jakby on sam pozostał z miliardów ziemskich istnień,

żywych i martwych.

Pierwszy anioł trzymał w ramionach otwartą księgę. Kiedy cisza trwała przez jakiś czas, zatrzasnął księgę i strach odbił się na jego obliczu; i księga znikła z jego rąk.

Inni aniołowie mruczelili i wzdychali. Jeden powiedział:

— Panie, straszne jest brzmienie ciszy, kiedy uszy nasze winny być pełne lamentów.

A Bóg odrzekł:

— To jest czas wyznaczony. Jednak jeden dzień w niebie jest jak tysiące dni ziemskich. Gabrielu, powiedz mi, ile dni minęło od Dnia Wedle ludzkiej rachuby?

Pierwszy anioł otworzył księgę i powiedział:

— Panie, wedle ludzkiej rachuby jeden dzień minął od Dnia.

Aniołowie zamruczelili trwożliwie. I odwracając się od nich, Bóg rzekł:

— Tylko jeden dzień: chwila. A jednak nie powstali. Piąty anioł zwilżył usta i powiedział:

— Panie, czyż nie jesteś Bogiem? Czyż przed Stwórcą wszech rzeczy skrywać się mogą jakieś tajemnice?

— Spokój! — rzekł Jahwe i grzmot przetoczył się w kierunku mrocznego horyzontu. — W swoim czasie sprawię, że kamienie dadzą świadectwo. Chodźcie, idziemy dalej!

Wędrowali przez suche góry i przez puste doliny morza. A Bóg rzekł:

— Michale, miałeś czuwać nad ludźmi. Jak zachowywali się w swoich ostatnich dniach?

Przystanęli niedaleko pożłobionego stożka Wezuwiusza, który w eonie boskiej nieuwagi wybuchł po dwakroć, paląc żywcem tysiące. Drugi anioł odpowiedział:

— Panie, kiedy widziałem ich po raz ostatni, gotowali się do wielkiej wojny.

— Ich niegodziwości przebrały miarę — rzekł Jahwe. — Które narody gotowały się do wojny?

Drugi anioł odparł:

— Panie, zwały się Anglią, Rosją, Chinami i Ameryką.

— Chodźmy zatem do Anglii.

Za suchą doliną, która była kanałem La Manche, wznosiła się spustoszona wyspa, płaskowyż kruszącego się kamienia. Wszędzie kamienie były kruche i bez siły. I Pan zawrzał gniewem, i zawołał:

— Niechaj kamienie przemówią!

Potem szare skały wzbily się w fontannie pyłu, odsłaniając jaskinie i tunele podobne komorom opuszczonego mrowiska. W niektórych miejscach błyskał jasny metal, leżący w bryłach z wyglądu wdzięcznych, lecz bezkształtnych, jak gdyby metal stopił się i spłynął niczym woda.

Aniołowie zdumili się, ale Bóg rzekł:

— Czekajcie. To nie wszystko.

Rozkazał:

— Mówcie! — I skały wzniosły się raz jeszcze, by odsłonić komnatę, która leżała jeszcze głębiej. I w ciszy Bóg i aniołowie stanęli kręgiem wokół jamy, i pochylili się, by zobaczyć, co za kształty tam pobłyskują.

W ścianie najniższej komnaty ktoś wyciął rząd liter. A kiedy maszyna w tej komnacie została zniszczona, płonący metal rozbryztał się i wypełnił litery w ścianie, które teraz błyszczały w ciemności jak srebro.

I Bóg przeczytał słowa.

MY BYLIŚMY TUTAJ. GDZIE BYŁEŚ TY?

Thum. Maria Gębicka-Frąc

Posłowie:

Historia ta powstała parę lat temu i pamiętam tylko, że mój ówczesny agent oddał mi ją z obrzydzeniem mówiąc, że może uda mi się ją sprzedać do dziennika ateistów w Moskwie, ale nigdzie indziej.

Pytanie postawione w opowiadaniu dla mnie jest błahe, bo nie wierzę w Jahwe, istotę w moich oczach wielce nieprawdopodobną, ale wydaje mi się, że dla kogoś, kto wierzy, jest ono bardzo ważne.

Wprowadzenie do

„Czy gdyby wszyscy mężczyźni byli braćmi, pozwoliłbyś któremuś ożenić się z twoją siostrą?”:

To będzie najkrótsza przedmowa w tej książce. Czy dlatego, że Theodore Sturgeon jest właśnie tym spośród pisarzy w tej antologii, który nie potrzebuje wprowadzenia? No cóż, z pewnością tak jest. A może dlatego — mógłby ktoś spytać — że i tak żadne słowa nie przygotowują czytelnika na to, co za chwilę nastąpi, czyli na pierwsze od ponad trzech lat opowiadanie Sturgeona? Tak, to również jest prawdą. A może chodzi o to, że na każde jego nowe opowiadanie fani wyczekują z utęsknieniem i że nie ma dwóch podobnych więc po co się męczyć złoceniem kawioru? Okej niech i tak będzie.

Jednak żadna z tych kwestii nie jest chyba powodem, dla którego nie potrafię napisać do jego historii przedmowy równie okazałej, jak do innych w tej antologii. Powód tkwi po prostu w pewnym szczególe natury osobistej — Sturgeon uratował mi ostatnio życie. Dosłownie!

W lutym 1966 roku popełniłem jedną z tych niewiarygodnych gaf życiowych, które nie poddają się jakimkolwiek wyjaśnieniu czy racjonalnej analizie. Ożeniłem się otóż z pewną kobietą... pewną osobą... osobą, której umysł był dla mnie tak obcy, jak na przykład mógłby być umysł Marsjanina. Związek okazał się istną katastrofą, czterdziestopięciodniowym koszmarem, który pchnął mnie bliżej krawędzi urwiska, niż kiedykolwiek dotąd byłem. W momencie, gdy sądziłem, że pewnie dłużej nie zdołam utrzymać się na skraju przepaści i runę w dół, otrzymałem list od Teda Sturgeona. Ów list stanowił fragment dłuższej wymiany korespondencji, której namacalnym rezultatem jest poniższe opowiadanie, lecz listy Teda z tamtego okresu były przede wszystkim poświęcone mojemu samopoczuciu i dzięki nim się pozbierałem. Przepelniała je szczerą troską, którą (jeśli mamy szczęście) otrzymujemy czasem od kogoś w strasznym okresie bezsilności i desperacji. Listy te dowodzą najbardziej oczywistej cechy dzieł Sturgeona, a mianowicie emanującej z nich miłości. (Kiedyś o tym rozmawialiśmy i po tej rozmowie zrozumieliśmy jedno: że ja nie wiem właściwie nic o miłości, lecz całkiem dobrze jestem obeznany z nienawiścią, podczas gdy Ted przeciwnie — nie wiedział prawie nic o nienawiści, za to posiadał absolutnie gruntowną znajomość miłości w niemal wszystkich jej przejawach.) Chciałbym, za zgodą Teda, zacytować fragment jego listu, który powie znacznie więcej o jego pracy i motywacji niż wszystko, co sam mógłbym spróbować napisać. Oto on:

„Drogi Harlanie: Od dwóch dni nie jestem w stanie wyrzucić z mojej głowy myśli o twojej kłopotliwej sytuacji. Może dokładniej byłoby powiedzieć, że twoja kłopotliwa sytuacja tkwi w mojej głowie niczym uciążliwy kamień, który najwyraźniej nie zamierza zniknąć ani się rozpuścić. Uwiera mnie, gdy chodzę, myślę bądź przełykam.

Przypuszczam, że najbardziej drażni mnie związana z twoją sytuacją NIESPRAWIEDLIWOŚĆ. Niesprawiedliwość jest sferą dużo mniej przejrzystą i nie tak oczywistą jak sprawiedliwość, nie stanowi też jej prostego zaprzeczenia. Prawo jest prawem i albo się go przestrzega albo nie... a sprawiedliwość — by tak rzec — zakłada sprzężenie zwrotne: akcja–reakcja i tak dalej... Szczególnie niesprawiedliwy wydaje mi się zatem fakt, że coś takiego przydarzyło się właśnie tobie, a nie jakiemuś zupełnie przeciętnemu przedstawicielowi naszej rosnącej populacji, który w jakiś

sposób zasłużyłby sobie na podobny życiowy kataklizm.

W gruncie rzeczy jednak wiem, dlaczego przydarzyła ci się taka niesprawiedliwość — ponieważ jesteś po stronie aniołów (które, tak przy okazji, akurat teraz trochę cię zaniedbały). Należysz bowiem do nielicznej grupy „dobrych facetów” i to nie dlatego, że tak z rozmysłem postanowiłeś czy świadomie zdecydowałeś, lecz dlatego, że czynisz dobro w sposób właściwie instynktowny, mimowolnie reagujesz szlachetnie, pod wpływem impulsu z serca w każdej sytuacji: czy to przy kasie w supermarkecie, kiedy stawiasz czoła Birchersom¹, czy to w sali bilardowej, gdzie stajesz przeciwko słynnemu zabijace terroryzującemu gości, czy też wtedy, gdy wywlekasz własne wnętrze i nawijasz je na wałek swojej maszyny do pisania.

Na świecie nie brakuje miłości, lecz obiektów, w których można by ją ulokować. Nie wiem, czemu tak się dzieje, lecz większość osób, które — jak ja sam — mają wrodzoną zdolność do wydrapywania sobie pazurami drogi pod górę na najbardziej stromych licach skalnych, strasznie rzadko doświadcza miłości... Ale może uzbroiliśmy się w kolce i stalowe haki i z tego powodu nie potrafimy jej dostrzec. Kiedy miłość ogarnia takiego człowieka — jak ogarnęła ciebie... kiedy go rozświetla... trzeba ją czcić i kultywować. I na tym polega prawdziwa istota niesprawiedliwości wyrządzonej tobie. Ta niesprawiedliwość nie powinna dotknąć nikogo z nas, a już na pewno nie ciebie.

Harlanie, pewnie targa teraz tobą wiele różnych emocji: gniew, oburzenie, żal, zgryzota. Masz ku temu w pełni uzasadniony powód. Jednak Theodor Reik, który dokonał wielu dogłębnych i znakomitych analiz miłości, głosił, że jej koniec nie tkwi w żadnym z tych uczuć: jeśli się pojawiają, najprawdopodobniej jedno z nich, kilka bądź wszystkie tkwiły w tym związku od samego początku. Bo po prawdzie miłość kończy się obojętnością... naprawdę, prawdziwą obojętnością. To jedno z najboleśniejszych uczuć, jakie znam. Wśród wszystkich przeczytanych w życiu książek znalazłem tylko jeden opis momentu, w którym umiera miłość. I z tego względu był to najsmutniejszy tekst, jaki kiedykolwiek czytałem. Ofiarowuję ci go teraz jako lekarstwo na twój smutek. Niechaj uleczy cię z irytacji i rozzalenia. Przeczytaj go na zdrowie — oby ci pomógł w tej trudnej chwili. Pragnę też, byś wiedział (może podtrzyma cię to na duchu), że masz mój niezmienny szacunek i przywiązanie. Twój T. H. Sturgeon.”

Tak skończył się ów list, który faktycznie mi pomógł i podtrzymał na duchu. Do listu Ted dołączył dwudziesty utwór z tomu *Dwadzieścia wierszy o miłości i jedna pieśń rozpacz* Pablo Nerudy w tłumaczeniu Christophera Logue’a. Właśnie dzięki tej swobodzie dawania, tej niezwyklej zdolności do miłości, a równocześnie lękowi przed spotkaniem jej i chęcią bezinteresownego obdarzenia przyjaciół wszystkimi jej formami, Sturgeon jest owym znanym przez nas i cenionym „mitycznym stworzeniem”. Skomplikowanym, udręczonym, walecznym, błogosławionym przez niewiarygodną szlachetność i — nade wszystko — ogromnie utalentowanym. Oto cechy duszy Theodore’a Sturgeona. Bardzo cię proszę, Ted, pisz dalej, kontynuując swoją wspaniałą twórczość, która zwiększa naszą motywację do życia. I dziękuję ci.

Nominacja do Nebuli
Theodore Sturgeon

If All Men Were Brothers, Would You Let One Marry Your Sister

Czy gdyby wszyscy mężczyźni byli braćmi, pozwoliłbyś któremuś ożenić się z twoją siostrą?

Słońce przekształciło się w Supernową w roku 33 p.E., czyli „po Exodusie”, Exodus natomiast nastąpił mniej więcej półtora stulecia p.N., czyli „po Napędzie”. „Napęd” — aby uniknąć szczegółów technicznych — był wynalazkiem nieco prostszym niż kobieta, lecz znacznie bardziej skomplikowanym niż seks, wynalazkiem, dzięki któremu statek „zawieszał” swoje istnienie w jednym miejscu i niemal równocześnie pojawiał się w innym, omijając ograniczenia narzucone przez prędkość światła. Mógłbym przedstawić prawdziwie imponujący spis aktów astronawigacji dokonanych przy użyciu Napędu, podając wszystkie detale „lotów” tu i tam, a także rozmaitych „filozoficznych” aspektów trudnej do ustalenia zależności między nimi, lecz... nie tego rodzaju opowieścią science fiction będzie to opowiadanie.

Naszym celem bardziej odpowiada proste stwierdzenie, że w 33 roku p.E. Słońce przekształciło się w Supernową — z wyjaśnieniem, że pierwsze pięćdziesiąt lat p.N. inżynierowie spędzili na doskonaleniu Napędu i testach z pojazdami bezzałogowymi, które zlokalizowały mnóstwo planet nadających się do zamieszkania przez ludzi, zaś przez następne sto lat przygotowywano Ziemiaków do odlotu. Naturalnie, powstało kilka ideologicznych grup z bardzo interesującym asortymentem planów dla powstania takiej czy innej Cywilizacji Idealnej; większość tych grup zawzięcie kłóciła się z wszystkimi pozostałymi. Napęd jednakże postawił przed Ziemią tak bogaty asortyment nowych światów, w nieznaczej — subiektywnie — odległości od niej, że dysydenci w gruncie rzeczy nie mieli o co toczyć wojny. Wystarczyło, że złożyli wniosek o jakąś planetę i dostawali ją. Porównania między różnymi modelami antropologiczno-kulturowymi to sprawa ogromnie fascynująca, lecz i nie o tym ma być ta opowieść science fiction. W każdym razie, nie całkiem o tym.

Słowem, zdarzyło się tak, a było to trochę ponad trzy dekady temu, że Ziemia się wyludniła. Wiele tysięcy statków odleciało na setki nowych światów (rzecz jasna, znaleźli się ortodoksi, którzy odmówili opuszczenia kolebki naszej cywilizacji, ale w niedługim czasie ze zrozumiałych względów słuch o nich zaginął) i Ziemiaków poczęli je zaludniać z różnym stopniem śmiałości i równie różnymi efektami.

Tak się jednakże złożyło (okoliczności natury technicznej są nazbyt skomplikowane, by można je było opisać w opowiadaniu science fiction naszego typu), że Centrum Kontroli Napędu musiało pozostać na Ziemi: jakiś hiperkomputer stał się nie tylko jedynym narzędziem do śledzenia ruchu wszystkich światów, ale też ich jedynym środkiem wzajemnej komunikacji. A kiedy Ziemia dodała swój jasny mały okruszek do oceanu blasku Supernowej, zniknęło urządzenie, za pomocą którego wszystkie nowe światy mogły się wzajem odnaleźć — chyba że poprzez żmudny proces wysyłania nieco na ślepo poszukiwawczych bezzałogowych kosmicznych sond. Każdemu z nowych światów zajęło nieco czasu wytworzenie potrzebnej technologii, a jeszcze więcej uzyskanie wydajnej sprawności urządzeń technicznych, jednak w końcu na planecie o nazwie Terratu² (ponieważ

przypadkiem była trzecią planetą od słońca typu GO) pojawiła się pewna instytucja o nazwie Archiwum, coś w rodzaju rejestru i izby rozrachunkowej dla wszystkich znanych zamieszkałych światów. Archiwum uczyniło Terratu centrum komunikacyjnym i niebawem generalnym dyspozytorem handlu pomiędzy ziemskimi koloniami. Była to wielka wygoda dla wszystkich. Ubocznym efektem stało się, rzecz jasna, przeświadczenie mieszkańców Terratu, że poza centrum komunikacyjnym jest też centrum wszechświata, a zatem powinni go kontrolować... Pragnienie dominacji od zawsze jednak było nieodłączną cechą rasy ludzkiej (kto wie, może nawet wszystkich inteligentnych gatunków wszechświata) i w tej materii nic się po przeprowadzce z Ziemi nie zmieniło.

Teraz musimy ustalić, jakiego rodzaju opowieścią science fiction będzie poniższe opowiadanie.

* * *

— Charli Bux — warknął Charli Bux. — Chcę się zobaczyć z dyrektorem Archiwum.

— Naturalnie! — Ładna dziewczyna przy biurku odburknęła mu zimnym tonem, którego ładne dziewczyny używają wobec spieszących się i oburzonych gości, wyraźnie nieświadomych ich urody bądź na nią nieczułych. — Był pan umówiony?

Mimo pośpiechu i oburzenia młody mężczyzna wydawał się całkiem sympatyczny, chociaż swoją uprzejmość skrywał z wprawą, popatrując na boki, a gdy w końcu skupił zmrużone oczy na jej zadartej twarzy, nie okazał w żaden sposób, że dostrzega jej urodę. Dziewczyna poczuła się niedoceniona, a przybysza uznała za niezbyt miłego.

— Nie ma pani — spytał chłodno — terminarza?

Nie znalazła na to pytanie odpowiedniej riposty, szczególnie że posiadała terminarz. Leżał otwarty przed nią. Przesunęła po kartce palcem zakończonym sztucznym złotym paznokciem, aż trafiła na nazwisko „Bux”. Rzeczywiście zostało wpisane, więc dziewczyna posłała mężczyźnie przepaszające, choć pozbawione entuzjazmu spojrzenie, po czym przesunęła paznokciem do zapisanego terminu. Zerknęła na tarczę zegara wmontowanego w biurko, położyła rękę na przycisku i odezwała się do mikrofonu:

— Niejaki pan Charli... hmm... Bux do pana, dyrektorze.

— Wpuść go — padła odpowiedź.

— Może pan wejść.

— Wiem — rzucił sarkastycznie Charli.

— Nie lubię pana.

— Co takiego? — spytał, lecz i tak myślał już o czymś innym, toteż zanim zdążyła powtórzyć stwierdzenie, zniknął za szklanymi drzwiami.

Dyrektor Archiwum tkwił na swoim stanowisku dostatecznie o, by oczekiwać grzeczności, szacunku i pokory, polubił te splendory i nawykł do władczego sposobu bycia. Charli Bux wkroczył zdecydowanie do gabinetu, rzucił na biurko grubą papierową teczkę, usiadł nieproszony, pochylił się do przodu i wściekle ryknął:

— Niech to diabli... — Jego wrzask z pozoru nie zaskoczył dyrektora Archiwum, gdyż został on przed Charlim ostrzeżony. Zaplanował dokładnie, w jaki sposób poradzi sobie z tym zuchwałym młodzieńcem, jednakże wobec rozmiarów gniewu Buxa uznał swoje plany za niemal całkowicie bezwartościowe. Po chwili ogarnęło go wręcz zdumienie, gdyż uprzytomnił sobie, że rozdziawia usta

i drżą mu ręce. Już dawno nie zdarzyły mu się tego typu objawy zdenerwowania, czuł więc, że misternie obmyślona strategia runęła. — Eee... na psie jaja! — ryknął Charli, choć gniew najwyraźniej go opuszczał.

— Pieprzone dyndające psie jaja. — Popatrzył na przestraszonego starca i radośnie wyszczerzył zęby. — Sądzę, że nie ma w tym pańskiej winy. — Uśmiech zniknął. — Jednakże ze wszystkich chorych na wodogłowie, zaślinionych, skretyniałych ludzi, jakich spotkałem w życiu, ci z ostatniego okresu są najgłupszy. Wiesz pan, w ilu biurach byłem z tym... — podniósł i jeszcze raz rzucił na biurko ciężką teczkę — ...odkąd wróciłem?

Dyrektor Archiwum znał tę liczbę, tym niemniej spytał:

— W ilu?

— W zbyt wielu... Ale i tak odwiedziłem ich o połowę mniej niż przed odlotem na Vexvelt. — To powiedziawszy, ostentacyjnie zgrzytnął zębami, znowu pochylił się do przodu i wpatrzył się w starca bystrymi oczyma o przeszywającym spojrzeniu, które wyglądały jak dwa bliźniacze lasery. Dyrektor Archiwum starał się nie odwrócić wzroku jako pierwszy, niestety wysiłek sprawił, że odchyłał się powoli coraz bardziej w tył, aż wbił głowę w oparcie fotela i podbródek uniósł mu się trochę zbyt wysoko. Z zadartym nosem poczuł się niemal poniżony — jakby jakiś służący zmusił go do siłowania się na ręce. Ale to Charli Bux pierwszy odwrócił oczy, choć starzec wcale z nim nie wygrał, gdyż w tym samym momencie dosłownie opadł do przodu, jakby spojrzenie Charliego utrzymywało go dotąd w tej nienaturalnej pozycji i teraz puściło. Jeśli jednak Bux poczuł się zwycięzcą tego pojedynku, nijak nie dał tego po sobie poznać.

— Sądzę — odezwał się po długiej, pełnej skupienia pauzie — że będę musiał panu o tym opowiedzieć... o tym, jak przypadkowo trafiłem na Vexvelt. Nie zamierzałem snuć opowieści... a może gotów byłem powiedzieć panu tylko tyle, ile sądziłem, że powinien pan wiedzieć. Pamiętam jednak, przez co musiałem przejść, aby tam dotrzeć i przez co przeszedłem od czasu powrotu... Moja katorga przed i po wygląda niemal identycznie. No cóż, stwierdzam jedno: nic już nie będzie takie samo! Moja wędrówka zakończy się tu i teraz! Nie wiem jeszcze, jak to osiągnę, lecz na wszystkie rogi jednorożców, doprowadziliście mnie do maksymalnej desperacji. Rozumie pan?

Jeśli to była prośba o zgodę, dyrektor Archiwum nie wiedział, na co miałby się zgodzić.

— Sądzę — odparł dyplomatycznie — że powinien pan zacząć od innego budynku. — Po czym dodał, nie podnosząc głosu, jednak z ogromnym autorytetem: — I proszę ciszej.

Charli Bux roześmiał się grzmiącym śmiechem.

— Nigdy jeszcze nikt mnie nie uciszył po trzech minutach. Witaj, dyrektorze, w prywatnym Klubie Uspokajaczy Charliego. Próbowano pół wszechświata, a drugiej połowie też się pewnie nie uda. Ale, przepraszam pana. Urodziłem się i wychowałem na Biluly, gdzie nie ma niczego poza okropnym pasatem, stromymi skalistymi wąwozami i morską pianą, toteż jedyną odmianą szeptu jest tam krzyk. Ale — kontynuował ciszej — nie o tym chcę mówić. Raczej o drobiazgach, które naprowadziły mnie na ślad pewnej planety, o której nikt nic nie wie.

— Jest takich tysiące...

— Chodzi mi raczej o planetę, o której nikt nic wiedzieć nie chce.

— Przypuszczam, że słyszał pan o Magdilli?

— Tak, w jej atmosferze unosi się czternaście gatunków halucynogennych mikrozarodników, a w wodzie są substancje rakotwórcze. Nikt nie chce tam lecieć, nie ma żadnych wiarygodnych raportów... Jeśli nawet komuś to i owo obojętne o uszy, nabiera wody w usta. Mam jednak na myśli zupełnie inną planetę: świat, który posiada dziewięćdziesiąt dziewięć procent ziemskiego optimum, a może nawet 99,9 procent... Albo tyle dziewiątek po przecinku, że Ziemia wygląda przy nim na

dziewięćdziesiąt siedem procent... Krótko mówiąc, warunki do życia są tam znacznie lepsze niż na naszej starej planecie.

— Jasne! Powiedz mi pan jeszcze, że ma sto dwa procent normy! — mruknął dyrektor triumfalnie.

— Skoro woli pan od prawdy obliczenia statystyczne, to służę — odparował Bux. — Powietrze, woda, klimat, miejscowa flora i fauna oraz bogactwa naturalne to 99,99999 procent standardu albo i lepiej. Strasznie trudno się tam dostać i prawie nikt nic o tej planecie nie wie. A jeśli coś wiedzą, udają, że nie wiedzą. Gdy się ich przyciśnie, odsyłają człowieka do innego departamentu.

Dyrektor Archiwum rozłożył ręce.

— Powiedziałbym, że okoliczności mówią same za siebie. Jeśli nie handlujemy z tą... hmm... wspaniałą planetą, to znaczy, że jest ona doskonale zabezpieczona...

— Świński ogon i sterczący... — wrzasnął Bux, zapanował jednak nad sobą i ze smutkiem pokiwał głową. — Jeszcze raz przepraszam, dyrektorze, ale po prostu od dłuższego czasu żyję w stresie i puszczają mi nerwy. To, co pan właśnie powiedział, przypomina konstatację pary troglodytów, że nie ma sensu budować domu, skoro wszyscy i tak mieszkają w jaskiniach. — Na widok zamkniętych oczu swego rozmówcy i jego długich białych palców przyciśniętych do siwych skroni, dodał: — Już mówiłem, że przepraszam za swój wybuch.

— W każdym mieście — odezwał się powoli dyrektor Archiwum cierpliwym tonem — na każdej zaludnionej przez ludzi planecie we wszechświecie, znajduje się bezpłatna publiczna klinika, gdzie można zdiagnozować, wyleczyć lekami bądź innymi metodami praktycznie dowolną reakcję stresową. Kuracja jest szybka, skuteczna i absolutnie nie uwłaczająca godności. Ufam, że nie uzna pan tego za gwałt na pańskiej prywatności, jeśli zrobię absolutnie nieprofesjonalną uwagę — rzecz jasna, nie zamierzam udawać psychoterapeuty — że czasami dany obywatel nawet nie jest świadom swego stanu, choć może on być boleśnie oczywisty dla otoczenia. Nie byłoby to bynajmniej nieuprzejme ani niezyczliwe, gdyby jakiś wyrozumiały nieznajomy zasugerował takiemu obywatelowi...

— Daruje sobie pan te okrężne aluzje. Mówiąc wprost, sugeruje pan, że ktoś powinien obejrzeć trybiki w mojej głowie...

— W żadnym razie! Nie czuję się uprawniony do podobnych sugestii. Pomyślałem sobie tylko, że wizyta w takiej klinice... a najbliższa znajduje się zaledwie parę kroków stąd... że wizyta mogłaby... hmm... ułatwić nam rozmowę. Kiedy poczuje się pan lepiej, chętnie się z panem spotkam powtórnie. O ile tylko... Och, sam pan rozumie... — Zakończył z ponurym uśmiechem i sięgnął ku przyciskowi interkomu.

Poruszając się niemal równie szybko jak statki z Napędem, Bux zerwał się z fotela i w chwilę później znalazł przy biurku. Następnie wyciągnął długą, muskularną rękę i dłonią zakrył przycisk.

— Niech mnie pan najpierw wysłucha — poprosił cicho, naprawdę cicho. Jego głos zabrzmiał bardziej zaskakująco, niż gdyby dyrektor Archiwum nagle zatrąbił jak słoń. — Proszę mnie wysłuchać.

Starzec z ociąganiem cofnął rękę, po czym splótł obie dłonie na krawędzi biurka. Tym ostentacyjnym gestem oznajmiał, że ulega prośbie, choć z niechęcią i niejako pod presją.

— Nie mam zbyt wiele czasu, a pańska teczka jest strasznie gruba.

— Jest gruba dzięki mojej dokładności i skrupulatności. To nie przechwałka, raczej przyznanie się do pewnej przypadłości, która nie zawsze okazuje się przydatna... Czasami po prostu nie potrafię powiedzieć sobie dość i kompletuję dokumentację aż w nadmiarze. Jestem wszakże w stanie streścić panu cały ten materiał w kilku słowach. Opowiem może jedną dziesiątą, bo skoro nie ma pan czasu...

No cóż, nieważne. Jestem osobiście... ogromnie zaangażowany w tę sprawę. Tak czy owak... użył pan właściwych słów, mówiąc o „ułatwieniu naszej rozmowy”. Nie będę zatem truł, przeklinał ani krzyczał i nie zajmę panu wiele czasu.

— Czy mogę panu zawierzyć?

— Jest pan cholernie... Stop, Charli! — zbeształ się głośno. Błysnął uśmiechem jaskrawym jak zapalony żyrandol, po czym zwiesił głowę i wziął głęboki wdech. Gdy podniósł wzrok, zapewnił starca: — Jak najbardziej, proszę pana.

— No cóż, w takim razie... — Po tych słowach dyrektor Archiwum wskazał mu fotele dla gości, gdyż Charli Bux, nawet skruszony Charli Bux, był dla niego za wysoki i miał zbyt szerokie bary.

Charli usiadł i zamilkł na tak długi okres, że starzec zaczął się niecierpliwie wiercić. Jego gość spojrział w końcu na niego badawczo i oświadczył:

— Chcę po prostu uporządkować myśli, proszę pana. Wiele z tego co powiem, może pana skłonić do opinii, że rzeczywiście powinienem spędzić trochę czasu w wariatkowie. Można tak pomyśleć, nawet jeśli nie jest się lekarzem. Czytałem kiedyś pewną historię o dziewczynce, która bała się ciemności, ponieważ w jej szafie ukrywał się mały, włochaty, purpurowy człowieczek z jadowymi zębami. Wszyscy mówili dziewczynce: „Daj spokój, tam nikogo nie ma, bądź rozsądna, bądź dzielna”. No i pewnego dnia znaleziono ją martwą. Umarła ewidentnie od ukąszenia, a jej pies zagryzł małego, włochatego, purpurowego człowieczka... I tak dalej... Zdradzę panu, że istniał swego rodzaju spisek, mający na celu powstrzymanie mnie Przed zdobyciem informacji o pewnej planecie, a ja się w końcu tak wkurzyłem, że postanowiłem ją zobaczyć na własne oczy, co „Tamci” ogromnie starali się mi utrudnić. Twierdzili, że wygrałem wycieczkę w zupełnie inne miejsce. Gdybym przyjął „nagrodę”, zmarnowałbym na nią cały swój urlop... Nie przyjąłem jej zatem, a wtedy „Tamci” oświadczyli, że żaden terminal Napędu nie orbituje wokół planety Vexvelt, a leży ona zbyt daleko, aby do niej dotrzeć w tradycyjny sposób... A jest to, na Boga, och... zwyczajne kłamstwo, proszą pana! Tak czy owak, gdy w końcu odkryłem sposób dostania się na Vexvelt, „Tamci” poplątali coś z moimi kontami kredytowymi i nie mogłem zapłacić za przelot. Z tej przyczyny... niech mi pan wierzy... wcale nie winę pana za to, że nazwał mnie pan paranoikiem i uprzejmie zasugerował terapię. Tyle że... wszystko, o czym mówię zdarzyło się naprawdę i nie były to złudzenia, niezależnie od tego, jak to wszystko brzmi i co sądziłby każdy... Dwie trzecie Charliego Buxa (oto, do czego doprowadzili „Tamci”!) też wątpiło, ale... Miałem bardzo niewiele dowodów, a jednak uwierzyłem. Otaczały mnie tony kłamstw... Podkreślę raz jeszcze: po prostu musiałem polecieć na Vexvelt, musiałem! Musiałem stanąć w głębokiej po kolana, słodko pachnącej trawie planety, poczuć cedrowy zapach ogniska i ciepły wiatr na swojej twarzy — *I moje ręce w dłoniach dziewczyny imieniem Tyng* — dodał w myślach — *której je ofiarowałem wraz ze swoim sercem, swoją nadzieją i olśniewającym zdumieniem o barwie wschodzącego słońca i zapachu łez* — zanim w końcu pozwolę sobie na wiarę, że od początku miałem rację, że rzeczywiście istnieje planeta o nazwie Vexvelt i że naprawdę znajdują się na niej te wszystkie rzeczy, o jakich słyszałem... — *I jeszcze inne, i jeszcze więcej, och znacznie więcej niż kiedykolwiek ci opowiem, starcze. Zamilkł i odwrócił błyszczące od łez oczy.*

— Jak się zaczęły pańskie... poszukiwania?

Charli Bux odrzucił wielką głowę i zagapił się na chwilę w dal, rozważając jakieś wcale nie zapomniane szczegóły.

— Och! W tym bałaganie to był prawdziwy cud, iż na to wpadłem. Początkowo pracowałem dla Interworld Bank & Trust, wprowadzając dane do komputera izby rozrachunkowej. Praca wcale nie tak nudna, jak można by z pozoru sądzić. Przypadkiem byłem przez jakiś czas mineralogiem i te

towary oznaczały dla mnie coś więcej niż tylko nazwę, ilość i cenę. Och! — wysapał głośno, jakby sobie coś przypomniał. — Mogę od razu podać jeden przykład. Skaleń. Używa się go do wyrobu porcelany i zabytkowego szkła. W którymś momencie zaskoczyłem. Odkąd pamiętam, skaleń — pokruszony i zapakowany — chodził w dokach po jakieś dwadzieścia pięć kredytów za tonę. Nagle jednak pojawił się jeden z naszych klientów ze skaleniem za osiem i pół kredytu za fracht, czyli z dostawą. Zadzwoniłem do firmy, by to sprawdzić. Właściwie, nie bardzo mnie obchodziła cena skalenia, lecz taka stawka mogła rzutować przez lata na statystyczny wyciąg towarów importowanych i eksportowanych. Księgowy przejrzał rachunki i potwierdził: rzeczywiście, osiem i pół za tonę, skaleń wysokiej jakości, skruszony i zapakowany. Sprzedawał jakiś pośrednik na Lete, z którym nie byli się w stanie obecnie skontaktować. Zapomniałem o wszystkim, jednak jakiś czas później wyniknęła podobna sprawa. Tym razem chodziło o niob, inaczej zwany columbium. Pierwiastek ten między innymi pomaga utrzymać nierdzewność stali. Nigdy wcześniej nie widziałem, by notowania za pręty wsadowe niobu spadły poniżej stu trzydziestu siedmiu, a tutaj nagle pojawiła się cena... niby niewiele niższa tym niemniej... dziewięćdziesiąt kredytów wraz z dostawą. I do tego doszedł jeszcze pewien transport niobu w postaci cienkiej blachy, także około trzydziści procent tańszej niż kiedykolwiek widziałem. Fracht zapłacony. Sprawdziłem i to. Wszystko się zgadzało. Towar pachniał dobrze i był czysty, jak powiedział mój rozmówca. O tej sprawie również zresztą zapomniałem, a przynajmniej tak mi się zdawało. A później poznałem tego kosmicznego handlarza. — *Moxie Magiddle. Naprawdę tak się nazywał! Zezowaty mały facet, który śmiał się tak głośno, że drżały od tego wszystkie ściany spelunki w porcie kosmicznym. Pił tylko alkohol i nigdy nie tykał igły. Opowiedział mi kiedyś o gościu z dużym złotym wkrętem w pępku. Snuł historie o niezwykłych sytuacjach i miejscach, z których każde stanowiło wspaniały temat do osobnej opowieści.*

— Wyjaśnił mi — podjął Charli — że Lete to planeta, na której działa tylko jedno prawo. Brzmi ono: „Bawcie się”. I nikt go nigdy nie złamał. Całe Lete jest właściwie jednym wielkim punktem przerzutowym, a także ośrodkiem wypoczynkowo–rehabilitacyjnym. Wodny świat z jednym tylko maleńkim kontynentem w tropikach. Zawsze ciepło, zawsze przyjemnie. Żadnego przemysłu ani rolnictwa, jedynie... hmm... usługi. Tysiące ludzi wydawało tam setki tysięcy kredytów, kilka tuzinów — oszczędzone wcześniej miliony. Wszyscy byli szczęśliwi. Rozmawialiśmy o skaleniu i mój rozmówca prawdopodobnie pomyślał, że ja również wiem co nieco o Lete. — *I tu dałem potężną plamę. Moxie popatrzył na mnie, jakby ujrzał mnie po raz pierwszy i nie spodobało mu się to, co zobaczył. Skłamałem mu i to było głupie kłamstwo. „Nie wydobywamy skalenia z bagna, facet — warknął. — Kpisz sobie ze mnie czy szydziś?”* I w tym momencie spapralem idealnie cudowny wieczór i dobry nastrój ulotnił się bezpowrotnie. Zapewnił mnie, że skaleń nie może pochodzić z Lete, ponieważ jest to planeta wodna. Przypomina mi się także sprawa pewnej kawy. Nazywała się Blue Mountain Coffee. Z etykiety wynikało, że ziarna pochodzą wprost ze starej Ziemi, z wyjątkowej plantacji na wyspie Jamajka. Rosła jedynie w wysokich, chłodniejszych regionach tropików, była zatem rośliną prawdziwie górską. Smakowała mi bardziej niż jakakolwiek inna kawa, jaką dotąd w swoim życiu piłem, kiedy jednak chciałem kupić więcej, okazało się, że zapas został wyprzedany. Skłoniłem kierownika, by spojrzeć w akta i ruszyłem na poszukiwanie sprzedawców — od hurtownika z Terratu, przez pośrednika, a potem importera... Widzi pan, strasznie polubiłem tę kawę! Według akt kawa również przybyła z Lete. No i tu także się coś nie zgadzało... wysokie tereny, chłodny górski klimat... Port na Lete bez wątplenia znajdował się w tropikach, ale chłód można było osiągnąć jedynie w górach, w prawdziwych górach... Przypomniałem sobie wówczas, że skaleń też niby pochodził z Lete, a wydobywano go gdzie indziej. No i ta cena! Od kawy i skalenia wróciłem do myśli o niobie, toteż sprawdziłem, jaką drogą do nas

przybył. Znowu usłyszałem, że pochodzi z Lete. Cóż, jedno wiedziałem na pewno: nie sposób zdobyć prętów i blach czystego niobu bez kopalni, hut i zakładów przemysłowych. Następny dzień spędziłem tutaj, w Archiwum i przeczytałem całą historię Lete, przysięgam, aż do Ylem i Wielkiego Wybuchu. Teren planety pokrywały praktycznie same bagna... No i znowu coś mi się nie zgadzało. Początkowo pomyślałem, że chodzi o jakiś drobiazg, który przeoczyłem i że pewnie co do prętów znajdę proste wyjaśnienie... Tym niemniej sprawa mnie dręczyła. — *A poza tym, z powodu tej sprawy wyglądałem jak koński zad przed pewnym cholernie miłym facetem. Stary, gdybym ci powiedział, jak długo się kręciłem po porcie kosmicznym, szukając tego małego krzywonogiego handlarza, uznałbyś mnie za pomyłonego i wezwał ochronę. Ponieważ miałem już obsesję... Niby nie byłem uzależniony, ale tkwiła we mnie zadra, coś, co zbytnio nie rani człowieka, lecz przeszkadza w normalnym życiu. No i później, pewnego dnia... och, w kilka miesięcy później... znowu zjawił się stary Moxie Magiddle i usunął tę zadrę. Ach! Dobry stary Moxie — nie poznał mnie na początku, naprawdę mnie nie poznał. Zabawny, mały facecik, który szybko zapominał o wszystkim, co mu nie odpowiadało. Szczerze zapominał. Wybaczył mi też tę gadkę o skaleniu — Byłem facetem, z którym lubił wypić i pogawędzić. Zdemaskował mnie jako przemądrzałego kłamcę, zbyt tępego, bym wiedział, że mnie przyłapie. Cóż, czułem się w jego oczach zdyskwalifikowany, a jednak gdy go w końcu znalazłem, przycisnąłem go do muru i o mało się z nim nie pobiliśmy... Opowiedziałem mu wtedy wszystko: o skaleniu, niobie i kawie z gór, o faktach, które sprawdziłem raz i drugi, o liczbach zaksięgowanych, wpisanych, o towarach przewożonych i ubezpieczonych... Podkreśliłem, że z akt wynika jednoznacznie, iż towar pochodzi z Lete. Oto cholerny dowód... Moxie zaczął się śmiać i aż się z tego śmiechu rozplakał, a śmiał się trochę z siebie, trochę z sytuacji, jednak przede wszystkim ze mnie. Później przesiedzieliśmy w knajpce całą noc, wypilem morze wódki i wiecie co? Nigdy w życiu się nie dowiem, jak to możliwe, że Moxie Magiddle może wypić tyle alkoholu! W każdym razie wyjaśnił mi wtedy, skąd pochodzi transport i luźno zasugerował powody, dla których nikt się do tego miejsca nie przyznaje. I podał mi nazwę, którą określano wszystkich Vexveltian płci męskiej.*

— Pewnego dnia wspomniałem o tym transportowcowi — kontynuował opowieść Bux — i ten rozwiązał zagadkę. Potwierdził, że skał, niob i kawa przybyły z Vexvelt. Dostarczali je na Lete lokalni pośrednicy, którzy najczęściej zdobywają na zlecenie pewne towary, przekazują je dalej, a gdy trochę zarobią, wracają do drobnych interesów. Tyle że planeta, która potrafi zarobić na towarach o tej jakości przy takiej cenie... gdy w dodatku w tę cenę wliczono transport... taka planeta na pewno mogłaby prowadzić interesy na nieporównywalnie większą skalę. Poza tym niob ma liczbę atomową 41, a według hipotezy Elkharta na każdej planecie, na której znajdziesz pierwiastki o liczbach atomowych od 30 do 50, istnieje spora szansa, że znajdują się wszystkie pierwiastki znane nauce. No i ta kawa! Leżałem czasem bezsenność w nocy, zastanawiając się, co ludzie z Vexvelt lubią najbardziej, skoro tak mało dbali o swoją cudowną kawę, że ją sprzedawali za bezcen. Naturalne zatem było, że przyszedłem do Archiwum, by Poczytać o Vexvelt. Och, znalazłem planetę na wielu listach, lecz jeśli kiedykolwiek ktoś z nią handlował, dane na ten temat dawno temu usunięto z akt... Wymazujemy przecież komórki pamięciowe pozycji nieaktywnych co pięćdziesiąt lat. Wiem, że wymazywano je cztery razy, ale akta tej planety podczas ostatnich trzech kasacji już mogły być puste. Co pana zdaniem Archiwum posiada na temat Vexvelt?

Dyrektor Archiwum nie odpowiedział. Doskonale wiedział, co Archiwum ma na temat Vexvelt. Wiedział, gdzie są dane, a gdzie ich już nie ma. Słyszał też, ile razy ten uparty młokos wracał do Archiwum, by wyjaśnić tajemnicę, ile wypróbował pomysłów do problemu, jak mało dostał i jak niewiele dostałby — on czy ktokolwiek inny, kto szukałby tych danych dziś. Wiedział to

wszystko, lecz milczał.

Charli Bux podniósł dłoń. Mówiąc, odliczał na palcach.

— W aspekcie astronomicznym: zero obserwacji w ubiegłych dwóch latach. W tym okresie znaleziono jedynie dwie siostrzane planety (obie martwe) i satelity. W aspekcie kosmologicznym: skan wizualny i nawigacyjny, jeśli kiedykolwiek zostały wykonane (a przecież musiały zostać wykonane, w przeciwnym razie tej cholernej planety nie wymieniono by w żadnych spisach!), zaginął i nigdy nie został powtórzony. Nie istniał zatem sposób poznania dokładnego miejsca położenia Vexvelt. W aspekcie geologicznym: brak danych. W aspekcie antropologicznym: brak danych. Później znalazłem jakiś materiał na temat tamtejszego poziomu napięcia wodoru oraz emisji macierzystej gwiazdy Vexvelt, lecz te informacje niewiele mi pomogły. Podsumowanie w Wydziale Ekstrapolacji Handlowej: brak handlu. Planetę po prostu uznano za nieodpowiednią. Ani słowa nie napisano na temat osoby, która doszła do takich wniosków, czy też jej pobudek. Spróbowałem zatem inaczej. Postanowiłem poszukać informacji o ludziach, którzy prowadzili jakiegokolwiek badania na Vexvelt, jednakże natrafiłem jedynie na nazwiska astronautów. Pierwszy był Troshan. Po wyprawie wpakował się w jakieś kłopoty, został skazany na śmierć i wyrok wykonano... Wie pan, że jeszcze sześćset, siedemset lat temu zabijaliśmy niektórych przestępców? Tak czy owak, nie wiem, co takiego przeszkrobał. I najwyraźniej wyrok wykonano, zanim Troshan zdążył przekazać raport na temat zbadanej planety. Drugi był Balrou. Tak, ten zdążył złożyć raport, raport tak krótki, że znam go na pamięć i mogę go panu zacytować słowo po słowie: „Ze względu na panujące na Vexvelt warunki, nie zaleca się kontaktów”. Kropka. Tak przy okazji, musiał to być w przeliczeniu na słowa najkosztowniejszy raport, jaki kiedykolwiek sporządzono.

„Tak było”, pomyślał dyrektor Archiwum, lecz nie powiedział tego na głos.

— Był jeszcze mężczyzna nazwiskiem Allman. Dokonał eksploacji Vexvelt, ale... jak to ujmuje raport: po jego powrocie „odkryto, że Allman cierpi na syndrom zamknięcia, a jego raport był tak strasznie niekorzystny, że nie bierze się go pod uwagę”. Czy to stwierdzenie oznacza, że raport zniszczono, dyrektorze?

„Tak”, pomyślał starzec, odparł jednakże:

— Nie potrafię panu odpowiedzieć na to pytanie.

— Hmm... Czyli tak — podjął Charli Bux. — Gdybym chciał przedstawić jakiś klasyczny przypadek tego, co w starych książkach określa się mianem manii prześladowczej, wystarczyłoby po prostu zreferować fakty dokładnie tak, jak się zdarzyły. Czy miałem powody podejrzewać, że „Tamci” upatrzyli mnie sobie na idealny obiekt i podsunęli mi ślady, takie jak tani skaień i wysokiej jakości kawę? Miała to być przynęta, której nie mogłem przegapić i której nie potrafiłem się oprzeć. Czy miałem powody podejrzewać, że ta żywa karykatura z komediowym imieniem... Moxie na litość Boską Magiddle... że gnojek pracował dla „Tamtych”? Hmm... co się zdarzyło następnie, gdy szczerze i otwarcie wyznaczyłem Vexvelt na swój następny urlop? Jak wspominałem, powiedziano mi, że żaden terminal nawigacyjny Napędu nie orbituje wokół tej planety i można do niej dotrzeć jedynie tradycyjnym transportem. Oczywiście kłamstwo, choć nie sposób było tego udowodnić tu, czy na Lete... Nawet Moxie o tym nie wiedział. Gdy napisałem w formularzu, że chciałem się dostać na Vexvelt przez Lete normalnym transportem, otrzymałem odpowiedź, że nie poleca się Lete jako turystycznego przystanku, a zresztą i tak nie złapię tam wahadłowca na Vexvelt. Wpisałem zatem Botil, gdyż wiedziałem na sto procent, że jest on przystankiem turystycznym i posiada zarówno wahadłowce kosmiczne jak i statki czarterowe. Mapy gwiazdne nazywały go Kricker III, podczas gdy Lete było Kricker IV. Pomysł okazał się dobry. Wygrałem wprawdzie wycieczkę — darmowy lot na bardzo piękny Zeenip, raj nad rajami z dwoma Mytymi polami golfowymi, każde z trzydziestoma

sześcioma dołkami, ‘jeszcze darmowe kąpiele w mleku... Oddałem wycieczkę jakiejś organizacji dobroczynnej, mówiąc, że pragnę sobie odpisać darowiznę od podatku, po czym poszedłem odebrać bilet na Botil, tak jak zaplanowałem. Niestety, musiałem wszystkie formalności zacząć od „owa, ponieważ biuro podróży dowiedziawszy się o wygranej, wykasowało całą transakcję. Niby logiczne, lecz tyle czasu zajęła mi Ponowna organizacja wyprawy, że spóźniłem się na wyznaczony przelot i zmarnowałem tydzień z mojego urlopu. Później, gdy poszedłem zapłacić za transport, okazało się, że stan mojego konta wynosi zero i kolejny tydzień strawiłem na wyjaśnianie tej godnej ubolewania pomyłki komputerowego systemu. Do tego czasu w agencji turystycznej pozostał już tylko jeden termin wycieczki, a ponieważ cała podróż potrwałaby o dwa tygodnie dłużej niż mój urlop, pracownicy agencji ponownie wymazali transakcję, wychodząc z założenia, że zrezygnuję.

Charli Bux spojrział na swoje ręce i zacisnął je. Biuro Archiwum wypełnił odgłos chrupnięcia chrząstek. Bux najwyraźniej tego nie zauważył.

— Pewnie każdy inteligentny człowiek pojąłby już, o co chodzi i się wycofał, lecz „Tamci” nie docenili mojego uporu. Proszę mnie dobrze zrozumieć. Nie twierdzę, że jestem człowiekiem ze stali, ale, na Boga, jeśli coś postanowię, łatwo nie odpuszczam. Nie zamierzam się przechwalać w kwestii odwagi czy pewności własnych przekonań. Wcale nie miałem zresztą tej pewności, wiedziałem tylko, że przydarzył mi się cały ciąg zbiegów okoliczności, których nikt mi nie chciał wytłumaczyć, chociaż wyjaśnienie było prawdopodobnie proste jak drut. Nigdy jednak nie uważałem się za człowieka wyjątkowo dzielnego. Właściwie byłem... przerażony. Och, również sfrustrowany i wściekły, lecz przede wszystkim przerażony. Gdyby mi ktoś wyjaśnił całą sprawę w sensowny sposób, zapomniałbym o niej. Gdybym porozmawiał z jakimś specjalistą od Vexvelt i ten by mnie zapewnił, że planeta jest skażona (poza pokładami dobrego skalenia i jednym czystym stokiem górskim pod uprawę kawy), roześmiałbym się i dał sobie spokój. Jednakże problemy, których doświadczyłem... szczególnie gdy usiłowałem zarezerwować przelot... naprawdę mnie przerażyły. Osiągnąłem punkt, w którym usatysfakcjonowałyby mnie i zapewniła o własnym zdrowiu psychicznym jedynie podróz na Vexvelt. Musiałem się naprawdę dowiedzieć, o co chodzi. A akurat na to mi nie pozwalano. Potrzebowałem solidnego dowodu i nie zamierzałem spędzić kolejnych lat na próżnych rozważaniach. Dyrektorze, człowiek może wytrzymać cierpienie, gorszy jest chyba jednak dla niego sam lęk przed cierpieniem. A ja byłem naprawdę przerażony i czułem, że mogę się pozbyć strachu jedynie wówczas, jeżeli wyjaśnię całą sprawę.

— O rany — mruknął starzec, a ponieważ wcześniej długo milczał, wsłuchany w opowieść, jego głos zabrzmiał świeżo i szokująco.

— Wydaje mi się, że mógł pan sobie z tym wszystkim poradzić znacznie prościej. Każde miasto na każdym zaludnionym świecie posiada bezpłatną klinikę, w której...

— Mówił mi pan o tym już dwa razy — przerwał mu Charli Bux. — Powiem coś panu na ten temat, ale jeszcze nie teraz. Wie pan jednak równie dobrze jak ja, że psychiatrzy niczego nie zmieniają i niczego nie leczą. Jedyne poprawiają człowiekowi samopoczucie.

— Nie widzę różnicy i nie wiem, co jest złego w dobrym samopoczuciu.

— Przyszedł do mnie przyjaciel i powiedział mi, że umrze na raka w przeciągu ośmiu tygodni. „Dokładnie na czas — oświadczył wesoło i walnął mnie w plecy tak mocno, że aż ujrzałem przed oczyma czerwone plamki. — Idealna pora na mój pogrzeb”. Po czym odszedł ulicą, kaszląc jak szalenciec.

— Czy nie zrobiłby lepiej, gdyby położył się na łóżku i cierpiał w samotności?

— Nie potrafię panu odpowiedzieć na tego rodzaju pytanie, lecz szczerze zapewniam, że porównanie jest trafne. Tak czy owak, pociągała mnie planeta o nazwie Vexvelt i nie uważałem, że

poczuję się lepiej, jeśli ktoś mi wmówi, że tej planety nie ma. Proszę mi wierzyć — psychiatrzy w niczym by mi nie pomogli.

— A nie widzi pan, że nie panuje...

— Nazwij mnie pan prymitywem, jeśli chcesz... albo radykałem czy też ignorantem. — Charli Bux znowu podniósł głos i najwyraźniej był tak rozgniewany, że wcale o to nie dbał. — Słyszał pan kiedyś takie stare porzekadło: „W każdym grubasie siedzi chudzielec, który krzyczy, że chce wyjść?”. Nie umiałem ot tak, po prostu zapomnieć o istnieniu Vexvelt. Można by mnie uwięzić, dręczyć, torturować i leczyć, lecz nawet gdybym się w pewnym momencie roześmiał, zachichotał, zapomniał i dał się przekonać... nawet gdybym po wyjściu z kliniki zaczął przemawiać i przekonywać innych, że Vexvelt nie istnieje... nawet wtedy głęboko w swoim wnętrzu znałbym prawdę, trwałbym z zaklejonymi ustami, związanymi rękoma oraz przekonaniem, którego nic nie podważy. Zresztą, co to ma do rzeczy? Przyszedłem porozmawiać o zakamuflowanej planecie, nie o sobie.

— Najpierw proszę mi coś powiedzieć... Rzeczywiście sądzi pan, że jacyś tajemniczy „Tamci” chcieli pana powstrzymać?

— Nie, do diabła! Uważam, że przeciwstawiam się pewnej staroświeckiej głupocie, akceptowanej i z pozoru zwyczajnej. I dlatego nie ma żadnych informacji w aktach. Nie sądzę, by wszyscy byli dziś tak głupi. Lubię myśleć, że ludzie na naszej planecie potrafią dostrzec prawdę i nie dadzą się łatwo przestraszyć. A gdy ich coś przeraża, umieją to sobie przemyśleć. A co do tego wyścigu szczurów w związku z rezerwacją wakacji, można wyjaśnić każdy z nieprzyjemnych przypadków, które mi się przydarzyły. Nauka i matematyka są już zdolne wyjaśnić mechanizmy „złej passy” i „dobrej passy”, chociaż, jak na razie, nikt nie umie ich odwrócić.

— A zatem... — Dyrektor splótł palce i spojrzał na nie. — Jak się pan w końcu dostał na Vexvelt?

Bux posłał mu szeroki, pogodny uśmiech.

— Wiele słyszę o naszym wspaniałym społeczeństwie, które niby zapewnia człowiekowi wszelkie swobody. Jeśli taka jest prawda, nie potrafię podać przykładów. Wręcz przeciwnie. Z pozoru człowiek ma prawo odejść z pracy. Powiedziałem panu, że doświadczyłem paskudnego przypadku złej passy, ale podobno złą passę można przechytrzyć. Tak samo jak plan potężnych „Tamtych”. Wydaje mi się, że większość przypadków tak zwanej „złej passy” człowiek sam przyciąga. Oczywiście nieświadomie. Niby stara się pokonać pecha, lecz za każdym razem, gdy robi krok, trafia stopą pomiędzy... mówiąc obrazowo... kamienie ułatwiające przejście przez strumień. Jeśli nie potrafi przewyciężyć pecha i nie próbuje zmienić długości kroku, w końcu się potknie i połamie sobie golenie. Co powinien zrobić? Ruszyć pod prąd. Może znajdzie się na nieznanym terytorium, gdzie czyhają na niego rozmaite niebezpieczeństwa, ale jedno jest pewne: mnóstwa katuszy uniknie.

— Więc jak pan dotarł na Vexvelt?

— Powiedziałem już panu. — Odczekał, po czym się uśmiechnął. — Ale chętnie powtórzę. Rzuciłem pracę. „Tamci”, „zła passa”, parszywy los czy cokolwiek mnie prześladowało... Mogli mi to zrobić, ponieważ zawsze wiedzieli, gdzie jestem, kiedy będę w następnym miejscu i jakie mam zamiary. Czyli że zawsze na mnie czekali. Ruszyłem zatem pod prąd. Poczekaliśmy na koniec urlopu, a następnego dnia wyszedłem bez bagażu, wstąpiłem do mojego lokalnego banku i wypłaciłem wszystkie kredyty, zanim ktoś zdołał mnie powstrzymać. Później wsiadłem w napędowy kosmolot na Lunatu, gdzie zarezerwowałem sobie przelot statkiem pasażersko-towarowym na Lete.

— Zarezerwował pan przelot, lecz na pokład pan nie wsiadł.

— Skąd pan o tym wie?

— Wynioskowałem z pana wyvodu.

— No tak — mruknął Charli Bux. — Rzeczywiście, nie postawiłem nawet stopy w małej, wygodnej kabinie. Co zatem zrobiłem? Zjechałem zsuwnią towarową i utknąłem w ładowni numer 2 wraz z toną owsa. Ciekawa zagrywka, nieprawdaż, dyrektorze? Byłem tak z niej dumny, że aż żałowałem, iż nikt mnie tam nie znalazł i nie zasypał pytaniami. Nie powinno się latać na gapę, chociaż prawo mówi — a dokładnie wiem, co mówi — że pasażer na gapę to osobnik, który leci bez biletu. A ja przecież zarezerwowałem sobie przelot, zapłaciłem pełną kwotę i wszystkie papiery miałem w porządku. Zresztą, łatwiej mi było lecieć w pomieszczeniu, w którym nikt nie dba o papiery.

— Więc sądził pan, że przez Lete można się dostać na Vexvelt?

— Uważałem, że to dla mnie szansa, a nie znałem innej alternatywy. Towary z Vexvelt najwyraźniej trafiały na Lete, w przeciwnym razie w ogóle nie wpakowałbym się w tę aferę. Nie wiedziałem czy przewoźnikiem był statek vexvelcki, czy też jakiś niezależny i nieregularnie kursujący statek typu tramp (gdyby chodziło o liniowiec, dowiedziałbym się tego). Nie miałem też pojęcia, kiedy ten potencjalny statek przybywał z Vexvelt i kiedy wracał. Byłem pewny tylko jednej rzeczy: towary pochodziły z Vexvelt, a na Terratu trafiały przez Lete. Wie pan, co się dzieje na Lete?

— Ta planeta ma ustaloną reputację.

— Więc wie pan, czy nie?

Starzec nieco się zirytował. Przyzwyczał się nie tylko do szacunku i posłuszeństwa, lecz do czegoś jeszcze: to on zawsze zadawał pytania i nie nawykł, by go indagowano i to tak bezceremonialnie.

— Wszyscy wiedzą, co się dzieje na Lete. Bux potrząsnął głową.

— Nieprawda, dyrektorze.

Starzec podniósł rękę, po czym je opuścił.

— Tego typu miejsca funkcjonują wedle własnych zasad. Ludzkość zawsze będzie...

— Jednym słowem, pochwała pan to, co się dzieje na Lete — wtrącił Charli.

— Ani nie pochwalam, ani z tym nie walczę — odparł cierpko dyrektor Archiwum. — Wszyscy wiedzą, co tam się dzieje i uważają te zdarzenia za immanentną cechę tego świata, za konieczność... Z drugiej strony, zdajemy sobie sprawę z faktu, że Lete nie rości sobie pretensji do niczego więcej, więc... Tak, w jakimś sensie tę planetę akceptujemy... Niech mi pan jednak w końcu powie, jak się pan dostał na Vexvelt?

— Na Lete — ciągnął nieprzejednanie Charli Bux — można zrobić z każdym to, na co ma się tylko ochotę... Wiek, rasa, płeć, rodzaj „atrakcji”, pojedyncza istota ludzka czy może cała grupa, nie grają roli... Wystarczy zapłacić.

— Nie wątpię. Proszę opowiedzieć o kolejnym etapie pańskiej podróży...

— Istnieją ludzie — odparł Charli Bux, nagle szokująco cichym głosem — których pociąga choroba... których pociągają rany, dyrektorze Archiwum... albo kikuty amputowanych kończyn. Pewni ludzie na Lete... hmm... „kultywują” choroby, by przyciągnąć zainteresowanych tego typu rozrywką klientów. Wiedzmy, dyrektorze, o zdeformowanych twarzach, a także chłopcy i małe...

— Proszę zaprzestać tych obrzydliwych...

— Jeszcze minutkę. Jedna z niepisanych i nienaruszalnych tradycji Lete mówi, że jeśli ktoś płaci za zrobienie czegoś, ktoś inny może zapłacić za przypatrywanie się.

— Skończył pan już?! — Tym razem krzyczał dyrektor Archiwum.

— Akceptujecie Lete. Godzicie się na istnienie tego świata.

— Nie powiedziałem, że apróbuję...

— Handlujecie z Lete.

— No dobrze, rzeczywiście, handlujemy. Co nie znaczy, że...

— Trzeciego dnia... a raczej trzeciej nocy mojego pobytu na Lete — ciągnął Bux, lekceważąc bezradne tłumaczenia starego — skręciłem z jednej z głównych ulic w jakąś aleję. Wiedziałem, że nie postępuję zbyt mądrze, lecz w tamtej chwili doszło na ulicy do krwawej bijatyki i dzikiej strzelaniny. Zamierzałem skręcić w prawo i dotrzeć do innej większej ulicy, którą zresztą dostrzegałem na końcu alejki. Nie potrafię panu powiedzieć, jak szybko się to stało... ani wyjaśnić, skąd się wzięli... Było ich ośmioro, tak sądzę, i pojawili się nagle w alei, która zaledwie minutę wcześniej nie wydawała mi się ani ciemna, ani szczególnie wąska i którą widziałem na przestrzał. Otoczyli mnie ze wszystkich stron, podnieśli, rzucili płasko na plecy, a wtedy oślepiło mnie jaskrawe światło. Jakaś kobieta powiedziała: „Ech, zostawcie go, to nie on”. Męski głos polecił, by ktoś mi pomógł wstać. Podnieśli mnie i nawet zaczęli otrzepywać. Kobieta z latarką w dłoni przeproszała mnie, w całkiem sympatyczny sposób. Wyjaśniła, że słyszeli kroki pewnego... Zastanawiam się, dyrektorze, czy powinienem wypowiedzieć to słowo.

— Jeśli uważa to pan za konieczne...

— Och, sądzę, że nie muszę. Na pewno je pan zna. W każdej społeczności, czy to będzie załoga statku, brygada budowlana, czy pracownicy farmy... Wszędzie tam, gdzie ludzie pracują razem lub się gromadzą... funkcjonują określone słowa zapalne, które zawsze doprowadzają do awantury. Kto się nie da sprowokować, ten bezpowrotnie traci twarz. Kobieta użyła takiego właśnie słowa w sposób równie naturalny, jakby powiedziała „Ziemianin” lub „Leteńczyk”. Oględnie mówiąc oświadczyła, że pewien Vexveltianin jest w mieście i muszą go dopaść. Spytałem: „Aha, no i co?”. Jest to jedyna riposta, jakiej można użyć w każdych warunkach. Inna kobieta wyjaśniła mi, że jako masywnie zbudowany facet być może dałbym radę pokonać tamtego. Jeden z mężczyzn dodał: „Przydasz się nam” i oznajmił, że obejmuje przywództwo. Inny zaczął się z nim kłócić o „władzę”, zaś trzecia kobieta zdjęła but i każdego z nich klepnęła po twarzy zabłoconą podeszwą. Kazała im się uciszyć, bo w przeciwnym razie następnym razem użyje obcasa. Kobieta z latarką zachichotała i powiedziała, że Helen jest „naprawdę niezła”. Mówiła z ładnym, wystudiowanym akcentem. Dodała, że Helen potrafi z równą łatwością wyłupić obcasem oko, z jaką krupier wyrzuca oczko. Trzecia kobieta krzyknęła nagle: „Psie kupy!” i poprosiła o światło. Leżące na chodniku psie odchody okazały się już wyschnięte, więc jeden z mężczyzn zaproponował, że je osika. Kobieta nie zgodziła się, stwierdzając, że kupy należą do niej, więc sama je zmoczy. Przykucnęła, ponownie zawołała o światło, bo nic nie widziała i nie mogła wcelować. Gdy latarka ją oświetliła, zauważyłem, że mam przed sobą jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie widziałem w życiu. Coś nie tak, dyrektorze?

— Chciałem, żeby mi pan opowiedział, jak nawiązał kontakt z mieszkańcami Vexvelt — odparował nieco poirytowany starzec.

— Ależ właśnie opowiadam! — obruszył się Charli Bux — Jeden z mężczyzn kucnął przy kobiecie i chrząkając gorliwie, zaczął ugniatać zmoczone kupy. Później nastąpiła ciemność, oni zaś — jakby za pomocą czarodziejskiej różdżki — po prostu... zniknęli! Zniknęli! Nagle z ciemności wysunęła się ręka i pociągnęła mnie pod ścianę domu. Nie słyszałem żadnych dźwięków... nawet odgłosów oddechu, a jednak nagle w aleję skręcił Vexveltianin. Nie mam pojęcia, skąd moi towarzysze wiedzieli o jego nadejściu. Ręka, która mnie pociągnęła, należała do kobiety z latarką, co odkryłem w kilka sekund później. Nawet nie marzyłem o dotknięciu jej... Chwyciłem tę rękę i trzymałem, aż kobieta wyrwała ją z mojej dłoni. Wtedy poczułem, że latarka uderza mnie w nogę. Ku nam nadchodził mężczyzna. Był sporym facetem, trzymał się prosto, nosił strój w jasnym kolorze,

który uznałem raczej za objaw ryzykanctwa niż odwagi. Vexveltianin szedł lekko, rozglądając się dyskretnie wokół siebie... tym niemniej chyba nas nie zauważył. Gdyby to wszystko zdarzyło się teraz, gdy już tyle wiem o Vexvelt i o Lete, nie wahałbym się ani chwili. Dokładnie wiedziałbym, co robić. Musi pan jednak zrozumieć, że wtedy jeszcze nic nie wiedziałem... Tym niemniej... Może rozdrażnił mnie fakt, że ich było ośmioro przeciwko jednemu człowiekowi. — Przerwał i zadumał się. — A może chodziło o moją ulubioną kawę. Tak czy owak, usiłuję panu powiedzieć, że wtedy mimowolnie zrobiłem to, co dziś zrobiłbym z pełną świadomością. Wyrwałem latarkę z ręki kobiety i w dwóch susach odskoczyłem na odległość mniej więcej dwudziestu stóp. Odwróciłem się, włączyłem latarkę i oświetliłem miejsce, które dopiero co opuściłem. Dwóch z mężczyzn wczołgało się na pionową ścianę budynku niczym muchy i szykowało do skoku na ofiarę. Piękna przycupnęła, podpierając się jedną ręką o ziemię, w drugiej zaś trzymała psie odchody, które najwyraźniej zamierzała za chwilę rzucić. Oświetlona, wydała z siebie absolutnie zwierzęcy ryk i wygrażała zupełnie bezużyteczną pięścią. Reszta towarzystwa czaiła się przy ścianie bądź przy płocie, a gdy padło na nich światło, na długą sekundę jeszcze mocniej do nich przywarli, mrugając. Rzuciłem przez ramię: „Uważaj na siebie, przyjacielu, bo chyba nie jesteś tu gościem honorowym”. Wie pan, co zrobił Vexveltianin? Roześmiał się. Dodałem: „Zatrzymam ich na jakiś czas, a ty uciekaj”. „Po co? — spytał beztrosko, stając przy mnie. — Jest ich tylko ośmioro”. I ruszył prosto na nich. Coś spadło mi obok stopy. Podniosłem przedmiot i obejrzałem: to była połówka cegły. Wtedy druga połowa trafiła mnie w mostek tak mocno, że aż zaskowyczałem. Nie zdołałem się powstrzymać... Wysoki mężczyzna z Vexvelt poradził mi wyłączyć latarkę, wtedy zniknę napastnikom z pola widzenia. Zrobiłem, jak sugerował i wtedy w świetle z odległej ulicy zobaczyłem osobnika, który wylaniał się zza dużego śmietnika. Trzymał w dłoni nóż długości własnego przedramienia i tym nożem najwyraźniej usiłował zaatakować Vexveltianina. Podniosłem z ziemi kawałek cegły i rzuciłem w niego, trafiając go prosto w tył głowy. Mój nowy towarzysz nawet się nie odwrócił, mimo iż na pewno usłyszał odgłos padającego ciała i brzęk noża. Minał jednego z ludzi — much, jakby go nie widział, lecz doskonale zdawał sobie sprawę z jego obecności, gdyż niespodziewanie złapał go za obie kostki, rozbijał jego ciałem i grzmotnął wrzeszczącym facetem o ścianę. Trafił przy okazji w drugiego i obaj runęli na pozostałych członków bandy. Vexveltianin stał przez chwilę z dłońmi opartymi na biodrach; nawet się nie zasapał. Obserwował wrzeszczących i przeklinających wrogów, którzy leżeli na chodniku alei. Podeszedłem do niego i patrzyłem wraz z nim. Kilku Leteńczyków zdołało się podnieść i kuśtykając rzucili się do ucieczki. Jedna z kobiet zaczęła krzyczeć... prawdopodobnie jakieś przekleństwa, lecz nie sposób było rozróżnić słów. Poświeciłem jej w twarz i natychmiast umilkła. „Nic ci nie jest?”, spytał wysoki mężczyzna, na co odparłem żartobliwie: „Mam chyba mały krater w piersi, ale nic mi nie będzie. Poza tym, leżąc w łóżku, mogę używać tej dziury jako czary na owoce”. Vexveltianin roześmiał się, odwrócił plecami do napastników i poprowadził mnie drogą, którą przyszedł. Przedstawił się jako Vorhidin z Vexvelt, a ja powiedziałem mu, kim jestem. Dodałem, że od dawna szukam Vexveltian, lecz zanim zdążyliśmy omówić tę kwestię, po lewej stronie otworzyła się czarna dziura i ktoś wyszeptał: „Szybko, szybko”. Vorhidin klepnął mnie dłonią w plecy, a potem lekko popchnął. „Wchodź, Charli Bux z Terratu.” Więc weszliśmy. Potykałem się przez całą drogę, ponieważ najpierw schodziłem po stopniach, o istnieniu których nie miałem wcześniej pojęcia, a potem dlatego, że się nieoczekiwanie skończyły. Spore drzwi zamknęły się za nami z trzaskiem i rozblysło przyćmione żółte światło. Zauważyłem małego człowieczka o oliwkowej cerze i połyskujących, natłuszczonych wąsiskach. „Na miłość Boską, Vorhidinie, mówiłem ci, żebyś nie wychodził do miasta, bo cię zabiją”. Vorhidin odpowiedział jedynie: „To jest Charli Bux, przyjaciel”. Mały człowieczek podeszedł niespokojnie do

Vorhidina i zaczął go ostrożnie poklepywać po ramionach i żebrach, sprawdzając, czy są całe. Mój wielki towarzysz zaśmiał się i strząsnął jego rękę. „Biedny Tretti! — oświadczył. — Stale się boi, że roi się coś przydarzy! Nie przejmuj się mną, grymaśniku. Lepiej obejrzyj Charliego. Oberwał w klatkę kamieniem, który był przeznaczony dla mnie”. Zanim zdołałem powstrzymać szybkiego, małego Trettie — S°, ten już mi rozpiął koszulę, wyrwał latarkę z ręki, włączył ją i skierował światło na siniak. „Twoja następna kobieta będzie mogła Podziwiać na tobie wszystkie barwy zachodzącego słońca”, oświadczył Vorhidin. Tretti odszedł i wrócił, zanim zdążyłem mrugnąć. Spryskał mnie czymś chłodnym i miłym, po czym cały ból się ulotnił. „Co masz dla nas?”, spytał Vorhidin Trettiego, który z latarką w dłoni ruszył do kolejnego pomieszczenia. Leżały tam sterty przeróżnych towarów, przeważnie jakieś narzędzia i urządzenia. Dostrzegłem też spory stos kaset trideo, głównie z muzyką i nowymi gramami, lecz wśród nich leżało też parę powieści. Towaru było naprawdę sporo. Vorhidin podniósł czterdziestofuntową skrzynię i z zadziwiającą swobodą obrócił ją w powietrzu dwukrotnie, by odczytać etykietę. „Spektroskop molarny — oznajmił. — Większości tych śmieci właściwie nie potrzebujemy, ale lubimy wiedzieć, co się dzieje w przemyśle i jakie powstają nowe technologie. Czasami nasze są lepsze, a czasami nie. Po prostu lubimy wiedzieć, i tyle”. Delikatnie postawił skrzynię, sięgnął do kieszeni i wyjął tuzin lub więcej kamieni, które błyszczały tak intensywnie, że aż kłuły w oczy. Jeden z kamyków, błękitny, wytwarzał nawet własne światło. Vorhidin wziął dłoń Trettiego, przyciągnął ku sobie i napełnił ją kamieniami. „Wystarczy za ten ładunek?”. Nie mogłem opanować ciekawości — mimowolnie przyjrzałem się towarom, oceniłem je, podsumowałem ich wartość i... doszedłem do wniosku, że stosy leżących tu przedmiotów są mniej warte niż ten jeden błękitny kamień. Tretti otworzył szeroko oczy z zaskoczenia. Nie był w stanie wydusić z siebie słowa. Vorhidin pokiwał głową, roześmiał się i podsumował: „Zatem w porządku”, po czym sięgnął ponownie do kieszeni w spodniach i wyjął jeszcze cztery czy pięć kamyków. Odniosłem wrażenie, że Tretti zaraz się rozplacze ze szczęścia. I nie pomyliłem się. Rzeczywiście się rozszlochał.

— Przygotowaliśmy sobie posiłek i podczas jedzenia opowiedziałem Vorhidinowi, jak tu trafiłem. Stwierdził, że lepiej zabierze mnie ze sobą. Spytałem: „Dokąd?”, a on odparł: „Na Vexvelt”. Zacząłem się śmiać. Wyjaśniłem, że przez cały czas głowię się nad sposobem poproszenia go o to, na co on też się roześmiał, odrzekł, że się tego domyślił i dorzucił, że zabierze mnie z dwóch powodów. „Powód pierwszy. Jestem ci dłużny przysługę za pomoc”, oznajmił, kiwając głową w stronę wyjścia z pokoju. „Powód drugi. Nie przeżyłbyś tej nocy, gdybyś został na Lete”. Chciałem wiedzieć, dlaczego bym jej nie przeżył, gdyż z tego co widziałem, na planecie stale dochodziło do bójek, a godzinę później wcześniejsi przeciwnicy pili z tego samego kielicha. Vorhidin odparował, że może i tak, ale w moim przypadku to zgoła inna sytuacja, ponieważ nikt nie pomaga Vexveltianinowi poza innym Vexveltianinem. Wystarczy pomóc komuś takiemu jak on, a mieszkańcy Lete uznają człowieka za jednego z Vexveltian. Spytałem, co właściwie Lete ma przeciwko Vexvelt. Vorhidin przestał żuć, po czym przez długą chwilę patrzył na mnie takim wzrokiem, jakby nie zrozumiał mojego pytania. W końcu mruknął: „Naprawdę nic o nas nie wiesz, co?”. Przyznałem, że nie wiem zbyt dużo. „No cóż — powiedział — no to mam trzeci powód, by cię zabrać”. Tretti otworzył podwójne drzwi na drugim końcu kryjówki. Stała tam furgonetka ładowa, a za nią znajdowały się drugie drzwi, prowadzące bezpośrednio na ulicę. Załadowaliśmy skrzynie do pojazdu i wsiedliśmy — ja z tyłu, Vorhidin za kierownicą. Tretti wspiał się na drabinę i zakręcił jakimś kołem. „Peryskop — wytłumaczył mi Vorhidin. — Z zewnątrz wygląda jak zwykły maszt”. Tretti pomachał nam ręką. Po policzkach znowu spływały mu łzy. Wecisnął włącznik i drzwi gwałtownie się otworzyły. Furgonetka wyjechała na zewnątrz, drzwi tymczasem odbiły się od czegoś i ponownie

zaczęły zamykać. Vorhidin prowadził pojazd jak staruszka. Albo jakby wiózł szkło. Zadałem sobie pytanie, co zrobiłyby te zamieszkujące Lete tłumy pijaków i pedałów, gdyby mogli zajrzeć do środka. Spytałem Vorhidina: „Czego miejscowi się boją?”. Mój towarzysz najwyraźniej znowu nie zrozumiał pytania, więc dodałem: „Przeważnie ludzie sprzysięgają się przeciw komuś ze strachu. Uważają, że chcecie im coś zabrać?”. Vorhidin ponownie się zaśmiał i odrzekł: „Tak, ich obyczajność”. Tylko tyle zdołałem z niego na ten temat wyciągnąć przez całą drogę do portu kosmicznego. Vexvelcki statek stał zaparkowany kilka mil od terminalu, na samym skraju pasa startowego, w pobliżu drzew. Niedaleko statku płonął ogień. Gdy podjechaliśmy, zauważyłem, że ogień wcale nie pali się blisko statku, lecz pod nim. Dostrzegłem też nieopodal spory tłum ludzi, może z pół setki. Przeważnie kobiety, ewidentnie pijane. Tańczyły, zataczały się i podrzucały kawałki drewna pod statek, który stał pionowo niczym staroświecka rakieta kosmiczna z bajek dla dzieci. Vorhidin mruknął: „Idioci” i poruszył czymś na nadgarstku, a wtedy statek zaczął dudnić. Ludzie rozbiegli się z krzykiem. Potem z potężnym sykiem z dysz buchnęła para i kawałki drewna rozprysły się na wszystkie strony. Przez jakiś czas pas startowy pełen był biegających w panice ludzi: wrzeszczeli, potykali się, a chaos pogłębiały jeszcze rowery i lądowe pojazdy, które kręciły się w kółko i wpadały na siebie. W końcu sytuacja się uspokoiła i mogliśmy podejść do statku. W górze otworzył się właz, z którego opuścił się bom ładunkowy i wręgi dźwigara. Vorhidin Przymocował się, rzucił zaczepy na pokład furgonetki, dał mi znak, bym podążył za nim, sięgnął do przodu i ustawił odpowiednio zespół przyrządów do sterowania furgonetki, po czym dotknął przedmiotu na nadgarstku. Ładunek furgonetki wzniósł się wraz z nami, zaś samochód wystartował i ruszył samodzielnie w drogę powrotną.

— Poza nami, na statku — kontynuował Charli Bux powoli — była jeszcze młoda kobieta, pełniąca funkcję oficera nawigacji. — *Z długimi lśniąco-czarnymi włosami przypominającymi skrzydła, błękitem nieba w skośnych oczach oraz pełnymi, pytającymi ustami. Przytuliła Vorhidina bardzo mocno, na bardzo długo i śmiała się z wiadomości, której nie sposób było przekazać żadnymi słowami: Vorhidin był bezpieczny. „Tamba, to jest Charli — przedstawił nas sobie Vorhidin. — Pochodzi z Terratu i stanął w mojej obronie”. Tamba podeszła do Charliego, przytuliła go i pocałowała. Te nieprawdopodobne usta, ciepłe, mocne i wilgotne usta... Ach... Charli wciąż czuł dotyk jej warg na swoich, mimo iż pocałunek trwał zaledwie sekundę. Oszołomiony Bux przez kolejną godzinę nie mógł się pozbyć cudownego smaku jej warg i urzekającego zapachu jej ciała, chociaż zetknęli się z sobą na tak krótko.*

— Statek wzniósł się i skierował ku słońcu na północ niebosłonu. Utrzymawał ten kurs przez dwa dni. Lete posiadało dwa księżyce, z których mniejszy był zaledwie skalistą asteroidą. Vorhidin zharmonizował prędkość z orbitą księżycy i zawisł pół kilometra dalej, dryfując. — *Pierwszej nocy Charli zawiesił swoją koję na tylnej grodzi i położył się tam, zmęczony siłą ciągu silnika statku oraz przyśpieszonym biciem własnego serca. Nigdy nie widział takiej kobiety... właściwie chyba dopiero co stała się kobietą... Była tak naturalnie radosna. I była całkowicie i kompletnie sobą. Pół godziny po starcie powiedziała: „U nas ubrania nie są potrzebne na statku. Ale Vorhidin zasugerował, że powinnam cię o to spytać, ponieważ na planetach panują rozmaite zwyczaje, zgadza się?”. „Tutaj — wydukał Charli — żyjemy według waszych zwyczajów, nie według moich”. Tamba podziękowała mu wesóło, po czym dotknęła kawałka broszki przy szyi i jej ubranie opadło. „Dzięki temu zyskujemy więcej prywatności — wyjaśniła na odchodnym. — Gdy ludzie są nadzy, więcej znaczą zamknięte drzwi. Wiadomo, że są zamknięte z ważnego powodu, a nie dlatego, że ktoś mógłby mnie zobaczyć w halce”. Wrzuciła strój do jednej z kabin, a dokładnie: do kajuty Vorhidina. Charliemu zrobiło się słabo, więc oparł się o gródź i zamknął oczy. Jej sutki były takie jak jej usta, pełne i pytające. Vorhidin też chodził nago, lecz Charli został w ubraniu, czego*

vexveltianie w żaden sposób nie skomentowali. Noc wydawała się bardzo długa. W jej trakcie ciężar na duszy Charliego obrócił się w gniew. Pomogło! „Stary drań — myślał Charli z zazdrością — starzec o srebrnych skroniach. Dość stary, by być jej ojcem „. Złość jednak szybko go opuściła i Charli uśmiechnął się do siebie. Przypomnił sobie swój pierwszy raz, gdy pojechał do pewnego narciarskiego uzdrowiska. Spotkał tam niemal wszystkie typy ludzkie: młodych, starych, bogatych, urzędników, przedstawicieli wolnych zawodów. A jednak... Uzdrowisko, ponieważ było tym, czym było, odsiewało niezdrowo blade twarze, zaokrąglone ramiona, zapadnięte klatki piersiowe i inne cechy ludzi prowadzących siedzący tryb życia; tyjących sybarytów. Wszyscy wokół niego mieli jasne spojrzenia, wyprostowane ramiona, oszronioną skórę i wesołe miny. Każdy emanował poczuciem celu i sensu tego, co robił: jedni zmierzali na zajęcia, inni wylegiwali się w fotelach, przeciągając plecy w zasłużonym odprężeniu. Podobna aura otaczała Vorhidina — nawet nie chodziło o jego postawę, piękną karnację czy jasne oczy (choć bez wątpienia posiadał te wszystkie cechy), ale o fakt, że te wartości przenikały jego wnętrze i promieniowały z jego umysłu. Charliemu trudno to było wyrazić, ale przyjemnie mu się spędzało z Vorhidinem czas. Wczesną porą następnego dnia Vexveltianin podszedł do niego blisko, gdy byli sami w sterowni i spytał, czy Charli chciałby dzisiejszej nocy spać z Tambą. W pierwszej chwili Charli stracił oddech, jakby ktoś wrzucił mu za koszulę garść pokruszonego lodu. Zarumieniony, odparł: „Jeśli ona... jeśli ona...”, zająknął się, dziko rozmyślając, jak o to spytać dziewczynę. Nie musiał się zresztą wcale nad tym zastanawiać, gdyż w tym samym momencie Vorhidin ryknął: „On chce, kochana”. Tamba wsunęła głowę z korytarza i uśmiechnęła się do Charliego. „Bardzo się cieszę”, powiedziała. A potem (po długiej nocy) nastąpił chyba najdłuższy dzień, jaki Charli kiedykolwiek przeżył, chociaż wiele się zdarzyło już podczas pierwszej godziny — było słodko, intensywnie, bez pośpiechu. Później Charli leżał, patrząc na Tambę z tak całkowitym oddaniem i zdumieniem, że dziewczyna zaczęła się z niego śmiać. Pochyliła się, zasypując jego twarz swoimi czarnymi włosami, następnie zaś pocałunkami, a w końcu przykryła jego ciało swoim gibkim ciałem. Tym razem była dzika i bardzo wymagająca, aż Charli z krzykiem spadł z samego szczytu rozkoszy po prostu i w jednej chwili w najbardziej totalny sen, jakiego doświadczył w życiu. Po mniej więcej dwudziestu minutach otworzył oczy i jego spojrzenie utonęło głęboko w błękitnym blasku, gdyż ich oczy były tak blisko siebie, że dotykali się rzęsami. Później, rozmawiając z Tambą w jej kajucie, trzymając jej obie ręce w swoich, odwrócił się i dostrzegł stojącego w progu Vorhidina. Vexveltianin jednym długim susem wpadł do pomieszczenia i objął radośnie parę przyjaciół. Nie padły żadne słowa. Ale cóż można było powiedzieć w takiej chwili?!

— Sporo rozmawiałem z Vorhidinem — oświadczył Charli Bux dyrektorowi Archiwum. — Nigdy nie spotkałem człowieka bardziej pewnego tego, czego chce, co lubi i w co wierzy. Pierwsze pytanie, jakie zadał, gdy poruszyłem temat handlu, brzmiało: „Po co?” W całym moim dorosłym życiu nigdy nawet nie przemknęła mi przez głowę taka wątpliwość w związku z handlem. Zawsze po prostu handlowałem... tak jak wszyscy... Interesuje nas jedynie, gdzie można sprzedać i jak zdobyć więcej towarów. A Vorhidin chciał wiedzieć, po co... Pomyślałem o kamieniach, którymi zapłacił Trettiemu za ten produkcyjny szmelc, który zalegał teraz ładownią naszego statku i o czystym niobie w cenie manganu. Jeden kupiec nazwałby takie postępowanie ignorancją, inny — dobrym biznesem. Szklane paciorki za kość słoniową... Jednak w niektórych kulturach handlowano z powodów religijnych bądź etycznych, wyznając zasadą: „Zawsze dawaj więcej, niż od kogoś otrzymujesz”. Ale może Vexveltianie byli po prostu... bogaci. Może na Vexvelt znajdowało się tak dużo szlachetnych kamieni, że szastali nimi przy zdobywaniu, jak to określił Vorhidin, „przemysłowych śmieci”. Bo lubili „wiedzieć, co się dzieje w przemyśle i jakie powstają nowe technologie”. „Czasami nasze są

lepsze, czasami nie”, przemknęły mi przez głowę jego słowa. Tak czy owak, spytałem go o to. Długo patrzył na mnie z odległości jakichś czterech stóp. — *A ja przypomniałem sobie, jak zatonałem w niemożliwie błękitnych jeziorach oczu Tamby, ale ostrzegłem siebie, aby o tym nie myśleć, gdy rozmawiam z tym starcem.* — Patrzył tak i patrzył, nie odrywając wzroku, aż w końcu odparł: „Tak, sądzę, że jesteśmy bogaci. Niczego więcej nie potrzebujemy”. Powiedziałem mu, że mógłby dostać o wiele wyższe ceny za te kamienie, a on tylko się roześmiał i potrząsnął głową. „Trzeba godziwie płacić za to, co się dostaje, bo w przeciwnym razie towary, jakie kupujesz, nie byłyby warte twojego zachodu. Jeśli ubijasz *dobry interes*, jak to nazywasz, i masz na końcu transakcji więcej niż na początku, to znaczy, że nie zapłaciłeś. Jest to równie nienaturalne jak zasoby energii systemu zmieniające się na skali od mniejszego do większego. Taki proces jest sprzeczny z zasadami ekologii i entropii. — Po czym dorzucił: — I tak tego nie zrozumiesz”. Rzeczywiście, nie rozumiałem wtedy i nadal nie rozumiem.

— Proszę mówić dalej — ponaglił Charliego dyrektor Archiwum.

— Vexveltianie mają własny akcelerator Napędu na księżycu Lete, a także terminal nawigacyjny orbitujący wokół Vexvelt. Powiedziałem panu, że przez cały czas sądziłem, iż ich planeta leży blisko Lete. No cóż... prawda jest taka, że Vexvelt nie leży blisko Lete.

— Teraz to ja nie rozumiem! Akceleratory i terminale nawigacyjne Napędu wchodzą w zakres usług publicznych. Twierdzi pan, że lot zabrał wam dwa dni. Dlaczego zatem ów Vorhidin nie użył jednego z portów Lete?

— Nie potrafię na to odpowiedzieć, proszę pana, chociaż...

— Tak?

— Pomyślałem sobie o tym pijanym tłumie, który rozpałił ogień pod ich statkiem.

— No tak. Może księżycowy akcelerator to mimo wszystko mądre zabezpieczenie. Zawsze wiedziałem, a i pan to podkreślił, że ci ludzie są raczej niepopularni. No dobrze... zrobił pan więc skok Napędowy.

— Tak, zrobiliśmy — odparł Charli, po czym na moment umilkł, przeżywając ponownie tę niesamowitą minutę objawienia w czarnej, jakby upstrzonej pudrem przestrzeni, obok bryły niewielkiego księżyca, który zniknął, a jego miejsce zajął wielki, opromieniony purpurą łuk horyzontu, marmurkowo — zielony, złoty, srebrny i połyskliwie błękitny, z chromowym blaskiem pochodzącym z morza na krzywiznie planety. — Dostrzegłem holownik. Wylądowaliśmy bez kłopotów. Port kosmiczny był maleńki (porównując choćby z tym na Lete): osiem czy dziesięć doków, pod nimi obszar magazynowy oraz strefy: pasażerska i dla personelu. Nie było żadnych formalności... Przypuszczam, że nie było takiej potrzeby, gdyż statki przybywały tu niezwykle rzadko.

— Z pewnością, w każdym razie, żadne obce — wtrącił starzec triumfalnie.

— *Wysiedliśmy prosto na trap ładowniczy i zwyczajnie sobie poszliśmy. Tamba ruszyła pierwsza. Było słonecznie, wiał ciepły wietrzyk. Jeśli istniała jakaś znacząca różnica między tamtejszą grawitacją, a tą na Terratu, nogi Charliego jej nie wyczuły. Powietrze jednakże różniło się wręcz diametralnie. Nigdy przedtem Bux nie przebywał w powietrzu tak klarownym, tak winnym i tak czystym... W dodatku nie było ani ciepkie, ani zimne, lecz rozkosznie ciepłe. Tamba stanęła przy bezgłośnej, szybko wznoszącej się rampie i spoglądała na najwspanialsze górskie pasmo, jakie Charli kiedykolwiek widział. Miało ono wszystkie cechy, jakie powinny posiadać idealne góry: gładkie, jasne wzniesienia, gęste lasy, imponujące szaro-brązowo-ochrowe skalne ściany i białą „wykrochmaloną” tkaninę śnieżnych czap, „wyłożoną” na szczytach i suszącą się w słońcu. Za szczytami ciągnęła się szeroka dolina z rzeką na jednym skraju i wzgórzami na drugim,*

a dalej ocean, z bezmierną złotą plażą trzymającą w czułym uścisku zieloną powierzchnię wodnych otchłani. Gdy Charli zbliżył się do zamyślanej dziewczyny, ciepły wiatr zawirował wokół nich, laskocząc ich ciała, a wtedy krótka sukienka Tamby wybrzuszyła się na ramionach jak balon, po czym ponownie przyłgnęła do ciała. Przez ten cudowny widok Charli wstrzymał na chwilę zarówno krok jak i oddech oraz serce. A wchodząc obok dziewczyny po rampie i obserwując ludzi w dole, wchodzących na inne rampy, Charli zrozumiał, że w tej czarownej krainie ubranie powinno mieć tylko dwie cechy: swobodę i piękno. Wszyscy — mężczyźni, kobiety czy dzieci — nosili dodatki, na które mieli ochotę: wstążki, długie szaty, chodaki, diademy, pasy od smokingów, kilty, pierścienie, przepaski na włosy lub... nic. Bux przypomniał sobie cudowną linijkę autorstwa jakiegoś mędrca sprzed Supernowej nazwiskiem Rudofsky i cicho ją wypowiedział: „Skromność nie jest cnotą tak prostą jak uczciwość”. Tamba odwróciła się do niego i uśmiechnęła; najwyraźniej sądziła, iż wygłosił własny tekst. Charli odpowiedział uśmiechem i nie zaprzeczył. „Nie przeszkadza ci, że poczekamy kilka minut? Mój ojciec dołączy do nas za chwilę, a potem ruszymy. Zostaniesz z nami, dobrze?”. Oczywiście nie miał nic przeciwko temu. Podczas czekania starał się objąć wzrokiem niesamowite barwy gór i adagio morza. Tak, było mu dobrze. Dla wyrażenia swojego zachwytu nie znajdował żadnego gestu, stosownych słów, no chyba że podniósłby zaciśnięte pięści jak najwyżej i krzyczał najgłośniej, jak potrafił, a później zamieniłby ten krzyk w śmiech i łzy. Vorhidin, sprawdzivszy wykaz ładunku, przyłączył się do nich, zanim Charli doszedł do jakichkolwiek iniosków. Wcześniej Charli wymienił spojrzenia z dziewczyną, która uśmiechnęła się do niego, po czym przytrzymała w obu dłoniach jego przedramię, gładząc je, podczas gdy on śmiał się i śmiał. „Zbyt dużo Vexvelt na raz”, wyjaśniła Vorhidinowi Tamba. Vorhidin położył dużą ciepłą rękę na ramieniu Charliego i roześmiał się wraz z nim. Gdy Charli odzyskał oddech i otarł łzy z oczu, Tamba powiedziała: „Oto dokąd jedziemy”. „Dokąd?”. Wskazała bardzo powoli na trzy niewielkie drzewa przypominające topole. Wyglądały, jakby z szalonego kłębowiska barw wyblagały dla siebie nieskazitelnie jasną zieleń. „Tamte trzy drzewa”, odparła. „Nie widzę domu...”, zauważył Charli. Vorhidin i Tamba równocześnie się zaśmiali; widocznie jego odpowiedź ich rozbawiła. „Chodź”. „Nie poczekamy na...”. „Nie musimy już dłużej czekać. Chodź”.

— Dom znajdował się w odległości krótkiego spaceru od portu, nie sposób go było jednakże zobaczyć z doków (ani też na odwrót). Budynek był duży, wszędzie wokół niego rosło sporo drzew. Zostałem z rodziną Vorhidina i pracowałem. — Bux poklepał ciężką teczkę. — Tu jest wszystko. Otrzymałem odpowiedzi na wszelkie niezbędne pytania.

— Wygląda, że faktycznie otrzymałeś. — Dyrektor Archiwum wydawał się bardziej zainteresowany tym tematem niż całą dotychczasową opowieścią Buxa. A może była to jedynie innego rodzaju ciekawość. — I czego się dowiedziałeś? Powiedziałeś, że są chętni do handlu?

Sądząc z tonu, kwestia ta miała najwyraźniej duże znaczenie dla dyrektora Archiwum.

— Mogę powiedzieć jedno — odparł ostrożnie Charli Bux. — Poprosiłem o informacje... o jakiś katalog handlowych produktów i naturalnych zasobów Vexvelt i szacunkowe ceny frachtu. Na każde z ich bogactw można by w zasadzie podpisać od ręki niezwykle korzystną umowę. Wszystkie towary i ceny wydawały się konkurencyjne. Istnieje masa powodów. Po pierwsze, oczywiście same bogactwa naturalne — dostępne są na każdym kroku i w niewyobrażalnej obfitości. Poza tym, Vexveltianie używają metod wydobywczych lepszych niż wszystkie, o jakich mógłby pan marzyć, a wydobywanie i przerób odbywają się wręcz na okrągło. Na pierwszy rzut oka planeta wygląda na nieco pierwotną... pod kątem przemysłowym. Ale wcale taka nie jest. Stanowi raczej coś na kształt naturalnego skarbcza, który zorganizowano, obrobiono, zaplanowano i zharmonizowano z ludzkimi potrzebami, jak żadnej innej planety w znanym nam wszechświecie. Ci ludzie nigdy nie doświadczyli

wojny, nigdy nie musieli zmieniać swego oryginalnego planu cywilizacyjnego. To działa, dyrektorze, naprawdę działa. Ten świat spłodził rozumnych, zdrowych ludzi, którzy potrafią pracować wydajnie i z... no cóż, może to słowo zabrzmie dziwnie, lecz tylko ono mi tu pasuje... z radością.. Ale widzę, że nie chce pan o tym słuchać.

Starzec otworzył oczy i popatrzył gościowi w oczy. Wcześniej, słuchając słowotoku tamtego, odwrócił głowę, zamknął oczy, wydał wargę i bezwiednie błędził dłońmi po skroniach i uszach, jakby najwyższego wysiłku wymagało od niego powstrzymanie się od machania rękoma nad głową.

— Słyszę tylko, że występuje pan w imieniu mieszkańców planety, którzy dotąd trzymali się z dala od nas wszystkich. A teraz pan proponuje kontakt, na który chyba nikt nie ma ochoty. Czy oni sami pragną zbliżenia z nami? I tak na niewiele zdadzą się ich pragnienia, ale... Czy ci ludzie w ogóle mają pojęcie, jaki stanie się ich świat, jeśli to... — Wskazał na teczkę Charliego. — Jeśli to okaże się prawdą? Uważają, że potrafiliby kontrolować wyzyskiwaczy? Czy też posiadają jakieś szczególne środki obrony?

— Naprawdę nie wiem.

— Ale ja wiem! — Dyrektor Archiwum do tej pory jeszcze ani razu nie rozgniewał się tak bardzo jak teraz. — Sami stanowią własną obronę! Nikt nigdy się do nich nie zbliży, nigdy! Nawet gdyby wydarli planecie wszystko, co cenne, oczyścili to i przetworzyli, a potem zawieźli na własny koszt do swojego portu kosmicznego, dostarczyli i oddali nam za darmo. Nawet wtedy!

— Nawet jeśli potrafią leczyć nowotwory?

— Prawie wszystkie choroby są już uleczalne.

— Ale Vexveltianie potrafią wyleczyć absolutnie wszystko.

— Odkrywamy nowe metody co...

— Oni znają je wszystkie i to nie wiem od jak wielu lat. Od stuleci. U nich w ogóle nie występuje rak!

— Zna pan to lekarstwo?

— Nie, nie znam. Ale kliniczny zespół przebadałby je w niecały tydzień.

— Nieuleczalne nowotwory nie są przedmiotem analizy klinicznej. Są uważane za choroby o podłożu psychosomatycznym. — Wiem. To właśnie odkrył zespół kliniczny...

Zapadło długie, nerwowe milczenie.

— Nie był pan ze mną absolutnie szczery, młody człowieku.

— Zgadza się, proszę pana. Znowu milczenie.

— Chodzi o to, że mieszkańcy Vexvelt są zdrowi psychicznie i nie cierpią z powodu raka dzięki stworzonej przez siebie kulturze. — Tym razem Bux nie odpowiedział i słowa starca zawisły w powietrzu, jakby do ponownego wysłuchania i powtórnej interpretacji. W końcu dyrektor Archiwum odezwał się niemal szeptem, choć drżącym i wściekłym: — Ohyda! Obrzydlistwo! — Na jego podbródku pojawiły się drobinki śliny, z których istnienia męzczyzna najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy. — Wolałbym raczej umrzeć zżerany latami przez raka... lub jako skończony wariat... niż żyć w takim zdrowiu psychicznym jak oni!

— Być może inni się z panem nie zgodzą.

— Wszyscy się zgodzą! Zaryzykuje pan? Niech pan spróbuje to komukolwiek zaproponować! Rozedrå pana na strzępy! Tak samo jak Allmana. I Balrou! A Troshana sami zabiliśmy... Troshan był pierwszy i nie wiedzieliśmy jeszcze, że tłum odwali za nas całą robotę! Zdarzyło się to tysiąc lat temu, rozumie pan? Ale nawet za tysiąc lat od dziś tłum i tak by go zabił! Więc te pańskie... świństwa trafią do zapieczętowanych akt wraz z poprzednimi raportami, aż któregoś dnia kolejny głupiec zbyt ciekawy, nie dość obyczajny i o umyśle zgniłym od perwersji usiądzie tutaj z kolejnym

dyrektorem Archiwum, który odeśle go, gdzie pieprz rośnie... tak jak ja odsyłam pana. Udzielę panu na odchodnym rady: zamknij pan usta i milcz, dzięki czemu zachowasz życie. Albo otwórz je pan i opowiadaj o Vexvelt, a wówczas gawiedź rozedrze pana na strzępy. Wynos się stąd! Wynos się! Wynos! — Głos starego podniósł się do krzyku, potem do gniewnego wrzasku, aż w końcu dyrektor Archiwum już tylko chrypiał, zmuszony do bolesnego szeptu. Wreszcie umilkł i tylko stare oczy nad oślinionym podbródkiem przeszywały rozmówcę pełnym nienawiści wzrokiem.

Charli Bux wstał powoli, pobladły z szoku.

— Vorhidin — podsumował cicho — próbował mi to powiedzieć, Jednak mu nie uwierzyłem. Nie potrafiłem w coś takiego uwierzyć! Powiedziałem mu: „Wiem więcej o zachłanności niż ty. Terranie nie zdołają się oprzeć waszym niskim cenom. — I dodałem: — Wiem więcej o strachu niż ty. Terranie nie zlekceważą ostatecznego lekarstwa na raka”. Wtedy Vorhidin się roześmiał i udzielił mi wszelkiej potrzebnej pomocy. Kiedyś zacząłem mu mówić, iż wiem więcej od niego o rozsądku, który tkwi w każdym z nas i że większość Terran na pewno posłuży się rozsądkiem... Chociaż właściwie już wypowiadając te słowa czułem, że się mylę. Teraz wiem, że myliłem się we wszystkim, nawet co do zachłanności i strachu. To Vorhidin miał rację, nie ja! A wyjaśniał mi, że Vexvelt posiada najpotężniejsze i najmniej kosztowne środki obrony, jakie wynaleziono — właśnie rozsądek. I miał rację.

Charli Bux uprzytomnił sobie, że dyrektor Archiwum — choć od czasu do czasu popatruje na niego nienawistnie — najprawdopodobniej wcale go nie słucha. Siedział nieruchomo z przekrzywioną na bok siwą głową i dyszał ciężko jak zziajany pies na pustyni. Chyba nagle przyszło mu do głowy, żeby znowu krzyknąć, lecz nie mógł. Potrafił tylko chrypieć, szeptać, piszczeć:

— Wynos się! Wynos się!

Charli wyszedł, zostawiwszy na biurku teczkę. Teczka, tak jak Vexvelt, broniła się sama poprzez — używając terminu chemicznego — niemieszalność oraz doniosłość swojej zawartości.

Mimo wszystko to nie Tamba, lecz Tyng pojmała w końcu serce Charliego.

Kiedy dotarli do pięknego domu, który stał tak blisko innych, a równocześnie był tak dobrze ukryty, tak prywatny i tak odosobniony, Charli poznał całą rodzinę. Breerho — promienna, niemal promieniująca ciepłem, o lśniących rudych włosach — i Tyng okazały się matką i córką. Vorhid i Stren byli synami: jeden zaledwie dziecko, drugi mniej więcej piętnastoletni. Nosili się prosto, podobnie jak ojciec mieli szerokie ramiona, zaś z cudownie wykrojonych, skośnych oczu przypominali swoje siostry — Tyng i Tambę.

Było jeszcze dwoje innych dzieci: śliczna dwunastolatka imieniem Fleet, która śpiewała, gdy weszli; słysząc jej piosenkę, zatrzymali się w progu i odłożyli na później przedstawienie Charliego. Jej brat — silny młokos, chłopiec o imieniu Handr — był prawdopodobnie najszcześniejszą ludzką istotą, jaka żyje w całym znanym kosmosie. Z czasem Charli poznał też rodziców tej parki i pomyślał, że czarnowłosa Tamba przypominała raczej matkę Fleet i Handra niż płomiennowłosą Breerho.

Początkowo Bux nie przyswoił sobie tej kaskady imion i twarzy, uchwycił ją jedynie częściowo i jej fragmenty ułożyły się w jego głowie w swoisty kalejdoskop, wyczuł jednak, iż w tym pomieszczeniu było więcej miłości, niż widział i zaznał w trakcie całego swojego dotychczasowego życia. A także więcej troski i opiekuńczości.

Zanim przeminęły popołudnie i wieczór, Charli zdążył się już na dobre zaprzyjaźnić z całą rodziną. Został przez nią w pełni zaakceptowany i był oczarowany. A ponieważ Tamba poruszyła jego serce i zdumiała jego ciało, wszystkie emocje urosły w nim, zawężając cel do niej jednej i skupiając się na niej; emocje były gorące i fizyczne. Dziewczyna wydawała się odwzajemniać jego uczucia i przez cały czas trzymała się blisko niego. Kiedy jednak najmłodsze dzieci zaczęły ziewać

— a potem również dorośli — i Charli został z nią niemal sam na sam, spytał, a potem błagał ją, by przysłała do jego łóżka... Choć była miła i czuła, twardo mu odmówiła. „Zrozum, kochanie, teraz naprawdę nie mogę. Nie teraz. Byłam daleko stąd, w podróży, a teraz wróciłam i muszę dotrzymać danej obietnicy”. „Komu dałaś tę obietnicę?”, spytał. „Strenowi”. „Ale myślałem, że Stren...”

Nie dokończył, gdyż przez głowę przemykało mu zbyt wiele myśli, by potrafił je sobie poukładać lub choćby oddzielić je od siebie. Oceniał szybko, że pewnie nie pojął szczegółów pokrewieństwa łączącego tę grupkę... W końcu miał do czynienia z czterema osobami dorosłymi i sześciorgiem dzieci. Może jutro zrozumie, kto jest dla kogo kim, ponieważ w przeciwnym razie Tamba i Stera... oni... Och... „Chcesz powiedzieć, że obiecałaś Strenowi, iż nie będziesz ze raną spała?”, spytał, broniąc się jak potrafił. „Nie, najdroższy głuptasie. Dzisiejszej nocy będę spała ze Strenem. Proszę, kochany, nie bądź zły. Zdarzą się inne okazje. Jutro. Może już jutro rano? — Roześmiała się i czule ujęła jego policzki w swoje dłonie, po czym potrząsnęła jego głową, jakby starała się strząsnąć mu z twarzy naburmuszoną minę. — Przyjdę jutro rano, bardzo wcześnie!”. „Nie twierdzą, że chodzi mi o tę pierwszą noc tutaj, przykro mi po prostu, ale chyba jeszcze wielu spraw nie rozumiem”, bełkotał nieszczęśliwy. A później ogarnęła go udręka i nie dbał już ani o zasady gospodarzy i gości, ani o nowe zwyczaje i inne sprawy. „Kocham cię — krzyknął — nie wiesz tego?”. „Oczywiście, że wiem. I ja ciebie kocham. Będziemy się kochać bardzo, bardzo długo. Myślałeś, że o tym nie wiem?” Jej konsternacja była tak szczerą, że Charli dostrzegł to nawet przez mgiełkę bólu. Powiedział, bliski niemęskich łez, że po prostu najwyraźniej niczego nie rozumie. „Zrozumiesz, kochany, zrozumiesz — zapewniła go. — Będziemy rozmawiać o tym tak długo, aż zrozumiesz, będziemy rozmawiać tak długo, jak będzie trzeba. — Potem dodała z bezwzględnie prostodusznym okrucieństwem: — Zaczniemy jutro. Ale teraz muszę iść, bo Stren czeka. Dobrej nocy, moja prawdziwa miłości”. Pocałowała go w czubek zadartej głowy i uciekła niczym baletnica. Dotknęła w nim czegoś, co sprawiło, że nie potrafił się na nią gniewać. Mógł jedynie cierpieć. Aż do przygody z Vexveltianami nie wiedział, że potrafi czuć tak wiele i znosić tak ogromny ból. Zatopił twarz w poduszkach długiego tapczanu w... salonie...? ...w każdym razie, w miejscu, gdzie wewnątrz i zewnątrz były tak zagmatwane jak jego serce, lecz znacznie bardziej harmonijne... i poddał się szarpiącemu jego ciało bólowi.

Po jakimś czasie ktoś klęknął obok niego i musnął lekko jego szyję. Charli obrócił głowę i rozpoznał Tyng. Jej włosy połyskiwały w półmroku, zaś twarz wyrażała straszliwe współczucie. „Chciałbyś mnie zamiast niej?”, spytała dziewczyna, a on z absolutną szczerością zranionej istoty zawołał: „Czy jedna osoba może zastąpić inną?!”.

Uderzył go jej smutek, nieklamany smutek. Tyng powiedziała mu o swoim smutku, po czym dotknęła go jeszcze raz i odeszła. W którymś momencie nocy Charli przebudził się, rozejrzał i odkrył, że pokój jest pogrążony w kompletnych ciemnościach.

Gdy obudził się świetle dziennym, postanowił się skupić na pracy i zajął się katalogowaniem zasobów Vexvelt. Co jakiś czas ktoś próbował z nim porozmawiać, lecz Charli całkowicie się skoncentrował na działaniu. Jego niechęć do rozmowy przełamywał jedynie niesamowity Handr, który szybko został jego przyjacielem na całe życie. Tyng coraz częściej zbliżała się do niego i bywała bardzo użyteczna. Mimo odczuwanej złości, nie potrafił odmówić wciskanego mu w dłoń rylca czy otwieranego we właściwym miejscu informatora, gdy akurat tego potrzebował. Tyng spędziła z nim wiele godzin, czujna, lecz absolutnie milcząca, aż wreszcie podniósł głowę i zadał jej pytanie o tę czy tamtą kwestię albo zastanawiał się głośno nad vexvelckimi jednostkami wag, miar i roboczogodzin. Jeśli nie znała odpowiedzi, szybko dowiadywała się potrzebnych danych. Tym niemniej, wiedziała znacznie więcej, niż podejrzewał. I tak mijał im czas. Na koniec omówił z Tyng

plan pracy na następny dzień.

Ani razu nie rozmawiał z Tambą. Nie chciał jej zranić, ale wyczuwał jej pragnienie odwzajemnienia jego uczuć i nie mógł tego znieść. W końcu dziewczyna po prostu przestała próbować.

Jedno szczególnie zawiłe przeliczenie statystyczne zabrało mu dwa dni i dwie noce pracy bez przerwy. Tyng towarzyszyła mu w tej katordze bez słowa skargi, aż drugiej nocy około trzeciej nad ranem zamknęła nagle oczy i zasnęła. Charli chwiejnie wstał, ścierpnięty od zbyt długiego siedzenia, potrząsnął głową, gdyż nadal miał przed oczyma liczby i poszedł przenieść dziewczynę na gruby futrzany pled. Wyprostował jej zgięte kolano. W nikłym świetle opuszczonej lampy Tyng prezentowała się rozkosznie, zresztą podobnie jak w pełnym blasku. Cień dodał jej cerze połysk alabastru, a jej uśpione blade usta nie były teraz ciemniejsze od jej twarzy, więc wydawała się osobliwie posągowa i nieożywiona. Nosila suknię typu kreteńskiego, składającą się z obcisłego gorsetu podtrzymującego nagie piersi oraz przezroczystej spódnicy. Zakłopotany, że gorset może przeszkadzać jej w oddychaniu, Bux rozpiął go, zdjął i odłożył. Musnąwszy ciało jej dotąd przykrytej gorsetem talii, odkrył — mimo iż niewidoczne — odcisnięte ślady. Pomasował je delikatnie i usiłował posegregować niemal nieuchwytnie myśli, które nie mogły się przebić przez mgiełkę zmęczenia: pirofilit, Lete, brat, nadające się do ponownego przetworzenia sole wanadu, Vorhidin, osad wytrącony, Tyng obserwująca go... Tak, Tyng obserwowała go w niemal całkowitych ciemnościach! Odwrócił od niej wzrok, gdyż wolał badać jej ciało dłonią. Po chwili uświadomił sobie, że jakiś czas temu dziewczyna znieruchomiała i postanowił sprawdzić, czy ma nadal otwarte oczy. Pochylił się nad nią, by zobaczyć i... stracił równowagę. Oboje zapadli w sen i choć ich usta sięgały ku sobie, nie zdążyli się pocałować.

Platon, starożytny filozof epoki sprzed Supernowej, twierdził, że pierwsi ludzie byli czworonożni i obupłciowi. Niestety, pewnej straszliwej nocy podczas burzy wywołanej przez moce zła, wszyscy zostali rozdarci na dwoje. Od tego czasu każdy z nas szuka swojej drugiej połowy. Dwie istoty reprezentujące przeciwną płęć mogą się połączyć w parę, lecz zwykle ich życie pozostaje w pewien sposób niekompletne. Kiedy jednak ktoś naprawdę znajdzie swoją drugą połowę i się z nią połączy, wtedy żadna siła na ziemi nie może ich rozdzielić. Właśnie coś takiego przydarzyło się Charliemu tej nocy, a zaczęło się w jakimś momencie tak głębokiego snu, że ani on, ani Tyng tego nie zapamiętali. Nieświadomie odkryli nowe doznania, które wcześniej dla nich nie istniały... I tak już miało pozostać do końca ich dni. Istotą takiego niezwykłego zespolenia jest akceptacja, więc żeby nie być osądzanym, Charli Bux również powstrzymywał się przed osądem i po prostu poznawał życie wokół siebie. A życie wokół niego skrywało bardzo niewiele. Dzieci spały tam, gdzie chciały. Ich erotyczne zabawy były co prawda zdecydowanie bardziej entuzjastyczne oraz częstsze niż gdzie indziej... ale równie otwarte. W rodzinie rozmawiało się o seksie mniej niż w jakiegokolwiek grupie wiekowej, z jaką Charli się kiedykolwiek zetknął. Nadal ostro pracował, lecz już nie po to, by uciec przed rzeczywistością. Dostrzegł wiele spraw, których wcześniej nie dopuszczał do świadomości i ku swojemu zdumieniu odkrył, że te „sprawy” to wcale nie koniec świata.

Zdarzały mu się oczywiście chwile niemile. Czasami spał w pokoju Tyng, czasami ona w jego. Pewnego ranka obudził się wcześniej i był sam. Przypomniawszy sobie jakąś trudną kwestię zawodową i poszedł spytać o nią Tyng. Wszedł do jej pokoju. Gdy zrozumiał znaczenie specyficznych, śpiewnych dźwięków, było już za późno, by je zignorować. Dopiero znacznie później uprzytomnił sobie własną furię z powodu odkrycia, iż ta szczególna pieśń nie była przeznaczona wyłącznie dla niego. Natychmiast wybiegł z pokoju, drżący i oślepiony gniewem.

Siedział na mokrej ziemi w zielonej kotlinie pod wierzbą, gdy znalazł go Vorhidin. (Nigdy sienie

dowiedział, jak Vorhidin go odszukał, ani jak on sam tam dotarł.) Charli gapił się przed siebie i to od tak długiej chwili, że gałki oczne miał zupełnie suche. Ale ten ból sprawiał mu jakąś perwersyjną przyjemność. Wcześniej wbijał w ziemię palce tak mocno, że teraz jego dłonie tkwiły w ziemi aż po nadgarstki. Trzy paznokcie miał złamane i popękane, a jednak ciągle naciskał.

Początkowo Vorhidin w ogóle się do niego nie odzywał, tylko po prostu siedział obok niego. Później, gdy w swoim mniemaniu odczekał odpowiednią ilość minut, cicho wypowiedział imię Charliego. Kiedy Bux się nie poruszył, starzec położył mu rękę na ramieniu. Efekt był nadzwyczajny. Charli poruszył jedynie strunami głosowymi i szczęką, ale pod wpływem dotyku Vexveltianina zwymiotował. Podobną reakcję medycyna kliniczna nazywa wymiotami pod wpływem psychicznego impulsu. Brudny i opryskany wymiocinami od bioder po stopy, ponownie znieruchomiał. Vorhidin, który rozumiał, co się przydarzyło Charliemu... a może nawet się tego spodziewał... także trwał w dotychczasowej pozycji z dłonią na ramieniu tamtego.

— Wypowiedz to wreszcie! — warknął w końcu. Charli Bux obrócił głowę i przypatrzył się swemu towarzyszowi. Zmrużył oczy, potem zamrugał nimi, raz i drugi. Wypluł gorzką ślinę z ust, skrzywił się i wargi mu zadrżały. — Powiedz wreszcie te słowa — powtórzył Vorhidin cicho, lecz stanowczo, ponieważ wiedział, że Charli nie zdoła się powstrzymać, chociaż przed chwilą zamiast je wymówić, zwymiotował. — Wypowiedz to!

— Eee... eee — Charli znowu musiał wypluć ślinę. — Jesteś... — wykrakał w końcu. — Jesteś jej... ojcem! — wrzasnął i w ułamku sekundy przemienił się w szalonego derwisza: machał wściekle rękoma niczym cepami i wył jak zraniony wilk. Ten wybuch wściekłości był jednak chaotyczny, ponieważ Bux tak słabo panował nad brudnymi od ziemi i krwi rękoma, że nie potrafił ich zacisnąć w pięści. A zadanie miał ułatwione, bo Vorhidin nie ruszył się z miejsca, tylko skulił w sobie i milcząco przyjmował ciosy. Nie próbował się bronić, czasem jedynie opuszczał głowę, by chronić oczy. Potrafił wyleczyć niemal wszystkie ewentualne rany, ale gdyby oddał Charliemu, mógłby go niechcący poważnie skrzywdzić. Jednostronna „bijatyka” trwała przez długi czas, gdyż z powodu gniewu Charli najwyraźniej nie odczuwał zmęczenia. Kiedy wreszcie zabrakło mu sił, upadł i stracił przytomność. Vorhidin klęknął, chrząkając z bólu wstał na nogi, po czym — ociekając krwią — pochylił się nad zemdlonym Terraninem, wziął go na ramiona i łagodnie wniósł do domu.

Następnie wszystko mu wyjaśnił. Tłumaczenie zajęło sporo czasu, gdyż Charli początkowo nie potrafił niczego zaakceptować — od nikogo, a w szczególności od Vorhidina. Po pewnym czasie zaczął przyjmować niektóre informacje, ale w małych dawkach. A oto streszczenie tej pół setki rozmów:

— Pewien nieznany starożytny mędrzec napisał kiedyś — mówił Vorhidin. — „Nie jest prawdą, że niewiedza nie rani, lecz poznanie też nie zawsze przynosi ukojenie”. Odpowiedz mi teraz na parę pytań. Nie przestawaj myśleć. (Swoją drogą, to głupie, bo ludzie spoza Vexvelt stale myślą o kazirodztwie. Sporo mówią, to prawda, sporo i szybko... jednak tak naprawdę wcale nie myślą logicznie.) Spytam, a ty odpowiesz. Jak wiele biseksualnych gatunków zwierząt... ptaków, ssaków, ryb i owadów... respektuje zakaz kazirodztwa?

— Hmm... nie potrafię ci na to powiedzieć. Nie przypominam sobie, żeby gdzieś o tym czytał, zresztą... kto by sobie tym problemem zawracał głowę? Pewnie niewiele gatunków... Jednak dla ludzi zakaz kazirodztwa to sprawa całkiem naturalna.

— Mylisz się. I to w gruncie rzeczy podwójnie! Homo sapiens posiada patenty na wszystko, Charli... Wszędzie, od początku ludzkiej cywilizacji do dziś, od jednego końca wszechświata do drugiego, powtarza się ten sam schemat. I mylisz się po raz wtóry... bo zakaz ów bynajmniej nie jest naturalny. Nigdy nie był, nie jest i nie będzie naturalny!

— Kwestia terminologii, nieprawdaż? Dla mnie jest naturalny. To znaczy... przychodzi nam w sposób naturalny. Nie trzeba się go uczyć.

— Mylisz się, właśnie że trzeba! I potrafię udokumentować tę tezę, tyle że fakty mogą poczekać... Przejrzyj sobie później bibliotekę. A teraz przyjmijmy tę kwestię na potrzeby dyskusji.

— Dobrze, ale tylko na potrzeby dyskusji.

— Dzięki. Jaki procent ludzi twoim zdaniem żywi erotyczne uczucia wobec swojego rodzeństwa: braci i sióstr?

— O jakim wieku mówimy?

— Wiek nie ma znaczenia.

— Ależ... Erotyczne uczucia pojawiają się dopiero w pewnym wieku, czyż nie?

— Doprawdy? Jaki to wiek twoim zdaniem... tak przeciętnie?

— Och... to zależy od wielu czynników... Powiedziałeś „przeciętnie”, tak? Powiedzmy, że około ośmiu lat. Może dziewięciu.

— Znowu się mylisz. Poczekaaj, aż będziesz miał własne dzieci, a wtedy się dowiesz. Powiedziałbym, że tego typu uczucia zaczynają się już u dzieci dwu — czy trzymiesięcznych. Chętnie się założę, że owe uczucia pojawiają się nawet wcześniej. Już u dzieci kilkutydniowych.

— Nie wierzę w to!

— Wiem, że w to nie wierzysz — odparł Vorhidin. — A jednak taka jest prawda. A uczucia wobec rodzica przeciwnej płci?

— No cóż, trzeba by poczekać na fazę świadomości, kiedy dziecko zaczyna dostrzegać różnicę.

— No cóż... mylisz się we wszystkim... jak dotąd — odparł, lecz powiedział to uprzejmie. — Byłbyś jednak zdumiony faktem, jak wcześnie następuje ta faza. Dzieci potrafią wyczuć różnicę znacznie wcześniej, niż zdołają ją dostrzec. Kilka dni, może tygodni.

— Nie miałem o tym pojęcia.

— Ani na chwilę w to nie wątpię. No dobrze, zapomnij o wszystkim, co tu widziałeś i udawaj, że jesteś nadal na Lete. Spytaam cię teraz, jak zmieniłaby cywilizację sytuacja, w której każda jednostka miałaby bezpośredni i mile widziany dostęp do wszystkich innych?

— Seksualny dostęp? — Charli roześmiał się nerwowo. — Nazwałbym to seksualnym dostępem...

— Nie ma czegoś takiego — przerwał mu Vorhidin stanowczym tonem. — Zależnie od tego, kim jesteś i jakiej jesteś płci, aktywność seksualną wykazujesz tylko do czasu, aż już nie będziesz mógł fizycznie tego robić, ale możesz też kontynuować w innych formach mimo tej cielesnej bariery. Jednemu mężczyźnie wystarczy łagodne zaspokojenie popędu seksualnego dwa razy w miesiącu lub nawet rzadziej, inny może szukać okazji do stosunku osiem, dziewięć razy dziennie i nie jest to zachowaniem sprzecznym z normą.

— Z trudem można to nazwać normalnym.

— Dla mnie to jest normalne. Może ponadprzeciętne, lecz w stu procentach normalne dla faceta, który ma takie potrzeby, póki nie zmieni się to w patologię. Chcę przez to powiedzieć, że z wydajnością jest tak jak z pojemnością czy jakimkolwiek limitem: można ją mierzyć na szklanki, konie mechaniczne, na maksymalny pułap lotu. Mężczyzna czy maszyna... nie zaszkodzi sobie, jeśli działa w ramach zaprojektowanych parametrów. Wiesz, co szkodzi naprawdę? Bardzo szkodzi i to w najgorszy z możliwych sposób... poczucie winy i poczucie grzechu, mimo iż ów grzech wcale nie jest grzechem, lecz rodzajem naturalnego apetytu. Czytałem historie choroby chłopców, którzy popełnili samobójstwo z powodu zmasz nocnych albo dlatego, że ulegali pokusie masturbacji po pięciu, sześciu tygodniach wyrzeczeń... Podczas tego okresu nieustannie wypierali się przed sobą, że

ta sprawa ich strasznie absorbuje, że są absolutnie nią opętani... czyli czymś, co nie powinno mieć większego znaczenia, niż odchrząknięcie. (Żałuję, lecz nie mogę powiedzieć, iż tego rodzaju przerażające opowieści znaleźć można jedynie w starożytnych pismach, bowiem takie przypadki zdarzają się na wielu planetach właśnie w tej chwili.) Niektórzy ludzie łatwiej potrafią zrozumieć winę i grzech, jeśli przeniesiesz te problemy poza sferę seksu. Na przykład... Istnieją pewne nurty religijne, które żądają bardzo wyraźnie określonej diety i całkowitego wykluczenia pewnych dań. Dzięki odpowiedniej indoktrynacji przez wystarczająco długi czas, możesz sprawić, by człowiek jadł jedynie (powiedzmy) „non”, podczas gdy „sens” będzie zakazany. Człowiek przeżyje na rzadkim, stęchłym „non” i może egzystować na wpół zagłodzony w magazynie pełnym przyjemnego, świeżego „sensu”. Zdołasz doprowadzić nieszczęśnika do choroby — a nawet do śmierci, jeśli masz do tego talent — jedynie poprzez wmówienie mu, że „non”, który właśnie zjadł, był tak naprawdę zamaskowanym „sensem”. Albo możesz doprowadzić biedaka do choroby psychicznej, kusząc go „sensem”, aż nabędzie dlań prawdziwego smaku, zdobędzie skądś jego zapas, ukryje go i będzie podgryzał w sekrecie, ilekroć zacznie walczyć z pokusą i przegra. Więc wyobraź sobie moc poczucia winy, gdy naruszasz — nie sztucznie stworzoną ortodoksję alternatywy „non” i „sensu” — lecz coś, co wypływa z twoich własnych wewnętrznych potrzeb. Jest to szalone i równie niebezpieczne, jak wszczepienie w strukturę pojęcia „winy etycznej” dyrektywy, która zakazuje bądź nakazuje zmniejszenie dawki witaminy B-complex lub potasu.

— Och, ale — przerwał mu Charli — teraz mówisz o potrzebach niezbędnych... o czynnikach przetrwania.

— Dokładnie tak, cholera — odparł Vorhidin, używając przekleństwa Charliego, po czym uśmiechnął się do niego szybkim, komicznym i niezwykle celnym uśmieszkiem, stanowiącym imitację uśmiechu Charliego. — Nadszedł czas, by wyliczyć kilka kwestii, o których tylko wspomniałem wcześniej, a które mogą cię zranić znacznie bardziej niż niewiedza... kwestii, których jednak dogłębne poznanie oferuje szansę zrozumienia i ukojenia. — Nagle się roześmiał. — To pewien rodzaj zabawy, wiesz? Byłem na wielu światach. Niektóre z nich znajdują się wiele lat świetlnych od innych, a i różnią się od nich w tysiącach detali, lecz rzecz, którą mam udowodnić, tę szczególną postawę: „zamknij oczy” i „zamknij umysł”, odnajdziesz na każdej z owych planet. Jesteś gotów? Powiedz mi w takim razie, co jest złego w kazirodztwie? Czekaj, cofam pytanie. Znasz mnie, do tego żywisz wobec mnie uprzedzenie, więc nie mów do mnie. Wy tłumacz to jakiemuś nieznanemu, byle ćpunowi lub alkoholikowi w barze któregoś z portów kosmicznych. — Podniósł obie dłonie i ułożył palce w taki sposób, jakby trzymał w nich kieliszek. — Noo, stary — odezwał się pijackim bełkotem: — Noo, facet, co jest, kurde, złego w kazirodztwie? Noo? — Jedno oko zamknął, drugim wpił się w oczy Charliego.

Charli rzucił bez zastanowienia:

— Chodzi ci o sens moralny czy o co?

— Pomińmy kwestię moralności. Określenia „właściwy” i „niewłaściwy” zależą od zbyt wielu społecznych czynników, chociaż mam na ten temat własne teorie. Nie... posiedźmy w tym barze, przyznajmy, że kazirodztwo jest straszne. Kontynuujmy od tego momentu. Co jest w nim naprawdę straszego?

— Rozmnażacie się w rodzinie i płodzicie zdegenerowanych potomków. Idiotów, martwe niemowlęta bez głów i tak dalej.

— Wiedziałem! Wiedziałem! — zapał radośnie wielki Vexveltianin. — Czyż to nie cudowne? Ze skalistych głębin epoki kamiennej, poprzez kulturę brokatów, erę szortów aż po skomputeryzowane technokracje, gdzie wszczepia się w głowy elektrody i „przegrywa” ludzkie myśli

do jakiegoś pudła... wszędzie i zawsze ilekroć zadasz to pytanie, otrzymasz identyczną odpowiedź. Wszyscy o tym wiedzą! Nie trzeba nawet szukać dowodów.

— A gdzie znaleźć takie dowody?

— Podczas obiadu, na przykład, kiedy jesz zidiociałą świnię albo słabą na umyśle krowę. Każdy hodowca żywego inwentarza powie ci, że kiedy masz jakąś odmianę, którą chcesz utrzymać i rozwijać, rozmnażasz ojca z córką i z wnuczką, a potem brata z siostrą. Robisz to tak długo, aż pożądana cecha okazuje się recesywna i wtedy dopiero zmieniasz strategię chowu. Ale dana cecha może nigdy nie okazać się recesywna. Jest to przypadek naprawdę rzadki i winą należy obarczyć pierwszą generację. Ale ty, tam w barze, jesteś totalnie przekonany, że właśnie to się zdarzy! I druga sprawa. Czy posuniesz się do stwierdzenia, że każdy opóźniony w rozwoju osobnik jest efektem związku kazirodczego? Lepiej zaprzecz, bo w przeciwnym razie zranisz uczucia wielu sympatycznych ludzi. Taka tragedia może się przydarzyć każdemu rodzicowi i wątpię, czy więcej takich dzieci rodzi się spokrewnionym ze sobą rodzicom, niż zupełnie obcym wobec siebie ludziom. Poza tym, ciągle nie dostrzegasz najzabawniejszej rzeczy... a może tylko najdziwniejszego elementu tej rzeczy, której obcość cię rani. Seks jest dość popularnym tematem na większości planet. Niemal żaden ze wspomnianych jego aspektów nie ma nic wspólnego z prokreacją. Powiedziałbym, że na każdą wzmiankę o ciąży czy narodzinach dziecka, przypadają setki pogawędek związanych jedynie z samym aktem seksualnym. Użyj jednak słowa „kazirodztwo”, a każdy wytknie ci kwestię posiadania potomstwa. Zawsze! Rozważając i omawiając przyjemnościowy bądź miłosny związek między osobnikami związanymi krwią, wymagasz od rozmówcy dodatkowego wysiłku umysłowego, który nikomu i nigdzie chyba nie przychodzi łatwo... Niektórzy zaś w ogóle nie są do niego zdolni.

— Muszę przyznać, że nigdy się nad tym nie zastanawiałem. No dobrze, więc ty mi powiedz... co naprawdę jest złego w kazirodztwie? Z ciążą czy bez niej.

— Poza moralnymi względami, chcesz powiedzieć? Obowiązują, ca moralność jest taka, że sama myśl o kazirodztwie przeraża, a przeraża, ponieważ zawsze przerażała. W sensie biologicznym powiedziałbym, że w kazirodztwie nie ma niczego złego. Niczego! Poszedłbym jeszcze dalej, za doktorem Phelveltem... Słyszałeś o nim kiedyś?

— Nie sędzę.

— Był teoretykiem biologii. Jego książki są zakazane na wielu światach, które nigdy przedtem niczego nie cenzurowały... Nawet na tych planetach, które szczycą się wysokim poziomem nauki, wolnością poszukiwań badawczych i wolnością wypowiedzi, uważając je za absolutne filary całej swojej społecznej struktury. Tak czy owak, Phelvelt miał wyjątkowy umysł i zawsze był gotów zrobić następny krok, niezależnie od tematyki. I nigdy nikomu nie udowadniał, że coś jest takie a takie, jeśli w istocie takim nie było. Doskonale myślał, dobrze pisał i posiadał ogromne zasoby wiedzy z wielu dziedzin poza swoją specjalnością, a także prawdziwy talent do znajdowania odpowiedzi na dręczące go pytania. Otóż, uczony ten nazywał seksualne napięcie między osobnikami spokrewnionymi „czynnikiem przetrwania”.

— Jak do tego doszedł?

— Wieloma odrębnymi ścieżkami, które zbiegały się w tym samym miejscu. Każdy wie (tak jest!), że istnieją naciski ewolucyjne, które powodują zmiany w gatunku. Przed Phelveltem niewiele napisano na temat sił stabilizujących. Nie widzisz, że należy do nich rozmnażanie kazirodczne?

— Nie, tak na gorąco jakoś tego nie widzę, musiałbym sprawę przemyśleć.

— No więc się nad tym zastanów, człowieku! Jako dobry przykład weź zwierzę stadne. Byk pokrywa swoją krowę, rodzą się jałówki. Gdy dorosną, pokrywa je ten sam byk. Czasami musi się urodzić jeszcze trzecie, a nawet czwarte pokolenie, zanim starego byka zastąpi młody byczek. Przez

cały ten czas stado pozostaje jednorodne genetycznie, czyste gatunkowo i silne fizycznie. Nie pojawiają się osobniki o nieco innych potrzebach metabolicznych, które mogłyby spowodować odejście stada z pastwiska i poszukiwania innego. Nie pojawiają się krowy, które odrzucają byka, gdy ten się do nich zaleca, bo pragnęłyby innego. — Przez głośny śmiech Charliego kontynuował: — Więc zobacz, co uzyskujesz: stabilność, czystość gatunkową, a przez to większą zdolność przetrwania... a wszystko wynika z nacisku na chów kazirodczy.

— Rozumiem, już rozumiem. I to samo się sprawdza w przypadku lwów, ryb, rzekotek albo...

— Albo wszelkich innych zwierząt. Wiele różnych rzeczy powiedziano o Naturze... Że jest nieprzejednana, okrutna, rozrzutna i tak dalej. Lubię myśleć, że jest także... rozsądna. Przyznaję, że Natura osiąga ten stan rozumności niekiedy w sposób okrutny bądź nieekonomiczny. Ale Natura potrafi wymyślać rozwiązania pragmatyczne, jedyne, które się sprawdzają. Generalnie ważne jest ujednoczenie i czystość gatunkowa, a Natura „wzywa” egzogen czy też infuzję świeżej krwi tylko raz na szereg generacji... Wydaje mi się to najrozsądniejszym i najefektywniejszym z rozwiązań.

— A bez kazirodztwa — odparował Charli — masz egzogen co pokolenie, stały dopływ świeżej krwi, a każdy kolejny nowy osobnik posiada większe predyspozycje do walki ze środowiskiem.

— Przypuszczam — stwierdził Vorhidin — że mógłbyś też dodać, iż zakaz kazirodztwa jest odpowiedzialny za niepokój, który wyciągnął ludzkość z jaskiń, ale to jest dla mnie trochę zbyt duże uproszczenie. Preferowałbym ludzkość poruszającą się nieco wolniej, lecz przez to nieco pewniej... Nigdy by wówczas nie upadła. Sądzę, że rytualna egzogamia, która z endogamii uczyniła przestępstwo, prawo „siostra zmarłej żony” przeciwko kazirodztwu jest z kolei odpowiedzialne za inny rodzaj niepokoju. — Nagle bardzo spoważniał. — Istnieje teoria, że pewnym normalnym wzorcem zachowań powinno się pozwolić, by biegły swoim torem. Weź na przykład odruch ssania. Mówiło się, że niemowlęta, które zostały zbyt wcześnie odstawione od piersi, przez całe życie nękane są aktywnością oralną — żują słomki, palą narkotyki w fajkach, piją z butelki, nerwowo poruszają wargami i tak dalej — Analogicznie możesz spojrzeć na niepokój ludzkości przez całą jej historię. Kto poza frustratami, którym nigdy w życiu nie pozwolono na miłość wewnątrz rodziny, mógłby wymyślić termin „ojczyzna” i oddać życie tej ojczyźnie i za nią? Istnieje wielki nacisk na miłość do ojca i nakaz jej zwalczania. Czy ludzie nie stawiają pomników swoim ukochanym Ojcom, swym Starszym Braciom, czy ich nie kochają, nie czczą, nie poświęcają się dla nich i nie umierają za nich, a z drugiej strony... czy nie buntują się przeciwko nim, nie zabijają ich i nie zastępują? Przyznaję, że wielu ojców w pełni sobie na coś takiego zasłużyło, ale lepiej byłoby ich odsuwać z uzasadnionych przyczyn, nie zaś dlatego, że popycha nas do tego wyphywająca z głębi podświadomości gatunkowej zdecydowanie erotyczna fala, o której nie można nawet wspomnieć, ponieważ nauczono nas, że o tym „okropnym problemie” się nie rozmawia. Podobne podziemne prądy przepływają w samej rodzinie. Nie muszę nikomu opisywać świetnie znanej „rywalizacji między rodzeństwem”, a częstotliwość zawziętych kłótni między nimi — u większości cywilizacji i spadku po nich w postaci dzieł literackich — bywa wręcz rodzajem komunau. Tylko bardzo nieliczni psychologowie odważyli się postawić oczywiste wyjaśnienie, że niezwykle często tarcia te są odwróconymi uczuciami miłości, ostro zaprawionej odrazą i poczuciem winy. Jest to model, który wszystko wyjaśnia, a wyjaśnienie sugeruje rozwiązanie... Czytałeś kiedyś jakieś teksty Vexwortha? Nie? Powinieneś przeczytać. Sądzę, że uznałbyś je za fascynujące. Był ekologiem, na swój sposób równie gigantycznym umysłem jak Phelvelt.

— Ekologiem? To słowo ma coś wspólnego z życiem i środowiskiem, prawda?

— Ekologia jest cała związana z życiem i środowiskiem! Bada je jako wzajemne, oddziałujące na siebie i kontrolujące się zwrotnie siły. Wiadomo, że głównym celem i przeznaczeniem wszelkiego

życia jest optymalne przetrwanie. Ale „optymalne przetrwanie” to termin nonsensowny, jeśli nie weźmie się pod uwagę środowiska, w którym ma się ono zdarzyć. Kiedy środowisko się przekształca, organizm musi się dopasować i zmienić swoje czasem nawet najbardziej podstawowe wzorce. Ludzkie istoty są znane z tego, że przekształcają swoje środowisko i przeważnie dokonują tego z pominięciem względów ekologicznych. To katastrofa, za każdym razem! Przeludnienie przy niewystarczającej możliwości produkowania żywności i schronienia. Gwałt na niemożliwych do zastąpienia naturalnych zasobach. Zanieczyszczenie zasobów wody. No i również pogwałcenie potrzeb psychoseksualnych w emocjonalnym środowisku. Społeczność Vexvelt utworzyły dwie osoby, Charli: Phelvelt i Vexworth. Nazwa planety pochodzi od ich nazwisk. O ile wiem, stanowimy jedyną cywilizację opartą na podstawach ekologicznych. Nasze seksualne wzorce wywodzą się z praw natury i tak naprawdę stanowią tylko małą część naszej struktury, a jednak właśnie z powodu tego jednego aspektu naszego życia unika się nas i uważa za zwyrodnialców. I z tego powodu kontakt z nami jest zakazany.

Minęło sporo czasu, zanim Charli przyswoił sobie te poglądy, a jeszcze więcej, zanim je przemyślał i zaakceptował. Ale przez cały czas żył otoczony atmosferą piękna i spełnienia, a także ludźmi, młodymi i starymi, którzy potrafili się całkowicie skoncentrować na sztuce, nauce, budowaniu i przetwarzaniu; ludźmi, którzy zawsze dawali sobie nawzajem oraz swojej ziemi, powietrzu i wodzie nieco więcej niż brali. Charli skończył swoje pomiary w dużej mierze dlatego, że nie lubił spraw niedokończonych. Przez jakiś czas nie był pewny, co robi z ubieranymi danymi.

Gdy wreszcie przyszedł do Vorhidina i oświadczył mu, że pragnie pozostać na Vexvelt, wielki facet uśmiechnął się, lecz potrząsnął z niedowierzaniem głową.

— Wiem, że chcesz, Charli... Ale czy zostaniesz?

— Nie rozumiem twojego pytania. — Zerknął za ciemny pień jednej z vexvelckich topól. Stała tam Tyng. Wyglądała jak kwiat, jak orchidea. — To coś więcej niż... — dodał. — Coś więcej niż tylko chęć zostania Vexveltianinem. Potrzebujecie mnie.

— Kochamy cię — odparł wprost Vorhidin. — Lecz czy potrzebujemy?

— Jeśli wrócę na Terratu — wyjaśniał Charli Bux — i przekażę mój raport, co twoim zdaniem stanie się z Vexvelt?

— Ty mi powiedz.

— Najpierw przyłecą tu handlować Terranie, potem inni, a potem jeszcze inni. Następnie zaczną walczyć z wami i między sobą... Potrzebujecie kogoś, kto to wie... kto naprawdę to wszystko wie... i potrafi sobie poradzić z taką sytuacją, gdy do niej dojdzie. A dojdzie do niej, zdajesz sobie z tego sprawę, dojdzie do niej nawet bez mojego raportu. Prędzej czy później komuś uda się tu przyłecić, tak jak mnie... znajdą skałę, pokłady czystego niobu... I zniszczą was.

— Nigdy się do nas nie zbliżą.

— Tak ci się tylko zdaje. Posłuchaj... Niezależnie od tego, jak bardzo mieszkańcy innych planet nie pochwalają kazirodztwa, istnieje większa siła — chciwość.

— Nie w tym przypadku, Charli. Pragnę, byś to pojął. Jeżeli tego nie zrozumiesz, nigdy nie będziesz w stanie tutaj żyć. Unika się nas Jak trędowatych, Charli! Gdybyś się tutaj urodził, ten ostracyzm nie miałby dla ciebie zbytniego znaczenia. Jeśli wszak zwiążesz swój los z nami, nie będzie już odwrotu: w oczach innych będziesz na zawsze naznaczony piętnem. Nie powinieneś podejmować takiej decyzji bez zrozumienia, jak kompletnie zostaniesz wyłączony ze wszystkiego, co dotąd znałeś.

— Dlaczego sądzisz, że teraz tego nie wiem?

— Bo mówisz, że potrzebujemy obrony. Bo twierdzisz, że kupcy z innych światów nas

wykorzystają. Znaczy to jedynie, że nadal niczego nie pojmujesz. Posłuchaj mnie, Charli. Wróć na Terratu i zrób tam najdoskonalszą reklamową prezentację, jaką potrafisz. Postaraj się zareklamować handel z Vexvelt. Zobacz reakcję twoich rozmówców. Wtedy będziesz wiedział... wtedy zdecydujesz.

— I nie boisz się, że mogę mieć jednak rację i że z mojego powodu Vexvelt zostanie ograbiony i zniszczony?

Vorhidin potrząsnął z uśmiechem dużą głową i odrzekł:

— Ani trochę, Charli Bux. Ani trochę.

Charli wrócił zatem na Terratu, spotkał się (nie bez trudu) z dyrektorem Archiwum, dowiedział się tego, czego się dowiedział, a później wyszedł i rozejrzał się wokół po swojej ojczystej planecie, przez jej pryzmat oceniając wszystkie podobne światy. Po czym, w końcu, udał się w pewne sekretne miejsce, gdzie stał zacumowany vexvelcki statek. I ten statek otworzył dla niego swój właz. Na pokładzie byli Tyng, Tamba i Vorhidin. Charli oświadczył im:

— Zabierzcie mnie do domu.

Kilka sekund przed skokiem Napędowym Charli po raz ostatni w życiu spojrzął przez iluminator na lśniące oblicze Terratu i wybuchnął:

— Dlaczego? Dlaczego?! Jak doszło do tego, że ludzkie istoty tak bardzo znieawidziły tę jedną jedyną rzecz, że prędzej umrą szaleni i cierpiąc niemożliwy do zniesienia ból, niż ją zaakceptują? Jak to się stało, Vorhidinie?

— Nie wiem — odparł Vexveltianin.

tłum. Ewa i Dariusz Wojtczakowie

Posłowie:

No i teraz wiecie, z jakiego rodzaju opowiadaniem science fiction mieliście do czynienia. A może wiecie też o opowiadaniach science fiction coś, czego nie wiedzieliście przedtem.

Zawsze fascynował mnie progresywny potencjał ludzkiego umysłu, który odkrywa prawdę, po czym robi... ten jeden krok dalej (jest to w istocie podstawowy sekret całego ludzkiego postępu) oraz fakt, że tak wiele osób nie potrafi się nauczyć tej prostej sztuczki. Podam ci przykład. Niektórzy mówią, że trzeba wycofać „te wszystkie brudy” z kiosków z gazetami i księgarń. Spytaj ich, dlaczego, a większość tych „orędowników moralności” poprzestanie właśnie na słowie „brud” i zdziwi się, że w ogóle pytasz. Kilku wykona jednakże „o jeden krok myślowy więcej” i odpowie: „Ponieważ mogłyby tego tknąć dzieci”. Taka odpowiedź usatysfakcjonuje niemal wszystkich. Spytaj wszakże: „No a przypuśćmy, że dzieci tego tkną... Co z tego?”. Kilka osób przemyśli sobie pytanie i odpowie: „To byłoby dla nich złe.” Draż dalej: „W jakim sensie złe?”. Ledwie garstka potrafi wyciągnąć wniosek i odpowie: „To ich przedwcześnie rozbudzi”. Do tej pory prawdopodobnie „orędownicy moralności” już się rozeszli, jeśli jednak paru pozostało, spytaj ich: „Dlaczego rozbudzenie miałoby zaszkodzić dziecku?”. Jeśli zdołasz namówić ludzi do jeszcze jednego kroku dalej, będą musieli wyjść poza sferę emocjonalnych uprzedzeń i wkroczyć na teren badań naukowych. Takie studia są dostępne i niezmiennie wskazują, że seksualne rozbudzenie dziecka jest zupełnie nieszkodliwe. Wręcz przeciwnie — za patologiczny uważa się stan, w którym człowiek nie osiąga stanu pobudzenia bądź nie może go osiągnąć. Jedyna możliwa i potencjalna szkoda nie pochodzi też z samej reakcji seksualnej, lecz z poczucia winy jednostki i negatywnego nastawienia społeczności — poprzez kary aż po apogeum, czyli „moralne kruczaty”.

Szukając mniej więcej nietkniętych tematów i ćwicząc technikę „kolejnych kroków”, trafiłem na problem kazirodztwa. Było to przynajmniej dwadzieścia lat temu, lecz musiały minąć aż dwie dekady, zanim udało mi się wokół tego drażliwego tematu osnuć opowiadanie. Bardzo się z tego cieszę i mam nadzieję, że moja opowieść zainicjuje jakąś owocną dyskusję.

Cóż za udręczona i spiskowa geneza! Z perspektywy czasu wydaje mi się, że prześladowało mnie rozpaczliwe pragnienie, by dać ci naprawdę najlepszy tekst, jaki potrafiłem napisać i tak bliski, jak to tylko możliwe twojemu planowi związanemu z tą antologią. Poruszyła mnie informacja Millsa, że gorzko się rozczarowałeś, ponieważ kilku autorów odmówiło napisania tekstów do twojego zbioru i chciałem ci skompensować ich decyzje. Podczas pisania doświadczyłem serii wstrząsających zdarzeń osobistych, łącznie z zupełną klęską 4 września oraz bardzo trudnym (choć wysoce udanym) procesem późniejszej „regeneracji”. Opowiadanie dla ciebie jest pierwszym, jakie napisałem od bardzo długiego czasu i dlatego znaczy dla mnie szczególnie wiele. Mam nadzieję, że dla ciebie również.

Widzisz, ta sobota dwunastego była trzecim dniem z trzech dni i nocy, kiedy mozoliłem się nad opowiadaniem, aż w końcu wyglądało tak, jak chciałem. Towarzyszyło mi dwoje dobrych i wyrozumiałych przyjaciół, których nazwiemy Joe i Selma (ponieważ mam wrażenie — bardzo silne — że spotkasz ich pewnego dnia). Byli mi tak bliscy, tak pomocni, podziwiali mnie (a ja ich) i wspierali mnie przez cały czas w mojej harówce, chociaż mieszkają w Kingston. Kiedy sobotnie

popołudnie przyszło i przeszło, donosili mi kawę i zachęcali do pisania okrzykami. Poczta w Woodstock była wprawdzie czynna jedynie do południa, ale przyjaciele zapewnili mnie, że chętnie wyślą w moim imieniu list od siebie. Twierdzili, że poczekają, aż skończę tekst, a później zawiozą go do centralnego urzędu pocztowego w Kingston, który był czynny całą dobę i z którego list miał wyjść w sobotę w nocy. Niedługo później Selma musiała niestety wyjechać, lecz Joe został ze mną. Około osiemnastej Selma zadzwoniła z pytaniem, jak sobie radzę. Mieli jakieś własne, pilne sprawy; Joe powinien pojechać autobusem do Stroudsburga i spędzić tam tydzień. Poprosił żonę, by spakowała jego rzeczy, ponieważ dotrze do niej za jakiś czas. Gdy wreszcie skończyłem pisać, Joe chwycił koperty (jedną do Ashmeada, drugą do ciebie), wskoczył do swojego auta i odjechał. Byłem tak pobudzony, że nie mogłem zasnąć i prawie całą noc spędziłem na jawie. Kiedy następnego dnia zadzwoniłeś, byłem w stanie przypominającym delirium.

Przyszedł... hmm... Jaki to był dzień? Czwartek? Już się trochę otrząsałem z pisarskiego amoku, ale z kolei denerwowałem się o to, jak ci się spodobało (bądź nie) moje opowiadanie, więc zadzwoniłem do ciebie... i tu zaczął się prawdziwy horror, gdyż list w ogóle do ciebie nie dotarł. U mnie sytuacja też się nieco skomplikowała, gdyż żona wyjechała do Meksyku, zostawiając mi na głowie czworo dzieciaków. Tak czy owak, gdy skończyliśmy rozmowę, zatelefonowałem do Ashmeada i dowiedziałem się, że on również nie dostał ode mnie żadnej przesyłki. Przez chwilę siedziałem nieruchomo, próbując zrozumieć, co się stało. Poczuję się trochę jak bohater mojej opowieści, mówiący o tym, co „Tamci” mu zrobili. W końcu zadzwoniłem do Selmy i powiedziałem jej, że listy nie dotarły. Początkowo w ogóle mi nie uwierzyła, po czym powiedziała, że oddzwoni i odłożyła słuchawkę. Zatelefonowała do Stroudsburga do męża, a ten był równie zdumiony jak ona. W sobotę najwyraźniej wpadł do domu jedynie po rzeczy. Przebrał się na podróż i Selma podwiozła go do autobusu. Sądził, że ona wysłała list, ona zaś uważała, że on go wysłał. Gdzie zatem znajdowały się obecnie moje przesyłki?!

Wsiadłem do auta, pojechałem do ich domu i zastałem Selmę w „stanie depresji” (określenie mocno eufemistyczne). Dziękuję za to Bogu, gdyż pocieszenie Selmy uchroniło mnie samego przed atakiem hysterii. Prawdopodobnie dokładnie w tym samym momencie obojgu nam przyszło do głowy sprawdzenie jej samochodu, ponieważ praktycznie jednocześnie podskoczyliśmy i zderzyliśmy się przypadkowo głowami. A w aucie rzeczywiście znaleźliśmy przekłute koperty, oblepione tymi odblaskowymi czerwono-białymi nalepkami oznaczającymi przesyłkę ekspresową. Koperty tkwiły między prawym przednim siedzeniem a tylnym, właściwie zsunęły się pod siedzenie. Potrafię nawet zrekonstruować bieg wypadków z tamtego feralnego dnia. Joe jest wysoki i długonogi, a jego żona dość niska. Sobotniej nocy wybiegł z mojego domu z kopertami i położył je na przednim siedzeniu obok siebie, a one przez szczelinę zsunęły się w tył. Później gdy Selma odwoziła męża na autobus, przesunęła siedzenie do przodu i koperty spadły na ziemię... W każdym razie kazałem jej obiecać, że nie popełni samobójstwa z tego powodu i później jeszcze ze mną porozmawia (a wtedy może zrobimy to razem), po czym popędziłem do Woodstock, aby trafić na moment odbierania poczty.

Cała ta sprawa, choć prawdziwa, brzmi zbyt niewiarygodnie na tego typu antologię i chyba nie nadaje się na posłowie do mojego opowiadania. Mam dość mgliste pojęcie, co miałem pierwotnie napisać w tym posłowniu, ale chyba chodziło ci o rys biograficzny (a tak, przypominam sobie już: powiedziałaś, że sam pomysł przyprawi mnie o amnezję) i kilka słów na temat okoliczności powstania tekstu. Dobrze zatem, spróbuję zrobić obie rzeczy: patrz w załączniku.

Tak czy owak, Harlanie, niezależnie od tego, czy podoba ci się moje opowiadanie, dziękuję, że mnie o nie poprosiłeś i cieszę się, że je dla ciebie napisałem. Przełamało lody na wielu płaszczyznach. Teraz wracam do opowiadania dla „Playboya”, w którym zamierzam regularnie

zamieszczać swoje teksty. Zaś powyższy przeczytałem dwukrotnie. Za pierwszym razem pomyślałem, że jest okropny, za drugim natomiast, że jest wspaniały. Ma strukturę, jakiej nigdy dotąd nie używałem, gdyż zazwyczaj czyniłem naczelnym bohaterem jedną „anielską” postać, która myślała, czuła i pamiętała... i z którą czytelnik się utożsamiał, wszyscy pozostali bohaterowie zaś zachowywali się gniewnie, mówili smutne rzeczy lub nie mieli żadnych wspomnień, póki nie wypowiedzieli ich na głos. Natomiast w powyższym opowiadaniu (o ile mi się wiarygodnie udało zamysł przeprowadzić) wniknąłem w umysły postaci drugoplanowych i obserwowałem głównego bohatera ich oczyma. Także tej sztuczki z kursywą, która dopowiada nie opowiedziane przez bohatera zdarzenia, zamierzam nadal używać i doskonalić ją. Usiłuję ci w tym momencie oznajmić, że ponownie włożyłeś mi w dłonie pisarskie narzędzia i czuję się z nimi bardzo dobrze. Więc... wielkie dzięki! Nawet jeśli opowiadanie ci się nie podoba... Jeżeli ci sienie podoba, zwrócę ci zaliczkę. Najważniejsze, że znowu wróciłem do pisania! Podkreślam to raz jeszcze i zapewniam cię, że mówię całkiem poważnie.

Wprowadzenie do „Co się przydarzyło Augustowi Clarot?”:

Nie mam nic do powiedzenia o Larrym Eisenbergu. Może tylko to, powinno się go pozbyć. Nie mam nic do powiedzenia o opowiadaniu, które znajduje się za tym wprowadzeniem, chyba jedynie to, że za kupienie go od autora powinienem zmienić zawód. Ale jeśli przejmiecie się tym opowiadaniem, tak jak ja się przejąłem, to wy powinniście pójść w odstawkę. Bo to opowiadanie jest kompletnie pozbawione sensu i nieważne, że próbowałem odrzucić je siedemnaście razy, a Larry Ashmead z Doubleday zareagował dokładnie tak samo i powiedział: *No, kup ją*, a wszyscy wiedzą, że Ashmead już dawno powinien zmienić zawód.

Eisenberg o sobie samym mówi: *Piszę i sprzedaję opowiadania od 1958 roku. Początkowo były to humoreski, potem science fiction, wreszcie humorystyczna science fiction Mój „Dr. Belzov’s Kasha OHDiet” (przewodnik dla otyłych) ukazał się w „Harper’s”. „The Pirokin Effect”, w którym udowodniłem istnienie Żydów na Marsie, znalazł się w dziesiątym tomie corocznej antologii Judith Merrill „The Years Best SF”. Gdzieś tak w lipcu 1966 roku mój zbiór oryginalnych limeryków „Limericks for the Loo” (współautorem był George Gordon) został opublikowany w Anglii. „Games People Shouldn’t Play”, napisany także z Gordonem, ukazał się w listopadzie 1966 roku w USA. Zaś na utrzymanie żony i dzieci prowadzę badania z elektroniki biomedycznej.*

Doprawdy, nader prawdopodobna historyjka! A zapewniam tych, którzy mogliby spytać, czemu taki śmieć jak ten poniżej powinien znaleźć się w książce o „niebezpiecznych wizjach”, że jeśli *ktokolwiek*, kto to przeczytał, będzie przekonany, że *powinien* się tu znaleźć, to jest najniebezpieczniejszą rzeczą od czasów Tyfusowej Marii. Przytrzymajcie tego gościa — ja wezwę tymczasem gliny.

Larry Eisenberg
What Happened To Auguste Clarot

Co się przydarzyło Augustowi Clarot?

Któż z nas nie zastanawiał się nad miejscem pobytu sędziego Cratera? W Paryżu zniknięcie Augusta Clarot wywołało równie wielkie zamieszanie.

Kiedy otrzymałem polecenie natychmiastowego stawienia się w zabałaganionym gabinecie Emila Becque, srogiego redaktora „L'Expresse”, przeczuwałem, że czeka mnie niezwykle zadanie. Kiedy wszedłem, Becque wbił we mnie twardy wzrok spod zielonkawego daszka, sterczącego ukośnie w przód niczym ogromny dziób.

Siedzieliśmy tam, w milczeniu, bo Becque głęboko wierzy w telepatię. Przez kilka chwil udawało mi się odbierać jedynie fale nienawiści wywołanej nadużyciami związanymi z funduszem reprezentacyjnym i, nagle, wiedziałem wszystko. To była *l'affaire Clarot*. Poderwałem się na równe nogi, krzyząc „Nie zawiodę cię, Emilu!”, i potykając się o własne nogi (niemal oślepiiony przez łzy), wyszedłem z gabinetu.

Zadanie było wyjątkowo intrygujące i wręcz nie mogłem uwierzyć, że przypadło akurat mnie. Jakieś piętnaście lat temu zniknięcie Augusta Clarot, laureata Nagrody Nobla w dziedzinie chemii, narobiło w Paryżu potężnego szumu. Nawet moja matka, egocentryczna burżujka ukradkiem nagniatająca pomidory dla obniżenia ich ceny, powiedziała do mnie, że tak znamienity naukowiec nie mógł zapaść się pod ziemię.

Wiedziony impulsem udałem się do jego żony, madame Ernestyny Clarot, wspaniałej kobiety z czarnym wąsikiem i wydatnym biustem. Przyjęła mnie z godnością, naparem z rumianku oraz portretem jej męża opatrzonym żałobnym paskiem. Usiłując podstępem nakłonić ją do zwierzeń aluzyjnie zasugerowałem, że Clarot wyjechał do Buenos Aires w towarzystwie jakiejś *poulet* z Monmartre. Ta brutalna zniewaga wypełniła oczy madame Ernestyny łzami, pomimo to jednak spokojnie wystąpiła w obronie honoru swojego męża. Zaczerwieniłem się jak burak, przeproszałem po tysiackroć, posunąłem się nawet do złożenia oferty stoczenia pojedynku z dowolnie przez nią wybraną osobą, lecz oszczędziła mi upokorzenia.

Później, w Café *P re — M re*, przedyskutowałem sprawę z Marnayem, czarującym, beztróskim i całkowicie nieodpowiedzialnym. Przysiągł mi na swój honor, że zdobędzie dla mnie informację (za pewną cenę), gdzie przebywa Clarot. Wiedziałem, że łże, on wiedział, że ja wiem, ale wiedziony sadystycznym impulsem przystałem na jego ofertę. Zbladł, wychylił swój Pernod jednym haustem i zaczął gwałtownie bębnić palcami o blat stołu. Widać było, że czuł się zobowiązany słowem honoru do odnalezienia Clarota, ale nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać.

Pożegnałem się kurtuazyjnie z Marnayem i wyszedłem z Café *P Re — M re*. Mój rozmówca był tak strapiony, że zauważył pozostawiony przeze mnie niezapłacony rachunek, dopiero kiedy niemal zniknąłem mu już z oczu. Zignorowałem jego gwałtowne wymachiwanie rękami i zawarłem przelotną znajomość z uroczą, młodą panią patrolującą Bulwar Sans Honneur.

Rankiem, kiedy się obudziłem, okazało się, że opuściła mnie razem z moim portfelem, w którym — oprócz innych rzeczy — znajdowało się pięćset nowych franków oraz lista afrodyzjaków nabyta od Cyganki. Miałem ciężką przeprawę z konsjerżem, który ani na moment nie dał wiary moim

wyjaśnieniom. Kiedy opisałem co się stało, uciekł się do gwałtownej przemocy i zaczął obrabiać okolice moich ramion i karku, posługując się flaszką chianti, z której zdjął trzciniowy opłot.

Siedziałem na krawężniku, licząc siniaki, bez grosza przy duszy i nie mając zielonego pojęcia co robić. Nie mogłem wrócić do Emila Becque i powiedzieć mu, jak się dałem wyrolować. Honor wzbraniał mi takiego posunięcia. Lecz wmieszał się Los w przebraniu zgubionej karty kredytowej amerykańskiego turysty. W ciągu kilku godzin podjadłem solidnie, obficie zakrapiając posiłek winem, a w ekskluzywnej pracowni krawieckiej Manchoulette wystroilem się od stóp do głów.

Głęboko zaciągnąłem się uderzającym do głowy niczym wino, wieczornym powietrzem Paryża, stojąc i przyglądając się połyskującym pośladkom energicznych dam śpieszących z pomocą w sercowych kłopotach. Nagle spostrzegłem ogromnego Chińczyka uginającego się pod gigantycznym stosem prania. Puścił do mnie oczko i rzucił tobół w moje, niczego się nie spodziewające ręce, obalając mnie na ziemię. Kiedy się podnosiłem, wierzgając i wymachując rękami, żeby uwolnić się od mdło zalatujących szmat, zniknął w pobliskiej budce.

Gapiałem się na tobół, przerażony możliwą jego zawartością, w końcu jednak zdobyłem się na odwagę i rozsupłałem węzeł. Znalazłem tam tylko cztery pary kalesonów i jedenaście brudnych koszul, z których dwie wymagały już obrócenia kołnierzyka. Oraz odręczną notatkę, rozpaczliwie błagającą o nie krochmalenie gaci.

Kiedy zastanawiałem się nad tajemniczym znaczeniem tego zdarzenia, Marnay pojawił się przede mną niczym dżinn materializujący się z pasma dymu. Wbił we mnie wrogie spojrzenie oczu otoczonych dziwnymi, czerwonymi liniami, podał białą, tłoczoną wizytówkę, a potem padł na twarz. Stał się ofiarą (jak się później dowiedziałem) pęknięcia pęcherza moczowego, który to medyczny ewenement zanotowano ostatni raz ponad wiek temu.

Wziąłem wizytówkę i powachlowałem nią sobie pod nosem. Poczulem natychmiast ekscytujący, acz odpychający zapach. Na kartoniku wydrukowano: A. Systole, 23 Rue de Daie. Wepchnąwszy zwłoki pod krzak róży rdzawej, gdzie do rana na pewno zostaną odnalezione przez jakiegoś przedsiębiorczego psa, udałem się do rezydencji monsieur Systole. Okazało się, że to mroczny budynek z czerwonego piaskowca, nie wyższy niż dwanaście metrów, lecz utrzymany w doskonałym stanie.

Kiedy podszedłem do kołatki trzymanej przez gargulca, przechodzący obok chodnikiem mały pudel odwrócił się i wyjątkowo nieprzyjaźnie nawarczał na mnie. Zawsze pochlebiałem sobie osobliwie dobrym kontaktem z pudłami i porządnie zaskoczyła mnie czysta wrogość tego neurotycznego stworzenia. Zastukałem kołatką raz drugi delikatnie, niemniej jednak zdecydowanie, jako że smycz pudła była wystrzępiona i mogła poddać się jego uporczywym szarpnięciom.

Zza odsuniętej, mahoniowej klapki wyłoniła się rumiana twarz, zdradzająca aż nazbyt dobre odżywianie i tryb życia. Jedno z ogromnych oczu mrugnęło do mnie, drzwi otwarły się i zostałem zaproszony do środka silnymi palcami ciągnącymi mnie za łokieć. Później, nad rozgrzewającą anyżówką, Clarot, bo to naprawdę był on, opowiedział mi wszystko.

— Widział pan moją żonę? — zapytał, zachęcająco kiwając ku mnie głową.

— Niewątpliwie tak — odparłem przepraszająco.

— No to wie pan, dlaczego dałem nogę — powiedział Clarot. — Lecz jak miałem żyć? Wizyta w laboratorium chemicznym oznaczałaby nieuchronne zdemaskowanie. Postanowiłem poświęcić się przedsięwzięciu jednocześnie twórczemu i lukratywnemu, nie wymagającemu jednak zainwestowania zbyt wielu franków.

— Oczywiście udało się panu! — wykrzyknąłem, niezdolny się opanować.

— Znakomicie — przyznał Clarot.

Wstał i przeciągnął opasłe cielsko niczym gigantyczny kocur.

— Proszę za mną, sam pan zobaczy — rzekł chełpliwie. Pokuśtykał, a ja ruszyłem za nim, przez kolejne pokoje pełne współczesnych chińskich dzieł sztuki, odwracając wzrok od co bardziej skrajnych egzemplarzy. Piętro niżej, w suterenie, znajdowało się nieprawdopodobnie nędzne laboratorium, pełne porozrzucanych, potrzaskanych retort, z leżącym na boku palnikiem Bunsena i moździerzem pełnym chemikaliów, z których wystawał tłuczek.

— W tym właśnie szacownym lochu odkryłem środek, który doprowadza do szału wszystkie psy — oznajmił Clarot. — Jeden niuch i najspokojniejszy kanapowiec zmienia się w rozszalałą bestię zdecydowaną dopaść mnie i rozedrzeć na strzępy.

— A jakież zastosowanie może mieć taki środek? — zdumiałem się.

Clarot z mądrą miną przyłożył sobie palec do boku nosa.

— Powoduje, że raz po raz jestem gryziony — wyjaśnił.

— Gryziony? Dobry Boże!

— Zapominasz o prawie, mój przyjacielu. Oczywiście jestem rozważny i podsuwam nasączoną nogawkę spodni wyłącznie najmniejszym pieskom. Niemniej niektóre z tych kostkowców tną jak diabli.

Pochylił się i w zamyśleniu potarł goleń.

— Lecz właściciele — dokończył — w obliczu zagrożenia procesem, są skłonni do hojnych odszkodowań. A przynajmniej większość z nich. Jak pan sam widzi, żyję z tego całkiem nieźle.

— Więc zapach pańskiej wizytówki?

— To *aromatique Clarot*.

— Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że wszystko to ukaże je w *L'Expresse*? — zapytałem, jako że każdy dobry reporter pragnie chronić swoje źródła informacji.

— Przeciwno? — zdziwił się Clarot. — A dlaczegoż bym miał się sprzeciwiać? W trakcie naszej pogawędki oblałem pańskie spodnie moim aromatem. Kiedy nacisnę ten żółtozielony przycisk na ścianie, uwolni on moje posokowce, które rozedrą pana na drobne sztuki.

Clarot strzelił potężną gafę. Bezstresowe życie pozbawiło go kondycji i doprawdy kilka chwil wypełnionych szarpaniną oraz kopniakami wystarczyło mi, by pozbawić go spodni a moje naciągnąć na jego gołe nogi. Potem wdusiłem żółtozielony przycisk i opuściłem pokój, ignorując błagania Clarota o litość.

Kiedy wychodziłem z czerwonobrazowego domu, oberwałem w podstawę czaszki od krótkowzrocznej *cocotte*, zdradzonej przez Clarota. Pomyliła mnie z nim, ponieważ miałem na sobie jego płowe spodnie. Jej cios posłał mnie do krawężnika, gdzie o włos uniknąłem rozjechania przez niebieskiego Funke, brytyjski samochód sportowy.

Przez ponad trzy miesiące leżałem z amnezją na finansowanym przez akcje dobroczynne oddziale szpitala des Trois Balles. Potem pamięć mi wróciła i chwiejnym krokiem powędrowałem do redakcji *L'Expresse*, gdzie odkryłem, że Emil Becque został zgarotowany przez ogromnego Chińczyka, który niewłaściwie odczytał jego telepatyczne milczenie w odpowiedzi na żądanie zapłacenia rachunku za pralnię.

Nowy redaktor, ponury Bretończyk, wysłuchał moich pełnych wahania wyjaśnień z niesłabnącą uwagą. Kiedy skończyłem, odprowadził mnie do drzwi i umieścił okuty żelazem czubek buta na moim tyłku, umożliwiając mi w ten sposób opuszczenie redakcji z wyjątkowym przyspieszeniem.

Nie miałem wyboru, musiałem jeszcze raz odszukać madame Clarot. Po krótkich, acz pełnych ognia zalotach, sprowadziła się do mojego apartamentu nad Tawerną pod Czterema Gryfami. Już nie pija naparu z rumianku i ze sporą nostalgią wspominam dzień, w którym powitała mnie chłodnym,

trzeźwym spojrzeniem. Jednak choć tyle zawdzięczam Clarotowi.

Tłum. Jarosław Cieśla

Posłowie:

Możliwe, że „August Clarot” jest prześląknięty symbolizmem wyparcia. Być może nie jestem w stanie poradzić sobie z nadmiernym poczuciem braterstwa panującym w Wietnamie, równym lecz odmiennym traktowaniem kolorowych i opuchłymi komunałami wygłaszanych tak w wysokich jak i niskich sferach. „August Clarot” dostarczył mi radosnego upojenia, które, mam nadzieję, było też udziałem czytelnika.

Wprowadzenie do „Namiastki”:

Akt współpracy, który w przypadku pisarzy jest zdecydowanie różny od aktu dokonującego się pomiędzy kochankami, przynosi spełnienie tylko wtedy, kiedy jest zakończony, ale nigdy, kiedy trwa. Współpraca z kilkoma pisarzami, mająca miejsce w ciągu jedenastu lat mojej pracy zawodowej, była dla mnie jednocześnie irytująca i przyjemna. (Nigdy nie byłem kochankiem żadnego z nich). Wraz z Avramem Davisonem napisałem kiedyś wygłup w stylu Ringa Lardnera, który był tak napakowany osobistymi żartami i odnośnikami literackimi, że byłem zmuszony napisać jeszcze liczący 10 000 słów artykuł objaśniający tę historyjkę, zanim opowiadanie o objętości 7000 słów mogło zostać sprzedane. Nie powinno być zaskoczeniem, że tytuł opowiadania brzmiał „Up Christopher to Madness”, a samo wprowadzenie miało tytuł „Scherzo for schizoids”. Razem z Huckleberrym Barkinem napisałem opowiadanie do *Playboya* o śmiesznym uwodzeniu (uważam osobiście, że te dwa terminy są sprzeczne same w sobie), pod tytułem „Would You Do It for A Penny”. Z Robertem Silverbergiem napisałem kryminał zatytułowany „Ship–Shape Pay–Off”. Popelniłem nawet kiedyś jedno opowiadanie z Budrysem.

Jednak współpraca jest zwykle uciążliwym obowiązkiem, najeżonym takimi pułapkami, jak brak porozumienia co do koncepcji, zderzenie stylów, zagrażające lenistwo, słowotok, pomyłki i po prostu złe pisarstwo. Nigdy nie zrozumieję w pełni, jak robili to Pratt & De Camp czy Nordhoff & Hali. Jednak jest dwóch pisarzy, z którymi wspólne pisanie przychodziło mi łatwo, a jego efekty były czymś trochę lepszym, niż samodzielna twórczość każdego z osobna. Pierwszym jest Joe L. Hensley, którego opowiadanie jest gdzieś w tym zbiorze, a drugim Henry Slesar, o którym trzeba tu sporo powiedzieć. Jestem zachwycony, że mam sposobność napisania tych paru słów, bowiem od dawna nosiłem je w sobie. Ponieważ jednak brzmią nieco jak miłosny poemat, nie należą do rzeczy, które można powiedzieć w twarz innemu mężczyźnie.

(Pojęcie uczucia między mężczyznami zostało tak zdewaluowane, że okazanie jakiegokolwiek radości, przyjaźni czy nawet zrozumienia innemu przedstawicielowi płci męskiej jest od razu odbierane, przez fanatyków, jako pewny dowód pedałstwa. Celowo nie zamierzam uwznioślać takich implikacji, ale powiem prosto z mostu: nie podpisuję się pod spiskową teorią, że między Batmanem a Robinem istnieje coś więcej niż przyjaźń do starszego brata. Niektórzy ludzie myślą tylko o jednym.)

Myślę, że przyjaźń jest tym, co umożliwia jakąkolwiek owocną współpracę. Przyjaźń oparta na szacunku, podziwieniu i zaufaniu do poczucia moralności, wyczucia swojego rzemiosła i uczciwości. Aby zaakceptować zdanie danego pisarza, dotyczące formy i kierunku nadawanemu tworzonej historii, trzeba najpierw szanować i podziwiać własne dokonania tego autora. Innymi słowy, musi okazać się wart okazanego zaufania. Po drugie, na poziomie podświadomości niezbędne jest poczucie bezpieczeństwa, żeby zaufać instynktowi danej osoby w zakresie bardziej uniwersalnych przekazów danego opowiadania, tych dotyczących etyki i moralności. Tylko wtedy można z ufnością pozwolić na przejęcie nieukształtowanego aktu stworzenia przez cudze ręce. A w końcu, co muszę

dodać z głębin mojej przyjaźni i wynikających z nich implikacji, trzeba wiedzieć, że twój współpracownik pragnie osiągnąć jednolitą całość, wytwór *dwóch* umysłów i indywidualnych talentów, a nie jedną historyjkę, która powstała na skutek wykradzenia pomysłu z zapasów czyjejs wyobraźni. Tak, sądzę, że musi istnieć przyjaźń, jeśli współpraca ma się zakończyć sukcesem. Henry Slesar i ja jesteśmy przyjaciółmi od ponad dziesięciu lat.

Po raz pierwszy spotkałem Henry'ego po swoim wykładzie na Uniwersytecie Nowojorskim w 1956 roku. Założenie, że ja sam, mając za sobą jedynie rok pracy w zawodzie, mam mówić studentom twórczego pisania o tym, jak przeżyć na arenie rynku, było niesłychane. Jednak najwidoczniej (co Henry opowiadał mi później wiele razy), do tej pory klasie wkładano do głów takie ilości zwykłej w tych przypadkach sieczki literackiej, całą masę wiadomości teoretycznych powyciąganych ze źle napisanych podręczników, ale bardzo niewiele mówiono o praktycznej stronie pisarstwa, czyli próbach sprzedania komuś tego, co ci studenci napisali. Ponieważ byłem wówczas sprzedającym się autorem — jakkolwiek krótko to trwało, ale miało miejsce właśnie w tych czasach — czułem, że mogę z pełną odpowiedzialnością opowiedzieć im jedynie o tym, gdzie można najwięcej zarobić i jak nie dać się spławić, zamiast pouczać ich, jak zarzucić na ramię płaszcz Czechowa. (Komentarz: co zostało wykazane przez większość pisarzy, choćby tylko tych, których twórczość jest prezentowana w tym tomie, sławni pisarze rodzą się, a nie uczą się fachu na kursach. Wierzę w to z całą mocą. O tak, można nauczyć się posługiwać się poprawną angielszczyzną, można również nauczyć się, jak zawiązywać intrygę — podobnie jak może to robić komputer. Jest jednak coś jeszcze i na tym polega różnica między byciem autorem, a byciem pisarzem. Pierwszych obchodzi, aby ujrzeć swoje nazwisko na okładce książki, a ci drudzy piszą. Ze wszystkich kursów pisarstwa, z jakimi się zetknąłem — jako uczeń, słuchacz, dając gościnne wykłady lub sprawdzając ich poziom — tylko na jednym naprawdę wiedziano, o co w tym wszystkim chodzi. Była to seria wykładów Roberta Kirscha na UCLA, który w ciągu pierwszych dziesięciu minut przekazywał proste przesłanie: żeby ci, którzy jeszcze nie potrafią pisać, lepiej przepisali się i na inny przedmiot, on bowiem jest w stanie, owszem, nauczyć ich powierzchownych zasad. Jeśli jednak nie mają w sobie twórczej iskiej, skończą uprawiając literacką masturbację. Tak, trzeba się urodzić pisarzem, a nie stać się nim po kursie, niezależnie od tego, co mówią swoim uwiedzionym przez siebie głupcom różne agencje, uczące pisarstwa za odpowiednią opłatą.)

Henry i ja spotkaliśmy się jeszcze wiele razy po tym kursie. W tym czasie był dyrektorem kreatywnym w agencji reklamowej Roberta W. Orra. (Henry jest tym człowiekiem, który stworzył reklamę cukierków Live Saver. Na całej kartce widać było tylko rzędy cukierków, w które wpisane było hasło: „Nie liź tej strony”. Reklama ta zdobyła nagrodę.) Jednak poza biciem rekordów Bix Beierbecke, główną pasją Henry'ego było pisarstwo. Nigdy nie spotkałem człowieka, który pałałby taką chęcią do przelewania słów na papier. Jednocześnie od samego początku robił to tak zręcznie i z tak dużym talentem, że w ciągu pierwszego roku kariery pisarskiej zaczął sprzedawać swoje utwory do *Ellery Queen's Mystery Magazine*, *Playboya* i kilkunastu innych czołowych wydawców. Spotykaliśmy się wieczorami, albo w moim małym mieszkanku na Zachodniej Osiemdziesiątej Drugiej ulicy, tuż obok Amsterdamu lub też w jego rozległej rezydencji z widokiem na Aleję West End. Zazwyczaj po kilku godzinach plotek z naszymi żonami (byłem wtedy żonaty z Obszarem Klęski #1) znikaliśmy w gabinecie Henry'ego i pisaliśmy krótkie opowiadanie. Jedno na jeden wieczór. Były to zwykle opowiadania fantastyczno-naukowe lub detektywistyczne, jak „The Kissing Dead”, „Sob Story”, „Mad Dog”, „RFD#2” lub „The Man with the Green Nose”. Dobrze nam się razem pracowało, chociaż nie zawsze współpraca ta miała racjonalne podstawy. Czasem ja rzucałem tytuł i pierwszy akapit, pisząc coś tak dziwnego i bez związku, że nie było mowy o dalszym poprowadzeniu

akcji. Kiedy indziej zaś Henry rozpoczynał od napisania tysiąca słów misternie zawiąklanej intrygi, zostawiając ją w połowie zdania. Raz na jakiś czas udawało nam się zaplanować coś z wyprzedzeniem. Ale niezależnie od przyjętej metody, z tej współpracy zawsze wychodziło dające się sprzedać opowiadanie. Sprzedaliśmy wszystko, cokolwiek razem napisaliśmy. Była to sztuczka z rękawa, zabawa towarzyska i hobby, które odpłacało się nam satysfakcją i dodatkowymi pieniędzmi na papierosy.

Henry Slesar urodził się na Brooklynie w 1927 roku. Jest uosobieniem cnoty, taktu i honoru w dziedzinie, w której szczególnie odczuwa się brak takich cech — jest specem od reklamy. Był wiceprezesem i dyrektorem kreatywnym trzech znakomitych agencji reklamowych w Nowym Jorku. Obecnie jest prezesem własnej agencji: Slesar & Kanzer, Inc., założonej w 1965 roku. W czasie swojej kariery pisarskiej opublikował ponad 600 opowiadań, powieści itp., sprzedając je do takich wydawnictw, jak Playboy, Diners Club Magazine, wszystkich czasopism dla mężczyzn, pism z tajemniczymi opowieściami oraz do większości magazynów science fiction. Jego nazwisko ukazało się pięćdziesiąt pięć razy w antologiach. Napisał trzy powieści, w tym „*The Grey Flannel Shroud*” (Random House), która zdobyła nagrodę Edgara Amerykańskich Pisarzy Tajemniczych Opowieści, jako najlepsza pierwsza powieść. Wydał dwa zbiory krótkich opowiadań, oba ze wstępem Alfreda Hitchcocka, który bardzo lubi Henry’ego. Napisał bowiem również ponad sześćdziesiąt scenariuszy telewizyjnych, z których wiele było przeznaczonych do półgodzinnego i godzinnego programu Hitchcocka. Pisał też scenariusze do „77 Sunset Strip”, „The Man from U.N.C.L.E.”, „Run for Your Life” i kilku dobrze płatnych pilotowych odcinków do nowych produkcji. Jest także autorem czterech scenariuszy filmowych dla wytwórni Warner Bros.

Henry jest żonaty z jedną z najbardziej uroczych kobiet, o których może zamarzyć każdy pisarz — to litera „O” w jego pisarskim pseudonimie, O.H. Leslie — z którą ma jedną córkę — Leslie. Mieszkają razem w Nowym Jorku, co jest dobrym sposobem na przyjemne życie.

Opowiadanie Henry’ego Slesara w tej antologii liczy sobie tylko 1100 słów, czyli około połowy tego wprowadzenia, jak teraz widzę. Są dwa wyjaśnienia tego dziwnego faktu. Pierwsze, to mój podziw i przyjaźń dla Slesara, które są bezgraniczne — nie można ich nawet ująć w proste ograniczenie liczby wymawianych słów. Drugie jest bardziej istotne. Henry Slesar jest mistrzem bardzo krótkiej formy. Potrafi zastrzelić jedną linijką. Potrzebuje tylko 1100 słów tam, gdzie inni, mniej od niego utalentowani, muszą użyć 10000. Jeśli jest obecnie gdzieś w Ameryce lepszy autor, piszący bardzo krótkie opowiadania, to nie mogę przypomnieć sobie jego nazwiska, a pamięć mam doskonałą.

Henry Slesar
Ersatz

Namiastka

W ósmym roku konfliktu nieliczni cywile, którzy ocaleli na kontynencie amerykańskim, zbudowali tysiąc sześćset Stacji Pokojowych. Było to 1600 schronów przeciwoatomowych, w których znużony żołnierz mógł znaleźć pożywienie, wodę i odpoczynek. Jednak po pięciu morderczych miesiącach wędrówki po pustkowiach Utah, Kolorado i Nowego Meksyku, sierżant Tod Halstead utracił nadzieję na znalezienie choćby jednego z nich. W swojej wyściełanej ołowiem, aluminiowej zbroi wyglądał jak perfekcyjnie opakowana machina wojenna, jednak ciało kryjące się pod lśniąca pokrywą było słabe i brudne, zmęczone samotnym, monotonnym poszukiwaniem przyjaznej duszy do towarzystwa lub wroga do zabicia.

Był Nosicielem Rakiet Klasy Trzeciej, co czyniło z niego ludzką wyrzutnię dla czterech rakiet z głowicami wodorowymi, które nosił przytwierdzone do pleców. Ich zapalniki miały być odpalone przez Nosiciela Rakiet Klasy Drugiej, na rozkaz i po odliczeniu przez Nosiciela Rakiet Klasy Pierwszej. Tod stracił niezbędne dwie trzecie swojej jednostki wiele miesięcy wcześniej; jeden z nich rozchichotał się nagle, po czym przebił sobie gardło bagnetem, drugiego zaś zastrzeliła w desperacji sześćdziesięcioletnia gospodyni wiejska, broniąc się przed jego zalotami.

Jednak tego ranka, kiedy już upewnił się, że wybuch światła na wschodzie był dziełem słońca, a nie ogniem atomowym wznieconym przez wroga, natknął się na zakurzoną drogę. Poprzez migocące fale rozgrzanego powietrza ujrzał biały, kwadratowy budynek, otoczony przez nagie, szare drzewa. Ruszył niepewnie w tym kierunku i stwierdził, że tym razem to nie miraż na stworzonej przez człowieka pustyni, ale Stacja Pokojowa. Stojący w drzwiach schronu siwowłosa mężczyzna o twarzy Świętego Mikołaja skinął ku niemu przyjaźnie, uśmiechnął się i pomógł mu wejść do środka.

— Dzięki Bogu — powiedział Tod, opadając na fotel. — Dzięki Bogu. Prawie już się poddałem...

Wesoły starszy człowiek klasnął w ręce, a do pokoju wbiegło dwóch młodych chłopców o włosach zmierzwionych jak ptasie gniazda. Zaczęli się wokół niego szybko uwijać, jak obsługa przydrożnej stacji benzynowej, zdejmując mu hełm, buty i odczepiając broń. Wachlowali go, rozmasowali mu nadgarstki, przyłożyli wilgotny okład na czoło. Parę minut później oczy mu się zamknęły, a czując napływający sen, był jeszcze świadom delikatnej dłoni dotykającej policzka. Ocknąwszy się stwierdził, że zniknął gdzieś jego wielomiesięczny zarost.

— No i jak tam — powiedział zarządca stacji, zacierając z zadowoleniem ręce. — Lepiej się teraz czujesz, żołnierzu?

— Znacznie lepiej — odpowiedział Tod, rozglądając się po skąpo umeblowanym, lecz wygodnym pomieszczeniu. — Jak sobie radzicie z tą wojną, cywilu?

— Ciężko — odparł mężczyzna, już nie poprzednim wesołym tonem. — Ale robimy co w naszej mocy, aby służyć tym, co za nas walczą. Odpręż się, żołnierzu, wkrótce powinno być tu jedzenie i napoje. Nie będzie to nic szczególnego, nasze zapasy namiastek są niewielkie. Zaoszczędziliśmy trochę chemicznej wołowiny, zaraz ją dostaniesz. Zdaje się, że wytwarza się ją z kory drzew, ale nie smakuje najgorzej.

— Masz może papierosy? — zapytał Tod.

Mężczyzna podał mu brązową pałeczkę.

— Obawiam się, że to również namiastka, przetworzone włókna wełniane. Ale ważne, że można je palić.

Tod zapalił. Gryzący dym podrażnił mu gardło i płuca. Zakaszłał i zgasił namiastkę.

— Przykro mi — powiedział ze smutkiem zarządca stacji — To najlepsze, czym możemy cię poczęstować. Wszystko, dosłownie wszystko to namiastki — nasze papierosy, jedzenie, napoje... wojna nas nie oszczędza.

Tod westchnął i odchylił się w fotelu. Kiedy w drzwiach ukazała się ta kobieta niosąca tacę, wyprostował się szybko, skupiając wzrok głównie na jedzeniu. Nie zauważył nawet, jaka była piękna i w jaki sposób postrzępiona, prawie przezroczysta sukienka załamywała się na krągłych piersiach i biodrach. Kiedy pochyliła się nad nim, podając parującą miskę bulionu o dziwnym zapachu, jej jasne włosy opadły do przodu, muskając mu policzek. Podniósł wzrok i napotkał jej oczy, które zaraz nieśmiało spuściła.

— Lepiej się po tym poczujesz — powiedziała niskim głosem i poruszyła się w sposób, który przyćmił jego apetyt, napełniając go zupełnie innym rodzajem głodu. Minęły cztery lata, odkąd widział kobietę taką jak ta. Wojna, ze swoimi bombami i pyłem radioaktywnym zabrała najpierw właśnie je, wszystkie młode kobiety, które pozostały w domach, gdy mężczyźni wyruszyli na pola bitew, względnie bezpieczne. Spróbował bulionu i stwierdził, że jest ohydny, ale wysączył go do ostatniej kropli. Wołowina oparta na drewnie była twarda i ciągnęła się jak guma, jednak i tak smakowała lepiej niż puszkowane porcje, do których zdążył się już przyzwyczaić. Chleb smakował jak wodorosty, ale polał go tłustym, zjełczałym olejem i przeżuł dużymi kęsami.

— Jestem zmęczony — powiedział w końcu. — Chciałbym się położyć.

— Tak, oczywiście. — odpowiedział zarządca Stacji Pokojowej. — Tędy żołnierzu, proszę za mną.

Poszedł za nim do małego, pozbawionego okien pokoju, którego jedynym meblem była zardzewiała, metalowa prycza. Sierżant opadł ze zmęczeniem na płócienny materac, a zarządca stacji cicho zamknął drzwi od pokoju. Ale Tod wiedział, że mimo pełnego żołądka nie będzie mógł zasnąć. Głowę miał pełną myśli, krew zbyt mocno tętniła w jego żyłach, a całe ciało wypełnione było silną tęsknotą za tą kobietą.

Wtedy otworzyły się drzwi i ona weszła do pokoju.

Nie odezwała się. Podeszła do łóżka i usiadła obok niego. Pochyliła się i pocałowała go w usta.

— Nazywam się Eleanora. — szepnęła, a on złapał ją gwałtownie. — Nie, poczekaj, — powiedziała, wysuwając się nieśmiało z jego uścisku. Wstała z pryczy i przeszła do rogu pomieszczenia.

Patrzył, jak wyslizguje się z ubrania. Jasne włosy przesunęły się, gdy przeciągnęła sukienkę przez głowę, a loki opadły w śmieszny sposób na brwi. Zachichotała i poprawiła perukę. Później sięgnęła za plecy i odpięła biustonosz, który spadł na podłogę, odsłaniając płaską, owłosioną klatkę piersiową. Miała właśnie pozbyć się pozostałych części bielizny, gdy sierżant zaczął krzyżeć i rzucił się do drzwi. Złapała go za rękę, szepcząc uwodzicielskie słowa miłości i prośby. Z całej siły uderzył kreaturą pięścią, aż upadła na podłogę, szlochając gorzko, ze spódnicą zadartą wysoko na umięśnionych, owłosionych nogach. Sierżant nie zatrzymał się po swoją zbroję i broń. Wybiegł ze Stacji Pokojowej na zadymione pustkowie, gdzie śmierć oczekiwała już na bezbronych i zrozpaczonych.

tłum. Ewa Joss-Wichman

Posłowie:

„Namiastka” to odrzucone opowiadanie. Odesłał mi je wydawca, mówiąc po prostu „Nie lubię tekstów o wojnach przyszłości”. Nie on jeden ma takie nastawienie. Wielu wydawców uważa, że takie wojny nie stanowią naprawdę „niebezpiecznej wizji” przyszłości. Wolą, gdy ich autorzy trzymają się z dala od tego tematu. Konflikty atomowe są „trywialne”. Zagłada po wojnie atomowej to „cliche”. Armageddon jest „zbyt wyeksploatowany”. W świecie beletrystyki panuje przekonanie, że przestaliśmy już dostawać gęziej skórki na dźwięk słowa „atomowy”, a czytelnicy nie chcą, aby im przypominać o ruinach i promieniowaniu. Ale polem doświadczalnym fantastyki naukowej jest przyszłość, którą należy ekstrapolować z teraźniejszości. A jeśli uważasz, że nie ma już w naszym otoczeniu tych czynników, które mogą doprowadzić do zagłady, to w twoim radiu trzeba wymienić cewki, musisz zmienić okulary na silniejsze i wydłubać wosk z uszu. Osobiście mam nadzieję, że pisarze, zwłaszcza zajmujący się fantastyką naukową, będą nadal bombardować świat nowymi wizjami o tej tematyce, bowiem należą do tych szczególnie uprzywilejowanych i utalentowanych. Będą zatem stale straszyć nas tym, co może się wydarzyć, abyśmy wciąż poszukiwali sposobów zapobiegania i leczenia zła. Najbardziej niebezpieczną dla mnie wizją jest ta w różowych kolorach, jestem więc wdzięczny wydawcy tego tomu, że nosi okulary o przezroczystych szklach.

Wprowadzenie do „Idźcie, idźcie, wołał ptak”:

Znać Sonyę Dorman, znaczy kochać ją, jeśli wybaczycie mi to wyrażenie godne Myszki Miki. Mogłoby ono zdenerwować również jej męża, Jerry’ego, który ma bardzo silne ramiona, a z którym Sonya Dorman wychowuje i wystawia Akitas (rodzaj japońskiego psa wielkości małego kucyka, który wygląda, jakby chciał rozedrzeć ci tętnicę, ale nie marzy o niczym innym, jak tylko obślinić cię od stóp do głów z wielkiej przyjaźni) w ich posiadłości o nazwie Parnassuss Kennels w Stony Point, w stanie Nowy Jork, co daje najbardziej złożoną składnię od czasu, gdy Wiktor Hugo napisał jedno zdanie na dwudziestu dwóch stronach w „Dzwonniku z Notre Dame”, a i to zdanie ma taką właśnie garbatą postać.

W odpowiedzi na prośbę o dane biograficzne Sonya pisze: „Moja własna historia jest tak nedorzeczna, że nie wiem co mam napisać. Nie otrzymałam klasycznego wykształcenia. Chodziłam do prywatnych szkół (kolejnych) w Nowej Anglii, co oznacza, że nie otrzymałam dostatecznego wykształcenia, ale jestem przeładowana kulturą. Dorastałam wokół koni, ale teraz nie mogę sobie na nie pozwolić. Dlatego hoduję i wystawiam Akitas — czujnego psa dla wrażliwych właścicieli, w czasie wolnym od pisania opowiadań i wierszy. Byłam kucharką, recepcjonistką, instruktorem jazdy konnej, tancerką flamenco i mężatką. Lubię fantastykę, uważam bowiem, że sztuka i nauka powinny być kochankami, a nie wrogami”.

Oczywiście nic z tego, co napisała, nie przygotowuje was na czysty horror i bezpośredniość tego opowiadania, stworzonego przez miłą i uprzejmą Sonyę. Można je porównać, a i to z dystansem, tylko do opowiadań pisanych przez nieżyjącą już Shirley Jackson. Ta autobiografia nie mówi również nic o uznaniu, jakim Sonya cieszy się jako współpracownik tak różnych czasopism, jak Cavalier, Galaxy, Redbook, a także doskonałej antologii prac oryginalnych Damona Knighta „Orbit 1”, The Saturday Evening Whateveritis i The Magazine of Fantasy & Science Fiction.

Można czytać rzeczy podpisane Leigh Brackett lub Vin Parkera, czy też C. L. Moore i pomyśleć sobie: Jezu, ale męski rodzaj pisarstwa, a po odkryciu, że to są kobiety powiedzieć: Jezu, ale siłę ma to pisarstwo, zupełnie męski styl. Czytając zaś utwory Zenny Henderson może nasunąć się refleksja: Jezu, ale kobiece pisarstwo, same pastele. Albo też trafić na opowiadanie Ayn Rand i pomyśleć tylko: Jezu!

Ale to już czyste krytykanctwo.

Natomiast czytając utwory Sonyi Dorman nie myśli się o muskularności typowej dla męskiego pisarstwa. Czyta się je jako napisane kobiecą dłonią, pozbawione jednak śladu pretensjonalności. Nie spotyka się w nich prób naśladowania jakiś szczególnych cech męskiego stylu pisarstwa. W opowiadaniach tych wyczuwa się czysto kobiecy sposób rozumowania i prowadzenia akcji, ale mogą one powalić swoją siłą, szczególnym rodzajem silnego napięcia. Są to rzeczy napisane przez silną kobietę, a jednocześnie napisane w sposób dany tylko rodzajowi żeńskiemu. Carol Emshwiller, której opowiadanie znajduje się gdzieś w tym tomie, posiada pewne cechy tej mocy, ale do perfekcji została ona rozwinięta tylko przez S. Dorman. Sonya zajmuje się realnym światem w sposób, w jaki

radzą sobie z nim kobiety nie cofające się przed niczym. Kobiety, które już nie zamykają się w sobie, nie są też biernymi obserwatorami. I muszę przyznać, że to pisarstwo powoduje ściskanie w gardle właśnie z uwagi na nieustępliwą prawdę, jaką przekazuje.

Jest to opowiadanie godne zapamiętania, ukazujące jeszcze jeden szlif talentu, który podpisuje się bezbarwnie jako S. Dorman. Powinniście zacząć rozglądać się za tym podpisem.

Sonya Dorman
Go, Go, Go, Said the Bird

Idźcie, idźcie, wołał ptak

Motto:

[Idźcie, idźcie, wołał ptak: ród ludzki

Nie może znieść zbyt wiele rzeczywistości.

T.S.Eliot, „Spalony Norton” tłum. Władysław Dulęba]

Uciekała, wstrzymując krzyk za poplamionymi zębami, pomimo głosów nawołujących ją z każdego zaułka i zza każdej, błyszczącej fasady. Twarze w wybitych szybach stały się mozaiką wykrzywających się na nią grymasów, gdy biegła, wciąż nie wypuszczając krzyku spomiędzy zębów, zdecydowana nie wypuścić go z gardła. Bolały ją pięty od kłapania w betonową nawierzchnię autostrady, od przeskakiwania pęknięć i dziur w drodze, po której kiedyś odbywał się najbardziej nasilony ruch w całym kraju.

— Och, nie, nie — szlochała w biegu.

Pnącza złapały ją za kostki, panicznymi ruchami oderwała je od siebie i biegła dalej.

Na poboczu pojawiły się możliwości schronienia, wejścia do lepianek, podziemnych nor. Raz coś sfrunęło na dół i wylądowało niedaleko od niej, kiwając zapraszająco, ale zatrzasnęła zęby na kłębiącym się w gardle krzyku i spojrzała prosto przed siebie, wzdłuż popękanej nawierzchni drogi, na zbyt duże promenady ciągnące się po obydwu stronach drogi. Będzie dalej podążać tą oczywistą ścieżką, bojąc się przekroczyć punkt, za którym już nie znajdzie pomocy.

— Tutaj, kurczaczku, tutaj — zawołała stara kobieta, machając do niej, uśmiechając się i oferując jej kryjówkę, przypuszczalnie za cenę swojej skóry, była przecież jeszcze młoda i pulchna.

— Nie, nie, nie — wydyszała w biegu. Bo miała dopiero trzydzieści lat, była jedyna w swoim rodzaju, i choć być zjedzonym jest w porządku, bo ludzie muszą przetrwać, to umierać jest strasznie. Po prostu nie chciała umierać. Nie teraz, uciekając przed śmiercią, ani nigdy, nawet kiedy przyjdzie na nią jej nieuchronny czas. Teraz obchodziła ją tylko chwila obecna, a przyszłość musi sama się o siebie zatroszczyć. Nawet teraz, podczas biegu, zaczynała drzeć myśląc o przyszłości, jak gdyby tu i teraz nie było wystarczająco okrutne.

Pomyśl o tym, odezwała się sama do siebie, z ogromną zadyszka, skacząc nad pęknięciem powstałym w miejscu, gdzie biegnąca na południe przecznica oderwała się od głównej drogi. Pomyśl o tym, nalegała, nie mając już tchu w piersiach, ale nie mogąc powstrzymać własnych myśli, które galopowały prędzej od jej zmęczonych nóg.

Mam tylko trzydzieści lat, jestem jedyna w swoim rodzaju, nie ma na całym świecie, w całym wszechświecie kogoś, kto byłby mną, z moimi wspomnieniami:

Migawka # 1

Padał śnieg. Stała w rozpadających się drzwiach, otulona na zimę futrzanymi nogawicami i czekała na Marna. Mieli zapolować na jakieś zwierzę, aby ugotować gulasz. Widziała wszystko jakby w negatywie, oświetlone przez światło księżyca: białe drzewa, ciemne płachty śniegu. Usłyszała koło siebie coś jak szelest pióra.

— Hej, chodźmy — powiedział Marn, biorąc ją za ramię. Powędrowali jak dwa ciemne płatki przez przyprószoną śniegiem trawę, w kierunku lasu.

— Zapalimy to — powiedział Marn pewnym siebie tonem, a jej napłynęła ślinka do ust. Wędzarnia była gorąca i ciemna jak łono, z którego wytaczano do rozdziału różne dobre rzeczy. Miała szczęście, że była kobietą wodza. Jej dzieci były przez to mniej głodne i zziębnięte. Czasem jednak miała takie niewygodne uczucie, gdzieś w środku, słysząc płacz innych dzieci. Mam mówił, że to dlatego, że była jeszcze młoda.

Jej futro miało poprzeczne pręgi, jak skóra tygrysa. Była córką wodza i żoną wodza. Była wysoka, wykształcona, uprzywilejowana, a wkrótce na skórach posłania będzie się spalać w ogniu namiętności Marna.

— Hej, chodź, odpocznij — zawołała za nią młoda dziewczyna, ale tylko przyspieszyła, bo zęby dziewczyny błyszczały jak sztylety. Biegając, zaszlochała sama do siebie (oszczędzając oddech na bieg) — nie mogę umrzeć, nie jestem jeszcze gotowa. Och, nie, nie, i był to ten sam odgłos, jaki wydała z siebie tamtej zimy, kiedy:

Migawka # 2

Sady nie wydały ani jednego owocu, a jelenie padały z głodu. Wszystkie zwierzęta wycofały się w stronę gór, poza tymi, które zabito przy otwartym wodopoju. Gdy przyszło przesilenie, nie było już otwartej wody. Ryby spały na dnie jeziora. Małe rybki nie chciały pod pływać do zimnych, błękitnych dziur przerębli wycinanych przez wędkarzy. Skóry trzeszczały i pękały im na nogach, komin na wędzarni przestał oddychać, a większość ognisk wygasła.

W tym okresie głodu urodziło się ich trzecie dziecko, z wykrzywioną stopką. Podnosząc je do góry Marn powiedział:

— Nie jest dobry — i złamał mu kark.

— Och, nie — krzyknęła, trzymając się dwiema rękami za obrzmiały brzuch, czując krew ciekącą jej między palcami. — Nie, nie — krzyczała do wodza, swojego mężczyzny, czy dziewięć miesięcy czekania w cieple, w ciemności, ma być nadaremne? Czy wszyscy tak skończymy?

Marn podał martwe niemowlę starej kobiecie, która zaniosiła je do wędzarni. Leżała we łzach i krwi, płacząc za skwierczącym na tłuszczu dzieckiem. Później, gdy w ogniu i dymie obeschły oczy jej i oczy dziecka, poczuła, że to zbyt wiele, jak na wytrzymałość jakiegokolwiek kobiety.

W miejscu, gdzie popękany beton rozgałęział się na dwie odnogi, jedną biegnącą na południe, a drugą na zachód, powinna się zatrzymać, aby ocenić swoją przewagę. Pomiędzy odnogami pojawiło się jednak dwóch nastolatków, uzbrojonych w noże.

Ponad wszystko chciała teraz zatrzymać się i odpocząć. Nie miała wyjścia: mogła dalej uciekać lub zatrzymać się i zostać zabitą. Nie mogła powstrzymać się od rozważenia w myślach obu opcji, nawet wiedząc, że nie ma właściwie żadnego wyboru.

— Złap trochę oddechu — zaszydzili młodzi i bez dalszego namysłu wybrała drogę na zachód. Jeden z nich zaryzykował rzut nożem, który rozdarł jej skórę na barku. Biegła dalej, nie zwracając uwagi na bladoczerwoną krew ciekącą po ramieniu. Nie mogę teraz umrzeć, myślała. Nigdy nie umrę. Jestem jedyna na całym świecie. Wiedziała, że nie może się teraz zgubić, bo w niej wszystko było cenne i nie do zastąpienia. Dlaczego nie zdawali sobie sprawy z tego, jak ważne dla niej było przeżycie? Zawierała:

Migawka # 3

Po ciężkiej zimie żelazny świat otworzył się i pojawiły się kwiaty. To było takie zdumiewające. Minęła miejsce, gdzie pochowano ostatnią kość z ciała Marna (tylko czaszka wodza mogła być pochowana w całości, nietknięta, z zuchwą nadal przytwierdzoną do szczęki, jakby miał przemawiać do swojej społeczności) i poszła nad brzeg rzeki, gdzie kąpały się dzieci. Jej Neely wyrósł tej wiosny, nabrał też ciała mimo niedostatku pożywienia. Przynajmniej Daddyporidge pomógł go wykarmić i dać mu wiosenną siłę.

— Ach, wiosna — odezwał się leniwy głos. To Tichy, pod wierzbą. Mógłby być następnym wodzem, ale był zbyt leniwy. Jeśli nie będzie uważał, prędzej skończy w wędzarni. Jednak już kilku członków społeczności odkryło, że jest szybszy i bardziej żywotny, niż się wydawało i sam Marn zginął pod młotem Tichego.

— O tak, z pewnością jest wiosna — odpowiedziała, idąc bardzo powoli i zbliżając się do niego ostrożnie. Bo jeśli tak szybko pozbył się jej mężczyzny, a teraz odpoczywał tu, obserwując jej syna, to co będzie dalej?

Tichy wyciągnął do niej otwartą rękę. Wzięła ją zdziwiona jej ciepłem. Potem zaskoczył ją, pociągając na siebie jednym sprawnym ruchem.

— Och, nie — powiedziała, z twarzą zatopioną w kosmykach jego brody. — Nie, Tichy — bo jego zęby zatopiły się w niej i nie wiedziała, uwięziona przez jego ręce i nogi, czy będzie kochana czy zjedzona, czy obie te rzeczy po kolei, ani dlaczego.

— Do diabła, tak — powiedział Tichy — W końcu, czemu nie? Nie był taki zły. Pozwolił jej korzystać z najlepszego koca w chacie z twardego drewna, a kiedy nie znalazła wystarczającej ilości przypraw do garnka z gulaszem i tak zjadł wszystko, i nawet jej nie zbił.

Z desperacją wstrzymując krzyk, tę syrenę między jej zębami, która może naprowadzić ich na jej ślad, biegła dalej i dalej, a oddech świszczwał w jej zdartym gardle.

Wróci do Tichy'ego. Nie umrze. Nie może być na świecie nic takiego, co by naprawdę chciało jej śmierci, prawda? Neely wziął sobie córkę Gancho, ciemnowłosą dziewczynę o niskich brwiach, o szczególnym poczuciu prawości. Nieźle, pomyślała. Bardzo dobrze dla Neely'ego. Muszę wrócić, zanim urodzi dziecko. Kto inny jej pomoże? Nie wolno, aby sama rodziła swoje pierwsze, a tylko ja mogę jej pomóc. Jestem naprawdę, prawdziwie potrzebna, jestem bardzo potrzebna. Byłaby zupełnie sama, bo przecież:

Migawka # 4

Pod jesień, kiedy nawet najcieplejsze deszcze nie potrafiły wydostać spod ziemi główek zdziczałych szparagów, Neely i Tichy stoczyli walkę na północnym zboczu dzikiego sadu. Tichy wymierzył Neely'emu cios młotem, który przewrócił młodzieńca i mogło już być po nim, ale Neely podniósł się ponownie na nogi, z wargami ukazującymi ciemne dziąsła, z których sterczało pięć zębów. Obserwując ich z dachu drewnianej chatki zobaczyła, jak Neely unosi się na palcach i rozłupuje czaszkę Tichy'ego.

— Mój syn! — krzyknęła z całej siły w płucach.

Potem Neely przyprowadził do domu ciemną dziewczynę, która charczała kiedy się z nią kochał, nigdy nie była zmęczona i utrzymywała podłogę w czystości. To było w porządku, że dzieliła chatkę z inną kobietą, zwłaszcza taką, która rozumiała znaczenie prawa i tradycji. Była, bądź co bądź, córką wodza i nie można było umniejszyć jej znaczenia.

— Mam cię! — wrzasnęła kobieta, prawie wpadając na nią, gdy gwałtownie skręciła wzdłuż nabrzeża. Kopnęła kobietę w brzuch i biegnąc dalej, usłyszała za sobą jęk bólu.

— Nie, nie masz mnie! — wysapała, nie tylko do jęczącej kobiety, ale do nich wszystkich, do całego świata. Dlaczego myślała, że wróci do Tichy'ego, który leżał martwy, z rozłupaną czaszką? Wnuki ją powitają. To były dobre dzieci, szczupłe i twarde jak orzechy, podobne do Neely'ego. Ucieszą się na jej widok, będzie je bawić, dawać im smakołyki, mieszać zupę dla ciemnej dziewczyny, gdy ta pójdzie z Neely'm na polowanie. Jeśli kiedykolwiek powrócą jelenie, będzie mogła przyrządzić dla nich pieczeń. Susza tego lata była tak wyniszczająca, że przywędrowały węże. Najpierw miedzianogłowe, wydzielające zapach czosnku w okresie godowym, jak brązowe robaki na kamieniach starego świata. Potem grzechotniki, ze swoim histerycznym ostrzeżeniem, które przychodziło zwykle za późno. Zatrute mięso było gorsze od braku mięsa. Ponadto osoba ukąszona przez węża była zwykle rozczłonkowywana, zanim jad zdążył roznieść się po ciele.

Teraz, gdy biegła, ujrzała oznaki domu odbijające się echem w jej pamięci. Krajobraz stał się radośnie znajomy, polowała tu kiedyś, najpierw z Marnem, potem z Tichym. Nie umrze, nie tym razem, nie teraz, będzie z pewnością trwała dalej, bo przecież była osobą niezwykłą, pełną, wspaniałą.

— Mam cię! — ktoś wrzasnął jej do ucha i poczuła potężne uderzenie. Upadła bezwładnie na drogę, ale jej mięśnie wciąż biegły. Przed oczami zaczęły przebiegać migawki z życia: pory roku, ludzie, których знаła, jej synowie, córki, a przede wszystkim ona sama, ona jedyna, pośród wszystkich gwiazdnych światów.

— Nie, nie — jęczała, patrząc jak mężczyzna wznosi topór nad głowę.

— O tak, tak — powiedział, szczerząc zęby z przyjemności. Za nim pojawiła się reszta drużyny łowców. Wśród nich był Neely z ciemną dziewczyną i dwoje szczupłych dzieci.

— Neely — krzyknęła. — Ocal mnie. Jestem twoją matką.

Neely również wyszczerzył zęby i powiedział:

— Wszyscy jesteśmy głodni.

Topór spadł, rozbijając jej obrazy na kawałki, które opadły jak płatki śniegu na ciemność,

wznecając drobny pył, który szybko się rozproszył. Małe dzieci zaczęły sprzeczać się o drobne kostki jej ręki.

tłum. Ewa Joss–Wichman

Posłowie:

Napisałam to opowiadanie może dlatego, że czasem świat wydaje się właśnie taki, a może w nadziei, że kiedy młodzi z pokolenia mojej córki dorosną, to nie będą musieli drżeć o swoje życie. Albo też z tego samego powodu, który w siedemnastym wieku skłonił Jeremy'ego Taylora do napisania słów: „...pytajac o to czy ktoś jest dobrym, czy złym człowiekiem, nie ma się na uwadze tego, w co wierzy, czy o czym marzy, ale co kocha.” Amen.

Wprowadzenie do „Szczęśliwych”:

Jest to drugie z opowiadań, które kupiłem nie znając twórczości jego autora. Przysłał mi je, jako jedno z dwóch, mój własny agent, Robert Mills. Była przy nim prosta uwaga: „Spodoba ci się sposób myślenia tego faceta”. W naszym fachu takie zachowanie nazywa się podsprzedawaniem. Kiedy byłem młodszy i pracowałem w księgarni na Times Square, czyli w miejscu gdzie wynaleziono (lub przynajmniej doprowadzono do perfekcji) ideę zawyżania kosztów sprzedaży, zastosowałem podsprzedaż — albo „wciskanie kitu”, jak się również nazywa tę technikę — tylko w dwóch przypadkach. Pierwszym była książka pod tytułem „Kobięcy alkoholizm”. Był to zbiór opisów przypadków chorobowych Przeznaczony dla studentów medycyny, dotyczący zaburzeń psychicznych towarzyszących alkoholizmowi u kobiet. Był tam jednak jeden fragment, na stronie 73, jeśli dobrze pamiętam, który był niezwykle pornograficzny. Chyba coś o miłości lesbijskiej, obrazowo opisywane przez kobietę uczestniczącą w tych praktykach. Gdy udało nam się dorwać jednego z tych sprzedawców objazdowych z Pipidówki Dolnej w stanie Wyoming, który poszukiwał czegoś „żywszego” do czytania (bo nie udało mu się poderwać w barze żadnej laski dla urozmaicenia wieczoru), prowadziliśmy go na zaplecze i otwieraliśmy tę książkę. Zawsze otwierała się na stronie 73. „Proszę sobie trochę poczytać, w którymkolwiek miejscu” mówiliśmy wtedy, podtykając mu pod nos, jak kawał miecha, ten właśnie ustęp. Zwykle jego oczy robiły się wilgotne i okrągłe, jak sadzone jajka. Zawsze kupował tę książkę. Upychaliśmy ją klientom po czternaście dolarów za sztukę. (Myślę, że teraz sprzedają ją w miękkiej okładce za około pół dolara, ale tamte czasy nie znały jeszcze Fanny Hill.) Na stronie 73 znajdował się jedyny ciekawszy kawałek tekstu, reszta zawierała na przemian opisy terapii wstrząsowej i płukania żołądka, ale wciskanie kitu wychodziło nam świetnie.

Kolejnym sprzedawanym w ten sposób przedmiotem był dwunastocalowy włoski sztylet w pokrowcu na nóż. Kiedy klient pytał o nóż, otwierałem pokrowiec i wyciągałem całe stalowe ostrze. Później pokazywałem mu zamknięty pokrowiec, aby upewnił się, że nie ma na nim żadnego przycisku zwalnającego ostrze. Następnie wystarczyło jedno zgrabne, silne strzepnięcie nadgarstkiem w dół i sztylet sam wyskakiwał, wibrując, zazwyczaj w odległości dwóch cali od gardła klienta. Wytrzeszczone oczy. Sadzone jajka. I tak dalej. Siedem dolarów w kieszeni, za każdym razem.

Takiego podstępu można użyć z dużym przekonaniem tylko wtedy, kiedy jest się całkowicie pewnym, że trzyma się w ręku znakomitą rzecz, której klient za nic w świecie nie będzie chciał wypuścić z rąk. Bob Mills wcisnął mi kit, bo wiedział, że ma bestseller. „Szczęśliwi” Johna T. Sladeka to kawał świetnej prozy.

Sladek urodził się w stanie Iowa w dniu 15/12/37, a 19 lat później uczył się na Uniwersytecie w Minnesocie jako student #449731. Studiował inżynierię mechaniczną, a później literaturę angielską. Po zakończeniu szkoły (ubezpieczenie #475-38-5320) pracował przy opracowywaniu tekstów technicznych i jako kelner barze, był również zwrotnicowym #17728 na Wielkiej Kolei Północnej. Włóczył się autostopem po Europie z paszportem #D776097 aż do chwili, gdy w Paryżu znalazł się

w kolejce po darmową zupę w Saint-Severin. Obecnie mieszka w Anglii, zarejestrowany jako obcokrajowiec #E538368. Jego teksty były wydawane w takich pismach, jak *New Worlds*, *Escapade*, *Elery Queen's Mystery Magazine* i innych. Właśnie skończył pisanie swojej pierwszej powieści fantastycznej, zatytułowanej *The Reproductive System*. Jedynym kitem, jaki związany jest z osobą Sladeka lub jego opowiadaniem, jest jego kiepska głowa do liczb. Oby tak dalej.

John T. Sladek
The Happy Breed

Szczęśliwi

A.D. 1987

— Nie wiem — powiedział James, podnosząc się z poduszek porozrzucanych po całej podłodze jak jaskrawe liście. — Nie mogę powiedzieć, żebym tak naprawdę był, no wiesz, *szczęśliwy*. Chcesz ginu czy jakiejś podróbki?

— Człowieku, nie każ mi podejmować decyzji, po prostu daj coś do picia — odpowiedział mu Porter. Wyciągnął się na czarnej, włoskiej sofie, którą nazywał „kozetką terapeuty” Jamesa.

— A więc niech będzie gin — James wcisnął guzik i kieliszek do martini, cały oszroniony i wyglądający dość apetycznie, wsunął się do wnęki w ścianie i napełnił. Trzymając za nóżkę, James przekazał go Porterowi, a potem uniósł pytająco brwi w stronę Marii.

— Nada — odparła. Siedziała rozparta w szezlongu, prawdziwym dziele sztuki rzeźbiarskiej, a jedna z jej bosych stóp wysuwała się, dotykając nogi Portera.

James zrobił martini także dla siebie i spojrzał na nie z niesmakiem. Gdyby się stłukło taki kieliszek, pomyślał, nie byłoby żadnych ostrych krawędzi, którymi można by było, na przykład, podciąć sobie żyły.

— O czym to ja mówiłem? A, nie uważam, żebym był naprawdę szczęśliwy, ale przecież nie jestem też, no...

— Smutny? — podpowiedziała na ochotnika Maria, zerkając na niego spod runda swojej paskudnej, brązowej czapki—pilotki.

— Załamany. Nie mam depresji, a więc muszę być szczęśliwy — wybrnął z tego, ukrywając zmieszanie za ściankami kieliszka. Sącząc drinka, obrzucił ją spojrzeniem, od zgrabnych łydek do brzydkiego nakrycia głowy. W zeszłym roku o tej porze nosiła czapkę baseballową, niebieską ze złotymi wykończeniami. Nie było nic trudnego w zapamiętaniu takiego szczegółu, bowiem w tym roku wszystkie dziewczyny w Wiosce nosiły takie czapki. Maria Katiowna zawsze wyprzedzała resztę towarzystwa, zarówno swoim strojem, jak i swoimi obrazami.

— Skąd wiesz, czy jesteś szczęśliwy? — zapytała go. — W zeszłym tygodniu też mi się wydawało, że osiągnęłam szczęście. Właśnie skończyłam moją najlepszą pracę i próbowałam się utopić, ale Maszyna wyciągnęła korek z wanny. To mnie zasmuciło.

— Dlaczego chciałaś się zabić? — spytał James, starając się skupić na niej spojrzenie.

— Przyszło mi na myśl, że po stworzeniu doskonałego dzieła powinno się zniszczyć artystę. Diirer zawsze niszczył oryginalne płytki swoich rycin po zrobieniu kilku odbitek.

— Robił to dla pieniędzy — mruknął pod nosem Porter.

— No dobra, więc jak ten arabski architekt. Po tym, jak stworzył swoje *opus magnum*, sułtan kazał go oślepić, aby nie mógł zrobić żadnych kiepskich kopii. Rozumiecie, o co mi chodzi? Życie artysty powinno zmierzać w kierunku jego najlepszego dzieła, nie oddalać się od niego.

Porter otworzył oczy.

— Należy trwać! Końcem życia jest życie. Trzeba po prostu być, to wszystko.

— To brzmi jak tani egzystencjalizm — prychnęła, odsuwając stopę z jego uda. — Robisz się

coraz bardziej podobny do tych przeklętych muzulmanów, Porter.

Na twarzy Portera pojawił się nieprzyjemny uśmiech, potem zamknął oczy.

Przyszła pora zmienić temat rozmowy.

— Czy słyszeliście już ten dowcip o Marsjaninie, któremu wydawało się, że jest Ziemianinem?

— zagaił James swoim wystudiowanym, profesjonalnym tonem. — A więc poszedł do swojego psychiatry...

Opowiadając swój dowcip, przyglądał się badawczo pozostałej dwójce. Marią nie trzeba było się przejmować, nawet po jej dramatycznych próbach samobójczych. Ale Porter był nieźle pomieszany.

Jego pełne, przybrane nazwisko brzmiało O. Henry Porter, po jakimś dawnym, mało znanym pisarzu. Porter też był pisarzem, przynajmniej kiedyś. Do niedawna, kilka miesięcy temu, uważany był za geniusza, jednego z niewielu w dwudziestym wieku.

Coś się jednak stało. Być może winą za stan rzeczy ponosił ogólny spadek czytelnictwa, a może w nim samym tkwił jakiś element samodestrukcji. Niezależnie od powodu, Porter stał się czymś nieco tylko bystrzejszym od warzywa. Nawet kiedy mówił, to wygłaszał tylko najśłabsze cliche, nędzne okruchy pochodzące z jego najlepszego okresu, jakieś dwadzieścia lat temu. A coraz częściej nie odzywał się wcale.

James niejasno wiązał to z wprowadzeniem Maszyn. Porter był poddany działaniu Maszyn Środowiska Terapeutycznego dłużej niż ktokolwiek inny. Być może jego geniusz miał jakiś związek z tym, co leczyły maszyny. James zbyt długo już nie praktykował swojego zawodu, aby skojarzyć o co dokładnie chodziło, ale przypominał sobie podobne przypadki wylewania dziecka z kąpielą.

— I właśnie dlatego może świecić w ciemności — skończył opowiadać James. Tak jak się spodziewał, Maria roześmiała się, ale Porter przywołał tylko na usta wymuszony uśmiech, pokrywający jego zwykły grymas jakiegoś mistycznego zadowolenia.

— To stary dowcip — James przeprosił.

— Sam jesteś starym żartem — oświadczył Porter — Psychiatra bez żadnych chorych głów do leczenia. Co ty do cholery robisz przez cały dzień?

— Co się z tobą dzieje? — spytała Maria byłego pisarza. — Cóż takiego wyciągnęło cię z twojej otchłani?

James sięgnął do wnęki w ścianie po kolejnego drinka.

— Chyba potrzebuję paru nowych przyjaciół — powiedział jeszcze, zanim uniósł go do ust.

Zaczął żałować swojego prostackiego zachowania już w chwili, gdy wychodzili. Jednak jakoś nie widział potrzeby przyzwoitego zachowywania się w stosunku do innych. Nie był już psychiatrą, a oni jego pacjentami. Każdy niewielki uraz psychiczny, jaki mógłby spowodować, zostanie szybko naprawiony przez ich Maszyny. Nawet mimo to starałby się może podchodzić bardziej tolerancyjnie do neurotycznych zachowań swoich przyjaciół, gdyby nie tak łatwo było wykręcić numer „PRZYJACIELE” i dostać całkiem nowy ich zestaw.

Minęło dopiero kilka lat, od kiedy Maszyny zaczęły troszczyć się o szczęście i zdrowie ludzi oraz o zachowanie ludzkiej rasy, ale prawie nie mógł przypomnieć sobie, jak wyglądało życie przed Nimi.

W zakurzonej zwierciadło jego rzadko używanej pamięci pozostało tylko kilka wyraźnych punktów. Przypominał sobie swoją pracę jako psychiatry przy testach Terapii Środowiskowej. Przypominał też sobie sprzeczkę z Brodym.

— Pewnie, dobrze sobie radzą z kilkoma testowymi przypadkami. Ale jak do tej pory te gadzety

nie zrobiły niczego, czego nie mógłby zrobić dobrze wykwalifikowany psychiatra — stwierdził James.

— Zgoda — odpowiedział jego przełożony. — Ale nie popełniły też żadnego błędu. Panie doktorze, ci ludzie są wyleczeni, a co więcej, są teraz szczęśliwi!

Na zmęczonej twarzy doktora Brody'ego malowała się szczerza zawiść. James wiedział, że jego zwierzchnik ma znowu kłopoty z żoną.

— Jednak, panie doktorze — zaczął James — tych ludzi nie nauczono, jak sobie radzić z własnym otoczeniem. To ich środowisko uczy się, jak koegzystować z nimi. To nie jest medycyna, to podawanie wszystkiego na tacy!

— Kiedy ktoś jest w depresji, dostaje dawkę ritalinu, skoczne rytmy na kanale Muzik, a jakiś bliski przyjaciel wpada z nieoczekiwaną wizytą. Jak jest w fazie manii lub staje się agresywny, otrzymuje torazynę, łagodną muzykę, melancholijne filmy w telewizji, a czasem chłodną kąpiel. Gdy mu się nudzi, dostaje rozrywkę, sfrustrowany — wpada mu w ręce coś do złamania, a gdy...

Brody przerwał mu.

— W porządku — powiedział — Mam dla pana pytanie za 64 dolary: czy potrafiłby pan zrobić coś lepszego?

Nikt nie mógł być lepszy od nich, od rozległego kompleksu Maszyn Terapii Środowiskowej, w którym postęp w medycynie dokonywał się w tempie rzędu tysiąca lat na jeden rok. Rząd przejął kontrolę nad projektem, aby zapewnić każdemu, niezależnie od stanu portfela, nieograniczony dostęp do najlepszych specjalistów w całym kraju, dysponującymi najnowszymi danymi i technikami. W rezultacie fachowcy ci byli na dyżurze przez dwadzieścia cztery godziny na dobę w domu każdego pacjenta, utrzymując go przy życiu, zdrowiu i w poczuciu umiarkowanego zadowolenia.

Nie ograniczali się tylko do leczenia. Maszyny posiadały wypustki rozciągające się przez dżungle całego świata, szpiegując szamanów i ucząc się nowych leków. Ich domeną stały się badania nad lekami i nowymi dietami, jak również naukowa uprawa ziemi i kontrola urodzin. W 1982 roku, kiedy już stało się oczywiste, że Maszyny mogą i robią wszystko lepiej, a prawie każdy obywatel kraju chce stać się ich pacjentem, rząd Stanów Zjednoczonych skapitulował. Pozostałe narody wkrótce wzięły z niego przykład.

Na ile James się orientował, obecnie nikt już nie chodził do pracy. Wszyscy mieli jeden jedyny obowiązek — bycie szczęśliwym.

I przepelniało ich to uczucie. Szczęście jednostki było zagwarantowane przez każdy przewód i tranzystor zasilający klimatyzator danej osoby, aż do tych zainstalowanych w centralnym kompleksie komputerowym, zwanym MEDCENTRALĄ, w Nowym Jorku — a może obecnie w Hadze? James nie czytał żadnej gazety, od kiedy ludzie przestali się nawzajem zabijać, a dziennikarze przerzucili się na wiadomości ze sportu i prognozę pogody. Właściwie to przestał czytać gazety od czasu, gdy zaczęły się ukazywać ogłoszenia o treści „Lekarz medycyny szuka pracy”.

Nie było już zawodów, tylko Praca dla Szczęścia — zajęcia wymyślone przez Maszyny. W takiej pracy nigdy nie trafiały się problemy nie do rozwiązania lub chociaż trochę trudniejsze. Można było skończyć zmianę roboczą ani na moment nie wysilając ciała ani umysłu. Praca przestała być pracą, a stała się terapią zajęciową, w której trzeba było odnosić same sukcesy.

Szczęście, normalność. James obserwował, jak osobowości wszystkich ludzi wokół niego powoli degenerują się, jak gdyby wiele różnych, misternych płatków śniegu topiło się w jedną wspólną, bezkształtną kałużę.

— Jestem pijany, to wszystko — powiedział głośno. — Alkohol działa na mnie depresyjnie. Potrzebuję kolejnego drinka.

Zatoczył się nieco, przechodząc przez pokój do wnęki w ścianie. Podłoga musiała to wyczuć, bo przyciskając guzik nie dostał martini, ale pobrano mu z kciuka krew do analizy. W ciągu sekundy ściana zbadła próbkę i ofiarowała mu szklankę płynu. Zapalił się napis: „Wypij to od razu. Odstaw pustą szklankę do zlewu”.

Wychylił porcję przyjemnego w smaku napoju i od razu poczuł się miło i sennie. Jakoś udało mu się znaleźć drogę do sypialni, gdzie drzwi uchyliły się uprzejmie i padł na łóżko.

Jak tylko James R. Fairchild, AAAAGTR–RHO1A, zasnął, mechanizmy stojące na straży jego życia przystąpiły do działania. Nie groziło mu wprawdzie żadne natychmiastowe niebezpieczeństwo, ale MED 8 doniósł o obniżeniu oczekiwanej długości życia o 0.00005 roku w związku z nadużywaniem alkoholu, a MED 19 ocenił jego zachowanie, nagrane na taśmie magnetycznej, jako zwiększające wskaźnik samobójstwa o niebezpieczne piętnaście punktów. Jednostka diagnostyczna oddzieliła się od ściany łazienki i przesunęła do sypialni, zatrzymując się cicho i precyzyjnie przy jego boku. Pobrała trochę więcej krwi, sprawdziła tętno, temperaturę, częstość oddechów, wykres czynności serca i fal mózgowych oraz prześwietliła jamę brzuszną promieniami rentgenowskimi. Ponieważ nie otrzymała instrukcji odnośnie sprawdzenia odruchu rzepekowego, zwinęła się i wysunęła z pokoju.

W salonie krzątała się jednostka dbająca o wystrój wnętrza, niszcząc pomarańczowe poduszki, rzeźby, kozetkę i dywan. Ściany przybrały prawie niedostrzegalnie cieplejszy odcień. Nowy dywan idealnie do niego pasował.

Meble — wybrane i dostarczone do mieszkania bez wiedzy śpiącego człowieka — były w stylu królowej Anny, w ilości wystarczającej do wypełnienia całego wolnego miejsca w pokoju. Pozostawiono na nich ochronne opakowania z polietylenu na czas dezynfekcji pomieszczenia.

W kuchni PHARMO 9 zamówił i odebrał nowy zapas leków przeciwdepresyjnych.

Lloyd Young budził się zawsze na dźwięk silnika traktora, a chociaż wiedział, że odgłos ten jest sztucznie generowany, to jednak zawsze wprawiało go to w dobry nastrój. Prawie przesądzało o dobrym początku każdego dnia. Przez chwilę leżał jeszcze bez otwierania oczu i wsłuchiwał się w ten dźwięk.

Do diabła, prawdziwe traktory nie wydawały teraz żadnych odgłosów. Wyruszały do pracy w nocy, ryjąc i orząc w ciągu godziny pole o takich rozmiarach, że człowiekowi zajęłoby to dwanaście godzin. Maszyny tłoczyły do gleby dziwne, nowe chemikalia i podgrzewały ją, aby uzyskać dwa zbiory kukurydzy w ciągu jednego krótkiego lata w Minnesocie.

Nie było specjalnego zapotrzebowania na farmerów, ale zawsze chciał mieć własne gospodarstwo, a Maszyny mówiły, że można dostać to, czego się chce. Lloyd był chyba jedynym człowiekiem w okolicy, który mieszkał obecnie na wsi, sam z dwunastoma krowami i na wpół ślepym psem o imieniu Joe. Nie miał za dużo do roboty,

Maszyny zajmowały się wszystkim co trzeba. Mógł się poprzyglądać dojeniu swoich krów, przejść się z Joe'm odebrać pocztę czy też oglądać telewizję. Ale było tu cicho i spokojnie, tak jak lubił.

Poza Nimi i Ich wścibskim wtrącaniem się. Chciały dać nowy zestaw oczu dla Joe'go, ale Lloyd powiedział, że gdyby dobry Pan chciał, żeby Joe widział, to nie pozbawiałby go wzroku. W dokładnie ten sam sposób odpowiedział Im na propozycję operacji serca. Wydawałoby się, że One nie mają niczego lepszego do roboty. Zawsze się martwiły o niego, a przecież potrafił zatroszczyć się

sam o siebie przez studia i dwadzieścia lat pracy inżyniera.

Stracił pracę, kiedy wszystko zostało zautomatyzowane, ale nie miał im tego za złe. Jeśli Maszyny były lepszymi od niego inżynierami, to proszę bardzo, na zdrowie!

Otworzył oczy i zorientował się, że jak się nie zbierze, to może spóźnić się na dojenie. Nie zastanawiając się zbyt długo, wziął z szafy jasnoblękitne ogrodniczki z różowymi wykończeniami, nałożył na głowę niebieski słomkowy kapelusz i ruszył do kuchni.

Jego wiadro stało przy drzwiach. Dzisiaj było srebrne — wczoraj miało kolor złoty. Uznał, że woli srebrne, bo mleko wygląda w nim na bardziej chłodne i białe.

Drzwi kuchenne nie chciały się otworzyć i Lloyd uświadomił sobie, że chcą go skłonić do włożenia butów. Do diaska, kiedyś lubił chodzić boso. A niech to, teraz też by chciał.

Chciałby również sam doić swoje krowy, ale Maszyny wyjaśniły mu, z jak dużym ryzykiem byłoby to związane. Przecież mógłby zostać kopnięty w głowę, zanim by się nawet zorientował! Niechętnie, Maszyny pozwoliły mu doić każdego ranka jedną krowę, która była starannie nafaszerowana środkami uspokajającymi, a wszystkie cztery nogi miała przywiązane do stalowej ramy.

Wsunął na nogi swoje wygodne, niebieskie kalosze i ponownie podniósł wiadro. Tym razem drzwi otworzyły się bez problemu, a jednocześnie z oddali rozległo się pianie koguta. W rzeczy samej, wiele drzwi zamykało się Lloydowi przed nosem. Wystarczająco dużo, aby stał się zgorzkniały, ale to One stały za tą przemianą. Wiedział, że Maszynom można zaufać, nawet jeśli w 1970 roku to przez nie stracił pracę. Przez dziesięć lat wałęsał się po okolicy, próbując znaleźć jakiegokolwiek zajęcia, choćby przy taśmie w fabryce. W końcu to Maszyny uratowały mu życie, gdy był już prawie u kresu wytrzymałości.

Gdy dotarł do obory, Betsy, jego ulubiona krowa rasy Jersey, była już uśpiona i przymocowana do metalowych prętów. Z Muzika dobiegała skoczna, wesoła melodia, w sam raz do dojenia.

Nie, to nie Maszyny wpędziły go w to szambo, dobrze o tym wiedział. To ludzie, a właściwie ludzie i zwierzęta, żywe organizmy, które zawsze starały się dać ci kopniaka w głowę. Nawet pomimo tego, że bardzo lubił Joe i Betsy, bardziej niż kogokolwiek z ludzi, to jednak nie ufał im do końca.

Maszynom można było zaufać, potrafiły się o ciebie zatroszczyć. Jedyne problemy z nimi polegały na tym, że, jak by to ująć, trochę za dużo wiedziały. Zawsze były tak cholernie mądre i zapracowane, że człowiek czuł się przy nich bezużyteczny. Prawie jakby się stało w Ich cieniu.

To było całkiem przyjemne dziesięć minut. Dziwny impuls na—szedł Lloyda, gdy wszedł do chłodni, aby opróżnić wiadro do pojemnika z odpływem, który Bóg wie dokąd prowadził. Chciał spróbować ciepłego mleka, prosto z wiadra. Było to coś, czego obiecał nigdy nie robić. Maszyny ostrzegały go przez chorobami, ale tego ranka zbyt dobrze się czuł, żeby martwić się takimi ostrzeżeniami. Przyłożył do ust brzeg srebrnego wiadra...

I uderzenie pioruna wytrąciło mu je z rąk, rzucając nim o podłogę. Spróbował się podnieść, ale stwierdził, że nie może się ruszać. Zielona mgiełka zaczęła wydostawać się spod sufitu.

— A to co, do cholery? — zastanowił się, odpływając w sen pośrodku kałuży rozlanego mleka.

Pierwsza jednostka medyczna nie wykazała żadnych powierzchownych skaleczeń. Lloyd C. Young, AAAAMTL–RH01AB, leżał bez ruchu, tętno miał przyspieszone, czynność oddechowa mieściła się w normie. MED 8 starannie odkaził całą okolicę i usunął resztki surowego mleka. Podczas gdy MED 1 wypłukał mu żołądek i przeczyszczył przewody nosowe, przełyk i tchawicę, MED 8 rozciął i zniszczył jego ubranie. Awaryjna jednostka grzewcza utrzymywała odpowiednią

temperaturę jego ciała do czasu, gdy wyprodukowano nową odzież. Pomimo wyściełanej podłogi, pacjent złamał palec u nogi przy upadku. Podjęto decyzję, aby go nie przenosić, ale zbudować łóżko i całe niezbędne umeblowanie w miejscu, gdzie leżał. MED 19 zalecił zastosowanie kary wychowawczej.

Telewizor ożył w chwili, gdy Lloyd obudził się. Na ekranie ukazał się siwowłosa mężczyzna o miłym wyglądzie.

— Współczuję panu — powiedział. — Przeżył pan właśnie coś, co nazywamy „Śmiertelnym Wypadkiem Numer Jeden”, czyli groźny upadek we własnym domu. Nasze Maszyny są za niego częściowo odpowiedzialne, bo ratowały pana właśnie przed... — mężczyzna zawahał się, a za jego plecami rozblęsnął napis „ZATRUCIE BAKTERYJNE”. Po chwili podjął wątek:

— ...poprzez fizyczne usunięcie pana z obszaru zagrożenia. Ponieważ był to jedyny rodzaj działania, które mogły podjąć, pana uraz był nie do uniknięcia.

— Tylko jeden człowiek mógł temu zapobiec. Pan! Tylko pan mógł ocalić własne życie — siwowłosa mężczyzna wycelował w Lloyd'a wskazujący palec.

— Cała współczesna nauka służy tylko pańskiemu zdrowiu. I to pan jest jedyną osobą, która może dopomóc nam w obniżaniu zastraszająco wysokiego ryzyka zgonu. A zatem będzie pan z nami współpracował, prawda? Dziękuję.

Ekran zgasł, a z odbiornika wysunęła się jeszcze ulotka.

Był to kompletny opis jego wypadku oraz ostrzeżenie, przez spożyciem mleka, nie poddanego procesowi pasteryzacji. Ma leżeć w łóżku przez tydzień, napisano w ulotce, która zalecała mu jeszcze skorzystanie z telefonu i numeru „PRZYJACIELE”.

Profesor David Wattleigh siedział w letniej wodzie swojego basenu w południowej Kalifornii i marzył, żeby sobie popływać. Pływanie było jednak zabronione. Urządzenia miały swoje sposoby, aby dowiedzieć się co robi, bo za każdym razem, gdy się zanurzał głębiej niż po klatkę piersiową, silnik aparatu do reanimacji stojącego przy brzegu basenu wydawał z siebie ostrzegawczy warkot. Brzmiał on trochę jak warknięcie owczarka albo też, zastanowił się, jak Psa Niebios, anty-Mefistofelesa, który przybył, aby sprowadzić go na drogę cnoty.

Wattleigh siedział przez chwilę całkowicie nieruchomo, a potem niechętnie wydzwignął z wody swoje różowe, pulchne ciało. Ech, niczym to się nie różni od kąpieli w wannie, pomyślał. Wchodząc do domu, spojrzał nienawistnie na przysadzistą sylwetkę Maszyny.

Wydawało się, że zabronione było wszystko, na co naprawdę miał ochotę. Od dnia, w którym zmuszono go do porzucenia badań nad dziewiętnastowieczną literaturą angielską, więzy „mechanica” zaciskały się stale wokół Wattleigha, odcinając go po kolei od jego dawnych przyjemności. Nie było już jego fajki ani porto, wystawnych obiadów i porannego pływania. W miejscu biblioteki stało obecnie coś w rodzaju ulicznej maszyny z napojami, która każdego dnia „sprzedawała” mu dwie kartki starannie okrojonego Dickensa. Były to jednak same wesołe, barwne i dowcipne fragmenty, napisane dużą, szkolną czcionką. Wprawiały go zawsze w głęboką depresję.

Jednak całkowicie się nie poddał. Przeklinał Maszyny w każdym liście, który pisał do swojej wymaginowanej przyjaciółki Delfinii, jak również prowadził ciągłe potyczki z jadalnią w sprawie obiadów.

Jeśli nawet jadalnia teoretycznie nie pozbawiała go jedzenia, to jednak robiła wszystko, aby odebrać mu apetyt. Przy różnych okazjach malowała się na odrażający odcień żółci, puszczała głośną i drażniącą muzykę oraz wyświetlała na swoich ścianach zdjęcia nagich, otyłych ludzi. Codziennie miała przygotowane nowe sztuczki, a Wattleigh każdego dnia starał się ją przechytrzyć.

Dzisiaj założył togę akademika i wkroczył do pokoju jadalnego, przygotowany do kolejnej bitwy. Stwierdził, że ściany jadalni są dziś pokryte zielonym aksamitem, a oświetla ją złoty żyrandol. Stół był ciężki, z niewykończonego, dębowego drewna. Nie leżał na nim jednak ani jeden okruszek jedzenia.

Zamiast tego przy stole siedziała zgrabna blondynka.

— Dzień dobry — powiedziała, zrywając się z krzesła — Czy to pan jest profesorem Davidem Wattleigh'em? Nazywam się Helena Hershee, jestem z Nowego Jorku. Otrzymałam pańskie nazwisko za pośrednictwem numeru „PRZYJACIELE” i po prostu musiałam wpaść i pana odwiedzić.

— Ja... witam — wyjąkał.

Zamiast odpowiedzieć, po prostu rozpięła swoją sukienkę.

MED 19 popierał działania, które potem nastąpiły, jako dobry krok w kierunku osłabienia urojenia, zwanego „Delfinią”. MED 8 dokonał projekcji takiej terapii na następny rok i stwierdził, że wynikająca z niego utrata wagi może dodać nawet 0,12 roku do przewidywanego czasu życia pacjenta Wattleigha.

Po tym jak Helena zasnęła, profesor rozegrał jeszcze parę partyjek z Idealnym Graczem Szachowym. Wattleigh należał kiedyś do wizje klubu szachowego i nie chciał stracić całkowicie kontaktu z grą. Pozapominał jednak całkiem sporo i był zaskoczony, jak często Idealny Gracz musiał oszukiwać, żeby pozwolić mu wygrać.

Ale jednak wygrywał, partia za partią, a Idealny Gracz za każdym razem kiwał swoją plastikową głową i pomrukiwał:

— No cóż, tym razem naprawdę ci się udało, Wattleigh. Masz ochotę na jeszcze jedną partyjkę?

— Nie — odpowiedział w końcu zniechęcony Wattleigh. Maszyna posłusznie złożyła szachownicę i odjechała do jakiegoś kąta.

Wattleigh usiadł przy biurku i rozpoczął list do Delfinii.

„Moja droga Delfinio” — zaskrzybiało jego stare pióro na delikatnym, czerpanym papierze. „Przyszła mi dzisiaj na myśl pewna refleksja, gdy pływałem kąpałem się w Brighton. Często ci już pisałem, a właściwie często narzekałem na zachowanie mojego służącego, M... „To”, ponieważ nie mogę zmusić się, aby nazywać to „nim” czy też „nią”, zachowuje się w sposób głęboko niepokojący w odniesieniu do mojego pisanie listów, posuwając się nawet do tępienia stalówki w moim piórze czy chowania papieru. Nie zwolniłem „tego” jeszcze za takie haniebne zachowanie, ponieważ jestem z „tym” związany, tak, uwiązany, przez dziwny i przerażający sekret dziwne przeznaczenie, które czasami każe mi wątpić, kto tu jest panem, a kto sługą. Przypomina mi się kilka starych komedii, w których, po zamianie ról pana i służącego, czy też pani i pokojówki, spotykają się oni w końcu. Mam na myśli, oczywiście, dzieła...”

Tu list się kończył, bo profesor nie mógł przypomnieć sobie żadnego pasującego nazwiska. Po napisaniu i skreśleniu następujących pozycji: „Dickens, Dryden, Dostojewski, Racine, Rousseau, Camus” i jeszcze kilkunastu innych, wysechł mu kałamarz. Wiedział, że nie ma sensu prosić Maszyny o więcej atramentu, bo były zdecydowanie przeciwne pisaniu jakichkolwiek listów...

Wyglądając przez okno, ujrzał karetkę, pomalowaną w jaskrawe różowe i żółte pasy. Czyżby lekarz z sąsiedniego domu jechał do „zombie-landu”, czyli Szpitala dla Aspołecznych? Na wschodzie nazywali ich „muzułmanami”, a tutaj „zombie”, co znaczyło to samo: żywi umarli, którzy nie potrzebowali luksusowych domów, gier ani atramentu. Do życia niezbędne im było tylko dożylnie odżywianie, a itego niewiele. Zasłony zaciągnęły się, a więc Wattleigh wiedział, że lekarz był

wynoszony z domu. Powrócił do swej przerwanej myśli.

...a w każdym razie on był całkowicie niezadowolony z tego listu. Nie wspomniał w nim o Helenie, obiedzie, warczącym urządzeniu do reanimacji i wielu jeszcze innych rzeczach. Ogromnej liczbie innych spraw, które mógłby opisać, gdyby tylko nie brakowało mu atramentu i gdyby pamięć nie zawodziła go właśnie wtedy, kiedy zasiadał do pisania listu, i gdyby tylko...

James stał z łokciem opartym o marmurowy gzyms kominka w mieszkaniu Marii, robiąc wstępne rozpoznanie innych gości i oceniając każdego z nich. Był tu potwornie nudny farmer z Minnesoty, który twierdził, że kiedyś był inżynierem, a obecnie nie potrafiłby powiedzieć, do czego służy suwmiarka. Dalej stała Maria w towarzystwie muskularnego młodego człowieka, do którego James od pierwszej chwili poczuł instynktowną niechęć, byłego matematyka o nazwisku Dewes czy Clewes. Maria przygotowywała się właśnie do rozegrania partii szachów z nieco zbyt grubym Kalifornijczykiem, którego dziewczyna, śliczna blondyneczka nazywająca się Helena Hershee, stała obok kibicując rozgrywce.

— Właściwie to jestem mistrzem szachowym — wyjaśnił Wattleigh, rozstawiając figury — więc może powinienem dać ci fory?

— Jak chcesz — odparła Maria — od lat nie grałam w szachy. Wszystko co pamiętam, to jak postawić Mata Głupca.

James przesunął się na stronę Heleny, przyglądając się grze.

— Nazywam się James Fairchild — powiedział i zaraz dodał: — doktor medycyny.

Helena rozchyliła zbyt mocno umalowane usta

— Słyszałam o tobie — wyszeptała — to ty jesteś tym agresywnym doktorem Fairchildem, który tak szybko pozbywa się przyjaciół, prawda?

Maria uniosła wzrok znad szachownicy. Wydawało się, że jej oczy są pozbawione źrenic, miała w sobie taką dawkę ritalinu.

— James wcale nie jest agresywny — powiedziała — tylko wpada w szał, gdy nie pozwolisz mu dokonać na tobie psychoanalizy.

— Nie przeszkadzaj w grze — odezwał się Wattleigh. Przyjął pozę świadcząca o dużym skupieniu, opierając oba łokcie na stole.

Helena nie usłyszała uwagi Marii. Odwróciła się, aby posłuchać jak muskularny matematyk wygłasza wykład Lloydowi.

— Zgadza się, do cholery. Maszyny zajmują się całym procesem wychowywania dzieci. Gdyby nie to, mielibyśmy teraz przeludnienie, rozumiesz? Co znaczy, że zabrakłoby nam jedzenia i...

— Nieźle ich sobie dobierasz — powiedział James do Marii wskazując na młodego mężczyznę.

— A co się stało z tym tak zwanym „pisarzem”? Nazywał się chyba Porter? Chryste, ciągle słyszę, jak wygaduje „należy trwać”!

— James prychnął pogardliwie.

Maria jeszcze raz uniosła głowę, a w jej pozbawionych źrenic oczach zabłyśły łzy.

— Porter wyładował w szpitalu. Jest teraz „muzułmaninem”.

— powiedziała niemal beztroskim tonem. — Chciałabym czuć jakiś żal z tego powodu, ale Maszyny mi na to nie pozwalają.

— ...to coś jak prawo Maltusa, czy kogokolwiek innego. Zwierzęta rosną szybciej niż warzywa — kontynuował matematyk w rozmowie z farmerem.

— Szach—mat — oznajmiła Maria i poderwała się z krzesła.

— James, masz zapalić? Cukier albo czekoladę?

— Niestety, tylko gorzką pomarańczę — James wyciągnął z kieszeni jasnopomarańczowe cygaro.

— Poproś Maszynę.

— Boję się dzisiaj ją o cokolwiek prosić — odpowiedziała.

— Wciąż faszeruje mnie jakimiś tabletkami. James, Porter został zamknięty już miesiąc temu, a ja od tego czasu nie jestem w stanie niczego namalować. Czy myślisz, że oszalałam? Maszyna tak uważa.

— Maszyna — odparł, odgryzając koniuszek cygara — ma zawsze rację.

Ujrzawszy, że Helena przesunęła się w kierunku chińskiej sofy Marii, przeprosił rozmówczynię lekkim skinięciem głowy i ruszył w stronę blondynki.

Wattleigh cały czas rozważał swoją przegraną w rezultacie Mata Głupca.

— Nie rozumiem. Wprost nie mogę tego pojąć — mruczał.

— ...to zupełnie jak w bajce o zającu i żółwiu — matematyk napawał się brzmieniem własnego głosu. Lloyd kiwał głową z powagą.

— Widzisz, powolny nigdy nie może dogonić szybkiego. Lloyd odezwał się w końcu.

— Tak, rozumiem, o co ci chodzi, doskonale cię rozumiem. Tylko że zawsze myślałem, że to wolny wygrał ten wyścig.

— Aha — Dewes (lub Clewes) przestał mówić i zapadł w milczącą zadumę.

Maria przechadzała się po pokoju, dotykając twarzy mijanych osób jak ślepiec, który szuka kogoś znajomego.

— Ale wciąż nie mogę tego zrozumieć! — prawie krzyknął Wattleigh.

— A ja tak — odezwał się James niewyraźnie, nie wypuszczając cygara z zębów. Gorzko—słodki dym w jego ustach sprawiał wrażenie tak gęstego że mógłby go gryźć. Tak, wszystko doskonale rozumiał. Przyglądał się po kolei tym ludziom: były matematyk, który ma kłopot z odróżnieniem arytmetyki od geometrii, podobnie rzecz się ma z byłym inżynierem, malarka, której nie pozwalano malować oraz niegdysiejszy mistrz szachowy, który zapomniał jak się gra. Pozostawała jeszcze Helena Hershee, kochanka tego biednego, głupiego Wattleigha.

— Kim byłaś, zanim nastały Maszyny? — zagał rozmowę.

— ...Ja — ja byłam sędzią — odpowiedziała, prowokacyjnie przesuwając opuszkami palców po jego karku.

— A ty? Jakiej specjalności lekarzem byłeś kiedyś?

A.D.1988

— To było podczas II Wojny Światowej — powiedział Jim Fairchild. Leżał na wznak na długiej sofie, pokrytej worem w tygrysie paski, z numerem *Hot Rod Komiks* na twarzy.

— Myślałam, że wszystko zaczęło się dopiero w latach sześćdziesiątych — zdziwiła się Maria.

— Tak było, ale nazwa „muzułmanin” powstała w nazistowskich obozach zagłady. Byli tam ludzie, którzy po prostu nie mogli sobie z tym poradzić, rozumiesz? Przystawali jeść, widzieć i słyszeć. Wszyscy nazywali ich „muzułmanami”, bo zachowywali się jak islamscy mistycy...

Zawiesił głos, przypominając sobie II Wojnę Światową. To były dobre czasy, kiedy człowiek stwarzał własne zasady. Nie było Maszyn, mówiących ludziom co robić.

Od kilku miesięcy mieszkał z Marią. Była jego dziewczyną, zupełnie tak samo jak inna Maria, która w *Komiksie Hot Rod* mieszkała z tym drugim Jimem, zwanym Jim (Piekło-na-kółkach) White. Śmieszna rzecz z tymi Komiksami. Były zupełnie jak prawdziwe życie, ale jednocześnie były od niego lepsze.

Marii —jego Marii — nie można było nazwać intelektualistką. Nie ‘ubiła czytać ani myśleć, tak jak Jim, co było w porządku, bo to mężczyźni powinni zajmować się całym tym czytaniem, myśleniem, walką i zabijaniem. Maria siedziała w lawendowym fotelu w rogu pokoju, rysując sobie kredkami. Podniósłszy swoje szczupłe, wręcz patykowate ciało z sofy, Jim podszedł do niej i spojrzał na rysunek.

— Ma krzywy nos — skrytykował.

— To nie ma znaczenia, głuptasie. To projekt ubrania. Liczy się tylko sukienka.

— No dobrze, a dlaczego ma żółte włosy? Ludzie nie mają takich włosów.

— Nieprawda, Helena Hershee ma takie.

— Nie, nie ma.

— A właśnie, że ma!

— Nie, one nie są żółte, to się nazywa... nie, nie żółte. Nagle oboje przzerwali, bo Muzik zaczął nadawać ich ulubioną piosenkę. Każde z nich miało swój własny, najbardziej lubiany numer, Jima było „Chlap”, a Marii „Tak, wiem, że naprawdę cię lubię”, ale mieli też jeden wspólny kawałek zatytułowany „Tragiczność na zamówienie”. Był jedną z tych piosenek, w których Muzik naśladował ich głosy, brzmiące teraz czysto i harmonijnie:

Jim Gunn miał sobie niezłą pracę, specjalnie dla siebie

A Maria była jego dziewczoną

Konali się miłością tak prawdziwą,

Że chyba najprawdziwszą na świecie.

Ale Jimowi nie wolno było prowadzić samochodu

A Maria była niewidoma

Tragiczność na zamówienie, nie—nie—nie

Piosenka opowiadała dalej o tym, jak Jim Gunn ponad wszystko chciał zapłacić za operację oczu swojej dziewczyny, która koniecznie chciała podziwiać jego specjalnie przerobiony samochód, zrobiony na zamówienie. Pojechał więc do sklepu sprzedać swój samochód, ale ktoś go rozpoznał. Został zastrzelony przez policję, ale:

Pocałował swoją Marię po raz ostatni,

Ale policjant zastrzelił ją też.

Wtedy powiedziała: Widzę twoją brykę, Jim!

Jest taka śliczna, cała niebieska i złota!

Jim uśmiechnął się i umarł, trzymając ją w ramionach,

Szczęśliwy, że wreszcie odzyskała wzrok.

Tragiczność na zamówienie, nie—nie.

Oczywiście, w prawdziwym świecie Maria miała bardzo dobry wzrok, Jim nie miał żadnego samochodu, a policja nie deptała im po piętach. Jednak było coś prawdziwego w tej piosence. W sposób, którego nie potrafili nazwać, ich miłość naprawdę była tragiczna.

Maria podeszła do Jima i pocałowała go w ucho, wiedząc, że czuje się teraz samotny i przygnębiony. Położyła się obok niego i oboje od razu zasnęli.

Z badań MEDCENTRALI wynikało, że populacja NORTHAMER wynosi 250 000 000 i jest stabilna. Poza kilkoma awariami inkubatorów i jednym transportem przypadkowo zakażonych embrionów, wszystko postępowało zgodnie z przewidywaniami, a liczba narodzin dorównywała

zgonom. Norma znowu przesunęła się w kierunku aspołecznych, a KONTROLA MACIC wykazywała 90,2 procentowy wskaźnik przyjęć dorosłych do obu głównych szpitali.

Bezczelni anormalni byli hamowani w rozwoju w okresie dojrzewania, ponieważ nie było żadnej innej całkowicie skutecznej metody doprowadzania ich do normy, poza terapią wstrząsową, z którą wiązały się liczne przeciwwskazania.

Lloyd wyciągnął zegarek ze środkowej kieszeni swoich kraciastych ogrodniczek. Wskazówki w kształcie Pysznego Kurczaka wskazywały prosto do góry, co oznaczało, że miał tylko trochę czasu, aby odebrać pocztę, zanim w telewizji rozpoczną się Kreskówki z Farmy. Powodowany Impulsem włożył zegarek do ust i pogryzł go. Był pyszny, ale nie sprawił mu specjalnej przyjemności. Wszystko było zbyt łatwe i za miękkie. Marzył o niezwykłych wydarzeniach, które mogłyby mu się przytrafić. Na przykład takich, jak w tej Kreskówce z Farmy, kiedy Czarny Angus próbował zabić głównego bohatera, Białego Lloyda, niszcząc jego Maszynę, a wtedy Biały Lloyd ugodził go widłami ze strzykawką i odesłał do szpitala.

Mechaniczny Joe wybiegł z domu, merdając ogonem i skomlać niecierpliwie. Wiedział, że już czas odebrać pocztę. To bez różnicy, że nie jest prawdziwym psem, myślał Lloyd w drodze do skrzynki pocztowej. Joe nadal lubił, gdy się go drapało za uszami, można to było wyczytać z wyrazu jego oczu. Poza tym miał w sobie więcej energii i był weselszy od pierwszego Joe'ego.

Lloyd zatrzymał się na chwilę, przypomniawszy sobie swój smutek po śmierci Joe. Było to wspomnienie przepełnione miłą melancholią, ale mechaniczny Joe już skakał wokół niego, szczekając ponaglająco. Poszli więc dalej.

Skrzynka pocztowa aż pękała od przesyłek. Był tam nowy komiks, zatytułowany „Farmer Lloyd i jego Joe” oraz całe pudło pełne nowych zabawek.

Po pewnym czasie jednak, kiedy Lloyd już przeczytał komiks, obejrzał Kreskówki z Farmy i pobawił się swoimi nowymi klockami konstrukcyjnymi, poczuł się dziwnie przygnębiony. Pomyślał sobie, że niedobrze jest być ciągle samemu. Może powinien pojechać do Nowego Jorku, odwiedzić Jima i Marię. Warto sprawdzić, czy Maszyny nie są tam trochę inne. Może tam mniej się rządzą?

Po raz pierwszy przyszła mu do głowy jeszcze jedna, nawet dziwniejsza myśl. A może powinien przeprowadzić się do Nowego Jorku?

DROGA DELFINIO, [napisał Dave drukowanymi literami] TO BĘDZIE MÓJ OSTATNI LIST DO CIEBIE, BO CIĘ JUŻ NIE KOCHAM. JUŻ WIEM, DLACZEGO SIĘ OSTATNIO ŹLE CZUŁEM, BO TO PRZEZ CIEBIE. TAK NAPRAWDĘ JESTEŚ MOJĄ MASZYNĄ, PRAWDA, HA HA, ZAŁOŻĘ SIĘ, ŻE NIE MYŚLAŁAŚ, ŻE O TYM WIEM.

TERAZ KOCHAM HELENĘ BARDZIEJ OD CIEBIE I WYJEŻDŻAMY RAZEM DO NOWEGO JORKU ODWIEDZIĆ MASĘ PRZYJACIOŁ I CHODZIĆ NA KUPE PRZYJĘĆ I BAWIĆ SIĘ BEZ PRZERWY I NIC MNIE NIE OBCHODZI, CZY CIĘ JESZCZE KIEDYŚ ZOBACZĘ.

CALUSKII POZDROWIENIA DLA WSPANIAŁEGO DZIECIAKA,

DAVE W.

Po tym jak trzęsienie ziemi zabiło siedemnaście milionów mieszkańców Szpitala Zachodniego, MEDCENTRAL wydał rozkaz przeniesienia pozostałych przy życiu na wschód. Wszystkim anormalnym, którzy mieszkali w pewnym oddaleniu od Szpitala Wschodniego zasugerowano również, aby przenieśli się do Nowego Jorku.

Perswazja ta wyglądała następująco: stopniowo podwyższono wilgotność i ciśnienie

atmosferyczne do poziomu dyskomfortu 0,9, wyświetlając jednocześnie podprogowe zdjęcia Nowego Jorku na wszystkich powierzchniach otaczających danego pacjenta.

Dave i Helena przyjechali z L.A. kolejką podziemną i byli teraz źli i zmęczeni. Sama podróż kolejką zajęła im tylko dwie czy trzy godziny, ale musieli spędzić dodatkową godzinę w taksówce wiozącej ich do domu Jima i Marii.

— To taksówka elektryczna — wyjaśnił Dave — która rozwija prędkość około jednej mili na godzinę. Na pewno nigdy już więcej nie wybiorę się w taką podróż.

— Cieszę się, że przyjechaliście — powitała ich Maria — Byliśmy ostatnio strasznie samotni i smutni.

— Tak było — potwierdził Jim. — Mamy też nowy pomysł. Możemy założyć klub, wiecie, taki do walki z Maszynami. Wszystko już sobie obmyśliłem. My będziemy...

— Dziecinko, powiedz im o zombie, to znaczy o „muzułmanach” — powiedziała Helena.

Dave ożywił się i zaczął opowiadać podnieconym głosem.

— Jeezu, prawda, w pociągu było coś jak milion samochodów z nimi, wszyscy upchani do szklanych pojemników. Na początku nie wiedziałem, co to, do cholery, jest, więc podszedłem tam i się przyjrzałem. To był chudy, łysy facet, cały poskręcany i włożony do jakiejś butelki wewnątrz innej butelki. Strasznie dziwnie to wyglądało.

Aby uczcić ich przyjazd, Muzik zagrał ulubione piosenki całej czwórki, zatytułowane „Zonk”, „Tak, wiem, że naprawdę cię lubię”, „Blap” i „To moja dziewczynka”, a ściany na chwilę stały się przezroczyste, ukazując zapierającą dech w piersiach panoramę złotych wież Nowego Jorku. Lloyd, który na razie do nikogo się nie odezwał, siedział w kącie, postukując do rytmu. Nie miał swojego ulubionego utworu.

— Chciałbym nazwać ten klub imieniem Jima Fairchilda — powiedział Jim. — Celem tego klubu będzie pozbycie się Maszyn. Wykopanie ich stąd!

Maria i Dave zasiedli do partii szachów.

— Wiem, że możemy to zrobić — ciągnął Jim. — Oto mój plan: Kto wprowadził Maszyny? Rząd Stanów Zjednoczonych. Ale USA nie mają już żadnego rządu, prawda? A więc Maszyny są nielegalne.

— Masz rację — odpowiedziała mu Helena.

Lloyd dalej wybijał rytm nogą, chociaż Muzik nie grał już żadnej piosenki.

— Są bezprawne — zaperzył się Jim. — Powinniśmy je zabić!

— Ale jak? — zapytała Helena.

— Nie opracowałem jeszcze wszystkich szczegółów, musicie dać mi trochę czasu. Ale wiecie co, Maszyny są dla nas niedobre

— Dlaczego? — spytał Lloyd, jakby z oddali.

— Wszyscy byliśmy bystrzy i mieliśmy dobrą pracę. Dawno temu. A teraz stajemy się coraz głupszy, widzicie to?

— Zgadza się — odpowiedziała Helena, otwierając malutką buteleczkę lakieru i zabierając się do malowania paznokci u nóg.

— Myślę — rzekł Jim, rozglądając się po wszystkich — że Maszyny starają się przerobić nas na „muzułmanów”. Czy ktoś z was ma ochotę zostać wepchnięty do butelki? Co?

— Do butelki w butelce — poprawił go Dave, nie podnosząc wzroku znad gry.

Jim kontynuował:

— Uważam, że Maszyny kierują nami, abyśmy stali się „muzułmanami”. Albo może mają jakieś

promieniowanie, które nas ogłupia. Może rentgenowskie albo jakieś inne.

— Musimy coś zrobić — poparła go Helena, podziwiając swoją stopę.

Maria i Dave zaczęli kłócić się o zakres ruchów pionka szachowego.

Lloyd cały czas stukał nogą o podłogę dla zabicia czasu.

A.D.1989

Jimmy miał dobry pomysł, ale nikt nie chciał go słuchać. Pamiętał, że kiedyś, jak był maciupęnkim chłopczykiem, była sobie Jajkowa Maszyna, która wyciongała jajka ze skorupki i wkładkowała je w plastikowe — rzeczy. To było strasznie śmieszne, jak ta Maszyna to robiła. Jimmy nie wiedział, co w tym było takiego zabawnego, ale śmiał się bez końca, jak tylko sobie o tym pomyślał. Och, te głupie, głupiutkie jajka.

Mary miała pomysł, naprawdę świetny. Tylko że nie wiedziała, jak to powiedzieć, więc wzięła kredkę i narysowała Taaki duży obrazek o Maszynach: Mamusia Maszyna i Tatusz Maszyna i wszystkie te Malutkie Dzijdziusie Maszynki.

Loy–Loy mówił do siebie. Budował domek z klocków.

— Teraz wkładam drzwi — mówił — a teraz małe—małe okienko. Ale dlaczego — dlaczego okienko jest mniejsze od domu? Nie wiem. To jest komin, a to jest Ga–ganek i otwiera się drzwi — a gdzie są ci wszyscy Lu–ludzie? Nie wiem.

Helena miała drewniany młotek i wbijała wszystkie kołki w domek. Bam, bam, bam!

— Raz, dwa, trzy — wołała. — Bum, bum, bum!

Davie wyciągnął wszystkie figury szachowe i ustawił je w dwóch rzędach naprzeciw siebie. Chciał zrobić trzy rzędy, ale jakoś mu nie wychodziło, co doprowadziło go do furii. Zaczął głośno płakać.

Wtedy przyszła jedna z Maszyn i włożyła mu coś do buzi, a potem wszyscy chcieli też coś takiego dostać. Ktoś zaczął krzyczeć, aż pojawiło się więcej Maszyn i...

Do MEDCENTRALI dotarła zakodowana informacja. Wyleczono ostatnich pięcioro anormalnych i udało się zredukować ich wszystkie funkcje fizyczne i psychiczne do poziomu normy. Odpowiednie dane na ich temat zostały przekazane do ZASOBÓW MACICZNYCH, gdzie zapisano pod datą dzień 1, rok 1989, godzina 400 GMT. MEDCENTRALA potwierdziła ustawienie czasu, a następnie samoistnie się wyłączyła.

Tłum. Ewa Joss–Wichman

Posłowie:

Opowiadanie to przedstawia jeden z wariantów sytuacji, którą lubię nazywać „straszłą utopią”. Świat pozbawiony zła ukazał już wcześniej Ionesco w swojej sztuce „Łysa sopranistka” i w pewnym sensie opierałem się na jego koncepcji. Staralem się pokazać świat bez bólu. W obu sytuacjach dochodzi do tych samych paradoksów, bowiem bez zła lub bólu tracą znaczenie nasze upodobania i wybory, których dokonujemy. Osobowość rozmywa się, liczby przestają cokolwiek znaczyć, a myślenie staje się zbędne i zanika. Wierzę, że są to nieuniknione efekty osiągnięcia Utopii, jeśli błędnie przyjmiemy, że słowo to oznacza stan doskonałego szczęścia. Istnieje przecież ośrodek szczęścia w głowie każdego z nas i wystarczy tylko umieścić tam elektrodę, a wszyscy powinniśmy znaleźć się w stanie nieustannego, idealnego szczęścia za cenę prądu o wartości paru groszy dziennie.

Z jakiej zatem materii powinniśmy utkać naszą Utopię, jeśli nie ze szczęścia? Może z unikania bólu? Doskonałej ochrony przed chorobami, wypadkami i katastrofami żywiołowymi? Uzyskanie tego może nastąpić tylko kosztem utraty kontaktu z naszym środowiskiem, co w końcu doprowadzi nas do zagubienia istoty człowieczeństwa. Staniemy się „odrealnieni”, w obu znaczeniach frazy Eliota: pozbawieni czucia i nieprawdziwi.

Treść tego opowiadania może się niektórym wydać taka właśnie: hipotetyczna i odrealniona. Przypominam tylko, że dziesiątki firm elektronicznych opracowują stale nowe urządzenia diagnozujące nasze choroby i już niedługo lekarze będą polegać w swoich rozpoznaniach prawie wyłącznie na ocenie maszyn. Nie ma żadnego powodu, aby mieli się zatrzymać na tym etapie, a nie przekazać leczenia w „ręce” urządzeń mechanicznych.

Jeśli zdecydujemy o skonstruowaniu maszyn, które będą nas leczyć, to musimy zdawać sobie sprawę z własnych oczekiwań i z władzy, jaką im oddajemy. W mojej opowieści świat znieczulony zostaje powołany do życia za pośrednictwem pewnego rodzaju dżina, Niewolnika Przycisku. Jest to dżin biorący swoje rozkazy wyjątkowo dosłownie, który da nam *dokładnie* to, o co poprosimy, ani mniej, ani więcej. Norbert Wiener zwrócił uwagę na podobieństwa między dosłownym zachowaniem maszyn, a spełnianiem życzeń przez magiczne stworzenia w bajkach, mitach, opowieściach o duchach, a nawet współczesnych dowcipach.

Semele myślała, że Jowisz będzie się z nią kochał tak jak z boginią — co okazało się piorunem. Uczeń czarnoksiężnika sądził, że jego pracę będzie od tej pory wykonywał magiczny pomocnik. Wells opisał historię pewnego niezbyt rozgarniętego urzędnika, który nagle zatrzymał Ziemię w jej obrotach. Z jednej strony mamy zatem horrory, jak „The Dancing Partner” lub „The Monkey’s Paw”, zaś z drugiej dowcip Lennie’go Bruce’a o aptekarzu, który zostawił swoją aptekę pod opieką dżina. Pierwszy klient poprosił o napój rozgrzewający, używając następujących słów: „Zrób mi go całego z czekolady”.

Jeżeli naprawdę pragnie się żyć w świecie, gdzie każdy będzie zdrowy, bezpieczny i wolny od bólu, to trzeba przygotować się na utratę naszej indywidualności. Użycie każdego narzędzia niesie ze sobą zmniejszenie wolności danej jednostki, co zauważył Freud w swojej rozprawie „Cywilizacja i jej zagrożenia”. Od kiedy człowiek zaczął posługiwać się pierwszym, najprostszym rodzajem topora,

stracił swobodę wspinania się lub chodzenia na czterech kończynach, lecz, co ważniejsze — utracił wolność *nie* używania topora. Zabrano nam obecnie wolny wybór — nie możemy nie posługiwać się komputerami. Problem polega teraz nie na tym, czy damy im władzę nad nami, ale jak dużo będzie tej władzy, jakiego będzie rodzaju i jak szybko będziemy im ją przekazywać.

Pewien profesor na Uniwersytecie w Minnesocie opowiedział mi kiedyś, co mu się przytrafiło, gdy nie nadążał z wystawianiem ocen semestralnych. Sekretarka z wydziału dzwoniła do niego nieustannie, pytając czy już może podać im swoje oceny. W końcu do profesora zadzwonił urzędnik z sekcji administracyjnej. Dowiadując się, że oceny wciąż jeszcze nie są wystawione, jęknął z rozpaczą: „Ależ panie profesorze, maszyny czekają!”.

I tak jest w istocie.

Wprowadzenie do „Spotkania z wieśniakiem”:

Kiedy po raz pierwszy ujrzałem Jonathana Branda, wypoczywał na małym, trawiastym pagórku w Milford w stanie Pensylwania, w traperkach, z plecakiem i scyzorykiem o sześciu ostrzach przy pasku. Na jego błękitnej koszuli widniała odznaka członkowska Amerykańskiego Towarzystwa Leśników lub czegoś podobnego. Leżał tam sobie, podparty na łokciu, żując źdźbło trawy i przyglądając się grupce starszych, bardziej doświadczonych tuzów literatury fantastyczno–naukowej, upijających się ogromnymi ilościami piwa na trawniku przed domem Damona Knighta. Jonathan Brand był rozbawiony tą sytuacją.

Dobre wychowanie nie pozwala mi na wyjaśnienie, czemu Jim Blish, Ted Thomas, Damon i Gordy Dickson rozrabiali w tak mało dostojnym stylu. Nie pozwala mi na to nie tylko wrodzona uprzejmość, ale także podejrzenie, że to właśnie ta niewinność właściwa dzieciom i osobom żyjącym w zgodzie z naturą jest źródłem natchnienia dla ich znakomitego pisarstwa.

Jon przybył do Milford na 11. Doroczną Konferencję Pisarzy Science Fiction. Był to tydzień spędzony na dyskusjach, odczytach i warsztatach, na których członkowie naszego bractwa dzielili się swoimi pomysłami, sprzedawali cenne informacje i wymieniali się mokrymi koszulami, co miało przyczynić się do zdobycia większego mistrzostwa w wybranej profesji.

Jon wywarł dość duże wrażenie na uczestnikach tej konferencji. Dzięki swojemu dowcipowi, dobrej znajomości gatunku, a przede wszystkim z uwagi na prace, które przedłożył do recenzji w trakcie warsztatów, wniósł cenny wkład do naszego spotkania. Przedłożył swoje opowiadanie, aby stało się przedmiotem dyskusji uczestników — co jest czynem bardzo zbliżonym do popełnienia harakiri. Zostało ono przeczytane przez wszystkich pisarzy obecnych na zjeździe i poddane ostrej krytyce, zawsze tak jest. Trudno oczekiwać, aby obnażone id i ujawnione preferencje zgromadzenia najbardziej utytułowanych fantastów lały balsam na twórczą duszę początkującego pisarza lub też przekonywały go, że jego powołaniem wcale nie jest praca *na* budowie. Jednak Jon wypadł całkiem niezłe ze swoim opowiadaniem. Pochwały były szczere, a ilość zastrzeżeń stosunkowo niewielka. Z tego też powodu poprosiłem Jona, czy mógłbym kupić ten kawałek do antologii. Zrobił tylko kilka drobnych poprawek i oto mamy go tutaj.

Jonathan Brand przyznaje, że już trochę za długo jest studentem ostatniego roku w Carnegie Tech. Mieszka samotnie, w każdy powszedni dzień chodzi do szkoły, latem zaszywa się w swojej kryjówce, nie ma telefonu, uwielbia tramwaje, nie znosi rozmawiać lub słuchać, lubi czytać i pisać, odmawia podania swojego wieku, stanu cywilnego, pochodzenia lub jakiegokolwiek innej cholernej informacji, która by dodała trochę smaku temu wprowadzeniu. Mogę więc tylko oznajmić, że Jonathan Brand napisał do mojej książki bardzo śmieszne, trochę dziwaczne, obrazoburcze i niewątpliwie niebezpieczne opowiadanie.

Jonathan Brand
Encounter With A Hick

Spotkanie z wieśniakiem

Skąd mam wiedzieć, dlaczego temu wiejskiemu prostakowi odbiło? Był stary. I prosty. Był ostatnim wieśniakiem w swoim rodzaju. Nie odbiłoby wam? Ale mam zamiar pomóc mojej lokalnej policji i zeznać pod przysięgą, jaki był przebieg rozmowy, która poprzedziła rozsypanie się tego włochatego patriarchy. Któż może wiedzieć, post hoc, ergo propter hoc?

Dobrze, dobrze, już jestem poważny. Jeśli sądzicie, że sobie żartuję, to popatrzcie na moje dyplomy i karty kredytowe. Mam licencjat, magisterium i z dziesięć doktoratów, mój tatko działa na wielu planetach, na których jest masa uniwersytetów. Dlatego też znalazłem się na tej niezwykle modnej konferencji noszącej nazwę Kolokwium Światowych Akademii Nauk, która odbywa się właśnie tu, na waszej malowniczej planecie. Górnym Północno-Zachodnim Oktancie.

Nie nazwałbym się raczej typem naukowca. Bardziej interesuje mnie improwizacja i doświadczenia z prochami, ale dobrze się czuję w środowisku akademików. Ci jajogłowi wymieniają wszystkie te tytuły, mówię wam, jednym tchem, Wasza Dostojność, Generale, Sire i tym podobne, nie dają się ująć w żadne karby, nie uznają przecinków, co pozbawia tekst sensu, ale ten rytm i struktura, i równowaga! Dokładnie to samo, co składa się na walkę judo, już nie mówiąc o improwizacji i seksie, stanowiących kluczowe elementy potoku życia.

Co to ma znaczyć — „do rzeczy”? Staram się nakreślić dla was zarys, czy też szerszą panoramę tej sceny z jajogłowymi, w której zanurzone było to nasze spotkanie międzyludzkie, to znaczy moje i mojej dziewczyny Patsy oraz tego starego wsioka, z brodą złożoną w 100% w z ludzkich włosów. Więc w trójkę piliśmy w barze „Continuum” w hotelu Trans-Port, gdzie odbywała się wyżej wzmiankowana konferencja. Tak, wiem, że to już wiecie. Wasza Czcigodność, Szefie i/lub Sędzio Pokoju.

Czy chcecie teraz dowiedzieć się czegoś o Patsy? Problem z Patsy jest taki, że jej ojciec jest bardzo bogaty, a w dodatku zajmuje się budownictwem, jak mój tatko, no i tych dwóch panów zawzięło się, żeby stworzyć dynastię. Aż się palą do przytulania, kołysania i odbijania małego dziedzica z kręconymi włoskami, więc wysłali mnie i Patsy na tę wycieczkę. Intryga dość przejrzysta, nasza znajomość ma dojrzeć i przekształcić się w miłość. Kura stanęła przed jajem, cha, cha, cha. Przestań się pocić, Szeryfie, Prawniku, Rewolwerowcu, nie potrząsaj długim ramieniem prawa, już przechodzę do rzeczy. Byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby wam nie odbijało, jedno odbicie dziennie to dla mnie aż zanadto.

No dobra, jeśli z wami naprawdę wszystko w porządku, to przestańcie się wiercić, a ja przejdę do przywołania w całej rozciągłości dokładnie tej rozmowy, po której stary, zwariowany wieśniak przekroczył punkt krytyczny, to znaczy rzucił się na podłogę i zaczął gryźć dywan, jednocześnie tocząc pianę z ust i szlochając. Zaczęło się tak, że podszedł do mnie w barze i przedstawił się. Widzę przyjazną twarz, więc się nie odsuwam. Skąd mam pamiętać, jak się nazywał ten wsiok? Jakiś doktor coś-tam. Zdaje się, że ten stary należał do śmietanki intelektualistów na swojej planecie, do ścisłej czołówki, to znaczy był najlepszy w teologii, muzyce, chirurgii, polityce, może też w improwizacji i seksie, nie pamiętam. Z tego co gada, wynika, że jego planeta jest całkiem dziewicza, wiecie, co

mam na myśli. Ich główny produkt eksportowy to szklane paciorki i maty z wikliny. Ale wszyscy się jednak zebrali, zrobili zrzutkę kredytów, baby dały swoje złote kolczyki do przetopienia, żeby wysłać tego starego na Kolokwium. Zauważcie, jestem pełen szacunku dla tego chwalebego pragnienia, aby profesor z uniwersytetu w Zadupkowie pojechał na Kolokwium. Trzeba przyznać, że to duży wyczyn, jak na Zadupkowo.

Gadamy więc tak sobie, całkiem przyjemnie, ja stawiam kolejne drinki. Widząc, że zna się na teologii, a nie staram się wywyższać nad prostaczków z ludu, mówię do niego „Chciałbym poczuć trochę prawdziwego strachu i współczucia, przypomnij mi jeden z waszych niewątpliwie pięknych, starych mitów”. Temu staremu, zgrzybiałemu muzykowi/księdzu/chirurgowi bardzo to się podoba i zaczyna od Mitu Stworzenia, o którym muszę powiedzieć (bo miałem w przeszłości parę szkoleń na ten temat, cha, cha, cha, szkoleń w „Przeszłości”), że jest jednym z najpiękniejszych. Facet jest w połowie recytowania szlachetnych strof, uświęconych przez wieki, przekazywanych ustnie przez pokolenia ślepych bardów i tak dalej, gdy nagle zaczynam mieć przeczucie, że jego planeta to jedna ze zbudowanych przez firmę mojego ojca!

Mamy więc niezły zbieg okoliczności. Nie zastanawiając się zbyt w swoim młodzieńczym entuzjazmie, wyciągam ulotkę reklamującą przedsiębiorstwo mojego taty, które jako pierwsze wdrożyło proces Przyspieszonej Ewolucji Fotosyntetycznej. Skrótowo wam objaśnię, że jest to proces pozwalający na stworzenie nadającej się do zamieszkania planety ze wszystkiego, co jest w pobliżu i mieści się w tym dobrym przedziale temperatur, w której typy antropoidalne mogą sobie spacerować bez ciuchów, co w gruncie rzeczy jest najważniejszą rzeczą na takiej planecie, zupełnie jak prochy, seks, a nawet improwizacja. Sam proces twórczy jest podłączony do obrotów danej planety, czyli najpierw trzeba ją wprowadzić w ruch, potem pracować zawsze po stronie słonecznej, bo ta robota wymaga dwóch czy trzech miliardów miliardów miliardów ergów, które są miarą energii. Więc w sumie jest sześć kompletnych etapów, a całą rzecz można zakończyć do weekendu, ale w ciągu każdego obrotu planety trzeba objechać cały jej obwód. Cała rzecz jest nieźle przyspieszona. Nie pogubiliście się jeszcze? Boja sam nie do końca to rozumiem, muszę przyznać, że nie bardzo łapię wszystkie szczegóły, ale to wszystko jest w naszej ulotce. Pierwszego dnia przywozi się sprzęt, drugiego ustawia obroty, trzeciego kładzie się solidne podłoże, czwartego nawozi ziemię, wodę i zarodki plazmy, o, tu jest cała sztuczka, bo pracując w tym systemie Przyspieszonej Ewolucji Fotosyntetycznej hoduje się przyspieszone cykle form życia, a czwartego dnia są to rośliny lądowe, piątego ustala się klimat, a szóstego rozsiewa się życie po oceanach i tworzy zwierzęta.

Nie ma co gadać, to całkiem fajna praca, wszystko robi się tanio i szybko, proszę, oto nasza wizytówka, gdybyście kiedyś chcieli zrobić sobie jakąś planetkę, nie wahajcie się nas poprosić. Na wierzchu zostaje całkiem niezła, żyzna i pulchna gleba (dorzucamy *fi gratis!*), a jedyny kłopot, że czasami wykopuje się produkty uboczne tej Przyspieszonej Ewolucji, różne skamieniałe kości i takie tam, ale nie ma z tym większego problemu. Wracając do tematu, szóstego dnia całość jest gotowa do zasiedlenia, a więc przywozi się tam faceta i laskę, robi się małą ceremonię i już są na swoim. Oni tam dalej działają w temacie płodności, ale wiecie, każdy człowiek sam sobie daje z tym radę, to ich przyrodzona cecha.

Dobra, dobra, nie poganiajcie mnie. Na czym skończyłem? Aha, kiedy już opowiedziałem to wszystko temu siwemu, staremu filozofowi/księdzu/chirurgowi widzę, że jakoś nie jest tak zadowolony, jak oczekiwałem. Wydaje mi się, że wyraźnie nieco nadszarpnąłem jego bezcenne kulturowe dziedzictwo, chociaż nie miałem złych intencji, jestem tu w końcu tylko przejazdem. Szczerze mówiąc, ten stary grzyb jest teraz bez wątplenia wściekły, to znaczy znacznie bardziej wkurzony, niż wy tutaj. Robi się cały czerwony na twarzy i aż się trzęsie. A weźcie pod uwagę, że

włał w siebie siedem czy osiem kumysów i V8, które mu stawiałem, a zatem ten myśliciel, pomarszczony doktor/filozof/bard jest teraz nabuzowany jak słoń. Mam wrażenie, że na jego czole pojawia się mrugający neon „Na żywo”, a potem wstaje, celuje we mnie swoim wykrzywionym, starym, pokrytym odciskami palcem i przemawia — postaram się teraz oddać jego dostojny i szczerzy sposób mówienia:

„Przepasaj wraz swe lędźwie jak mężczyzna. Ja żądam od ciebie, panie, abyś zdał przede mną sprawę z tego, co rzekłeś” (widzicie, zamierzam odtworzyć jego barwny, staromodny język, pochodzący z czasów, gdy wszyscy tam nosili wełniane opaski. Powiniennem to zapisać, miałbym niezły materiał.) „Przez kogo zostały stworzone wszystkie rzeczy w niebiesiech? Bezmiar świetlistych gwiazd, bezkres niebios i wody, co leżą ponad nimi — kto rozkazał, ażeby były stworzone? Kto rozmieścił gwiazdy na firmamencie niebieskim, aby przyświecały Ziemi? Niech ten, kto mówi plugawe rzeczy, teraz na to odpowie.”

Słowa te były pełne natchnienia, dobrze dobrane i wygłoszone z wielkim przekonaniem (pod tym względem staremu burakowi niczego nie brakowało, zwłaszcza biorąc pod uwagę tę jego brodę), ale niestety przypadkiem były też jego ostatnimi słowami, bo wkrótce potem odpalił.

Uspokój się, Żandarmie/Polizei/Gwardzisto, nie denerwuj się, nie ukrywam ani jednego słówka ani tytułu, ja naprawdę nie mam pojęcia, jaka dokładnie rzecz go tak wkurzyła. Jedyne co mogę zrobić, to opowiedzieć wam dokładnie, co zrobiłem tuż przed jego widowiskowym i nieszczęśliwym załamaniem.

— Pytanie bardzo dobre i na miejscu, doktoru, i cieszę się, że je zadałeś — odpowiadam i odwracam się na chwilę od tego zniedołężniałego polityko–księdzo–chirurgo–rolnika. Zaczynam przeszukiwać bezdenne głębie leżącej na barze torebki Patsy.

— Czego tam szukasz, ty draniu — warczy Patsy, której udaje się kopnąć mnie w kostkę lewym butem.

Chyba wam już mówiłem, że tatuś Patsy ma tyle pieniędzy, ile inni ludzie zmartwień, czyli dość znaczne ilości. Mój tata też jest bogaty, pracuje w dziale nieruchomości, posiada na własność ponad dwieście galaktyk i jest szefem lokalnych władz w nich wszystkich, a więc jest niezłe nadziany, ale tata Patsy jest naprawdę, naprawdę bogaty. Prowadzi cały ten proces Nieustannej Kreacji, którą sam opatentował i teraz przynosi mu to krociowe zyski, prawdziwe zarabianie na tworzeniu czegoś z niczego. No dobra, a teraz powiem wam słowo w słowo, co powiedziałem, zanim ten stary mistyk odstawił swoje znakomite przedstawienie, tupiąc nogami, waląc się z barowego stołka i spalając się na podłodze w Armageddonie koktajlowych parasolek.

Odwracam się więc do Patsy, mojej gorącej, zagniewanej dupeczki i mówię:

— Spoko, Eskimosku. Daj poszukać w swojej torebce. Nie słyszałaś, że nasz nowy przyjaciel chciałby zobaczyć zdjęcie twojego taty?

Tłum. Ewa Joss–Wachman

Posłowie:

Wierzę w Jezusa, Thoreau i Mao Tse-tunga — ale nie w Boga. Staram się jednak przykładać taką samą wagę do tego ostatniego, jak do trzech pierwszych. Moje opowiadanie skupia się na oczywistym błędnym założeniu w dyskusji o stworzeniu. W rozważaniach tych przyjmuje się, że istnieje związek między stwórcą wszechświata a źródłem etyki i zbawienia. Tok rozumowania, w którym stwórca musi być moralnie wyższy od człowieka, jest tak samo naiwny, jak gdyby się uważało, że budowniczy drapaczy chmur jest lepszy od stolarza, tylko z uwagi na większą skalę jego dzieł.

Wracając na ziemię: muszę podziękować Konferencji Pisarzy Science Fiction, która odbyła się w Milford w 1966 roku, bez której to opowiadanie nie znalazłoby się w tym miejscu, ani też nie byłoby całkiem takie samo.

Wprowadzenie do „Wytycznych rządowych”:

Nieprędko można zapomnieć znakomite opowiadania Krisa Neville'a, jak „Bettyann” czy „Special Delivery”. Napisane zostały ponad piętnaście lat temu, a do dziś ukazują się w antologiach najlepszych w swoim gatunku. Kris Neville to serdeczny człowiek o trudnym do umiejscowienia, południowym akcencie. Sam twierdzi, że to akcent z Missouri, ale przysięgłbyś, że brzmi jak teksański. Kris Neville jest kimś, o kim na obwolutach książek piszą, że „żyje pełnią życia”. Co oznacza, że nie marnuje ani minuty w swoim życiu. Potrafi bez przerwy rozmawiać na dowolny temat, potrafi zwalić pod stół dowolnych trzech pisarzy science fiction przy kieliszku (może za wyjątkiem George'a O. Smitha) i udaje mu się znaleźć świeże spojrzenie na tematy ogólnie uznane za wyeksploatowane. Jednym z przykładów jest to właśnie opowiadanie, przysłane pod wpływem komentarza niniejszego wydawcy, że w „Niebezpiecznych Wizjach” brakuje dobrego kawałka na temat edukacji.

Kris Neville (czy znacie równie doskonale nazwisko dla pisarza? To znaczy, gdybyście mieli do wyboru nazywać się Bernard Malamut czy Louis Auchincloss, czy nie wybralibyście raczej Krisa Neville?) urodził się w 1925 roku w Kartaginie w stanie Missouri. W czasie II Wojny Światowej służył w armii amerykańskiej. W 1952 roku ukończył studia na wydziale filologii angielskiej na UCLA. Pierwsze opowiadanie science fiction opublikował w 1949 („The Hand from the Stars” w *Super Science Stories*), a od tego czasu wydano jakieś 50 kolejnych. Niektóre były rzeczywiście jakieś (to znaczy dziwne).

Przez 11 lat Kris zajmował się badaniami żywic epoksydowych. To jest coś, co w naszym fachu nazywa się twardym stąpaniem po ziemi. Wybacz, Kris.

Opublikował dwie książki na ten temat wraz z Henrym Lee, wydane przez McGraw Hill, z których jedna (w cenie 32,50\$, gdybyście potrzebowali czegoś na temat żywic) to masywne dzieło, będące kompletnym opracowaniem tego zagadnienia. Napisał również, wraz z doktorami Lee i Stauffey, książkę o nowych polimerach termoplastycznych, która ma się ukazać w tym roku. Brał udział w licznych sympozjach, pomógł w opracowywaniu kilku encyklopedii, jest również właścicielem patentu, „który pozwala osiągać siedmiocyfrowe zyski w interesach”. Jego ostatnia praca w przemyśle polegała na nadzorowaniu programu dotyczącego badań i wdrażania nowych technologii. Jedną z bardziej interesujących gałęzi tych badań był kontrakt dla Narodowego Instytutu Zdrowia, obejmujący zastosowanie materiałów plastycznych w stomatologii.

Kris jest autorem powieści science fiction *The unearth people*, a od początku 1966 roku jest pełnoetatowym pisarzem. Mieszka z żoną i dziećmi w Los Angeles.

Kris Neville
From the Government Printing Office

Wytyczne rządowe

Z punktu widzenia trzy i pół latka, fakt noszenia okularów przez dorosłych jest całkiem logiczny, muszą przecież trzymać w ciepłe swoje gałki oczne. Zimne oczy to jedna z wielu przypadłości dorosłych, równie niezrozumiała jak wszystkie inne.

Dorośli zawsze zbyt głośno mówią. Huk ponaddzwiękowca zamiast szeptu. Małe uszka słyszą ruch drobin powietrza w nocy, kiedy nasłuchują, czy coś się nie wydarzy.

Dorośli żyją zbyt szybko. Nawyk zastępuje im myślenie. Naciskanie przycisków. Słuchanie. Otwieranie szuflady. Jeden z tych dużych drani robi to naprawdę bezmyślnie i nic go nie obchodzi, co jest w środku. Szuka czegoś konkretnego, a potem zamyka szufladę, nie wiedząc, co w niej jest. Natomiast małe rączki, oczy zaglądające nad jej krawędzią, widzą dziwny mały świat we wnętrzu szuflady. Życia nie wystarczy, aby zbadać jej zawartość. Uwaga, bacność! Jest coś, co wygląda jak klucz, ale ogromny! Ojej! Jaką ogromną rzecz można nim otworzyć? Niesamowite! Nikt jeszcze nie widział czegoś tak dużego. Gdzie oni to trzymają?

A tu coś naprawdę ciekawego: zupełnie nie wiadomo, do czego może służyć. Ma ruchome części, ale nic nie robi i nie ma żadnej wtyczki, którą można by to było włączyć. Założę się, że zostało zrobione przez króliki. Przecież kurczaki robią jajka.

Wynocha z tej szuflady! Zostaw to!

Już przysła. Wiedziałem, za dobrze było, aby mogło trwać dłużej. Co jej szkodzi? A jak się zapytam, co to jest, to po prostu mnie zlekceważy. Naciskanie przycisków. Słuchanie. Gadanie bzdur. Może sobie pójdzie. Zaraz, a to co takiego? Wygląda interesująco. Do czego też to może...

Wyłaż stamtąd!

A, niech tam! Spróbuję z nią podyskutować. Może uda się wciągnąć ją w rozmowę.

Tam cukierek.

Nie ma tam żadnych cukierków.

A skąd ona może o tym wiedzieć? Nie ma cukierków, akurat! Dobry Boże, wystarczy tylko spojrzeć na te wszystkie rzeczy, które tam są. Jakie ona ma prawo mówić, że nie ma tam cukierków, skoro nawet nie zajrzała do środka. To przecież nie jest jej szuflada, tylko Taty.

A do czego to służy?

To nie jest cukierek. Odłóż to.

Nie udało się. Czasami udaje się do nich dotrzeć mówiąc o cukierkach. Najczęściej, tak jak teraz, są zupełnie bezmyślni. Zacznę płakać. Zacznę cicho, bo może mi to zająć sporo czasu. Na początek małe chlip, chlip, łaa. Źle się po tym czuję, ale nie można dać się ponieść emocjom. Zbyt szybko bym się wypalił. Być może będę musiał tak ciągnąć przez dłuższy czas, więc trzeba zaczynać pomału i po troszeczku. Będzie czekała, żeby sprawdzić, czy robię to na poważnie. Nie jest to takie trudne, jeśli człowiek się nie spieszy. Ale jak się już rozkręcę, to samo idzie dalej. Można zamknąć oczy i słuchać — miłe dźwięki, zupełnie jak piosenka. Ładny głos, duże zróżnicowanie tonacji — w górę i w dół. Mógłbym tak ciągnąć cały dzień.

W wieku trzech i pół roku jest się na świecie już od zawsze, a to życie nie było dobre, ani trochę.

Wszystko zawsze było zbyt duże. Ciężkie, niewygodne w noszeniu. Można się nieźle zmęczyć! Każda rzecz w złym rozmiarze. Ci dookoła są duzi i głupi, nie można z nimi porozmawiać o niczym ważnym. Kogo obchodzi, jak się robi dzieci? Ale chciałbym popatrzeć, a na to nie pozwalają. Leżę więc sobie po cichu i czekam, czekam w milczeniu, podczas gdy oni szepczą, głośno jak odrzutowiec:

Czy już śpi?

Zamykam oczy i czekam jeszcze trochę. Może boją się, że będę się z nich śmiał, muszą głupio wyglądać.

Ale pomału staję się coraz sprytniejszy. Nie mogą się o tym dowiedzieć. Mają swoją specjalną książkę. Czasem jednak robią rzeczy bez książki, tak jak przed chwilą z tą szufladą. Nie są złośliwi, zazwyczaj po prostu głupi.

Najgorzej jest, jak spiskują z tą książką. Robią wtedy okropne rzeczy. Jak te tortury z uczeniem mnie korzystania z toalety, kiedy chcieli mnie spuścić razem z wodą. Tak mi się wydawało. Byłem pewien, że to zrobią i strasznie się bałem. Ale miałem szczęście i coś im nie wyszło, w końcu tego nie zrobili. Myślę, że powinienem być im za to wdzięczny, przecież przeżyłem. Cały czas nie wiem, dlaczego mnie nie spuścili w tej toalecie, bo naprawdę mieli taki zamiar.

Były jeszcze gorsze rzeczy. Te sztuczki, które ze mną wyczyniają w nocy. Wprost nie do wiary. Raz tak mnie przestawili, że nie mogłem w ogóle spać, tylko leżałem w łóżku całą noc. Musiałem wtedy spać w dzień. Teraz jest lepiej, udaje mi się złapać więcej snu. Pytałem innych dzieciaków na placu zabaw. Udaje nam się porozmawiać. Mamy swój język, gdzie kilka słów wystarczy, żeby wszystko przekazać. Znamy więcej słów, niż udaje nam się wypowiedzieć, więc te, które mamy, muszą się nieźle napracować. Ich rodzice też mają te specjalne książki.

Cały czas boję się, że coś zrobią z moim penisem. Oblewam się zimnym potem na samą myśl. Dlatego tak bardzo się boję nocy. To jeden z powodów.

Zanim się postarzałem, próbowałem się z nimi zaprzyjaźnić. Jeden jedyny raz chciałem wejść do nich do łóżka. Ale założyli ten system alarmowy, tak kazali w książce, albo było to w wytycznych, które przyniósł listonosz. Tak sobie myślę. A ten alarm włączył się, wydając całą masę różnych dźwięków, błyskając światłami i sprawiając, że poczułem się bardzo nieswojo. Stałem tam, złapany w pułapkę świateł i syren, cały odsłonięty na podłodze w połowie drogi do ich łóżka. Wtedy po prostu zsiusiałem się na dywan.

Jezu Chryste! Jest druga rano! — to właśnie powiedział. Ja stałem tam, przerażony jak nigdy dotąd, mrużąc oczy przed tymi światłami, a on potrafił tylko wygłosić tak idiotyczne stwierdzenie.

Spraw, żeby poczuł się winny — odezwała się ona — Tak każą w poradniku.

Jesteś kupą gówna! — wrzasnął na mnie.

Chyba rzeczywiście jestem. Musi być jakiś powód, dla którego chcą mi obciąć penisa. Słyszałem kiedyś, jak mówili, że cała prawdziwa edukacja zachodzi przed ukończeniem czwartego roku życia. W tym wieku charakter jest już ukształtowany. Mam nadzieję, że mi się uda. Przede mną jeszcze taka długa droga, och, jak jeszcze dużo czasu. Ale może naprawdę mi się uda, nawet jeśli będę na skraju wyczerpania nerwowego.

No i co, nie mam zbyt dużego poczucia własnej wartości. Mogło być gorzej.

Jest takie miejsce, które nazywa się Indie. Można je obejrzeć w wiadomościach. Bałem się, że chcą mnie tam wysłać. Nie wiem, dlaczego tak mi się wydawało, ale naprawdę się bałem. To był kolejny powód, dla którego nie mogłem spać w nocy. Jednego dnia spróbowałem nic nie jeść przez cały dzień, żeby zobaczyć, czy dam radę, ale nie udało mi się. Ale oni też nie dają rady i umierają. Właśnie teraz kilka milionów umiera z głodu. Nie wiem dokładnie, ile to jest, ale więcej niż

dziesięć.

Ale najwidoczniej nigdy nie zamierzali wysłać mnie do Indii.

Ani do Chin.

Ani też do miejsca zwanego Ameryką Południową.

A tu gdzie mieszkam, ludzie nie umierają z głodu. Poza slumsami, ale to co innego. Cokolwiek to są slumsy. A więc przynajmniej oszczędzono mi takiego losu. Mogło być gorzej.

W wiadomościach można obejrzeć duże maszyny, które robią duże stosy z ludzi, siusiają na nie, a potem podpalają.

Mamo, dlaczego palą tych ludzi?

Cii! To zbyt straszne. Mnożą się jak muchy, a później nie mogą się wyżywić.

Jak rozmnażają się muchy? O co jej chodziło? Ale uważam, że powinni mi pozwolić oglądać ten program. Muszę upewnić się, że nie będą mnożyć się jak muchy, cokolwiek to znaczy, żeby mogli nadal móc się wyżywić. Mógłbym sam ich karmić, gdyby do tego doszło. Czasami zastanawiam się nad hinduskimi dziećmi. Nigdy o nich nie mówią. Może tam nie ma dzieci.

Te muchy jakoś do tego pasują, chociaż w niezbyt jasny sposób. Zeszłego lata mieliśmy duży problem z muchami. Mama powiedziała, że za wolno palili tych ludzi i zrobiła się światowa plaga much. Pamiętam, jak się bali, że nie mogą ich powstrzymać. Wszyscy zajmowali się tylko zabijaniem much! I cały czas pokazywali to wszystko w wiadomościach.

W końcu cała sprawa zrobiła się nudna. W gruncie rzeczy, większość wiadomości po pewnym czasie przestaje być interesująca. Zmieniają miejsca, ale zawsze są te duże maszyny spychające ludzi na stosy i podpalające je. Bardziej podoba mi się nasz program kosmiczny. Mamy kolonię na Marsie.

Musimy ją mieć.

Z jakiegoś powodu.

Większość ludzi chodzi gdzieś codziennie, tak jak Tata, gdzie oklaskują ten program. Nigdy nie widziałem, jak to wygląda, ale chyba tak jak na meczu futbolowym. Nazywają to pracą. Płacą mu za to pieniądze, żeby Mama mogła wypisywać czek, którymi spłaca karty kredytowe. Chyba muszą wiedzieć, co robią.

Już niedługo ich rozgryzę. Od czasu do czasu wydaje mi się, że już rozumiem.

Sądzę, że mają gdzieś maszynę, która produkuje czas, albo może to jest taka prasa, która go drukuje, tak jak książkę. Nigdy jednak o tym nie wspomnieli. Może najpierw muszę się dowiedzieć, jak robią elektryczność. Mówią ciągle, że już niedługo zaczną się uczyć o takich rzeczach.

Naprawdę trzeba bardzo się starać, aby rozgryźć tych drani. Nie pytajcie, dlaczego. Po prostu trzeba to zrobić. Nie można nic na nich poradzić, dalej będą pomiatać tobą po kątach. To się nazywa kształtowaniem osobowości, jak mówią. Ale trzeba wciąż próbować i nie wolno stracić nadziei. Raz na jakiś czas, wprawdzie bardzo rzadko, udaje się wciągnąć ich w rozmowę. Niestety, zwykle na temat cukierków. Ale w ten sposób zaczyna się lubić cukierki, a to już coś. Czasem wydaje mi się, że cukierki to najważniejsza rzecz na świecie.

Ale gdyby tylko na chwilę przystopowali i zastanowili się, tak raz na jakiś czas. Byłoby znacznie lepiej, jeśli by tak zwolnili i porozmawiali z tobą. Ale oni zawsze się spieszą. Oto przykład. Włączyłem jakieś urządzenie elektroniczne w piwnicy. Mamy tam elektroniczny usuwacz brudu. Włożyłem do niego moją pościel. Prześcieradła, koce, poduszkę. Wiecie, jak się namęczyłem! Znieść to wszystko z dwóch pięter po krętych schodach! Po drodze rzeczy wypadały mi z rąk, musiałem je zbierać, starając się nie hałasować. Było naprawdę wcześniej, cały dom był cichy, wszyscy spali.

Włączyło się! Pięknie!

Nie zatrzymało się jednak, jak to robi przy Mamie. Słyszałem, jak pościel zaczyna się drzeć.

Trach, trach, trach. Lepiej im o tym powiem.

Poszedłem do ich pokoju. Jeszcze śpią. Na paluszkach podszedłem do Mamy, może znieśie to lepiej od Taty.

Bam! Wpadłem na tę głupią nową moskitierę, chroniącą przed muchami. Niedawno ją założyli i zupełnie o niej zapomniałem. Potwornie się przeraziłem i zacząłem płakać. Tata usiadł w łóżku i wrzeszczy:

Ty głupi gówniarzu!

Która godzina? — pyta Mama.

Nie rozumiem, o co im chodzi z tym czasem, ale mówię jej o pościeli.

Mój Boże!

Zupełnie nadzy wyskoczyli z łóżka i popędzili na dół, wchodząc sobie nawzajem w drogę.

Truchtam za nimi. To spory wysiłek, jak się jest małym chłopcem, który stara się spieszyć, schodząc po dużych stopniach. Trzeba bardzo uważać, żeby nie spaść.

Tata wyłączył maszynę.

Mało brakowało, pół domu mogło wylecieć w powietrze.

Ty kupo gnoju! — wrzeszczy na mnie Mama.

Zamknij się, Hazel, to poważna sprawa. Dzieciak mógł się zabić.

Dostałem wtedy długi wykład, tam na dole o tym, jak bardzo niebezpieczne są współczesne urządzenia. Chciałem, żeby mi pokazali, jak się to prawidłowo włącza, żebym drugi raz czegoś nie popsuł. Nie, po prostu nie ruszaj tego! Jak się mam uczyć, jeśli nigdy na nic mi nie pozwalają? Jak myślą, po co w ogóle zniosłem na dół tę pościel?

Mama odezwała się,

Najpierw musimy ukształtować twoją osobowość. Trzeba ją odpowiednio ustawić, abyś w dorosłym życiu był takim mężczyzną, jakim tylko zechcesz być. Później zaczniesz chodzić do szkoły, gdzie będziesz uczył się różnych rzeczy. Pójdziesz do szkoły, jak skończysz cztery lata. A teraz masz tylko trzy i pół!

Czy zdajecie sobie sprawę, jak długo ma się tylko trzy i pół roku? Przez całą wieczność. Czas wcale się nie posuwa do przodu. Coś się chyba zepsuło z tą ich prasą do produkcji czasu, a oni o tym nie wiedzą.

Jakim człowiekiem chcę zostać?

Kraj potrzebuje naukowców — odparł Tata.

Zamówimy kurs rządowy na temat: jak wychować naukowca. Uczą na nim, jak kształtować odpowiednie osobowości. Ludzi ciekawych wszystkiego, którzy chcą dowiedzieć się, jak coś działa — którzy muszą zawsze wiedzieć, bo inaczej są nieszczęśliwi. To dobra osobowość. A teraz przestań majstrować przy tej elektronice, bo w końcu się zabijesz.

A więc będę naukowcem. Nie wiem, jakie były inne możliwości, ale zdaje się, że już za późno na wybór. Mogło być gorzej, przynajmniej tak się pocieszam. Mogli na przykład wysłać mnie do Indii.

My, dzieci na placu zabaw, ciągle mówimy o dorosłych. Kiedyś byli tacy jak my, ale coś im się stało i zapomnieli, jak się myśli.

Pewnie to samo stanie się ze mną. Urosnę duży, tak jak oni, i też nie będę nic pamiętał. Już teraz nie mogę sobie przypomnieć wielu rzeczy. Był taki czas, tak dawno temu, że już prawie nie pamiętam, kiedy Mama i Tata kochali mnie. To było na samym początku. Ale myślę sobie, że to też było napisane w tej ich książce. Wtedy było przyjemniej, ale tyle już zapomniałem. Więc tak samo zapomnę całą resztę. Bo przecież jeszcze nie jestem sobą, dopiero mnie kształtują.

Teraz dużo myślę o tych ludziach w Indiach. Nie wiem, dlaczego. Wydaje się, że rozsądnie by

było posadzić ich przy stole i nakarmić. Myślę, że dobrze byłoby tak zrobić. Ale gdy zacznę się interesować, jak działają różne rzeczy, to pewnie przestanę tak myśleć. I chyba zapomnę o tym wszystkim.

Cały czas stoję tu, płacząc, przy otwartej szufladzie, wypełnionej światem dziwnych rzeczy. W końcu udało mi się przebić jej kurtynę obojętności.

O co ci chodzi?

Teraz jest za późno, żeby sprawdzać, czy w szufladzie naprawdę jest ten cukierek. Zawsze był. Nigdy nie spędziłaby ze mną tyle czasu, żeby przeszukać te wszystkie ciekawe rzeczy. Teraz już jest za późno, aby dowiedzieć się, do czego służy ta rzecz, dla której najwyraźniej nie ma żadnego zastosowania. Za długo płakałem. Teraz jest mi żal samego siebie i nie mogę przestać płakać.

Czego ty chcesz?

Chcę zacząć zapominać. Na przykład te rzeczy, które robią mi w nocy, żeby ukształtować moją osobowość. Nie uwierzycie, jak bardzo chciałbym o tym zapomnieć. A przede mną jeszcze tyle czasu, tak niewyobrażalnie długo. Czasem wydaje mi się, że nie wytrzymam. Muszę zacząć się spieszyć i w końcu zapomnieć.

Chcę się pospieszyć i mieć już cztery lata!

Tłum. Ewa Joss–Wichman

Posłowie:

W „Wytycznych rządowych” starałem się nakreślić świat przyszłości, w którym wychowanie dzieci polega na zasiewaniu przerażenia w ich sercach, aby wyprodukować osobniki bardziej twórcze. Być może nie różni się to zbyt od tego, co zawsze robiliśmy dzieciom, opowiadając im przerażające historie o wiedźmach i goblinach, złych duchach i groźnym piekle. Uważam, że dzieci są naszym najważniejszym produktem, z którym trzeba obchodzić się trochę lepiej. W każdym razie wystarczy tylko posłuchać tego, co mówią dzieci, aby usłyszeć historie przyszłości.

Wprowadzenie do „Kraju wielkich koni”:

Wyjrzyjcie przez okno. Co widzicie? Gang bijący się na rogu, małolatów okładających się po twarzach otwieraczami do butelek; faceta ostrzającego nożyczki przy kolorowym wózku z dzwięczącymi dzwoneczkami; pękatą kobietę w kretonowej sukni, zbyt krótkiej jak na jej grube nogi, zajęta gracowaniem trawnika; pożar i dzieci uwięzione na piątym piętrze; wściekłego psa przywiązanego do nogi sprzedawcy literatury Adwentystów Dnia Siódmego; zbliżające się zamieszki na tle rasowym z przedstawicielem Królewskiej Akademii Muzycznej na ciężarówce z megafonem. Widzicie jedną z tych scen, czy wszystkie? Nie trzeba wyjątkowego zmysłu obserwacji, żeby skatalogować to, co na pozór nie daje się sklasyfikować. Ale spójrzcie jeszcze raz. Co widzicie? Co zwykle widzicie? Pustą ulicę. A teraz katalog:

Krawężniki, bez których samochody wjeżdżałyby na trawniki przed domem. Skrzynki pocztowe, bez których kontakt ze światem byłby ograniczony. Słupy telefoniczne i przewody, bez których łączność wyhamowałaby z wizgiem. Rynsztoki, kratki ściekowe, pokrywy wjazdów do kanalizacji, bez której zalałaby was deszcz. Asfalt, bez którego samochód nie przetrwałby miesiąca jazdy po tłuczniu. Wiatr, bez którego, cóż, dzień byłby niepełny. Czym są te rzeczy? Są oczywiście. Tak oczywiście, że stają się niewidzialne. Ile hydrantów i skrzynek pocztowych minęliście dnia dzisiejszego? Wcale? Raczej niemożliwe. Minęliście ich tuziny, tylko ich nie widzieliście. Są niewiarygodnie cennymi, absolutnie niezbędnymi, kompletnie ignorowanymi produktami sprawnie funkcjonującego społeczeństwa.

Fikcja spekulatywna jest małym społeczeństwem. Ma swoich oczywistych, rzucających się w oczy mieszkańców. Knight, Sheekley, Sturgeon, Bradbury, Clarke, Vonnegut. Widzimy ich i zauważamy, i wiemy, co robią. Ale społeczeństwo nie funkcjonowałoby w jednej tysięcznej tak sprawnie, jak funkcjonuje, bez cichych pisarzy, tych, którzy ciągiem piszą opowiadanie za opowiadaniem, i to nie byle jakie, naprawdę doskonałe. Z rodzaju takich, które wciągają i o których myślisz, a po przeczytaniu mówisz: „To była *dobra* historia.” I z miejsca zapominasz, kto ją napisał. Zdarza się, że przypominasz ją sobie później. „Och, tak, pamiętam to opowiadanie o...”, a potem marszczysz czoło i mówisz, „Do licha, jak nazywa się facet, który je napisał? Ma w dorobku masę rzeczy, wiesz, całkiem niezły pisarz...”

Problemem jest kwestia kumulacji. Każda historia jest wysmienita, pojedynczo. Ale jakoś nigdy nie tworzy całości, wizerunku pisarza, kariery w perspektywie. To smutna, lecz oczywista prawda o miejscu R. A. Lafferty’ego w fikcji spekulatywnej.

Lafferty jest człowiekiem realnie istniejącym, pisarzem najwyższych lotów. Pisze od... ilu lat? Więcej niż sześciu, ale mniej niż piętnastu? Mniej więcej. Jego nazwisko rzadko pada na spotkaniach fanów, którzy zbierają się, by dyskutować o Pisarzach, choć jego prace wiele razy ukazywały się w antologiach, między innymi w *Year’s Best SF* Judith Merril przy kilku okazjach, oraz dwa razy w *World’s Best* Carra–Wollheima. I choć drukował niemal we wszystkich magazynach science fiction. Jest niewidzialnym człowiekiem.

Tutaj krzywda zostanie naprawiona. Raphael Aloysius Lafferty pojawi się, przemówi, zdeklaruje się, a potem przeczytacie jego kolejne nadzwyczajne opowiadanie. I niech was licho, tym razem pamiętajcie!

Lafferty mówi: „Jestem, niekoniecznie w tej kolejności, pięćdziesięciodziesięcioletnim kawalerem, inżynierem elektrykiem, grubasem.

Urodziłem się w Iowa, przyjechałem do Oklahoma w wieku czterech lat i z wyjątkiem kilku lat spędzonych w wojsku mieszkam tu przez całe życie. Aha, jeden rok pracowałem w służbie państwowej w Waszyngtonie. Dawno temu przez parę lat studiowałem wieczorowo na uniwersytecie w Tulsa, głównie matematykę i niemiecki. Przez prawie trzydzieści lat pracowałem dla hurtowników sprzętu elektrycznego, głównie jako nabywca i człowiek od ofert cenowych. W czasie drugiej wojny światowej stacjonowałem w Teksasie, Północnej Karolinie, na Florydzie, w Kalifornii, Australii, Nowej Gwinei, Morotai (Holenderskie Indie Wschodnie, obecnie Indonezja) i na Filipinach. Byłem dobrym sierżantem i swego czasu mówiłem całkiem niezłe *pasar* malajskim i tagalskim (z Filipin).

Co można powiedzieć o sobie? Nigdy to, co najważniejsze. Przez parę lat dużo piłem i jakieś sześć lat temu zerwałem z nałogiem. Powstała luka: kiedy rezygnuje się z towarzystwa co bardziej interesujących pijaków, rezygnuje się z czegoś barwnego i fantastycznego. Wypełniłem więc tę lukę pisaniem science fiction. Coś, co przeczytałem w jednym z magazynów literackich, podsunęło mi głupi pomysł, że pisanie tego typu literatury będzie łatwe. Wcale nie jest łatwe, nie dla mnie. Nie wychowałem się na tym gatunku, co jak się zdaje jest regułą w przypadku większości pisarzy.

Moim hobby jest język. Każdy język. Mam co najmniej tysiąc dolarów w samouczkach gramatyki, podręcznikach dla początkujących, słownikach oraz kursach Linguaphone i Corinaphone. Daję sobie radę z czytaniem we wszystkich językach z rodziny łacińskiej, niemieckiej i słowiańskiej oraz z irlandzkim i greką, ale swobodnie i w niezłym tempie czytam tylko po hiszpańsku, francusku i niemiecku. Jestem katolikiem z niemodnego, czyli konserwatywnego rodzaju. Co do polityki, jestem jedynym członkiem Amerykańskiej Partii Centrowej, której doktrynę pewnego dnia zaprezentuję w satyrycznej powieści utopijnej. Jestem nałogowym spacerowiczem: puścić mnie luzem w obcym mieście, a w ciągu tygodnia poznam na piechotę każdy zaułek. Nie uważam się za zbyt interesującego faceta.”

Ostatni komentarz wydawcy: Lafferty jest mniej więcej tak interesujący jak jego opowiadania. Co mówi samo za siebie. Gdyby doszło do rozprawy sądowej, poniższe opowiadanie, jedno z moich szczególnie ulubionych w tej antologii, stanowiłoby dowód przeciwko twierdzeniu Lafferty’ego, że jest nudziarzem.

Raphael Aloysius Lafferty
Land of The Great Horses

Kraj wielkich koni

„Przyszli i zabrali nam nasz kraj” zawsze mówili ludzie. Ale nikt ich nie rozumiał.

Dwaj Anglicy, Richard Rockwell i Seruno Smith, teleпали się w terenówce przez pustynią Thar. Okolica była niegościnna, ziemia czerwona, więcej skał niż piasku. Wyglądało to tak, jakby powierzchnia została zdarta i ukazało się nagie podłoże.

Usłyszeli grzmot i to ich zaskoczyło. Popatrzyli jeden na drugiego, jasnowłosy Rockwell i ciemnowłosy Smith. Między New Delhi i Bahawalpur nigdy nie grzmiało. Do licha, skąd grzmot na bezdeszczowej pustyni w Północnych Indiach?

— Wjedźmy na wyższy teren — powiedział Rockwell i skręcił pod górę. — Tu nigdy nie pada, ale kiedyś już ulewa złapała mnie w dolinie w kraju, gdzie nigdy nie padało. Niemal utonąłem.

Znów zagrzmiało, głośno i przeciągle, jakby dając im do zrozumienia, że słuch ich nie myli.

— Ta dolinka nazywa się Kuti Tavidavi, Mała Rzeka — powiedział Smith ponuro. — Ciekaw jestem, dlaczego.

Drgnął gwałtownie, jakby przestraszony.

— Rockwell, czemu to powiedziałem? Widzę ją pierwszy raz w życiu. Skąd mi przyszła do głowy ta nazwa? Ale ta płytka dolinka stałaby się małą rzeką, gdyby kiedykolwiek spadł tutaj deszcz. Tu nie występują znaczące opady. Nie ma wzniesienia dość wysokiego, by zatrzymać płynące górą wilgotne powietrze.

— Zastanawiam się nad tym za każdym razem, gdy tu jestem — powiedział Rockwell i wzniosł ręce w kierunku rozmigotanej wyżyny, Kraju Wielkich Koni, słynnego mirażu. — Gdyby te szczyty naprawdę tam były, mogłyby zatrzymać wilgoć. Wyrosłaby bujna sawanna.

Byli poszukiwaczami minerałów przeprowadzającymi drobiazgowo rozpoznanie naziemne na terenach, które wyglądały obiecująco na zdjęciach lotniczych. Kłopot z pustynią Thar polegał na tym, że występowało tu wszystko — ołów, cynk, antymon, miedź, cyna, boksyty — w minimalnych ilościach. Eksploatacja znanych złóż była nieopłacalna, ale pustynia kusila obietnicą.

Błyskawica rozbłysła nad wyniosłością mirażu. Nigdy dotąd czegoś takiego nie widzieli. Wyżyna zachmurzyła się i obniżyła. Grzmot przewalał się falami, a przecież nie istnieje coś takiego, jak miraż dźwięku.

— Albo jest tam bardzo wielki i bardzo załatany ptak, albo to deszcz — powiedział Rockwell.

Zaczęło padać, delikatnie, ale jednostajnie. Popołudnie miało przyjemnie, gdy jechali mila za milą. Deszcz na pustyni zawsze jest niespodziewaną premią.

Smith zaczął śpiewać w jednym z języków północnych Indii. Rockwell nie rozumiał słów, ale rytm sugerował rubaszną treść piosenki. Była pełna podwójnych rymów i słów złożonych z samogłosek, jakie może wymyślić dziecko.

— Do diabła, skąd tak dobrze znasz te języki? — zapytał Rockwell. — Dla mnie są trudne, choć mam porządne przygotowanie lingwistyczne.

— Nie musiałem się ich uczyć — odparł Smith. — Po prostu przypominałem je sobie. Wszystkie skupiają się wokół tego samego *boro jib*.

— Wokół czego? Ile znasz języków?

— Wszystkie. Nazywają je Siedem Sióstr: pendzabski, kaszmirski, gudżarati, marathi, sindhi, hindi.

— Wymieniłeś tylko sześć — zauważył Rockwell.

— Powiadają, że szósta siostra uciekła z handlarzem koni. Ale ciągle można spotkać ją tu i ówdzie na świecie.

Często zatrzymywali się, żeby przeprowadzić pieszy rekonesans. Dla mineralogów sam kolor strumieni jest znaczący, a w tym kraju widzieli wodę po raz pierwszy. Niespiesznie, na pieszo i samochodem, pokonali parę błotnistych mil.

W pewnym momencie Rockwell sapnął i niemal spadł z terenówki. Ujrzał obok siebie zupełnie obcą osobę i to nim wstrząsnęło.

Potem zobaczył, że to przecież Smith, taki jak zawsze. Został omamiony przez iluzję. A niedługo później zaskoczyło go coś innego.

— Coś jest tutaj nie w porządku — powiedział.

— Coś jest tutaj jak najbardziej w porządku — odparł Smith, a potem zaczął śpiewać następną piosenkę w jakimś języku Indii.

— Zgubiliśmy się — Rockwell na głos wyraził swoje obawy. — Deszcz nie pozwala ocenić odległości, ale tutaj teren nie powinien się podnosić. Nie ma tego na mapie.

— Oczywiście, że jest — zaśpiewał Smith. — To Jalo Char.

— Co? Skąd wytrzasnąłeś tę nazwę? Mapa jest tu pusta i kraj powinien być taki sam.

— W takim razie mapa jest niedokładna. Człowieku, to najpiękniejsza dolina na świecie! Doprowadzi nas na samą górę. Jakim cudem mapa o niej zapomniała? Jak my mogliśmy tak długo o niej nie pamiętać?

— Smith! Co się z tobą dzieje? Wyglądasz na wstawionego.

— Wszystko w porządku, mówię ci. Odrodziłem się minutę temu. To powrót do domu.

— Smith! Jedziemy po zielonej trawie! — Uwielbiam ją. Mógłbym szczypać ją jak koń.

— To urwisko, Smith! Nie powinno być tak blisko! To część mira...

— Ależ, panie, to Lolo Trusul.

— Nie jest prawdziwe! Nie ma go na żadnej mapie topograficznej!

— Na mapie, panie? Jestem biednym *kalo*, który nie zna się na takich rzeczach.

— Smith! Jesteś kwalifikowanym kartografem!

— Nie wydaje mi się, bym parał się rzemiosłem o takiej nazwie. Ale urwisko jest prawdziwe. Wspinałem się na nie w dzieciństwie, w moim innym dzieciństwie. A tamże, panie, jest Drapengoro Rez — Trawiasta Góra. Ten wysoki płaskowyż przed nami, na który zaczynamy się wspinać, to Diz Boro Grai — Kraj Wielkich Koni.

Rockwell zatrzymał terenówkę i wyskoczył. Smith podążył za nim, nieprzytomny ze szczęścia.

— Smith, kompletnie ci odbiło! — sapnął Rockwell. — A co ze mną? Nie wiem jak, ale się zgubiliśmy. Smith, spójrz na rejestrator i wysokościomierz!

— Log chart, panie? Jestem biednym *kalo*, który nie wiedziałby...

— Niech cię cholera, Smith, ty zbudowałeś te instrumenty. Jeśli nie kłamiasz, jesteśmy siedemset stóp za wysoko i od dziesięciu mil wspinamy się na wyżynę, która najwyraźniej stanowi część mirażu. Tych urwisk nie powinno tu być. Nas nie powinno tu być. Smith!

Ale Seruno Smith już kłusował jak szalony.

— Smith, dokąd pędzisz? Nie słyszysz mnie?

— Do mnie pan woła? — zapytał Smith. — Takim imieniem?

— Czy obaj zwariowaliście jak ta kraina? — jęknął Rockwell.

— Pracujemy razem od trzech lat. Nie nazywasz się Smith?

— Ależ tak, panie, chyba można przetłumaczyć moje imię jako Horse-Smith lub Black-Smith, lecz nazywam się Pettalangro i idę do domu.

I człowiek, który był Smithem, ruszył na piechotę do Kraju Wielkich Koni.

— Smith, wsiadam do samochodu i wracam — zawołał Rockwell.

— Boję się jak cholera tej krainy, która się zmienia. Kiedy miraż się zestala, czas brać nogi za pas. Chodź tu zaraz! Przed świtem będziemy w Bikaner. Jest tam lekarz i knajpa. Przyda się jedno bądź drugie.

— Dziękuję, panie, ale muszę iść do domu — wyśpiewał Smith.

— Miło z waszej strony, że mnie podrzuciliście.

— Zostawiam cię, Smith. Jeden wariat jest lepszy od dwóch.

— *Ashava, Sarishan* — zawołał Smith na pożegnanie.

— Smith, wyjaśnij mi ostatnią rzecz — zawołał Rockwell, próbując znaleźć odrobinę sensu w tym szaleństwie. — Jak nazywa się siódma siostra?

— Romani — zaśpiewał Smith i odszedł na wysoki płaskowyż, który zawsze był mirażem.

W pokoju na piętrze na Olive Street w St. Louis w stanie Missouri, mieszana para rozmawiała w mieszanym języku.

— *Rez ma riser* — powiedział mężczyzna. — Mogę *sung* to jak *brishindo*. Musimy *jal*.

— Zgoda — odparła żona — jeśli jesteś *awa*.

— Do diabła, założę się, że mogę *riker* mnóstwo *bano* na *beda*, które tu mamy. Będę musiał *kakko* iść *kinna sam*.

— Z małym *bachi* możemy *jal areat*.

— *Nashiva*, kobieto, *nashiva*!

— W porządku — odparła żona i zaczęła pakować walizki.

W Camargo w stanie Chihuahua w Meksyku mechanik sprzedał swój warsztat pod gołym niebem za sto pesos i kazał żonie spakować dobytek — wyjeżdżali.

— Teraz, gdy interesy idą tak dobrze? — zapytała.

— Mam tylko jeden samochód do naprawy i nie mogę go zreperować — odparł mężczyzna.

— Ale jeśli przetrzymasz go dość długo, facet zapłaci ci za złożenie grata do kupy nawet wtedy, gdy nie będzie na chodzie. Tak jak zrobiłeś ostatnim razem. I masz konia do podkucia.

— Martwię się o tego konia. Ale wraca. Idziemy.

— Jesteś pewien, że trafimy?

— Jasne, nie jestem pewien. Pojedziemy wozem, nasz chory koń go pociągnie.

— Czemu wozem, kiedy mamy coś w rodzaju samochodu?

— Nie wiem, czemu. Ale pojedziemy wozem i przybijemy starą, wielką podkowę na progu.

Karuzelarz w Nebrasce podniósł głowę i wciągnął powietrze nosem.

— Wraca — powiedział. — Zawsze wiedziałem, że będziemy wiedzieć. Są tu jacyś inni Romowie?

— Czuję mały *rart* — odparł jeden z jego kumpli. — Tak czy siak, ten *narvelengoro dives* jest dziadowskim wesołym miasteczkiem. Powiemy szefowi, żeby zwinął swój *chev* i odejdziemy.

W Tulsa, sprzedawca używanych samochodów, niejaki Cygan Red, ogłosił najbardziej okazałą wyprzedaż w okolicy.

— Wszystko za darmo! Odchodzę. Zabierać papiery i wyjeżdżać. Dziewięć nowych rzeczy i trzydzieści porządnych. Wszystko za frajer.

— Myślisz, że upadliśmy na głowę? — pytali ludzie. — W rym tkwi jakiś haczyk.

Red położył na ziemi dokumenty wszystkich wozów i przycisnął je cegłą. Wsiadł do najgorszego gruchota i odjechał na zawsze.

— Wszystko za darmo — śpiewał za kierownicą. — Zabierać papiery i fury.

Nadal tam stoją. Myślicie, że ludzie upadli na głowę, by nabrać się na coś, w czym prawdopodobnie tkwi jakiś haczyk?

W Galveston barmanka o imieniu Margaret pytała marynarzy ze statku handlowego, jak najlepiej dostać się do Karaczi.

— Czemu do Karaczi? — zapytał jeden.

— Pomyślałam, że to najbliższy wielki port — odparła. — Wraca, wiecie.

— Poczulem rano, że wraca. Sam jestem *chał*. Pewnie, znajdziemy coś w tamtą stronę.

W tysiącach miejsc fawney—mężczyźni i dukkerin—kobiety, kakki—baskros i hegedusies, klauni i domokrażcy, hrabiowie Condomu i książęta Małego Egiptu *parvel'd* swoje drobiazgi i szykowali się do ruszenia w drogę.

Samotni i całe rodziny podjęli nagłe decyzje we wszystkich krajach. *Athinganoi* zgromadzili się w górach nad Salonikami w Grecji wraz ze swoimi braćmi z Serbii, Albanii i Rodopów w Bułgarii. *Zingari* z północnych Włoch zebrali się wokół Pawii i ruszyli w kierunku Genui, by tam wsiąść na statek. *Boemios* z Portugalii ściągnęli do Porto i Lizbony. *Gitanos* z Andaluzji i całej południowej Hiszpanii przybyli do Sanlucar i Malagi. *Zigeuner* z Turynii i Hanoweru zwalili się tłumnie do Hamburga, by stamtąd ruszyć za ocean. *Gioboga* i ich kuzyni *Shelta* o mieszanej krwi z każdego *cnoc i coill* Irlandii wsiadali na statki w Dublinie, Limerick i Bantry.

Cyganie z głębi Europy lądem ruszyli na wschód. Ludzie płynęli z dwustu portów wszystkich kontynentów i jechali ponad tysiącem szlaków, wieloma z dawna zapomnianymi.

Balauros, Kalo, Manusch, Melelo, Cyganie, Moro, Romowie, Flamenco, Sinto, Cicara — podróżowały tysiące ludzi znanych pod wieloma imionami. Trwał *Romani Rai*.

Dwa miliony Cyganów z całego świata wracało do domu.

W Instytucie Gregory Smirnov rozmawiał z kolegami i współpracownikami.

— Pamiętacie tezę, którą przedstawiłem jakiś czas temu — powiedział — że przed nieco ponad tysiącem lat Zewnętrzni Goście zstąpili na Ziemię i zabrali z sobą płat powierzchni naszej planety? Wszyscy uznaliście, że to absurd, ale doszedłem do swoich wniosków na drodze drobiazgowej analizy izostatycznej i eustatycznej. Nie ma wątpliwości, że stało się to, co mówiłem.

— Zginął fragment powierzchni Ziemi — powiedział Aloysius Shiplap. — Przypuszczałeś, że miał około dziesięciu tysięcy mil kwadratowych i maksymalnie milę grubości. Powiedziałeś, że twoim zdaniem Zewnętrzni Goście chcieli przepuścić go przez swoje laboratoria jako próbkę. Masz jakieś nowe informacje o brakującym kawałku Ziemi?

— Zamykam dochodzenie — powiedział Gregory. — Zwrócili go.

To było naprawdę proste, *jekwasteskoro*, cygańsko proste. To *gadjo*, nie—Cyganie świata,

udzielają skomplikowanych odpowiedzi na proste pytania.

— Przyszli i zabrali nam nasz kraj — zawsze mówili Cyganie, i właśnie tak się stało.

Zewnętrzni Goście wsunęli pod spód cienki pas, zakołysali delikatnie plastrem Ziemi, żeby pozbyć się zdenerwowanej fauny, i zabrali go do zbadania. Dla oznaczenia tego miejsca zostawili niematerialną podobiznę, jak my czasami kładziemy kartki z nazwą czy zdjęciem, żeby było wiadomo, gdzie później odstawić jakiś przedmiot. Ludzie często widzieli jajako miraż.

Zewnętrzni Goście wszczepili też wizerunek tego wyżynnego kraju w umysły nadrzędnego gatunku, który uciekł z trzęsącej się ziemi. Ten instynkt powrotu do miejsca pochodzenia zakazywał osiedlania się na stałe, dopóki nie nadejdzie czas przeprowadzki; z instynktem tym spletały się pewne przeczucia, przewidywanie przyszłości, zdolność pojmowania.

Teraz Goście oddali plaster Ziemi i stara fauna wróciła.

— Co zrobisz ci... ach, wybac mi protekcyjny uśmiech... Zewnętrzni Goście? — zapytał Aloysius Shiplap w Instytucie.

— Zapewne wezmą do badań następny płat Ziemi, Aloysiusie — odparł Gregory Smirnov.

Umiarkowane wstrząsy kołysały okręgiem Los Angeles od trzech dni. Cały obszar został ewakuowany. Potem rozległ się gwizd z nieba, jakby mówiąc: „Wszyscy zeszli z pokładu.”

Potem powierzchnia, niezbyt gruba, została zabrana wraz ze wszystkim, co się na niej znajdowało. Znikła. I szybko popadła w zapomnienie.

Z ENCYKLOPEDII POWSZECHNEJ XXII WIEKU, tom I, str. 389:

ANGELENOWIE (Zob. Zmotoryzowani Cyganie i Kaliforniarze) Mieszana grupa etniczna nieznanego pochodzenia, mająca zamiłowanie do podróżowania samochodami. Przewiduje się, że Ange—lenowie będą ostatnimi użytkownikami tych pojazdów i na ich potrzeby nadal produkuje się kilka archaicznych chromowanych modeli. Angelenowie nie są żebrakami; wielu z nich cechuje wysoka inteligencja. Często prowadzą działalność gospodarczą, zwykle jako pośrednicy w handlu nieruchomościami, spekulanci, akwizytorzy, kierownicy kursów korespondencyjnych, organizatorzy różnego rodzaju imprez. Rzadko mieszkają długo w jednym miejscu.

Mają osobliwe rozrywki. Całymi godzinami i dniami jeżdżą po starych i rzadko używanych rozjazdach i autostradach. Według powszechnej opinii większość Angelenów zażywa narkotyki, ale Harold Freelove (który przez parę miesięcy żył jako Angeleno) wykazał, że to nieprawda. Tym, co wdychają na swoich imprezach (smog-party), jest czarny dym ze spalania węgla i ropy zmieszany z jednodlenkiem. Cel tych zabiegów nie jest jasny.

Religia Angelenów stanowi mieszaninę starych kultów z bardzo silnym pierwiastkiem eschatologicznym. Motyw rajy reprezentowany jest przez nawiązanie do mistycznego „Bulwaru Zachodzącego Słońca.” Angelenowie posługują się barwnym, soczystym żargonem. Ich relacja o własnym pochodzeniu jest niejasna:

„Przyszli i zabrali nam nasz *dizz*”, mówią.

Thum. Maria Gębicka-Frąć

Posłowie:

Wszyscy jesteśmy Kuzynami. Nie wierzę w reinkarnację, ale jedyny sprawiedliwy rodzaj reinkarnacji polegałby na kolejnym (albo czasami jednoczesnym) wcielaniu się każdej istoty w każdą inną istotę. Wymagałoby to paru miliardów żywotów; pisarz z uczuciem do Krewnych próbuje zrobić to w jednym wcieleniu.

Wszyscy jesteśmy Romami, jak w tej tutaj przypowieści, z wszczepionym instynktem powrotu i pamięcią o przytulniejszym i wspanialszym miejscu, o rzeczywistości, która występuje w postaci mirażu. Nie wiem, czy owo wspanialsze miejsce jest tu, tam czy gdzieś indziej, nie wiem, czy będzie naszym bezpośrednim światem, kiedy zostanie wystarczająco ożywione, ale intuicyjna wiedza o jego istnieniu czasami przenika całe społeczeństwo. Te rozmigotane wyżyny istnieją albo powinny istnieć, i należą do nas. Między nami jako jednostkami i jako członkami błyskotliwego gatunku istnieje diametralna różnica zdań w kwestii eschatologii. Wyraziłbym to bardziej mądrze, gdybym wiedział jak.

Ale napisałem opowiadanie nie w celu przedstawienia tego poglądu, tylko po to, by umieścić w nim pewne imię. Jest barmanka Margaret — nie ta występująca w opowiadaniu, oczywiście (musimy przestrzegać zasady „Wszelkie podobieństwo do rzeczywistych osób jest przypadkowe”), ale inna o tym samym imieniu — i jest Cyganką. „Umieść moje imię w opowiadaniu, wystarczy Margaret–barmanka — powiedziała. — Nie obchodzi mnie, kto będzie je nosić, może być nawet pies”. „Ale nie będziesz o tym wiedziała — odparłem — nic nie czytasz, podobnie jak wszyscy, z którymi się zadajesz”. „Będę wiedziała — zapewniła — gdy pewnego dnia przeczyta to ktoś inny, kiedy dojdzie do imienia Margaret. Wiem o takich rzeczach.”

Nie ode mnie, ale od kogoś, kto to czyta, Margaret odbierze wiadomość i obie strony będą o tym wiedzieć. „Hej, ten stary huncwot to zrobił” — powie Margaret. Nie wiem, co powie lub pomyśli zaskoczony czytelnik—nadawca.

Cieszę się, że jestem członkiem tej czcigodnej, choć czasami hultajskiej kompanii, występującej w niniejszym utworze. Tworzy atmosferę znakomitości, której część przeniesie się na mnie Jesteśmy, wszyscy, hrabiami Con–domu i książętami Małego Egiptu.

Wprowadzenie do „Rekognicji”:

Mam pewną teorię. Gwoli ścisłości, mam stodołę pełną teorii, ale jedna z nich dotyczy ludzi, którzy zostają przywódcami ruchów. Nie byłoby dla mnie niespodzianką, gdybym dowiedział się (dzięki odkryciu jakichś nowych zwojów znad Morza Martwego), że Jezus nagle obrócił się (jeśli można tak rzec) na krzyżu, popatrzył w dół i powiedział: „Do diabła, jak ja się w to wpakowałem?” Czy naprawdę myślał, że zostanie szefem wielkiego Ruchu? A Gandhi? Hitler? No, on może tak, ale czego tu się spodziewać po niewyrośniętym brzydkim pacykarzu? A Stokeley Carmichel? J. G. Ballard? Aha! No proszę!

Jim Ballard, który moim zdaniem pisze wyjątkowo ballardowskie historie — opowiadania trudne do sklasyfikowania pod względem stylu, tematyki czy podejścia, ale wszystkie bardzo osobiście opatrzone znakiem firmowym Ballarda — jest uznanym przywódcą „brytyjskiej szkoły science fiction”. Jestem pewien, że gdybyście powiedzieli to Ballardowi (nawiasem mówiąc, woli wymowę „Buh-lard”), popatrzyłby na was jak na wariatów. Z pewnością nie pisze jak przywódca ruchu, bo ruch generalnie obejmuje łatwo cytowane przykłady, szowinizm, oczywistość i silną dawkę przewidywalności. W pracy J. G. Ballarda tego nie uświadczycie.

Do jego głośnych książek należą: *Zatopiony świat*, *W pośpiechu do rajów*, *Terminal Beach*, *Ogrody czasu*, *Witaj Ameryko!*, *Billemium* i *The Crystal World*. Żadna z nich nie zawiera idei tak rewolucyjnych czy frapujących, by uzasadniały zaliczenie ich do „nowego ruchu”, lecz razem wzięwszy prezentują rodzaj wzbogaconej umiejętności pisania, mroczniejszego, a zarazem jakimś sposobem bardziej przejrzystego — może właściwe słowo to „przenikliwego” — podejścia do kwestii spekulatywnego pisarstwa. W twórczości Ballarda znajdujemy posmak surrealizmu. Nie, to też nie to. Jest ona, pod pewnymi względami, niezmiernie spokojna, jak niezmiernie spokojna jest orientalna filozofia. Zrezygnowana, a jednak pełna życia. Wydaje się, że rzeczywistość nakłada się na leżącą pod spodem czystą fantazję ballardowskiej koncepcji. Szczerze mówiąc, praca Ballarda opiera się kategoryzacji czy gruntownej analizie. Jest jak czterokolorowa litografia. Najpiękniejszy pejzaż Wyetha oglądany z coraz mniejszej odległości zacznie przypominać dzieło pointylisty, a w końcu zostanie zredukowany do chaotycznego skupiska kolorowych kropek. Tak samo jest z opowiadaniem Ballarda: poddane nieczulej, drobiazgowej, chłodnej analizie rozpadają się na niepowiązane części. W trakcie lektury, przyswajane na bieżąco, stanowią coś więcej niż sumę składowych.

Jedno z nich zaraz przeczytacie. Jest ono pierwszorzędnym przykładem najbardziej tajemniczego i zniewalającego stylu Ballarda. Mówi wszystko, co można powiedzieć o Ballardzie pisarzu. Co do Ballarda człowieka, informacje są lapidarne jak jego opowiadania: w czasie drugiej wojny światowej był internowany w japońskim obozie, w 1946 został repatriowany do Anglii, później studiował medycynę na uniwersytecie w Cambridge.

Jak stwierdzono gdzieś indziej w tej książce w odniesieniu do innej historii, nie mam pojęcia, czy to opowiadanie jest przykładem science fiction, fantasy, alegorii czy ostrzegawczej przypowieści.

Wiem na pewno, że jest ogromnie zajmujące, prowokujące do myślenia i doskonale pasuje do tego, co w 1963 powiedział Saul Bellow:

„...opowiadanie powinno być interesujące, bardzo interesujące, interesujące jak tylko możliwe — niewytłumaczalne absorbujące. Nie ma innego usprawiedliwienia dla istnienia każdego rodzaju beletrystyki.”

J. G. Ballard
The Recognition

Rekognicja

W noc świętojańską mały cyrk zajechał do niewielkiego miasta w West Country, gdzie spędzałem urlop. Trzy dni wcześniej wielki objazdowy lunapark z diabelskim młynem, karuzelami, tuzinami budek i strzelnic, zawsze latem goszczący w mieście, zajął swoje zwykłe miejsce na głównym placu, więc drugi przybysz musiał rozbić obóz na nieużytkach za magazynami nad rzeką.

O zmroku, gdy spacerowałem po mieście, koło diabelskiego młyna obracało się nad kolorowymi światłami, a ludzie jeździli na karuzelach i chodzili pod rękę po brukowanych ulicach wokół placu. Z dala od zgiełku, bliżej rzeki, ulice były prawie wyludnione. Z zadowoleniem szedłem przez cienie, mijając przysłonięte roletami sklepowe wystawy. Dla mnie noc świętojańska była czasem tyleż do świętowania, co do refleksji, uważnego obserwowania zmian w przyrodzie. Kiedy przekroczyłem rzekę, której ciemne wody wiły się przez miasto niczym złocony wąż, i wszedłem w las rosnący po jednej stronie drogi, opadło mnie niedwuznaczne wrażenie, że las się do czegoś przygotowuje i że nawet pod powierzchnią korzenie drzew prężą się w glebie i wypróbują swoje ścięgna.

W powrotnej drodze zobaczyłem z mostu, że do miasta zmierza mały wędrowny cyrk. Kawalkada, która boczną drogą zbliżała się do przeprawy, składała się nie więcej niż z pół tuzina wozów z wysokimi klatkami, ciągniętych przez pary zgębionych koni. Na czele, na siwym ogierze, jechała młoda kobieta o bladej twarzy i nagich ramionach. Oparłem się o balustradę pośrodku mostu i patrzyłem, jak zbliżają się do skarpy. Młoda kobieta zawahała się, ściągnęła ciężkie skórzane lejce i popatrzyła przez ramię na wozy, które zbiły się ciasniej. Wozy zaczęły wjeżdżać na most. Choć nachylenie było niewielkie, wydawało się, że konie chwiejące się na słabych nogach nie dadzą rady go pokonać. Dzięki temu miałem sporo czasu, żeby po raz pierwszy przyjrzeć się dziwnej karawanie, która później tak bardzo mnie zaabsorbowała.

Młoda kobieta — wówczas wydało mi się, że jest młoda, ale później przekonałem się, że jej wiek był kwestią jej i mojego nastroju — przynagliła steranego ogiera i minęła mnie. Widziałem ją przy paru okazjach — raz wyglądała niemal jak dwunastoletnia dziewczynka, z miękko zarysowanym podbródkiem, dużymi oczami i zapadniętymi policzkami, a kiedy indziej jak kobieta w średnim wieku, z siwymi włosami i skórą napiętą na kanciastej czaszce.

Z początku, gdy patrzyłem z mostu, oceniłem ją na około dwadzieścia lat i przypuszczałem, że jest córką właściciela tego podupadłego cyrku. Gdy truchtała z jedną ręką na wodzach, światła z dalekiego wesołego miasteczka przesuwwały się po jej twarzy, ujawniając wydatny nos i zdecydowane usta. Choć pod żadnym względem nie była piękna, cechował ją ten specyficzny powab, który często zauważałem u kobiet pracujących w wesołych miasteczkach, nieuchwytny sex appeal mimo wyświechtanych ubrań i nędznego otoczenia. Spojrzała na mnie, jej spokojne oczy skupiły się w jakimś niewiadomym punkcie wewnątrz mojej twarzy.

Sześć wozów jechało za nią, konie przeciągały ciężkie klatki przez garb mostu. Za kratami mignęło mi zdeптane siano i nieduża budka w kącie, ale zwierząt nie zobaczyłem. Założyłem, że są zbyt niedożywione, by robić coś więcej poza spaniem. Gdy mijał mnie ostatni wóz, zobaczyłem

drugiego członka trupy, karła w skórzanej kurtce, powożącego drewnianym wozem cyrkowym.

Ruszyłem za nimi przez most, zastanawiając się, czy są spóźnionymi przybyszami na trwający już festyn. Ale z wahania, jakie okazała kobieta za mostem, rozglądając się w prawo i w lewo, podczas gdy karzeł siedział zgarbiony w cieniu poprzedzającej go klatki, jasno wynikało, że nie są związani z błyszczącym diabelskim młynem i zabawą odbywającą się na placu. Nawet konie, stojące niepewnie z opuszczonymi łbami, unikające kolorowych świateł rażących je w oczy, wyglądały tak, jakby zdawały sobie sprawę, że są nieproszonymi gośćmi.

Po chwili pociągnęli wąską drogą wzdłuż brzegu, wozy kolebały się z boku na bok, drewniane koła ślizgały się po trawie. Niedaleko stąd rozciągały się nieużytki, oddzielające nadbrzeżne magazyny od szeregowców poniżej mostu. Nikły blask z jedynej latarni po północnej stronie sączył się na żuźlową nawierzchnię placu. Zmierch już zapadł nad miasteczkiem i odizolował od świata ten obskurny płachetek ziemi, ani trochę nie ożywiany przez ruch pobliskiej rzeki.

Karawana zmierzała w kierunku tego ciemnego bezludzia. Młoda kobieta zjechała z drogi i poprowadziła wozy przez żuźel pod wysoką ścianę pierwszego magazynu. Wozy zatrzymały się jeden za drugim, konie sprawiały wrażenie zadowolonych, że skrywa je mrok. Karzeł zeskoczył z kozła i podreptał do kobiety, która zsiadała z ogiera.

W tym czasie szedłem niespiesznie brzegiem rzeki kawałek za nimi. Zaintrygowało mnie coś w tej dziwnej małej trupie — patrząc z perspektywy czasu, być może było to chłodne spojrzenie, jakim kobieta obrzuciła mnie na moście, choć wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy. Tak czy inaczej, moje zainteresowanie wzbudził bezsens ich egzystencji. Niewiele rzeczy dorównuje bezbarwnością podupadłemu cyrkowi, ale ten tutaj był tak sfatygowany po podróży i tak ponury, że praktycznie nie mógł mieć szans bodaj na najlichszy zarobek. Kim była ta dziwna jasnowłosa kobieta i jej karzeł? Czy wyobrażali sobie, że ktoś naprawdę przyjdzie na ten żałosny płachetek ziemi przy magazynach, żeby popatrzeć na ich zakonspirowane zwierzęta? A może tylko prowadzili grupę leciwych podopiecznych do rzeźni specjalizującej się w uboju zwierząt cyrkowych i przystanęli tutaj na noc, by raniem ruszyć dalej.

Jak przewidywałem, młoda kobieta i karzeł już ustawiali wozy w sposób typowy dla cyrku. Kobieta ciągnęła za uzdy, podczas gdy karzeł plątał się jej pod nogami, smagając konie po pęcinach skórzanym kapeluszem. Potulne chabety ciągnęły swoje wozy i po pięciu minutach klatki utworzyły kanciasty krąg wokół żuźlowej areny. Karzeł i kobieta wyprzęgli konie i zaprowadzili je nad rzekę, gdzie znużone zwierzęta zaczęły cicho skubać spowitą mrokiem trawę.

W kłatkach coś się poruszyło i parę bladych kształtów zaszurało w sianie. Karzeł wbiegł po schodkach do wozu mieszkalnego i zapalił lampę nad piecem, który widziałem przez otwarte drzwi.

Wrócił z blaszanym wiadrem i ruszył w obchód od jednej klatki do drugiej. Nalewał wodę do poidel i miotłą popychał je w kierunku budek.

Kobieta szła za nim, ale podobnie jak on nie wykazywała cienia zainteresowania mieszkańcami klatek. Kiedy odstawił kubeł, przytrzymała mu drabinę, po której wspiał się na dach barakowozu. Opuścił stamtąd rolkę klepek połączonych pasem płótna. Rozwiązał je i zaniósł do klatek. Znów wspiał się po drabinie i zaczął mocować szyld nad kratami.

W nikłym blasku ulicznej latarni widziałem tylko spłowiałe desenie wymalowane przed laty w tradycyjnym jarmarcznym stylu, kwiaty i esy-floresy wokół napisów. Przybliżyłem się do klatek, stanąłem na skraju placu. Młoda kobieta odwróciła się i zobaczyła mnie. Karzeł mocował ostatni szyld, a ona stała przy drabinie z ręką na szczelbłu, patrząc na mnie nieruchomym wzrokiem. Może była to jej obronna poza, przybierana ilekroć mała postać znajdowała się wyżej od niej, ale wydawała się dużo starsza niż wtedy, gdy zjawiała się wraz ze swoją menażerią na przedmieściach

miasteczka W przyćmionym świetle jej włosy stały się niemal siwe, a nagie ramiona wydawały się pomarszczone i zniszczone od pracy. Gdy podszedłem bliżej, mijając pierwszą klatkę, odwróciła się i śledziła mnie wzrokiem, jakby starała się wykrzesać w sobie zainteresowanie moim zjawieniem się na scenie.

Coś zatrzepotało na czubku drabiny. Szyld wyśliznął się z palców karła, odbił od dachu i spadł na ziemię u stóp kobiety. Wymachując krótkimi rękami i nogami, karzeł zeskokczył z drabiny. Zakotłosał się jak bąk, odzyskując równowagę. Otrzepał kapelusz o cholewę i założył go na głowę, potem znów zaczął wspinać się na górę.

Kobieta złapała go za ramię. Przeszawiła drabinę kawałek dalej, próbując znaleźć najpewniejszy punkt oparcia o pręty klatki.

Impulsywnie, mniej lub bardziej wiedziony współczuciem, postąpiłem w ich stronę.

— Może pomóc? — zapytałem. — Może ja sięgnę na dach. Jeśli poda mi pan szyld...

Karzeł zawahał się, patrząc na mnie smutnymi oczami. Wydawało się, że jest gotów przyjąć moją pomoc, ale stał z kapeluszem w ręce, jakby niesprecyzowane okoliczności zabraniały mu odezwać się do mnie, jakby dzieliła nas bariera tak formalna i nieprzekraczalna jak granice między najbardziej sztywnymi kastami.

Za to kobieta ruchem ręki wskazała mi drabinę, odwracając twarz, gdy opierałem żerdzie o klatkę. W nikłym świetle patrzyła na konie szczypiące trawę na brzegu.

Wspiąłem się po drabinie i wziąłem szyld z rąk karła. Położyłem go na dachu, obciążając dwoma półcegłówkami, które leżały tam w tym celu i zerknąłem na napis wymalowany na spaczonych klepkach. Gdy odcyfrowałem słowa „cuda” i „spektakularne” (najwyraźniej tablice nie miały związku ze zwierzętami w klatkach; zapewne zostały skradzione z jakiegoś wesołego miasteczka lub znalezione na wysypisku), zauważyłem nagły ruch w klatce pode mną. Niskie, jasnoskóre stworzenie rozkopało siano i uciekło do swojej nory.

Poruszone siano — nie wiem, czy zwierzę podskoczyło ze strachu, czy w próbie odstraszenia mnie — wydało silny i mgliście znajomy zapach. Woń wisiała wokół mnie, gdy schodziłem po drabinie, przytłumiona, lekko odpychająca. Zajrzałem do budy, chcąc zobaczyć zwierzę, ale wejście zapchane było sianem.

Karzeł i kobieta skinęli głowami, gdy odwróciłem się od drabiny. Ich zachowanie nie zdradzało wrogości — prawdę mówiąc, karzeł był o krok od podziękowania mi za pomoc, jego usta poruszyły się w niemym skurczu — lecz wydawało się, że coś uniemożliwia im nawiązanie ze mną kontaktu. Kobieta stała tyłem do latarni i jej twarz, zmiękczonej przez ciemność, przypominała drobną, ledwo ukształtowaną buzię zaniedbanego dziecka.

— Jesteście gotowi — powiedziałem na wpół żartobliwie. Z pewnym wysiłkiem dodałem: — Wygląda bardzo ładnie.

Zerknąłem na klatki, gdy nie skomentowali. Parę zwierząt siedziało z tyłu swoich bud, ich blade kształty rysowały się niewyraźnie w półmroku.

— Kiedy otwieracie? — zapytałem. — Jutro?

— Już jest otwarte — powiedział karzeł.

— Teraz? — Niepewny, czy nie żartuje, chciałem wskazać ręką na klatki, ale oświadczenie najwyraźniej trzeba było przyjąć za dobrą monetę.

— Rozumiem... otwieracie dziś wieczorem. — Szukając czegoś do powiedzenia, bo ta para wyglądała tak, jakby mogła stać tutaj w nieskończoność, podjąłem: — Kiedy odjeżdżacie?

— Jutro — odparła kobieta cicho. — Musimy ruszyć jutro z samego rana.

Jakby jej słowa były sygnałem, oboje ruszyli przez małą arenę, zbierając na jedną stronę strzępy

gazet i inne śmieci. Nim odszedłem, skonsternowany charakterem tej całej oplakanej menażerii, skończyli sprzątać i stanęli między klatkami, czekając na pierwszych klientów. Przystanąłem na brzegu za pasącymi się szkapami, których milczące sylwetki wydawały się tak niematerialne jak postacie karła i ich pani, i zastanowiłem się, jaka pokrętna logika przywiodła ich do miasta, w którym na pełnych obrotach działał drugi lunapark, niewyobrażalnie większy i o niebo weselszy.

Na myśl o zwierzętach wspomniałem specyficzny zapach, który unosił się wokół klatek, trochę przykry, ale, czego byłem pewien, dobrze mi znany. Z jakiegoś powodu byłem również przekonany, że ten znajomy zapach jest kluczem do dziwnego charakteru małego cyrku. Obok mnie konie pachniały przyjemnie otrębami i potem. Zdawało się, że ich świetliste oczy w głowach opuszczonych do trawy na skraju wody, skrywają przede mną jakąś tajemnicę.

Szedłem w stronę centrum miasteczka, z ulgą patrząc na obracające się nad dachami iluminowane koło diabelskiego młyna. Karuzele i budki z automatami do gier, strzelnice i tunel miłości stanowiły część znajomego świata. Nawet czarownice i wampiry wymalowane na komnacie strachów były koszmarami z dającej się przewidzieć ćwiartki wieczornego nieba. Na zasadzie kontrastu młoda kobieta — czy rzeczywiście młoda? — i jej karzeł byli podróżnymi z nieznanego kraju, z pustego królestwa, gdzie nic nie ma znaczenia. To ten brak zrozumiałej motywacji uznałem za niepokojący.

Wędrowałem przez tłum pod namiotami i nagle postanowiłem przejechać się na diabelskim młynie. Gdy czekałem na swoją kolej z grupą młodych ludzi, obwieszone żarówkami gondole koła wnosiły się wysoko, więc wydawało się, że muzyka i światła wesołego miasteczka zgarniane są z rozgwieżdżonego nieba.

Wsiadłem do gondoli wraz z młodą kobietą i jej córką, i niedługo później obracaliśmy się w rozświetlonym powietrzu nad rozpościerającym się w dole placem. Przez dwie czy trzy minuty jazdy przekrzykiwaliśmy się wzajemnie, pokazując i nazywając znajome miejsca w miasteczku. Dopiero w czasie krótkiego postoju na samym czubku koła, gdy pasażerowie w dole wysiadali, po raz pierwszy zwróciłem uwagę na most, którym szedłem wcześniej tego wieczora. Wędrując wzrokiem wzdłuż biegu rzeki, znalazłem samotną latarnię, która płonęła nad nieużytkami w pobliżu magazynów, gdzie kobieta o bladej twarzy i jej karzeł rozbili konkurencyjny cyrk. Gdy nasza gondola przesunęła się i zaczęła opadać, niewyraźne zarysy dwóch wozów ukazały się w przerwie między dachami domów.

Pół godziny później, kiedy zaczęto zamykać wesołe miasteczko, zawróciłem nad rzekę. Ludzie rozchodzili się grupami, idąc w ramię w ramię, ale nim ukazały się magazyny, zostałem prawie sam na krętej brukowanej ulicy między szeregowcami. Po chwili zobaczyłem latarnię, a za nią krąg wozów.

Ku mojemu zdziwieniu parę osób zwiedzało menażerię. Przystanąłem na drodze pod latarnią i patrzyłem, jak dwie pary i samotny mężczyzna okrążają klatki i próbują zidentyfikować zwierzęta. Od czasu do czasu podchodzili do krat i zaglądali przez nie do środka. Rozbrzmiał krótki śmiech, gdy jedna z kobiet odskoczyła w udawanym przestachu. Towarzyszący jej mężczyzna zgarnął trochę siana i rzucił je w otwór budy, ale zwierzę nie chciało się pokazać. Ruszyli dalej, wyteżając oczy w przyćmionym świetle.

Karzeł i kobieta nie odzywali się słowem. Kobieta stała przy schodkach wozu mieszkalnego, obojętnie patrząc na klientów, jakby ich przyjście zupełnie jej nie obchodziło. Karzeł, w szerokim kapeluszu przysłaniającym twarz, przesuwał się z miejsca na miejsce po drugiej stronie areny, gdy goście kontynuowali wycieczkę, w przerwach czekając cierpliwie. Nie miał torebki na pieniądze ani rolki biletów i wydawało się prawdopodobne, choć mało sensowne, że wstęp do menażerii jest darmowy.

Specyficzna atmosfera, a może brak powodzenia w wywabianiu zwierząt z bud, wywarła wpływ

na grupę gości. Po próbie odczytania napisów na szyldach jeden z mężczyzn zaczął hałaśliwie przeciągać patykiem po prętach klatki. Nagle wszyscy razem stracili zainteresowanie i odeszli bez jednego spojrzenia na kobietę czy karła. Gdy mnie mijali, mężczyzna z patykiem skrzywił się i pomachał ręką przed nosem.

Zaczekałem, aż odejdą, a potem zbliżyłem się do klatek. Karzeł chyba mnie pamiętał — przynajmniej nie próbował uciekać, tylko zatrzymał na mnie swoje błędzące oczy. Kobieta przysiadła na stopniach barakowozu, patrząc w przestrzeń z miną zmęczonego i bezmyślnego dziecka.

Zajrzałem do paru klatek. Ani śladu zwierząt, lecz zapach, który przepędził grupę, był zdecydowanie silniejszy. Znajoma gryząca woń zakręciła mi w nosie. Podeszedłem do młodej kobiety.

— Mieliście gości? — zagadnąłem.

— Niewielu — odparła. — Niewielu przychodzi.

Miałem powiedzieć, że nie powinna spodziewać się tłumów, skoro zwierzęta w klatkach nie chcą się pokazać, ale powstrzymało mnie jej spojrzenie zbitego psa. Pod suknią rysowała się drobna, dziecięca klatka piersiowa i wydawało się niemożliwe, by ta blada dziewczyna samotnie kierowała tym beznadziejnym przedsięwzięciem. Szukając usprawiedliwienia, które mogłoby ją pocieszyć, dodałem:

— Jest dość późno i to drugie wesołe miasteczko... — Wskazałem na klatki. — Poza tym ten zapach. Może wy się przyzwyczailście, ale na ludzi działa odstraszająco. — Zmusiłem się do uśmiechu. — Przepraszam, nie chciałem...

— Rozumiem — powiedziała bez emocji. — Dlatego musimy odjechać tak szybko. — Skinęła na karła. — Czyścimy je codziennie.

Miałem zapytać, jakie zwierzęta są w klatkach — zapach kojarzył mi się z domkiem szympanów w zoo — kiedy na brzegu nastąpiło jakieś poruszenie. Grupa marynarzy z dwoma czy trzema dziewczynami szła niepewnym krokiem ścieżką holowniczą. Krzyknęli hałaśliwie na widok menażerii, potem ruszyli po żużlu do klatek. Karzeł zszedł im z drogi i obserwował ich z cieni pomiędzy dwoma wozami, z kapeluszem w ręce.

Marynarze rzucili się do jednej z klatek i przycisnęli twarze do krat, trącąc się po żebrach i gwizdząc, żeby wywołać stworzenia z budki. Przeszli do następnej klatki, popychając się i mocując.

Jeden krzyknął do kobiety, która siedziała na stopniach wozu.

— Zamknięte czy co? Ten nicpoń nie chce wyjść z nory!

Odpowiedział mu ryk śmiechu. Drugi marynarz potrząsnął torebką dziewczyny, potem wsadził rękę w kieszenie.

— Forsa na stół, chłopaki. Kto sprzedaje bilety?

Spostrzegł karła i rzucił mu drobniaki. Chwilę później tuziny monet zamigotały w powietrzu. Karzeł skulił się, osłaniając kapeluszem, ale nie próbował pozbierać pieniędzy.

Marynarze przenieśli się przed trzecią klatkę. Po bezowocnych próbach wywabienia zwierzęcia zaczęli kołysać wozem z boku na bok. Ich dobre humory zaczęły się warzyć. Gdy zostawiłem młodą kobietę i ruszyłem wzdłuż klatek, paru marynarzy przymierzało się do wspinaczki na kraty.

W tym momencie drzwiczki się otworzyły. Gdy zagrzechotały o pręty, hałasy ucichły. Wszyscy cofnęli się, jakby oczekiwali, że wyskoczy na nich wielki przegowany tygrys. Dwaj marynarze wysunęli się przed grupę i ostrożnie sięgnęli do drzwi. Gdy je zamykali, jeden zajrzał do klatki. Nagle wskoczył do środka. Inni krzyknęli do niego, ale on odkopnął siano na bok i ruszył w kierunku budki.

— Cholera, pusta!

Pozostali wydali wrzask zachwytu. Marynarz zatrasnął drzwiczki — co ciekawe, zasuwa była

od wewnątrz — i zaczął skakać po klatce, wyjąc jak pawian. Z początku pomyślałem, że na pewno się myli i obejrzałem się na młodą kobietę oraz karła. Oboje obserwowali marynarza, ale ich zachowanie nie wskazywało, że coś mu grozi ze strony znajdującego się tam zwierzęcia. Gdy drugi marynarz wgramolił się do klatki i przyciągnął budę do krat, zobaczyłem, że rzeczywiście jest pusta.

Mimowolnie przeniosłem spojrzenie na młodą kobietę. Czyżby więc taki właśnie był cel tej dziwnej i wzruszającej menażerii bez zwierząt — wystawianie na pokaz samych klatek, kwintesencji uwięzienia ze wszystkimi jego zagadkami? Czy było to zoo abstrakcyjne, jakiś dziwaczny komentarz do sensu życia? Jednakże ani młoda kobieta, ani karzeł nie wydawali się na to dość subtelni i prawdopodobnie istniało mniej wydumane wyjaśnienie. Może kiedyś były tu zwierzęta, lecz pozdychały, a dziewczyna i jej towarzysz przekonali się, że ludzie mimo wszystko przychodzą i gapią się na puste klatki z fascynacją miłośników nieczynnych cmentarzy. Po jakimś czasie przestali pobierać opłaty za wstęp, tylko snuli się bez celu z miasta do miasta...

Krzyk za plecami przerwał mi wątek myśli. Marynarz przebiegł obok mnie, ocierając się o moje ramię. Jakby odkrycie pustej klatki usunęło wszelkie hamulce, marynarze zaczęli gonić karła między wozami. Na pierwszą oznakę kłopotów kobieta podniosła się i znikła w wozie mieszkalnym. Biedny karzeł musiał bronić się sam. Jeden z marynarzy podłożył mu nogę i zerwał kapelusz z głowy, gdy nieszczęśnik leżał na ziemi, majtając nogami w powietrzu.

Marynarz przede mną złapał kapelusz i miał zamiar rzucić go na dach wozu. Przysunąłem się, chwyciłem go za rękę, ale zdołał się wyrwać. Karzeł zniknął z pola widzenia, gdy druga grupa marynarzy zajęła się obracaniem wozu i pchaniem go w kierunku rzeki. Dwóch wpadło między konie, niosąc dziewczęta na plecach. Siwy ogier, który prowadził karawanę przez most, nagle pogalopował wzdłuż brzegu. Biegając za nim, usłyszałem ostrzegawczy okrzyk, a potem dudnienie kopyt na mokrej murawie i kobiecy pisk. Koń skręcił gwałtownie tuż przy mnie. Uderzony w głowę i w ramię, ciężko upadłem na ziemię.

Musiały minąć ze dwie godziny, nim się ocknąłem, leżąc na ławce przy brzegu rzeki. Miasto spało pod nocnym niebem. Słyszałem cichy szmer, gdy szczur wodny wędrował wzdłuż rzeki, i daleki plusk wody pod mostem. Usiadłem i otrzepałem rosę, która osiadła na moim ubraniu. Dalej od brzegu wozy cyrkowe stały na polanie mroku, ciemne sylwetki koni trwały w bezruchu przy wodzie.

Pozbierałem się do kupy i pomyślałem, że pewnie gdy koń mnie ogłuszył marynarze przenieśli mnie na ławkę i zostawili, bym doszedł do siebie. Hołubiąc obolałą głowę i ramię, rozejrzałem się w poszukiwaniu hałaśliwej grupy, ale brzeg był wyludniony. Podniosłem się i powoli ruszyłem w stronę cyrku w nikłej nadziei, że może karzeł pomoże mi wrócić do domu.

Dwadzieścia jardów dalej zobaczyłem, że coś porusza się w jednej z klatek. Biały kształt przesuwał się tuż przy kracie. Ani karła, ani młodej kobiety nigdzie nie było widać, ale wozy stały na swoich miejscach.

Stałem na środku areny i rozglądałem się niepewnie, świadom, że mieszkańcy klatek wreszcie wyleźli z bud. Kanciaste szare sylwetki ledwo majaczyły w ciemności, ale były tak znajome jak gryzący zapach, który dochodził z klatek.

Usłyszałem głos za plecami, jedno wulgarne słowo. Odwróciłem się i zobaczyłem, że jeden z mieszkańców wlepił we mnie zimne oczy. Gdy spostrzegł, że na niego patrzę, podniósł rękę i poruszył palcami w obscenicznym geście.

Rozbrzmiał drugi głos, a po nim chór obelżywych gwizdów. Z wysiłkiem udało mi się zachować jasność myśli. Zacząłem ostrożnie okrążyć klatki, ostatecznie potwierdzając tożsamość ich mieszkańców. Z wyjątkiem jednej na końcu wszystkie były zajęte. Chude postaci stały przy kratkach,

które chroniły je przede mną, ich blade twarze lśniły w nikłym świetle. Wreszcie poznałem zapach płynący z klatek.

Gdy odchodziłem, ścigały mnie urągliwe głosy. Młoda kobieta wstała z łóżka i spokojnie patrzyła za mną ze stopni wozu mieszkalnego.

Tłum. Maria Gębicka-Frąc

Posłowie:

„Rekognicja” wyraża serdeczną awersję do rasy ludzkiej — i nie bez kozery. Wydaje się, że naturą dzisiejszych czasów jest samolubstwo, acz dziwnego rodzaju — Kaliban śpiący po drugiej stronie lustra zaplamionego wymiotami. Być może niniejsze opowiadanie ilustruje również paradoksalne stwierdzenie, że jedyną prawdziwą wolność można znaleźć w więzieniu. Czasami trudno powiedzieć, po której stronie krat się znajdujemy — prawdziwymi prześwitami między prętami są szwy naszych czaszek. Początkowo bawiłem się pomysłem umieszczenia narratora w klatce i dołączenia go do cyrku, ale to zepsułoby ważny szczegół. Prawdę powiedziawszy, opowiadanie nie jest wyrazem nie bez trudu osiągniętej mizantropii, tylko komentarzem do paru z co bardziej niezwykłych punktów widzenia, które nas rozdzielają. Najważniejsze postaci, których motywy stanowią klucz do tej historii, to młoda kobieta i jej karzeł. Dlaczego zabierają swój melancholijny cyrk w niekończącą się podróż?

Wprowadzenie do „Judasza”:

Siedząc po prawicy Boga, usłyszałem: „Podaj wyjściowe słowo opisujące Johna Brunnera, słynnego angielskiego powieściopisarsza science fiction”. Po chwili zadumy zasugerowałem „wytworny”. Bóg uśmiechnął się dobrotliwie, ale wyraźnie nie był rad z pierwszej odpowiedzi. „Uprzejmy?” — zaryzykowałem. Bóg okazał lekką irytację. „Rycerski? Dystyngowany? Obyty? Wspaniałomyślny?” Bóg obrzucił mnie jednym z *tych* spojrzeń. „Czarujący?” — pisałem. Bóg uśmiechnął się szeroko. Po koleżeńsku poklepał mnie po plecach. „Doskonale, Harlan, doskonale!” — rzekł aksamitnym głosem. „Dziękuję, panie Brunner” — odparłem.

O Johnie Brunnerze usłyszałem po raz pierwszy w 1952. Jego praca zajmowała połowę periodyka zatytułowanego „Two Complete Science–Adventure Novels” (minęło parę ładnych lat, ale wydaje mi się, że drugą połowę zajmowała proza Poula Andersona.) Nie przypominam sobie tytułu noweli (przez wydawców nieodmiennie zwanej „powieścią”), ale ponieważ została opublikowana przez Fiction House, musiało to być coś w stylu „Seks królów z plutońskich kopuł rozkoszy”. Autor sygnował się jako Killian Huston Brunner. Ha–ha, Brunner, tu cię mamy! [*Komentarz Johna Brunnera: „Pamięć ci szwankuje. Pierwszy raz zobaczyłeś moje nazwisko w numerze nie z 1952, ale z 1953. Drugą połowę zajmowała »Mission to Marakee« Briana Berry, nie opowiadanie Poula Andersona. Nazwisko brzmiało — i brzmi — (John) Kilan Houston Brunner (nie Killian Huston). A historia, ile nie byłaby warta, nosiła tytuł »The Wanton of Argus.«.,]*

John Brunner urodził się w 1934 w Oxfordshire w Anglii. Napisał powieść *The Whole Man*, znakomitą, nominowaną do nagrody Hugo. W 1940 znalazł w przedszkolu egzemplarz *Wojny światów* Wellesa i złapał bakcyła. Napisał powieść *The Long Result*, niemal zupełnie udaną. W 1943 zaczął (ale nie skończył) swoje pierwsze opowiadanie SF, ponieważ zabrakło mu książek do czytania. Napisał opowiadanie „The Squares of the City”, małe arcydzieło techniki pisarskiej. W 1947 wydawnictwo po raz pierwszy odrzuciło jego rękopis, a w 1951 sprzedał swoją pierwszą książkę w Wielkiej Brytanii. Napisał powieść *The Dreaming Earth*, która nie trzyma się kupy w ostatniej części, ale do tego miejsca jest fascynująca. W 1952 sprzedał pierwsze opowiadania do czasopism amerykańskich, a od 1953 do 1955 był (bez entuzjazmu) pilotem w RAF. Napisał *Wear the Butchers Medal*, oszałamiającą powieść przygodową z dreszczykiem. W 1956 był redaktorem technicznym w magazynie wydawanym przez Johna Christophera, a od 1956 do 1958 był redaktorem u Jonathana Burkę. Napisał *The Space–Time Juggler; The Astronauts Must Not Land; Castaways World; Listen! The Stars* i wiele innych książek dla jednego wydawcy, który opatrywał mdłymi, okropnymi tytułami utwory może nie będące klasykami w dziedzinie fikcji spekulatywnej, ale co do jednego dobrze napisane, zajmujące i warte przeczytania — szkoda, że zostały w ten sposób skrzywdzone. W 1958 John Brunner ożenił się i został wolnym strzelcem, jako taki opublikował ponad czterdzieści pozycji, więc gorycz splotła się ze słodyczą.

Pisał głównie fikcję spekulatywną, ale jego dorobek obejmuje również thrillery i zwykłe powieści z tzw. głównego nurtu. Współpracował z niezliczonymi czasopismami, pisząc wiele

„folkowych” tekstów na aktualne tematy (jedna piosenka została nagrana przez Pete’a Segera), i jak dotąd udało mu się odwiedzić jakieś czternaście krajów. („*Ale mam wrażenie, że tracę grunt — pisze. — Za każdym razem, gdy zaliczam nowy kraj, następny deklaruje niepodległość i to sprawia, że tych, w których jeszcze nie byłem, jest dokładnie tyle samo.*”)

Mieszka w Hampstead w Londynie, swoim ulubionym mieście, jeździ kabrioletem daimlerem V-8 i praca sprawia mu taką przyjemność, że niemal jest jego hobby. Obecna ambicja Brunnera to wybudować sobie willę w Grecji i uciec od angielskiej zimy, która prawie zawsze jest mokra.

Opowiadanie, które za chwilę przeczytacie, jest trzecim zaproponowanym przez Brunnera do NIEBEZPIECZNYCH WIZJI. Nie znaczy to, że dwa pierwsze nie były cudowne, ale wystąpiły drobne komplikacje. W przypadku pierwszego, zatytułowanego „The Vitanulans”, nieopatrznie nie zgodziłem się z Johnem odnośnie sposobu prezentacji absolutnie błyskotliwej i oryginalnej koncepcji. Przesiałem mu pięć bitych stron dogłębnych, inteligentnych, treściwych komentarzy, sugerując poprawki, a on odpisał z wrodzonym wdziękiem i trochę przesadną werwą, każąc mi się wypchać.

I tak oto zakończyła się sprawa z pierwszym opowiadaniem. Głupiec nie pozna nowego Maxwella Perkinsa, nawet gdy na niego wpadnie. Ale, wielki w swojej wielkoduszności, przyjąłem drugą propozycję od agenta Brunnera, szalenie zabawną czarną komedię pod tytułem „Nobody Axed You”, i byłem gotów wysłać czek, kiedy zostałem poinformowany, raczej potulnie, również przez agenta, że wystąpił uch, mały, ech, drobny, naprawdę nieznaczący, ach, problem z publikacją opowiadania jako dziewiczo nowego, nigdy wcześniej nie wydanego w druku. Ukazało się w Anglii. Ale to bez znaczenia, pospiesznie zapewnił mnie agent. Ostatecznie było wydane tylko w brytyjskim magazynie, więc nikt z czytelników mojej antologii najprawdopodobniej go nie czytał. I tak oto zakończyła się sprawa z drugim opowiadaniem.

Miesiąc później Brunner, zawstydzony i po otrzymaniu telegramu z sanatorium, gdzie kurowałem się środkami uspokajającymi, przysłał mi opowiadanie na własną rękę. Opowiadanie, „Judasz”, zaczyna się na następnej stronie.

Pokochacie Brunnera. Jest cichy, ale zabójczy. Jak zatruta kurarą strzałka, która grzęźnie w karku.

John Brenner
Judas

Judasz

Wieczorne piątkowe nabożeństwo dobiegało końca. Skośne promienie zachodzącego wiosennego słońca wpadały przez polichromowany plastik okien i rozlewały się po podłodze w środkowej nawie jak kałuże oleju na mokrej drodze. Na polerowanej stali ołtarza nieustannie obracało się koło, lśniące między dwoma wiecznie płonącymi lampami rtęciowymi; ponad nim, na tle ciemniejszego wschodniego nieboskłonu, rysował się posąg Boga. Chór w komzach śpiewał hymn „Słowo stało się stałą” — a ksiądz siedział zasłuchany, z ręką pod brodą, zastanawiając się, czy Bóg pochwali jego kazanie o Powtórny Przyjściu.

Większa część wiernych zastygła w bezruchu, oczarowana muzyką. Tylko jeden z obecnych, w końcu ostatniego rzędu ławek z nagiej stali, wiercił się niecierpliwie, miętosząc w nerwowych palcach leżącą przed nim gumową podkładkę pod czoło. Musiał zająć czymś ręce, inaczej stale wędrowałyby do wybruszenia w wewnętrznej kieszeni prostej brązowej marynarki. Jego wodniste niebieskie oczy błędziły niespokojnie po zaprojektowanym z rozmachem wnętrzu metalowej świątyni i uciekały za każdym razem, gdy napotykały motyw koła, które architekt — zapewne sam Bóg — umieścił wszędzie, gdzie tylko możliwe.

Hymn zakończył się przeraźliwym dysonansem i wierni uklękli, wspierając głowy na gumowych krążkach, podczas gdy ksiądz głosił błogosławieństwo Koła:

— Niechaj prowadzi was po wytyczonych kursach... służy wam jako wieczna oś... obdarzy was na koniec spokojem prawdziwego wieczystego obrotu...

Potem stał wraz ze wszystkimi, podczas gdy chór wychodził, maszerując do muzyki elektronicznych organów. Gdy tylko kapłan zniknął w drzwiach zakrystii, wierni zaczęli dreptać do głównych wyjść. Tylko on pozostał w ławce.

Nie zaliczał się do osób, które przyciągają uwagę. Miał włosy koloru piasku i zniszczoną, zmęczoną twarz, zęby poplamione i nierówne, ubranie źle dopasowane, a oczy odrobinę nieskupione, jakby potrzebował okularów. Nabożeństwo nie przyniosło mu spokoju umysłu, to było widać.

Wreszcie, gdy wszyscy inni wyszli, podniósł się i z pedantyczną precyzją odłożył gumową podkładkę na miejsce. Jego oczy zamknęły się na chwilę, a usta poruszyły bezgłośnie; zdawało się, że ten akt przydał mu odwagi i utwierdził w podjętej decyzji, bo wyprostował się niczym pływak przed skokiem z wysokiej trampoliny. Wysunął się z ławki i ruszył — bezszelestnie po gumowej wykładzinie nawy — w kierunku niewielkich stalowych drzwi z napisem ZAKRYSTIA.

Obok nich wisiał dzwonek. Zadzwonił.

Po chwili drzwi otworzył młodszy akolita, młodzieniec w szarej szacie utkanej z metalicznych ogniwek, które brzęczały przy każdym jego ruchu, w szarych błyszczących rękawicach i w gładkiej stalowej czapce na głowie. Głosem, który dzięki starannym ćwiczeniom stał się bezosobowy, zapytał:

— Potrzebujesz rady?

Mężczyzna w brązowym ubraniu pokiwał głową, trochę nerwowo przestępując z nogi na nogę. Za drzwiami widział liczne święte obrazy i posagi; spuścił przed nimi oczy.

— Jak się nazywasz? — zapytał akolita.

— Karimov — odparł. — Julius Karimov.

Spiął się odrobinę, podając nazwisko, i jego oczy prześliznęły się po twarzy akolity, szukając śladu reakcji. Niczego nie znalazły. Mężczyzna odprężył się, gdy młodzieniec krótko polecił mu czekać, a sam poszedł powiadomić księdza.

Po jego odejściu Karimov wszedł do zakrystii i obejrzał malowidło na ścianie naprzeciwko drzwi, „Niepokalana produkcja” Ansona, ilustrującą legendarne pochodzenie Boga — błyskawica z niebios uderza w sztabę czystej stali. Rzecz jasna, było wspaniale wykonane; szczególny podziw budziła błyskawica, mistrzowsko oddana elektroluminescencyjną farbą. Ale w Karimovie wywołało uczucie fizycznych mdłości, więc musiał się odwrócić ledwie po paru sekundach.

Wreszcie zjawiał się ksiądz w oficjalnej szacie, identyfikującej go jako jednego z Jedenastu najbliższych Bogu, bez nakrycia głowy, które w czasie nabożeństwa przysłaniało wygoloną czaszką. Jego białe, szczupłe ręce bawiły się wysadzonym klejnotami emblematem Koła, wiszącym na szyi na platynowym łańcuszku. Karimov odwrócił się powoli w stronę kapłana, jego prawa raka zawisała w płonnym geście. Podawanie prawdziwego nazwiska było skalkulowanym ryzykiem; uznał, że prawdopodobnie nie zostało odtajnione. Ale twarz...

Nie, ani śladu rozpoznania. Ksiądz zawodowo dźwięcznym głosem zapytał:

— Co mogą dla ciebie zrobić, mój synu?

Mężczyzna w brązowym ubraniu wyprostował ramiona i odparł krótko:

— Chcą porozmawiać z Bogiem.

Ksiądz westchnął z rezygnacją osoby przyzwyczajonej do odrzucania tego typu próśb.

— Bóg jest nadzwyczaj zajęty, synu — wymruczał. — Musi troszczyć się o duchową pomyślność całej rasy ludzkiej. Ja nie mogę ci pomóc. Czy szukasz rady w związku z konkretnym problemem, czy też pragniesz ogólnej Boskiej pomocy w zaprogramowaniu swojego życia?

Karimov popatrzył na niego z niedowierzaniem i pomyślał: *Ten człowiek naprawdę wierzy! Nie udaje wiary dla zysku — to głęboko zakorzeniona, szczerza wiara, i właśnie to jest najbardziej przerażające: uwierzyli nawet ci, którzy byli ze mną na początku!*

Po chwili powiedział:

— Wielce to uprzejmie z twojej strony, ojcze, ale potrzebuję czegoś więcej niż rady. Modliłem się... — zdawało się, że potknął się na tym słowie — modliłem się wiele i nadal nie osiągnąłem spokoju prawdziwego obrotu. Raz, dawno temu, miałem przywilej ujrzeć Boga w stali; chciałbym znów Go zobaczyć, to wszystko. Nie wątpię, oczywiście, że On mnie pamięta.

Zapadła długa cisza, w czasie której ciemne oczy księdza nic odrywały się od twarzy Karimova. Wreszcie powiedział:

— Pamięta cię? Tak, z pewnością! Teraz ja też sobie ciebie przypominam!

Głos mu się trząsł z niekontrolowanej wściekłości. Sięgnął do dzwonka na ścianie.

Siła zrodzona z desperacji wezbrała w kościstym ciele Karimova. Rzucił się na księdza, odracając wyciągniętą rękę parę cali od celu, przewrócił go, złapał za łańcuszek na szyi i pociągnął z całej siły.

Łańcuszek wbił się głęboko w bladą skórę; Karimov, jak opętany, szarpnął raz i drugi, zmienił uchwyt i znowu pociągnął. Oczy księdza niemal wyskoczyły z orbit, z ust wydobyły się ohydne nieartykułowane stęknienia, pięści uderzyły w ramiona napastnika — i osłabły, opadły bezwładnie.

Karimov wyprostował się, wstrząśnięty swoim postępkami i chwiejnie podniósł się na nogi. Wymruczał bezsensowne przeprosiny pod adresem dawnego kolegi, który już nie mógł go usłyszeć, potem parę razy odetchnął głęboko, żeby się uspokoić i zbliżył się do drzwi — nie tych, którymi tu

wszedł.

Bóg siedział na tronie pod stalowym baldachimem w kształcie koła. Polerowane kończyny lśniły w przyćmionym świetle, pięknie uformowana głowa sugerowała ludzką twarz, nie posiadając ani jednej ludzkiej cechy — nawet oczy.

Ślepa bezduszna maszyna, pomyślał Karimov, gdy zamknął drzwi za sobą. Mimowolnie dotknął tego, co miał w kieszeni.

Głos był nadludzko perfekcyjny: głęboki czysty ton, jakby przemówiły organy.

— Synu... I urwał.

Karimov wydał głośne westchnienie ulgi i zdenerwowanie opadło z niego jak płaszcz. Niedbałym krokiem postąpił do przodu i przysiadł na środkowym z jedenastu krzeseł, ustawionych w podkowę przed tronem. Puste lśniące spojrzenie robota spoczęło na nim i metalowy twór zastygł ze zdumienia.

— I co? — zawołał Karimov. — Jak ci się podoba spotkanie z kimś, kto dla odmiany nie jest twoim wyznawcą?

Robot poruszył się w ludzki sposób, jak człowiek, który się rozluźnia. Splótł stalowe palce pod brodą i przyglądał się intruzowi już nie ze zdziwieniem, tylko z zainteresowaniem. Głos rozbrzmiał na nowo.

— To ty, Czarny!

Karimov z lekkim uśmiechem pokiwał głową.

— Tak mnie nazywali w dawnych czasach. Uważałem, że to głupia afektacja — przydawanie fałszywych nazwisk naukowcom, którzy pracowali nad ściśle tajnym projektem. Ale miało to swoje dobre strony, przynajmniej dla mnie. Podałem prawdziwe nazwisko, Karimov, twojemu... ach... świętej pamięci apostołowi, i nic mu ono nie powiedziało. A skoro mowa o fałszywych nazwiskach: kiedy ostatni raz ktoś mówił o tobie A—46? Robot wstrząsnął się.

— Używanie tego określenia w stosunku do mnie jest świętokradztwem!

— Świętokradztwo — zawracanie głowy! Pójdę dalej i przypomnę ci, co oznacza A w A—46. Android! Imitacja człowieka! Bezpłciowy nieczuły zlepek metalowych części, które pomagałem projektować. I to coś śmie nazywać się teraz Bogiem! — Smagające słowa ociekały zjadliwą pogardą. — Ty i twoje fantazje o niepokalanej produkcji! O uderzeniu niebiańskiej błyskawicy w bryłę nieobrobionej stali! Mówiąc o stworzeniu ludzi na podobieństwo Boga — ty jesteś „Bogiem”, który został skonstruowany na obraz człowieka!

Projekt obejmował nawet umiejętność wzruszania ramionami, przypomniał sobie z drgnieniem Karimov, gdy robot wykonał ten gest.

— Odłóżmy na chwilę kwestię świętokradztwa — powiedziała maszyna. — Czy masz jakiś konkretny powód, by sądzić, że nie jestem Bogiem? Czemu drugie wcielenie nie miałyby być wstaleniem — w niezniszczalny metal? Co zaś do twojego obskuranckiego i bałamutnego przekonania, że stworzyłeś metalową część mnie — co jest zgoła nieistotne, bo przecież duch jest wieczny — dawno temu zostało powiedziane, że nikt nie jest prorokiem we własnym kraju, a skoro wstalenie miało miejsce w pobliżu twojej stacji eksperymentalnej... Ha!

Karimov zaśmiał się. Powiedział:

— Niech mnie diabli! Ty sam w to wierzysz!

— Bezwarunkowo trafisz do piekła. Gdy ujrzałem, że wchodzisz do mojej sali tronowej, przez chwilę miałem nadzieję, iż spostrzegłeś swój błąd i postanowiłeś w końcu uznać moją boskość. W swej nieskończonej łaskawości dam ci ostatnią szansę, a gdy z niej nie skorzystasz, zawezwę kapłanów, żeby cię stąd zabrali. Teraz albo nigdy, Czarny, Karimovie czy jak tam chcesz się zwać:

okażesz skruchę i wiarę?

Karimov nie słuchał. Patrzył w przestrzeń za lśniąca maszyną, pieszcząc ręką przedmiot ukryty w kieszeni. Cicho powiedział:

— Od lat planowałem ten ruch — przez dwadzieścia lat, od dnia, gdy cię włączyliśmy i zacząłem podejrzewać, że źle uczyniliśmy. Aż do tej chwili nic nie mogłem zrobić. Trudząc się i szukając sposobu, żeby cię powstrzymać, przez cały czas byłem świadkiem krańcowego poniżenia ludzkości.

Staliśmy się niewolnikami naszych narzędzi w chwili, gdy pierwszy jaskiniowiec sporządził pierwszy nóż, by ułatwić sobie szykowanie kolacji. Później nie było odwrotu. Budowaliśmy nasze maszyny, aż stały się dziesięć milionów razy potężniejsze od nas. Wynaleźliśmy samochód, podczas gdy mogliśmy nauczyć się jeździć, skonstruowaliśmy samolot, podczas gdy mogliśmy wyhodować skrzydła, a potem nastąpiło nieuniknione. Uczyniliśmy maszynę naszym Bogiem.

— A czemu nie? — huknął robot. — Czy możesz wymienić bodaj jedno, w czym nie jestem lepszy od ciebie? Jestem silniejszy, bardziej inteligentny i bardziej wytrzymały niż człowiek. Dysponuję umysłowymi i fizycznymi możliwościami, z którymi próżno się równać. Nie odczuwam bólu. Jestem nieśmiertelny i nie można mnie zranić, ty jednak twierdzisz, że nie jestem Bogiem. Dlaczego? Z przekory!

— Nie — powiedział Karimov i ze straszliwą otwartością dodał: — Bo jesteś szalony. Byłeś zwińczeniem dziesięcioletniej pracy naszego zespołu, dwunastu największych cybernetyków na świecie. Marzyliśmy o stworzeniu mechanicznego odpowiednika istoty ludzkiej, który mógłby zostać zaprogramowany przez inteligencję czerpaną bezpośrednio z naszych mózgów. Pod tym względem się nam powiodło — aż nazbyt dobrze!

W ciągu minionych dwudziestu lat miałem dość czasu, by dojść, gdzie popełniliśmy błąd. To była moja wina, Boże, wybac mi — prawdziwy Boże, jeśli istniejesz, nie ty, mechaniczny oszuście! Gdy pracowaliśmy nad tobą, w jakimś zakamarku mojego umysłu zawsze czaiła się myśl, że budowa naszej wymarzonej maszyny przypomina dzieło boskie: tworzyliśmy kreatywną inteligencję, czego nie dokonał nikt prócz Niego! To była megalomania i dziś wstydę się tych myśli, ale chodziły mi po głowie, a z mojej przeniosły się do twojej. Nikt o tym nie wiedział, nawet ja bałem się przyznać do tego przed sobą, bo wstyd jest wyłącznie ludzką cechą. Ale ty? Co mogłeś wiedzieć o wstydzie, powściągliwości, współczuciu i miłości? Mania raz zaszczipiona w twoich sztucznych neuronach rosła bez końca, przekraczając wszelkie granice i... oto jesteś. Obląkany z żądy boskiej chwały! Bo inaczej skąd doktryna Słowa, które stało się stałą, i obraz Koła, mechanicznej formy, która nie występuje w naturze?

Skąd trud, jaki sobie zadałeś, żeby stworzyć analogie między swoim bezbożnym istnieniem a życiem największego Człowieka w dziejach ludzkości?

Karimov nie podnosił głosu, ale w jego oczach płonęła nienawiść.

— Nie masz duszy, a mnie oskarżasz o świętokradztwo. Jesteś zbiorem drutów i tranzystorów, a nazywasz się Bogiem. Błuznierstwo! Tylko człowiek mógłby być Bogiem!

Robot zmienił pozycję, podzwaniając metalowymi kończynami, i rzekł:

— To nie tylko bzdura, ale strata mojego cennego czasu. To wszystko, po co przyszedłeś — żeby mi nauragać?

— Nie — odparł Karimov. — Przyszedłem cię zabić.

Wreszcie jego ręka wsunęła się do wypchanej kieszeni i wyjęła skrywany tam przedmiot: osobliwą niewielką broń, długą na niecałe sześć cali. Z przodu starczała krótka metalowa tuba, od rękojeści odchodził giętki przewód, niknący pod ubraniem, a pod kciukiem był mały czerwony przycisk. Powiedział:

— Projektowałem i konstruowałem to urządzenie przez dwadzieścia lat. Twoje ciało zbudowaliśmy ze stali, którą może zniszczyć tylko bomba atomowa, ale czy człowiek mógłby przyjść do ciebie z bombą nuklearną na plecach? Musiałem wymyślić coś, co pozwoli pociąć twoją stal z taką łatwością, z jaką nóż tnie miękkie ciało człowieka. Oto mój wynalazek! Teraz naprawię zło, które wyrządziłem własnemu gatunkowi.

Nacisnął guzik.

Robot, dotąd trwający w bezruchu, jakby niezdolny uwierzyć, że ktoś naprawdę chce wyrządzić mu krzywdę, teraz poderwał się, lekko odwrócił i stanął jak sparaliżowany. W jego metalowym boku pojawiła się maleńka dziurka. Stal stopiła się wokół otworu, a gdy powierzchnia dokoła zapłonęła czerwienią, metaliczne krople spłynęły jak woda — albo krew.

Karimov trzymał broń pewnie, choć parzyła go w palce. Pot wystąpił mu na czoło. Jeszcze pół minuty, a zniszczenia będą nie do naprawy.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem za jego plecami. Zaklął, bo broń nie działała na człowieka. Celował do ostatniej chwili, potem ktoś chwycił go od tyłu i unieruchomił, a broń została mu wyrwana z dłoni, rzucona na podłogę i zmiażdżona pod podeszwami.

Robot nie ruszał się.

Napięcie dwudziestu lat nienawiści pękło i ulga znalazła ujście w postaci histerycznego śmiechu, nad którym próbował zapanować. Kiedy mu się to udało, zobaczył, że trzyma go młodszy akolita, który wpuścił go do zakrystii i że wokół stoją inni ludzie, obcy, patrzący w milczeniu na swojego Boga.

— Patrzcie na niego, patrzcie! — wychrypiał. — Wasz idol był tylko robotem, a co człowiek zbuduje, to człowiek może zniszczyć. Uważał się za Boga, lecz nie był nawet odporny na uszkodzenia! Uwolniłem was! Nie rozumiecie? Uwolniłem was!

Ale akolita nie zwracał na niego uwagi. Wbijał wzrok w potworną metalową kukłę, oblizując usta, aż wreszcie głosem, który nie wyrażał ani ulgi, ani przerażenia, tylko nabożną cześć, powiedział:

— Rozcięty bok!

Marzenie Karimova zaczęło umierać. W odrętwieniu patrzył, jak inni podchodzą do robota i zaglądają w wypaloną dziurę. Usłyszał, jak jeden pyta:

— Ile czasu zajmie naprawa?

Drugi odparł bez namysłu:

— Och, trzy dni, jak myślę!

I stało się dla niego jasne, co zrobił.

Czy nie był to piątek, i wiosna? Czy sam nie powiedział, że robot starannie tworzył analogie między własną karierą a życiem człowieka, którego parodiował? Oto punkt kulminacyjny: była śmierć i będzie zmartwychwstanie — trzeciego dnia...

I doktryna, że Słowo stało się stałą, nigdy nie zostanie podważona.

Ludzie kolejno kreślili znak Koła i wychodzili, aż został tylko jeden. Surowy, odszedł od tronu, stanął przed Karimovem i zwrócił się do akolity, który trzymał go mocno.

— Kim on jest?

Akolita spojrzał na bezwładną postać na krześle, zgarbioną pod ciężarem miażdżących ją wieków i jego usta zaokrągliły się od zrozumienia. Powiedział:

— Teraz pojmuje! Przedstawił się jako Karimov. Ale naprawdę musi zwać się Iskariota.

Tłum. Maria Gębicka-Frąc

Posłowie:

Naprawdę nie wiem, skąd się wziął „Judasz”, ale podejrzewam, że wyrasta ze skłonności, jaką zauważyłem u siebie i u innych, do antropomorfizowania maszyn. Kiedyś miałem sportowego morgana, cudowny wóz o wyraźnej i nieco zbitkowanej osobowości, który miał jakieś osiem lat, gdy trafił w moje ręce. Przysięgam, że nienawidził godzin szczytu i uskarżał się gorzko na stanie w korkach, dopóki nie wynagrodziłem mu całego tego przegrzewania i ślimaczenia się na niskim biegu zrobieniem rundki na szybszej drodze, gdzie mógł pociągnąć pięćdziesiątką.

Mam nadzieję, że nasz narastający nawyk wyręczania się maszynami nie tylko tam, gdzie chodzi o wykonywanie niewdzięcznej pracy, lecz także w przypadku podejmowania decyzji, nie osiągnie kulminacji w postaci dosłownego ich ubóstwiania, ale na wypadek, gdyby tak się stało — opowiadanie ku przestrodze.

Wprowadzenie do „Próby niszczącej”:

Tyle razy pisałem, kim i jaki jest Keith Laumer (nie najmniejszym z moich wywodów jest rozwlekły i moralizatorski wstęp do jego zbioru wydanego przez Doubleday, *Nine by Laumei*), że, szczerze, nie wiem co jeszcze nie zostało powiedziane. Ale...

Laumer jest wysokim, krzepkim, dość przystojnym facetem, jeśli gustujecie w okrutnych ustach i paciorkowatych oczach małpki marmozety. Napisał parę tomów opowiadań o zawodowym dyplomacie z galaktycznej przyszłości, niejakim Retiefie. Nie przez przypadek, bo sam był dyplomata w amerykańskiej służbie zagranicznej. Ale opowiadania o Retiefie są lekkie i wielu czytelnikom umknęły poważne prace Laumera. Jego liczne alegorie świata, w którym żyjemy — historie, które rzucają twarde, czasami strapione spojrzenie na to, co wzajem sobie robimy. Jego opowiadania ostrzegające przed erą komputerów. Jego awanturnicze gonitwy w Strukturalnym Społeczeństwie, gdzie człowiek w pojedynkę skazany jest od początku na niepowodzenie, a jednak nie schodzi ze sceny, bo jest człowiekiem. W tych właśnie opowiadaniach wyraża się prawdziwy Laumer i to wstyd, że tak łatwo sprzedaje Retiefy (bo to pozwala mu pływać i opowiadać rozwlekłe kawały), choć powinien zmierzyć się z bardziej złożonymi zagadnieniami, takimi jak to zaprezentowane w poniższym opowiadaniu.

Laumer jest wyjątkowy. Jest masą sprzeczności, nieprzeciętnym talentem, filarem siły, człowiekiem, który ceni i rozumie etykę i moralność niemal na poziomie komórkowym. Widać to w jego pracy. Jest pisarzem, który nie ignoruje rzeczywistości, nawet gdy płodzi międzygwiazdne fantazje. We Wszechświecie istnieją podstawy, które dla niego są niezmiennie. Nie mogę się z nim nie zgodzić. Miłość, odwaga i determinacja są dobre; wojna, lenistwo i hipokryzja są złe. Gdybym miał wskazać człowieka nie zepsutego, mój wybór padłby na Laumera. (Jestem jednakże ostrożny w wyrażaniu takich cennych sądów. Zbyt często wynosiłem pospolitych śmiertelników na piedestał, a potem stwierdzałem, że są tak samo słabosilni jak wszyscy inni zwyczajni śmiertelnicy, łącznie ze mną. Być może Laumer okaże się wyjątkiem.)

Notki autobiograficzne Keitha są dość interesujące. Zamieszczam je tutaj dokładnie w takiej formie, w jakiej zostały mi przedstawione, bo moim zdaniem potwierdzają, co właśnie o nim powiedziałem.

„Urodziłem się w stanie Nowy Jork, mieszkałem tam do dwunastego roku życia, a później na Florydzie. W ten sposób zyskałem obustronny pogląd na wojnę secesyjną. Być może to leży u podłoża mojej niezdolności do stania się zagorzałym orędownikiem jakiejś Sprawy. (Uważam, że ludzi można podzielić jedynie na dwie znaczące kategorie: Przyzwoitych i Sukinsynów; oba rodzaje występują w równych proporcjach wśród przedstawicieli wszystkich kształtów, kolorów, rozmiarów i narodowości.)

W 1943, w wieku osiemnastu lat, wstąpiłem do wojska. Zobaczyłem Teksas, Georgię, Niemcy, Francję, Belgię, Holandię, Luksemburg i inne dziwne miejsca. Wszędzie mieszkali ci sami niechlujni, chciwi, zdolni do miłości/nienawiści ludzie, których znałem z kraju. W 1946 wylądowałem w

campusie University of Illinois, gdzie studiowałem architekturę. Pięć lat później miałem żonę, dwójkę brzdąców i dwa dyplomy. W tym czasie sformułowałem ostatnie konkluzje do moich teorii po spotkaniu czarnych i białych drani, Dobrych Chrześcijan i Dobrych Żydów. Żaden z nich, jak się zdaje, nie miał wyłączności na cnotę czy łajdactwo.

W 1953 okpiłem władze, wstępując do sił powietrznych jako porucznik, zanim mogli powołać mnie na trzecią wojnę światową, wówczas wiszącą w powietrzu. Władze okpiły mnie, bo wojna nie wybuchła. Spędziłem rok na odludziu na jakiejś skale w Labradorze. W 1956 opuściłem siły powietrzne, by wstąpić do służby zagranicznej, gdzie stwierdziłem minimalną przewagę Sukinsynów. Przesiedziałem dwa wkurzające lata w Birmie i odkryłem (niespodzianka!), że jestem pisarzem. Wróciłem do sił powietrznych w 1960, odbębniłem turę w Londynie, rzuciłem wojsko w 1965, by zająć się pisaniem na pełen etat i już nie mam zamiaru zmieniać pracy.”

Nie wspominał o takich książkach, jak *Embassy*, *Catastrophe Planet*, *Envoy to New Worlds*, *Worlds of the Imperium*, *Retiefs War* i *Earthblood* (z Roselem G. Brownem). Nie wspomniał też, że jest jednym z nielicznych wielkich talentów, jakie objawiły się w dziedzinie fantastyki w okresie ostatnich pięciu lat. Ale te zaniedbania możemy przypisać niewiarygodnej skromności Keitha.

Wcześniej wypowiedziałem się na temat poważnej natury pracy Laumera. Poniższe opowiadanie, „Próba niszcząca”, jest wyznacznikiem jego powagi. Ale Laumer nie jest po prostu Edgarem Guestem *science fiction* — wyrazicielem frazesów typu: życie jest prawdziwe, życie jest serio — bo oferuje nam niebezpieczną wizję natury człowieka. I ujęcie tej opowieści o moralności w szacowną i sprawdzoną formę pościg–akcja–przygoda jest komentarzem do jego dążenia do stania się pełnowymiarowym pisarzem.

Keith Laumer
Test To Destruction

Próba niszcząca

Pierwszy

Był późny październik. Mallory stał w cieniu u wylotu wąskiej alejki. Lodowaty deszcz zacinał go w twarz nad podniesionym kołnierzem.

— Ironia losu, Johnny — mruknął do niego niewysoki, ponury mężczyzna. — Ty — człowiek, który dziś powinien zostać premierem świata — przemykasz się bocznymi uliczkami, podczas gdy Koslo i jego zbiry piją szampana w pałacu prezydenckim.

— I dobrze, Paul — odparł Mallory. — Może jest zbyt zajęty świętowaniem zwycięstwa, by zawracać sobie głowę moją osobą.

— A może nie. Nie spocznie, dopóki wie, że żyjesz i możesz mu zaszkodzić.

— Jeszcze tylko parę godzin, Paul. Przed śniadaniem Koslo dowie się, że sfałszowanie wyniku wyborów nie zdało się na wiele.

— Ale jeśli dopadnie cię pierwszy, Johnny, to będzie koniec. Bez ciebie przewrót pęknie niczym bańka mydlana.

— Nie wyjeżdżam z miasta — rzekł Mallory stanowczo. — Tak, ryzyko istnieje, ale bez niego nie można obalić dyktatora.

— Nie musisz ryzykować osobiście, spotykając się z Crandallem.

— Tak jest lepiej. Gdy mnie zobaczy, będzie wiedział, że jestem w pełni zaangażowany.

Mężczyźni czekali w milczeniu na przybycie współspiskowca.

Drugi

Na pokładzie międzygwiazdowego krążownika krążącego w odległości pół parseka od Ziemi, złożony umysł Ree obserwował daleki Układ Słoneczny.

Promieniowanie na wielu długościach fali z trzeciego ciała niebieskiego. Komórki Perceptora skierowały impuls do 6934 jednostek tworzących segmentowy mózg, który kierował statkiem. Modulacje w ponad czterdziestu dziewięciu z dziewięćdziesięciu jeden spektrów aktywności umysłowej.

Fragment wzoru charakterystyczny dla egzokosmicznej inteligencji manipulacyjnej, wyekstrapolowali z danych Analizerzy. Inne wskaźniki wahają się pod względem złożoności od poziomów jeden do dwadzieścia sześć.

To anormalna sytuacja, osądzili Pamięciarze. Podstawową cechą natury nadrzędnej inteligencji jest niszczenie wszystkich niżej stojących konkurencyjnych form umysłu, tak jak ja/my systematycznie unicestwialiśmy tych, których napotkałem/napotkaliśmy w czasie mojej/naszej eksploracji ramienia galaktyki.

Przed przystąpieniem do działania niezbędne jest wyjaśnienie fenomenu, zaznaczyli Interpretatorzy. Ekstrakcja i analiza reprezentatywnej jednostki myślącej będzie wymagać zmniejszenia zasięgu poniżej jednej radiacyjnej/sekundy.

W takim wypadku poziom ryzyka wzrośnie do Kategorii Ostatecznej, oznajmili Analizerzy beznamiętnie.

POZIOMY RYZYKA JUŻ NIE MAJĄ ZASTOSOWANIA, potężny impuls myślowy Egoną położył kres dyskusji. OBECNIE NASZE STATKI ZAPUSZCZAJĄ SIĘ W NOWĄ PRZESTRZEŃ, SZUKAJĄC MIEJSCA DLA WIELKIEJ RASY. ZGODNIE Z NIEZMIENNIE OBOWIĄZUJĄCYM ROZKAZEM TEGO–KTÓRY–JEST–NAJWYŻSZY MOJA/NASZA EKSPLOKACJA BĘDZIE KONTYNUOWANA DO GRANIC MOŻLIWOŚCI REE, PODDAJĄC PRÓBIE MOJĄ/NASZĄ ZDOLNOŚĆ DO PRZEŻYCIA I DOMINACJI. WAHANIE WYKLUCZONE, PORAZKA NIE WCHODZI W RACHUBĘ. TERAZ WEJDĘ/WEJDZIEMY NA ORBITĘ BLISKIEJ INWIGILACJI!

W zupełnej ciszy i z prędkością ułamka poniżej świetlnej, krążownik Ree pomknął w kierunku Ziemi.

Trzeci

Mallory spał się, gdy przecnicę dalej w ostrym świetle lampy poliukowej pojawiła się mroczna postać.

— To Crandall — syknął niski mężczyzna. — Cieszę się... — urwał, gdy ryk potężnego silnika turbinowego zabrzmiał nagle na pustej alei. Wóz policyjny wypadł z bocznej ulicy, zakręcił na rogu z piskiem przeciążonych żyroskopów. Mężczyzna pod latarnią odwrócił się do ucieczki. W samochodzie zamrugał oślepiająco niebieski ogień pistoletu SURF. Grad pocisków dosięgnął uciekającego, rzucił nim o ceglana ścianę, zbił z nóg, przetoczył po chodniku, zanim jeszcze terkot broni dotarł do uszu Mallory'ego.

— Mój Boże! Zabili Tony'ego! — jęknął niski mężczyzna. — Musimy się zmywać!

Mallory cofnął się parę kroków w boczną uliczkę i zamarł, gdy z drugiej strony rozblęły światła. Usłyszał tupot, chrapliwy rozkaz.

— Jesteśmy odcięci — warknął. Sześć stóp dalej zobaczył sfatygowane drewniane drzwi. Przyskoczył do nich, napał na nie całym ciałem. Nie ustąpiły. Cofnął się, otworzył je kopniakiem. Wepchnął swojego towarzysza do ciemnego pomieszczenia cuchnącego spleśniałą jutą i szcurzymi odchodami. Potykając się, po omacku macając ścianę, Mallory ruszył pierwszy po zawalonej śmieciami podłodze, znalazł drzwi wiszące na jednym zawiasie. Przecisnął się na korytarz wyłożony pomarszczonym linoleum, widocznym w nikłym blasku padającym z półkolistego okienka nad masywnymi, zakratowanymi drzwiami. Odwrócił się w drugą stronę, pobiegł do mniejszych drzwi na końcu korytarza. Był dziesięć stóp od nich, gdy wybuchły w gradzie drzazg, które pokaleczyły go, poszarpały płaszcz jak pazury. Za nim mały mężczyzna zacharczał; Mallory okręcił się na pięcie i zobaczył, jak ten osuwa się na ścianę i na podłogę, zobaczył piersi i brzuch rozdarte tysiącem naboii z policyjnego pistoletu.

Ręka wsunęła się przez dziurę w drzwiach, szukając zasuwy. Mallory zrobił krok, złapał za przegub, szarpnął z całej siły, poczuł, jak pęka staw łokciowy. Wrzask rannego policjanta został zagłuszony przez drugą serię z szybkostrzelnej broni — ale Mallory już odskoczył, złapał poręcz schodów, przewinał się na drugą stronę, pędził w górę. Pokonywał schody po pięć stopni na raz, minął podest zasłany potłuczonym szkłem i pustymi butelkami, pobiegł dalej, wpadł na korytarz pełen pajęczyn i wypaczonych drzwi. Pchnął najbliższe, wszedł, stanął plecami do ściany zaraz przy wejściu. Ciężkie kroki zadudniły na schodach, zatrzymały się, podjęły pościg...

Mallory sprężył się, a gdy policjant minął drzwi, wysunął się, podniósł rękę w górę i uderzył w podstawę karku, wkładając w cios każdą uncję siły. Zdawało się, że mężczyzna dał nurka. Mallory skoczył i złapał broń, zanim zdążyła upaść na podłogę. Zrobił trzy kroki, opróżnił magazynek, strzelając w dół schodów. Gdy odwrócił się, by popędzić w drugi koniec korytarza, policjanci odpowiedzieli ogniem.

Maczuga trzymana przez olbrzyma uderzyła go w bok, wycisnęła powietrze z płuc, rzuciła na ścianę. Doszedł do siebie, pobiegł dalej; ręka znalazła głęboką ranę, z której płynęła krew. Kula tylko go drasnęła.

Dotarł do drzwi wychodzących na drugą klatkę schodową i odskoczył gwałtownie, gdy brudny szary kształt z wrzaskiem wypadł na niego z ciemności — chwilę później w wąskiej przestrzeni błysnął i zagrzechotał pistolet, a tynk posypał się ze ściany nad jego głową. Krępy mężczyzna w ciemnym mundurze Służby Bezpieczeństwa biegiem wspiął się pod schodach i zamarł na chwilę w progu, gdy zobaczył broń w rękach Mallory’ego. Zanim zdążył zareagować, Mallory trzasnął go pistoletem i zepchnął na półpiętro. Kot, który uratował mu życie — wielki, pokryty bliznami kocur — leżał na podłodze. Pocisk zdmuchnął mu pół głowy. Samotne żółte oko wpatrywało się w człowieka; dogorywał, ale pazury drapały podłogę, jakby szykował się do ataku. Mallory przeskoczył zwierzę, ruszył na górę.

Trzy kondygnacje wyżej schody kończyły się na strychu zawalonym gazetami powiązаныmi w paczki i pleśniejącymi kartonami, z których uciekły myszy, gdy się zbliżył. Było tam jedno okno, z szybami mętными od brudu. Mallory rzucił bezużyteczny pistolet, omiół wzrokiem sufit, szukając wyjścia na dach. Nie znalazł. Bok bolał go okropnie.

Nerwowe kroki zadudniły za drzwiami. Mallory wycofał się w kąt strychu... Znów zabrzmiał ogłuszający jazgot pistoletu i kruche drzwi wypaczyły się, rozpadły na kawałki. Przez chwilę panowała grobowa cisza. Potem:

— Wyjdź z rękami do góry, Mallory! — warknął metaliczny głos. W mroku blade płomyki pełgały po plikach gazet, które zajęły się od gradu pocisków w stalowych koszulkach. Podniósł się dym, zgęstniał.

— Wyłaź, zanim się upieczesz!

— Wynośmy się stąd — ryknął ktoś inny. — Ten śmietnik pójdzie z dymem jak hubka!

— Ostatnia szansa, Mallory! — zawołał pierwszy człowiek. Płomienie trawiły suchy papier i z rykiem sięgały do stropu. Mallory przesunął się pod ścianą do okna, zerwał rozdartą papierową roletę, szarpnął kłamkę. Nie drgnęła. Wytłukł szybę, przerzucił nogę przez parapet i stanął na zardzewiałym podeście schodów pożarowych. Pięć pięter niżej zobaczył kałuże światła na brudnym betonie, białe plamki zwróconych w górę twarzy — i pół tuzina wozów policyjnych blokujących zalaną deszczem ulicę. Oparł się plecami o poręcz, popatrzył w górę. Schody biegły trzy, może cztery piętra wyżej. Poderwał rękę, osłaniając twarz przed buchającymi płomieniami, zmusił obolałe nogi do pokonywania żelaznych stopni po trzy na raz.

Najwyższy podest znajdował się sześć stóp poniżej przewieszzonego gzymsu. Mallory wszedł na poręcz, złapał oburącz rzeźbioną kamienną krawędź. Przez chwilę wisiał dziewięćdziesiąt stóp nad ulicą, potem podciągnął się na rękach, zahaczył kolaniem o zwieńczenie muru i wturlał się na dach.

Leżąc płasko na brzuchu, zlustrował otaczającą go ciemność. Poziomą powierzchnię dachu przerywał tylko komin wentylatora i nadbudówka nad klatką schodową lub szybem windy.

Poczołgał się po dachu. Tę część budynku zajmował hotel, z parkingiem z tyłu. Z boku biegła szeroka na szesnaście stóp alejka. Po drugiej stronie, dziesięć stóp niżej, był dach sąsiedniego domu. Głuchy łoskot wstrząsnął dachem pod nogami Mallory’ego: jedno z pięter sędziwego gmachu zapadło się, gdy ogień strawił podpory.

Dym buchał ze wszystkich stron. Od strony parkingu płomienie wznosiły się trzydzieści stóp nad dach, dym włókł kaskadę iskier w mokre nocne niebo. Mallory podszedł do nadbudówki, znalazł zamknięte metalowe drzwi. Na bocznej ścianie wisiała zardzewiała drabina. Zerwał ją z haków, zaniósł na stronę uliczki. Musiał użyć całej siły, żeby odpiąć skorodowane kłamry i wysunąć drabinę na całą długość. Dwadzieścia stóp, ocenił. Może wystarczy.

Wysunął koniec drabiny i przesunął go coraz dalej, by wesprzeć na niższym dachu. Kruchy most ugiął się pod jego ciężarem. Pełzł ostrożnie, nie zwracając uwagi na kołysanie. Sześć stóp dzieliło go

od dachu, gdy poczuł, jak przeżarty rdzą metal ustępuje. Rzucił się desperacko przed siebie. Uratowało go jedynie to, że dach był na niższym poziomie. Wgramolił się przez blaszaną rynnę. Usłyszał krzyki na dole, gdy drabina roztrzaskała się na wyłożonej cegłami uliczce.

Paskudnie, pomyślał. Teraz wiedzę, gdzie jestem...

W dachu znajdowała się ciężka kłapa. Podniósł ją, zsunął się w ciemność po metalowej drabince, znalazł wyjście na korytarz, dotarł do schodów. Z dołu dochodziły ciche dźwięki. Zaczął schodzić.

Gdy był na czwartym piętrze, poniżej zapaliły się światła, rozbrzmiały głosy i tupot stóp. Zaszedł na trzecie piętro, przemknął korytarzem, skręcił do opuszczonego biura. Reflektory z ulicy rzucały skośne cienie okna na wyblakłe ściany.

Przeszedł wewnętrznymi drzwiami do pokoju od strony alejki. Zimny przeciąg, cuchnący dymem, wpadł przez okno bez szyb. Wąska uliczka wydawała się wyludniona. Ciało Paula zniknęło. Pęknięta drabina leżała tam, gdzie spadła. Ocenił, że od ziemi dzieli go dwadzieścia stóp; gdyby opuścił się na wyciągniętych rękach i skoczył, połamałby nogi...

Coś poruszyło się na dole. Umundurowany policjant stał wprost pod oknem, oparty plecami o ścianę. Mallory skrzywił twarz w wilczym uśmiechu. Jednym ruchem wysunął się za okno, przodem do ściany i wisiał przez chwilę na parapecie. Widział, jak policjant zadziera głowę, zobaczył przestraszony na jego twarzy, usta otwierające się do krzyku...

Puścił się; jego stopy uderzyły w głowę mężczyzny, łagodząc upadek. Przeturlał się, usiadł, na wpół oszołomiony. Policjant leżał twarzą do ziemi, z nienaturalnie wykrzywionym kręgosłupem.

Mallory pozbierał się na nogi — i niemal upadł, gdy ból przeszył prawą kostkę. Zwichnięta albo złamana. Zaciskając zęby, pokuśtykał wzdłuż muru. Lodowata deszczówka chlustała z rynny, wirowała wokół jego butów. Pośliznął się na śliskich cegłach, z trudem zachował równowagę. Z przodu ukazała się mniej gęsta ciemność parkingu za budynkiem. Jeśli zdoła tam dotrzeć, przejść na drugą stronę... wtedy może będzie miał szansę. Musi się udać — dla Moniki, dla dziecka, dla przyszłości świata.

Kolejny krok, jeszcze jeden. Zdawało mu się, że w kostce tkwi stalowy kolec. Ból promieniował z rannego boku przy każdym oddechu. Przesiąknięta krwią koszula i nogawka spodni kleiły się do ciała, lodowato zimne. Jeszcze dziesięć stóp, a rzuci się co sił w nogach...

Dwaj mężczyźni w czarnych mundurach Państwowej Służby Bezpieczeństwa zastąpili mu drogę, stanęli z blasterami na wysokości piersi. Mallory odepchnął się od ściany, stanął w rozkroku, przygotowując się na uderzenie pocisków, które zakończą jego życie. Zamiast kul snop światła przedarł się przez strugi deszczu, rażąc go w oczy.

— Pójdzie pan z nami, Mallory.

Czwarty

Nadal brak kontaktu, zameldowali Postrzegacze. Umysłom na poziomie najwyższym brakuje spójności; migoczą i odskakują w chwili, gdy ich dotykam/dotykamy.

Inicjatorzy wysunęli propozycję: Używając odpowiednich harmoniczných można utworzyć pole rezonansu, które wzmocni każdy lokalny umysł funkcjonujący w analogicznym rytmie.

Odkryłem/odkryliśmy, że najbardziej odpowiedni będzie wzór następującego rodzaju...
Ukazały się skomplikowane symbole.

KONTYNUOWAĆ W OPISANY SPOSÓB, polecił Egon. WSZYSTKIE FUNKCJE UBOCZNE ZOSTANĄ ZAWIESZONE DO CZASU OSIĄGNIĘCIA CELU.

Skupione na osiągnięciu jednego celu sensory Ree z ciemnego i milczącego statku sięgnęły przez przestrzeń kosmiczną, szukając podatnego ludzkiego umysłu.

Piąty

Pokój przesłuchań był nagim sześcianem białej emalii. W geometrycznym środku podłogi, pod oślepiająco białym panelem oświetleniowym, masywne krzesło z polerowanej stali rzucało atramentowoczarny cień.

Minęła minuta ciszy, potem w korytarzu zastukały obcasy. Do pokoju wszedł wysoki mężczyzna w prostej, ciemnej wojskowej bluzie. Uważnie spojrzał na więźnia. Jego szeroka, obwisła twarz była szara i pusta jak płyta nagrobka.

— Ostrzegałem cię, Mallory — powiedział głębokim, warkliwym tonem.

— Popelniasz błąd, Koslo — odparł Mallory.

— Jawnie aresztując bohatera, co? — Koslo rozchylił szerokie, szare usta w uśmiechu trupiej czaszki. — Nie oszukuj się. Malkontenci nie kiwną palcem bez swojego przywódcy.

— Na pewno jesteś gotów tak wcześnie wystawić swój reżim na próbę?

— Albo zaryzykuję, albo będę czekać, podczas gdy twoja partia będzie rosnąć w siłę. Wybrałem szybsze rozwiązanie. Nigdy nie byłem tak dobry w czekaniu jak ty.

— Cóż, do rana będziesz wiedział.

— Tak szybko? — Koslo opuścił ciężkie powieki, chroniąc oczy przed błyskami światła. Chrząknął. — Do rana będę wiedział wiele rzeczy. Zdajesz sobie sprawę, że twoje położenie jest beznadziejne? — Przesunął spojrzenie na krzesło.

— Innymi słowy, powinienem sprzedać ci informacje w zamian za... za co? Następne obietnice?

— Alternatywą jest krzesło — rzekł Koslo stanowczo.

— Pokładasz duże zaufanie w maszynie, większe niż w ludziach. To twoja wielka słabość.

Koslo wyciągnął rękę, pieszcząc gładki metal krzesła.

— Ten aparat został zaprojektowany dla osiągnięcia konkretnego celu przy minimalnym wysiłku z mojej strony. W układzie nerwowym osobnika stwarza warunki zbliżone do pamięci absolutnej i jednocześnie wzmacnia subartykulację, która towarzyszy wszelkiej wyższej aktywności mózgowej. Osobnik reaguje na wskazówki werbalne. — Umilkł. — Jeśli będziesz się opierać, zniszczy twój umysł, ale dopiero po tym, jak podasz nazwiska, miejsca, daty, strukturę organizacji, plany operacyjne — wszystko. Prościej będzie dla nas obu, gdy pogodzisz się z nieuniknionym i z własnej woli odpowiesz na moje pytania.

— A gdy już uzyskasz informacje?

— Wiesz, że mój reżim nie może tolerować opozycji. Im bardziej szczegółowe będą informacje, tym mniej poleje się krwi.

Mai lory pokręcił głową.

— Nie — rzekł krótko.

— Nie bądź głupcem, Mallory! To nie jest sprawdzian twojego męstwa!

— Może jest, Koslo: człowiek przeciwko maszynie.

Koslo popatrzył na niego. Machnął ręką.

— Przywiązać go.

Siedząc na krześle, Mallory czuł, jak zimny metal wysysa ciepło z jego ciała. Opaski krępowały mu ręce, nogi, tułów. Szeroki pierścień splecionych przewodów i plastiku wciskał jego głowę w profilowane oparcie. Naprzeciwko stał Fey Koslo.

— Gotowe, ekscelencjo — zameldował technik.

— Zaczynać.

Mallory spał się. Niezdrowe podniecenie ścisnęło mu żołądek. Słyszał o krześle, o jego zdolności do czyszczenia ludzkiego umysłu, do przemieniania człowieka w pustą, mamroczącą bez sensu skorupę.

Tylko wolne społeczeństwo, pomyślał, może stworzyć technologią, która umożliwia wprowadzenie tyranii...

Patrzył, jak technik w białym kitlu zbliża się, sięga do pulpitu sterowania. Pozostała mu jedna nadzieja: jeśli zdoła przezwyciężyć moc maszyny, przeciągnąć przesłuchanie, przetrzymać Kosla do świtu...

Nabite igłami zaciski ścisnęły mu skronie. Umysł natychmiast wypełnił się wirującymi gorączkowymi obrazami. Czuł, jak gardło zaciska się w niemym krzyku. Palce czystej siły worały się w jego mózg, wypierając stare wspomnienia, rozdzierając rany zagojone przez czas. Zdał sobie sprawę, że skądś napływa głos, zadaje jakieś pytania. Słowa drżały mu w gardle, pragnąc wyrwać się z ust.

Muszą stawić opór! Myśl błysnęła w głowie i przepadła, uniesiona prądem sondujących impulsów, które przepływały przez mózg niczym rwący potok. *Muszą wytrzymać... dość długo... by dać szansę innym...*

Szósty

Na pokładzie statku Ree nagle światła jarzyły się i mrgały na panelu, który otaczał centrum sterowania.

Wyczuwam/wyczuwamy nowy umysł — nadajnik wielkiej mocy, oznajmili nagle Perceptors. Ale obrazy są splątane. Wyczuwam/wyczuwamy walkę, opór...

PODDAĆ ŚCISŁEMU NADZOROWI, rozkazał Egon. ZAWĘŻAĆ ZAKRES I WYEKSTRAHOWAĆ REPREZENTATYWNY FRAGMENT OSOBOWOŚCI!

To trudne; wyczuwam/wyczuwamy potężne prądy nerwowe, sprzeczne z podstawowymi rytmemi mózgu.

ZWALCZYĆ JE!

Znów umysł Ree sięgnął, wniknął do złożonego pola-matrycy będącego umysłem Mallory'ego i zaczął metodycznie tropić i wzmacniać przyrodzone mu symetrie, wyłaniając w ten sposób naturalną egomozaikę wolną od rozpraszających kontrimpulsów.

Siódmy

Twarz technika zbielała jak kreda, gdy ciało Mallory'ego zeszywniało i napało na krępujące je pasy.

- Ty głupcze! — Głos Kosła smagnął go niczym bicz. — Jeśli umrze przed wyjawieniem...
- On... silnie walczy, ekscelencjo. — Oczy mężczyzny przesunęły się po tarczach przyrządów.
- Rytm alfa-delta w normie, choć wyolbrzymione — mruknął. — Wskaźnik metabolizmu .99...
- Ciało Mallory'ego zadygotało. Oczy otworzyły się, zamknęły. Usta poruszyły się.
- Dlaczego nie mówi? — warknął Kosło.
- To może chwilę potrwać, ekscelencjo, dostrojenie strumieni mocy do punktu rezonansu...
- Załatw to, głupcze! Zaryzykowałem zbyt wiele, aresztując tego człowieka, by teraz go stracić!

Ósmy

Rozgrzane do białości palce czystej siły sięgnęły z krzesła wzdłuż szlaków nerwowych w mózgu Mallory'ego — i napotkały nieugięty opór sondy Ree. W wyniku tej konfrontacji zmaltretowana jaźń Mallory'ego miotła się jak liść na wietrze.

Walcz! Ostatni strzęp świadomego intelektu zmobilizował się...

...i został pochwycony, zamknięty, zagarnięty i uniesiony. Mallory był świadom obracania się w wirującej mgłę białego światła przestrzelonego błyskami i wstęgami czerwieni, błękitu, fioleto. Czuł obecność wielkich sił, które naciskały na niego, rzucały nim tu i tam, rozciągały jego umysł niczym elastyczny przewód, aż sięgnął niczym most przez Galaktykę. Włókno pogrubiało, rozszerzyło się w błonę, która przepołowiła wszechświat. Płaszczyzna przybrała na grubości, nabrzmiała, by zawrzeć całą czasoprzestrzeń. Wyczuwał słabe i dalekie, niespokojne pulsowanie silników, które grasowały tuż za nieprzenikliwą membraną siły...

Wiążąca go sfera skurczyła się, nacisnęła, zmuszając świadomość do skupienia się ostrego jak igła. Wiedział, nie wiedząc o tym, że został zamknięty w hermetycznej, dusznej komorze, ograniczającej, klaustrofobicznej, odcinającej dźwięki i wrażenia. Wciągnął powietrze, by wrzasnąć...

Cisza. Tyko słaby puls przerażenia, szybko niknący, jakby tłumiony przez wstrzymującą go rękę. Sam w ciemności, Mallory czekał, wyostrzonymi zmysłami sondując otaczającą ciemność...

Dziewiąty

Mam/mamy go! — zameldowali Perceptors i ucichli. Na środku komory pulsowała energia, tworząca pułapkę zawierającą i kontrolującą wzór pojmanego umysłu.

PRÓBA ROZPOCZNIE SIĘ NATYCHMIAST. Egon zbył milczeniem pytające impulsy z tych segmentów umysłu, które zajmowały się spekulowaniem. WSTĘPNE BODŹCE ZOSTANĄ PRZYŁOŻONE I WYNIKI ODNOTOWANE. ZACZYNAĆ!

Dziesiąty

...i dostrzegł nagle światło po drugiej stronie pomieszczenia: zarys okna. Zamrugał, podniósł się na łokciu. Sprężyny łóżka zaskrzypiały. Odetchnął przez nos. Kwaśna woń dymu wisiała w dusznym powietrzu. Wyglądało na to, że jest w obskurnym pokoju hotelowym. Nie pamiętał, skąd się tu wziął. Odrzucił szorstki koc i poczuł pod bosymi stopami spalone deski podłogi...

Deski były gorące.

Poderwał się, podszedł do drzwi, chwycił klamkę — i gwałtownie oderwał rękę. Metal sparzył mu dłoń.

Podbiegł do okna, ściągnął na bok sztywne od brudu firanki, otworzył zasuwkę, pchnął skrzydło. Ani drgnęło. Cofnął się, wybił szybę. Kłęb dymu wpadł do pokoju. Okręcił rękę zasłonką, zmiotł odłamki szkła, przerzucił nogę przez parapet, wygramolił się na schody pożarowe. Zardzewiały metal wżynał się w białe stopy. Na oślep zszedł parę stopni — i zawrócił, gdy na dole wyduła się płachta czerwonych płomieni.

Przechylił się nad poręczą, zobaczył ulicę, kałuże światła na brudnym betonie dziesięć pięter niżej, białe twarze zwrócone w górę — blade plamy. Sto stóp dalej kołysała się wysuwana drabina strażacka, zbliżająca się do drugiego skrzydła płonącego budynku, nieosiągalna. Został opuszczony, spisany na straty. Nic go nie uratuje. Czterdzieści stóp niżej żelazne schody ginęły w piekle płomieni.

Byłoby łatwiej, szybciej, przejść przez poręcz, uciec przed bólem, umrzeć czysto, napłynęła myśl ze straszliwą jasnością.

Rozległ się dźwięczny trzask i okno ponad nim wybuchło. Parzące węgle posypały się na jego plecy. Żelazo pod nogami było gorące. Nabrał powietrza w płuca, osłonił twarz ręką i rzucił się na dół, przez smagające płomienie...

Czołgał się, staczał po okrutnych metalowych krawędziach stopni. Ból palił mu twarz, plecy, ramiona i ręce niczym rozgrzane do czerwoności żelazo, położone tu i zapomniane. Przed oczami mignęła dłoń, odarta ze skóry, brocząca, czarna...

Ręce i nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Na kolanach i łokciach pokonał jeszcze jedną krawędź, zsunął się na następny podest. Twarze majaczyły teraz bliżej; ręce wyciągały się w górę. Podniósł się na nogi, poczuł, jak ostatni odcinek schodów opuszcza się pod jego ciężarem. Przed oczami widział czerwoną plamę. Czuł, jak spalona skóra płatami odpada z ud. Wrzasnęła kobieta.

— ...mój Boże, spalony żywcem i chodzi! — pisnął ktoś przeraźliwie.

— ...biedny sukinsyn...

— ...jego ręce... bez palców...

Coś podniosło się, uderzyło go, upiorny cios, i ciemność się zamknęła...

Jedenasty

Reakcja istoty była anormalna, zameldowali Analizerzy. Ogromne przywiązanie do życia! W obliczu symulowanego zniszczenia fizycznego wybiera cierpienie i okaleczenie jedynie po to, by na krótki okres przedłużyć istnienie.

Istnieje możliwość, że taka reakcja stanowi tylko niezwykłą formę mechanizmu instynktownego, zaznaczyli Analizerzy.

Jeśli tak, to może okazać się niebezpieczne Konieczna większa ilość danych.

JA/MY BĘDZIEMY RESTYMULOWAĆ OBIEKT, oznajmił Egon. NALEŻY PRECYZYJNIE OKREŚLIĆ PARAMETRY INSTYNKTU PRZETRWANIA. KONTYNUOWAĆ PRÓBY!

Dwunasty

Na krześle Mallory zadygotał, potem jego ciało zwiotczało.

— Czy on...?

— Żyje, ekscelencjo! Ale dzieje się coś złego! Nie mogę wdrzeć się na poziom artykulacji!

Walczy ze mną, tworząc swoisty kompleks fantazji!

— Wyciągnij go z tego!

— Próbowałem, ekscelencjo. Nie mogą go dosięgnąć! Jakby podłączył się do źródła energii krzesła i używał jej do wzmocnienia własnego mechanizmu obronnego.

— Musisz nad nim zapanować!

— Próbują... ale jego siła jest kolosalna!

— W takim razie zwiejesz moc! — To... niebezpieczne, ekscelencjo.

— Nie gorsze od porażki!

Technik z ponurą miną zresetował panel, by zwiększyć przepływ energii przez mózg Mallory'ego.

Trzynasty

Obiekt porusza się! — wykrzyknęli Perceptors. *Nowa energia wpływa do mózgowola!*
Tracę/tracimy kontrolę...

ZDWOIĆ WYSIŁKI! NATYCHIAST RESTYMULOWAĆ, Z MAKSYMALNĄ MOCĄ
AWARYJNĄ!

Podczas gdy jeniec rzucał się i walczył z więzami, segmentowy umysł Obcego skoncentrował siły i wpompował nowe bodźce w złączone pole jego umysłu.

Czternasty

...Słońce paliło go w plecy. Lekki wiatr kołysał wysoką trawą rosnącą na stoku, gdzie ranny lew znalazł kryjówkę. Krople ciemnoczerwonej krwi przywierały do wysokich źdźbeł, zdradzając trasę ucieczki wielkiego drapieźnika. Był tam, rozplaszczony na ziemi w kępie kolczastych drzew, mrużąc żółte ślepie z bólu, jaki zadawała mu tkwiąca w piersiach kula kaliber .375, czekając z nadzieją na przyjście swojego oprawcy...

Serce tłukło mu się pod wilgotną koszulą khaki. Ciężki sztucer w rękach wydawał się zabawką — bezużyteczną zabawką w obliczu pierwotnej furii rannego zwierzęcia. Zrobił krok; wykrzywił usta w ironicznym grymasie. Co chciał udowodnić? Nie było tutaj nikogo, nikt się nie dowie, gdy zawróci i godzinę czy dwie przesiedzi pod drzewem, leniwie pociągając z manierki — podczas gdy lew będzie się wykrwawiać — a potem pójdzie i odszuka zdechłe zwierzę. Wiatr chłodził mu czoło. Nogi miał lekkie, silne. Odetchnął głęboko, smakując słodycz wiosennego powietrza. Życie nigdy nie wydawało się bardziej cenne...

Rozległo się niskie, astmatyczne kasznięcie i wielka bestia wypadła z cieni: obnażone żółte kły, mięśnie prężące się pod płową skórą, ciemna smuga krwi lśniąca na boku... Stanął w rozkroku i poderwał broń do ramienia, gdy lew szarżował w dół stoku. *Według podręcznika*, pomyślał drwiąco. *Mierzyć tuż nad mostkiem, przytrzymać, aż zyska się pewność...* Strzelił z odległości stu stóp — w chwili, gdy zwierzę skręciło w lewo. Kula trafiła daleko z tyłu, w żebra. Lew zachwiał się, odzyskał równowagę. Broń podskoczyła, huknął następny strzał i wyszczerzony pysk eksplodował, przemienił się w maskę czerwieni — a jednak zdychający drapieźca parł dalej.

Zamrugnął, żeby pozbyć się potu z oczu, skierował celownik zaraz za łopatkę...

Spust był zablokowany. Zerknął na broń, zobaczył łuskę zakleszczoną w komorze. Szarpał ją bezskutecznie, nie cofając się ani o krok. W ostatniej chwili uskoczył — pędzący potwór minął go, legł martwy w kurzu. Wtedy uderzyła go myśl, że gdyby Monika patrzyła z samochodu u stóp wzgórza, nie śmiałyby się z niego tym razem...

Piętnasty

Syndrom reakcji ponownie nie harmonizuje ze znanym mi/ nam z doświadczenia pojęciem rozsądku, komórki Recollectora ubrały w słowa paradoks, jaki pojmany umysł stanowił dla inteligencji Ree. Ta istota przywiązuje bezprecedensową wagę do kwestii osobistego przetrwania, a jednak, posłuszna abstrakcyjnemu kodeksowi symetrii behawioralnej, niepotrzebnie naraża się na ryzyko Kategorii Ostatecznej.

Zakładam/zakładamy, że wybrany segment osobowości nie reprezentuje obiektu analogicznego do Egona, podsunęli Speculatorzy. Wszystko wskazuje, że jest niekompletny, niezdolny do życia.

Wypróbuję/wypróbujemy selektywne wycofanie kontroli z nad peryferyjnych partii mózgowola, zaproponowali Inicjatorzy, tym samym umożliwiając większą koncentrację bodźca na matrycy centralnej.

Dopasowanie energii do pojmanego umysłu pozwoli monitorować jego rytmy i na drodze dedukcji znaleźć klucz do totalnej kontroli, zdecydowali szybko Kalkulatorzy.

Taki tryb postępowania niesie ryzyko rozerwania matrycy i zniszczenia okazu.

NALEŻY PODJĄĆ RYZYKO.

Z niewiarygodną precyzją umysł Ree zmniejszył zakres sondy, dostosowując kształt pola do konturów osaczonego mózgu Mallory'ego, dążąc do osiągnięcia relacji jeden do jednego z potokami energii płynącymi z krzesła przesłuchań.

Równowaga, zameldowali wreszcie Postrzegacze. Aczkolwiek niestabilna.

Następna próba musi być zaprojektowana w taki sposób, żeby ujawnić nowe aspekty syndromu przetrwania obiektu, zaznaczyli Analizerzy.

Zaproponowano i przyjęto wzór bodźca. Na pokładzie statku krążącego po orbicie sublunarniej, umysł–promień Ree znów wystrzelił, by wnikać w otwarty mózg Mallory'ego...

...Czerń ustępowała mglistemu światłu. Głębokie dudnienie wstrząsało skałą pod jego nogami. Przez wirujący pył wodny zobaczył tratwę, na niej niewielką postać: dziecko, dziewczynka może dziewięcioletnia, na czworakach, patrząca w jego stronę.

— Tatusiu! — Wysoki, cienki krzyk czystego przerażenia. Tratwa podskoczyła i zatańczyła w rozszalałym nurcie. Zrobił krok, pośliznął się, niemal przewrócił na śliskiej skale. Lodowata woda wirowała wokół jego kolan. Sto stóp dalej rzeka skręcała w szarym metalicznym łuku, w dół, przysłonięta kurtyną mgły własnego grzmiącego spadku. Odwrócił się, wspiął wyżej, pobiegł wzdłuż brzegu. Tam, z przodu, sterczała skalna ostroga. Może...

Tratwa poderwała się, okręciła pięćdziesiąt stóp dalej. Za daleko. Zobaczył bladą, drobną twarzyczkę, błagające oczy. Wezbrał w nim strach, lepki i mdlący. Wizja śmierci stanęła mu przed oczami, zobaczył swoje połamane ciało niesione przez rzekę poniżej wodospadu, woskowobiałe, leżące na płycie, śpiące, upudrowane i nieprawdziwe w wyłożonej satyną skrzyni, gnijące w zamkniętej ciemności pod obojętną darnią...

Drżąc, cofnął się o krok.

Na chwilę opadło go osobliwe poczucie nierzeczywistości. Pamiętał ciemność, wrażenie

klaustrofobii — i biały pokój, twarz, która pochylała się blisko...

Zamrugął — i w deszczu kropelek wzbijanych przez rzekę napotkał spojrzenie skazanego dziecka. Współczucie uderzyło go z siłą maczugi. Stęknął, czując czysty biały płomień gniewu na siebie, pogardy z powodu własnego strachu. Zamknął oczy i skoczył do wody, zanurzył się, wyłonił na powierzchnię, parskając. Młócił wodę rękami, zbliżając się do tratwy. Poczul ból, gdy prąd rzucił go na skałę, zakrztusił się, gdy woda chlusnęła mu w twarz. Napłynęła myśl, że połamane żebra już nie mają znaczenia, powietrze do oddychania też nie. Liczy się tylko dopędzenie tratwy przed progiem wodospadu, żeby ta mała, przerażona istotka nie musiała wkraczać samotnie w wielką ciemność...

Zacisnął ręce na szorstkim drewnie. Wciągnął się na tratwę, przytulił drobne ciało, gdy świat odpadł i ogłuszający grzmot wzniósł się mu na spotkanie...

— Ekscelencjo! Potrzebuję pomocy! — Technik zwrócił się do ponurego dyktatora. — Pompuję do jego mózgu dość mocy, by uśmiercić dwóch zwyczajnych ludzi, a on nadal walczy! Przysięgłbym, że przed chwilą na sekundę otworzył oczy i spojrzał prosto przeze mnie! Nie biorę odpowiedzialności...

— W takim razie odetnij zasilanie, ty tępny idioto!

— Nie śmiem! Sprzężenie zwrotne go zabije!

— On... musi... mówić! — wygrzytał Kosło. — Trzymaj go! Złam go! Inaczej obiecuję ci powolną i straszną śmierć!

Drżąc, technik zmienił ustawienie regulatorów. Mallory siedział spięty, już nie walcząc z pasami. Wyglądał jak człowiek zagubiony w myślach. Pot spływał mu po czole, po twarzy.

Szesnasty

Znów nowe prądy wzbierają w jeńcu!— oznajmili Postrzegacze z trwogą. *Pojemność jego umysłu podlega fluktuacjom!*

DOPASOWAĆ! — polecił Egon.

Moje/nasze zasoby mocy już są nadmiernie rozciągnięte! — wtrącili Kalkulatorzy.

WYCOFAĆ ENERGIĘ ZE WSZYSTKICH FUNKCJI PERYFERYJNYCH! ZMNIJSZYĆ MOC WSZYSTKICH OSŁON! MOMENT OSTATECZNEJ PRÓBY ZALEŻY ODE MNIE/NAS!

Umysł Ree szybko podporządkował się rozkazowi.

Kontakt z jeńcem zachowany, oznajmili Kalkulatorzy. Ale zaznaczam/zaznaczamy, że utrzymując takie połączenie, jesteśmy bezbronni w przypadku ataku.

NALEŻY PODJĄĆ RYZYKO.

Nawet teraz jego umysł zмага się z moją/naszą kontrolą!

TRZYMAĆ MOCNO!

Umysł Ree z ponurym zacięciem walczył o zachowanie kontroli nad mózgiem Mallory'ego.

SIEDEMNASTY

W jednej chwili go nie było. W następnej istniał. *Mallory, pomyślał. Ten symbol reprezentuje mnie/nas...*

Obca myśl zgasła. *Mallory*. Pamiętał kształt własnego ciała, czaszkę zawierającą mózg, wrażenia światła, dźwięku, ciepła — ale tutaj nie było dźwięków, nie było światła. Tylko otaczająca go ciemność, nieprzenikniona, wieczna, niezmienna...

Ale gdzie był?

Pamiętał biały pokój, chrapliwy głos Kosła, stalowe krzesło...

I potężny ryk wody pędzący mu na spotkanie...

I wyciągnięte pazury wielkiego drapieżnika...

I koszmar palących płomieni, które lizały mu ciało...

Ale teraz nie odczuwał bólu, nie odczuwał przykrości — żadnych wrażeń. Czy była to śmierć? Z miejsca odrzucił tę myśl jako bzdurę.

Cogito ergo sum. Jestem więźniem — tylko gdzie?

Jego zmysły drgnęły, sondując pustkę, bezmiar bez wrażeń. Wyteżył się, sięgając na zewnątrz — i usłyszał dźwięk: głosy, błagające, żądające. Zabrzmiały głośniejsze, budząc echa w przestworzu:

— ...mów, niech cię diabli! Gdzie są twoi główni pomocnicy? Jakiego wsparcia spodziewacie się ze strony sił zbrojnych? Którzy generałowie stoją po waszej stronie? Uzbrojenie...? Struktura organizacji...? Pierwsze punkty ataku...?

Oślepiające zakłócenia zatarły słowa, wypełniły wszechświat, ściemniały. Przez chwilę Mallory był świadom bólu, pasów wżynających się w napięte mięśnie przedramion, opaski zaciśniętej na głowie, zdrtwiałych mięśni...

...był świadom unoszenia się, nieważkiego, w morzu mrugających, błyskających energii. Opadły go zawroty głowy; gorączkowo walczył o zachowanie stabilności w świecie chaosu. Sięgnął przez

wirującą ciemność, znalazł matrycę czystego kierunku, zda się nieuchwytną, ale na tle zmiennych potoków energii stanowiącą jedyną siatkę orientacyjną. Złapał się jej, przytrzymał...

Osiemnasty

Całkowite rozłączenie awaryjne! Receptorzy wysłali komendę do wszystkich 6934 jednostek umysłu Ree — i zastygli, wstrząśnięci. *Umysł jeńca przywiera cło łączy! Nie możemy się uwolnić!*

Obcy zapulsował z ogromnego szoku, wywołanego przez niespodziewaną reakcję jeńca i znieruchomiał na ułamek nanosekundy niezbędny do przywrócenia równowagi międzysegmentowej.

Sila wroga, choć bezprzykładnie wielka, nie zaburzy integralności mojego/naszego jednopola, oświadczyli Analizerzy z napięciem. *Ale muszę/musimy natychmiast się wycofać!*

NIE! BRAKUJE MI/NAM WYSTARCZAJĄCYCH DANYCH DO ZASADNEGO PRZERWANIA FAZY PIERWSZEJ, sprzeciwił się Egon. MAMY DO CZYNNIENIA Z UMYSŁEM RZĄDZONYM PRZEZ SPRZECZNE POPĘDY O WIELKIEJ SILE. KTÓRY JEST NAJWAŻNIEJSZY? TO KLUCZ DO JEGO PORAŻKI.

Mijały cenne mikrosekundy, gdy złożony umysł spieszenie skanował mózg Mallory'ego, szukając symboli, z których mógłby złożyć niezbędną strukturę całościową.

Gotowi, oznajmili Integratorzy. Ale trzeba zaznaczyć, że żaden umysł nie wyjdzie bez szwanku z bezpośredniej konfrontacji z imperatywami antagonistycznymi. Czy przyłożyć bodziec, który spowoduje nieodwracalne zmiany?

POTWIERDZAM, decyzja Egona zabrzmiała jak nieodwołalny wyrok. PRÓBA NISZCZĄCA.

Dziewiętnasty

Iluzje, powiedział sobie Mai lory. Jestem bombardowany przez iluzje...

Wyczuł zbliżanie się czoła masywnej nowej fali, która opadła na niego jak grzywacz łamiący się na Pacyfiku. Z ponurą determinacją przywarł do wątego punktu orientacyjnego... Ale miażdżący cios rzucił go w ciemność.

Daleko, naprzeciwko niego stał zamaskowany Inkwizytor.

— Bólem nic się nie osiągnie — mówił stłumiony głos. — Groźba śmierci cię nie wzrusza. A jednak jest pewien sposób... — Kurtyna rozsunała się na boki i zobaczył Monikę, wysoką, smukłą, wibrująco żywą, piękną jak łania. Obok niej stało dziecko.

Zawołał „Nie!” i rzucił się do przodu, ale zatrzymały go łańcuchy. Patrzył, bezradny, jak brutalne ręce chwytają kobietę, przesuwają się mimochodem, ale lubieżnie po jej ciele. Inne ręce złapały dziecko. Widział groźbę malującą się na drobnej twarzyczce, strach w oczach...

Strach, który widział już wcześniej...

Ale ją też przecież widział wcześniej. Była jego córką, bezcenną latoroślą jego i tej smukłej kobiety...

Moniki, poprawił się.

...widział te oczy w wirującej mgie nad progiem wodospadu...

Nie. To był sen. Sen, w którym spotkała go gwałtowna śmierć. Był jeszcze inny sen, o walce z rannym lwem, który szarżował na niego...

— Tobie nic się nie stanie. — Głos Inkwizytora zdawał się napływać z niewiarogodnej dali. — Ale do końca życia będziesz nosić w pamięci widok ich ciał ćwiartowanych na żywo...

Jego uwaga gwałtownie wróciła do kobiety i dziecka. Zobaczył, jak ręce obnażają szczupłe, opalone ciało Moniki. Naga, stała przed nimi, nie starając się osłonić. Ale czy był jakiś pożytek z odwagi? Kajdany na jej rękach łączyły się z hakiem osadzonym w wilgotnej kamiennej ścianie. Rozżarzone żelazo zbliżało się do poblądłej skóry. Zobaczył, jak skóra ciemnieje i pokrywa się pęcherzami. Żelazo wniknęło w ciało. Monika zeszywniała, wrzasnęła...

Wrzasnęła kobieta.

— *Mój Boże, spalony żywcem* — pisnął ktoś przeraźliwie

— *a jeszcze chodzi!*

Spojrzał w dół. Nie było rany, nie było blizny. Skóra była cała. Ale ulotne prawie— wspomnienie napłynęło z trzasku płomieni, które pograżyły go w białej agonii, gdy wciągnął je w płuca...

— Sen — powiedział na głos. — Ja śnię. Muszę się zbudzić!

— Zamknął oczy i potrząsnął głową...

Dwudziesty

— Potrzęsnał głową! — wykrztusił technik. — Ekscelencjo, to niemożliwe, ale przysięgam, że ten człowiek wyzwala się spod kontroli maszyny!

Koslo brutalnie odepchnął go na bok. Złapał drążek sterujący, pchnął do przodu. Na krześle Mallory zeszywniał. Oddychał chrapliwie, urywanie.

— Ekscelencjo, ten człowiek umrze...

— Niech zdycha! Nikt nie będzie sprzeciwiać mi się bezkarnie!

Dwudziesty pierwszy

Zawęzić pole! — Postrzegacze przesłali rozkaz do sześciu tysięcy dziewięciuset trzydziestu czterech produkujących energię segmentów umysłu Ree. *Walka nie może trwać długo! Niemal straciliśmy jeńca...!*

Promień sondy zwęził się, dżgając żywe jądro mózgu Mallory'ego, nakładając wybrane wzory...

Dwudziesty drugi

...dziecko zakwiliło, gdy długie na stopę ostrze zbliżyło się do delikatnego gardła. Sękata pięść trzymająca nóż niemal pieszczotliwie przeciągnęła nim po skórze, pod którą rysowała się sieć błękitnych żyłek. Szkarłatna krew spłynęła z płytkiej rany.

— Jeśli wyjawisz mi sekrety Bractwa, twoi towarzysze broni zginą — zabrzączał głos zamaskowanego Inkwizytora. — Lecz jeśli trwać będziesz w uporze, twoja kobieta i dziecko poddane zostaną wszelkim katuszom, jakie może wymyślić moja pomysłowość.

Naparł na łańcuchy.

— Nie mogę ci tego powiedzieć — wychrypiał. — Nie rozumiesz? Nic nie jest warte takiego koszmaru! Nic...

Mc nie mógł zrobić, żeby ją uratować. Kulila się na tratwie, skazana. Mógł jednak do niej dołączyć...

Ale nie tym razem. Tym razem stalowe łańcuchy nie pozwalały mu się zbliżyć. Szarpnął je z całej siły i łyzy zaćmiły mu oczy...

Dym zaćmiewał mu oczy. Spojrzał w dół, zobaczył twarze zwrócone w górę. Z pewnością szybka śmierć lepsza jest od aktu samospalenia. Jednak przysłonił twarz dłonią i ruszył w dół...

Nigdy nie zdradzę twego zaufania! głos kobiety brzmiał czysto jak trąbka w wąskim lochu.

Tatusiu! — krzyknęło dziecko.

Możemy umrzeć tylko raz! zawołała kobieta.

Tratwa runęła w dół, w kotłujący się chaos...

— Mów, do diabła! — W głosie Inkwizytora zabrzmiała nowa nuta. — Chcę znać nazwiska, miejsca! Kim są twoi wspólnicy? Jakie są wasze plany? Kiedy zacznie się powstanie? Na jaki sygnał czekają? Gdzie...? Kiedy...?

Mallory otworzył oczy. Oślepiające białe światło, wytrzeszczone oczy w wykrzywionej twarzy, która wisiała tuż przed nim.

— Ekscelencjo! Zbudził się! Wyrwał się...

— Włącz pełną moc! Zmuś go, człowieku! Zmuś go do mówienia!

— Bo... Boję się, ekscelencjo! Manipulujemy najpotężniejszym instrumentem wszechświata: ludzkim mózgiem! Kto wie, co tworzymy...

Kosło odepchnął go, przesunął dźwignię do oporu.

Dwudziesty trzeci

...ciemność wybuchła w skrzęcej się jasności, która stała się konturami pokoju. Stał przed nim przezroczysty człowiek, w którym rozpoznał Kosła. Patrzył, jak dyktator odwraca się ku niemu z grymasem na twarzy.

— A teraz gadaj, cholera!

Jego głos miał osobliwą, upiorną cechę, jakby reprezentował tylko jeden poziom rzeczywistości.

— Tak — powiedział Mallory wyraźnie. — Będę mówić.

— I jeśli skłamiesz... — Kosło wyszarpnął z kieszeni prostej bluzy pistolet samopowtarzalny. — Osobiście wpakuję ci kulę w łeb!

— Moimi najbliższymi współpracownikami w spisku — zaczął Mallory — są... — Wymieniając nazwiska, delikatnie odłączył się — takie określenie przyszło mu na myśl — od otaczającej go sceny. Na jednym poziomie był świadom własnego głosu, podającego fakty, których ten drugi łaknął tak chciwie. I sięgnął, odprowadzając kanałem kontaktu moc wpływającą w niego z krzesła, przez ogromne odległości skompresowane teraz do bezwymiarowej płaszczyzny. Ostrożnie parł coraz dalej, wnikając w dziwną, rozmigotaną sieć żywych energii. Nacisnął, znalazł słabe punkty, wtłoczył więcej mocy...

Nagle zobaczył okrągłe pomieszczenie. Wokół mrugały i jarzyły się światła. Z tysięcy uszeregowanych komórek wystawały białe obłe formy o tępo zakończonych, ślepych głowach...

ON TU JEST! — wrzasnął ostrzegawczo Egon i pchnął wiązkę czystej siły umysłu wzdłuż kanału kontaktu — i spotkał się z kontr-wiązką energii, która przepaliła go, szerniła i zwęgliła skomplikowane organiczne obwody jego mózgu, zostawiła dymiącą wyrwę w szeregu komórek. Przez chwilę Mallory odpoczywał, wyczuwając szok i oszołomienie przenikające pozbawione przywódcy segmenty umysłu Ree. Poczł odruchowy impuls śmierci, który opadł je, gdy zrozumiały, że zniknęła przewodnia, nadrzędna moc Egona. Na jego oczach jedna jednostka zapadła się do środka i zgasła. I druga...

— Stać! — rozkazał Mallory. — Przejmuję kontrolę nad kompleksem umysłu! Niech segmenty połączą się ze mną!

Bezwolne fragmenty umysłu Ree posłuchały.

— Zmiana kursu — polecił Mallory. Podał niezbędne instrukcje, potem wycofał się wzdłuż kanału kontaktu.

Dwudziesty czwarty

— A więc wielki Mallory pękł. — Koslo kołysał się na piętach przed unieruchomionym ciałem swojego wroga. Roześmiał się. — Nie kwapiłeś się, ale gdy raz zacząłeś, śpiewasz jak najęty. Zaraz wydam rozkazy i do świtu twoja poroniona rewolta przemieni się w stos zwęglonych trupów, spiętrzony na placu ku przestrodze! — Podniósł pistolet.

— Jeszcze nie skończyłem — powiedział Mallory. — Spisek sięga głębiej niż myślisz, Koslo.

Dyktator przeciągnął ręką po szarej twarzy. Jego oczy wyrażały straszliwe napięcie ostatnich godzin.

— Gadaj więc — warknął. — Szybko!

...mówiąc, Mallory przesunął swoją nadrzędną świadomość, ustawił ją w rezonansie z ujarzmioną inteligencją Ree. Poprzez sensory statku zobaczył nabrzmiewającą białą planetę. Zwolnił, wprowadził statek na długi paraboliczny kurs, wszedł pod ostrym kątem w stratosferę. Siedemdziesiąt mil nad Atlantykiem wleciał w wysoką warstwę mgły i znów zwolnił, gdy wyczuł ciepło kadłuba.

Pod chmurami pomknął w stronę wybrzeża. Opadł na wysokość czubków drzew, zlustrował okolicę przez wrażliwe płyty kadłuba...

Przez długą chwilę przyglądał się krajobrazowi. Potem nagle zrozumiał...

Dwudziesty piąty

— Dlaczego się uśmiechasz, Mallory? — Głos Kosła był ostry; pistolet mierzył w głowę więźnia. — Powiedz mi, co tak śmieszy człowieka, który siedzi w celi śmierci zarezerwowanej dla zdrajców.

— Za chwilę się dowiesz... — Urwał, gdy z zewnątrz dobiegł huk. Podłoga zatrzęsała się i zakołysała, Kosło zachwiało się. Przetoczyło się echo głuchego łoskotu. Drzwi otworzyły się na oścież.

— Ekscelencjo! Atak na stolicę! — mężczyzna upadł. W jego plecach ziała wielka rana. Kosło odwrócił się do Mallory'ego...

Z grzmiącym trzaskiem ściana pokoju wyrzuciła się i wpadła do wnętrza. W wyrwie pojawiła się błyszcząca torpeda, skomplikowany aparat z polerowanego metalu, unoszący się lekko na pękach błękitno—białego światła. Pistolet w ręce dyktatora poderwał się, wypalił ogłuszająco w zamkniętej przestrzeni. Na dziobie intruza zamrugało różowe światło. Kosło okręcił się wokół osi, upadł ciężko na twarz.

Długi na dwadzieścia osiem cali krążownik Ree zatrzymał się przed Mallorym. Promień wysunął się, przepalił pulpit sterowniczy krzesła. Kajdany opadły.

Czekam/Czekamy na twój/nasz następny rozkaz, przemówił bezdźwięcznie umysł Ree w grobowej ciszy.

Dwudziesty szósty

Minęły trzy miesiące od referendum, dzięki któremu John Mallory wstąpił na urząd jako premier Pierwszej Republiki Planetarnej. Stał w pokoju swych przestronnych apartamentów w pałacu prezydenckim, ze ściągniętymi brwiami patrząc na smukłą jasnowłosą kobietę, która mówiła z żarem:

— John... boję się tej... tej piekielnej maszyny, wiecznie unoszącej się, czekającej na twoje rozkazy.

— Dlaczego, Moniko? Ta piekielna maszyna, jak ją nazywasz, umożliwiła wolne wybory i nawet teraz trzyma w szachu starą organizację Kosła.

— John... — Złapała go za ramię. — Z tym... z tą rzeczą... zawsze będącą na twoje skinienie, możesz kontrolować każdego, wszystko na Ziemi! Nikt nie może ci się sprzeciwić!

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Nikt nie powinien dysponować taką władzą, John. Nawet ty. Żaden człowiek nie powinien być poddawany takiej próbie!

Ściągnął brwi.

— Złe użyłem władzy?

— Jeszcze nie. Właśnie dlatego...

— Sugerujesz, że to zrobię?

— Jesteś człowiekiem, obdarzonym ludzkimi uczuciami.

— Proponuję tylko to, co jest dobre dla mieszkańców Ziemi — odparł ostro. — Mam dobrowolnie odrzucić jedyną broń, która może ochronić naszą z trudem zdobytą wolność?

— Ale, John, kimże ty jesteś, by arbitralnie orzekać, co jest dobre dla mieszkańców Ziemi?

— Przewodniczącym Republiki...

— Nadal jesteś człowiekiem. Przestań — póki jeszcze nim jesteś!

Uważnie spojrzał jej w twarz.

— Jesteś zła, że mi się powiodło? Co mam zrobić? Zrezygnować?

— Chcę, żebyś odesłał tę maszynę tam, skąd się wzięła. Zaśmiał się.

— Straciłaś rozum? Jeszcze nawet nie zacząłem zgłębiać technologicznych tajemnic, jakie skrywa statek Ree.

— Nie jesteś na nie gotowy, John. Rasa nie jest gotowa. Ten statek już cię zmienił. W końcu zniszczy cię jako człowieka.

— Bzdura. Całkowicie nad nim panuję. Jest jak przedłużenie mojego umysłu...

— John, błagam. Nie dla mojego ani dla twojego dobra, ale dla Diany.

— Co dziecko ma z tym wspólnego?

— Jest twoją córką. Widuje cię raz na tydzień.

— To cena, jaką musi zapłacić progenitura największego człowieka... to znaczy... cholera, Moniko, obowiązki nie pozwalają mi spocząć na laurach i osiąść w podmiejskich pieleszach.

— John... — Jej głos był szeptem, bolesnym w swoim natężeniu.

— Odeślij to.

— Nie. Nie odeślę.

Pobladła.

— Niech będzie, John. Jak sobie życzysz.

— Tak. Jak sobie życzę.

Po jej wyjściu Mallory stał przez długi czas, patrząc przez wysokie okno na mały statek, który unosił się w błękitnym powietrzu pięćdziesiąt stóp dalej, milczący, gotowy.

Potem: *Umyśle Ree* — wysłał wezwanie. *Zbadaj apartamenty kobiety, Moniki. Mam powody podejrzewać, że knuje zdradę stanu...*

Tłum. Maria Gębicka-Frąc

Posłowie:

Proces pisania jest często oświecający, tak dla mnie jak mam nadzieję, również dla czytelnika.

Zacząłem to opowiadanie z koncepcją poddania istoty ludzkiej najwyższej próbie w taki sam sposób, w jaki inżynier przeprowadza próbę niszczącą, obciążając belkę aż do momentu pęknięcia. Najsurowszymi sprawdzianami są dla nas sytuacje, z którymi wiążą się silne emocje: strach, miłość, złość mobilizują nas do największych wysiłków. Tak zarysował się szkielet historii.

Gdy się rozwinęła, stało się oczywiste, że każda władza wystawiająca ludzi na próbę — jak zrobili Koslo i Ree — kładzie na szali swój własny los.

W końcu Mallory ujawnił prawdziwą ludzką siłę, wykorzystując potęgę wrogów przeciwko nim samym. Zdobył nie tylko wolność, ale i nową kolosalną władzę nad ludźmi.

Dopiero wtedy wyszło na jaw niebezpieczeństwo, które wiąże się z takim totalnym zwycięstwem. Najwyższa próba człowieka dotyczy jego zdolności do panowania nad samym sobą.

To próba, której jak dotąd nie przeszliśmy pomyślnie.

Wprowadzenie do „Aniołów Raka”:

Jest to ostatni napisany wstęp, choć nie ostatni w tej książce. Ostatni, bo odkładałem go przez długi czas, bynajmniej nie z powodu niedostatku materiałów na temat Normana Spinrada, ale ponieważ jest ich tak wiele. Pewien czołowy wydawca książek w twardych oprawkach twierdzi, że Norman jest najmłodszym talentem, jaki od wielu lat wyłonił się na polu fantastyki. Inny wydawca, tym razem czasopisma, mówi, że Norman jest ohydny pisarzem (choć kupuje jego prace — sami wyciągnijcie wnioski). Ja myślę, że Norman pisze jak wariat. Kiedy jest zły, utwór nie nadaje się do czytania, co zdarza się nieczęsto. Kiedy jest dobry, porywa się na tematy i style, na które rzuciłby się tylko świr (z góry wiedząc, że zadanie jest niemożliwe), i ma czelność prezentować je w spektakularny sposób.

Weźmy na przykład jego wkład do tej antologii. To zabawna opowiadka o raku. A teraz powiedzcie mi, że nie jest to dziewicza gleba, nietknięta przez Leacocka, Benchleya czy Thurbera.

Spinrad jest produktem Bronxu. Jest dzieckiem ulicy, z klasycznym głodem dokonań, wybicia się, statusu i dóbr doczesnych, pchającym biedaków na szczyt. Naprawdę uważa, że nie ma czegoś, czego nie mógłby zrobić, czego nie może napisać. On nie pisze tej powieści czy tamtego opowiadania, on pisze karierę i wyrzuca z siebie tom za tomem. W wieku dwudziestu sześciu lat zapowiada się na pierwszego od czasów Bradbury’ego i Clarke’a pisarza, który w wielkim stylu wdrze się w główny nurt gatunku. Jego motywy nie zużywają się jak ubranie i manifestują się w oczywiste sposoby. Gdy saldo jego rachunku w banku spada poniżej tysiąca dolarów, robi się nerwowy, nieznośny i zdeterminowany, zmienia się jak Jekyll–Hyde. Gdy zaświta mu w głowie szczerozłoty pomysł, miota się w tę i z powrotem, przewraca oczami, drapie się po głowie, staje upozowany na środku pokoju, krzyżując nogi jak jakiś wielki rudogłowy ptak gotów do lotu. Jest stworzeniem emocji, w najszerszym pojęciu. Z miłości przejedzie przez cały kontynent. Z przyjaźni skoczy w emocjonalny wir, byle ktoś nie utonął. Nienawiść pchnie go do rzucania mięsem i morderczej chęci zepchnięcia innych wozów z drogi. Ciekawość gna go tam, gdzie ani aniołowie, ani głupcy nie postawiliby nogi. Ma wyjątkowe zdolności krytyczne; sam widziałem, jak wysunął poprawną teorię zachowania społecznego na podstawie błahego, przypadkowego zdarzenia. Jest łatwowierny. Jest cyniczny. Wie, co w trawie piszczy, ale nie ma zielonego pojęcia, gdy ktoś robi go w konia. Jest naprawdę mądrym człowiekiem i frajerem pierwszej wody. Ludzie nie rozumieją go, jednakże były czasy, gdy widywałem jak głupawi adepci sztuki formy rozbierali go na czynniki pierwsze. Jego pierwsza powieść (*The Solarians*, 1966) jest taka zła, że nie daje się czytać. Jego trzecia powieść (*The Men in the Jungle*) jest taka olśniewająca, że pali niczym powierzchnia słońca.

Urodził się w Nowym Jorku w 1940, po nadzwyczaj wielu latach edukacji ukończył Bronx High School of Science, „mocno przecenioną fabrykę szalonych naukowców, neurotycznych młodocianych geniuszy, rzucających bomby anarchistów i Stockeleya Carmichaela, który skończył rok po mnie.” W 1961 opuścił mury City College New York jako jedyny w dziejach tej instytucji *bachelor* nauk ezoterycznych. (Wybrał sobie takie przedmioty kierunkowe, jak cywilizacja japońska, literatura

azjatycka, nowelistyka i geologia.)

W ostatnim semestrze na CCNY profesor od nowelistyki dosłownie stawał na głowie, żeby doprosić się opowiadania — mniej więcej tak jak ja musiałem błagać na okoliczność tej książki. Norman wcisnął niczego nie podejrzewającemu pedantowi opowiadanie tak plugawe, że do dziś nie doczekało się publikacji. Profesor jednakże był pod wrażeniem i zaproponował Normanowi przedłożenie dziełka *Playboyowi*. Pisemko miłośników króliczków odrzuciło je (choć później naprawiło swoją krótkowzroczność w kwestii spinradiańskiej publikując „Deathwatch”), ale to wystarczyło, by Spinrad wpadł w nawyk wysyłania swoich prac do czasopism. Wydawało się to znacznie bardziej rozsądne, niż zapychanie nimi szczelin w ścianach dla poprawy izolacji. (Prosta logika. Jeśli czasopismo kupuje opowiadanie, człowiek pakuje w ścianę *pieniądze*.)

Po studiach pojechał do Meksyku, gdzie złapał wiele różnych bezimiennych chorób i pogorszył jedną starą, już znaną z imienia W jakiś niewytłumaczalny sposób to przekonało go do zostania pisarzem. Wrócił do Nowego Jorku, by mieszkać i pracować w Greenwich Village. Spędził pewien czas w szpitalu, gdzie nabawił się czegoś zwanego toksycznym zapaleniem wątroby, przez bite pięć dni miał 43 stopnie gorączki, majaczył i odpierał stażystów basenem, dzwoniąc do Pentagonu (na koszt abonenta, ma się rozumieć; nie był aż *tak* szurnięty) i budząc jakiegoś generała o drugiej nad ranem, i w ten sposób zyskując pomysł na opowiadanie do tejże antologii — interakcja między zewnętrznym i wewnętrznym światem mityczne—subiektywnym. Cokolwiek u licha to znaczy.

W 1962 sprzedał swoje pierwsze opowiadanie, „The Last of the Romany”, do *Analog*. Tym samym wywołał pogłoskę, że jest „pisarzem Campbella”, czemu gwałtownie zaprzecza — wszędzie, tylko nie w obecności Johna W. Campbella, wydawcy *Analog*, bo wtedy ogranicza się do głupawego szczerzenia zębów i mówienia: „Tak, John”. To żaden wstyd. Nie znam *żadnego* pisarza będącego pisarzem Campbella ani nawet pisarza piszącego dla Campbella [to dwie różne rzeczy, zapewniam], który nie byłby gorliwym potakiwaczem. Ja nigdy nie byłem. Nigdy nie sprzedawałem do *Analogu*). Pomijając fuchę w agencji literackiej i miesiąc pracy w opiece społecznej (Norman nagrabił im tyle, że czuł, iż wypada wynagrodzić szkody przez zastraszenie innych biednych młodzieńców i ich suchotniczych pociech), od tej pory jest pełnoetatowy pisarzem. (Niektórzy mówią, że uprawia twórczość literacką na ćwierć etatu, bo w pełnym wymiarze godzin jest nieobliczalny!)

Swoją drugą powieść w miękkiej oprawie opublikował — poza *The Solarians*, któremu to dziełu już poświęciłem niepochlebłą wzmiankę — wraz z *The Men in the Jungle* w tym roku. Ta ostatnia, naprawdę oryginalna, wyrosła z projektu opowiadania dla tego zbioru oraz głębokiego zatroskania moralnością i taktyką tak zwanych „wojen o wyzwolenie narodowe” w stylu wietnamskim.

Ukazała się też jego powieść zatytułowana *Bug Jack Barron*, którą nazywa „synteza–powieścią napisaną dla zaspokojenia różnych — choć niekoniecznie sprzecznych — żądań poważnego awangardowego ugrzecznionego powieściopisarstwa głównego nurtu i *science fiction*; spójną Nova Express na swój sposób.” Spinrad daje się ponieść własnemu talentowi. Czytałem fragmenty *Bug Jack Barron*. Nie jest to żadna synteza—powieść czy jak on to zwał, nie ma nic wspólnego z awangardą, głównym nurtem ani niczym w tym stylu. *Bug Jack Barron* jest przede wszystkim okropnie plugawa. Sprzeda się jak ciepłe bułki.

Ale póki wasze umysły nie mogą zostać odpowiednio zbrukane pełnym blaskiem obrzydliwości Spinrada, proponuję odrobinę zepsucia w postaci „Aniołów Raka”, zabawnej powiastki o raku.

Norman Spinrad
Carcinoma Angels

Aniołowie Raka

W wieku dziewięciu lat Harrison Wintergreen po raz pierwszy odkrył, że świat jest jego ostrym, gdy spojrzeć na niego z boku. Miało to miejsce tego roku, kiedy w modzie były karty z bejsbolistami. Dzieciak z największą kolekcją kart uchodził za mistrza. Harry Wintergreen postanowił zostać mistrzem.

Harry uciułał dolara i kupił sto kart jak leci, bez wybierania. Miał szczęście, bo wśród nich trafił się bardzo rzadki Yogi Berra. W trzech różnych transakcjach wymienił pozostałe dziewięćdziesiąt dziewięć kart na jedyne pozostałe w okolicy trzy Yogi Berry. Zredukował swój stan posiadania do czterech kart, ale zdobył wyłączność na Yogi Berrę. Wywindował jego cenę na niebotyczny pułap osiemdziesięciu kart za sztukę. Dzięki zgromadzonemu w ten sposób tajemnemu funduszowi udało mu się zmonopolizować rynek Mickeya Mantle'a, Willy Maysa i Pee Wee Reese'a i zostać J. P. Morganem, potentatem kart bejsbolowych.

Harry prześliznął się przez szkołę średnią dzięki prostemu zabiegowi, polegającemu na mistrzowskim opanowaniu jednego przedmiotu — sztuki ściągania. W ciągu lat nauki udało mu się wyprowadzić w pole każdego autora testu i z dziecinną łatwością zdobyć siedem stypendiów.

Na studiach Harry odkrył dziewczyny. Będąc względnie przystojny i względnie niewymagający, w normalnym biegu wypadków dokonałby wielu podbojów. Ale umysł Harrisona Wintergreena nie pracował w normalny sposób.

Harry z pietyzmem kultywował jąkanie i w zależności od sytuacji mówił płynnie lub zaciął się wzruszająco. Niewiele dziewcząt mogło oprzeć się pokusie, jaką stanowił przystojny, oblatany i sprytny facet z tajemniczą wewnętrzną raną, która przyprawiała go o wadę wymowy. Wiele dziewczyn próbowało zgłębić sekret Harry'ego, podczas gdy Harry eksplorował dogłębnie dziewczyny.

Na drugim roku Harry znudził się studiami i doszedł do wniosku, że zostanie Obrzydliwie Bogaty. Przez miesiąc pilnie studiował powieści erotyczne, w ciągu następnych dwóch napisał trzy własne i z miejsca sprzedał je po 1.000\$ za sztukę.

Za zarobione 3.000\$ kupił błyszczący nowy kabriolet. Pojechał nim na meksykańską granicę do powszechnie znanego przygranicznego miasta. Bezwłocznie skontaktował się z pucybutem o wątpliwej reputacji i kupił funt marihuany. Pucybut rzecz jasna dał cynk straży granicznej i kiedy Harry próbował wrócić przez most do Stanów, rozebrali go do naga. Niczego nie znaleźli i Harry bez przeszkód przekroczył granicę. Nie przeschmuglował absolutnie nic z Meksyku; gwoli ścisłości, marihuanę wyrzucił zaraz po zakupieniu.

Odniosł jednakże wymierną korzyść z meksykańskiego embarga na amerykańskie samochody, sprzedając kabriolet na lewo za 15.000\$.

Harry zabrał uzyskane 15.000\$ do Las Vegas i przez sześć tygodni stawiał ludziom drinki, pożyczał splukanym graczom pieniądze i generalnie odgrywał rolę świętego Mikołaja o policzkach porośniętych młodzieńczym meszkiem, wkradając się w łaski właściwych pijaków i przepuszczając 5.000\$.

Pod koniec szóstego tygodnia miał trzy poufne informacje giełdowe, dzięki którym w ciągu dwóch miesięcy pozostałe 10.000\$ rozmnożyło się w 40.000\$.

Harry kupił czterysta złomowanych jeepów z nadwyżek rządowych w czterech partiach po 10.000\$ za setkę i natychmiast odsprzedał je pewnemu wysoce podejrzanemu rządowi z Ameryki Środkowej za 100.000\$.

Wziął 100.000\$ i kupił małą wysepkę na Pacyfiku, tak bezwartościową, że żaden rząd nigdy nie wysunął do niej roszczeń. Zainstalował się jako niezależny rząd bez podatków i sprzedał dwadzieścia akrowych działek dwudziestu milionerom szukającym rajy podatkowego po 100.000\$ za działkę. Trzy tygodnie po pozbyciu się ostatniej z nich, Stany Zjednoczone z poparciem ONZ zawłaszczyły wysepkę i oddały ją pod kontrolę Urzędu Skarbowego.

Harry zainwestował niewielką część ze swoich 2.000.000\$ i na dwanaście godzin wypożyczył wielki komputer. Komputer opracował system typowania, dzięki któremu Harry rozmnożył 2.000.000\$ w 20.000.000\$, wyciągając z różnych angielskich totalizatorów sportowych w sumie 18.000.000\$.

Za 5.000.000\$ kupił od zubożałego arabskiego sułtanatu wielgachny kawał jałowej pustyni. 2.000.000\$ zapłacił za szeroko zakrojoną kampanią informacyjną, która wmówiła światu, że ta część pustyni dosłownie pływa na ropie. Za następne 3.000.000\$ założył fikcyjną korporację, która udawała wielkie towarzystwo naftowe i publicznie zaproponowała mu kupno jego pustyni za 75.000.000\$. Po żartowej licytacji marionetkowa firma ustąpiła placu wielkiej amerykańskiej spółce naftowej, która za 100.000.000\$ stała się właścicielem tysiąca mil kwadratowych piasku.

I tak oto Harrison Wintergreen w wieku dwudziestu pięciu lat został Obrzydliwie Bogaty. Stracił zainteresowanie pieniędzmi.

Teraz zdecydował, że chce Czynić Dobro. Czynił Dobro. Obalił siedem niesympatycznych rządów latynoamerykańskich, zastępując je sześcioma socjaldemokracjami i jedną dobrotliwą dyktaturą. Nawrócił plemię łowców głów z Borneo na różokrzyżowstwo. Założył dwanaście domów spokojnej starości dla dziwek, które wypadły z obiegu i zorganizował program kontroli urodzin, który polegał na wysterylizowaniu dwunastu milionów płodnych Hindusek. Znalazł sposób, by na powyższych przedsięwzięciach zarobić kolejne 100.000.000\$.

W wieku trzydziestu lat Harrison Wintergreen dał sobie spokój z Dobroczynieniem. Postanowił Zostawić Ślady Swoich Stóp na Piaskach Czasu. Zostawił Ślady Swoich Stóp na Piaskach Czasu. Napisał powieść o królu Faruku, która zyskała międzynarodowy poklask. Wynałazł filtr Wintergreena, membranę przepuszczającą słodką wodę, ale nie przepuszczającą soli. Jego Zakłady Odsalania Wody mogły odsalać nieograniczoną ilość wody, przy czym koszt odsolenia jednego galona był bliski zera absolutnego. Harry namalował jeden obraz i natychmiast zaproponowano mu za niego 200.000\$. Podarował go Muzeum Sztuki Współczesnej, gratis. Wyhodował zmutowanego wirusa, który niszczył bakterię syfilisu. Jak syfilis, wirus przenosił się drogą płciową. Był umiarkowanie łagodnym afrodyzjakiem. Syfilis został wyeliminowany w ciągu osiemnastu miesięcy. Harry kupił wyspę niedaleko wybrzeża Kalifornii, skałę sterczącą na pięćset stóp z Pacyfiku. Kazał z niej wyrzeźbić wysoki na pięćset stóp posąg Harrisona Wintergreena.

W wieku trzydziestu ośmiu lat Harrison Wintergreen Zostawił wystarczająco dużo Śladów Swoich Stóp na Piaskach Czasu. Był znudzony. Rozglądał się zachłannie za nowymi światami do podbicia.

I ten oto człowiek w wieku czterdziestu lat dowiedział się, że jest nieuleczalnie chory na raka. Pozostał mu rok życia.

Wintergreen spędził pierwszy miesiąc ostatniego roku życia na poszukiwaniu lekarstwa na terminalnego raka. Odwiedzał laboratoria, uczelnie medyczne, szpitale, kliniki, Wielkich Doktorów, znachorów, cudownych ozdowieńców, uzdrowicieli wiarą i Małe Stare Panie w Tenisówkach. Nikt nie znał lekarstwa na stadium terminalne raka, cieszącego się poważaniem czy wręcz przeciwnie. Tak podejrzewał i mniej więcej taką miał nadzieję. Nie miał innego wyjścia, jak samemu zmierzyć się z problemem.

Przez następny miesiąc przygotowywał wszystko, by samemu zmierzyć się z problemem. Kazał wzniesić na środku pustyni w Arizonie klimatyzowaną, otoczoną murem willę. W willi była całkowicie zautomatyzowana kuchnia z zapasem jedzenia na rok. Było laboratorium biologiczne i biochemiczne warte 5.000.000\$. Była biblioteka mikrofilmów wartości 3.000.000\$, zawierająca wszystko, co do słowa, co kiedykolwiek napisano na temat raka. Była apteka, która zaćmiewała inne apteki szerokim asortymentem dosłownie wszystkich istniejących leków, łącznie z truciznami, środkami przeciwbólowymi, halucynogenami, dandrycydami, antyseptykami, antybiotykami, czynnikami wirusobójczymi, proszkami na ból głowy, heroiną, chininą, kurarą, cudownymi miksturami na łupież i na porost włosów. Apteka kosztowała 20.000.000\$.

W willi znajdował się również radiotelefon jednokierunkowy, wielki zapas podstawowych związków chemicznych, łącznie z promieniotwórczymi, Koran, Biblia, Tora, Księga Umarłych, Nauka i zdrowie z kluczem do Pisma Świętego, I Ching oraz dzieła wszystkie Wilhelma Reicha i Aldousa Huxleya. Był też wielki i ultradrogi komputer. Nim willa została ostatecznie przygotowana, fundusz Wintergreena na drobne wydatki skurczył się niemal do zera.

Mając dziesięć miesięcy na zrobienie tego, co świat medyczny uważał za niemożliwe, Harrison Wintergreen wszedł do swojej cytadeli.

W czasie pierwszych dwóch miesięcy przekopywał się przez bibliotekę, śpiąc trzy godziny na dobę i faszując się regularnie amfetaminą. Biblioteka nie miała do zaoferowania niczego oprócz danych. Przetrwał dane i przeszedł do apteki.

W ciągu następnego miesiąca wypróbował chlorotetracyklinę, bacytracynę, fluorek cynawy, heksylrezolcynę, kortyzon, penicyliną, sześcioklorofinę, ekstrakt z wątroby rekina i 7312 innych wybranych cudów współczesnych nauk medycznych, wszystkie bez rezultatu. Zaczął odczuwać ból, który natychmiast uśmierzył i odtąd stale uśmierzał morfiną. Uzależnienie od morfiny było pomniejszym utrapieniem.

Przetestował różne chemikalia, substancje promieniotwórcze, czynniki wirusobójcze, naukę chrześcijańską, jogę, modlitwę, lewatywę, specyfiki, herbatę ziołową, czary i dietę jogurtową. To pochłonęło kolejny miesiąc, w czasie którego kontynuował wyniszczanie organizmu, śpiąc coraz mniej, za to biorąc coraz więcej amfetaminy i morfiny. Nic nie działało. Zostało mu sześć miesięcy.

Balansował na krawędzi rozpacz. Zmienił taktykę. Usiadł w wygodnym fotelu i przez czterdzieści osiem godzin non stop kontemplował własny pępek.

Medytacje zaowocowały ciężkim przypadkiem przemęczenia oczu i dwoma znaczącymi słowami: „spontaniczna remisja”.

W ciągu dwóch miesięcy badań Wintergreen natknął się na liczne przypadki, gdy rak nagle cofał się i pacjent, który nie rokował nadziei, wracał do zdrowia. Nikt nie wiedział jak, ani dlaczego. Zjawiska tego nie można było przewidzieć, nie można było sztucznie wywołać, ale tym niemniej występowało. Z braku lepszego wyjaśnienia nazwano je remisją spontaniczną. „Remisja” oznaczała wyleczenie. Określenie „spontaniczna” oznaczało, że nikt nie wiedział, co ją powoduje.

Co nie znaczy, że przyczyna nie istniała.

Wintergreen był dobrej myśli; mało tego — wpadł w euforię. Wiedział, że niektórzy śmiertelnie

chorzy na raka wrócili do zdrowia. Tym samym rak terminalny mógł zostać wyleczony. Tym samym problem został przeniesiony z królestwa niemożliwości do domeny wysokiego nieprawdopodobieństwa.

A robienie rzeczy wysoce nieprawdopodobnych było jego specjalnością.

Mając przed sobą sześć miesięcy życia, Wintergreen z radosnym zapałem zabrał się do pracy. W bibliotece zawierającej kompendium wiedzy o raku wyszukał wszystkie znane przypadki remisji spontanicznej. Wprowadził do komputera dane dotyczące medycznej historii pacjenta, jego leczenia, wieku, płci, wyznania, rasy, orientacji politycznej, koloru skóry, narodowości, temperamentu, stanu cywilnego, wskaźnika zdolności kredytowej Duna & Bradstreeta, neuroz, psychoz i ulubionych gatunków piwa. Do komputera Harry'ego Wintergreena trafiły kompletne charakterystyki każdej jednej nieuleczalnie chorej na raka istoty ludzkiej, która wyzdrowiała.

Wintergreen zaprogramował komputer na wyszukanie korelacji między dziesięcioma tysiącami odrębnych i różnych czynników a spontanicznymi remisjami. Jeśli choć jeden czynnik — wiek, zdolność kredytowa, ulubione jedzenie — będzie korelatywny ze spontaniczną remisją, spontaniczny czynnik zostanie wyodrębniony.

Wintergreen wybulił za komputer i oprogramowanie 100.000.000\$. Był to najlepszy cholerny komputer świata. W dwie minuty i 7.894 sekundy wykonał swoje zadanie. Krótko i węzłowato odpowiedział:

„Brak korelacji.”

Spontaniczne remisje nie korelowały z żadnym czynnikiem zewnętrznym. Nadal były spontanicznie; przyczyna pozostała nieznana.

Człowiek mniejszego formatu byłby zdruzgotany. Człowiek bardziej konwencjonalny popadłby w osłupienie. Harrison Wintergreen wpadł w uniesienie.

Za jednym zamachem wyeliminował cały świat zewnętrzny jako czynnik odpowiedzialny za spontaniczną remisję. Wynikało z tego, że w jakiś tajemniczy sposób ludzkie ciało i/lub psychika zdolne są wyleczyć się same.

Wintergreen postanowił zeksplorować i podbić własny świat wewnętrzny. Rzucił się do apteki i przygotował straszliwą miksturę. W największą strzykawkę naciągnął co następuje: novocainę, morfinę kurarę, *vlut*, rzadką truciznę z Azji Centralnej, powodującą czasową ślepotę, olfaktorkainę, ściśle tajny neutralizator zapachu używany przez hodowców skunksów, tympanolinę, lek czasowo znieczulający nerwy słuchowe (używany początkowo przez senatorów–obstrukcjonistów), wielką dawkę benzydryny, kwas lizerginowy, psylocybinę, meskalinę, ekstrakt peyotu, siedem innych wysoce eksperymentalnych i nad wyraz nielegalnych halucynogenów, oko traszki i palec psa.

Wintergreen ułożył się na najwygodniejszej kanapie. Potarł alkoholem żyłę po wewnętrznej stronie łokcia i wstrzyknął sobie ten dekokt czarownicy.

Serce mu załomotało. Krew rwała, niosąc tajemnicze składniki do wszystkich części ciała. Novocaina otępiła nerwy czuciowe, co do jednego. Morfina wyeliminowała wrażenie bólu. *Vlut* odebrał mu wzrok. Olfaktorkaina odcięła zmysł powonienia. Tympanolina sprawiła, że zrobił się głuchy jak sędzia od wykroczeń drogowych. Kurara sparaliżowała go.

Wintergreen znalazł się sam we własnym ciele. Nie docierał do niego żaden bodziec zewnętrzny. Był w stanie absolutnej deprywacji sensorycznej. Opadło go nieodparte pragnienie pogrążenia się w stanie błogiej nieświadomości. Choć obdarzony stalową wolą, nie zachowałby przytomności bez wspomaganie. Końska dawka amfetaminy nie pozwoliła mu zasnąć.

Był przytomny, świadomy, sam w świecie własnego ciała, odcięty od zewnętrznych bodźców, które mogłyby go zdekoncentrować.

Raptem, najpierw pojedynczo, potem seriami, jak ciosy wymierzane przez dobrego, szybkiego pięściarza wagi ciężkiej, zasypały go halucynacje.

Narządy zmysłów Wintergreena zostały wyłączone, ale ośrodki mózgowe, które odbierały wrażenia, nadal były aktywne. Na tychże ośrodkach skupił się straszny atak halucynacji. Widział fantomy kolorów, kształtów, rzeczy bez nazwy czy formy. Słyszał przeraźliwe symfonie, upiorne echa i wycie. Milion niewiarygodnych zapachów przetaczał się przez jego mózg. Pozorny ból kłuł, szarpał, rwał i piłował, jakby jego całe ciało zostało amputowane. Ośrodki czuciowe w mózgu funkcjonowały jak potężny odbiornik radiowy nastawiony na puste pasmo — wypełnione bezsensownym szumem wzrokowym, słuchowym, węchowym i czuciowym.

Narkotyki otępiały mu zmysły. Dzięki amfetaminie nie tracił przytomności. Czterdzieści lat bycia Harrisonem Wintergreenem pozwalało mu zachować opanowanie i rozsądek.

Przez nieokreślony czas słańał się pod wpływem ciosów, po omacku badając to dziwne non—środowisko. Potem stopniowo, zrazu z wahaniem, ale później z coraz większą pewnością siebie, spróbował przejąć kontrolę. Jego umysł skonstruował nieprawdziwe, lecz użyteczne analogie działań, które nie były działaniami, stanów, które nie były stanami, danych zmysłowych niepodobnych do jakichkolwiek danych zmysłowych odbieranych przez ludzki mózg. Analogie, skonstruowane w swego rodzaju skalkulowanym szaleństwie przez jego podświadomość w celu brutalnego przekształcenia niepojętego w namacalne, umożliwiały mu również radzenie sobie z non—środowiskiem tak, jakby było to zwyczajne środowisko, przekładając mentalne zmiany na analogi działań.

Harry wyciągnął analogiczną rękę i dostroił metaforyczne radio, do wewnątrz, z dala od pustego pasma zewnętrznej strony wszechświata, w kierunku jeszcze nie używanego pasma własnego ciała, wewnętrznego świata, gdyż tylko to mogło uratować jego umysł przed chaosem.

Stroił, regulował, wymuszał, walczył, czuł, jak jego umysł napiera na powierzchnię rozdziału o grubości atomu. Tłukł w nią, w analogiczną przejrzystą membranę między umysłem a wewnętrznym światem ciała, a błona rozciągała się, prężyła, wybrzuszała do wewnątrz, cieniała... i wreszcie pękła. Jak Alicja na drugą stronę lustra, tak jego analogiczne ciało przeszło przez membranę i stanęło po drugiej stronie.

Harrison Wintergreen znalazł się wewnątrz własnego ciała.

Był to świat cudów i ohydy, świat majestatyczny i niedorzeczny. Wintergreen, zanalogizowany przez umysł jako ciało w prawdziwym ciele, przebywał wewnątrz rozległej sieci pulsujących arterii, przypominającej jakiś monstualny system drogowy. Analogia skryształizowała się. Wintergreen jechał jedną z dróg. Nadęte worki zasilają ruch, pompując hormony, produkty przemiany materii, czynniki odżywcze. Białe ciała krwi wymijały go jak szalone taksówki. Czerwone krwinki sunęły jednostajnie niczym flegmatyczne mieszczuchy. Ruch narastał, „pojazdy” tłoczyły się, jak w godzinie szczytu w centrum miasta. Wintergreen jechał dalej, szukając, wypatrując.

Skreślił w lewo, przeciął trzy pasma i pomknął prosto ku węzłowi chłonnemu. I wtedy to zobaczył — skupisko białych krwinek przypominające karambol z udziałem dwunastu aut i pędzącego w ich stronę motocyklistę o chytrych oczach.

Czarny motocykl. Czarny skórzany kombinezon. Czarna, matowa twarz motocyklisty, tylko oczy czerwone jak krew. I błyszczące szkarłatne ćwieki z przodu i na plecach czarnej motocyklowej kurtki, układające się w napis: „Aniołowie Raka”.

Wintergreen z dzikim okrzykiem wcisnął gaz do deski i pomknął swoim analogicznym wozem po hipotetycznej autostradzie prosto za wyobrażonym motocyklistą, komórką raka.

Brzdęk! Łup! Trzask! Samochód Wintergreena zderzył się z motorem i motocyklista eksplodował,

przemieniając się w chmurę delikatnego czarnego pyłu.

Wintergreen przemierzał autostrady układu krążenia, śmigał wzdłuż arterii, włókł się w dół żył, przepychał cal po calu przez wąskie naczynia włoskowate, tropiąc ubranych w czerń motocyklistów, Aniołów Raka, rozgniatając ich w pył pod kołami...

I znalazł się w ciemnym wilgotnym lesie płuc, jadąc na śnieżnobiałym analogicznym rumaku, z wyobrażoną lancą czystego światła w dłoni. Dzikie czarne smoki o krwawoczerwonych ślepiach i ruchliwych czerwonych jęzorach prześlizgiwały się za sękatymi pniami wielkich drzew pęcherzyków płucnych. Święty Wintergreen spiął wierzchowca, zniżył lancę i przeszywał syczące potwory jednego po drugim, aż wreszcie święty płucolas oczyszczony został ze smoków...

Szybował w wielkiej wilgotnej grocie, ponad nim wisiały niewyraźne balony gigantycznych narządów, poniżej rozciągała się bezkresna przestrzeń lśniącej i śliskiej równiny otrzewnej.

Zza osłony ogromnego bijącego serca wyskoczyła z rykiem formacja czarnych myśliwców, z insygniami „R” na skrzydłach i kadłubach.

Wintergreen zwiększył obroty silnika i rzucił się do walki. Krążył wokół bandytów, strzelał do nich z karabinów maszynowych i bandyci, najpierw pojedynczo, potem całymi gromadami, spadali na otrzewną i stawali w płomieniach...

Czarno-czerwoni przeciwnicy atakowali pod tysiącami postaci i w tysiącach przebrań. Czarny, kolor zapomnienia, czerwony, kolor krwi. Smoki, cykliści, samoloty, stwory morskie, żołnierze, czołgi i tygrysy w naczyniach krwionośnych, płucach, śledzionie, klatce piersiowej i pęcherzu — Aniołowie Raka, wszędzie.

A Wintergreen staczał swoje analogiczne bitwy w równej liczbie wcieleń, jako kierowca, rycerz, pilot, nurek, żołnierz, mahout, z ponurą i dziką satysfakcją zaściewając poję bitewne swojego ciała czarnym pyłem pobitych Aniołów Raka.

Walczył i walczył, zabijał i zabijał, i wreszcie...

Wreszcie znalazł się po kolana w morzu soków trawiennych uderzających z pluskiem o ściany wilgotnej jaskini swojego żołądka. A w jego stronę przemykał na chitynowych nogach potworny czarny rak o krwawoczerwonych oczach, opasły, pękaty, pierwotny.

Chrzęszcząc, zgrzytając, rak pędził przez żołądek. Wintergreen przystanął, uśmiechnął się wilczo, skoczył wysoko w powietrze i wylądował obunóż na twardym czarnym pancerzu.

Jak wysuszona na słońcu tykwa, krucha, sucha i pusta, rak zapadł się pod jego ciężarem i rozpadł na milion zakurzonych kawałków.

I Wintergreen został sam, wreszcie sam, zwycięski, rozgromiwszy wszystkich Aniołów Raka, co do jednego.

Harrison Wintergreen, sam we własnym ciele, zwycięski i znów szukający nowych światów do podbicia, czekał, aż narkotyki przestaną działać, czekał na powrót do świata, który zawsze był jego ostrygą.

Czekał, czekał i czekał...

Zajrzyjcie do najlepszego sanatorium świata, a znajdziecie tam Harrisona Wintergreena, który postanowił zostać — i został — Obrzydliwie Bogaty, Harrisona Wintergreena, który Czynił Dobro, Harrisona Wintergreena, który Zostawił Odciski Swoich Stóp na Piaskach Czasu, Harrisona Wintergreena, katatoniczne warzywo.

Harrisona Wintergreena, który wszedł do wnętrza własnego ciała, by stoczyć bitwę z Aniołami Raka, i wygrał.

I nie może wyjść.

Posłowie:

Rak. Rak stał się szeptanym słowem, słowem mitycznym, słowem magicznym, słowem brudnym; rak, wybaczenie wyrażenie, jest syfem dwudziestego wieku. Wybitne Osobistości Publiczne uciekają przed jego skutkami w sposób znany nam z rubryki zgonów we wszystkich gazetach: umierając „po długiej, wyniszczającej chorobie” albo „z przyczyn naturalnych.” Rak „Rak” jeszcze bardziej stracił w niektórych z co bardziej wrażliwych kolumn astrologicznych; jego kawałek zodiakalnego tortu zajęty został przez „Księżycowe Dzieci”, bo uznano, że przypominanie jednej dwunastej czytelników, iż urodzili się pod znakiem komórkowego szaleństwa, źle wpływa na krążenie, nie wspominając o przewodzie pokarmowym.

Jak to więc jest z rakiem? (Do tej chwili przeczytaliście słowo „rak” sześć razy. Doszukaliście się już jakichś podejrzanych objawów?) Instytut Gallupa dowodzi, że siedmiu na dziesięciu Amerykanów woli zaawansowany syfilis od raka. Taka niepopularność musi z czegoś wynikać, ale z czego? Tylko z tego, że rak sprawia, iż ciało pożera się niczym wygłodniała hiena? Tylko z tego, że rak jest psychozą na poziomie komórkowym? Tylko z tego, że rak nie daje się wyjaśnić i uleczyć na poziomie obiektywnej rzeczywistości?

Ale co z poziomem rzeczywistości mitycznej? Jakże inaczej wyobrażacie sobie walkę z mitem? Niech Czarna Magia walczy z Białą Magią. Czy rak nie może być psychosomatyczną (magiczne słowo, jedyne w swoim rodzaju), fizyczną manifestacją jakiegoś psychicznego wampiryzmu? Przecież stanowi Najwyższą Formę Kanibalizmu — ciało pożera samo siebie, komórka po komórce.

Czy nie wolelibyście zapomnieć o tym niezdrowym, nieprzyjemnym temacie i pomyśleć o czymś miłszym, na przykład o kuchenkach gazowych czy Ograniczonej Prewencyjnej Wojnie Termonuklearnej?

Ostatecznie, jak Henry Miller mówi w swoim wstępie do *The Subterraneans*, „Rak! Szmak! Co za różnica, póki jest się zdrowym!”

Wprowadzenie do „Auto–Da–Fé”:

Okresowe poddawanie się próbom w celu stwierdzenia, na ile solidny jest materiał, z jakiego jesteście zbudowani, działa odświeżająco. Takim sprawdzianem jest zakończenie tej książki. Pokusa rozpoczęcia antologii od A–jak–Asimov i zakończenia jej na Z–jak–Żelazny przyprawiała mnie niemal o dreszcz rozkoszy. Jednakże na koniec przeznaczyłem „Chipa” Delany’ego (z powodów, które wyjaśnię w *jego* wstępie), a Rogera Żelaznego przesunąłem na przedostatnie miejsce. Czynnikiem decydującym było uznanie. Delany potrzebuje prezentacji. Żelazny już wspiął się na boskie wyżyny i nie potrzebuje pomocnej dłoni.

Roger Żelazny jest wymizerowanym, ascetycznym człowiekiem o polsko–irlandzko–pensylwańsko–holenderskich korzeniach, tudzież o pełnym rezerwy i łagodnym obejściu maskującym poczucie humoru, którego mógłby pozazdrościć mu Torquemada. Urodził się, jak wydawca niniejszej antologii, w Ohio, a dokładnie w Euclid. To smętne miasteczko, gdzie kiedyś istniała lodziarnia sprzedająca trzy gałki po dziewięć centów, ale było to dawno temu. Oto co Żelazny mówi o swojej pracy poprzedzającej karierę literacką: „Szybka wspinaczka ku mrokom zapomnienia w kręgach rządowych jako specjalista od odszkodowań w ubezpieczeniach społecznych.” Uczęszczał do Western Reserve University i na uniwersytet Columbia. Bóg jeden wie, czy ukończył te uczelnie, ale to nie ma nic do rzeczy. Jedynym żyjącym pisarzem, który ma bardziej indywidualne niż on podejście do języka angielskiego, jest Nabokov. Obecnie Żelazny mieszka w Baltimore z wyjątkowo urodziwą żoną Judy, która jest dla niego o niebo za dobra.

Żelazny, autor takich nagrodzonych opowiadań jak *Pan snów*, *Róża dla Eklezjastesy*, *Ja, nieśmiertelny* i *Bramy jego twarzy*, *lampy jego ust*, ma czelność przepadać za nagrodami. (Nawiasem mówiąc, właśnie nakładem wydawnictwa Doubleday ukazała się jego powieść, *Pan światła*). W wieku dwudziestu dziewięciu lat może się pochwalić nagrodą Hugo i dwoma Nebulami, upokarzając starsze, bardziej siwe, mądrzejsze głowy, które pracowały trzy razy dłużej i pięć razy ciężiej, a stworzyły dzieła w jednej dwudziestej tak dobre. To naprawdę nieprzyzwoite, jak na tak młodego człowieka.

I to naprawdę jest dziwne, bo przecież w pracach Żelaznego nie ma nic młodego. Jego historie rzucają na kolana swoją dojrzałością i mądrością, brawurą stylu łamiącą zasady, o istnieniu których większość pisarzy ma tylko mgliste pojęcie. Jego koncepcje są świeże, ataki śmiałe, rozwiązania categoryczne, co nieubłaganie prowadzi nas do wniosku, że Roger Żelazny jest wcieleniem Geoffreya Chaucera.

Rzadko kiedy pisarz spotyka się z takim uznaniem i sławą we wczesnych etapach twórczości (zwłaszcza w kapryśnej dziedzinie science fiction). Dzięki wytrwałości, talentowi i osobistemu postrzeganiu świata nazwisko Rogera Żelaznego zajmuje czołowe miejsce na każdej liście najlepszych współczesnych pisarzy fikcji spekulatywnej. Możemy cieszyć się na myśl o wielu bardzo dobrych opowiadaniach, które w przyszłych latach spłyną z jego maszyny do pisania, a póki co zajmijmy się poniższym cierpkim komentarzem, wnikliwą ekstrapolacją naszej „kultury mobilnej”.

Roger Želazny
Auto-da-fé

Auto–Da–Fe

Nadal pamiętam gorące słońce na piasku Plaza del Autos, krzyki sprzedawców napojów orzeźwiających, rzędy ludzi upakowanych naprzeciwko mnie po słonecznej stronie areny, z ciemnymi okularami jak jamy w błyszczących twarzach.

Nadal pamiętam zapachy i kolory: czerwienie, błękity i żółcienie, wszechobecną woń spalin w powietrzu.

Nadal pamiętam ten dzień, ten dzień ze słońcem na środku nieba i w znaku Barana, płonącym w porze kwitnienia. Przypominam sobie drobne kroczyki pompiaży, zadarte głowy, wymachujące ręce, oślepiającą biel zębów ujętych w ramy uśmiechniętych ust, chustki jak barwne ogony zwisające z tylnych kieszeni ich kombinezonów; i klaksony — pamiętam ryk tysięcy klaksonów w głośnikach, włączanych i wyłączanych, wyłączanych i włączanych, na okrągło, i jeszcze raz, ryk zakończony jedną roziskrzoną ostatnią nutą, zawieszoną, raniącą ucho i serce swoją bezmierną siłą, swoim patosem.

Potem zapadła cisza.

Widzę to dziś wyraźnie jak owego dnia, tak dawno temu...

Wszedł na arenę i krzyk, który rozbrzmiał, wstrząsnął błękitnym niebem wspartym na filarach z białego marmuru.

— „*Viva!* „*El mechador!* „*Vivat* „*El mechador!*”

Pamiętam jego twarz, ciemną, smutną i mądrą.

Miał długą szczękę i długi nos, jego śmiech brzmiał jak ryk wichury, ruchy przypominały muzykę thereminu i werbla. Kombinezon miał błękitny, jedwabny, opięty, szyty złotą nicią i przybrany czarnym galonem. Kurtkę zdobiły naszyte perełki i łuski błyszczące na piersi, na ramionach, na plecach.

Skrzywił usta w uśmiechu człowieka, który zaznał chwały i dźwierz władzę mającą przynieść mu jeszcze większe zaszczyty.

Ruszył wokół areny, nie osłaniając oczu przed słońcem.

Nie musiał. Manolo Stilleto Dos Muertos wznosił się ponad słońce. Był największym mechadorem, jakiego widział świat: czarne buty na nogach, tłoki w udach, palce o precyzji mikrometrów, aureola ciemnych kędziorów na głowie i anioł śmierci w prawicy, tam, w środku zaplamionego olejem kręgu prawdy.

Machnął ręką i krzyk zbudził się raz jeszcze.

— Manolo! Manolo! Dos Muertos! Dos Muertos!

Po dwóch latach nieobecności na arenie wybrał ten dzień, rocznicę śmierci i odejścia na emeryturę, by wrócić — miał bowiem we krwi benzynę i metyl, a jego serce było wypolerowaną pompą ujętą w pierścien żądz i odwagi. Dwa razy zginął na arenie i dwa razy medycy przywrócili go do życia. Po drugiej śmierci wycofał się i niektórzy powiadali, że zrobił to, bo poznał smak strachu. Nie mogło to być prawdą.

Machnął ręką i jego imię znów przetoczyło się po trybunach.

Ponownie zagrzmiały klaksony: trzy długie sygnały.

Następnie znowu zapadła cisza. Pompierz w czerwono–żółtym stroju przyniósł mu pelerynę, zdjął kurtkę.

Cynfoliowa podszewka błysnęła w słońcu, gdy Dos Muertos zawirował peleryną.

Potem rozległo się ostatnie trąbienie.

Wielkie drzwi podniosły się i wsunęły w ścianę.

Mechador udrapował pelerynę na ramieniu i zwrócił się twarzą ku bramie.

Nad nią płonęło czerwone światło, a z ciemności dobiegał pomruk silnika.

Światło zmieniło się na żółte, potem na zielone i z bramy napłynął dźwięk ostrożnie wrzucanych biegów.

Samochód wjechał powoli na arenę, zatrzymał się, przesunął kawałek do przodu, znów znieruchomiał.

Był to czerwony pontiac. Maskę miał zdartą, silnik jak gniazdo węży, kłębiących się i mnożących za kolistym lśnieniem niewidocznego wentylatora. Skrzydełka anteny obróciły się parę razy dookoła, wreszcie znieruchomiały, skupione na mechadorze i jego pelerynie.

Manolo wybrał na rozgrzewkę ciężką maszynę, niezbyt zwrotną.

Bębny mózgu pontiaca, które nigdy wcześniej nie zarejestrowały człowieka, wirowały.

Potem samochód zyskał świadomość swojego rodzaju i ruszył.

Manolo załopotał peleryną i kopnął w zderzak, gdy auto przemykało z rykiem.

Drzwi wielkiego garażu zamknęły się.

Wóz dotarł na przeciwległą stronę areny i zatrzymał się, zaparkował.

Krzyki pogardy, gwizdy i syki wzniosły się nad widownią.

Lecz pontiac nawet nie drgnął.

Dwaj pompierze z wiaderkami wyłonili się zza osłony i obrzucili błotem przednią szybę.

Samochód z rykiem rzucił się za tym bliższym, uderzył w ogrodzenie. Potem nagle zawrócił, namierzył mechadora i przypuścił atak.

Dos Muertos wykonał figurę zwaną *veronica*, która uczyniła zeń posąg w srebrzystej spódnicy. Widownia szalała z entuzjazmu.

Pontiac zawrócił i zaszarżował raz jeszcze, i zdumiał mnie talent mechadora, albowiem wydawało się, że jego guziki zadrapały wiśniowy lakier na boku karoserii.

Wóz zatrzymał się, przekręcił koła, ruszył wokół areny.

Tłum ryknął, gdy przemknął obok mechadora i zatoczył koło.

I znów się zatrzymał, może pięćdziesiąt stóp dalej.

Manolo stanął tyłem do niego i pomachał ręką do widzów.

...Znowu wiwaty i skandowanie imienia.

Dał znak komuś za ogrodzeniem.

Pompierz wysunął się zza osłony i przyniósł na aksamitnej poduszce chromowany klucz nastawny.

Manolo odwrócił się i ruszył w stronę pontiaca.

Samochód stał w miejscu, drżąc, i Manolo strącił kluczem nakrętkę chłodnicy.

Strumień wody strzelił w powietrze wraz z rykiem tłumu. Dos Muertos uderzył w przednią część chłodnicy i zabębnił kluczem po błotnikach.

Znów stanął plecami do przeciwnika i znieruchomiał.

Kiedy usłyszał włączane sprzęgło, odwrócił się raz jeszcze. Pontiac przemknął płynnie, lecz mechador zdążył dwukrotnie trzasnąć kluczem w klapę bagażnika.

Samochód przejechał na drugą stronę areny i zaparkował.

Manolo podniósł rękę, dając znak pompierzowi.

Człowiek z poduszką wyłonił się zza osłony, niosąc śrubokręt o długiej ręczce i krótką pelerynę.

Zabrał klucz nastawny i długą pelerynę.

Nad Plaza del Autos zapadła cisza.

Pontiac, jakby wyczuwając koniec, zapuścił silnik i zatrąbił dwa razy. I ruszył.

Na piasku ciemniały plamy wody, która ciekła z chłodnicy. Spaliny ciągnęły za nim jak duch.

Rozwinął zawrotną prędkość.

Dos Muertos podniósł pelerynę i wsparł pióro śrubokręta na lewym przedramieniu.

Kiedy wydawało się, że zginie pod kołami, wysunął rękę tak szybko, że oko za nią nie nadążało i odsunął się na bok, a silnik zaczął kaszleć.

Pontiac nadal pędził z zabójczą prędkością, skręcił ostro bez przyhamowania, przekoziółkował na dach, zderzył się z ogrodzeniem i stanął w płomieniach. Silnik zakrzusił się i zgasł.

Plaza zatrzęsa się od wiwatów. Dos Muertos dostał reflektory i rurę wydechową. Podniósł wysoko trofea i wykonał niespieszną rundę honorową wokół areny. Grzmiały klaksony. Jakaś kobieta rzuciła mu plastikowy kwiat, a on posłał pompierza, który zaniósł jej rurę wydechową i w jego imieniu zaprosił ją na kolację. Tłum zdwoił wiwaty, gdyż Manolo cieszył się sławą wielkiego zdobywcy serc niewieścich, a w czasach mojej młodości nie było to czymś tak niezwykłym jak dzisiaj.

Następny był niebieski chevrolet i Manolo bawił się nim jak dziecko z kotkiem, prowokując do uderzenia, a potem unieruchamiając na zawsze. Otrzymał oba reflektory. Niebo zachmurzyło się w tym czasie i z dali dobiegało nieśmiałe mamrotanie grzmotu.

Trzeci był czarny jaguar XKE, który wymaga najwyższych umiejętności i sprawia, że chwila prawdy jest bardzo krótka. Tak benzyna jak i krew ciemniała na piasku, nim walka dobiegła końca, bo boczne lustro sięgnęło dalej, niż można by pomyśleć i czerwona krecha naznaczyła klatkę piersiową mechadora. Ale Manolo rozorał układ zapłonowy z takim wdziękiem i maestrią, że zachwycony tłum wylał się na arenę i trzeba było interwencji strażników, którzy pałkami i pikami do poganiania bydła zapędzili ludzi z powrotem na miejsca.

Z pewnością po tym wszystkim nie znalazłby się nikt, kto by powiedział, że Dos Muertos kiedykolwiek zaznał smaku strachu.

Zerwał się chłodny wiatr. Kupiłem napój orzeźwiający i czekałem na koniec.

Ostatni wóz wypadł z bramy, gdy jeszcze płonęło żółte światło. Był to ford kabriolet w musztardowym kolorze. Gdy pierwszy raz przemykał obok mechadora, zatrąbił i włączył wycieraczki. Wszyscy wznieśli okrzyki, bo poznali, że nie brakuje mu ducha.

Potem stanął jak wryty, wrzucił wsteczny i tyłem, z prędkością jakichś czterdziestu mil na godzinę, ruszył w stronę mechadora.

On zszedł mu z drogi, zrzekając się gracji dla własnej korzyści, a ford zahamował ostro, wrzucił niski bieg i znów skoczył do przodu.

Dos Muertos machnął peleryną i peleryna została wydarta mu z rąk. Gdyby nie rzucił się w tył, zostałby potracony.

Wtedy ktoś krzyknął:

— Zgubił rytm!

Ale Manolo zerwał się na nogi, odzyskał pelerynę i znów stawił mu czoło.

Ludzie do dziś opowiadają o tych pięciu *pas*, które nastąpiły. Nigdy dotąd nie widziano takiego flirtu ze zderzakiem i osłoną chłodnicy! Nigdy w dziejach świata nie było takiego pojedynku między

mechadorem a maszyną! Kabriolet ryknął jak dziesięć stuleci aerodynamicznej śmierci i duch St. Detroit zasiadł w fotelu kierowcy, szczerząc zęby, Dos Muertos zaś machnął swoją cynfoliową peleryną, zastraszył go i zawołał o klucz. Ford niańczył przegrzany silnik, podnosił i opuszczał szyby, w górę i w dół, przeczyszczając tłumik z odgłosem spuszczonej wody i mnóstwem czarnego dymu.

Już wtedy padało, cicho i łagodnie, i grzmot przewalił się nad Plaza del Autos. Dopilem napój.

Dos Muertos nigdy dotąd nie użył klucza nastawnego na silniku, tylko na karoserii. Tym razem rzucił. Niektórzy znawcy przedmiotu powiadają, że celował w rozdzielacz; inni mówią, że próbował zniszczyć pompę paliwową.

Tłum wygwizdał go.

Coś lepkiego ciekło z forda na piasek. Czerwona smuga jaśniała na brzuchu mechadora. Deszcz padał.

Manolo nie patrzył na tłum. Nie odrywał oczu od samochodu. Wyciągnął prawą rękę, wnętrzem dłoni w górę i czekał.

Zasapany pompiarz podał mu śrubokręt i pobiegł z powrotem za osłonę.

Manolo przesunął się w bok i czekał.

Ford skoczył na niego i Dos Muertos uderzył.

Rozległy się kolejne gwizdy.

Manolo nie trafił.

Samochód też nie. Zatoczył ciasny krąg wokół mechadora, wlokąc za sobą kłęby dymu z silnika. Manolo potarł rękę, podniósł upuszczony śrubokręt i pelerynę. Tłum gwizdał.

Nim samochód go dopadł, z silnika strzelały płomienie.

Dziś jedni powiadają, że Manolo uderzył i znów chybił, tracąc równowagę. Drudzy twierdzą, że podniósł rękę do ciosu, przestraszył się i cofnął. Jeszcze inni mówią, że na chwilę zrobiło mu się żal dzielnego przeciwnika i to powstrzymało jego dłoń. Ja mówię, że dym był zbyt gęsty, by ktoś mógł mieć pewność, co naprawdę się wydarzyło.

Ale ford skręcił i Manolo upadł, i został poniesiony na silniku płonącym niczym katafalk boga na spotkanie z trzecią śmiercią, gdy razem trzasnęli w ogrodzenie i stanęli w płomieniach.

Dużo rozprawiano o tej ostatniej korridzie, ale faktem jest, że w piasku Plaza szczątki rury wydechowej i reflektorów pogrzebano wraz ze szczątkami mechadora, a wiele znajomych mu kobiet wylało mnóstwo łez. Ja mówię, że Manolo nie znał strachu ni litości, albowiem jego siła równała się rzece rakiet, uda były tłokami, a palce miały precyzję mikrometrów; jego włosy tworzyły czarną aureolę i anioł śmierci jechał na jego prawym ramieniu. Taki człowiek, człowiek, który poznał prawdę, potężniejszy jest od każdej maszyny. Taki człowiek jest ponad wszystkim, prócz władzy i chwały.

Teraz jednakże nie żyje, zabity po raz trzeci i ostatni. Jest martwy jak wszyscy inni, którzy zginęli przed zderzakiem, na osłonie chłodnicy, pod kołami. To dobrze, że nie może zostać ożywiony, bo powiadam, że ten ostatni samochód był jego apoteozą i wszystko inne sprawiłoby zawód. Kiedyś ujrzałem żdźbło trawy rosnące w miejscu, gdzie poluzowały się metalowe płyty świata i zdeptałem je, bo uznałem, że musi czuć się samotne. Często żałowałem swojego postępu, gdyż zniszczyłem chwałę jego samotności. W taki sam sposób, myślę, człowiek patrzy na życie maszyny, surowo, potem z żalem i niebiosa ronią nad nim łzy z oczu, które ten żal otworzył w niebie.

Przez całą drogę do domu myślałem o tej sprawie, a kopyta mojego wierzchowca stukały po ulicach miasta, gdy jechałem w deszczu ku zmierzchowi, tej wiosny.

Tłum. Maria Gębicka-Frąc

Posłowie:

Po raz pierwszy mam okazję zwrócić się do czytelników jednego z moich opowiadań bezpośrednio, nie poprzez grę w mimesis. Chociaż zgadzam się z koncepcją, że pisarz powinien zwracać lustro ku rzeczywistości, niekoniecznie jestem zdania, że lustro to powinno być z rodzaju tych, w jakie spoglądacie podczas golenia czy wyskubywania brwi lub też jednego i drugiego, zależnie od okoliczności. Skoro już mam obnosić lustro, ustawiając je frontem do rzeczywistości — ilekroć jakaś wpadnie mi w oko — równie dobrze w miarę możliwości mogę cieszyć się z tego brzemienia. Radość osiągam dzięki noszeniu jednego z tych luster, jakie widywaliście w gabinetach śmiechu, w czasach, gdy jeszcze były takie gabinety. Oczywiście, nic, cę się w nim odbija, nie wygląda równie pociągająco czy równie ponuro jak wtedy, gdy oglądane jest gołym okiem. Czasami wygląda bardziej pociągająco albo bardziej ponuro. Tylko że nikt tego nie wie, dopóki nie spojrzysz w krzywe zwierciadło. A strasznie trudno utrzymać pewnie tę śliską rzecz. Mrugnij i — kto wie? — masz dwie stopy wzrostu. Kichnij, i Oby Dobry Pan Bóg Miał Cię w Opiece. Żyję w śmiertelnym strachu przed upuszczeniem lustra. Nie wiem, co bym bez niego zrobił. Możliwe, że bardziej hulał. Kocham swoje zimne i błyszczące brzemie, ot, co. I nie powiem nic o powyższej historii, ponieważ jeśli sama nie wyraziła tego, co miała wyrazić, to wyłącznie jej wina i nie zamierzam uszlachetniać jej kolejnymi słowami. Każdy błąd zawsze można przypisać zwierciadłu — albo temu, w jaki sposób je trzymam, albo też temu, w jaki sposób w nie patrzycie — więc proszę mnie nie winić. Ja tu tylko pracuję. Ale... Jeśli cokolwiek wydaje się być nie w porządku z tym, co widzisz, to nie odrywając wzroku od lustra, zrób parę szybkich kroków do tyłu. Kto wie? Może przemienisz się w damską ubikację...

Wprowadzenie do „Tak, i Gomora...”:

To ostatnie opowiadanie w antologii. Z bardzo szczególnego powodu (nie tylko dlatego, że jako ostatnie ukazało się w druku, szczwany lisie). To koniec przygody i początek podróży. *Finis* tej antologii i potrzeba wykonania ostatniego rzutu dla udowodnienia tezy, jaką książka ta miała udowodnić (na wypadek, Boże uchroni, gdyby 239.000 wcześniejszych stów nie wykonało swojej roboty w stopniu bardziej niż zadowolającym); jeden ostatni fajerwerk, by oświetlić scenę. Koniec. Koniec końców. Może kop w zadek, a dobrze im tak, nokaut.

Początek podróży: kariera nowego pisarza. Możecie patrzeć, jak statek stawia żagle, zaproponować koszyk owoców, rzucić konfetti, pomachać na pożegnanie, a my będziemy mieć was na oku. Wielka podróż w wielki świat. Wyprawa. Ale dlaczego to opowiadanie, dlaczego *tego* pisarza?

Toulouse–Lautrec powiedział niegdyś: „Nikt nie powinien spotkać człowieka, którego dzieło podziwia. Człowiek zawsze jest mniej wart od dzieła.” Niestety, niemal zawsze to prawda. Wielki powieściopisarz okazuje się być zrzędą. Badacz słabości ludzkich publicznie dłubie w nosie. Znamca Afryki Południowej nigdy nie wyjechał z Levittown. Autor zawiadackich powieści płaszcza i szpady jest wzruszającym małym homoseksualistą, który nadal mieszka z matką inwalidką. Och, Henri Szalony, miałeś rację. Ale twoja prawda nie odnosi się do autora opowiadania, które wybrałem na zamknięcie tej próby odwagi.

Nieczęsto się zdarza, by pisarz wywarł na mnie takie wrażenie, jak Samuel R. Delany. Przebywając z nim w jednym pokoju człowiek wie, że znajduje się w obecności wydarzenia, które dopiero się zdarzy. Nie z powodu jego inteligencji, która jest niemała, ani siły wyrazu, która jest niczym gorąca błyskawica, ani erudycji, która prowokuje do gwizdów zachwytu, ani szczerości, która jest tak prawdziwa, że ma kształt i masę. To niezdefiniowane, lecz tym niemniej nieodparte odczucie, że ten młody człowiek nosi w sobie załączek wielkich dzieł. Jak na razie pisał prawie wyłącznie powieści, dla taniego wydawnictwa sławionego za dawanie szansy debiutantom, ale potępianego za tandetny wygląd swoich wydań. Oto prace „Chipa” Delany: *The Jewels of Apor*, *Captives of the Flame*, *The Towers of Toron*, *City of a Thousand Suns*, *The Ballad of Beta–2*, *Gwiazda Imperium* i niewiarygodnie maleńki tomik *Babel–17*, który w 1966 zdobył nagrodę Nebula. Nie zwracajcie uwagi na tytuły. Są napuszonymi marketingowymi kłamstwami wydawców, którzy obwieszają ściany swoich biur przypomnieniami: KON–KU–RO–WAĆ! Ale przeczytajcie te książki. Demonstrują żywy, skomplikowany, wyjątkowy talent w procesie nadzwyczajnego rozwoju. Chip Delany zostanie jednym z naprawdę ważnych twórców literatury spekulatywnej, to jest mu pisane. Będzie pisarzem, który zakasuje innych i ukształtuje główny nurt na własną modłę, jak Bradbury, Vonnegut czy Sturgeon. Jego talent jest *taki* wielki.

Urodzony w prima aprilis w czasie drugiej wojny światowej, Delany wychowywał się w nowojorskim Harlemie. Następstwem nauki w bardzo prywatnej i postępowej szkole podstawowej była edukacja w Bronx High School of Science oraz sporadyczne uczęszczanie do City College z

semestrem w roli redaktora poezji w „Promethean”. Pierwszą powieść *science fiction* napisał w wieku dziewiętnastu lat. W przerwach między powieściami pracował jako sprzedawca w księgarni, robotnik na kutrach krewetkowych na Zatoce Tekszańskiej i piosenkarz folkowy w Grecji, a poza tym regularnie kursował między Nowym Jorkiem a Stambułem. Jest żonaty. Obecnie mieszka w Lower East Side w Nowym Jorku i pracuje nad ogromną powieścią SF, *Nova*, która zostanie wydana w przyszłym roku przez Doubleday. Cholernie mało wiadomo o kimś, kto pisze tak dobrze jak Delany. Ale to wszystko, co jak się zdaje, Delany chce o sobie powiedzieć.

Jego proza jednakże przemawia bardziej niż elokwentnie. Jego powieści podchodzą do nadgryzionych zębem czasu i wyświechtanych frazesów fikcji spekulatywnej ze śmiałą i przekonującą pomysłowością. Delany wnosi świeżość na pole, które od czasu do czasu kurczy się do linii najmniejszego oporu. Świeżość ta jest wyraźnie widoczna w historii, którą zaraz przeczytacie, na swój sposób będącej jedną z najlepszych spośród trzydziestu trzech tutaj zaprezentowanych. Z pewnością klasyfikuje się jako wizja „niebezpieczna”, a poza tym obaj z Chipem doszliśmy do przekonania, że trudno byłoby ją sprzedać do uznanych czasopism. Choć przed lekturą tejże antologii mogliście natknąć się na jakieś opowiadanie czy nowelę Chipa, zapewniam, że niniejsze opowiadanie jest jego *pierwszym*. Przed wyrażeniem zgody na napisanie czegoś do tej książki Delany tworzył wyłącznie powieści. Moim zdaniem jego wkład jest jednym z naprawdę pamiętnych solowych lotów w historii gatunku.

Nagroda Nebula, nominacja do Hugo
Samuel R. Delany
Aye, and Gomorrah...

Tak, i Gomora...

I lądowanie w Paryżu:

Gdzie pędziliśmy wzdłuż Rue de Medicis z Bo, Lou i Musc za ogrodzeniem, Kelly i mną na zewnątrz, robiąc miny przez pręty ogrodzenia, hałasując, rycząc w Ogrodach Luksemburskich o drugiej nad ranem. Potem wspinać się i w dół do placu przed St. Sulpice, gdzie Bo próbował wepchnąć mnie do fontanny.

Wtedy to Kelly zauważył, co się dzieje wokół nas, zerwał pokrywę z kosza na śmieci i wpadł do pisuaru, łomocząc po ścianach. Czmychnęło pięciu facetów; nawet wielki pisuar może pomieścić tylko czterech.

Młody człowiek o bardzo jasnych włosach położył rękę na moim ramieniu i uśmiechnął się.

— Nie sądzisz, kosmon, że... powinniście stąd odejść?

Popatrzyłem na rękę spoczywającą na moim błękitnym mundurze.

— *Est-ce que tu es un frelk?*

Wzniósł brwi, pokręcił głową.

— *Une frelk* — poprawił. — Nie. Nie jestem. Szkoda. Wyglądasz, jakbyś kiedyś był mężczyzną. Policja. — Wskazał na drugą stronę ulicy, gdzie dopiero teraz spostrzegłem żandarmów. — Nie zaczepią nas. Jesteście jednakże obcy...

Ale Muse już wrzeszczał:

— Hej, chodźcie! Wyośmy się stąd, dobra? — I odszedł. I znowu w górę.

I lądowanie w Houston:

— Cholera! — zawołał Muse. — Kontrola lotów Gemini — chcesz powiedzieć, że to się tam zaczęło? Spadajmy stąd, błagam!

Pojechaliśmy więc autobusem przez Pasadenę, potem monoginią do Galveston i mieliśmy zamiar jechać nad Zatokę, ale Lou znalazł parę z dzieckiem, jadącą pick-upem...

— Fajnie, że możemy was podrzucić, kosmoni. Latacie na te, jak im tam, planety i inne takie, odwalacie kawał dobrej roboty dla rządu.

...na południe, więc przejechaliśmy na skrzyni pick-upa dwieście pięćdziesiąt mil w słońcu i wietrze.

— Myślisz, że są frelkami? — zapytał Lou, trącając mnie łokciem.

— Założę się, że to frelki. Tylko czekają na zachętę.

— Przestań. To miła, głupia para wiejskich dzieciaków.

— Co nie znaczy, że nie są frelkami!

— Nikomu nie ufasz, prawda?

— Nie.

I potem znów autobus, którym przetelepaliliśmy się przez Brownsville i przez granicę do Matamoros, gdzie stoczyliśmy się ze stopni w kurz i skwarany wieczór wraz z mnóstwem Meksykanów, kurczą i poławiaczy krewetek z Zatoki Tekszańskiej — którzy śmierdzieli najgorzej, ale my za to krzyczeliśmy najgłośniej. Czterdzieści trzy dziwki — liczyłem — wyszykowały się dla

poławiaczy i nim wybiliśmy dwa okna na dworcu autobusowym, wszyscy zanosili się śmiechem. Poławiacze powiedzieli, że nie postawią nam jedzenia, ale jeśli chcemy, to nas upiją, bo taki jest obyczaj poławiaczy krewetek. My z rykiem wytlukiliśmy następne okno; potem, gdy leżałem na wznak na schodach biura telegrafu, podśpiewując, kobieta o ciemnych ustach pochyliła się i położyła ręce na moich policzkach.

— Jesteś słodziutki. — Jej szorstkie włosy opadły niemal na moją twarz. — Ale ci faceci stoją dokoła i patrzą na ciebie. I tracą czas. Niestety, ich czas to nasze pieniądze. Kosmon, nie sądzisz, że... powinniście stąd odejść?

Złapałem ją za rękę.

— *¿Usted!* — szepnąłem. — *¿Usted es unafrelka?*

— *Frelko in espanol.* — Uśmiechnęła się i poklepała emblemat, słońce z promieniami, wiszący na sprzączce mojego paska. — Przykro mi. Nie masz nic, co... mogłoby mi się przydać. Szkoda, bo wyglądasz, jakbyś kiedyś był kobietą. A ja lubię kobiety, także...

Sturlałem się z werandy.

— To ciota, czy to ciota? — krzyczał Muse. — Chodźcie! Ruszamy! Udało nam się wrócić do Houston przed świtem, jakimś cudem.

I w górę.

I lądowanie w Stambule:

Tego ranka w Stambule padało.

W kantynie wypiliśmy herbatę ze szklanek w kształcie gruszek, patrząc na Bosfor. Wyspy Książęce piętrzyły się jak sterty śmieci u wrót gorącego miasta.

— Kto zna to miasto? — zapytał Kelly.

— Nie będziemy chodzić razem? — zdumiał się Muse. — Myślałem, że będziemy chodzić razem.

— Zatrzymali mój czek w biurze płatnika — wyjaśnił Kelly. — Jestem goły. Myślę, że płatnik zrobił to specjalnie — i wzruszył ramionami. — Nie chcę, ale będę musiał upolować dzianego frelka i nawiązać z nim przyjacielskie stosunki. — Napił się herbaty i dopiero wtedy zauważył, jak ciężka stała się cisza. — Och, dajcie spokój! Przestańcie się tak gapić, bo połamię wam wszystkie gnaty w tych waszych ciałach—ach—jakże—starannie—formowanych—od—okresu—pokwitania. Ty! — zwrócił się do mnie. — Gapisz się na mnie tak świętoszkowato, jakbyś nigdy nie puścił się z żadnym frelkiem!

Zaczynało się.

— Nie gapię się — powiedziałem i wpadłem w niemą furję. Tęsknota, stara tęsknota.

Bo zaśmiał się, żeby przełamać napięcie.

— Słuchajcie, gdy zeszłym razem byłem w Stambule —jakiś rok przed dołączeniem do tego plutonu — i pamiętam, że szliśmy z placu Taksim wzdłuż Istiqlal. Zaraz za ciągiem tych podrzędnych kin znaleźliśmy niewielki pasaż obsadzony kwiatami. Przed nami szło dwóch innych kosmonów. Tam jest targ, wiecie, kawałek dalej sprzedają ryby, p potem podwórze z pomarańczami, słodyczami, jeżowcami i kapustą. Ale z przodu są kwiaty. W każdym razie w tych kosmonach zauważyliśmy coś dziwnego. Nie uniformy: były idealne. Fryzury: doskonałe. Dopiero gdy usłyszeliśmy, jak mówią... Byli to mężczyzna i kobieta ubrani jak kosmoni, próbujący podrywać frelków! Wyobraźcie sobie, lesba i pedał dla frelków!

— Aha — mruknął Lou. — Widziałem to wcześniej. W Rio jest takich pełno.

— Daliśmy im popalić — powiedział Bo. — Przydybaliśmy ich w bocznej uliczce i poszliśmy w miasto!

Szklanka Muse'a zaszczekała na ladzie.

— Z Taksim wzdłuż Istiqlal doszłście do kwiatów? Czemu nie powiedziałaś, że to tam są frelki,

co? — Uśmiech na twarzy Kelly rozładowałby sytuacją. Nie było uśmiechu.

— Do diabła — powiedział Lou — mnie nikt nigdy nie musiał mówić, gdzie ich szukać. Wychodzę na ulicę i frelki wyczuwają, że nadchodzą. Wyczajam ich z połowy Piccadilly. Czy tutaj nie dają nic prócz herbaty? Gdzie można się czegoś napić?

Bo wyszczerzył zęby.

— Kraj muzułmański, pamiętasz? Ale na końcu Kwiatowego Pasażu jest pełno małych barów z zielonymi drzwiami i marmurowymi bufetami, gdzie dają litr piwa za jakieś piętnaście centów w lirach. I są tam stragany, gdzie sprzedają robale smażone w głębokim tłuszczu i kanapki ze świńskimi flakami...

— Zauważyliście, jak frelki umieją ładować w gardło? Chodzi mi o alkohol, nie o... świńskie flaki.

I zaczęły się kojące opowiadki. Zakończyliśmy tą o frelku, którego jakiś kosmon próbował obrobić. Frelk przyłapał go i oznajmił: „Są dwie rzeczy, za którymi przepadam. Jedna to kosmoni, druga to porządny łomot...”

Ale one tylko uśmierzały. Niczego nie leczyły. Nawet Muse wiedział, że teraz spędzimy dzień osobno.

Deszcz przestał padać, popłynęliśmy więc promem do Złotego Rogu. Kelly z miejsca zapytał o plac Taksim i Istiqlal i został skierowany do dolmush, co, jak odkryliśmy, było taksówką jeżdżącą tylko w jedno miejsce i po drodze zabierającą mnóstwo pasażerów. I tanią.

Lou poszedł na most Ataturka, żeby obejrzeć panoramą Nowego Miasta. Bo postanowił dowiedzieć się, co to jest Dolma Boche, a kiedy Muse odkrył, że za piętnaście centów — jedną lirę i pięćdziesiąt kurus — można jechać do Azji, cóż, Muse postanowił jechać do Azji.

Przedarłem się przez mętlik pojazdów u czoła mostu i ruszyłem wzdłuż szarych, ociekających wodą murów Starego Miasta, pod przewodami trolejbusów. Są chwile, kiedy wrzaski i popijawy nie wypełniają pustki. Są chwile, gdy człowiek musi iść sam, bo tylko samotność tak rani.

Przemierzyłem mnóstwo uliczek z mokrymi małpkami, mokrymi wielbłędami i kobietami w woalach; mnóstwo wielkich ulic z autobusami, kosztami na śmieci i mężczyznami w garniturach.

Jedni gapią się na kosmonów, inni nie. Niektórzy gapią się, ale nie w sposób, który kosmon uczy się rozpoznawać w tydzień po wyjściu ze szkoły treningowej w wieku szesnastu lat. Szedłem przez park, gdy przyłapałem ją na obserwowaniu. Zobaczyła, że patrzę i odwróciła wzrok.

Spokojnym krokiem szedłem po mokrym asfalcie. Stała pod łukiem małego, pustego meczetu. Gdy ją mijałem, wyszła na dziedziniec z armatami.

— Przepraszam. Przystanąłem.

— Wiesz, gdzie jest świątynia świętej Ireny? — Jej angielski miał czarujący akcent. — Nie zabrałam przewodnika.

— Przykro mi. Też jestem turystą.

— Ach. — Uśmiechnęła się. — Jestem Greczynką. Pomyślałam, że możesz być Turkiem, bo jesteś taki smagły

— Czerwonoskóry z Ameryki. — Skłoniłem głowę. Jej kolej na ukłon.

— Rozumiem. Właśnie zaczęłam studia na Uniwersytecie Sтамбульskim. Twój uniform mówi mi, że jesteś... — krótka przerwa na spekulacje i konkluzja: — kosmonem. Odczułem skrępowanie.

— Tak. — Włożyłem ręce w kieszenie, poruszałem palcami stóp w butach, oblizałem trzeci trzonowy od tyłu po lewej stronie — zrobiłem wszystkie te rzeczy, które się robi, gdy jest się skrępowanym. — Tak, jestem. — Powiedziałem to zbyt ostro, zbyt głośno. Dziewczyna aż podskoczyła.

Teraz wiedziała, że wiedziałem, że wiedziała, że wiedziałem i zastanowiłem się, jak rozegramy tę Proustowską rozgrywkę.

— Jestem Turczynką — powiedziała. — Nie Greczynką. I nie zaczynam. Jestem absolwentką historii sztuki na tutejszym uniwersytecie. Takie drobne kłamstewka pozwalają chronić ego... po co? Czasami myślę, że moje ego jest bardzo małe.

To jedna strategia.

— Jak daleko mieszkasz? — zapytałem. — I jaki jest kurs w tureckich lirach? — To druga.

— Nie mogę ci zapłacić. — Napięła płaszcz przeciwdeszczowy na biodrach. Była bardzo ładna. — Chciałabym. — Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. — Ale jestem... biedną studentką. Nie bogatą. Jeśli odwrócisz się i odejdiesz, nie będę miała ci za złe. Ale będzie mi smutno.

Zostałem. Pomyślałem, że za chwilę zaproponuje cenę. Nie zaproponowała.

To kolejna strategia.

Zapytałem się w duchu: *Za co chcesz te cholerne pieniądze?*

— kiedy podmuch strzasnął wodę z jednego z wielkich parkowych cyprysów.

— Myślę, że to wszystko jest smutne. — Wytarła krople z twarzy. Potem umilkła, a ja przez chwilę wpatrywałem się z napięciem w strugi wody. — To smutne, że musieli cię odmienić, byś mógł zostać kosmonem. Gdyby tego nie zrobili, wtedy... Gdyby nie było kosmonów, nie moglibyśmy... nie byłibyśmy tacy, jacy jesteśmy. Zacząłeś jako chłopak czy dziewczyna?

Kolejny prysznic. Patrzyłem w ziemię i krople spłynęły mi po kołnierzu.

— Chłopak. To nie ma znaczenia.

— Ile masz lat? Dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery?

— Dwadzieścia trzy — skłamałem. To odruch. Mam dwadzieścia pięć, ale za im młodszego cię uważają, tym więcej płacą. Lecz ja nie chciałem jej cholernych pieniędzy...

— Zgadłam. — Pokiwała głową. — Większość z nas jest ekspertami od kosmonów. Podoba ci się to? Przypuszczam, że musimy być.

— Skierowała na mnie szeroko otwarte czarne oczy. Pod koniec spojrzenia zamrugała szybko. — Byłbyś świetnym mężczyzną. Ale teraz jesteś kosmonem, budującym zespoły gospodarujące zasobami wody na Marsie, programującym komputery górnicze na Ganimesie, naprawiającym wieże przekaźnikowe na Księżycu. Zmiana... — Frelki są jedynymi ludźmi, którzy mówią „zmiana” z taką fascynacją i smutkiem. — Można by się spodziewać, że wynajdą jakieś inne rozwiązanie. Mogliby wymyślić inny sposób niż usuwanie gonad, przemiana człowieka w istotę, która nawet nie jest obojnakiem; wszystko jest takie...

Położyłem rękę na jej ramieniu, a ona urwała, jakbym ją uderzył. Rozejrzała się, sprawdzając, czy ktoś jest w pobliżu. Lekko, dopiero wtedy lekko sięgnęła do mojej dłoni.

Zabrałem rękę.

— Jakie?

— Mogli wymyślić inny sposób. — Schowała ręce w kieszenie.

— Mogli. Tak. W górze, za jonosferą, mała, promieniowanie jest zbyt wielkie, żeby te cenne gonady sprawiały się jak należy wszędzie tam, gdzie chce się coś robić dłużej niż dwadzieścia cztery godziny, na Księżycu, na Marsie czy satelitach Jowisza...

— Mogli zbudować tarcze ochronne. Mogli przeprowadzić więcej badań nad biologicznym dostosowaniem...

— Czas eksplozji demograficznej — powiedziałem. — Nie, wtedy korzystali z każdego pretekstu, żeby likwidować dzieciaki, zwłaszcza te zdeformowane.

— Ach, tak. — Pokiwała głową. — Nadal torujemy sobie drogę w górę z dołka neopurytańskiej

reakcji na swobodę seksualną dwudziestego wieku.

— To było doskonale rozwiązanie. — Wyszczерzyłem zęby i złapałem się za krocze. — Dobrze mi z tym. — Nigdy nie wiedziałem, dlaczego ten gest jest znacznie bardziej obsceniczny, gdy wykonuje go kosmon.

— Przestań — parsknęła, odsuwając się.

— O co chodzi?

— Przestań — powtórzyła. — Nie rób tego! Dzieciak jesteś.

— Wybrali nas spośród dzieci, których reakcje seksualne były beznadziejnie opóźnione w okresie dojrzewania.

— Stąd wasze dziecięce, gwałtowne substytuty miłości? Przypuszczam, że to jedna z rzeczy, które przyciągają. Tak, wiem, że jesteś dzieckiem.

— Tak? A co z frelkami? Zastanawiała się przez chwilę.

— Myślę, że są tymi seksualnie zahamowanymi, których pominęli. Może jednak to było właściwe rozwiązanie. Naprawdę nie żałujesz, że nie masz płci?

— Mamy was — odparłem.

— Tak. — Spojrzała w dół. Zerknąłem na jej twarz, chcąc zobaczyć, jaką minę skrywa. Był to uśmiech. — Macie wspaniałe życie w przestworzach i macie nas. — Podniosła głowę. Była zarumieniona. — Obracacie się w niebie, świat kręci się pod wami i skaczecie z lądu na ląd, podczas gdy my... — Przekręciła głowę w prawo, w lewo i jej czarne włosy omiotły ramię płaszcza. — Mamy nasze nudne życie, w zamkniętym kręgu, podporządkowane grawitacji i darzymy was uwielbieniem!

Znów spojrzała na mnie.

— Perwersyjne, prawda? Zakochani w gromadzie trupów w stanie nieważkości! — Nagle skuliła ramiona. — Nie lubię mieć kompleksu seksualnego przeniesienia.

— To zawsze brzmiało zbyt przemądrzale.

Odwróciła wzrok.

— Nie lubię być frelkiem. Lepiej?

— Ja też bym nie lubił. Bądź kimś innym.

— Ty nie wybrałeś sobie swoich perwersji. Ty w ogóle nie masz perwersji. Jesteś wolny od tego wszystkiego. Kocham cię za to, kosmon. Moja miłość zaczyna się od strachu przed miłością. Czyż to nie piękne? Zboczeniec zastępuje „normalną” miłość czymś nieosiągalnym: homoseksualista lustrem, fetyszysta butem, zegarkiem czy podwiązką. Ci kompleksu seksualnego prz...

— Frelki.

— Frelki... — znów spojrzała na mnie ostro — miękkim, kołyszącym się mięsem.

— To mnie nie obraża.

— Chciałam, żeby obraziło.

— Dlaczego?

— Nie masz pragnień. Nie zrozumiałbyś.

— Spróbuj.

— Chcę ciebie, bo ty nie chcesz mnie. To przyjemność. Gdyby ktoś naprawdę reagował seksualnie na... na nas, to by nas Odstraszało. Zastanawiam się, ilu było ludzi przed waszym powstaniem, czekających na wasze stworzenie. Jesteśmy nekrofilami. Jestem pewna, że grabieże grobów spadły, od kiedy was zaczęło przybywać. Nie, nie rozumiesz... — Urwała. — Gdybyś rozumiał, nie szurałabym nogami w liściach, próbując wymyślić, od kogo pożyczyć sześćdziesiąt lir.

— Nastąpiła na kłykcie korzenia, który skruszył płyty chodnika.

— Nawiasem mówiąc, taka jest cena w Stambule.

Przeliczyłem.

— Wszystko tanieje w miarę posuwania się na wschód.

— Wiesz... — pozwoliła rozchylić się połom płaszcz — różnisz się od innych. Ty przynajmniej chcesz wiedzieć...

Powiedziałem:

— Gdybym spluwał na ciebie za każdym razem, gdy mówiłaś to kosmonowi, utonąłabyś.

— Wracaj na Księżyc, zwisie miękki. — Zamknęła oczy. — Bujaj się na Marsa. Są satelity wokół Jowisza, gdzie możesz zrobić coś dobrego. Startuj i wyląduj w jakimś innym mieście.

— Gdzie mieszkasz?

— Chcesz iść ze mną?

— Daj mi coś — powiedziałem. — Daj mi coś... nie musi być warte sześćdziesiąt lir. Daj mi coś, co lubisz, coś, co ma dla ciebie znaczenie.

— Nie!

— Czemu nie?

— Bo ja...

— ...nie chcesz oddać części ego. Żaden z was frelków nie chce!

— Naprawdę nie rozumiesz, że nie chcę cię kupić?

— Nie masz za co mnie kupić.

— Jesteś dzieckiem — powiedziała. — Kocham cię.

Dotarliśmy do bramy parku. Zatrzymała się i staliśmy przez czas dość długi, by podmuch zrodził się i ucichł w trawie.

— Ja... — zaczęła niepewnie, wskazując bez wyjmowania ręki z kieszeni. — Tam mieszkam.

— W porządku. Idziemy.

Kiedyś na tej ulicy eksplodowała rura z gazem, wyjaśniła, rzeka ognia płynęła do doków, gorąca i szybka. Ugaszono płomienie w ciągu paru minut, żaden budynek się nie zawalił, ale zwęglone fasady lśniły.

— To dzielnica artystów i studentów. — Szliśmy po kocich łbach.

— Juri Pasza, numer czternaście. Na wypadek, gdybyś znów zawitał do Stambułu. — Jej drzwi pokryte były czarnymi łuskami, w rynsztoku piętrzyły się śmieci.

— Wielu artystów i przedstawicieli wolnych zawodów jest frel—kami — powiedziałem, siląc się na banał.

— Podobnie jak wielu innych. — Weszła i przytrzymała drzwi.

— My tylko bardziej rzucamy się w oczy.

Na półpiętrze wisiał portret Atatürka. Jej pokój był na piętrze.

— Chwileczkę, tylko znajdę klucz...

Marsobrazy! Księżycobrazy! Na sztalugach szerokie na sześć stóp płótno przedstawiające wschód słońca nad krawędzią krateru! Na ścianie kopie zdjęć Księżyca z Observera i fotografie gładkich twarzy wszystkich generałów z Międzynarodowego Korpusu Kosmonów.

W narożniku biurka leżał stos fotomagazynów o kosmonach, które można znaleźć w większości kiosków na całym świecie: naprawdę słyszałem, że są drukowane dla marzących o przygodach dzieciaków ze szkół średnich. Nigdy nie widziałem duńskich. Też miała ich parę. Na półce stały książki poświęcone sztuce i historii sztuki. Nad nimi było sześć stóp tanich broszur z gatunku *space opera*: *Grzech na Stacji Kosmicznej #12*, *Rakietowy hulaka*, *Dzika orbita*.

— Araku? — zapytała. — Ouzo lub pernodu? Masz wybór. Ale mogę wlać wszystko do jednej

butelki. — Postawiła kieliszki na biurku, potem otworzyła wysoką do pasa szafkę, która okazała się być lodówką. Wyprostowała się z tacą przysmaków: puddingi owocowe, rachatlukum, duszone mięso.

— Co to jest?

— Dolmady. Liście winogron faszerowane ryżem i orzeszkami ziemnymi.

— Możesz powtórzyć?

— Dolmady. Nazwa wywodzi się od tego samego tureckiego słowa co „dolmush”. Jedno i drugie znaczy „wypchany”. — Położyła tacę obok kieliszków. — Siadaj.

Usiadłem na rozkładanej kanapie. Pod brokatem czułem głęboką, płynną sprężystość materaca z glikożelu. Ktoś uznał, że to może być namiastką stanu nieważkości.

— Wygodnie? Zostawię cię na chwilę. Po sąsiedzku mieszka kilkoro moich przyjaciół. Zajrzę do nich. — Mrugnęła. — Lubią kosmonów.

— Zamierzasz zrobić zrzutkę, żeby mi zapłacić? — zapytałem.

— A może chcesz, żeby ustawili się w ogonku za drzwiami i czekali na swoją kolej?

Z sykiem wciągnęła powietrze.

— Prawdę mówiąc, chciałam zaproponować jedno i drugie.

— Nagle potrząsnęła głową. — Och, czego ty chcesz!

— A co ty mi dasz? Chcę czegoś. Dlatego przyszedłem. Jestem samotny. Może chcę się dowiedzieć, jak to daleko zajdzie. Jeszcze nie wiem.

— Zajdzie tak daleko jak zechcesz. Ja? Studiuję, czytam, maluję, rozmawiam z przyjaciółmi... — podeszła do łóżka, usiadła na podłodze — chodzę do teatru, patrzę na kosmonów, którzy mijają mnie na ulicy, dopóki nie odpowiadają spojrzeniem; też jestem samotna. — Położyła głowę na moim kolanie. — Chcę czegoś. Ale... — przez minutę żadne z nas się nie ruszyło — ty mi tego nie dasz.

— A ty nie zamierzasz mi za to zapłacić — odparowałem. — Nie, prawda?

Pokręciła głową na moim kolanie. Po chwili powiedziała, sam oddech, bez głosu:

— Nie uważasz, że... powinieneś odejść?

— W porządku — powiedziałem i wstałem.

Przysiadła na rąbku płaszcza. Jeszcze go nie zdjęła. Podeszedłem do drzwi.

— Nawiasem mówiąc — splotła ręce na podołku — w Nowym Mieście jest miejsce, gdzie możesz znaleźć to, czego szukasz, zwane Kwiatowym Pasażem...

Odwrociłem się do niej ze złością.

— Spelunka frelków? Słuchaj, nie potrzebuję pieniędzy! Nie mówiłem, że cokolwiek zrobię! Nie chcę...

Zaczęła kręcić głową, śmiejąc się cicho. Położyła policzek na pomarszczonym miejscu, gdzie siedziałem.

— Upierasz się przy nieporozumieniach? To spelunka kosmonów. Po twoim wyjściu pójde do przyjaciół i powiem o... ach, tak, o pięknym, który odszedł. Myślałam, że może znajdziesz... może kogoś znasz.

Skończyło się na złości.

— Och — mruknąłem. — Och, to spelunka kosmonów. Aha. Cóż, dzięki.

I wyszedłem. I znalazłem Kwiatowy Pasaż, i Kelly, i Lou, i Bo, i Muse. Kelly stawiał piwo, więc wszyscy się upiliśmy i jedliśmy smażone ryby, smażone małże i smażoną kiełbasę, a Kelly szastał pieniędzmi. Powiedział:

— Szkoda, że tego nie widzieliście! Ale go przećwiczyłem! Żałujcie, że was przy tym nie było. Stawka wynosi tutaj osiemdziesiąt lir, a on dał mi sto pięćdziesiąt! — i napił się piwa. I w górę.

Posłowie:

Co tworzy opowiadanie SF — właśnie to opowiadanie SF?

Jeden stary miesiąc w Paryżu, lato łowienia krewetek na Zatoce Tekszańskiej, kolejny miesiąc spędzony bez grosza przy duszy w Stambule. W jeszcze innym mieście podśluchałem dwie kobiety, rozmawiające na koktajlu—party o najnowszym astronauty:

— ...taki antyseptyczny, taki nieludzki, niemal aseksualny!

— Och nie! Jest idealnie cudowny! Wspaniały!

Dlaczego umieszczać to wszystko w opowiadaniu SF? Szczerze uważam, że najlepsza jest ta forma, w której można połączyć czysto elementy odrębne, różne, zasadniczo odmienne i techniczne z desperackimi i ludzkimi.

Ktoś zapytał w związku z tym opowiadaniem: „Ale co oni mogą ze sobą robić?”

Narażając się na krytykę, powiem, że zasadniczo opowiadanie to jest horrorem. Nic nie mogą robić. Tylko wznosić się i opadać.

* *Jonathan Swift był dziekanem katedry Św. Patryka (przyp. tłum.)*

* *Sfabrykowany artykuł, który ukazał się w The New York Times w sierpniu 1835r., opisujący rzekome odkrycia na Księżycu*

* *William Shakespeare „Król Lear”. Przełożył Stanisław Barańczak. „W drodze”, Poznań 1991*

¹ *Aluzja do znanej bajki o Jasiu i fasoli, w której Jaś wspiąwszy się na magiczną fasolą napotyka olbrzymia nucącego: „Fee! Fie! Foe! Fuml/I smell the blood of an Englishman./ Be he live, or be he dead,/ I’ll grind his bones to make my bread. („Fi! Faj! Fo! Fum! Czuję krew Anglika. Wszystko jedno martwy jest czy żywy, zmielę jego kości na chleb”).*

² *Autor użył tu słowa „DOG” jako odwrócenia wyrazu „GOD”, czyli „Bóg”, „Pan”.*

³ *„strumpets” czyli dosłownie „ulicznica”.*

⁴ *„Let my peeper go!” — aluzja do biblijnego „Let my people go...”, czyli „Wypuść mój lud...” (Księga Wyjścia, 5:1).*

⁵ *Słowo „ass” oznacza dla Amerykanów zarówno „osła”, jak i „siedzenie, pośladki”.*

⁶ *„The family that blows is the family that grows”.*

⁷ *„Sing, O Mews of Uncle Sam”. „Mews” to m.in. kapturki nakładane na głowy drapieżnym ptakom, a wymawia się je lak samo, jak „muse”, czyli „muza”.*

⁸ *W oryginale: Ancient of Daze — A.D. — odnoszone także do „after death”, czyli „po śmierci”.*

⁹ *Fornixator — gra słów, forniks — jako część mózgu oraz to fornicate, z ang. „cudzołożyć”.*

¹⁰ *Fragment „Pieśni o Hajawacie” Henry’ego Wadswortha Longfellowa.*

¹¹ *W oryginale: THE ANCIENT MARINATOR — prawdopodobnie odnosi się do wiersza S.*

Taylora Coleridgea *The Rime of the Ancient Mariner* („Wiersz o Starożytnym Żeglarzu”).

¹² Z ang. „wygrać, zwyciężyć ponownie”.

¹³ W wersji angielskiej „You ate too, Brutes?” (czyli dosłownie: „Ty też jadłeś, Brutusie?”) — aluzja do ostatnich słów Cezara zamordowanego przez spiskowców i dawnych przyjaciół. Podobno brzmiały one „Es tu Brute?” (czyli „I ty także, Brutusie?”).

¹⁴ w oryginale „Tinker Bell”, czyli Dzwoneczek z opowieści o Piotrusiu Panie.

¹⁵ Miniver Cheevy — bohater wiersza Edwina Arlingtona Robinsona, żałował, że się urodził, wielbił przeszłość, wdychał do fikcji, uwielbiał to, czego nie znał, a przeklinał codzienność

¹⁶ W oryginale: „cathartics”.

¹⁷ Autor użył tu słowa *dear* („kochanie”), które wymawiane jest tak samo, jak słowo *deer* (czyli „jeleń”).

¹⁸ „A profit is not without honor” aluzja do „A prophet is not without honor” (profn i prophet są podobnie wymawiane), czy! według Biblii Gdańskiej: „Nie jest prorok beze czci...”, (Ew. Mateusza 13:1–58).

¹⁹ „One man’s mead is another man’s Poisson”. „Poisson”, pisane przez jedno „s” to w ang. „trucizna”, tymczasem *Poisson* jest postacią rzeczywistą.

²⁰ *The Knight of the Burning Pestle* („Rycerz Ognistego Pieprzu”) — tytuł sztuki F. Beaumonta i J. Fletchera.

²¹ „Foam, Foam on the Range”, aluzja do znanej piosenki „Home, Home on the Range”.

²² „A Star over Bedlam”. Aluzja do „Betlejem”. *Bedlam* to dosłownie i w przenośni „dom wariatów”.

²³ „The Massacre of the Inner Sense”, dosł. „Masakra wewnętrznego rozumu/sensu”, — aluzja do „The Massacre of the Innocents”, czyli do „masakry niewinnych młodzianków”.

²⁴ „To the Sticks via the Styx”, dosł. „przez Styks na przedmieścia”.

²⁵ „Oszustwo Winnegana”.

¹ *Grand Guignol* — przen. okropność, makabra, niesamowitość; nazwa teatru przy ul. Chaptal na Montmartre w Paryżu, gdzie wystawia się krótkie sztuki o treści makabrycznej (od 1897, z przerwą w latach 1962–73) /przyp. tłum./

² *Erewhon* — fikcyjny ląd opisany w noweli Samuela Butlera /przyp. tłum./

¹ *Plymouth* — miasto w USA, w stanie Massachusetts, założone w 1620 roku, gdy do przylądka Cape Cod dopłynął statek „May — flower”, z grupą angielskich purytanów (tzw. pielgrzymów), szukających w Ameryce tolerancji religijnej /przyp. tłum./

² *Pielgrzymi* (lub *Ojcowie Pielgrzymi*) — anglikański ruch religijny purytanów, propagujący pełną autonomię gmin chrześcijańskich; pozostawali wierni kalwinizmowi i stanowili załączek kongregacjonizmu /przyp. tłum./

¹ *Oplątwa brodaczkowata* (*Tillandsia usneoides*), zwana mchem hiszpańskim, epifit z rodziny ananasowatych. (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

² 1 furlong = 220 jardów = 201.168 metra.

³ czyli pięć punktów

⁴ dwunastkę, liczbę w tym wypadku przegrywającą

⁵ Portret prezydenta Andrewa Jacksona znajduje się na banknocie dwudziestodolarowym.

⁶ *Mike Fink* — legendarny pilot rzeczny. Prawdopodobnie czysta fikcja.

⁷ *Pecos Pete* — całkowicie fikcyjna, legendarna postać rycerskiego kowboja z Teksasu

⁸ *Tony Beaver* — legendarny drwal, który potrafił ściąć dowolne drzewo jednym uderzeniem topora.

⁹ *John Henry* — legendarny siłacz, który w pojedynkę zdołał wykopać w wyznaczonym czasie dłuższy odcinek tunelu kolejowego (14 stóp — 4.27 metra) niż parowy kombajn górniczy (9 stóp — 2.75 metra), choć w końcu zmarł z wyczerpania. Zrobił to, by uchronić innych kopaczy przed uwolnieniem. Opowieść z czasów gwałtownego rozwoju kolei w USA, być może autentyczna.

¹⁰ *Paul Bunyan* — występująca w fantastyce postać gwiazdnej włóczędzy oparta z lekka na rzeczywistym człowieku tego imienia, dziewiętnastowiecznym rubasznym drwalu o niesamowitym poczuciu humoru i sprycie.

¹ *Silly Putty* — żelowaty polimer o dość paskudnej konsystencji, przypomina nieco sprężysty śluz, rozciągliwy. Uklepana z niego kulka odbija się od podłoża. Kolorowe porcje tego żelu są popularną zabawką w USA (przyp. tłum.)

² *Rover Boys* — bardzo długa seria (wydawana w latach 1899–1926) powieści o trzech braciach, opisująca życie ich samych i ich dzieci od czasów szkolnych do dorosłości (przyp. tłum.)

¹ w oryginale ang. „wergild” (skand. „wergeld” — dosłownie „ludzkie złoto”) — w dawnym prawodawstwie skandynawskim było to odszkodowanie za zabicie człowieka stanu wolnego. Wypłacał je rodzinie ofiary sprawca, jeśli został uznany za zabójcę, który popełnił ten czyn jawnie, z pozwalających na znalezienie usprawiedliwienia powodów, a nie jeśli został uznany zbrodniarzem mordującym skrycie lub z pobudek nie zasługujących na choćby cień usprawiedliwienia (przyp. tłum.)

¹ *Birchers* — nazwa członków *John Birch Society* (przyp. tłum.)

² ang. gra słów — przyrostek „tu” oznacza zarówno „too” (także), jak i „two” (dwa) (przyp. tłum.).